PRZEGLĄD

POWSZECHNY.

BŁOGOSŁAWIONY LUD, KTÓREGO PANEM BÓG JEGO.
Ps. 143.

ROK DWUDZIESTY. — TOM LXXIX.

LIPIEC, SIERPIEŃ, WRZESIEŃ.

1903.

KRAKÓW.
DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.
1903

W PILŹNIE I W ŚWIECIE SŁOWIAŃSKIM.

Ta myśl, którą powzięła Słowiańszczyzna przed niewieloma dziesiątkami lat, ta myśl o pracy wspólnej, czy zdoła rokować jakie nadzieje?

Tem pytaniem zajęty, podchodziłem do pociągu, który miał mię zawieźć do Pilzna czeskiego. Postanowiłem zawczasu w podróży nałamywać język do mowy pobratymców, u których miałem szukać gościny na zjeździe słowiańskich pisarzy: po czesku tedy przez całą drogę prosiłem konduktorów o miejsce, i zdziwiony zauważyłem, jak skutecznie język czeski chroni przed niegrzecznemi odpowiedziami, do jakich już przywykłem na kolei północnej, kiedy zagadywałem urzędników po polsku. Później usłyszałem różne szczegóły, które wyjaśniły, że istotnie żydowscy urzędnicy tej kolei Czecha nie tak śmieją obrażać, jak pomiatają polskim podróżnym w trzeciej klasie. Mimochodem zaraz wspomnę tu o jednym ze szczegółów, które wymownie uczą Żyda uchylać czoła przed Czechem.

Na wiele bogatych miast i wsi czeskich Żydzi spoglądają pożądliwie, ale nie mogą tam znaleźć przytułku. Czesi ich nie wpuszczają... w sposób wcale dowcipny. W ostatnich np. czasach do jednego z tych miast kupiec Żyd postanowił wejść zręcznie i zakupił dom — oczywiście nie u Czecha. Uwiadomieni o godzinie przyjazdu kupca, Czesi z muzyką wyszli na jego spotkanie na dworzec, uroczyście odprowadzili naprzód do jadłodajni, gdzie nakarmili przybysza potrawami koszernemi, umyślnie

sprowadzonemi, a następnie do jego domu. Ale kupować u niego nikt nie chciał, aż Żyd zwątpiony sprzedał dom, powiązał manatki i wrócił do Galicyi — znowu odprowadzony uroczyście z muzyką na dworzec.

Ale wracam do swoich przygód. W Krakowie konduktor, rodowity Czech, zagadnięty w swoim języku, uprzejmie wyszukał dla mnie miejsce między swoimi rodakami; w podróży kilka razy przychodził aby zapytać się najprzód, czy może na słowiański zjazd dążę do jego ojczyzny, a następnie dowiadywał się, czy dobrze dobiera dla mnie towarzyszy podróży. Przy zmianie pociągu polecił mię równie łaskawej opiece następnych konduktorów.

Nie! Ta myśl o Słowiańszczyźnie zgromadzonej przy wspólnej pracy, nie powinna zmarnieć, kiedy znajduje ludzi gotowych tak ją popierać, jak ci, z którymi jechałem.

Ich nastrój duszy już daleko odbiegł od dróg, po których dawniejsze wieki błądziły, kiedy wpadały na myśl o Słowiańszczyźnie złączonej na zewnątrz pod wspólnym mocarzem.

Tej myśli ziścić nie zdołały dzieje przez tysiąclecie już nie pierwsze, odkąd krwawy nieraz i żelazny łańcuch zaczął trzymać słowiańskie plemiona w jarzmie poddaństwa pod berłem zdobywcy. Błyskotliwe chwile witały sławę państw wielko-bułgarskiego i wielko-morawskiego. Żelazo rdzewiało, pękały łańcuchy, miecz poszczerbany zawodził nadzieje Chrobrych; ich słupy wbijane od Łaby po Dniepr nikły, porywane falami. Zbierana tylekroć rzesza słowiańska pod chorągwią wojskową okazywała, że potrzebuje spójni, i przez wysiłki bohaterów uświadamia sobie tę potrzebę, ale zdobyć niczego nie umie na długo orężem z kruszcu wykutym. Wyczerpuje siły we walkach, wszczętych jeszcze za pogańskiej doby dziejowej: ilekroć do bojów takich powstaje, zawsze pada i ginie rozdarta, rozproszkowana.

Ale nie o takich bojach wiecznie marzyć musimy: o innych między nami zamysłach świadczy nastrój ducha, z jakimi moi towarzysze podróży wskazywali na zjazd, na który spieszyłem do Pilzna.

Pokojowa praca wewnętrzna, wspólnemi siłami wykony-

wana przez rzeszę Słowian bez względu na ich odrębne chorągwie państwowe: myśl to nieznana pogańskim chorążym Słowiańszczyzny; to plon naszych czasów. Zapał do nowej myśli błyszczał na twarzach moich towarzyszy. Jednego z nich zwłaszcza szczęśliwie dobrał mi któryś z życzliwych konduktorów; od Czeskiej Trzebowy jechał ze mną członek wydziału przygotowawczego do zjazdu, wybornie obznajomiony z mnóstwem spraw, na które pragnąłem odpowiedzi. Z nim już rozmowa przekroczyła zasób łamanej mojej czeszczyzny, ale śmiało wplatałem polskie słowa, bo pierwszego w nim znalazłem Czecha, który czytuje polskie książki, a później spotykałem ich coraz więcej.

„Skąd to pochodzi — pytałem się, — że wiozą mię jacyś osobliwie dobrani konduktorzy, i otaczają podróżnymi dziwnie uprzejmymi i życzliwymi dla sprawy zjazdu słowiańskiego?“

„Nikt konduktorów nie dobierał ani nie do osobliwych wyjątków należą Czesi wszelakich stanów, którzy radośnie witają gościa na zjeździe. Cały ogół naszego narodu z zapałem wita Słowian, i wiele miast zazdrości Pilznu, że w jego mury goście nasi zjeżdżają“.

„Jakto? Czyż myśl o spójni słowiańskiej dotarła już do szerokich warstw narodu?“

„Jasnym tego dowodem były listy od różnych gmin do wydziału przygotowawczego, przysyłane z pytaniem o pociąg, którym przejeżdżać będą uczestnicy zjazdu, aby ich witać na dworcach. Wydział nie mógł o wszystkich uczestnikach zjazdu wiedzieć, kiedy przyjadą, ale przynajmniej dla tych, co przejeżdżać mieli przez Pragę, wydał odezwę, aby gromadnie wyruszyli z dworca Franciszka Józefa o pół do siódmej rano trzydziestego maja. Przynajmniej tedy miejsca położone między Pragą a Pilznem wiedziały, kiedy na swoich dworcach mogą ze szczerym zapałem witać braci Słowian, głównie północnych; wielu południowym wypadła droga krótsza na Wiedeń i Budziejowice prosto do Pilzna“.

Jak później doniesiono mi, rzeczywiście stanęli w Pradze na pół do siódmej: Polacy z krakowskich i lwowskich dzienni-

ków, czterech Rusinów, Chorwaci z zasłużonym Mazzurą na czele, paru pisarzy z Petersburga, ze Słowaków Hurban i Radlinsky, Serb Fabris, Słoweńce Govakar z Lublany i Gabrszczek z Gorycyi — otoczeni licznem gronem dziennikarzy praskich i morawskich. Ranna godzina nie była za wczesną dla mnóstwa Prażan, którzy pospieszyli na dworzec oglądać poczet słowiańskich bojowników i odnawiać z wieloma z nich przyjaźń, zawartą już na pierwszym zjeździe w Pradze.

Ale mój towarzysz opowiadał dalej:

„Zaraz przy wjeździe pociągu do powiatu śmichowskiego, wystąpi na dworcu rada powiatowa z uroczystem słowem powitalnem. Następny powiat Beroun już zawczasu odbył swoją naradę, aby godnie przyjąć gości w przejeździe. Obrali na to pierwszą stacyę, Karluov Tyn, miejsce słynne starożytnym zamkiem, którego dzieje stanowią wymowny dla cudzoziemca ustęp dziejów czeskiego królestwa. Ułożono, że goście przerwą tu jazdę, aby oglądnąć zamek; w powitalnym pochodzie wyjść obiecało naprzeciw gości miasto z cechami i związkami, z banderyami, śpiewakami i strojną *haute-volée;* uchwalono przyjąć gości śniadaniem, i rozdać im osobną, z tego powodu odbitą broszurkę pamiątkową z opisem Karluovego Tynu.

„Jeszcze w tymże powiecie czeka gości inna niespodzianka. Beroun słynie od dawien przez swoje *Berounske koláče.* Na stacyi tedy postanowili wystąpić burmistrz i radni miasta wraz z przedstawicielami miejskich cechów i liczny zastęp pań, które ze starosłowiańską prostotą mają częstować gości pieczywem. Na powitalną mowę odpowiedzą tu Polacy.

„Dalej stanie pociąg w Zdicu, gdzie również liczne zastępy powitają gości, a w ich imieniu odpowie Chorwat; na powitalną mowę w Horzowicach odpowie Słowak, w Zbiroku Rusin".

Jak potem słyszałem, wszystko to było zachowane dokładnie. Nadto w Rokiczanach dr. Mazzura w odpowiedzi na powitalną mowę podziękował także za śliczne kwiaty, któremi to miasto witało gości: powiedział przy tem, że najpiękniejszem dziełem, które wyszło z rąk Stwórcy, jest narodowość; długo nie ustawał oklask, wywołany przez te słowa. W Chrasku prze-

mówił Polak. Chorągwiami ozdobiony suto pociąg dojeżdżał do kresu drogi. Powitalna wrzawa w samem Pilznie trwała długo; serdeczne okrzyki i oklaski ustały, kiedy przed gości wystąpił dzielny naczelnik przygotowawczego wydziału, pan Karol Jonasz, aby powitać gości w twierdzy czeskiego zachodu, która o własnych siłach broniła swoich piętn narodowych. Wierne tedy słowiańskim podaniom, miasto Pilzno podług starosłowiańskiej zasady: *Host do domu, Buoh do domu,* usiłowało do siebie zciągnąć uczestników zjazdu i uprzyjemnić im pobyt wszystkiem, czem chata bogata.

Dzielna postawa mowcy, jakby stworzonego na wojewodę, świadczyła, że pod takim wodzem mogli śmiało mieszkańcy Pilzna walczyć zwycięsko o swój rozwój narodowy. Słowa jego brzmiały nie ostro, ale dziwnie serdeczną prostotą ujęły wszystkich obecnych. To też widocznie wzruszony odpowiedział na nie prezes słowiańskiego związku dziennikarzy, p. Chyliński.

Goście zasiedli do przygotowanych powozów, a przed nimi konny oddział Sokołów ustawił się czwórkami, i pochód ruszył do miasta. Ulice ozdobione masztami, z których powiewały flagi o różnych barwach słowiańskich, tłumy ludu miejskiego i wiejskiego o barwnych strojach, gromkie okrzyki *Slava!,* okna przepełnione twarzami widzów, kobierce i słowiańskie herby na domach, nowe mowy powitalne przed ratuszem: wszystko to dawało wjazdowi piętno uroczyste zarazem i bardzo szczerze gościnne.

Ale o tych szczegółach dopiero na drugi dzień mogłem słyszeć i widzieć jeszcze odświętny ubiór miasta, bo na uroczysty wjazd nie zdążyłem. Jeszcze jechałem z członkiem wydziału, którego dalej rozpytywałem się o przygotowawcze prace do zjazdu.

„Ale ileż pracy — pytałem się — włożyliście panowie, aby obudzić w szerokich warstwach taki zapał do sprawy słowiańskiej?“

„Otwarcie odpowiem, że dziś już szczególnego nakładu pracy nie potrzebujemy. Od pierwszego już zjazdu odbytego przed pięcioma laty w Pradze, naród czeski poznał dodatni

wpływ słowiańskiej spójni między pisarzami i radośnie wita pracowników na tem polu".

„Czyż dodatni wpływ tych zjazdów tak uderzał oczy, że nawet szerokie warstwy w narodzie czeskim o nim nie wątpią?"

„W tem pytaniu — odrzekł z uśmiechem po chwili namysłu mój współbiesiednik — dostrzegam prócz jednej myśli, otwarcie wyrażonej, jeszcze drugą, ubocznie nasuniętą, raczej zdradzoną mimowolnie, niż wymówioną umyślnie, bo Polak nie wynurzyłby przed Czechem tej myśli świadomie!"

„Cóż to za myśl, jeśli wolno wiedzieć?"

„Co to za myśl?... Jakże ją Czech ma wypowiedzieć w słowach wykwintnych?"

„Po cóż szukać wykwintnych słów?"

„Bo Polak posiada mowę najwytworniejszą ze słowiańskich... i to dobrze... ale posiada także serce najwrażliwsze, najobraźliwsze... Kiedy do niego inny Słowianin przemówi w swoim duchu pełnym prostoty, łatwo Polak poczyta te zwroty mowy za prostactwo i dumnie głowę odwróci".

„Nie odwrócę głowy dumnie, proszę powiedzieć".

„Powiem. Polak Czecha nie zna... nie rozumie, jak lud czeski skwapliwie czyta dzienniki, jak pilnie szuka nowin o postępie myśli słowiańskiej. Czech rozumie postęp tej myśli na drodze pokojowej: pragnie wspólnego przemysłu, kupiectwa, wymiany płodów rolnictwa, na długie wieczory zimowe potrzebuje powieści o stosunkach słowiańskich. Tę potrzebę zaspokoili Polacy przez Korzeniowskiego i Kraszewskiego a zwłaszcza przez Sienkiewicza. Tych przełożyliśmy i dajemy ludowi czytać. Ale o wojaczce, o zmianach politycznych, Czech mało myśli: nie poprze Polaka w jego porywach powstańczych. I z tego powodu Polak nie czuje Czecha swoim bratem w porywach najgorętszych i stąd mało ceni Czecha w jego porywie myśli do pokojowej spójni Słowian bez względu na waśnie państwowe. Ale Czech całą duszą przyległ do tej myśli. Więc choć Polak tego nie dostrzega, Czech nie potrzebuje, abyśmy wytężali siły na pochwałę zjazdów słowiańskich: wystarczy nam codzienna, zwykła praca sprawozdawcza po dziennikach, aby setki tysięcy czy-

telników z każdego stanu przyklaskiwały tym zjazdom. Książeczka o pierwszym zjeździe w Pradze dokazała w Czechach tyle, co u was może sprawił Kościuszko swoją mową na rynku albo wybuch w szkole podchorążych. Tylko że w Polsce zapał porywał do bohaterskich szałów, a u nas spokojnie kroczy na pewne zwycięstwo...“

„Ależ pan zna wiele szczegółów z naszych dziejów!“

„Wielu z nas zna wasze dzieje i rozumiemy dlaczego nie tyle Polacy dojrzali o nas wiedzą, ile zdoła dziecko polskie powiedzieć o Paryżu i południowym biegunie“.

Po tych słowach podał mi książeczkę pod napisem: *Sjezd slovanských novinařuov v Praze* — i dodał:

„Raczcie przeglądnąć i poznać, co nas Czechów pociąga do spójni słowiańskiej. Mnie już czas „przestąpić“ do innego pociągu. *Ma uczta!*“

Spóźniona już godzina wieczorna usposabiała do snu innych moich towarzyszów podróży: pozbawiony tedy rozmowy ustnej z Czechami, zaraz zacząłem w czeskiej książeczce szukać o nich wiadomości. Pośród nich powstała pierwsza myśl o zjazdach pisarzy słowiańskich. Powziął ją pierwszy p. Józef Kuffner, redaktor *Národních Listuo* i podał ją słowiańskiemu światu roku 1897-go. W odezwie swojej okazał zaraz tę rozwagę, która mierzy zamiary podług sił, a którą potem często podziwiałem u Czechów. Nie bierze za złe Związkowi czeskich dziennikarzy, że dotąd nie wysyłał swoich przedstawicieli na zjazdy dziennikarzy międzynarodowe. Mówi prawdę, że „nikt o nas w świecie nie wie, nie iżby nie chciał wiedzieć, ale iż sami milczymy i dopuszczamy, żeby nikt nie słyszał o nas“. Z tej prawdy jednak nie robi zarzutu Związkowi: przyznaje, że jego najbliższe troski i trud codzienny nie dopuszcza myśli o potrzebach dalszych i postępach doniosłych. „U nas, — mówi — wszystko w początkach, a nie można wszystkich potrzeb od razu zaspokoić. Ale już możnaby rozszerzyć zakres pracy na pole międzysłowiańskie, trzeba jeszcze pamiętać, że nas samych Czechów nie wystarczy do całej pracy o szerszym zakresie; na głos nasz odosobniony bez pomocy innych Słowian nie zwrócą zjazdy mię-

dzynarodowe uwagi; ale wezwijmy pobratymców do pracy wspólnej: drogę do tego utorowałby nam Związek słowiańskich pisarzy, któremu moglibyśmy dać początek".

Myśl ta znalazła natychmiast zwolenników między pisarzami czeskimi, a wkrótce doleciała do Polaków i Rusinów, Chorwatów i naddunajskich Serbów, Słowaków, Słowieńców i Rosyan, a w końcu do Serbów-Łużyczan. W następnym roku 1898 słowiański zjazd na cześć Palackiego dostarczył sposobnej pory do zjazdu pisarzy: 19-go czerwca Praga witała 138-u zastępców piśmiennictwa słowiańskiego. Napływu tego najliczniej dostarczyły Czechy, a po nich szli Polacy z pism: *Głos Narodu, Prawda, Czas, Dziennik Polski, Śmigus, Przegląd, Ruch Katolicki, Wieniec Polski, Kuryer Codzienny* jako gość, *Nowa Reforma, Słowo Polskie, Kraj* jako gość, *Gazeta Narodowa.* Chorwaci szli następnie jako przedstawiciele pism sześciu, Rusini z pism trzech, Słowieńcy z dwunastu, Słowacy z dwóch, Serbowie z trzech i z tyluż Rosyanie.

Obrany przewodnikiem zjazdu p. Iwan Hribar ze *Slovansk. Naroda,* zagaił obrady przemową, którą wygłosił częściami po czesku, polsku, chorwacku i słowieńsku. Przewodnią myślą mowy było, że dotychczas za mało znamy jedni drugich w Słowiańszczyźnie, a stąd niedoceniamy sił swoich. Jakby członki jednego ciała porozrywane, służymy nieraz w ręku nieprzyjaciół za narzędzie, aby jedni szkodzić drugim. Przecie nie zamarł w nas popęd do zgody i spójni, koniecznej członkom jednego ciała. Tę myśl podjęła i zaczęła ją szerzyć Słowiańszczyzna w swoich czasopismach, w swojej potędze uznanej za jedną z największych przy nowoczesnych stosunkach. Ale piśmiennictwo tworzy potęgę dopiero wtedy, kiedy jasno pojmuje swoje posłannictwo i spełnia je wiernie. Stąd to narady o wspólnych potrzebach piśmiennictwa słowiańskiego mogą służyć za tło, na którem nastąpi wymiana myśli i zbliży rozszczepione plemiona wielkiej rzeszy słowiańskiej.

Przemowa ta wytyczyła drogę, na której szli słowiańscy pisarze, zgromadzani następnie w Krakowie, Dubrowniku i Lublanie. Wielu wątpliwie ruszało ramionami na widok tych zja-

zdów: wróżyli im tylko nakład trudów bezowocnych i marne wydatki na podróże. Ale świadectwo pięciu lat nie sprawdziło złych wróżb, jak znowu nie potwierdziło nadziei najbardziej rożowych. Przecie każdy rok gromadził nowe siły na zjazdach, wzmagał ich zapał. Na tle spraw zawodowych dziennikarstwa wymiana myśli wyświadczyła Słowiańszczyźnie wielką przysługę. Mimo różnic dotąd nie wyrównanych pomiędzy szczególnemi plemionami i stronnictwami, przecie zjazd oznaczył pole pracy wspólnej, na którem każdy członek zjazdu mógł swobodnie zabrać głos na pożytek całego stanu dziennikarskiego. Stąd padło niejedno nasienie zdrowe na dalsze pola spraw słowiańskich, które przestają już wyglądać jakoby wieczna kość niezgody dla pobratymców. Towarzyskie stosunki między pisarzami wpłynęły łagodnie na ostre ich pióra w dziennikarskich rozprawach.

Na Polaków spoglądali najprzód inni Słowianie, jakoby na obóz najmniej skłonny do zgody serdecznej: dziś głośno nas mienią szczerymi jej zwolennikami.

Prócz tego pożytku głównego, także w zawodowej pracy dziennikarze zawdzięczają niejedno zjazdom i myślom na nich poruszanym. Nastąpił „Związek słowiańskich dziennikarzy“, na którego czele stanął p. Chyliński. Przygotowawcze prace już zaczęte obiecują nam słowiańskie Biuro korespondencyjne, na które znaczne wkładki już wpłynęły.

Prócz ogólnego poglądu na myśl i pożytek zjazdów, wymieniona książeczka czeska zawiera nadto treść nader ważną, mianowicie zdaje sprawę ze stanu dziennikarstwa w Słowiańszczyźnie prawie całej, bo z rozwoju czasopism słowackich, serbskich, chorwackich, ruskich, słowieńskich, polskich i czeskich. Sprawozdawcze te przeglądy, odczytywane na zjezdzie praskim przez zawodowych mowców z każdego plemienia słowiańskiego, dostarczają cennych wskazówek nie tylko dla dziennikarzy, ale dla wszystkich badaczy literatury słowiańskiej.

Zajęty tą książką nie spostrzegłem, jak godzina nocna jedna po drugiej uciekała i świt ślicznego dnia rozjaśniał bogate łany czeskie. Ziemia wprawdzie nieraz żółta, nie mogła iść w zawody z czarnoziemem podolskim: ale jej uprawa musi

z niej wyciągać z półtora raza tyle plonów, co na Rusi Czerwonej.

Rozpatrywałem kraj, kiedy spostrzegłem żywszy ruch między towarzyszami podróży: z uroczystym wyrazem twarzy odkrywali głowy przed wjazdem do „stowieżatej“ Pragi. Na tę nazwę stolica zupełnie zasługuje: strzela w obłoki smukłemi wieżycami i blaskiem kopuł z kilkudziesięciu kościołów, basztami starego Hradu królewskiego i obronnemi wieżami starożytnych bram miejskich. Na widok rozrzuconego swobodnie po wzgórzach miasta, dzieci z roziskrzonemi radośnie oczyma wypytywały się starszych o pamiątkowe budowle, znane im z dziejów.

Przesiadłem się do tramwaju z myślą o okrzykach słyszanych nieraz z ust dzieci polskich przy wjeździe do Krakowa, ale wesele czeskich dzieci brzmiało innym dźwiękiem: zapał polski na widok Wawelu dźwięczy tęsknotą i smutkiem za chwałą przeszłą. Czech wita w stolicy swojej blask rozwoju narodowego. W domu habsburskim naród czeski ogląda dziedzicznych następców swojego rodu królewskiego Przemyslowców: znajduje dla siebie w związku z rakuskiem państwem prawne stanowisko wolnego narodu, a nie jarzmo nałożone na ziemię podbitą. Upośledzeni wprawdzie przez dumnych przybyszów z Niemiec, w nich nie czują przecie najeźdźców, upoważnionych prawem zwycięstwa do ucisku nad pokonanymi; spoglądają na nich jako na współzawodników, i śmiało rozwijają swoje zasoby, aby na własnem gospodarstwie swobodnie zbierać plon pracy. Nadmienić tu można, że im otuchy dodaje widok ich liczby, która nierównie szybciej rośnie, niż liczba Niemców. Ci ostatni w znacznej niestety części zarażeni paryskiemi pojęciami o małżeństwie, wychowują po dwoje dzieci, kiedy między Czechami, chociaż bywają po miastach małżeństwa małodzietne, jednak nierównie więcej wieśniaków liczy dzieci po kilkanaścioro.

I w tramwaju znalazłem bardzo uprzejme odpowiedzi na pytanie, zadane łamaną czeszczyzną o drogę na „Karlowe namesti“, gdzie miałem stanąć na godzinę u przyjaciół. Konduktor spostrzegł, że słyszy dźwięki z polska wymawiane, i zaraz, jakby obowiązany urzędowo do usługi cudzoziemców, najuprzejmiej

objaśniał, na których przestankach mam zmieniać wozy, aby zdążyć na miejsce wczas, i którędy mam z powrotem jechać na dworzec kolei pilzneńskiej. Tak powiadomiony dotarłem do domu przyjaciół, ale Czesi nie wypuścili mię, aż nie obiecałem stanowczo, że z powrotem dłużej u nich zagoszczę, aby poznać dziejowe pamiątki Prahy, przynajmniej najznakomitsze.

I znowu już pociąg mię niesie przez kilkadziesiąt minut i daje oglądać na różnych dworach i dworczykach ślady wczorajszego przejazdu dziennikarzy: barwne flagi jeszcze powiewają, w ustach jeszcze brzmią zapamiętane ustępy z mów powitalnych, w oczach błyszczy nadzieja wspólnej pracy słowiańskiej.

Jestem u kresu podróży; z cudzego kraju przybysz ledwo przez chwilę potrzebuję szukać drogi na miejsce obrad. Zaraz na dworcu dyrektor szkoły wydziałowej usłyszał moje pytanie, zadane w tej mierze któremuś z urzędników; zaraz umieścił mię w stosownym tramwaju i wprowadził do kancelaryi wydziału przygotowawczego. Zaszczycony prawem wstępu na miejsca obrad i zgromadzeń towarzyskich, sprawdziłem przynajmniej, jak słusznie Czech w drodze poprzednio mi powiedział, że wszyscy Słowianie, jego zwłaszcza rodacy, znają nas wielekroć lepiej, niż nam są znani.

Ale jako ze wszystkich najmniej znana, uderzyła mię przedewszystkiem ta strona ducha czeskiego, która najwięcej znaczy w rozwoju każdego narodu. Ochota do wspólnej pracy, choćby z uszczerbkiem osobistych wygód, wspólny pożytek ceniony ponad wszelki zysk samolubny: ta chrześcijańska zasada wnikła między Czechami we warstwy nierównie szersze, niż można wnosić ze zwykłych wzmianek o tym narodzie. O polskich zaletach chrześcijańskich mało wie cudzoziemiec, nawet wtedy, jeżeli o nas sądzi z rozmów z którymbądź, choćby bardzo wybitnym członkiem Koła, albo ze stosunków zawiązanych w miejscu kąpielowem, czy wkońcu z europejskich dzienników.

Podobną drogą zdobywaliśmy pojęcia o Czechach; ale te poglądy prędko pierzchły, kiedy w Pilznie każdy z nas przez trzy dni spotykał mnóstwo niespodzianek; niejeden z nas na-

stępnie zatrzymywany ustawicznie w różnych miejscach sławniejszych, przez kilkanaście dni mógł i ducha czeskiego w jego ojczyźnie poznać i ocenić wpływ, wywierany na naród przez ich drogocenne skarbnice dziejowych pamiątek i pomników chrześcijaństwa.

Stu kilkunastu uczestników zjazdu nie mogło w Pilznie przez trzy dni nie wchodzić ze sobą w zażylsze stosunki. Ci z tymi, tamci z owymi bliżej zetknięci, tworzyli swobodne gromadki lepiej ze sobą zapoznane, do których zwykle w części należeli Czesi, jako gospodarze troskliwi, aby żadnego gościa nie zostawić bez opiekuna i przewodnika. W ten sposób spotykałem najczęściej jako uprzejmych przewodników, panów Maidla i Vejvodę, a zwłaszcza dziwnie gościnnemu panu Langowi zawdzięczam najdokładniejsze odpowiedzi na wszelkie pytania o wewnętrznych stosunkach jego ojczyzny. Rozmowy o tym przedmiocie nie następowały po sobie w porządku ściśle obmyślonym zawczasu: poznać się wzajemnie: oto hasło przewodnie zjazdu. Osnowa obrad i jej wyniki zwięźle opisane w dziennikach, mogą wyglądać na dorobek nie bardzo doniosły dla czytelników, którzy zdaleka sądzą o zjeździe. Ale widok samego przebiegu tych obrad, a zwłaszcza na ich tle oparte rozmowy towarzyskie stanowią wypadek pamiętny dla każdego Słowianina, na zjeździe obecnego, bo każdy oświadczał, że ogląda świat równie wdzięku pełen, jak obcy. Kto pierwszy raz oglądał ten świat, przemawiał o nim w słowach może gorętszych, niż stali uczestnicy zjazdów od kilku lat. Ale i ci ostatni mówili z zapałem; sami jeszcze znajdowali dla siebie wiele nowych szczegółów i nam, gościom u Czechów po raz pierwszy, wskazywali, na co mamy spoglądać, i o co się pytać.

Z osobistych tedy rozmów i dorobku spostrzeżeń mogę zdać sprawę, choć w porządku rzeczowym ich nie ustawię...

Przed kilku miesiącami czytelnicy *Przeglądu Powszechnego* znaleźli odczyt, w którym znany pisarz z powodu teatrów wiejskich wspomniał o rodzimej oświacie ludu krakowskiego i o jego nastroju duchowym bardzo wysokim, choć bardzo odmiennym od tła pojęć, wyrobionego u nas przez wpływy pozasłowiańskie.

Tę samą uwagę ogólnie nasuwały mi Czechy, kiedy albo o nich mówiłem z nimi samymi, albo spoglądałem na ich zdobycze, oświaty i objawy ich myśli.

Przedstawicielów swoich naród czeski wyprawia na wielkoświatową widownię do wiedeńskiej Izby posłów, ale nie w Młodo-Czechach daje najwłaściwszy wyraz swojego ducha: odsłaniał wierniej swoje piętna wewnętrzne przez występy posłów staroczeskich, a najdobitniej wyraża swój stan duchowy przez wybór posłów najmłodszych, których nazywa agraryuszami. Rodzina i jej potrzeby stanowią dziedzinę myśli najskrzętniej uprawianych przez Czecha. Jako członek społeczeństwa, Czech pamięta przedewszystkiem o swoich obowiązkach ojca i gospodarza, żywo bierze sobie do serca potrzebę wzajemnych posług sąsiedzkich, pracuje usilnie w radzie miejskiej, aby między swoimi żyć pożytecznie; po spełnionych dokładnie a cicho obowiązkach codziennych, podnosi spokojnie oczy na dalszy widnokrąg pracy narodowej i ufa, że do niej przyłożył ręku najpożyteczniej według swoich sił, kiedy we własnym domu zabezpieczył dobrobyt, poprowadził dzieci na dobrą drogę, wypogodził twarze przywiązanej czeladzi.

Tak szczerze zajęty gospodarką wewnętrzną, Czech przypomina nam naszych praszczurów z pierwotnej doby dziejów piastowskich, kiedy słowiański duch bardzo wyodrębniał Polskę zapracowaną nad lemieszem albo przy rzemiośle — od Polski, zajętej polityką przy księciu w jego radzie przybocznej, albo wojennej drużynie.

Pamiętają Czesi, że w przeddziejowej dobie różne plemiona słowiańskie pod odrębnymi książętami zamieszkiwały ich kraj dzisiejszy; wspominają nazwy tych dzielnic i wiedzą o wojennych wyprawach, które łączyły różne plemiona pod władzą jednego mocarza. Ale dość spokojnie już chorągiew z orłem Przemyslowców powiewała nad jednolitem państwem, kiedy w jego kresy wszedł z krzyżem biskup Metody. Hasło chrześcijańskiej miłości zastało w kraju jeszcze zamieszki wewnętrzne, ale już ostatnie: wniosło pokój wiary do dusz, i wkrótce uśmierzyło ostatnie burze rozterek, więc rozwijać mogło swój wpływ

na obyczaje w społeczeństwie ustalonem. Rolę znalazło stosowną. Do dziś bezwyznaniowi pisarze czescy w utworach swoich, jawnie wrogich Kościołowi, otwarcie wyznają, że spokojny i rządny ich naród znalazł w chrześcijaństwie czynnik znakomicie odpowiedni do swojego nadal rozwoju.

I zewnętrznego pokoju zaznały Czechy nierównie więcej, niż Polska. Duch pracy chrześcijańskiej mógł tam kwitnąć, kiedy u nas doznawał przeszkód przy wzajemnych najazdach Piastowiczów, przy ciągłych wyprawach na obronę państwa przed wschodnim i zachodnim najeźdźcą przez setki lat, przy ostatnich walkach o prawa do bytu. Do Czech ledwo raz podszedł zagon tatarski; domowa wojna husycka i napad szwedzki: to cała klęska, zadana rozwojowi narodu w gospodarce wewnętrznej. U nas trąbka i szczęk broni drażniły co chwila nerwy czujne już u dziecka w kołysce: tam uspakajała kraj gędźba i pieśń z piersi spokojnej. U nas o sławie wojennej marzyło młode serce, koń i broń nęciła na jawie i we śnie: u nich do sławy drogę słała porządna zagroda, wprawa w rzemiośle, mądra uwaga na radzie, pieśń dźwięczna albo książka uczona.

Na tem tedy tle można zrozumieć narodową dumę, którą Czech objawia, kiedy pokazuje cudzoziemcowi pomniki swojej pracy, bądźto nowożytnej, przepychu dzisiejszej Pragi, bądź też jej pamiątki dziejowe i skarby zebrane w muzeach.

Narodową dumę Czech odczuwa w jakimś jej odcieniu młodzieńczym, rzadko kiedy spotykanym gdzieindziej. Inne narody rozpamiętują przeżyte dnie chwały: Czesi na zdobytych kiedyś wawrzynach nie spoczywają. Naród bitny nie tyle za chlubę poczytuje sobie same trudy wojenne, ile dnie zwycięstwa u kresu krwawych zapasów. Naród gospodarczy nie widzi przed sobą kresu wysiłków; bez końca do postępu dąży po drogach coraz dalej wytykanych. Naród taki może każdą chwilę samej pracy wytężonej poczytywać sobie za chlubę, bo ciągle błyszczy skromnie chwałą zwycięstwa nad sobą. I Czesi z takę chlubą spoglądają na pomniki swojej pracy a przytem nie czują, że już do kresu dotarli: coraz dalej wytykają sobie drogi postępu i przed siebie wypatrują, ile jeszcze zdobyczy im brak.

Ta ich skromna chluba bardzo pięknie odbija od dumy narodu, który tylko w minionej dobie dziejów upatruje sławne zwycięstwa. Kraj pokryty pomnikami, wznoszonymi tylko dla przeszłych dni chwały, wygląda jak cmentarz z nagrobkami ludzi sławnych, ale już nieboszczyków. Czeskie pomniki idą rzędem, jak słupy wytyczne postępu, jak świadectwa niespożytych sił narodu w pełnym rozwoju.

Dawali mi to poznać wszyscy, czyto pilzneńscy towarzysze, kiedy opowiadali o stanie narodowej pracy dzisiaj, czy uprzejmi Prażanie, którzy, jakby najmilszy dług wypłacali względem swojej ojczyzny, tak zapraszali mię do swoich skarbców pamiątkowych i nie żałowali czasu, aby dokładnie zapoznać mię ze wszystkiem. Rzadko kiedy powierzali mię przewodnikom urzędowym, a i w takim razie wyszukiwali mówiącego po polsku; podziwiać musiałem, ilu Czechów używa naszego języka wcale poprawnie. Częściej spotykało mię zaszczytne przewodnictwo samych naczelników w różnych zakładach, którzy polskiemu pisarzowi nie tylko umiejętnie przesuwali przed oczyma dziejowe pamiątki, ale nadto, jak gdyby sędziemu, zadawali często pytanie: *jak wam se lubí?* (podoba się).

Co do liczby przechowanych skarbów dziejowych: to istotnie nasza ojczyzna przewyższa królestwo św. Wacława; ale nas nie stać na tyle złota, ile Czesi sypią ochotnie na oprawę swoich pamiątek!

Po Muzeum narodopisnem (etnograficznem) oprowadzała mię nader łaskawie sama jego kustoszka i w części współtwórczyni: pani Havelkova. Od najdawniejszych, jeszcze pogańskich popielnic i szczątków broni, od naczyń i narzędzi rolniczych ze zamierzchłego średniowiecza, aż do ostatnich stuleci z ich wyrobami, przesuwała mi szanowna przewodniczka przed oczyma wiek jeden po drugim w rozwoju czeskiej oświaty. Nie mogłem utaić podziwu na widok jaskrawego podobieństwa między naszym stylem, popieranym przez Towarzystwo sztuki stosowanej, a piętnami czeskiego stylu w budowie i ozdobach bądź domów, bądź skrzyń, przyrządów, sprzętów i naczyń. Duch ten sam najdobitniej przemawia ze setek okazów, przechowywanych w Mu-

zeum, i z robót, wykonywanych na naszej ziemi ręką ludu. Lud u nas to uszanował, ale tylko lud. Wyższe stany czerpały z dalekiego Zachodu wzory do swoich wyrobów; czeskie mieszczaństwo i duchowieństwo popierało lud w rozwoju rodzimej twórczości. Co u nas zachowawczy zmysł ludu ubogo przechował, to w pełni bogatego rozkwitu pokazuje Czech oczom podróżnych z całej Europy, — pewny, że ma co przedstawić.

Dostojny prałat Kuppfer, przełożony nad katedralnym kościołem świętego Wita, uczył mię oceniać skarby w nim zgromadzone, — a umiał tak mówić, jak zdoła Czech zakochany w swoich świętych i ich przybytkach. A Czech zdołał w kaplicy swojego króla-męczennika pokryć wszystkie ściany płaszczem z drogich kamieni!

Ks. Tuczek powiózł mię aż za Łabę, do czeskiego Gniezna i Kruszwicy w Starym Bolesławiu. Tu do fary rzesze pątników dążą, nie aby liczyć klejnoty na ołtarzach, ale aby na kolanach wstępować wewnątrz farnego kościoła z pierwszych lat wiary chrześcijańskiej w Czechach. W tym kościółku przygotowywał chleb do Mszy a potem przy jego drzwiach zdobył męczeńską koronę stryj naszej Dąbrówki, Wacław.

Ale nie miejsce tu dla mnie na opis kraju czeskiego: o nastrój duchowy tego narodu mi idzie i o pożytek dla nas, którego moglibyśmy oczekiwać, jeżeli wejdziemy z nim w bliższe stosunki.

Dla swoich pojęć, zbieranych dorywczo w tej mierze zewsząd, potrzebowałem światłego doradcy, aby przesiać ziarno i oczyścić je z plewy. Drogocennego w tej mierze światła raczył mi użyczyć szczery nasz przyjaciel, ks. kanonik Tumpach. Obwiózł mię najprzód po starożytnych dzielnicach Pragi, gdzie prawie każdy dom opowiada dzieje ciekawe a liczne posągi spotykane po drodze, ośmielają cudzoziemca do ciągłych zapytań o różne pola, na których ci sławni mężowie zbierali zasługi. Rozmowa z tego powodu nawiązana w drodze nie ustała w domu przez kilka godzin, które, jak chwila przeleciały mi u gościnnego i wszechstronnie świadomego stosunków gospodarza.

Jakiem tętnem bije wewnętrzne życie czeskiego narodu?

Czy wsiąkło w siebie wiele wpływów bezwyznaniowego ducha? Czy przeważnie płynie spokojnem korytem zasad chrześcijańskich?

Te pytania wytyczne wybiegały kolejno na różne ścieżki drobniejszych pytań, któremi niezawodnie zamęczałem wybitnego dostojnika i myśliciela, ale jego dobroć prowadziła mię do coraz dalszych pytań, a jego odpowiedzi znowu odkrywały mi świat nieznany.

Czeskie warstwy naczelne narodu mało wpływu wywarły na rozwój bogatej warstwy mieszczańskiej i gospodarnego ludu wiejskiego; obie te warstwy, dość zaopatrzone we własne źródła dochodu, a nie narażone na dotkliwe najazdy wrogów, nie potrzebowały też nad sobą opieki ze strony warstwy, z którą stosunki utrudniał jej pokost niemiecki. Czeski tedy ogół duchowieństwa nie stał nigdy na rozdrożu pomiędzy pańskim zamkiem niemieckim a słowiańskim mieszkańcem miasta i wsi, między dworem a chatą; samo z wieśniaków albo mieszczan przyjmowane do seminaryum, nie widziało dla siebie pola do pracy poza ludem czeskim, z nim żyło i nie odwykało od jego prostoty na pańskich komnatach, zachowało z nim stosunek blizki i węzły towarzyskie. Siła księdza czeskiego leży w tem, że z każdym poufale przestaje. Skutkiem tych zażyłych stosunków między księdzem a ludem, nikt inny prócz proboszcza nie idzie między parafian jako doradca, powiernik w kłopotach z urzędem czy panem, pomocnik w troskach pieniężnych, słowem jako całkowity przewodnik duchowy ludu; nikt nie wyręcza księdza we wpływie na parafię: jej ojcem jest proboszcz; na każdem miejscu czuć jego wpływ i nie brak powagi, ale właśnie jej wielką potęgę. Podobnie panuje zażyły stosunek towarzyski między duchowieństwem z różnych szczebli hierarchicznych: jak wszyscy siedzieli przy sobie na równych miejscach w seminaryum, tak przestają ze sobą po przyjacielsku najwyższy dostojnik z najuboższym zarządcą kościołka wiejskiego. Jeden z dostojników właśnie, iż odmiennie postępował, ucierpiał na powadze.

Trudno dobrać nazwę dla tej prostoty stosunków iście słowiańskiej, którą naocznie oglądałem po różnych zakątkach Czech

i Morawii, od Pilzna i Pragi po Welehrad, po Hostyn i po krańce czeskiego żywiołu na szląskiem pobrzeżu. Trudniej jeszcze nam, przy zwyczajach u nas ujętych w przepisy etykiety, trudniej ocenić żywotny wpływ Kościoła na społeczeństwo. Husytyzm, jako hasło wyznaniowe, upadł po bitwie na Białej Górze i zginął w niepamięci, a dziś, ze czczem nazwiskiem Husa, jako z politycznem hasłem na ustach, narodowcy czescy walczą przeciw germanizacyi, ale wogóle prowadzą dom katolicki i wychowują dzieci na synów Kościoła. Wielu między nimi wolnomyślnie usposobionych tak rzadko uczęszcza do Kościoła, jak i u nas oziębli katolicy, ale pod tym względem nie w Husa wierzą i w jego naukę, tylko w Masaryka i *Neue Freie Presse* albo w swoje czasopisma bezwyznaniowe. Wpływ też ich na społeczeństwo dosięga tylko spraw właściwie narodowych a nie wkracza w zakres ściśle wyznaniowy, na który Kościół wywiera wpływ oczywisty. Prócz doniosłego skutku blizkich na każdym kroku stosunków między księdzem a ludem, Kościół zbiera obfite plony z innego jeszcze źródła: z olbrzymiej pracy, jaką duchowieństwo wkłada w pole duszpasterstwa. Czech tylko po wydatnej pracy umie odpocząć, — a jeżeli który z nich chce, może i umie próżnować, to pewno nie ksiądz...

Niejeden z uczestników zjazdu wracał do kraju zamyślony nad pytaniem, czemu dotychczas tak mało znaliśmy swoich pobratymców Słowian?

Miłe nam nasze zwyczaje, ale — nieszczęściem — równie także miłe nasze przesądy i nawet narowy. Zetknięci ze światem nam blizkim, a pod wielu względami ponętnym, dać pobratymcom możemy niejedno, co w nas ceni cała Słowiańszczyzna, ale i brać od niej powinniśmy wszystko, czego nam dzisiaj niezbędnie potrzeba, — a może najpotrzebniejsza dziś nam nauka o pracy cichej, o zwycięstwach nad sobą: najdonioślejszych między wszystkimi.

Ks. K. Czaykowski.

EUCKEN A DZISIEJSZE ZADANIE APOLOGETYKI.

Nigdy to wszystko, co biednemu rozumowi ludzkiemu zdaje się przemawiać przeciw Bogu, nigdy przeciwieństwa między wiarą a myślą naukową, między religią a filozofią nie były odczuwane i wygłaszane z taką gwałtownością, jak w dopiero co ubiegłym wieku, nigdy nie wystąpiły tak ostro i namiętnie przeciw sobie. Tłumaczymy to tem, że wiek XIX początek swój wziął z rewolucyi, która była wyrazem żądzy stworzenia jakiegoś raju na ziemi według trójjedynego ideału wolności, równości i braterstwa, lecz na gruzach tych podstaw religijnych i społecznych, na których cywilizacya europejska się wzniosła. Ideał ów zbezczeszczony przez wyznawców swoich, zatopiony w kałużach krwi, nie zeszedł jednak z widowni; utrwalił panowanie swoje w wyobraźniach ludzkich, w dążeniu do niego wił się cały wiek zeszły w rewolucyjnych żądzach i wszystkie jego prądy duchowe szły z dwóch źródeł rewolucyjnych idei: z rewolucyonizmu polityczno-społecznego J. J. Rousseau i z rewolucyonizmu filozoficznego Kanta.

Rozmyślania nad urzeczywistnieniem doskonałego porządku i szczęścia wśród ludzi doprowadziły były Jana Jakóba Rousseau do bezwzględnego potępienia cywilizacyi i do marzeń o błogosławionym stanie natury, która tworzy człowieka dobrym i szczęśliwym, gdy społeczeństwo psuje go i znieprawia. Ale powrót do natury wymagał zrzucenia więzów cywilizacyi, i rewolucya francuska stawała się owocem nauk samotnika z Genewy.

O rewolucyi politycznej Kant nie marzył nawet. Konserwatystą będąc z usposobienia, nie ruszał on gmachu społecznego, ale w cichości, może bezwiednie, podkopywał się pod jego podstawy, w nowy bowiem sposób tłumacząc istotę umysłu ludzkiego, w nowem a odmiennem świetle przedstawiał stosunek człowieka do świata. Dopiero w zakresie praktycznym wiedza człowieka zyskiwała według Kanta, charakter absolutny; tutaj człowiek sam sobie stanowi prawo moralne, wysnuwając wszystkie następstwa z rozbrzmiewającego w głębi jego sumienia kategorycznego imperatywu: czyń, boś powinien. Z filozofii tej wynikało, że człowiek poddaje się prawu moralnemu nie dlatego, że jest boskie, lecz że sam jest jego twórcą. Pogląd taki podnoszący pozornie dostojeństwo osoby ludzkiej i obdarzający ją bezwzględną wolnością, torował drogi temu indywidualizmowi, który odtąd coraz silniej zabarwiał kierunki umysłowe. Roussowski kult natury z opartem na tem wyzwoleniem jednostek od wszelkich więzów, które stworzyła cywilizacya, znajdował u Kanta próbę rozumowego uzasadnienia.

Lecz nie dość tego. Jeśli człowiek nie zaś Bóg jest prawodawcą moralnym, to nie tylko więzy wiary potrzebne nie są, ale człowiek może być postawiony na miejscu Boga. Tego wniosku Kant sam nie odważył się wyciągnąć, owszem, usiłował ratować religię, tkwił jednak wniosek ten w nauce jego, jako nieunikniony jej wynik. W tym też kierunku posunęli się po nim Fichte i Schelling, aż wkońcu Hegel doprowadził do kresu popchniętą przez Kanta w stronę indywidualizmu myśl niemiecką, ogłaszając, że Bóg-Absolut dochodzi w człowieku do świadomości siebie, czyli, że bez pomocy człowieka Bóg aniby wiedział o sobie, aniby był Bogiem.

Bóg więc został przez filozofię zdetronizowany.

Hegel oplątał z niezrównaną umiejętnością wszechświat cały siecią swej świetnej dyalektyki i umiał przedstawić swój system jako wiedzę absolutną, doskonałą. Wpływem swoim na współczesnych, zaćmił wszystkich poprzedników, uczniowie wynieśli go na szczyt myśli filozoficznej, i stamtąd króluje on nad umysłami do dziś dnia. Ale króluje niewidzialnie, gdyż ci, co

głoszą dziś poglądy będące logicznem następstwem myśli Hegla, nader często o tem ich pochodzeniu nie wiedzą. Nie będę tego uzasadniał, nie wchodzi to w zakres niniejszego studyum, zaznaczam tylko, że od Hegla idą w prostej linii wszystkie prądy przewrotowe wieku, tak religijno-moralne, jak polityczno-społeczne, tak socyalizm (Marx, Lasalle), jak anarchizm (Hercen, Bakunin), tak brutalny kult „nadczłowieka“ (Nietzsche), jak wściekłości nacyonalizmu. Feuerbach zaś jest tym, który stanowi ogniwo łączące hegelianizm z rewolucyjną negacyą późniejszych kierunków.

Ponieważ najsilniej zorganizowaną potęgą, występującą w imię Boga i ideału religijnego jest katolicyzm, więc przeciwko niemu zostały skierowane z całą siłą napaści pokłóconej z Bogiem filozofii. „Gdy w epoce encyklopedystów — pisze X. Ehrhard w głośnem dziele o katolicyzmie w wieku XX — katolicyzm był przedmiotem pocisków ze strony powierzchownego i płytkiego racyonalizmu, gdy koło połowy wieku XIX rzucano się nań w imię materyalistycznego poglądu na świat — dziś czynią to ze szczególnem upodobaniem w imię prawdziwej religii, którą katolicyzm ma zabijać, w imię moralności, którą on tłumi, w imię patryotyzmu, którą on pęta, wolności sumienia, którą on niszczy, słowem w imię tych najwyższych dóbr ludzkości, wobec których żaden człowiek obojętnym być nie może; lecz najboleśniejsze są te oskarżenia przeciwko Kościołowi, które się opierają na Ewangelii i Chrystusie“. Atak ten jednak filozofii przeciw Kościołowi nie zachwiał głośnego autora, dzieło jego tchnie ożywczą, pełną męzkiej energii wiarą w żywotność katolicyzmu; ale stosując słowa swoje przeważnie do katolików, główną uwagę zwrócił Ehrhard na wielkie i ciężkie zadania ich i obowiązki, i wskutek tego pozostawił w cieniu fakt, że kierunki antyteistyczne doszły już do ostatnich kresów, że groza przed ich następstwami zastanawia tych nawet, co im hołdowali, i że na łonie wieku, który się kończył pod znakiem antyteizmu, poczęły budzić się pragnienia powrotu do religii.

Fakt ten został obszernie uwzględniony w książce noszącej

tytuł: „O Prawdzie w Religii“ [1]; starły się w niej w gwałtownym zapasie sprzeczne pierwiastki wieku, wyraża ona dzięki temu ze szczególną dosadnością przeciwieństwa religii i filozofii, ściślej mówiąc, przedstawia ona przeszkody piętrzące się przed filozofią, gdy poznawszy swą niedostateczność w tłumaczeniu zagadki bytu, zaczyna czuć w sobie pęd ku religii. Autorem jej jest Rudolf Eucken.

Eucken jest jednym z nielicznych myślicieli, których twórczość rozwinęła się pod urokiem ducha Fichtego, tego najsilniejszego indywidualisty w filozofiii, który w nadmiernem czuciu potęgi własnej osoby zapalił się waryacką niemal myślą wyprowadzenia wszechświata z głębin własnego J a. Chwyciwszy się nauki Kanta o imperatywie moralnym, uznawszy, że imperatyw a Jaźń *(Das Ich)* to jedno, i ubolewając, że powagę i siłę imperatywu osłabiło u Kanta rozdwojenie jego filozofii, w której rozum teoretyczny odrzucał te prawdy nadprzyrodzone, które nakazywał mu przyjąć osnuty na imperatywie rozum praktyczny, postanowił Fichte z rozdwojenia tego wyjść i uznał Jaźń *(Das Ich)* za pierwszą zasadę filozofii, wyrazem J a począł stale określać to, co inni nazywali rozumem praktycznym, wolą, duchem, Bogiem, i z jaźni filozofię swoją wysnuł. Jaźń więc uczynił początkiem świata, powinność — przyczyną i celem; z wszechpotężnej bowiem jaźni wyłaniał się świat zewnętrzny, pogardliwie przez Fichtego mianem N i e J a ochrzczony, ażeby J a miało sposobność spełniać powinność, czyli żyć, bo spełnić powinność a żyć, to jedno i to samo. Nigdy ani przedtem ani potem w żadnym systemie filozoficznym potęga indywidualizmu i jego pierwiastków etycznych, nie została tak silnie zaznaczona. Wyniósłszy pod wodzą Kanta i Fichtego osobę ludzką wyżej, niż powinna być wyniesioną, filozofia zaczęła była od uwielbienia w człowieku jego siły m o r a l n e j, aby uwielbić potem przez usta Hegla siłę jego i n t e l l e k t u a l n ą i nazwać to Bogiem, aż zakończyła uwielbieniem siły b r u t a l n e j (Nietzsche), kultem grzęznącego w zmysłowości „nadczłowieka“. Eucken od

[1] *Der Wahrheitsgehalt der Religion,* von R. Eucken. 1902.

początku swej działalności należał do tych, którzy ręką mocną usiłowali wstrzymać owo staczanie się filozofii. Przejęty powagą moralną Fichte'go, wziął po nim jego namiętność w afirmowaniu pierwiastku moralnego, jako dźwigni życia, lecz mniej naiwny w swej wierze w człowieka, nierównie większe przyznał znaczenie religii w dziedzinie moralnej. „Odwieczne zagadnienie bytu — pisze on — powstaje przed nami ze świeżą a żywiołową siłą". Dlaczego? Bo cały ruch myśli nowoczesnej, jeśli przyjrzeć się jego wewnętrznej istocie, był w samym rozwoju swoim ciągłem rozkładaniem się *(in der Selbstentwickelung, zugleich eine Selbstersetzung)*. Zwątpiwszy o Bogu i o wyższym porządku, od którego człowiek jest zależny, niepodobna było nie dojść do zwątpienia o człowieku samym i o rozumnym celu jego istnienia. „Pomimo pozornego rozkwitu i bogactwa cywilizacyi, czujemy brak stałego punktu oparcia wobec szturmujących fal życia, brak celu wielkiego, któryby objął całość bytu, skupił i utrzymał ludzkość, a każdą jednostkę wzniósł ponad małość jej natury zmysłowej".

Słowem, zachwiała się u nas wiara w doskonałość cywilizacyi nowoczesnej. Powoli wzmagają się dzięki temu, uśpione przedtem prądy religijne.

Dochodzimy do świadomości, „że świat nasz mógł się nam przedstawiać jako dzieło rozumu *(ein System der Vernunft)*, dopóki idea nadświata rzucała nań swój blask — blask, który padał przez czas jakiś nawet wówczas, gdy nadświat sam już ostatecznie znikł był z przed oczu ludzkich".

Ale zaznaczając to budzenie się myśli religijnej, autor sam nie występuje wcale, jako wyznawca jednej z istniejących religii. Jest to *ein Ringer*, doskonały typ człowieka, który w szukaniu prawdy skupił wszystkie siły jestestwa, a czując całą niedostateczność ziemskich systemów, zakreślających kołem ziemi i bytu doczesnego aspiracye ludzkie, zapuszcza się w głębie ducha tam, gdzie spoczywają metafizyczne tęsknoty, skąd wytrysnęły wszystkie wielkie religie i filozofie, i sumiennie je badając, z nich stara się wykrzesać ogień do rozświetlenia duchowego chaosu czasów naszych. Siłę zaś i urok Euckena stanowi nadzwyczaj

silne odczucie tej prawdy, że cała potęga życia wewnętrznego zależy od potęgi afirmacyi przeciwieństwa między światem ziemskim a tym porządkiem wyższym, do którego wzdycha dusza. Eucken podkreśla to wszędzie. Stąd wychodząc, wykazuje on całą marność systemów etycznych, wykluczających myśl o zaświatowości i opartych na utylitaryzmie. „Chcieć przekształcić moralność — woła on — w narzędzie do utrwalenia dobrobytu powszechnego, to znaczy niszczyć ją doszczętnie". Wszelki wyższy objaw życia ducha wypływał, zdaniem jego, zawsze z walki przeciw tego rodzaju prądom w zakresie etyki: „I Platon, i św. Augustyn, i Spinoza, i Kant, pomimo wszystkich różnic w poglądach swoich, jednoczą się w jednem a najważniejszem, w tem, że moralność jest zdobywaniem nowych światów w krainie ducha i nowego człowieczeństwa, wznoszeniem się ponad dziedzinę zmysłową, rozwojem nowego porządku, który sam przez się istnieje i sam dla siebie jest celem".

Ale taka moralność nie da się pojąć bez religii, jako jej podstawy niezbędnej. Religia nie jest „dodatkiem do życia, lecz czemś, co z siłą konieczności powstaje z życia samego i podnosi je na wyższy szczebel". Pozbawieni jej pomocy, wpadamy w otchłanie wątpienia i w anarchię subjektywizmu, stawiającego własne widzi mi się każdej jednostki na miejscu prawdy metafizycznej i opartego na niej prawa. Tylko niejasna i słaba myśl może szukać złotego środka między religią a jej przeczeniem. „Religia — pięknie wyraża się Eucken — to dyalektyka nie pojęć, lecz życia, to skojarzenie głębi uczucia z siłą męską, to uszlachetnienie jednego przez drugie, to wolny lot ponad przeciwieństwa między zmysłowością a żądzami ducha, to powstawanie najwewnętrzniejszego *(innerlichster Art)* heroizmu, który światy stawia przeciw światom i nawet na zgliszczach umie nowe życie tworzyć".

W wieku, który się zrodził z porewolucyjnych i ponapoleońskich rozczarowań, poczucie sprzeczności tego, co jest, z tem, co być powinno, rzeczywistości z ideałem, wybuchnęło z siłą większą, niż kiedykolwiekbądź przedtem. Stawszy się źródłem nieskończonych wątpień w religii, a bezskutecznych szturmów

do prawdy w filozofii, uczucie to, wyrywając się z ciasnoty stosunków, które fatalny bieg życia tworzy, stworzyło wkońcu tęsknotę do jakiegoś ponad kolej wypadków wzniesionego olbrzyma, do n a d c z ł o w i e k a! Ale gdy epigonowie Kanta, Fichtego i Hegla zlewali pojęcie nadczłowieczeństwa z pojęciem siły, wszelkiej siły, więc siły przeistoczonej choćby w popęd zmysłowy i orgię egoizmu, Eucken pojął, że tylko na gruncie religii, uznającej wyższy ponadświatowy porządek i nierozerwalny z porządkiem tym związek człowieka oraz zdolność jego do urzeczywistniania ideału, wyrobić się może ów nadczłowiek, który „światy stawia przeciw światom“ — światy wiary w nieśmiertelne istnienie i nieśmiertelną moc ducha przeciw światom wywijającym się z kultu materyi.

Ale tu nasuwają się Euckenowi trudności. Więc aby rzecz wszechstronnie oświetlić, staje się autor w II-ej części swego dzieła *advocatus diaboli*, jak się sam wyraża, i sumiennie przedstawia wszystko, co przeciw religii świadczy, wymowny dając wyraz wątpieniom, które duszę jego wraz z duszą wieku szarpały i szarpią. A świadczą, zdaniem jego, przeciw religii tak natura, jak cywilizacya: więc z jednej strony obrzydliwa zależność życia duchowego, które z religii przecie czerpie soki żywotne, od ciała, — z drugiej walka o byt wraz z prawem mocniejszego, stanowiąca treść dziejów i źródło cywilizacyi. Mniejsza o pierwsze, w jednostkach wyższych duch staje się panem ciała, tymczasem pomimo tego — i to jest najboleśniejsze — jednostki owe nie są zdolne do skierowania pędu dziejów w górę, ku dobru.

I w wyrazach tchnących boleścią wykazuje autor niezmierną marność, żeby nie powiedzieć nicość, cywilizacyi. Upatrujemy w niej wykwit ducha, gdy w istocie swej jest ona tylko wiecznem kręceniem się w kółku: Każda epoka, uosabiając tylko jedną stronę ducha, rości pretensyę do posiadania ostatniego słowa prawdy, dla celów swoich bierze rozbrat z moralnością — i postęp, jeśli ma być mowa o nim, objawia się niemal wyłącznie w dziedzinie wiedzy i jej zastosowań technicznych. Religia, według Euckena, nie umiała podnieść cywilizacyi na poziom

wyższy, wprawdzie uwidocznia ora z ogromną jaskrawością nieskończoną przepaść między złem a dobrem, lecz skutek wypływa stąd tylko ten — brzmią nutą rozpaczy nacechowane słowa autora — że wszystkie potęgi ciemne jednoczą się do walki przeciw światłu religii. Zło życia w postaci przewrotności natury ludzkiej przedstawia się autorowi, jako potęga demoniczna, niezwyciężona. Złość granic nie ma i nie zna. „Tak rzeczy wielkie, jak małe — pisze on — przenika zło, które, powstaje nie tylko z popędu samozachowawczego, przeistoczonego w samolubstwo, idzie ono bowiem dalej niż zazdrość, radująca się z cudzej szkody, dalej niż zawiść i nienawiść, i występuje jako wstręt do wszystkiego, co wielkie i boskie, jako żądza spaczania i niszczenia samej idei dobra. I przez to staje się czemś pozytywnem, pierwiastkiem szatańskim".

Wobec tego uznanie Opatrzności, kierującej światem, to dziś jest rzeczą dla wielu niezmiernie trudną. Lecz cóż stąd? Czyżbyśmy mieli skończyć — pyta Eucken — na negacyi absolutnej?

Nie. Przypomnę tu chwilę, w której twórczość ducha polskiego wzniesioną została przez Mickiewicza na najwyższe wyżyny uczucia, rozpłomienionego żądzą Boga i szczęśliwości powszechnej. W ekstazie bólu swojego odczuł wówczas wieszcz z nieznaną innym siłą i głębokością całą potęgę złego i zmierzywszy niezmierzoną jego otchłań, gotów był zawołać w przystępie szału, że Bóg jest carem czyli złem najwyższem. Ale ten jęk boleści, posuniętej do ostatnich jej kresów, był zarazem jej przesileniem. I właśnie przez jej potęgę, świadczącą o potędze żądzy Boga i porządku Bożego na świecie, niby w piorunującem jasnowidzeniu, przekonywał się wieszcz, że nie może nie istnieć ów porządek odpowiadający temu, co jest najszlachetniejszą, najwyższą esencyą ducha i że przez Boga daną nam została żądza Boga i wszystkiego, co stąd wypływa. I wieszcz korzył się przed Bogiem. — Otóż podobną drogę odbywa dziś Eucken. Siła bólu, surowość przeciwieństw między pragnieniami ducha a rzeczywistością stają się dlań „najmocniejszem świadectwem jakiejś niezbadanej głębokości bytu i działających

w nim sił wyższych". „Nie (t. j. odpowiedź przecząca), na żądze ducha naszego — mówi on — wywołujące takie w nas wstrząśnienie byłoby niezrozumiałe, gdyby nie istniało ukryte jakieś, a bardzo dalekie Tak".

A zatem w religii jest prawda, którą powinniśmy poznać. Lecz religia, jako nieokreślona afirmacya nieznanego Boga, „jakiegoś ukrytego i dalekiego Tak" ukoić nas nie zdoła — i w tem przeświadczeniu poświęca myśliciel III część swego dzieła szukaniu tego, co jest prawdą w religiach, gromadzeniu materyałów do religii ostatecznej, którą przyjmie cała ludzkość, a którą on nazywa religią charakterystyczną *(eine charakteristische Religion)*.

Część ta jest najsłabsza. Rozumie to Eucken, że z bolesnej niepewności wybawić nas może tylko bezpośrednie wtrącenie się Boga w sprawy świata, czyli Objawienie. Lecz wszystkie niemal wielkie religie podają się, jako objawione. Więc któraż z nich jest prawdziwa? Wszystkie — odpowiada autor— dopełniają się wzajemnie: „są one naczyniami prawdy, czy też drogami do prawdy, ale nie prawdą samą". Stosownie do warunków czasu i miejsca przedstawiają one to, co niezmierne i wieczne w zmieszaniu z objawami zmiennemi i domagającemi się zmian, pracują zaś wspólnie nad wielkiem dziełem wznoszenia ludzkości na coraz wyższe szczeble. Nie oznacza to jednak, aby były równorzędne. Chrześcijaństwo wznosi Eucken niezmiernie wysoko ponad inne religie. Nie zadowalniają go tylko formy, w które nauka Chrystusa wylaną została, — ani katolicyzm, ani protestantyzm. W przyszłej zaś, owej „charakterystycznej" religii chciałby on widzieć zrównoważenie jednego z drugiem, pierwiastków światoburczych z temi, co odnawiają świat. Myśl zaś autora należy rozumieć tak, że „światoburczą" siłę katolicyzmu stanowi ascetyzm, mający moc niszczenia tego, co teologia nazywa „światem", czyli przywiązania do materyi, gdy protestantyzm wskutek elastyczności swej ma prowadzić świat na tory postępu.

To mgliste marzenie o przyszłem harmonijnem zlaniu się religij w religii charakterystycznej oczywiście religii nie sta-

nowi, ani jej zastąpić nie zdoła. I dzieło Euckena nie jest też w stanie ukoić tej żądzy Absolutu, którą tak starannie rozbudza. Natomiast zasługuje na uznanie siła, z jaką myśliciel zaznaczył konieczność wiary w Boga, oraz marność wszystkich, nawet najszlachetniejszych kierunków, skoro nie będąc oparte na religii, znajdują w najlepszym razie ujście w tym ponętnym z pozoru, a jednak bezpodstawnym humanizmie, któremu Schiller i Göthe umieli niegdyś nadać tak uroczy wyraz. Moc i miłość *(Macht und Liebe)* są to — dowodzi Eucken — zasadnicze pierwiastki idei Boga i „tylko w zjednoczeniu ich, w przeistaczaniu mocy w miłość i we wznoszeniu miłości aż do mocy i potęgi może człowiek znaleźć zbawienie swej duszy i pewność zdobycia nieśmiertelnego żywota"... „Nonsensem więc jest wszelki humanizm bez religii, a tem bardziej w przeciwieństwie do niej; bez niejakiego uidealizowania rzeczywistości tak nieskończenie odległej od ideału, nie może on dojść do skutku, a tem samem nadaje on naszej mocy miłowania jakąś miękkość i rozpłynność od której ją uchronić może tylko niezmierna powaga miłości ugruntowanej w Bogu; humanizm przepełnia człowieka jakiemś zadowoleniem z siebie, tamującem wszelki postęp; krótko mówiąc, wielką ideę doprowadza on do karykatury i staje w szeregu owych zjawisk tragicznych, gdy człowiek osiąga przeciwieństwo tego, co sobie za cel postawił".

Niestety, myśliciela, płynącego z wysiłkiem ogromnym, niemal rozpaczliwym ku brzegom nadziei i wiary, co chwila porywa fala wątpień, z których wydostać się usiłuje i zawraca wstecz. I choć uznał on, że religia wznosząc człowieka ku Bogu, obdarza go siłą nienawiści złego, jednak nie umie sobie dać rady z posępnem przeświadczeniem, iż pomimo wszystkiego religia nie daje nam mocy zniszczenia nawet zmniejszenia złego. Potęgę mroku ten syn wieku, w którym przeciwieństwa wiary i niewiary starły się w duszach ludzkich z taką gwałtownością, odczuwa z jakąś pełną grozy boleścią. „Świat ciemności i bezrozumu — mówi on — ogarnia człowieka całą natarczywą potęgą wrażeń zmysłowych i trzyma go w swych kleszczach wówczas, gdy nowy świat (t. j. świat Boga i dobra) jest niewidzialny;

trzeba więc nieustannej walki, nadludzkiego bohaterstwa, aby niemożliwe módz czynić możliwem, nieuchwytne — jasnem, niezmiernie dalekie — blizkiem i obecnem". Ta nuta pesymizmu nigdy i nigdzie nie opuszcza autora, a strach przed niezmierną potęgą złego, którego ona jest wyrazem, stanowi wybitne znamię nie tylko Euckena, ale i chwili obecnej, w której weszliśmy w podwoje nowego stulecia. Zniechęcenie do wszystkich kierunków, grzęznących w ciasnej dziedzinie doświadczenia i ignorujących światy ducha, żywe czucie nie tylko małości ich, lecz i szkodliwości, potrzeba religii nie jako nieuchwytnego popędu serca, ale jako całokształtu pojęć i przykazań opartych na powadze wzniesionej nad wszelką wątpliwość, — a przytem wszystkiem niezdolność oddania się którejkolwiek z istniejących religii, smutna świadomość wynikającej stąd niemocy w walce ze złem i smutkiem nacechowana bezsilna dążność do wyrwania się z otchłani wątpień — oto są pierwiastki duchowego nastroju dnia dzisiejszego, jeśli nie w najliczniejszych, to w najznamienniejszych jego objawach, to są wyniki wędrówek ducha ludzkiego, w wieku, który dopiero co minął, to wreszcie stanowi istotę tej walki wewnętrznej — między religią a kierunkiem własnego myślenia, którą czuje w sobie człowiek współczesny.

Nie świadczy to wcale o sile i harcie moralnym chwili obecnej, ale ważne i pocieszające jest to, że taki Eucken — a w słowach jego czujemy wyraz myśli umysłów głębszych — rozumie, iż istnieje zagadnienie ważniejsze od wszystkich zagadnień politycznych i społecznych, blednących wobec niego: „czy życie człowieka — brzmi ono — jest tylko dodatkiem do natury, czy też początkiem nowego świata..." [1] „Od pytania tego zależy ukształtowanie się stosunków naszych, kierunek naszych działań". I nie umiałbym wskazać obecnie myśliciela, któryby tak głęboko odczuł całą nieznośność niepewności i całą nieodpartą konieczność religii, która jedna wyzwolić z niej może i stwo-

[1] „Ist das menschliche Leben eine blosse Zuthat zur Natur, oder ist es der Beginn einer neuen Welt".

rzyć wyższe życie — i w tem właśnie tkwi znamienność dla chwili dzisiejszej dzieła jego. Powstało ono, jak powiedziano, ze spotkania się sprzecznych prądów ducha wieku XIX, z przeciwieństwa religii i filozofii, które bólem dotkliwym przeszyło duszę pisarza.

Prądy wieku XIX, wypłynąwszy z rewolucyjnych idei Rousseau i Kanta, doprowadziły do takiej negacyi Boga i takiego ubóstwienia człowieka, jakiego świat europejski nie widział od czasów publicznych apoteoz imperatorów rzymskich. Nie można obrońcom religii zarzucać, iż zaniedbali posłannictwo swoje, owszem, głos ich rozbrzmiewał donośnie i ustawicznie, lecz niestety ze skutkiem słabym. Jedni powoływali się na prawa logicznego myślenia, na rozum, który każe uznać przyczynowość i Boga, jako przyczynę pierwszą — ale człowiek współczesny wierzył tylko zmysłom, dowody rozumowe nie trafiały mu do duszy, *nous ne savons plus conclure*, powiedział wybitny apologeta ks. arcybiskup Mignot; drudzy bronili religii w imię uczucia i wyobraźni, ale mogło to uśpić wątpienie na chwilę tylko. Przez wszystkie bóle tych wątpień przeszedł Eucken i one go nauczyły, że jeśli religia nie jest złudzeniem, to powinna dać możliwość uchwycenia jakiejś ponadludzkiej rzeczywistości, być dotykalnem zdobyciem nadświata. Do tegoż wniosku dochodził niedługo przed nim Włodz. Sołowiew — i nie wahał się wygłosić, iż mamy prawo żądać od Boga dokumentu o jego bóstwie. Za dokument zaś taki uznawał on fakt zmartwychwstania Chrystusa, jako dowód zwycięstwa Boga nad najwyższem złem czyli nad śmiercią — fakt historycznie zaświadczony a logicznie uzasadniony, bo stanowiący konsekwencyę nieograniczonej mocy Boga i dobra. Ale Eucken jest synem wieku w całem znaczeniu wyrazu i zanadto się przejął atmosferą sceptycyzmu, ażeby był w stanie przyjąć bez zastrzeżeń to, co jest logicznem następstwem jego myśli i jego pragnień, t. j. religią objawioną.

I w tem tkwi tragizm jego nastroju umysłowego, w którym tak wiernie się odbił duch wieku.

Na co wobec ogromnych otchłani złego powołać się może religia objawiona? Pytanie to właśnie stawia apologeta ks. Schell, znawca nie tylko teologii i filozofii, lecz duszy współczesnej, autor niedawno wydanej Apologii chrześcijaństwa, wszechstronnie liczącej się z tym skąpanym w krytycyzmie nastrojem duchowym, którego wyrazem jest dzieło Euckena. Na proroctwa i cuda — odpowiada on — na głąb nadludzkiej mądrości, zawartej w księgach świętych, i na wielkość ideału moralnego.

Najlepsze jednak dostosowanie się apologetyki do obecnej chwili upatrujemy w ostatnim czynniku. To samo zresztą twierdzi głośny apologeta, Dominikanin Weiss, który też całe swoje dzieło apologetyczne oparł na tej idei, „na idei człowieka i ludzkości", oczywiście pod względem moralnym. W wieku, który ubóstwiał człowieka i kult osoby ludzkiej doprowadził aż do karykatury, drogę do serc i umysłów znajdzie przedewszystkiem ów nieskończenie wielki, chrześcijański teocentryczny ideał moralny, usiłujący wznieść indywidualność na niedoścignioną wyżynę i nie dający się objąć w ogromie swoim. Celem bowiem człowieka i treścią duszy, według Objawienia chrześcijańskiego, nie jest świat, lecz ponadświatowy i osobowy Bóg. Człowiek, według wyrażenia ks. Schella, staje się nosicielem Boga; podniesiony, dzięki ponad światowości Boga do najwyższego dostojeństwa, bo przeciwstawiony światu, wyzwolony od świata, sam sobie wobec świata celem będący, słowem pan świata po to, by na wyżynie jedności z wolą Boga dobrowolnie w sługę świata w duchu Bożym się przeistoczyć: *cum liber essem ex omnibus, omnium me servum feci.* Niesłusznie a płytko twierdzi monizm, iż moralność teocentryczna jest tylko surrogatem moralności, gdyż czyni człowieka niewolnikiem prawa, które mu obca Istota dyktuje. Nie. Bóg, który stworzył człowieka na obraz i podobieństwo swoje, nie jest obcy człowiekowi, istotna jedność łączy tu Stwórcę ze stworzeniem i cel, do którego Bóg przeznacza człowieka, jest jego własnym celem, chociażby on sobie sprawy z tego nie zdawał.

Z tym teocentrycznym ideałem człowieka, jako nosiciela Boga, pojętym w całej swej rozciągłości niech obrońcy religii

idą w świat, niech o nim nauczają, niech nim się sami aż do najtajniejszych głębi ducha przejmują. Dzieje kierunków ducha w wieku XIX streszczają się w walce teocentrycznego ideału z antropocentrycznym. Przez zwycięstwo teocentryzmu, przez wykazanie, że jest on wyższym szczeblem w rozwoju ducha, że jest uchylaniem rąbka zasłony z zaświata wiedzie droga ku religii objawionej.

M. Zdziechowski.

DO MŁODEJ POLSKI

W MALARSTWIE I RZEŹBIE.

Nie wiem, czy była w dziejach sztuki epoka, w którejby działający artyści plastycy byli tak wysoko przeświadczeni o swojej oryginalności, jak dzisiejsi, i w którejby byli oni równie głęboko przekonani, jak ci ostatni, że od nich dopiero zaczyna się prawdziwa sztuka.

Nowi ci koryfeusze malarstwa i rzeźby mieli u nas w Polsce ten przywilej, że im w tem dobrem o sobie mniemaniu, jak i w całej płynącej z jego natchnienia robocie nikt dotychczas nie przeszkadzał, nikt na ich słabe strony publicznej nie zwracał uwagi. Działalność swoją rozpoczęli oni pod szumnem hasłem postępowego ruchu, dążącego do szukania nowych dróg, a chociaż niejeden trzeźwo patrzący umysł dostrzegał z łatwością, że drogi te prowadzą na bagna, w których mogą potonąć najdrogocenniejsze przymioty zdobiące wielką sztukę polską, tak się złożyło jakoś, że nikt w tej mierze nie zabierał głosu.

Oparci z jednej strony o pomieniony wyżej przywilej nietykalności, z drugiej przygotowali sobie przedstawiciele nowych prądów w sztuce zarekrutowany z najmłodszych sił, potężny zastęp rzeczników, głoszących światu ich wielkość i sławę, mających dla ich dzieł same tylko słowa zachwytu i uwielbienia. Rzecznicy ci, występujący w charakterze recenzentów, sprawozdawców, krytyków i estetyków, pomimo, że pracują po re-

dakcyach najskrajniej sobie przeciwnych obozów i stronnictw, idą zwartym szeregiem w wytkniętym kierunku, trzymają się za ręce jak Żydzi, a w ostatnich latach podjęte przez siebie usiłowania wyniesienia się jak najwyżej ujęli w pewien świadomy swego zadania system.

Solidarność ta, ożywiająca młodsze pokolenie mogłaby być niezmiernie pocieszającem zjawiskiem w społeczeństwie tak mało do pełnienia tej cnoty pochopnem jak polskie, gdyby z poza niej nie wynurzył się pewien widoczny już dzisiaj ruch, mający rażąco blizkie pokrewieństwo z politycznym, sąsiadującym o miedzę z nami nihilizmem.

Młodzi ci, zapaleni i namiętni, parci gorączką ambicyi i żądzą rozgłosu zwolennicy nowego porządku rzeczy, którzy z początku nieśmiało wychylali głowy, z biegiem czasu występują coraz buńczuczniej i bezwzględniej, walczą z jednej strony bombastyczną reklamą, z drugiej szyderstwem, drwinami i obelgą, i chcieliby wszystko obalić i wszystko zburzyć, co tylko blaskiem swoim lub chwałą przyćmiewa ich czyny i osoby.

Uznawszy za najwyższy dogmat indywidualność artysty, i stawiając nam ciągle za wzór odrębności narodowe różnych krajów w sztuce, równocześnie sami porwani falą kosmopolityzmu, napadają lub szydzą z tego wszystkiego, co naród polski z głębi swego ducha wydobył, wywalczył, wysnuł, wyśpiewał, za co tyle krwi przelał i tyle łez wypłakał, — z tego wszystkiego, co stanowi właśnie istotę naszej odrębności narodowej, a bez czego nasza przyszłość stałaby się wielkiem drzewem, któremu podcięto wszystkie korzenie.

A wszystko to robią ciągle i stale w imię postępu, z którego rąk mamy brać wszystko, bez względu na to, co i jakie on nam podaje.

Postęp według mnie przedstawia wielkie podobieństwo do pędzącego na skrzydłach pary po przygotowanej drodze pociągu, który wiezie w najdalsze zakątki świata cenne skarby wiedzy, sztuki i umiejętności, wszystkie dobrodziejstwa i zdobycze cywilizacyi, ale który obok tego wiezie także marne strzępy i świecidła fabrycznej tandety, i który równocześnie zaczadza

dymem, smoli sadzą i wyrzuca często rój iskier, mogących stać się zarzewiem niebezpiecznego pożaru.

Jest to rzeczą wielkiej wagi, co dane społeczeństwo z tego pociągu sobie wybierze, i o ile ustrzeże swoje domowe pielesze od zaczadzenia lub ognia, a nawet od zderzeń i wykolejenia.

Jeżeli kto, to nasi artyści malarze najlepiej to odczuć mogą i powinni, jakie ten postęp w estetycznej sferze naszego życia poczynił wyłomy i jak dalece najpiękniejsze cechy naszej odrębności narodowej pozacierał. Pomijam szlachtę i stan średni, odarte na zawsze z wszelkiej szaty narodowej, ale zwracam uwagę na lud, stanowiący najbardziej konserwatywny żywioł w naszym kraju. A wszak to wśród tego ludu postęp wyrugował w Wielkopolsce owe tak malownicze i charakterystyczne jego ubiory, strojąc typowe postacie naszych wieśniaków w ohydne czarne surduty niemieckie — wszakże to ten sam postęp ubrał naszych dziarskich Krakowiaków w owe marne fioletowe kabaty i strzeleckie kapelusiki — i wszak to ten sam postęp wypiera powoli tak bogate i wzorzyste wyszycia ruskiego ludu, dając mu w zamian nędzne drukowane perkale.

Słusznie przeto zatrwożyć się można, aby nam ten postęp i w sztuce zamiast purpury i złotogłowia, zamiast naszych przedziwnie pięknych, bogatych i misternych tkań słuckich nie przyniósł niemieckich druków na perkalu.

Dla nas jest to sprawą pierwszorzędnego znaczenia, jaką my sztukę mieć będziemy.

Jesteśmy narodem, który od stu lat przeszło dźwiga ciężkie jarzmo niewoli. Jeżeli jeszcze żyjemy, jeżeli nie zapomnieliśmy mowy naszych ojców i czujemy się być Polakami, to zawdzięczamy, w pierwszym rzędzie, tej łasce niebios, że Opatrzność po ciężkich i strasznych dniach pogromu dała nam wielkich duchem i sercem wodzów i bohaterów, dała nam natchnionych wieszczów, dała wreszcie genialnych artystów. Ich to czyny pełne poświęcenia, ich pieśni natchnione, ich dzieła wiekopomne są dla nas niewyczerpaną krynicą, u której rzeźwi się i umacnia duch

narodu, są niewygasającym Zniczem, przy którym ogrzewają się i krzepią całe pokolenia.

Mogą narody szczęśliwe, mające byt polityczny, robić sobie ze sztuki bawidełka lub estetyczne błazeństwa, spełniające rolę luksusowych tapetów, wypełniających ściany komnat. Ale nasza sztuka musi mówić do narodu barwą i kształtem, musi ubrać naszą przeszłość i nasze życie doby obecnej w czarodziejską szatę piękna, któraby przykuła serce narodu do jego dziejów, któraby mu opromieniła to jego życie pełne trudów i znoju, i któraby go nauczyła odczuwać piękności ojczystej ziemi, dla której warto żyć, pracować i umierać. I myśmy takich mistrzów mieli, dla których sztuka była czemś o całe niebo więcej, jak dekoracya, mistrzów, którzy potęgą swego talentu, zdobytych środków malarskich, zostawili nam w spuściźnie wielkoduszne postacie naszych ojców i braci, na które patrząc, czujemy, że to krew krwi naszej i kość kości naszej, mistrzów, którzy, chociaż chwilowo kształcili się u obcych, byli nawskróś narodowymi malarzami, bo duszą i ciałem zrośli się z tą ziemią ojczystą, na której ujrzeli światło dziennne, i z tym narodem, wśród którego się wychowali.

A ich wielką indywidualność artystyczną uznała i uwieńczyła cała Europa, przykładając do nich najwyższą miarę, i najdalej idące wymagania.

To nędzne, płynące z małostkowych pobudek kłamstwo, że idea i tendencya wpływają szkodliwie na artystyczną stronę obrazu, bo biorąc nawet w rachubę ową Kanta estetyczną „bezinteresowność", musimy ją wziąć w znaczeniu ściśle i wyłącznie materyalnem, w którem ona jako taka nie może zaprzeczyć praw obywatelstwa w sztuce, ani idei, ani tendencyi, jeżeli te ostatnie nastręczają twórczości malarza sposobność odsłonięcia nowych stron duszy ludzkiej, stworzenia nowych typów i charakterów w malarstwie.

Jeżeli zwykły garncarz, stroiąc powierzchnię glinianego dzbanka w kolorowy ornament, wkracza w sferę sztuki, to nie może wykraczać z niej artysta malarz, stroiący w artystyczne jej formy swoje myśli, uczucia i idee, jak również toż samo

prawo, które dozwala artyście na tendencyę namalowania kapuścianej głowy, nie może mu zabronić tendencyi namalowania umiłowanego przezeń wypadku dziejowego, lub jakiegoś rysu z życia pewnej sfery jego społeczeństwa.

Kto nie ma daru wymowy w malarstwie, niech czyta z księgi przyrody, lub niech śpiewa Kantyczki, to znaczy, niech się obraca w granicach tego, na co mu starczy jego talent, a dobrze zasłuży się sztuce, tylko niech nie lekceważy i nie pomiata tymi, którzy więcej zrobili od niego, bo to dopiero odkryje jego słabą stronę.

* * *

W jakim stosunku stoi nasze społeczeństwo do tej młodej Polski?

Sztuka każdego narodu jest niepodzielną własnością całego społeczeństwa, bez względu na to, o ile ono wtajemniczonem jest w jej arkana, o ile estetycznie wykształconem.

Sztuka uprawiana dla szczupłego koła znawców byłaby podobną do solennego nabożeństwa, celebrowanego w asyście kleru i dostojników Kościoła, ale przy zamkniętych drzwiach, nie dozwalających na udział pobożnym rzeszom wyznawców, wobec świecących pustką, wyniosłych i obszernych naw Kościoła.

Taka odosobniona i zamknięta w sobie sztuka stałaby się czynnikiem zupełnie oderwanym od życia narodu, od jego najwznioślejszych uczuć, pragnień i dążeń, stałaby się czynnikiem stojącym na usługach pewnego grona ludzi, wyodrębnionego w społeczeństwie na podobieństwo indyjskiej kasty braminów, stałaby się przeto czynnikiem, będącym w zupełnej sprzeczności z duchem postępu i cywilizacyi.

Niestety, z wielkim żalem zaznaczyć i stwierdzić mi przychodzi, że nasza sztuka weszła właśnie w tę ostatnią fazę, że pomiędzy tą sztuką i artystami a publicznością, społeczeństwem nastąpił rozłam rosnący z dniem każdym, i mogący pomiędzy tą sztuką a społeczeństwem wykopać z czasem nie dającą się niczem zapełnić przepaść.

Rozłam ten staje się coraz widoczniejszym, a w ostatnich czasach zaszedł niejeden wypadek, rzucający krzykliwe światło na ten stosunek publiczności do sztuki, stanowiący jaskrawy objaw pomienionego rozłamu. Między innymi, żeby poruszyć drobny wypadek ostatnich dni, w Warszawie pewna pani, należąca do sfer inteligentnych, opluła na wystawie „Zachęty Sztuk Pięknych“ jakiś obraz publicznie.

Czyn tej pani wywołał w kołach artystycznych niesłychane oburzenie, któremu wymowny wyraz dał p. Rabski w odcinku *Kuryera Warszawskiego* w postaci dyalogu, nawiązanego pomiędzy nim a malarzem Andrychiewiczem.

P. Andrychiewicz nie posiada się z oburzenia, rzuca klątwę na ową panią, nie szczędzi jej epitetów, nazywając to kumoszką, to przekupką, radby ją jeżeli nie ukamienować, to przynajmniej postawić pod pręgierz na rynku, a ponieważ tak się złożyło, że za ową panią stanęła cała publiczność, więc dostało się i tej ostatniej, p. Andrychiewicz bowiem nazwał ją wprost „bydełkiem“. Tytuł wprawdzie nie nowy, bo już parę lat temu publiczność polska usłyszała podobny komplement w Krakowie, ale tem znamienniejszy, że zdaje się on upowszechniać w stosunku malarzy do społeczeństwa.

Oburzenie to p. Andrychiewicza i jego kolegów zadziwić może nieco, gdy zważymy, jak młode pokolenie artystów samo jest pochopne dzisiaj do poniewierania tego wszystkiego, co przed niem zrobiono, i co nie da się nagiąć do poziomu problematycznych jego pojęć i wyobrażeń. Opluwa się dzisiaj wszystko bezwzględnie i bez skrupułu, opluwa się naszą przeszłość, nasze dzieje, nasze ideały narodowe, nasze męczeństwo i bohaterstwo, nasze pragnienia i nadzieje, naszą wreszcie sztukę (ataki na Matejkę, Grottgera), i literaturę (ataki na Sienkiewicza), zrodzoną w dobie przedsecesyjnej. Owa pani przeto poszła tylko za przykładem bogów, niema zatem o co tak się na nią oburzać. Mówiąc słowami nowego kursu i stylu, był to z jej strony „szczery objaw indywidualnego jej zapatrywania się na sztukę“.

A szczerość i indywidualność to przecie dwie największe i kardynalne cnoty, wobec których, według najnowszych pojęć,

musi ustąpić wszystko, bez względu na to, że będą one w niezgodzie nie tylko z moralnością, nie tylko z estetyką, ale i ze zdrowym rozumem.

Ja pojmuję zupełnie uniesienie tej pani, i nie waham się wziąć w obronę tak ją, jak i potakującą jej publiczność, karmioną obcymi jej duchem i formą utworami dzisiejszej sztuki.

Że publiczność polska tej sztuki nie rozumie, to nie stanowi wcale dowodu jej estetycznej naiwności, gdyż ja jestem artystą malarzem, widziałem i przeżyłem wiele kierunków, a dzisiejszej secesyi, ani jej dążeń w malarstwie i rzeźbie zgoła nie rozumiem. W ciągu trzech dziesiątek lat mojego zawodu malarskiego patrzyłem jeszcze na gasnące blaski zachodzącego klasycyzmu, widziałem i pamiętam okres skrajnego realizmu, w którym się malowało wyłącznie tylko to, co się miało przed oczyma, z wykluczeniem wszelkich kreacyi wysnutych z wyobraźni, pamiętam okres malowania natury odbitej w czarnem lusterku, lub widzianej przez przyćmione okulary; pamiętam epokę *plein-air'u*, w której się malowało człowieka wraz z jego otoczeniem wyłącznie pod odkrytem niebem, w pełnem świetle słonecznem; pamiętam wreszcie dziwactwa impresyonizmu, z którego utalentowani artyści umieli wyciągnąć estetyczną korzyść — wszystkie te kierunki przeżyłem i zrozumiałem odrazu ich dążenia, ale nowoczesnego malarstwa i rzeźby ani odczuć, ani zrozumieć, tak w formie jak i w treści, nie jestem w możności.

Nie rozumiem i nie odczuwam nowoczesnego malarstwa i rzeźby w zakresie f o r m y, bo nie pojmuję wartości estetycznej, tkwiącej w owem tej formy zaniedbaniu i pobieżności, które mają być wyrazem rozmachu, a są w istocie wyrazem niedołęstwa — nie rozumiem i nie odczuwam owego upatrywania siły w ciągłem i stałem karykaturowaniu człowieka i natury, ani owego rozmiłowania w kształtach potwornych, dziwacznych lub wprost chorowitych, działających przygnębiająco na widza, i odsłaniających życie ludzkie z najwstrętniejszej jego strony,— nie rozumiem wreszcie i nie odczuwam wartości kolorytu, który nie daje ani wrażenia prawdy życiowej, ani barwnych czarów wdzięków ornamentu.

Nie rozumiem i nie odczuwam utworów nowoczesnego malarstwa i rzeźby zarówno i w treści, obracającej się w zaklętem kole samych wizyi, halucynacyi i zagadek, wyrażanych zapomocą symbolów, tych najstarszych i zarzuconych środków malarskich, symbolów, które były zawsze w dziejach sztuki albo wyrazem jej niemowlęctwa, albo wyrazem jej skrępowania. W symbolach wyrażała się sztuka starożytnego Egiptu, ponieważ działający w niej artyści nie umieli w inny sposób wyrazić atrybutów rzeźbionego przez nich bóstwa. I tak bogini Izyda, która była karmicielką ludzkiego rodu, figurowała z przyprawnemi rogami krowy, lub wprost w postaci kobiecej z nałożoną na ramiona całkowitą głową krowią, co miało oznaczać, że jak owa krowa była żywicielką w rodzinie człowieka, tak Izyda była żywicielką całego rodu ludzkiego. W symbolach wypowiadała się sztuka pierwszych chrześcijan, ale też symbole te są wyrazem owego prześladowania i ucisku społecznego i politycznego, w jakich się wyrabiała pierwotna społeczność chrześcijańska. W symbole dogmatyczne ujęta była sztuka bizantyńska, ale też wiemy, że te symbole były krępującymi ją więzami, w których ona zastygła i skostniała.

Zresztą, dla usunięcia nieporozumienia, winienem nadmienić, że nie przeciw symbolizmowi, jako takiemu występuję, bo i w nim mogą powstać arcydzieła, ale przeciw tej wyłączności symbolizmu, jaka dziś zapanowała, jako też przeciw jego chaotycznym formom.

Nie można zatem dziwić się, a tem bardziej oburzać na społeczeństwo polskie za to, że ono nie rozpływa się nad tymi symbolami, przeczuwając błahość ich, jako środka wypowiadania się w sztuce, że nie wybucha płomieniem wobec tych ponurych wizyi i halucynacyi, mistycznych majaczeń i zagadek o wątpliwych barwach kolorytu, ubranych w monotonne linie japońskiego konturu, bo to społeczeństwo nie widzi w tej nowej sztuce odzwierciedlenia duchowego życia narodu, ale obcą mu duchem, mową, rasą i pochodzeniem naleciałość, która nagle drogą kapryśnej mody przyszła do nas z Zachodu.

* * *

Wyjaśniwszy p. Andrychiewiczowi i jego kolegom powody zajętego wobec nich i uprawianej przez nich sztuki stanowiska ze strony publiczności, powracam raz jeszcze do p. Rabskiego. Chcę dotknąć teraz sprawy, która jest głównym celem niniejszej pracy.

Pan Rabski uspokaja p. Andrychiewicza i powołując się na artykuł swego kolegi „Incognitusa“ napisany pod tytułem „Trzeba się uczyć“, radzi zaniechać oburzenia i obelg wobec publiczności a dla zapobieżenia złemu poleca, aby za pomocą zorganizowanych odpowiednio odczytów wykształcić tę publiczność estetycznie i nauczyć ją patrzeć na dzieła sztuki.

Rada na oko bardzo zdrowa i prosto prowadząca do celu, ale ja się zapytam z tego miejsca p. Rabskiego, na podstawie jakiej to estetyki pouczy on tę publiczność o wartości utworów dzisiejszego malarstwa i rzeźby, kiedy działający na tych polach artyści wyparli się tych wszystkich znamion, które stanowiły o istocie sztuki i kiedy ta sztuka pozbawioną jest przez nich jakiegokolwiek kryteryum.

Rozprawa malarska z „Młodą Polską“ niezmiernie jest trudną, bo podjętej z nimi w rzeczach sztuki dyskusyi niema na czem oprzeć, z powodu, że przedstawiciele najnowszych prądów wyłączyli z niej wszystkie czynniki malarskie, jako więzy krępujące ich samodzielność.

Jeżeli stojąc z nimi przed jakimś obrazem, wykażesz w tym ostatnim niezmiernie słaby rysunek, odpowiedzą ci na to, że tu zgoła o co innego a nie o rysunek chodzi, chociaż cię o tem czemś innem zupełnie nie objaśnią. Jeżeli zwrócisz uwagę na stronę kolorystyczną i zarzucisz brak wszelkiej prawdy w barwach przedmiotów, odpowiedzą ci na to, że artysta te przedmioty tak widzi w naturze, że to stanowi jego indywidualność, przed którą, choćby była najbanalniejszą, nie wypada ci nic więcej, jak zgiąć kolana i pochylić głową. Gdybyś ich, broń Boże, zaczepił o ideę, to spojrzą na ciebie z politowaniem, albo głośnym wybuchną śmiechem. O piękności kompozycyi w liniach nie wspominaj im nawet, bo nazwą to oni wyszłym zupełnie

z mody przesądem, a ciebie, który tę rzecz poruszasz, poczytają za największego zacofańca.

Nowocześni malarze i rzeźbiarze, jak i towarzyszący im krytycy wraz z całą dzisiejszą sztuką podobni są do żeglarzy, płynących na wielkim okręcie o rozwiniętych żaglach, ale pozbawionych steru i busoli, do żeglarzy, którzy, zdawszy się na łaskę wiatrów, nie zdają sobie sprawy dokąd płyną i czy te wiatry przyjazne im lub wrogie zaniosą ich na wyspę nieokreślonej szczęśliwości, czy też rzucą ich między rafy lub osadzą na mieliznie. Według mnie nasza sztuka popadła już w to ostatnie niebezpieczeństwo, z którego tylko szybki ratunek wyprowadzić ją może.

W dobie przedsecesyjnej dzieła sztuki oceniano i mierzono doskonałością formy, opartej na podstawie czynników malarskich, takich, jak rysunek, światłocień, perspektywa linijna i powietrzna, harmonia barw a wreszcie prawa i warunki rządzące kompozycyą — i na stosunku tej formy do treści, to jest na zgodności jednej z drugą.

Dziś nie zostało z tego nic i na podstawie tych praw, wyrobionych w sztuce pracą i doświadczeniem długich stuleci, niczego zgoła nauczyć publiczności nie można.

Weźmy naprzykład taką ewangelię estetyczną, jak „Sztuka i krytyka“ S. Witkiewicza, który starał się tej sztuce najwyższą zapewnić swobodę, i na którego do dziś dnia lubią się powoływać młodzi artyści, weźmy tę księgę w trzeciem wydaniu i otwórzmy ją na stronicy 294, a przeczytamy tam w rozdziale o kompozycyi następujące słowa:

„Jakkolwiek wszystkie uogólnienia o zadaniu i celu istnienia sztuki są zwykle za ciasne, nie obejmują całego obszaru twórczości artystycznej i tem samem nie wytrzymują ściślejszej krytyki; tyle jednak p e w n e g o można powiedzieć, że zadaniem jej n i e j e s t u t r u d n i a n i e pojęcia i zrozumienia danych zjawisk lub wypadków, z a g m a t w a n i a w z a g a d k o w y c h h i e r o g l i f a c h ludzkiego umysłu. Owszem, można nawet z wielką słusznością twierdzić, że j e d n y m z z a s a d n i c z y c h p i e r w i a s t k ó w e s t e t y c z n y c h przyjemności jest to, że

dzieła sztuki dają człowiekowi możność doznania jak najsilniejszych wrażeń, obudzenia jak najjaśniejszych pojęć przy najmniejszym wysiłku umysłu: pracy nerwowej". W nawiasie dodaje p. Witkiewicz, że „Kwestya ta była w wyborny sposób postawiona przez Prusa przy rozbiorze Farysa Mickiewicza".

Widzimy przeto, że cała ta zasada sformowana była przez takiego mocarza umysłowego, jak Prus a potwierdzona kanclerską pieczęcią Witkiewicza. Weźmy tę zasadę w ręce i stańmy z nią wobec utworów nowoczesnego malarstwa i rzeźby, a pytam się, czego my z jej pomocą nauczymy publiczność? Czy ta publiczność nie będzie miała prawa zawołać głośno: „A to myśmy bez waszych nauk naszym własnym instynktem i rozumem przeczuwali zupełną bezwartościowość całej dzisiejszej sztuki". Tą drogą więc nie wpoimy stanowczo w społeczeństwo ani respektu, ani zaufania dla natchnień najnowszego kierunku.

Nie lepiej rzecz się przedstawia i ze sprawą czynników i środków malarskich, na punkcie których pomiędzy naszymi malarzami i estetykami panują najsprzeczniejsze pojęcia.

Weźmy naprzykład sprawę rysunku konturem. Witkiewicz uważa go za środek niedołężny, prowadzący zwykle do wprawy kaligraficznej. W naszych czasach wtóruje mu w tym względzie p. Augustynowicz, który w sprawozdaniu swojem z wystawy sztuki we Lwowie, drukowanem w *Słowie Polskiem,* wyraża się o konturze, jako środku, również lekceważąco i widzi w nim nawet przyczynę słabych stron kolorytu w portretach Kazimierza Pochwalskiego. Równocześnie prawie trzeci estetyk polski, najpostępowszy w Europie, p. Feliks Jasieński, wykłada nam wymownie, urządziwszy w jesieni wystawę swoich zbiorów japońskich, że cała wielkość, cała potęga sztuki japońskiej polega właśnie na swej niedoścignionej biegłości we władaniu konturem, i to tym konturem pozbawionym wszelkiego rytmu, wszelkiego silniejszego naciśnienia, konturem monotonnym, prowadzonym cienką, jak włosek linią od góry do dołu; co nie przeszkadza znowu, że ten sam p. Jasieński, urządziwszy wystawę Goyi i Redona Odillona, zapewnia nas również stanowczo na

wiosnę, że te tylko utwory zasługują na miano prawdziwych dzieł sztuki, które są wykonane kreską i plamą. Na mocy tego nowego dogmatu taka nędza estetyczna, jak litograficzne pomysły Redona Odillona z całą ich nieudolnością rysunkową i koszlawizną kształtów miało prawo do tytułu dzieł prawdziwej sztuki, bo były robione kreską i plamą, gdy równocześnie dzieła genialnych artystów pozbawione tego środka miały wartość wątpliwą lub nie zasługiwały na uwagę.

Doszło więc do tego, że gdy drogą postępowych idei p. Stanisław Witkiewicz oparł wartość obrazu wyłącznie na doskonałości formy, to p. Feliks Jasieński sprowadził całą sztukę na stanowisko użytego w niej środka.

Rzecz godna podziwu, jak najskrajniejszy postęp może niekiedy zacieśnić sferę ludzkich pojęć w pewnym kierunku.

Tym panom nie przyśni się nigdy zapewne, że ponad wszystkiemi ich tego rodzaju teoryami króluje ten zapewniający najszersze prawa estetyczne i dający się stwierdzić nieskończoną liczbą dowodów pewnik, że każdy środek malarski może być dobrym pod warunkiem, że nie góruje rażąco nad formą, to znaczy, że nie wybija się zbytecznie dla oczu, że nie wybiega w robocie w sposób zagłuszający lub uniemożliwiający pojęcie kształtu dla widza. Czy to będzie odosobniony kontur, głuszący wątłość światłocienia, czy też rozwichrzony światłocień nie ujęty w granicę konturu, czy to będą jednostajnie krótkie kreski, stojące w sprzeczności z kierunkiem płaszczyzn przedmiotu lub kropki i punkta naśladujące mozajkę, — czy to będą barwne plamy oderwane, nie wcielone w szczegóły kształtu lub niezgodne z jego naturą, — czy to będzie gładkie, jak politurowana deska malowanie, czy też pełne gruzołów, kłapciów i chropowatości nakładanie farb; — to we wszystkich tych wypadkach wystąpi przewaga środka nad formą, ujemnie lub wprost fatalnie wpływająca na dzieło sztuki. Nawet w obrazach obliczonych na odległość użycie materyalnych środków trzeba umieć tak miarkować, aby dla stracenia ich z oczu nie trzeba było zanadto odstępować od obrazu na przestrzeni z której niepodobna już ocenić wartości jego szczegółów.

Tę zasadę pojmowali głęboko wszyscy wielcy mistrze i kto wie czy to nie jest najpierwsze znamię ich wielkości, rzucające się od razu w oczy, ale tej zasady nie widzą i nie chcą uznać postępowi estetycy i wskutek tego są oni wszyscy nawet najbliżsi sobie duchem w stałej sprzeczności w pojęciach na tym punkcie.

Jeżeli więc publiczność polska nie może nauczyć się niczego od samych artystów wobec takiej sprzeczności ich pojęć o sztuce, to czegóż nauczyć się może od literatów-krytyków, którzy przekreśliwszy wszystkie prawa, zasady i warunki rządzące sztuką i nie mając na czem oprzeć swoich sądów o jej dziełach, obracają się w labiryncie górnolotnych frazesów, nie objaśniających nikogo i niczego.

Jaką korzyść wyniesie naprzykład publiczność czytając o artyście Iksie, „że twórczość jego rośnie z dniem każdym coraz wyżej i wyżej i trudno przewidzieć, na jakiej się ona zatrzyma wysokości, kiedy dosięgnie swego zenitu“; albo o malarzu Ypsilonie: „że jest on artystą, który wszystkie swoje myśli i uczucia wyraża za pomocą niezmiernie subtelnie obmyślanych symbolów, które ażeby zrozumieć potrzeba wniknąć w najgłębsze tajniki jego ducha, co nie każdemu jest danem“. No, ma się rozumieć, że nie każdemu, ale kto wie, czy nie najmniej owemu krytykowi.

Jest to rzeczą wysoce charakterystyczną, jak taki krytyk naciąganym po dzisiejszemu stylem wynosząc pod niebiosa geniusz artysty w wykonanem przezeń dziele, kiedy przyjdzie chwila, w której trzeba te wszystkie wielkie przymioty i zalety opiewanego obrazu czytającej publiczności wyjaśnić, wycina nagle kominka, jak szarak przed chartami i wykręca się frazesem, że publiczność jest na to za głupia, aby to mogła zrozumieć.

Niedawny przykład podobnego traktowania rzeczy mieliśmy w artykule p. Eligiusza Niewiadomskiego, drukowanym w *Tygodniku Ilustrowanym* z dnia 22 lutego b. r., w którym autor pisząc o znanych witrażach Wyspiańskiego (Kazimierzu Wielkim, Henryku Probusie i Świętym Stanisławie), wyraża się w następujący sposób:

„Nic większego Wyspiański nie stworzy ponad te trzy kartony, trzy wspaniałe bohaterskie poematy śmierci. Złożyły się na nie i bezpośrednio wspomnienia chwili wstrząsającej, kiedy w podziemiach Wawelu *(sic)* znaleziono przypadkiem grobowiec wielkiego króla (!?) i wzruszenia człowieka, który sam czuje na skroni chłodną rękę śmierci, i bezsenne, nerwowe noce wizyonera, i uczucia proroka leżącego twarzą na ziemi, pijącego wszystkie jej bóle, łzy i westchnienia ciężkie, patrzącego w zaświaty jasnemi, smutnemi oczyma.

„A niezależnie od strony uczuciowej, widzę w tych pastelach jeszcze coś genialnego, to właśnie, co zapewne najbardziej klnie publiczność, bo najmniej rozumie. Publiczność nasza (jak każda inna) chce mieć sztukę jasną, zrozumiałą, gotową do spożycia jak bifsztyk: przyprawiony, pokrajany, podany w garniturze. Nie chce ona zrozumieć jednej rzeczy: że sposób (malarski) wypowiadania idei musi być zastosowany do natury samej idei, że np. malując ‚herbatkę', można sobie pozwolić na łudzące wymodelowanie samowaru ze wszystkimi połyskami, refleksami i t. d.: szklanek przeźroczystych, fałd białego obrusa i t. d. Ale jeżeli zadaniem malarza będzie oddać nie wdzięki samowaru i cukiernicy, którą ma przed nosem, ale wspomnienie męczącego snu czy halucynacyi, to i środki jego muszą być z gruntu odmienne... Już nie chodzi tu o konkretną, jasną, wypukłą do złudzenia formę, wogóle nie o złudzenie kształtu realnego, ale o zupełnie co innego, o impresyę mary nieuchwytnej, o mętny styl gorączkowej wizyi, o tę fantastyczną logikę snu, w którym zmieniają się i plączą linie, plamy, obrazy w jakąś gmatwaninę bezładną, chaos kształtów bezkształtnych i barw bezbarwnych.

„W tych niedomówieniach gniewających filistra, w szaleństwie linii rozpętanej, wichrowej, wypowiedział się geniusz Wyspiańskiego i cała głębia jego pojmowania zadań malarskich. Jego niedomówienia robią wrażenie wstrząsające, czegoby nigdy nie osiągnął najbardziej pedantyczny, ścisły wykład form... Bo w tym razie forma konkretna, ścisła, byłaby fałszem i zaprzeczeniem".

Pan Eligiusz Niewiadomski, urągający inteligencyi publiczności nie spostrzega, że sam z sobą w największą popada sprzeczność, nie domyśla się nawet, że ta lekceważona przez niego publiczność ocenia zdrowym instynktem daleko lepiej wartość witrażowych pomysłów Wyspiańskiego, aniżeli on — to jest p. Niewiadomski, a nie Wyspiański — swoją estetyczną wiedzą. Ta publiczność odczuwa aż nadto dobrze słabą owych witraży stronę, polegającą na tem, że one, pragnąc uchodzić za wizye, są jako takie namalowane zbyt realistycznie, że grzeszą właśnie tą zbyt dotykalną plastyką samowaru i cukiernicy. Ta publiczność instynktowo odczuwa również i inne niewłaściwości tych trzech postaci, wypływające z przeznaczenia ich na witraże, a z czego p. Niewiadomski, jako krytyk, uniesiony pietyzmem dla ich twórcy, nie zdaje sobie sprawy. Witraż jest to przeźrocze, wypełniające okno w kościele gotyckim, które, gdy skierujemy wzrok ku niemu, prowadzi nas na drogę do błękitów; jeżeli więc ma się coś na niem dla naszych oczu odbić, to mogą to być jedynie jakieś postacie wysoce uduchownione i powietrzne, ubrane w barwy rozwieszonej na niebie tęczy, lub w barwy tego, co jest najpiękniejszem na ziemi, w barwy kwiatów i drogich kamieni, a nie szkielety i zwłoki, rażące nas swoją zgnilizną grobową w całej jej ohydzie i znikomości. Dwa są sposoby malarskie powołania umarłych ludzi do życia: albo zaklęciem talentu sprowadza się z wysokości niebieskich na ten padoł płaczu ich duchy ubrane w eteryczne lecz widoczne kształty człowiecze, albo dobywa się ich zwłoki z grobu. W pierwszym wypadku przywołany duch Kazimierza Wielkiego, zaglądający przez okno do wnętrza katedry na Wawelu, mógłby mieć wiele sensu i przedstawiać pewną głębokość w pomyśle, ale wywołany kościotrup jego z grobu, figurujący w tym duchu na witrażu, jest grubym anachronizmem, bo po cóż ma on zaglądać oknem, kiedy wyszedłszy z grobowca, mieszczącego się w środku tejże katedry, mógł daleko dokładniej zrobić jej przegląd drogą przechadzki po kamiennej jej posadzce. Słabą stroną tych witraży jest również i kolorystyczny ich charakter, trzymane są one bowiem w barwach złamanych i ciemnych, w barwach cze-

kolady, lubryki, grafitu, lub szaro-popielatej, przez które to barwy przepuszczone światło do wnętrza katedry nadałoby jej nastrój wielce ponury, zamieniając panteon naszej chwały narodowej na cmentarną kaplicę grobową, a wrażenia tego nie ocaliłaby nawet owa „głębia pojmowania zadań malarskich przez geniusz Wyspiańskiego“, głębia „wypowiadająca się w szaleństwie linii rozpętanej, wichrowej“, a choćby nawet i huraganowej. Chyba że Wyspiański, proroczym duchem wiedziony pragnął, by symbolicznie przepowiedzieć wieczny spoczynek naszym dziejom bez nadziei zmartwychwstania.

Nie można się dziwić przeto, że społeczeństwo polskie nie ma zaufania do swoich krytyków, którzy nie tylko że go w niczem w rzeczach sztuki nie objaśnią, ale każdy swój występ kończą niegrzecznością lub drwinami.

Publiczność polska w stosunku do naszych krytyków jest zupełnie w tem położeniu, co gromada turystów prowadzona na szczyty tatrzańskie przez przewodników, którzy, zniszczywszy wszelkie drogowskazy, zabłąkali się na wertepach, i składają całą winę na wycieczkowiczów, obsypują ich obelgami.

W takim stanie rzeczy nie przyjdzie podobno nigdy do porozumienia, któreby położyło koniec owemu rozłamowi, grożącemu tak sztuce i artystom, jak i społeczeństwu największem niebezpieczeństwem, pozbawiając pierwszych rodzimego gruntu pod nogami, a usuwając to ostatnie od wpływu tak ważnego czynnika cywilizacyjnego, jakim jest sztuka.

Ja to wielkie niebezpieczeństwo widzę i pragnąłbym je odwrócić; w tem wszystkiem, co mówię i piszę, nie żywię osobistych niechęci do nikogo, a zazdrość nie miała do mnie nigdy przystępu, — sztukę kocham w tym samym stopniu, co p. Feliks Jasieński, i nikt nie ma prawa powątpiewać w szczerość moją w tym względzie; widząc przeto niemożność ocalenia sytuacyi drogą wskazaną przez pana Rabskiego, przemyślałem niejedną godzinę i nie jeden dzień nad sposobem ratunku, a środki, wiodące do wybrnięcia z tego zastoju, wysnute częściowo z moich własnych spostrzeżeń i obserwacyi, a częściowo z tych niezliczonych interpelacyi, jakiemi bywam zapytywany przez pu-

bliczność, środki te streszczam i poddaję publicznemu omówieniu w następującej osnowie:

Dobro i przyszłość tak sztuki, jak i samych artystów wymagają natychmiastowego wtajemniczenia publiczności w nowoczesne czynniki, środki i warunki, stanowiące o artystycznej wartości dzisiejszych utworów sztuki. Jeżeli przedstawiciele „Młodej Polski“ w sztuce pragną, ażeby uprawiane przez nich malarstwo nie było kastową własnością pewnej garstki ludzi, którzy się zawiązali w bractwo wzajemnej adoracyi, to zamiast obalać uznaną przez cały świat cywilizowany sławę nieboszczyków, niech wejdą w porozumienie z żyjącem społeczeństwem, co może nastąpić jedynie wtedy, gdy odsłonią swoje przyłbice i odpowiedzą ludzkim językiem, zrozumiałą mową, na następujące pytania:

1) Co oni rozumieją przez talent i jakie są według nich jego znamiona?

2) Jakie jest ich „kryteryum“ i na czem oni je opierają — czy na podstawie czynników malarskich takich, jak rysunek, plastyka kształtów, prawidłowość oświetlenia, perspektywa, harmonia barw, a wreszcie prawa i warunki rządzące kompozycyą — czy też przekreślają to wszystko, jako więzy krępujące samodzielność artysty i opierają toż kryteryum na jakichś nowych zasadach, których genezis i istotę obowiązani są wyjaśnić?

3) „Kto“ i „kiedy“ ma prawo nazywać się malarzem polskim i kogo mogliby za przykład postawić, — gdyby zaś taki nie istniał z powodu, że wszyscy kształcąc się za granicą ulegali obcym wpływom, to jaką drogą i jakimi środkami pragną stworzyć przedstawiciele nowej sztuki malarstwo, które mogłoby nosić miano polskiego?

4) Jakie stanowisko wyznaczają „pięknu“, jakie są według nich jego objawy i co oni przez to piękno rozumieją?

5) Jaką rolę u nich odgrywa „treść“ w obrazie i czy malarstwo powołanem jest, według nich, do wypowiadania ludzkich uczuć, myśli i idei, a jeżeli tak jest, to jakie znaczenie artystyczne w dziele sztuki ma wartość pomysłu?

6) Jaki jest ich „ideał“ w malarstwie, jeżeli dawnemu, za-

mykającemu w sobie piękną myśl w doskonałej formie stanowczo zaprzeczyli?

7) Jakie znaczenie ma ów stale i monotonnie panujący w utworach nowoczesnych malarzy „ponury ich nastrój“ wiejący chłodem grobowych głębi, zalatujący tak często wonią prosektoryów i szpitali i jaki ma on wywrzeć wpływ na wyrobienie się estetycznych pojęć społeczeństwa i jaką to korzyść duchową wyniesie z nich to ostatnie?

8) W jakim celu wprowadzili oni do sztuki na stałe coraz bardziej rosnący w ich utworach pierwiastek „brzydoty“, budzący wstręt, odrazę lub przestrach i w jakim duchu pragną oni oddziaływać tymi środkami na społeczeństwo?

9) Dlaczego nowocześni malarze wyrzekłszy się jasnych i wzniosłych stron ludzkiego życia, malują ciągle człowieka w upadku i upodleniu i dlaczego obracają się w błędnem kole mistycznych zagadek, przemawiają z takiem upodobaniem do społeczeństwa wskrzeszonymi po zastygłym bizantynizmie symbolami?

10) Co to jest według nich sztuka, jakie jej przeznaczenie i co ona ma przynieść narodowi, — czy ozdobę, czy rozrywkę, czy doskonałość formy, czy ideę, czy wszystko razem, czy nic z tego wszystkiego, a zatem „co“ i jaki będzie cel jej istnienia na ziemi?

Ludomir Benedyktowicz.

RYCERZE DEMOKRACYI CHRZEŚCIJAŃSKIEJ
WE FRANCYI.

Wielkie encykliki społeczne Leona XIII-go wywołały we Francyi bezpośrednio po pojawieniu się swojem wśród młodzieży przedewszystkiem uczącej się i rzemieślniczej znamienny ruch społeczny, który w niedalekiej przyszłości w życiu społecznem i religijnem Francyi na bieg wypadków i rozwój kraju niewątpliwie znaczący i niemały wpływ wywrą.

Encyklika *Rerum novarum* stawia nam przed oczy w wielkich zarysach ideał społeczno-ekonomiczny chrześcijańskiego państwa. Stosownie do potrzeb czasu i wymagań wieku, kreśli nam w niej Wielki Papież socyalny w najogólniejszych rysach zasadnicze podstawy ustroju i życia społecznego i sprawiedliwości społecznej. Jest to jakby dogmat społeczny Kościoła katolickiego nieodmienny, tak jak serce i rozum ludzki są w pochodzie wieków nieodmienne, obejmujący wszystkie czasy i wszystkie ludy.

Encyklika zaś *Graves de communi* wraz z komentarzem wydanym przez kongregacyę kardynałów podaje nam hasła i ideały przypadające w szczególniejszej mierze do obecnej chwili naszego rozwoju cywilizacyjnego i aspiracyi społecznych.

Jest tam naprzód sankcya najwyższa i nieodwołalna idei demokratycznej, która w naszym wieku dobija się wszędzie panowania i niesie w sobie zarodki bogatego życia i rozwoju

społecznego na zasadach ewangelii św. „I niech nikt nie rzuca cienia na to słowo, skoro wie, że rzecz jest dobra. Idea demokracyi pojęta tak, jak Kościół ją pojmuje, przypada nie tylko dziwnie do miary zasad objawionych i wierzeń religijnych, ale ona nadto wzięła początek i rozwinęła się przez chrześcijaństwo, a przepowiadanie ewangelii rozniosło ją pomiędzy narody: ani Ateny, ani Rzym nie znały tej idei, dopóki nie usłyszały tego głosu Bożego, który przemówił do ludzi w te słowa: „Wy wszyscy jesteście braćmi i Ojciec wasz wspólny jest w niebiesiech“ [1].

Jest tam dalej wytyczony kierunek i wskazana droga przyszłego ruchu ludowego, aby wielkie to odrodzenie społeczne osiągnęło swój cel. „Akcyi tej zupełnie przypadającej do charakteru czasu i potrzeb, które ją wywołały, udzieliliśmy Naszą sankcyę. Nie brakło też z Naszej strony podniety dla niej, określając wszelako z wielką wyrazistością jej cel i sposób i granice tak, że gdyby kto zabłąkał się na tem polu, to faktu tego nie możnaby przypisać niedostatkowi autorytatywnego kierownictwa“.

Jest tam wreszcie i hasło zapalające wszystkich do pracy usilnej nad wyzwoleniem ludu z poniżenia, nad podniesieniem kulturalnem jego bytu i zarazem wyraźna zachęta dla kleru, aby w tej pracy kulturalnej i iście apostolskiej czynny wziął udział. „Oczywistą jest rzeczą, że wogóle ci, którzy się poświęcili tej sprawie, we Włoszech i za granicą, pracują tam z szlachetnym zapałem i w sposób znakomicie przynoszący owoce: trzeba też zaznaczyć, że sprawie tej przyszła z pożyteczną pomocą tłumnie dzielna młodzież. Zachęciliśmy też kler, aby, zachowując pewną przezorność, wziął udział na tem samem polu czynnej pracy; albowiem każde słuszne i pożyteczne przedsięwzięcie prawdziwej miłości bliźniego jest zgodne z powołaniem kapłana katolickiego. Bo czyż nie jest to miłością prawdziwą i bardzo odpowiednią poświęcić się gorliwie i bezinteresownie dla polepszenia poło-

[1] Pamiętne przemówienie Leona XIII do św. Kolegium. składającego mu życzenia w ostatnią wilię Bożego Narodzenia: *Rivista, Gennaio* 1903.

żenia duchowego i losu materyalnego mas? Miłość macierzyńska Kościoła obejmuje wszystkich ludzi, jak ojcowstwo Boże; ona przecież wierna swoim początkom i pomna na Boskie przykłady, zawsze zwykła była się zbliżać do maluczkich, nieszczęśliwych i wydziedziczonych z uczuciem predylekcyi".

Dwa te wiekopomne dokumenty, których znaczenie i doniosłość dopiero wieki przyszłe należycie ocenią, i które niewątpliwie stanowić będą punkt przełomowy w postępowym rozwoju ludzkości i przyszłem ukształtowaniu się społeczeństw, znalazły swoje wyraźne odbicie w ruchu katolickiej młodzieży francuskiej.

Z jednej strony silnie zorganizowana w kilkaset kółek ucząca się młodzież pod nazwą *l'Association catholique de la jeunesse française* pracuje prawie wyłącznie w dziedzinie idei opromienionych światłem encykliki *Rerum novarum*. W przekonaniu, że tylko ruch społeczny świadomy celu, który wyżłobił sobie głębokie łożysko w świecie idei, ma warunki żywotnego rozwoju, zwróciła się ona z całym wysiłkiem swego gorącego zapału do szczegółowego opracowania w ramach wielkiej encykliki najaktualniejszych kwestyi społecznych. Najświeższym dowodem tego ruchu jest ogólny wiec odbyty w pierwszej połowie maja pod wysokim protektoratem kardynała Perraud w Chalon-sur-Saône. Cztery z rzędu dni obradowali tam delegaci dwudziestotysięcznej młodzieży akademickiej szczegółowo i umiejętnie nad organizacyą zawodową robotników, aby następnie owoce tej pracy umysłowej roznieść po całej Francyi do swoich ognisk nauki i bratniej miłości, pomiędzy warstwy ludu i w szesokie koła inteligencyi.

Z drugiej zaś strony młodzież skupiona około redakcyi *Sillon* przeważnie rzemieślnicza i robotnicza, podjęła się pracy apostolskiej i kulturalnej wśród ludu i zapomocą ludu. Są to pionierzy i apostołowie i wodzowie młodego ruchu ludowego, któremu przyświecają wielkie hasła i ideały encykliki o demokracyi chrześcijańskiej. I nad tym ruchem ludowym szerzej się zastanowimy.

W r. 1894 grono akademików paryskich o gorącem sercu

i katolickich przekonaniach założyło pismo literacko-społeczne pod tytułem *Sillon* i pod hasłem *Il faut aller au vrai avec toute son âme.*

Wkrótce wytworzyło się obok redakcyi *Sillon* i w ścisłej z nią łączności kółko młodzieży pracującej i kształcącej się w dziedzinie nauk społecznych. W domu byłego oficera zbierała się co tydzień młodzież akademicka i rzemieślnicza i handlowa na wspólne pogadanki i wykłady socyalne. Pogadanki zawsze rozpoczynały się wspólną modlitwą. I to było pierwsze kółko kształcącej się młodzieży, początek potężnego ruchu religijno-społecznego, który w ciągu trzech lat wielką okazał żywotność i niezmiernie doniosłą dla odrodzenia rozwichrzonej walką religijną Francyi rozwinął działalność. Duszą tego ruchu stał się ks. Marc Sangier, a organem jego *Sillon,* który przekształcił się na dwutygodnik poświęcony wyłącznie akcyi społecznej i rozbudzeniu ruchu chrześcijańsko-demokratycznego we Francyi. Ks. Marek — tak go nazywają przyjaciele — to człowiek rozległej inteligencyi i gorącego serca, który łączy w sobie żary i głębie religijnego mistycyzmu z wybitnym talentem organizacyjnym. A przytem jest to kapłan całkiem nowoczesny, który wchłonął w siebie i ukochał całą duszą, duchową cywilizacyę naszego wieku, i śmiało idzie naprzód z postępowym rozwojem naszej kultury społecznej i ekonomicznej. Niema w tej duszy ani cienia fanatyzmu nieznającego co to serce ludzkie, ani śladu z tego zacieśnienia, które świat nazywa nieraz klerykalizmem, a które częstokroć jest owocem bardzo zaniedbanej kultury umysłu i nieprzezornej gorliwości w sprawowaniu cywilizacyjnego posłannictwa kapłana.

Ksiądz Marek, to apostoł XX-go wieku, który zna duszę i potrzeby swego wieku, i umie dla przyszłości pracować, to też nic dziwnego, że młodzież, która tylko dla przyszłości żyje, garnie się do niego tłumnie i rwie się do żywotnych ideałów, przez niego wskazanych. „Szczęśliwi nasi koledzy Paryżanie, którzy mogą codziennie z nim przestawać — mówi w uniesieniu jeden z kolegów na prowincyi — i codziennie słuchać jego rad i nauk". Ale bo też nie wiedzieć, pisze inny „co więcej w nim

podziwiać, czy jego piękny dar wymowy, czy też tego ducha koleżeństwa, który sprawia, że wszędzie i zawsze prosta i miła dusza jego przeskrzydla się do serc tych młodych ludzi, które on kocha i które go kochają jak najlepszego ze swoich przyjaciół".

Przypatrzmy się jego pracy i dziełom.

„Naszem pierwszem usiłowaniem — opowiada ks. Marek [1] — była praca nad rozwojem kółek kształcącej się młodzieży. W czerwcu ubiegłego roku (1899) poczęliśmy zwracać uwagę naszych przyjaciół na cztery główne rzeczy:

1) zakładanie Kółek uprawiających studya socyalne dla młodzieży od 15-go do 20-go roku przedewszystkiem w stowarzyszeniach terminatorów;

2) pielęgnowanie ducha samodzielności pomiędzy młodzieżą w tych Kółkach;

3) konieczne zaznajomienie stopniowe młodzieży z współczesnym ruchem katolickim;

4) zawiązanie braterskich i koleżeńskich stosunków pomiędzy różnemi Kółkami młodzieży.

Idee te rozwijaliśmy razem z przyjaciółmi w odczytach, w artykułach gazet i czasopism; i mimo złej woli lub bierności opornej niektórych prezesów przyjęły się one przynajmniej w teoryi w wielu bardzo stowarzyszeniach. Młodzież przedewszystkiem odpowiedziała z entuzyazmem na wezwanie do niej zwrócone: Kółka uczących się poczęły się mnożyć; przeszło dwadzieścia Kółek ugrupowało się wkrótce około czasopisma *Sillon*. Z dnia na dzień w oczach rosły liczba i zapał zwolenników nowego ruchu; a na pamiętnem zebraniu niedzielnem dnia 19 listopada, które było pod pewnym względem pierwszą naszą manifestacyą na zewnątrz, już wielka sala Towarzystwa geograficznego okazała się za ciasną, aby pomieścić tłum młodzieży gromadzącej się dobrowolnie ze wszystkich kątów Paryża. Najswobodniejsze koleżeństwo i równość iście braterska były od

[1] *L'Association Catholique, Les catholiques et l'éducation du peuple: Les universites populaires*, r. 1900, nr. 4, 5, tr. 433 i dalsze.

samego początku pomiędzy akademikami i robotnikami. Wszyscy razem zabrali się do dzieła, które uważali w całem tego słowa znaczeniu za swoje; każdy też wie, w czem tkwi najlepsza siła *Sillonu*: jest to przyjaźń wzajemna i nic więcej.

Wkrótce, i to na żądanie samych robotników, zorganizował *Sillon* wspólną pracownię socyalną, *Salles du travail*, aby młodym referentom ułatwić przygotowanie wykładów w Kółkach. Tam oni znajdą zdolnych doradców, którzy im wskażą odpowiednie dzieła, odpowiedzą na różne kwestye i ułatwią im pracę naukową, dzięki temu współpracownictwu, które się opiera na braterstwie.

Wędrówki artystyczne i naukowe, polegające na zwiedzaniu kościołów, muzeów, pracowni i wystaw naukowych i przedsiębiorstw ekonomicznych i t. d., są przyczyną, że żywe i ożywione słowo stało się dla młodych robotników bogatym w owoce czynnikiem pedagogicznym. W objaśnieniach, które starannie przygotowane w formie krótkich uwag tłumaczących poprzedzają oglądanie, zwracamy przedewszystkiem uwagę na wykształcenie ogólne i na kształcenie gustu i pojęć, nie troszcząc się wiele o wzbogacenie wiadomości ścisłych, które znaleźć można w książkach, oraz kładziemy nacisk na wyrobienie sądu naukowego i zmysłu piękna i sztuki.

Wreszcie pragnąc rozszerzyć nasze apostolstwo poza ciasny obręb Kółek kształcącej się młodzieży i skupić wszystkich bez względu na różnice zdań wokoło siebie, rozpoczęliśmy w lutym 1900 r. w naszych salach na ulicy Bagneux urządzać stałe odczyty i czytania ludowe i przedstawienia muzykalne. Wytworzył się w ten sposób rodzaj uniwersytetu ludowego.

Wielkie afisze porozlepiane po ulicach Paryża oznajmiły światu bez ogródek, w jakim duchu pracować zamierzamy".

Takie były pierwsze początki ruchu chrześcijańsko-ludowego, który opierając się na społecznych encyklikach Leona XIII w ciągu dwu lat ostatnich już potężne wyżłobił sobie łożysko w skołatanem nieszczęsną zwadą domową społeczeństwie katolickiem Francyi. Dziś już ruch ten liczy 40 Kółek kształcącej

się młodzieży w samym Paryżu, a przeszło 500 na prowincyi, obejmuje 18 domów ludowych, z których promienieje wkoło zdrowa nauka społeczna, oparta na ewangelii i encyklikach Leona XIII na szerokie masy ludowe, ma liczną i dobrze wyćwiczoną gwardyę narodową na swoje usługi, urządza wielkie zgromadzenia publiczne, na których potykają się mówcy chrześcijańscy z socyalistycznymi i prawda odnosi zwycięstwo — słowem nowy prąd zasilany przez Kółka wzbiera i rośnie potężnie, budząc wszędzie wiarę w siły społeczne katolicyzmu i porządkując odrodzenie życia katolickiego. „Pracując nad odrodzeniem umysłowem i moralnem mas robotniczych — pisze jeden z młodych pracowników w tym ruchu[1] — mamy to przekonanie, iż przyszedł czas, aby nasze obyczaje i sposób naszego życia głębokim uległy zmianom. Przez Kółka samokształcenia chcemy pośród młodzieży katolickiej uzupełnić wykształcenie społeczne i obywatelskie, na którem jej jeszcze zbywa; przez uniwersytety ludowe chcemy pomiędzy robotników wnieść oświatę i dostarczyć im szlachetnej rozrywki; przez zgromadzenia publiczne usiłujemy pokazać naszym przeciwnikom, że nasze przekonania dadzą się obronić i że my nie obawiamy się wolnego światła lojalnej i rozumnej dyskusyi; przez nasze pismo wreszcie rozgłaszamy wszystkim, jakiego ducha jesteśmy i ku jakiej idziemy przyszłości".

A co najważniejsza — wszystkich tych ruchliwych i żarliwych pracowników i apostołów wychowania narodowego i społeczno-religijnego jeden ożywia duch, jedna idea, jedno uczucie, żeby w dziedzinie myśli utorować drogę do duszy i serca narodu chrześcijańskim ideałom społecznym a w dziedzinie życia praktycznego przygotować materyał w ludziach zdolnych i sposobnych do wprowadzenia w życie tych ideałów. „Jest to asocyacya — mówi znany profesor paryski ks. Klein[2] — żyjąca życiem ducha i serca, wiary i entuzyazmu i miłości, zupełnie idealna pod wielu względami a mimo to zajmująca się życiem praktycz-

[1] *L'Association catholique*: *Sur la Brèche*, r. 1903, zeszyt styczniowy.

[2] *Le Correspondant*: *Les Associations de jeunes catholiques*. r. 1903, 10-go maja.

nem z zadziwiającą łatwością i najenergiczniejszą zręcznością. Ci młodzi ludzie to nie są marzyciele ani *des emballés*". „Niech tylko ruch ten tak pięknie rozpoczęty rozwija się jeszcze lat kilka, niech trzyma się zdala od wrzawy politycznej a ujrzymy tych obrońców ludu w stowarzyszeniach zawodowych, w kooperatywach, w kasach włościańskich i w różnych nawet manifestacyach życia publicznego, gdzie czynny współudział stanie się obowiązkiem; i będziemy mieli pracowników, którzy będąc gorącymi katolikami, będą niemniej usilnie dbać o zdobycie dobrobytu, o wychowanie, o dalszą organizacyę proletaryatu. I będą oni tem lepiej służyć sprawie postępu dającego się wprowadzić w życie, o ile nie są narażeni na zabłąkanie się, jak to czynią kolektywiści, poświęcając część swoich wysiłków na urzeczywistnienie niebezpiecznych utopii".

Chcąc głębiej poznać całą doniosłość tego ruchu w całem tego słowa znaczeniu ludowego, jak się ks. Marek wyrażał, chcąc lepiej ocenić w całej rozciągłości jego różnorodną działalność trzeba przedewszystkiem poznać jego organizacyę i taktykę i główne zasady, które są podstawą jego rozwoju i torują mu drogę do zwycięstw.

Dwie zasady, dwie idee omamiły dziś serca ludzkie i dobijają się panowania: idea indywidualności i idea demokracyi. Rozszerzyć swoje prawa obywatelskie, urządzić swoje życie tak, żeby ono zakwitło w całej pełni i szczęściem i ofiarnością i pracą wydajną i miłością Boga i ludzi, urządzić stosunki społeczne tak, żeby wszystkim dobrze było a przynajmniej, żeby nie było tego piekła nędzy i ucisku i niesprawiedliwości: oto treść i zadanie tych idei, które tak potężnie i stanowczo w całym świecie cywilizowanym domagają się wcielenia w prawa obywatelskie i państwowe.

Środkiem zaś prowadzącym najskuteczniej do tego celu jest przedewszystkiem uświadomienie mas ludowych i szerzenie oświaty i wychowania religijno-społecznego wśród wybranych przedewszystkiem jednostek.

Młodzi więc demokraci rzucili hasło samokształcenia i wychowania religijno-społecznego i narodowego. I w tem tkwi

siła i przyszłość kółek. Przygotować zdolniejsze jednostki, dopomódz zgłaszającej się w tym celu młodzieży do samodzielnej pracy umysłowej, do wyrobienia sobie sądu i pogłębienia swego poglądu na aktualne kwestye religijne i społeczne w żywotnym będące związku z nowym ruchem religijno-społecznym: oto pierwsze zadanie kółek kształcącej się młodzieży. Sama zaś metoda kształcenia się opiera się na miłości i braterstwie umysłowem, i nawskróś przeniknięta jest duchem indywidualizmu. „My nie chcemy kształtować dusz — mówi ks. Marek — jak rzeźbiarz urabia glinę; my chcemy wyzwolić je w przekonaniu, że gdy raz rozproszą się ciemności, prawda będzie dość potężną, aby ją pokochano dla niej samej“ [1].

Drugim, ważniejszym od pierwszego celem kółek jest wychowanie moralne i katolickie członków. Mają one pielęgnować, rozwijać i hartować te cnoty społeczne, które zapoczątkować mają jaśniejszą przyszłość demokratyczną, a które w gruncie rzeczy niczem innem nie są, jak najczystszym chrystyanizmem. Cnotami zaś temi są: miłość bliźniego i duch szlachetnej tolerancyi, wysługiwanie się drugim, i życie ofiarne aż do zapomnienia o sobie, duch solidarności i braterstwa, a więc kwiaty, wyrastające z najwnętrzniejszej istoty chrystyanizmu, który polega na miłości Boga i bliźniego. Takie jest najgłówniejsze zadanie i cel kółek kształcącej się młodzieży demokratycznej.

Co się tyczy ideału demokratycznego, zwolennicy ks. Marka trzymają się zdala od wszelkiej polityki, i na razie nie mają żadnego programu polityczno-ekonomicznego.

Wyrobili oni sobie taką logikę: naszą rzeczą jest wydobyć wszystkie siły i energie demokratyczne z ukrycia i dać im szerokie pole do pracy społeczno-ekonomicznej, oto nasza polityka. Nie mamy też żadnego programu określonego w drobiazgach i ustalonego. W naszem mniemaniu program polityczno-ekonomiczny wyrasta z znajomości przeszłości i teraźniejszości i układa się z dnia na dzień. Postęp społeczno-ekonomiczny nie inaczej się rozwija, jak drogą ustawicznych prób i doświadczeń. Naj-

[1] Marc Sangnier: *Mouvement socialiste*, 15 nov. 1899 r.

głównejszem zadaniem naszem na najbliższą przyszłość jest wychować sobie przyszłych obywateli i wodzów i kierowników i apostołów, którzyby zgodnie z postępem czasu i wymaganiami wieku pracowali nad urzeczywistnieniem swoich ideałów społecznych, opromienionych światłem i uświęconych życiem Bożem.

Aby się wytworzyła potężna i żywotna demokracya, potrzeba się oprzeć na tradycyi i wytworzyć potężną opinię publiczną, uświadamiając i pogłębiając ją w kierunku ideałów demokratycznych.

Najpierw tedy pracować powinniśmy nad sobą, nad urzeczywistnieniem w sobie tego ideału, który nam Chrystus Pan zakreślił w ewangelii, a potem rozrzucać w swojem otoczeniu te ewangeliczne ziarna nauki społecznej, rozpalać wokoło siebie te ognie zmartwychwstania, które ongi Chrystus i apostołowie rozniecali w egoistycznych sercach pogan. Tak wytworzy się chrześcijańska opinia publiczna, którą oświecać należy, albo raczej pracować nad tem, żeby ona sama się rozwijała w kierunku sprawiedliwości i miłości społecznej.

Powtóre nasza praca powinna opierać się na tradycyi, a to tem bardziej, że zbyt często demokracyi przeciwstawia się tradycya.

Niech nikt nie mówi, że demokracya z natury swojej zawsze kłócić się musi i walczyć będzie z tradycyą dlatego, że jest z natury swojej czemś ruchomem. Ona odznacza się—mówią jej skrajni wielbiciele — tą ruchliwością, która pozwala z pewną łatwością dostosować się do każdego postępu i wytknąć sobie drogę na przyszłość według potrzeb i wymagań wieku. Tradycya zaś przeciwnie w ich rozumieniu jest czemś niezmiennem, nieruchomem, skostniałem, niezgodnem z postępem, tradycya, to konserwowanie dawnej wielkości i dawnego blasku i potęgi, prowadzące siłą rzeczy powoli ale nieuchronnie do marazmu starczego. I w tem tkwi właśnie najfatalniejszy błąd — odpowiadają nato chrześcijańscy demokraci — konserwatystów, którzy, idąc w poprzek wielkich prądów wieku, własną dobijają się ręką. Bo z postępem, t. j. z zmianą na lepsze w kierunku wprowadzenia w życie ideałów sprawiedliwości społecznej, żadna partya spo-

łeczna bezkarnie nie walczy. My wszelako łączymy postęp z tradycyą. Tradycya bowiem bez żywotnego związku z teraźniejszością i potrzebami wieku i wymaganiami czasu zamiera nieuchronnie razem z jej nierozumnymi piastunami.

Postęp zaś z drugiej strony odcięty od tradycyi jest dużo niebezpieczniejszy, niż tradycya bez postępu, bo wprowadza na arenę społeczną panowanie tłumu, liberalizm ekonomiczny i t. d.... przywodzi powoli społeczeństwo do ruiny zupełnej. Nasze *credo* polityczne jest: tradycya żyjąca i w rozwoju swoim stosująca się do potrzeb czasu.

Podobnie jak z tradycyą, rzecz się ma z równością społeczną. „Równość — pisze ks. Marek — nie jest jednostajnością: zresztą równość poza pojęciem chrześcijańskiem i mistycznem jest prawie zupełną chimerą i błędem“... „Gdy ludzie różnie uposażeni, na różnych polach pracując, poświęcać się będą w równym stopniu dla ogółu, gdy im sumienie zarówno powie, że ich wysiłki przyniosły korzyść i nie odnosiły się tylko do zaspokojenia własnych potrzeb ich życia osobistego; gdy się staną ogniskami promieniejącemi i dającemi impuls do czynów, gdy pracować będą, choć w różny sposób, nad tem samem dziełem: wobec kraju zarówno, jak w oczach Boga oni są równi“.

„Naprawdę, my nie wykolejamy naszych współtowarzyszy; owszem przeciwnie, my jedni zdołamy ich przytwierdzić do zawodu. Pielęgnując bowiem w nich ideały moralne i społeczne, które przechodzą swoją wzniosłością zarówno wszystkie zawody jak i wszystkie położenia społeczne, tem samem tłumimy wszelkie nizkie żądze i wszystkie uliczne pożądliwości ograniczające swoją żarliwość na to, aby zmienić panowanie klasowe i wznieść się na wyżyny jego. Ten stan zresztą jedynie zdoła utorować drogę demokracyi i w tem też znaczeniu zapewne starożytni mawiali: Rzeczpospolita zasadza się na c n o c i e“.

„Oczywiście niema tu mowy o zamknięciu drogą ustawy, czy jakiegokolwiek przymusu samowolnego obywatela w danym zawodzie: byłoby to krzywdzące i bez korzyści. Wystarczy tu mieć to przekonanie, iż chcąc się wznieść wyżej do godności doskonałego, wolnego i odpowiedzialnego za sprawy publiczne

obywatela, nie potrzeba porzucać swojego zawodu". I dlatego też młoda demokracya domaga się, aby ustawodawstwo robotnikom dopomogło do zdobycia sobie takiej pozycyi obywatelskiej. I dalej:

„... ważną jest rzeczą, aby w każdym zawodzie wytworzyły się pewna elita i jakby tradycye dziedziczne, któreby w zwyczajnych stosunkach służyły do rozwoju i oryentacyi i potrzebnej dyrektywy wielkich sił społecznych. W przeciwnym bowiem razie trzebaby zaczerpnąć sił potrzebnych do kierownictwa z innej klasy zbyt pochopnej do panowania albo do wyzyskiwania; przekonani jesteśmy, że pod tym jedynie warunkiem demokracya możliwą jest"...

Co najważniejsza zaś, duch prawdziwie chrześcijański ożywia i przenika i uświęca wszystkie ideały etyczne i społeczne młodych demokratów chrześcijańskich. W katolicyzmie wziął ruch ten swój początek, bo jak powstało pierwsze kółko demokratycznej młodzieży? Gdy garstka młodych robotników przejęta żywą wiarą i gorącą miłością bliźniego powiedziała sobie: trzeba współtowarzyszom naszym dawać dobry przykład, aby poznali potęgę religii i stali się lepszymi; gdy młodzież uniwersytecka postanowiła pracować nad rozwiązaniem problemów życia społecznego według zasad ewangelii i nauki Chrystusa, rozwiniętej w encyklikach społecznych Leona XIII.

Katolicyzm też stał się częścią integralną życia i rozwoju młodej demokracyi. „Oni nie odkładają go na pewne czasy lub godziny, aby okazać swoją pobożność", ale zawsze, czy to na posiedzeniach, które rozpoczynają się modlitwą, czy na bankietach najbardziej ożywionych, na których imię Jezus rozbrzmiewa w toastach, a nauka Chrystusa stanowi często treść toastów, słowem zawsze i wszędzie okazują, że są całem sercem i duszą katolikami.

Na wskróś chrześcijańskie też są ich ideały społeczne, nad których urzeczywistnieniem pracują. „Wierzymy, iż ideał Boży— mówi ks. Marek — do którego rwie się dusza nasza i który popycha społeczeństwo do lepszego urzeczywistnienia sprawiedliwości i miłości, nie jest jakimś czarującym obłokiem, boleśnie

ulatującym z ziemi okrutnie rozdartej wskutek waśni i zawiści; my wierzymy, iż on, będąc Bożym, ma byt rzeczywisty i jest cząstką tej prawdy szerszej i wyższej nad ciasne przypadłości, które nas ograniczają; my wierzymy w Chrystusa Boga, który nie jest romantyczną postacią, zabłąkaną w zapomnianej oddali dawnej przeszłości historycznej, ale który wiecznie żyje, pomnaża się w duszach przez Kościół, błogosławi ludom i zapewnia zbawienie narodom i jednostkom".

„My jesteśmy katolikami i skoro Ojciec św. i kardynałowie, i ci, którym powierzona piecza nad Kościołem, pochwalają naszą pracę i dodają nam zachęty, skoro sumienie nasze głośno woła, abyśmy szli naprzód ku przyszłości, skoro tkwi i żyje w nas potęga — tak nam się zdaje — silniejsza i potężniejsza od nas samych, która naszą niemoc prowadzi do zwycięstwa — skoro takie potęgi po naszej stronie, dlaczego niepokoją nas jeszcze lęki i krzyki tych, którzy nas oskarżają, żeśmy nowatorami" [1].

---

[1] Marc Sangnier: *Tenacité. Sillon*, r. 1903, nr. 5.

1) Kardynał Rampolla: ...„il m'est très agréable de vous faire savoir que le but et les tendances du Sillon ont hautement plus à Sa Sainteté. Pour cette raison, Elle bénit de tout coeur les efforts que les membres de cette Oevre entendent faire pour promouvoir le véritable esprit catholique dans le sein de la société et Elle en espère le succès desiré"...

2) Nuncyusz Apostolski, ks. Arcybiskup Lorenzelli: ...„Vous n'avez pas besoin, Monsieur le Président, que je vous dise combien je trouve utile tout ce qui est de nature à développer et étendre l'action catholique social notammement au milieu des classes ouvrières qui suivant l'esprit chrétien demandent la conaissance à des vérités divines et humaines"...

3) Kardynał Richard, Arcybiskup Paryski: ...„je prie Dieu qu'il féconde votre apostolat qui répond aux besoins des temps présents et vous fasse trouver parmi la jeunesse de nombreux ouvriers qui vous aident à semer la vérité dans les classes populaires et à préparer pour l'avenir d'abondantes moissons".

4) Kardynał Perrand, Biskup z Autun: ...„Cette pensée répond trop bien aux nécessités les plus urgentes de l'heure actuelle et aux recommandations réitérées du Chef auguste de l'Église, Sa Sainteté le Pape Léon XIII, pour que les évêques de France ne s'intéressent pas à vos efforts et ne cherchent pas à les seconder"...

5) Biskup de Châlons: ...„Quelle belle et facile moisson pour les grands coeurs et les bras vigoureux du „Sillon"! Je voudrais redevenir jeune et vous demander une place dans vos rangs"...

6) Kardynał Coullié, Arcybiskup Lyoński: ...„Il faut surtout former

W myśl ks. Marka katolicyzm ma przeniknąć, wychować i uświęcić młodą demokracyę, aby mogła się stać nowem narzędziem w ręku Opatrzności Bożej do urzeczywistnienia społecznego królestwa Chrystusowego na tym świecie.

Ażeby zaś cel ten osiągnąć, „nie wystarczy naprawdę iść biernie za zapałem, który cię unosi: tchnienie z góry wionie po sercach tylko od czasu do czasu. Nasi przyjaciele potrzebują odwagi serca, zapomnienia o sobie, zwycięstwa nad sobą. Bez tego nie zdołają oni zapracować dla zdobycia przyszłości, bo wiecznie będą w jarzmie teraźniejszości, która mija".

W rozumieniu ks. Marka demokracya chrześcijańska niczem innem nie jest, jak odmłodzenie się katolicyzmu wśród naszej cywilizacyi. „My chcemy — mówił on — szerzyć to, co dobre, i popierać z całej siły rozwój demokracyi, demokracyi pojętej w ten sposób, jak Chrystus ją mieć chciał, bez którego nie byłaby znaną na świecie demokracya (oklaski).

Trzeba mieć odwagę postawić sobie tę kwestyę: czy my jesteśmy odpowiedzialni za tę nienawiść, która się podniosła przeciwko katolicyzmowi?... Bo przecież nasi przeciwnicy nie sądzą nas według nauki Chrystusa, którego nie znają, lecz według naszych czynów i przykładów, jakie im dajemy. A jednak czyż mniemacie, że jakaś epoka odczuła więcej, niż nasza potrzebę katolicyzmu?

Kto zechce dobrze zbadać aspiracye najwięcej w oczy

---

des conférenciers habiles et passés maîtres, destinés à porter au peuple avec la vérité, la lumière dans les esprits et la dignité dans les coeurs.

„Il y a noblesse à entrer dans la mêlée avec des armes courtoises, mais fortement trempées. Dans ces conditions, les enfants de la sainte Église font honneur à leur mère tant aimée et sont prêts pour la défendre".

7) Kardynał Lecot, Arcybiskup z Bordeaux: ...„Est-ce ma faute? Est-ce le fait des autres? Je n'en sais rien. Mais ce que je sais, c'est que j'ai perdu, pendant tout le temps que je vous ai ignoré, de nombreuses occasions d'admirer, d'applaudir et d'encourager. Je voudrais bien réparer ces omissions involontaires"...

8) Kardynał Labouré, Arcybiskup z Rennes: ...„Vous vous en êtes fait le champion ardemment dévoué: Votre zèle comme vos intentions appellent d'eux-mêmes la louange et la bénédiction des évêques"... i tak dalej.

bijące demokracyi, jej idee sprawiedliwości i solidarności, ten przekona się, że to są aspiracye religijne.

Socyaliści sami byli zmuszeni dla rozwoju swoich doktryn szukać jakiejś bezbożnej religii, przyznając tem samem, iż potrzeba tego, co Boskie, zawsze uciska serce ludzkie (oklaski).

...Co stanowi siłę katolicyzmu? Miłość. Potęga to niezwyciężona, ona tryumfuje nad nieprzyjaciółmi najzacieklejszymi, najzawziętszymi, najniesprawiedliwszymi. Nie tracić tedy odwagi... postęp społeczny nie ma szans powodzenia, chyba że oprze się na zasadnie tradycyi ewangelicznej i rozwijać się będzie na drodze wytkniętej przez naszego Chrystusa. Skoro zaś takie mamy przekonanie, dlaczego sprawa nasza nie miałaby odnieść zwycięstwa?

Jeszcze raz powtarzam. Potęgą naszą jest miłość i, co za tem idzie, przebaczenie, tak, przebaczenie, które rozbraja, rzucając w najciemniejsze otchłanie duszy ludzkiej promień światła i ciepła, promień Chrystusa. Duch Boży jest zarazem duchem miłości i duchem światłości. Niektórzy katolicy mówią: „naśladujmy masonów". Odpowiadam: dobrze! naśladujmy ich wytrwałość i cierpliwość, ale nigdy ich braku serca i sprawiedliwości.

Wstawić bowiem w miejsce sekciarstwa masońskiego jakieś sekciarstwo katolickie — przenigdy (długie oklaski).

Katolicyzm nie jest frakcyą i nikt nie ma prawa szafować katolicyzmem na rzecz swoich ambicyi i zawiści. Katolicyzm dominuje nad wszystkiemi partyami; on panuje nad niemi i spływa na nie, za tem zaś idzie, iż nie mamy obowiązku pracować tylko dla katolików, lecz również i dla tych, którzy nie są katolikami, a którzy gdybyśmy zechcieli, wróciliby kiedyś napowrót do katolicyzmu. My jesteśmy, my powinniśmy wytężyć swe siły, aby zostać synami powszechnej miłości (oklaski).

I dla tej racyi bez wątpienia nie jesteśmy zawsze zrozumiani. Zarzucają nam: „nierozum to czy naiwność mniemać, iż dojdziecie do tego, iż oni się kiedyś przekonają".

Mimo to przecież chcemy ich przekonać. Sami przez się jesteśmy niczem, ale jesteśmy wszystkiem przez Tego, który nas wzmacnia. Przeciwnicy nasi wygnańcy z krainy miłości,

my chcemy ich słuchać, chcemy ich traktować jako ludzi szczerych, lojalnych. I w ten sposób zmusimy ich, że sami się uwikłają we własne błędy i znowu poznają, iż rozum, rozsądek, prawda po naszej są stronie".

Teraz przypatrzmy się bliżej organizacyi i działalności tych instytucyi, które młoda społeczność demokratyczna do życia powołała. Naprzód Kółka samokształcenia jak są zorganizowane? Na zasadzie braterstwa i miłości wzajemnej i samodzielnej pracy nad rozwinięciem umysłu i wykształceniem charakteru. „Przygotować członków do życia obywatelskiego i społeczno-zawodowego" jest celem Kółek. Kółka te wytwarzają się zwyczajnie w łonie istniejących już instytucyi i najróżniejsze przybierają formy tak co do wewnętrznego urządzenia się, jak składu członków. Jedne składają się z ludzi już dojrzałych różnych zawodów, inne z kształcącej się młodzieży akademickiej czy gimnazyalnej, ogromna jednak większość składa się z młodzieży rzemieślniczej i terminatorskiej, opierającej się o różne stowarzyszenia już istniejące. Na członków atoli przyjmuje się tylko tych, którzy dobrowolnie się zgłaszają, którzy zobowiązują się regularnie uczęszczać na zebrania i odznaczają się pilnością w przygotowaniu referatów na nich przypadających. Skala członków prawie nigdy nie przekracza dwunastki.

Co się tyczy wewnętrznego urządzenia się Kółek, wielka panuje rozmaitość. Jedne mają stałego prezesa dobrowolnie przez członków wybranego, w innych Kółkach prezes zmienia się kolejno na każdem posiedzeniu. Jedne pobierają miesięczne wkładki od członków (25 albo 50 ct.) w innych zaś żadnych nie płaci się wkładek. Kółka nie mają żadnego statutu ani programu ogólnie przyjętego, są jednak pomiędzy sobą mocnymi spojone węzłami, które coraz silniej się zacieśniają w miarę uświadomienia sobie i pogłębienia wspólnych ideałów społecznych i potęgowania się pomiędzy niemi życia katolickiego. W łączności zaś pomiędzy sobą są Kółka wyłącznie tylko przez swój dwutygodnik *Sillon* i wspólne zebrania delegatów. I tak delegaci miejscowych Kółek schodzą się na wspólne narady co miesiąc,

okręgowe kongresy odbywają się co kwartał, ogólne według potrzeby co rok.

Jaka jest metoda kształcenia się w Kółkach i program naukowy? I tu rozmaitość jest wielka już z tej prostej przyczyny, że członkowie Kółek z najróżniejszych rekrutują się sfer. Metoda zaś zawsze zmierza do tego, aby rozwinąć w każdym zdolność krytyczną i sąd samodzielny. Każdy ma sobie wyrobić sąd o kwestyi omawianej na zebraniu, ma się sam przekonać i opanować przedmiot do tyla, aby go mógł bronić i rozszerzać swoje idee. Dlatego też w każdem Kółku wielką rolę odgrywa dyskusya, w której za każdym razem każdy zabiera głos. Nad dyskusyą, którą poprzedza krótki a treściwy wykład omawianej kwestyi, czuwa prezes albo jeden z naukowych doradców, przydzielonych do każdego Kółka (zwyczajnie ksiądz), aby nie przeszła w czczą lub bezowocną gadaninę lub kłótnię.

W Paryżu, obok redakcyi *Sillon*, istnieje dla Kółek osobna biblioteka i pracownia naukowo-literacka, w której każdy z członków znajduje pomoc naukową w książkach i wskazówkach, jak ma się uczyć, jak referat wypracować, jak przygotować się do dyskusyi.

Tematy, stanowiące treść referatu i dyskusyi, są różne i z różnych dziedzin nauki zaczerpnięte. Tak czytamy w jednej odezwie zapraszającej gorąco wszystkich ludzi chętnych do tych ognisk samokształcenia, iż program naukowy ogarniać ma wszystkie przedmioty, które każdy człowiek wykształcony znać powinien: „na pierwszem miejscu głębokie kwestye społeczne i religijne, które wpływają na życie nasze i w bezpośrednim z niemi są związku żywotnym. Ale oprócz tych kwestyi zajmować nas też będą w równej mierze kwestye literackie, naukowe, artystyczne i pogadanki naukowe — słowem, Kółka mają być naprawdę szkołą dobrego smaku i sądu“. Zwyczajnie jednak programy Kółek obejmują tylko kwestye ekonomiczne w bezpośrednim będące związku z codziennem życiem członków i aktualne kwestye religijne. W Kółkach paryskich, według sprawozdania pracowni socyalnej *Sillonu*, następujące tematy zajmowały umysły młodych demokratów:

Przedmioty, o które członkowie Kółek pytali się, nie były natury czysto teoretycznej. I to zrozumiałe: młodzież ta już mocuje się z trudnościami życia i interesuje się tem, co widzi i słyszy codziennie. To też wszystkie kwestye, które nam przedkłada, są w wysokim stopniu praktyczne.

Oto przedmioty odbijające wydatnie od ogółu materyi, stanowiącej w ciągu roku ubiegłego treść stawianych pytań. Naprzód co się tyczy kwestyi robotniczej: „Stosunek kapitału do pracy — Płaca — Spółki spółdzielcze — Stowarzyszenia zawodowe — Wypadki przy pracy i renta na starość — Spoczynek niedzielny — Praca kobiet i dzieci — Strejki — Sądy rozjemcze".

Na drugiem z kolei miejscu są kwestye, które w ciągu tego roku w szczególniejszy sposób zwróciły na siebie uwagę: „Wolność koalicyi — Kongregacye religijne — Miliardowy majątek kongregacyi — Wolność nauczania — Monopol szkolny — Jakie zadanie przypada państwu w zakresie nauczania — Monopol nauczania mający stworzyć jedność moralną kraju — Prawa dziecka tyczące się wolności wyznania — Moralność niezależna i moralność religijna".

Następnie kwestye religijne: „Stosunki Kościoła do państwa — Separacya Kościoła od państwa — Budżet wyznaniowy — Konkordat" — nie zapomniano też tradycyjnej kwestyi o inkwizycyi i nocy św. Bartłomieja.

W końcu szereg różnych kwestyi: „Co to jest państwo? jego zadanie, prawa i obowiązki — Pojęcie ojczyzny — Służba wojskowa — Antysemityzm — Dobroczynność publiczna i prywatna".

W ścisłej łączności z Kółkami samokształcenia są domy ludowe, zakładane przez chrześcijańskich demokratów. „Chcąc rozszerzyć nasze apostolstwo poza ciasny obręb Kółek kształcącej się młodzieży i skupić wszystkich bez względu na różnice przekonań", mówi ks. Marek, rozpoczęto zakładać domy ludowe wszędzie, gdzie się ku temu nadarzyła sposobność. Domy te, które czerpią całą żywotność swoją z Kółek młodzieży, rozwinęły się niebawem w żywotne ogniska wykształcenia i oświaty dla szerokich warstw ludu. Tam urządzają się dla terminatorów kursa z zakresu wykształcenia zawodowego, dla dorosłych interesujące i pouczające wykłady, dla kobiet wieczorki muzykalne. Trudy zaś urządzenia tych wykładów zawsze bierze na siebie młodzież z Kółek, która znając dobrze otoczenie, przynęca słuchaczy, wybiera tematy i zaprasza profesorów. „Wkrótce też, mamy nadzieję — mówi sprawozdawca na ogólnym kongresie

Sillonistów o domach ludowych[1] — że dołączymy (do domów ludowych) przedsiębiorstwa ekonomiczne, które przyczynią się do polepszenia położenia naszych zwolenników. Pomoc prawną i lekarską już zorganizowano, nadto urządzamy też małe wieczorki familijne, na które uczęszczają profesorowie, młodzież z Kółek i nasi zwolennicy, aby się nawzajem poznać...“

„Tylko niech ruch ten ludowy w Kółkach i domach ludowych nie uchodzi za rodzaj sportu zajmującego i oryginalnego — przestrzega na tem samem posiedzeniu ks. Marek. — Bawiące się braterstwo, którego objawy ograniczają się do chwil kilku w Kółkach na tygodniowych zebraniach, w życiu praktycznem zaś idzie braterstwo w poniewierkę! W Kółku mówisz sobie „ty“ z robotnikiem, którego na ulicy już nie pozdrowisz jako towarzysza... Skoro tylko ograniczać się będziemy na tem, że na zebraniach publicznych uznawać się będziemy za braci a poza zgromadzeniem już nie poważymy się zaprosić robotnika do naszego stołu dlatego, że on ma grubą rękę i źle się wyraża, socyaliści słusznie rzucić nam będą mogli w oczy te słowa: Wy urządzacie tylko farsy!“ (żywe oklaski).

Nie tylko ludzi, ale i rodziny trzeba połączyć. O co nam idzie. My chcemy wytworzyć rasę!“... (przeciągłe oklaski).

Obok stałej i regularnej pracy kulturalnej nad wychowaniem i wykształceniem robotników w domach ludowych, urządzają nadto katolicy-demokraci w ogniskach robotniczych raz po raz wielkie zgromadzenia publiczne. Cel tych zgromadzeń jest podwójny: raz, aby socyalistom pokazać na oko, że katolickie przekonania i poglądy i ideały społeczne nie lękają się światła dzisiejszej nauki, a powtóre, aby rozwiać te przesądy i fałsze, które jakby murem nieprzebytym odgradzają socyalistów od katolickich robotników.

W pracowni socyalnej *Sillonu*, gdzie skupia się i skąd rozchodzi się ruch chrześcijańsko-demokratyczny całego Paryża, jest zawsze ożywienie wielkie, jak w mrowisku. Ale dziś szczególniejszy jest do tego powód. Jutro ma się odbyć na odległem

[1] *Sillon*, 25 Février 1903: *Projet de Fédération des Instituts populaires.*

przedmieściu Paryża Charenton wielkie zgromadzenie publiczne, a tu chodzą uporczywie pogłoski po przedmieściu, że socyaliści zamierzają je rozbić w puch. Cóż robić?... Rozlepić nowe plakaty wzywające uczestników zgromadzenia do spokoju i ruszyć druchom na przedmieścia w pomoc ze strażą przyboczną. Tak też zrobiono.

Nocą rozlepiono na całem przedmieściu wielkie odezwy a w samym Paryżu dwaj młodzi gwardziści na bicyklach roznieśli rozkazy druhom paryskim, aby stanęli w oznaczonem miejscu w ordynku. Wieczorem na dwu olbrzymich wozach ruszyli wszyscy na miejsce zebrania. I trzeba było widzieć ten porządek wzorowy mimo pośpiechu największego: dopiero o godzinie siódmej wieczorem wysypali się z różnych warsztatów i biur i wykładów akademickich w różnych dzielnicach, jedni z *Villette*, inni z *Plaisance*, inni z *Gentilly*, a o godzinie $8^1/_2$ już każdy był na swoim posterunku. „Trudno sobie wyobrazić tę jazdę po przez Paryż, tę hałaśliwą wesołość druhów i prostą kolacyę spożytą z tak wielkim apetytem wśród jazdy“ [1]...

Zebranie było liczne. Około 500 robotników przybyło na zgromadzenie, z których większość stanowili socyaliści. Głównym mówcą jest ks. Marek, który wśród głębokiej ciszy wykłada jasno, treściwie, z ogromną siłą przekonania o demokracyi katolickiej we Francyi. Mowę jego przerywano raz po raz oklaskami zrazu cichymi, które później przechodziły w burzę. Po wykładzie nastąpiła dyskusya, i ta szermierka słowa, prowadzona z obu stron z godnością akademicką, jest niezmiernie charakterystyczna. Pierwszy wystąpił w szranki socyalista Gastellier, powitany oklaskami:

„Za wczesne są te oklaski, towarzysze — mówił — Obawiam się, że słowa moje zadziwią wielu z was; muszę bowiem wyznać, że na punkcie filozofii i ideałów w zupełnej jestem zgodzie z p. Marc Sangnier. Ale pocóż wprowadzać tu kwestye wyznaniowe? On nam powtarzał iż jesteśmy katolikami... Otóż nieprawda! wy nie jesteście katolikami. Wy, wy jesteście chrześci-

---

[1] *Sillon*, 10 Février 1903: *Une Réunion publique dans la banlieue.*

janami. I my również, my socyaliści, jesteśmy chrześcijanami, bo naukę Chrystusa wprowadzamy w życie. Lecz gdy spojrzymy na kaźnie i tortury w historyi, które katolicyzm zadał ludziom, mamy racyę powiedzieć sobie, że trzeba trzymać się zdala jak od dżumy, od wszystkich księży i od wszystkich religii, jakiekolwiekby one były".

Część słuchaczy klaszcze w dłonie, a Marc Sangnier podnosi się, aby odpowiedzieć.

Marc Sangnier: Kwestyę religijną wprowadziłem do dyskusyi, bom przekonany, iż katolicyzm jako religia pozytywna, jest prawdziwą potęgą społeczną, bo dziś zbyt często uważają go za wielką siłę reakcyjną.

Uznajecie jak i ja, iż pod względem społecznym jest pomiędzy nami pewna solidarność. Dobrze, ale ja znajduję i pod względem religijnym coś analogicznego w katolicyzmie. Co jest obcowanie świętych, mocą którego zasługi każdego wychodzą na dobre wszystkim innym, jeżeli nie solidarnością dusz? Oto przykład, jak pojęcie filozoficzne stało się w katolicyzmie faktem religijnym.

Katolicyzm, który głosi, że religia nie jest rzeczą prywatną, jest ze wszystkich religii najwięcej społeczną, podczas gdy protestantyzm jest podobny do liberalizmu ekonomicznego.

Co do drugiego punktu: mówiono tu o zbrodniach Kościoła: o nocy św. Bartłomieja, o dragonadach, inkwizycyi...

Głos: I o sylabusie!...

Marc Sangnier: Mówimy w tej chwili o zbrodniach Kościoła. Sylabus nie uśmiercił nikogo (śmiech).

Zadanie Kościoła nie spełniło się w jednym dniu. Katolicyzm rozrzucił ziarna społeczne, które powoli wyrosły olbrzymio. Tak Kościół nie zniósł niewolnictwa, on uczynił dużo więcej: bo ogłaszając światu godność ludzką, rozwijając w społeczeństwie poczucie braterstwa chrześcijańskiego, nie lękając się brać kapłanów i biskupów z szeregu niewolników, sprawił, iż niewolnictwo stało się niemożliwem.

Również wojna jest jedną z klęsk, albo jeżeli chcecie, jedną

ze zbrodni cywilizacyi dzisiejszej; ale wojny nie można żadną miarą przypisać Kościołowi.

Głos: Ale Kościół śpiewa *Te Deum* zwycięzcom.

Marc Sangnier: Tak, ale śpiew ten rozlegałby się o wiele potężniej jeszcze w dzień, gdyby święcono pokój powszechny (śmiech). Ale miarkuję, że czas dziesięciominutowy, który mi na odpowiedź wyznaczono, już upłynął...

Tow. Gastellier: To nic. Mów pan dalej. Pan mówisz bardzo interesująco.

Głosy w sali: Mówić dalej! Mówić dalej!

Marc. Sangnier: Kościół nigdy nie pochwalał wojny zaborczej. On pozwala tylko tak ludom jak jednostkom bronić swoich praw, nie przesądzając, czy wojna jest sprawiedliwa, czy nie. Ale Kościół z natury rzeczy wpływa na ludy pokojowo. A jeżeli kiedyś na świecie będzie dość sprawiedliwości i miłości braterskiej, aby uznać, iż wojna wydawać się będzie czemś ohydnem i zbrodniczem, jak niewolnictwo, będzie to zasługą Kościoła.

Co się tyczy inkwizycyi, to wprowadzono ją na żądanie heretyków, którzy woleli raczej poddać się pod sąd trybunałów kościelnych, niż trybunałów świeckich w sprawie herezyi...

Towarzysz Ternaux prosi o głos:

Z naszych syndykatów — mówił on — wyrzuciliśmy ryczałtem wszystkie religie, bo one opierają się na fałszywych zasadach, podobnie jak miłosierdzie, ktore upokarza tego, kto datek przyjmuje, i jak owa zasada „dajcie cesarzowi, co się cesarzowi należy". My przecież nie chcemy żadnego cesarza. My odrzucamy tę religię, bo ona jest dla nas kulą u nogi i powstrzymuje nasz postęp. Chwaliłeś pan co dopiero siostry miłosierdzia; przecież one pracują dla osobistej korzyści, bo dla zbawienia duszy, podczas gdy socyaliści pracują dla ludzkości.

Marc Sangnier: Towarzysz bierze miłosierdzie za jałmużnę. Miłosierdzie, to znaczy połączenie się dwu dusz: miłosierdzie głosi miłość. Chcąc być katolikiem, nie wystarczy powtarzać: „Panie, Panie", ale trzeba kochać Boga, kochając bliźniego.

Jest to również błędne mniemanie, że katolicyzm uważa

lęk przed piekłem za wyższą pobudkę czynów ludzkich. My mamy działać dobrze z miłości Bożej. Wszelako gdy kto działa z trwogi przed piekłem lub w nadziei nagrody niebieskiej, Kościół go nie potępia dlatego.

Towarzysz Ternaux: Nie wystarczy powtarzać ludziom, aby się miłowali. Nie zaszlibyśmy daleko, gdyby solidarność nie była obowiązkową...

Towarzysz Sangnier piękne mówił nam rzeczy: mówił o Bogu, w którego może sam nie wierzy.

W sali podnoszą się żywe protesty. Towarzysz Ternaux cofa swoje słowo.

Marc Sangnier: Mówisz pan: „że solidarność jest tylko czczem słowem, jeżeli nie jest obowiązkowa“, a ja pytam się, jak można zmusić człowieka, aby kochał bliźniego swego, jeżeli nie przez to, iż mu pokażesz, że to sam Chrystus, którego kochać należy w każdym człowieku; wszystko bowiem, co jest pięknego i szlachetnego w duszy ludzkiej, jest objawem życia Bożego. Tylko katolicyzm czyni solidarność obowiązkową“... i tak dalej.

Jak z przytoczonych urywków dyskusyi widać, dysputa toczyła się wyłącznie w dziedzinie kwestyi religijnych, choć odczyt był o demokracyi chrześcijańskiej na tle stosunków francuskich. Dysputy takie powtarzać się będą na każdem zgromadzeniu, choć przedmiot wykładu w bardzo luźnym nieraz jest związku z religią. Ale socyaliści francuscy już z szczególną predylekcyą lubią rozprawiać o katechizmie. Znać, że głód rzeczy wiecznych dojmująco bardzo daje im się we znaki...

Że zaś demokraci chrześcijańscy skwapliwie korzystają z każdej sposobności, aby do tych głów upornie trwających w błędzie, dotarła światłość Chrystusowa, któżby nie był wdzięczny za to. I socyaliści uznają to nieraz; pod koniec zebrania zniknęły obopólna niechęć i niedowierzanie. Ks. Marek wśród burzy oklasków opuścił salę. I „za każdym razem — mówi on — gdy zetknęliśmy się z ludem nawet nam wrogim, przekonaliśmy się na oko, że nasze idee i nasz zapał wnikały weń, poruszały go i pociągały. Bo w nim w rzeczywistości mieści się w zawiązku to, w co my wierzymy i do czego zdążamy. Pracując nad jego

wyzwoleniem, dziwno nam było, że niektóre mury przesądów tak zadziwiająco są słabe; wystarczy poprostu i ze serca tylko przemówić, a mury stare upadają, jak pod odgłosem trąb świętych". Tylko kto chce wystąpić w szranki religijnej dyskusyi, powinien mieć dużo miłości w sercu, i być uzbrojonym w umiejętność naszego wieku.

Wszelkie sukcesy na zgromadzeniach publicznych zawdzięczają chrześcijańscy demokraci przedewszystkiem zasadzie i cnocie miłości bliźniego, której owocami są lojalność, tolerancya i solidarność, szanowanie wolności zdania i godności człowieka. Gdzie jednak zachodzi potrzeba, tam oni siłę przeciwstawiają sile, energiczny opór i głośny protest wszelkiej przewadze zmierzającej do ukrócenia czy zdeptania wolności zdania lub słowa. W tym celu zawiązało się w łonie stronnictwa nowe bractwo rycerskie pod nazwą *Jeune Garde*. Statut wykreśla bractwu temu cele następujące:

1) starać się o utrzymanie porządku na zgromadzeniach urządzanych przez uniwersytety ludowe i wogóle przez Kółka katolickiej akcyi społecznej;

2) towarzyszyć mowcom katolickim, jako straż przyboczna na zgromadzenia publiczne i demonstracye zorganizowane przez przeciwników;

3) rozwijać propagandę katolicką i apostołować czynnie.

„Młoda Gwardya" powstała w obronie wolności słowa i dyskusyi. Postawiła ona sobie za zadanie umożliwić wykonywanie ustaw uznanych w teoryi przez wszystkich, ale w praktyce dotąd aż nadto iluzorycznych. Oddając swoje siły w służbę sprawiedliwości, mamy to przekonanie, iż pracujemy na prawdę nad rozszerzeniem zgody i pokoju, nad odrodzeniem w duchu tolerancyi i słuszności naszych obyczajów publicznych. I tak pielęgnujemy wśród nas ducha wolności i dajemy wszystkim, przyjaciołom i przeciwnikom, zbawienny przykład odwagi i umiarkowania...

Miłość pełna serca i poświęcenia powinna łączyć wszystkich członków Młodej Gwardyi. Jeżeli dyscyplina w służbie musi być twarda, to koleżeństwo natomiast ma zawsze być serdeczne pomiędzy młodymi, którzy się czują równymi wobec programu, jaki sobie wytknęli. Przyjmuje się też zwyczaj mówienia sobie „ty" bez różnicy stopnia.

Każdy ma być dbały o honor Młodej Gwardyi, zapomnieć o sobie i edynie troszczyć się o dobro wszystkich. Zapał i odwaga w połączeniu z zimną krwią i spokojem, są naszemi cnotami. Jedynie wiara

i moralność katolicka dają nam rękojmię, że te cnoty konieczne zdobędziemy sobie; tak tedy Młoda Gwardya katolicka wprowadzi w użycie to, w czem nasi przeciwnicy nas naśladować nie mogą...

Młoda Gwardya, której przyświecają widocznie średniowieczne ideały rycerskie, otoczyła się całym czarem prastarych brackich zwyczajów i obrzędów kościelnych. Jest tam i życie obozowe wśród rozgwaru światowego miasta i straż nocna odprawiana w mrokach świątyni przed Najświętszym Sakramentem i rodzaj ślubów rycerskich, składanych uroczyście po Mszy św. w krypcie kościelnej. Osobny uniform i dyscyplina wojskowa wobec najściślejszego braterstwa przyczyniają się wielce do utrzymania i podniesienia ducha rycerskiego. Oto jak opisuje jeden z młodych gwardzistów uroczysty akt przyjęcia. „Po oględzinach lekarskich, wódz nasz [1] G. Lastrat przypomina nam nasze obowiązki i prosi nas raz jeszcze krok ten rozważyć i czyta statuta...

Ale my już od dawna uczyniliśmy postanowienie i z wielką niecierpliwością oczekujemy uroczystego przyjęcia, które naznaczono na następną sobotę.

W dzień naznaczony wieczorem wzięliśmy po raz pierwszy nasz uniform na siebie: czapeczkę z czerwonym krzyżem i literą S, białą koszulę flanelową, czarną krawatę i szeroki pas wełniany, pantalony ciemne i pończochy. Kilku starych kolegów przybyło, aby nas odprowadzić z pracowni *Sillon* na Montmartre. Na Montmartre bowiem przepędzimy noc; tam przed ostatecznem przyjęciem po raz ostatni będziemy się modlić. Około godziny 9-tej udaliśmy się na szczyt wzgórza; schody ciągnące się w nieskończoność prowadzą nas na górę; przez labirynt kurytarzy i schodów nie błąkając się przybywamy do dormitarza, w którym wspólnie odmawiamy modlitwę wieczorną. Za chwil kilka rozpocznie się nasza krótka nocna straż. Rozmawiając przechadzamy się pod olbrzymią bazyliką w górze nad Paryżem, który zabiera się do snu...

---

[1] *Sillon*, 10 Mars 1903: *Une réception à la Jeune Garde* par Henry du Roure.

Bije godzina jedenasta. Wchodzimy do kościoła, gdzie ciemne i milczące mury z Panem Jezusem w jednej z kaplic otaszających chór czekają na nas.

Przez godzinę rozmawiamy z Panem, któremu chcemy życie nasze zupełnie oddać w ofierze. Młoda Gwardya przecież jest dla nas tylko środkiem, aby Mu służyć, bez blasku prawda, ale Mistrz nasz jest czułym na miłość drobnych i maluczkich. Z radością spełnimy naszą pracę nizką w przekonaniu, że ona przyda się na coś, że przez nią królestwo Boże tu na ziemi może o dni kilka się przybliży.

Jeszcze godzin kilka przebytych na pryczach a potem z brzaskiem dnia zgromadzimy się we wnętrzu krypty. Nasz kapelan odprawia Mszę św., podczas której wielu z nas przystąpiło do Komunii św.; po Mszy św. następuje krótka przemowa, poczem jeden z postulantów, klęcząc u stóp ołtarza, czyta modlitwę, po skończeniu której każdy kolejno zbliżając się do ołtarza dołącza swe rycerskie przyrzeczenie".

Francya obecnie przechodzi ciężkie przesilenie. Wre tam straszna z sekciarską zaciekłością i przez sekciarski rząd prowadzona walka religijna, której rozmiarów i skutków dziś jeszcze nikt przewidzieć nie zdoła. Ale patrząc się na ten ruch młodzieży potężny i żywotny, na walki i prace i dzieła tych zapaśników sprawy Bożej, podjętych i dokonanych wśród ludu i w szerokich sferach inteligencyi, któżby wątpił o żywotności i przyszłości tego narodu. Lud, który przechowuje w swojem sercu taki olbrzymi zasób sił moralnych i świętego zapału, naród, którego młodzież świadoma celu i w zwartych falangach pracuje nad jego odrodzeniem, choćby stał nad brzegiem przepaści, podźwignie się, choćby przeszedł przez krwawe burze wojny domowej, odrodzi się, bo młodzież przechowa jego dawną wielkość i strzedz będzie jego świętych ideałów i na gruzach rozwalonych kościołów, bo żywotność i potęga żarliwej i czystej młodzieży jest niewyczerpana, nieprzezwyciężona.

I nasz naród również ciężkie przechodzi przesilenie. Na ciemnem tle powszechnej nędzy ekonomicznej, która tak stra-

sznie przedewszystkiem ludowi daje się we znaki, krzewią się bujnie nasze dawne przywary narodowe, a młodzież nasza, czy równie wzniosłe ma przed sobą ideały? Gdyby u nas wśród ludu i mieszczaństwa, po wsiach i miastach, w Kółkach rolniczych i po stowarzyszeniach różnych zapłonęły wszędzie jasne ogniska samokształcenia, w których pielęgnowanoby i rozszerzano święte ognie ducha i życia prawdziwie chrześcijańskiego i narodowego, gdyby nasza młodzież katolicka świadoma celu i środków prowadzących do celu podała rękę chłopom i rzemieślnikom, aby ich podźwignąć z poniżenia i ciemnoty i nędzy, kraj niewątpliwie wkrótceby się podźwignął i wzmógł w siły i wstąpił na drogę żywotnego rozwoju wszystkich sił narodowych.

Pod koniec XVIII wieku powołał do życia ks. Marek zakon rycerzy i Konfederacyę Barską, w której się „jaśnie wybijał duch i majestat konającego wśród przeciwieństw narodu". Któż wie, może w XX-tym duch chrześcijańskiej demokracyi wzbudzi nam nowych rycerzy i nowych zapaśników ruchu ludowego, w którym wybije się na jaśnię duch i majestat powstającego wśród przeciwieństw narodu. A wtedy Polska, która była „zaczarowanym olbrzymem", jak olbrzym „z własnej wydźwignie się niemocy".

Ks. Leonard Lipke.

„ZATOPIONY DZWON“ HAUPTMANNA A NIETZSCHE.

(Dokończenie).

Człowiek żyjący w dolinie *(Talmensch)* i żyjący w górach *(Höhenmensch)*, dzwon zatopiony w górskiem jeziorze i dzwon nowy, brzmiący wysoko w górach, są to przeciwieństwa i kontrasty, ścierające się z sobą i walczące o swą egzystencyę. Henryk, dawny człowiek doliny, już nie istnieje; wszak nie udał mu się ostatni dzwon i nie podobał się dyssonans jego głosu. Odkąd dzwon zatopił się w jeziorze, obrzydło mu wszystko; duszno mu w ciasnej i parnej atmosferze nizin, już go nie zadowalają stare a banalne zapatrywania i ideały ziomków; rzuca tedy je wszystkie, opuszcza dom i rodzinę, wspina się na wyżyny, żeni się z rusałką, i jako człowiek wyżyn, rozpoczyna szczęśliwe życie. Zrzucił z siebie wszelki przymus zewnętrzny, zerwał wszystkie więzy praw i moralności, ścieśniających i krępujących jego swobodę; żyje odtąd wolny jak ptak w powietrzu.

Jestem uzdrowion — tak! i odnowiony...
Dziś to po wszystkiem czuję — po mej piersi,
co się tak zrywa do rozkosznych, siły
pełnych oddechów, przyczem tak mi błogo,
jakby się wiosny cisnęła potęga
do mego serca... Czuję po żelaznem
ramieniu mojem, czuję po tej ręce,
co, jak krogulcze szpony, ku powietrznej
tak się otwiera pustce i zamyka,
niecierpliwości pełna, pełna żądzy
twórczego czynu! (85)

W tych górach, gdzie mieszka swoboda i wolność, zakłada kuźnicę i nowy dzwon odlewa,

Z przecudownego kruszcu dzwon grający,
który sam z siebie wysnuwa swe dźwięki. (87)

Pomaga mu w tem dziele Rautendelein, która zewsząd znosi kochankowi skarby gór i ziemi, kryształy, klejnoty, złoto, dyamenty; służą mu elfy, karły górskie, waląc młotami w kowadła; pracuje dla niego i Nickelmann i Waldschrat, choć z wściekłą zazdrością w sercu na widok szczęścia mistrza. Wszystko ma na swoje skinienie, bo też to dzieło jedyne w swoim rodzaju, dzieło przynoszące spokój i szczęście, wolność i swobodę nie tylko jemu, ale i całemu światu. W jego szczęściu ma mieć udział ludzkość cała, jej poświęca on całą swoją siłę i geniusz twórczy. On pragnie

na tej wyżynie
nowy położyć fundament — zaprawdę!
nowy fundament pod nowy przybytek! (87)

Ten nowy przybytek szczęścia, otwarty na oścież dla całej ludzkości, ma według myśli Henryka zastąpić stary porządek świata, chrześcijaństwo. Nie dziw przeto, że taranem nienawiści w nie godzi i przedstawia je w poniżającem świetle jako coś uwłaczającego godności człowieka. „Ohydne plemię!“ — woła Waldschrat,

Nic mnie tak zgrozą nie napełnia zgoła
jak kiedy widzę budowę kościoła,
a i te dzwony przeklęte! (7)

Najostrzejszą krytykę i potępienie religii chrześcijańskiej, którą chce Hauptmann ręką mistrza Henryka pogrzebać, kładzie w usta starej Wittich:

Przestańcie!
Znam ja te wasze kazania... Wiem dobrze:
Zmysły to grzechy, a ziemia to trumna;
błękitne niebo to wieko na trumnie;
gwiazdy to dziurki, a słońce to znowu
wielka jest dziura do patrzenia w przestwór.
Światby zaginął, jeśliby nie było
księży, a Pan Bóg to jest strach na wróble.

Rózgi trza na was: wywłoki jesteście
i na tem koniec. (31)

Dlatego też pszczółka jest w niełasce u niej, „że wosk na świece daje do kościoła“ (2).

Takie i tym podobne ataki przypuszczają duchy leśne na chrześcijaństwo. Że to nie są tylko czcze wyrazy pogańskiego świata bajek, lecz słowa wypowiedziane na seryo, dowodzą tego zasadnicze myśli dramatu i różne wynurzenia Henryka. Tak porównywa on chrześcijaństwo z szarym obłokiem,

Co nas przygniatał całą długość zimy (89),

albo z dzwonem sklejonym sztuką motłochu z pychy, żółci złości i zła wszelkiego, na to, aby wydzwaniał pieśń na cześć głupoty (96). Stosownie do celu wybrał też autor takich reprezentantów chrześcijaństwa, którzy je tylko w pogardę podają, jak np. ów proboszcz, postać na pół komiczna, człowiek dość ograniczony, którego ostatnim argumentem jest stos, zapalony dla czarownic i kacerzy.

Jeden z krytyków niemieckich[1] zauważa, że słuszność wymagała, ażeby zaczepiony chrystyanizm pojawił się w dramacie w jakimś przedstawicielu godnym, jakich historya wskazuje — niech wtedy okaże się, po czyjej stronie słuszność.

Zdaniem naszem, dysputa polemiczna z takim św. Tomaszem z Akwinu, lub z Mallinckrodtem, byłaby dla mistrza Henryka zbyt wielkim zaszczytem, a zarazem bezowocną, dla tej prostej racyi, że ten założyciel nowej religii nie pojąłby zgoła doniosłości, choćby najwięcej przekonywujących argumentów. Dlaczego? Postać mistrza Henryka sprawia na nas wrażenie, że mamy do czynienia raczej z umysłowo chorym fantastą i marzycielem, którego żaden rozsądny człowiek na seryo nie bierze. Henryk należy właściwie przed forum psychiatry i pod opiekę lekarza. Przeczytajmy tylko w całości ustęp, w którym Henryk marzy o nowej religii, a doznamy z pewnością tego, a nie innego wrażenia. Mamy tu na myśli ową obszerną scenę, w której

---

[1] Schneidewin: *Das Rätsel des G. Hauptmannschen Märchendramas „Die versunkene Glocke“ und seines märchenhaften Erfolges.* Leipzig, pag. 52.

pleban i Henryk, człowiek dolin i wyżyny, rozbierają i przeciwstawiają w żywych kontrastach swoje własne a wzajem sobie przeciwne zasady i zapatrywania. Henryk wita zrazu księdza z radością, gdy go w nowej pracowni ujrzał; sądził bowiem, że i jemu zachciało się być „oświeconym, wolnym“.

Nie spodziewałem się, że was pierwszego
powitam tutaj, na tem spornem polu
mego działania... Podwójnie się cieszę:
Widać to przecież, że moc posiadacie
i powołanie, miłość... Silną pięścią
rwiecie mordercze powrozy urzędu,
aby uciekać precz od służby ludzkiej
i szukać Boga!... (83)

Następnie opisuje mu swoją nową świątynię:

Mówię o tem drzewie,
co jest, jak owa wieczorna, kwitnąca
chmurka, gdyż na nie bóg Freir dziś spłynął.
Dziwnie głębokie, przerozkoszne szumy
leją się na was, gdy pod niem stoicie;
zbieraczy miodu niezliczone roje
krążą z żądliwym pobrzękiem naokół
wonnego kwiecia! Czuję, że dziś jestem
jak to drzewo! Jak w gałęzie jego
tak też bóg Freir spłynął w moją duszę
i ta od razu spłonęła kwieciem!
Niech się więc pszczoły gromadzą spragnione.

KSIĄDZ.

I owszem... dalej!... chętnie was posłucham,
chełpcie się tylko — wy i wasze drzewo,
ale u Boga, czy owoc dojrzeje?

HENRYK.

Tak, przyjacielu! Cóż nie jest u Boga?
Dwadzieścia sążni w przepaść on mnie strącił
i on mnie podniósł, że dziś oto kwitnę!
Z niego kwiat idzie i owoc i wszystko!
Lecz wy go proście, aby błogosławił
latu!... Zaprawdę! to, co rośnie we mnie,
godne jest tego, by się rozwinęło,
godne, ażeby dojrzało. Wierzajcie!
Nigdy o lepszem nie myślałem dziele:
Z przecudownego kruszczu dzwon grający,
który sam z siebie wysnuwa swe dźwięki.

Gdy dłoń, jak muszlę do uszu przyłożę
i nadsłuchuję, to pieśń jego słyszę —
gdy zamknę oczy, najczystszego wzoru
kształt mi za kształtem staje tak wyraźnie,
że tylko chwytać rękami. Patrzajcie!
Tego, co dzisiaj przypadło mi w darze,
śród niewymownych szukałem udręczeń,
kiedyście mistrzem zwali mnie szczęśliwym
a dzisiaj jestem szczęśliwym i mistrzem! (86, 87)

Kiedy zaś pleban, jako człowiek praktyczny, żąda od mistrza, aby go dokładniej pouczył o istocie i własnościach tego nowego dzieła, wpada ten w ekstazę, i z wielkim zapałem deklamuje o nowym religijnym systemie:

Jak chcecie,
Zwijcie me dzieło, które sam nazwałem
dzwonem grającym. Lecz wiedzcie to jedno:
Żaden tum jeszcze nie miał w swej dzwonicy
Dzwonu o takiej wszechpotędze dźwięku,
równającego się pramocą swoją
grzmotom wiosennym, które hutnym rykiem
wstrząsają przestwór ponad pól zielenią;
niechaj więc głosem piorunowych trombit
do zamilknięcia zmusi dzwony wszystkich,
wszystkich kościołów i potem, w tryumfu
ton uderzywszy, niech obwieszcza światu,
że się dlań nowe narodziło światło.

* * *

Pramatko słońc! twe i moje dzieci,
wyhodowane mlekiem twoich piersi,
i te z brunatnej wywiedzione ziemi
przez ten wieczysty strumień karmiodajnej,
ciepłej ulewy: odtąd one będą
wyrzucać z siebie przeradosne hymny
ku twym jedynie promienistym torom,
w górę, ku niebu!... Wreszcie, jak w tej ziemi,
co, wczoraj jeszcze w szary śnieg zasnuta,
dzisiaj miękkiemi zielenieje łany,
tak chęć poświęceń wzbudziłeś i we mnie,
cały się tobie poświęcam, o słońce!

* * *

O dniu światłości, w którym po raz pierwszy,
z hal marmurowych mej kwietnej świątyni,

rozbudzający wyszedł grzmot, — o święty
dniu, w którym z wnętrza szarego obłoku,
co nas przygniatał całą długość zimy,
upada znowu szumny deszcz klejnotów,
po które sięga milion rąk spragnionych,
aby, spalone czarodziejską siłą
tych drogocennych kamieni, od razu
ponieść do chat swych te skarby bogate:
a tam, jedwabne chwyciwszy chorągwie,
które czekają na nie — ach! od kiedy? —
idą pielgrzymką słoneczni pielgrzymi,
na wielkie święto.

* * *

O księże! to święto!
Znacie przypowieść o zbłąkanym synu:
to matka-słońce gotuje to święto
swym marnotrawnym dzieciom. Ogarnięte
powiewających chorągwi szelestem,
tłumy te śpieszą do mego kościoła!
I ten cudowny dzwon mój, dzwon grający,
dźwięków wabiących słodkim dźwięczy żarem,
że każde łono łka radosnym bólem:
pieśń zapomnianą śpiewa i przebrzmiałą
pieśń stron ojczystych, kołysankę lubą,
z baśni głębokich zaczerpniętą źródeł —
wszystkim tak znaną, a niewysłuchaną...
A gdy rozpocznie tajemniczo, tęsknie
i boleściwie rozbrzmiewać boleścią
pieśni słowiczej, to znów rozgruchanych
gruchem gołębi, wówczas piersi ludzkich
pękają lody; wówczas gniew i zawiść,
złość i ból we łzach topnieją gorących. —
I tak stajemy wszyscy u stóp krzyża
i, we łzach jeszcze, radosne wznosimy
hymny do góry, gdzie — wreszcie! słoneczną
zbawiony mocą w wszystkich czasach wiosny
zstępuje ku nam promienny, wieczystej
pełen młodości, uśmiechnięty młodzian. (89—91)

Wobec tego ze zdziwieniem czytamy wyrazy uniesień wielu krytyków, którzy w tym pobrzęku słów chcą widzieć głębokie i wzniosłe prawdy, tę nadętość i grę słów witają jako przejawy prawdziwego geniuszu i zapowiedź nowej ery oświaty i sztuki, a co najdziwniejsza, porównywują tego fantastę z Faustem,

i obok niego go stawiają. „W wspaniałych, z elementarną siłą (!) i rzetelną pięknością rozlewających się potokach wymowy Mistrza Henryka — pisze Flach [1] — odzywa się potężnie Faustowski (?) tytanizm, przed którym z przestrachem żegnają się ludzie zwykłej miary, których przedstawicielem jest w tej scenie proboszcz“. I dalej mówi [2]: „Niewątpliwie rozmowa Henryka i księdza należy do najwspanialszych (?), najpotężniejszych ustępów, jakie wydała z siebie poezya nowoczesna, niewątpliwie tytaniczne porywy ducha ludzkiego wyrażone są w niej potężnie i dobitnie“. Rydel [3] nazywa cały ten ustęp „wspaniałą tyradą, w której nie wiedzieć, co piękniejsze: czy rozpędowa siła liryki, czy barwność i świeżość poetyckich obrazów“, i zalicza tę tyradę do najświetniejszych (!) wierszy w niemieckiej współczesnej poezyi; „jest w niej silny i szczery krzyk duszy wielkiej, szlachetnej i dumnej, która się rwie ku światłu, w przyszłość, do nowych prac i nowych celów“ [4].

Że niejeden wiersz w całej tej długiej tyradzie jest piękny i udatny, nie przeczymy, ale prawdziwie wielkiej siły i Faustowskiego tytanizmu doprawdy dopatrzyć się trudno. Przedewszystkiem i na pierwszem miejscu żądać musimy od takiego Fausta i tytana jasności poglądów, celu, dla którego walczy i który chce osiągnąć, a tu mamy słowa, słowa, i to nic nie mówiące słowa. Świadomości dróg, prowadzących do celu, konkretnego uchwytnego ideału niema. Porównajmy tylko tego Henryka z Faustem, który przecież wogóle jasno widzi, o co walczy, któremu wiadomym jest cel dążeń — a ujrzymy jasno różnicę.

Wszystko tu jest marzycielskiem rojeniem. „Napróżno wyciąga człowiek z tą ziemią związany, ku temu ideałowi swe ramiona; w najlepszym razie wyłoni się zeń jakieś *fata morgana,* jak ono wyzwolenie rodzaju ludzkiego od wszelkiego cierpienia i zła, które Henryk uważa za możliwe wtedy, gdy kult słońca

---

[1] J. Flach: „G. Hauptmann“. *Przegląd Polski* 1897, p. 63.
[2] ib. p. 65.
[3] *Biblioteka Warszawska* 1897, tom III, p. 84.
[4] ib. p. 84.

zajmie miejsce chrześcijańskiej religii“ [1]. I cóż ostatecznie ma znaczyć ów nowy kult słońca, to „powszechne święto słońca“, które ma być zaprowadzone? Jakie znaczenie ma mieć słońce wogóle dla tej religii przyszłości?

Pramatko słońce! twe i moje dzieci,
wyhodowane mlekiem twoich piersi
odtąd one będą
wyrzucać z siebie przeradosne hymny
ku twym jedynie promienistym torom;
cały się tobie poświęcam, o słońce! (89)

lub:

Słońce ja jestem podrzuconem dzieckiem,
co tak bezwładnie — licha garstka nędzy —
rwie się ku swojej macierzy. (139).

a potem kończy wykrzyk umierającego Henryka:

słońce, słońce nadchodzi!

Czy tu mowa o rzeczywistem słońcu, które żąda od nas czci i wdzięczności za to, że udziela nam światła, ciepła i życia? Czy może ludzkość w tej religii przyszłości ma zamiast Boga, sumienia i etycznych zasad postawić naturę ze słońcem, jakby jej środowiskiem, jako normę i przedmiot czci i uwielbienia? Słusznie tedy można zarzucić tu z Freimuthem [2]: „Gdyby ten nieszczęśliwy odlewacz dzwonów, mimo rzekomego uzdrowienia przez rusałkę, nie dawał oczywistych znaków silnego wstrząśnienia mózgu, toby sobie może przypomniał, że to kochane słońce już przed tysiącami lat było dla szukającej Boga ludzkości przedmiotem adoracyi. Ta myśl zatem nie może mieć żadnej pretensyi do jakiejś nowości. Gdyby atoli poeta zamierzał na seryo w tej dobie tak pełnej walk i zwątpień religijnych szerzyć propagandę tego prastarego, lubo wzniosłego, lecz pogańskiego pojęcia o Bogu, musielibyśmy go uważać za dziwacznego marzyciela; idealistą nie byłby on nigdy“.

Czy też może ma być słońce symbolem umysłowego światła, które płynie z wyższego i pełniejszego poznania rzeczy, czyli

[1] Freimuth: *Bim! baum! Ein Beitrag zur Klärung des Urteils über G. Hauptmanns: „Die versunkene Glocke“.* Berlin, p. 26.

[2] l. c. p. 26.

ma nam przedstawiać niezależny i w najwyższym stopniu oświecony rozum, który sam jeden zdoła kierować ludzkością i prowadzić ją do najwyższej doskonałości? Lecz jakąże wtedy rolę odgrywać ma Pan Bóg, którego Henryk tak często wspomina, w owym słonecznym systemie, jeśli samo słońce wystarcza? Jak rozumieć wtedy owe entuzyastyczne zwroty:

Otwórzcie okna: światła nam i Boga! (83)

albo:

Tak, przyjacielu! cóż nie jest od Boga?
Z niego kwiat idzie i owoc i wszystko! (86)

Cóż znaczą dalej w tym kulcie słonecznym owe pogańskie bogi dawnych Germanów, wprowadzane przez Henryka bez żadnego umotywowania? Co znaczy ten bóg Freir, który zstąpił do jego duszy (86), albo Balder, którego ogień z jego źrenicy wyziera? (82). Ten brak jasności, ta gmatwanina, zestawiająca razem Boga, Zbawiciela, Krzyż i Światło ze słońcem, Freirem, Balderem i t. p. dowodzi najlepiej, że nie mamy do czynienia z jakimś tytanem, Faustem, ani nawet z prawdziwym idealistą, lecz z chorym fantastą.

Spróbujmy teraz na podstawie dalszego przebiegu akcyi wyjaśnić fundamentalny dogmat nowego systemu religijnego, tak, jak go wymarzył Henryk i przedstawił nam w swej ekstazie w owej bajecznej krainie; wyjaśni się tym sposobem dokładniej zasadnicza myśl, służąca za podstawę tego dramatu.

Przypatrzmy się najpierw drugiej głównej postaci, rusałce Rautendelein i jej stosunkowi do mistrza. Kto ona? Poeta chce ją mieć „sylfidą“, obdarzoną czarodziejską siłą. Mimo to nie możemy w niej, jak chce Helmer [1], „dostrzedz owej pełnej życia, poetycznej niemieckiej rusałki“, lecz raczej widzimy istotę bardzo do zwykłych kobiet zbliżoną. Słusznie zarzuca Freimuth [2], że istota ta nie powstała z poezyi ludowej, podobnie jak „piękna Melusine, Undine lub też Loreley“, lecz że swój artystyczno-mityczny byt zawdzięcza tylko mózgowi poety XIX wieku.

[1] Helmer: *Das symbolische in G. Hauptmanns Märchendrama „Die versunkene Glocke“*. 2 Aufl. Breslau 1897, p. 10.

[2] l. c. p. 20.

Łatwo odrazu zgadnąć, że Rautendelein wprowadza poeta umyślnie jako postać symboliczną, i że służy mu ona do wyrażenia pewnej jego idei.

Tą podstawową ideą nie jest nic innego, jak zasada wolności, która wybija się ponad wszelkie boskie i ludzkie prawidła, odrzuca wszystko, co ją ścieśnia i krępuje.

Henryk nie mógł pierwej żyć jako człowiek wyżyn i nadczłowiek, jako geniusz, dopóki się nie połączył z rusałką. Tej przeto indywidualnej wolności, temu nowemu artyzmowi i życiu dla sztuki poświęcił wszystko. Już go teraz nic nie obchodzi ta „stara księga, do której przykuta jest ludzkość w nizinach“, t. j. Pismo św. i jego prawdy, nie zna już granic moralności, opuszcza żonę i dzieci: tak czyni, bo jest symbolem modernistycznego geniuszu, który ma święty obowiązek strzedz swej wolności osobistej, o sobie tylko myśleć i pamiętać, choćby i przez to miał zrujnować szczęście drugich. Wie on wprawdzie dobrze o tem, że przez tego rodzaju nowe życie wydziera życie najdroższym osobom, wie, że „żona tęskni i dziateczki wciąż tylko piją łzy matki“ (93) — ustąpić mu jednak nie wolno.

Wyrzec się tej wszetecznej miłości ku rusałce, znaczyłoby wyrzec się samego siebie, ścieśnić swą wolność, czyli byłoby to występkiem, ponieważ to tylko może on uznać za dobre, co mu do osiągnięcia celu dopomaga. Widzimy, że Hauptmann ten sam problem, który w swoim utworze *Einsame Menschen* tylko napomknął, tu w „Zatopionym dzwonie“ przeprowadza z całą konsekwencyą. I w owym wcześniejszym jego utworze mamy „człowieka wyżyn“ w Janie Vockerat, który dlatego czuje się nieszczęśliwym, że oddana mu całem sercem żona, nie może myślą swoją podążać za nim w jego naukowych badaniach; nie może pojąć i doścignąć polotu jego myśli. Wszystko to: podziw, zrozumienie, zdrowy sąd, znajduje dopiero w pożyciu z rosyjską studentką, Anną Mahr. Przy niej nabiera on zarazem nowej sprężystości i energii do wykonania swego wielkiego dzieła, nie troszcząc się o to, że tym sposobem gubi rodziców i żonę. Poprzedniczka rusałki Rautendelein, Anna Mahr, widzi wprawdzie dobrze, że jej uporczywe przebywanie w obcym domu

podkopuje szczęście i spokój rodziny, że miłująca Jana żona, ta ofiara jej egoizmu, z dnia na dzień w oczach niknie — lecz to wszystko jej nie wzrusza. Zostaje, i coraz silniejszemi i nowemi więzy krępuje serce Jana. Gdy zaś wkońcu zmuszona, ustępuje z domu, to i Jan szuka zrozpaczony śmierci w głębinach jeziora.

Przewodnia zatem idea jest w obydwu dramatach ta sama. Tylko Jan nie odważa się jeszcze na ostatni krok w kierunku wolności — szuka wybiegu w samobójstwie. Jego godny następca Henryk jest bardziej konsekwentny, zrywa zupełnie ze sposobem życia ludzi dolin i żyje w górach z rusałką w wolnej miłości, oddany wolnej sztuce. Nowy Kościół, jego ręką zbudowany, w celu uszczęśliwienia własnego i całej ludzkości, ma za fundamentalny dogmat: *Jenseits von Gut und Bös* — życie nadczłowieka.

W nim ma ludzkość, zrodzona do swobodnego życia, być uwolnioną od kajdan chrystyanizmu, od trzymania w karbach namiętności. „Dźwięk wiosenny nowego i cudownego dzieła swego ma wstrząsnąć przestwór cały i zmusić dzwony wszystkich kościołów do zamilknięcia (89); śpiewać ma pieśń zapomnianą i przebrzmiałą, pieśń stron ojczystych, kołysankę lubą (90). W tej nowej religii nie będzie różnicy między złem a dobrem, nawet Chrystus, który świat kiedyś zbawił na krzyżu, teraz zstąpi z niego, bo w tej krainie pokoju i szczęścia niema miejsca na krzyż i cierniową koronę; ten Chrystus umierający przemieni się w młodziana promiennego, uśmiechniętego (91).

Ten wspaniały stan rajskiej szczęśliwości ma niestety ku rozczarowaniu wszystkich ludzi nastąpić dopiero w przyszłości a nawet sam Henryk nie dojrzał jeszcze na tyle, aby pierwszy mógł bez przeszkody używać tego najwyższego szczęścia. Proboszcz, który go odwiedził w górach, aby owcę zbłąkaną przyprowadzić do owczarni i oddać strapionej rodzinie, widząc, że wszystkie nalegania i prośby są bezskuteczne, grozi mu strasznymi wyrzutami sumienia, mówi, że nadejdzie dzień taki, w którym pośród mar swoich „przeszyje cię strzała pod samem sercem i ni żyć ty będziesz, ani też umrzesz i przeklinać bę-

dziesz siebie, świat, Boga, swe dzieło i wszystko“; (96) „że ów dzwon, ten dzwon, w przepaści żądzy, padł w bezdnie i leży w jeziorze, ozwie się na pewno“. (97) I proboszcz miał słuszność. Henryk odtąd jest niespokojny, zaczyna tracić wiarę w siebie i w dzieło swoje. Wprawdzie pracuje od rana do nocy z karłami, ale dzieło nie postępuje tak raźno naprzód, jakby chciał, stąd też zadowolenia prawdziwego znaleźć nie może. Straszne sny go dręczą i obawa wstępuje w serce. Raz jeszcze powstaje aby obronić się przed mieszkańcami doliny, którzy wdarli się na góry, chcąc ukarać i wypędzić go za to, że wzgardził religią przodków i ich obyczajami. Silną dłonią ciska odłamy skał na napastników i odpiera ich. Nowa otucha wstępuje w niego— wtem dolatuje go nagle jękliwy dźwięk dzwonu, dźwięk znany mu, straszny. To stary zatopiony dzwon odezwał się. Coraz głośniej rozbrzmiewa jęk dzwonu, a jękowi wtóruje straszny głos sumienia w duszy Henryka. Już teraz pokoju znaleźć nie może. Spełniła się przepowiednia proboszcza. Strzała skruchy przeszyła go. I cichutko, jak widmo dwie małe postaci pną się zwolna pod górę. To jego dzieci. Ciężki dzbanuszek dźwigają z trudem. Przynoszą mu łzy matki i pozdrowienie od umarłej, która leży na dnie jeziora górskiego. I znowu dolatuje go dźwięk dzwonu z przepaści, tylko groźniej, straszniej i chwyta go żal, rozpacz. Sumienie się odzywa głosem strasznym i wtedy cała jego wściekłość zwraca się przeciw rusałce. Odpycha ją od siebie, przeklina ją, siebie i dzieło swoje:

Nienawidzę ciebie!
Pluję na ciebie! precz ty! precz upiorze!
precz czarownico! precz przeklęty duchu!
precz! precz! przekleństwo na ciebie i na mnie
na moje dzieło i na wszystko! (126)

W tej cudownej, arcypoetycznej scenie wyraził Hauptmann tę głęboką prawdę, że nie ujdzie to bezkarnie, gdy człowiek targnie się na prawa moralności i porządek świata.

Błędnem byłoby jednak w tej idei szukać rozwiązania węzła dramatycznego. Nie brak krytyków, którzy tendencyę całego utworu widzą właśnie w przedstawieniu tej prawdy, dla-

tego wydaje im się akt V całkiem zbyteczny. Rydel np. twierdzi, że akt V z całej sztuki jest najsłabszy, chaotyczny, poplątany, dosztukowany i zupełnie zbyteczny [1]. Flach również jest tego zdania, że ostatni akt treści ma za mało i jest tylko poświęcony parze nieszczęśliwych kochanków; odmalowaniem stanu ich duszy, zwłaszcza bezgranicznego smutku rusałki Rautendelein i jako taki stanowi muzykalne zakończenie dramatu, choć przed jego rozpoczęciem księga zewnętrznych dziejów dramatu jest zamknięta [2]. Dlaczego? Bo, zdaniem obu, główna myśl, przewodni motyw całego utworu jest przedstawieniem głębokiej tragedyi miłości pomiędzy śmiertelnikiem i rusałką; a kiedy dzwon się budzi i dźwiękiem go przeraża, do rozpaczy doprowadza, nie jest to już dawne nieudane dzieło swego twórcy, nie ma związku z tytanicznymi jego porywami, lecz jest tylko symbolem przynależności do ziemi, zwiastunem kary za sprzeniewierzenie się żonie, za opuszczenie dziatek. Henryk ginie, Rautendelein zamiera w objęciu Nickelmanna dlatego tylko, że pokochali się oboje, nie bacząc, że dzieli ich cały świat, że człowiek bezkarnie się człowieczeństwa pozbyć nie może, ani rusałka stać się ludzką niewiastą [3].

Zdaje nam się, że wyżej wspomniani krytycy są w błędzie i za mało zastanawiali się nad koniecznym związkiem piątego aktu z całością. Nie tylko, że akt piąty nie jest niepotrzebnym, ale tak ściśle łączy się z całością dramatycznej akcyi, że jest niejako koroną i kluczem do zrozumienia podstawowej idei. Nie dlatego ginie mistrz Henryk, że łączył się ze światem baśni, z rusałką, ale dlatego jedynie, że wrócił z tej krainy na ziemię, że opuścił Rautendelein, że poszedł za głosem sumienia. W tem leży cała jego wina, że dał się skusić odgłosom starego zatopionego dzwonu, łzami żony i dzieci, że nie wytępił jeszcze w sobie głosu miłosierdzia, współczucia obowiązku, moralności; że był nawet tak słabym, iż dał się opanować wyrzutom su-

---

[1] l. c. p. 88.
[2] l. c. p. 69.
l. c. p. 74.

mienia. Dlatego też woła Rautendelein za odchodzącym Henrykiem, że wszystko przepadło, dlatego zaraz na wstępie aktu piątego skarżą się żałośnie elfy, że Balder, ów Bóg jasności i światła, umarł. Tak! Henryk powołany na to, aby jako nadczłowiek rozpocząć życie rajskiej szczęśliwości i wyrwać ludzkość z dwutysiącoletniej niewoli i ciemności, oswobodzić z pętów starej religii i moralności, okazał się niezdolnym do tak wielkiego czynu. Została w nim cząstka dawnych zasad, dawnej moralności, moralności hołoty i niewolników *(Sklavenmoral)*. Jest za słaby, bo nie wytrzymuje najcięższej próby, t. j. widoku z jego winy umarłej żony i dzieci znędzniałych. Przeklinając i odpychając od siebie rusałkę, to „skrzydło swego ducha“, „życie odtrącił od siebie i jak najlichszy uczniak uciekł od swego dzieła“ (140). Tem samem wyrządził też krzywdę nie do darowania całej ludzkości, słuszną więc ponosi karę i ginie. Henryk był tchórzem, człowiekiem słabego ducha i przestał, choć tylko na moment, być nadczłowiekiem w guście Nietzschego:

Jeśli ktoś tak wzleci
jak ty, do światła i potem upadnie,
ten juści musi się rozbić. (141)

Nabiera wprawdzie natychmiast nowego męstwa, wspina się znów na góry i szuka rusałki, lecz raz odepchnąwszy lekkomyślnie szczęście od siebie, powtórnie znaleźć go nie może, nie może już stać się wybawcą ludzkości. Zrozpaczony strąca całą winę na przedstawicieli niewolniczej moralności i woła do nich te znaczące słowa:

Wyście strącili, a nie ja, mą żonę!
Hultaje, łotry, żebraki, szubrawcy,
co o trzy grosze będą przez trzydzieści
jęczeli nocy swoje ojczenasze,
a — źli już z gruntu — mają czelność wszędzie,
gdzie tylko można wyduszać dukaty
wiecznej miłości bożej? Obłudnicy!
kłamcy! kamienną zbudowali groblę,
ażeby nizin swoich piekło suche
od oceanu Boga odciąć murem,
od jego rajskiej, zbawiającej fali...
Kiedyś się zjawi kopacz, co tę groblę

zniesie na zawsze! Ach! ja nim nie jestem,
ja nim nie jestem — zaprawdę! (136)

Winnym mimo to zostaje:

Walczysz daremnie, bo walczysz
z Bogiem! Bóg ciebie wezwał, byś z nim walczył,
lecz cię opuścił teraz, boś za słaby!
Czcze twe ofiary! Wina pozostanie
winą! Zuchwalstwo twoje nie zdobyło
błogosławieństwa boskiego, ażeby
winę przemienić w zasługę, a karę
zmienić w nagrodę. Jesteś pełen grzechu! (103, 104)

Henryk nie był nadczłowiekiem; to jego wina, jego grzech. Myśl tę przewodnią wkłada też poeta bardzo jasno i dobitnie w usta starej Wittich:

Niema co mówić, jak koniec, to koniec—!
Na swoją górę nigdy już nie wejdziesz.
To ci powiadam: prosta była z ciebie,
widzisz, latorośl, silna, ale przecie
nie dosyć silna... Powołany byłeś,
ino nie byłeś wybrany! (141)

Tak jest! Henryk był powołany, ale nie wybrany; miał być owym kopaczem, co tę groblę, oddzielającą ludzkość od raju uciechy i swobody, zniesie, ale niestety nie miał sił, by tego dzieła dokonać. Dlatego szuka śmierci z tą nadzieją, że kiedyś ten kopacz się zjawi, że słońce z pewnością nadejdzie.

* * *

Henryk jest tylko wiernem odbiciem Nietzschego i jego brutalnej doktryny, w niej też jedynie należy szukać rozwiązania całej zagadki, mieszczącej się pod piękną szatą baśni.

Ks. M. Kohlsdorfer.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa polskiego.

Na zawsze. Dramat *Lucyana Rydla.* Kraków. Księgarnia D. E. Friedleina. 1903.

Czy to jest objaw postępu w rozwoju twórczości dramatycznej p. Rydla, czy wynik wyjątkowo szczęśliwie wybranego przedmiotu — dość, że ostatni jego dramat przewyższa niewątpliwie wszystkie poprzednie nie bogactwem natchnienia poetyckiego (bo pod tym względem jest najważniejszym z nich), lecz siłą i skupieniem akcyi.

W „Zaczarowanem kole", w „Jeńcach" liryzm bardzo przemaga, akcya niekiedy tylko wyższe osiąga natężenie — w dramacie „Na zawsze" akcya od pierwszej do ostatniej sceny utrzymana jest w silnem napięciu i z ogromną rozwija się żywością. Sam przedmiot tego się domaga. Trudno sobie zaiste wyobrazić treść, zawierającą więcej skupionej siły dramatycznej i potężniejsze starcia charakterów i uczuć ludzkich. W wyborze tego przedmiotu autor wiedziony był zmysłem prawdziwego dramaturga, a w jego rozwinięciu i ukształtowaniu okazał się (podobnie zresztą jak w poprzednich swych utworach) poetą-artystą o żywej wyobraźni, trzymanej na wodzy przez niemniej żywe poczucie jasnej, wyrazistej i skończonej w sobie formy zewnętrznej.

Rzecz czteroaktowego dramatu dzieje się na wsi w Królestwie Polskiem, na samej granicy galicyjskiej w kilka lat po powstaniu 1863 r., na tle okropnych, pełnych grozy jego następstw. Tutaj groza ogólnego położenia politycznego spotęgowana jest niezmiernie przez naprężony do najwyższego stopnia stosunek trzech głównych postaci dramatu, zarówno prawych i szlachetnych, a jednak w danej sytuacyi

w najstraszliwszem względem siebie postawionych przeciwieństwie, z którego wynika wstrząsający rozdźwięk tragiczny.

Oto piękna kobieta, okryta głęboką, serdeczną żałobą po stracie ukochanego człowieka, który, walcząc jak bohater za ojczyznę, dostał się w moc wroga i, jak wieść głosi, zginął okropną śmiercią wśród śniegów Syberyi. Oto mąż jej, dobry, prawy, kochający ją głęboko, zaślubiony przez nią na życzenie umierającej matki, ale obcy jej duchowo, niezdolny zatrzeć w jej sercu wspomnień o utraconym.

Ciężki i bolesny dwojga tych ludzi stosunek, który daremnie usiłuje złagodzić zacny i przyjazny im ksiądz-staruszek, zamienia się na prawdziwą tragedyę, skoro w progu ich domu staje niespodzianie poczytywany za umarłego wygnaniec. Przybywa jako nędzarz-katorżnik uchodzący przed wrogiem i ścigany przezeń zawzięcie. Pełen szlachetności gospodarz domu pragnie przedewszystkiem ocalić zbiega i przeprawić go przez granicę. Ale jakże strasznie dotknięty zostaje w najgłębszych swoich uczuciach. W sercu jego żony budzi się cała moc dawnej miłości. Gotowa potargać więzy małżeńskie i biedz na niepewne losy za ukochanym. Wywiązuje się stąd ogromnie naprężona sytuacya, przerwana nagłą wieścią o przybywającej w ślad za zbiegiem żołnierskiej rocie. Wobec widocznych poszlak jeden jest tylko środek ocalenia go. Nieszczęsny, przed chwilą tak okropnie dotknięty mąż w heroicznem poświęceniu chwyta się tego środka. Oznajmia, że nocą sam przeprawił przez granicę ściganego, i sam się zań wrogom oddaje.

Teraz dopiero okazuje się cała wzniosłość duszy tego na pozór tak prostackiego i prozaicznego człowieka. Ale oboje pozostali zbyt też szlachetni, aby korzystać z jego poświęcenia. Wrodzone szlachectwo duszy odrazu ukazuje zbiegowi jego straszny obowiązek. Po rozdzierającem pożegnaniu z ukochaną, opuszcza jej dom, aby teraz „na zawsze“ już oddać się w ręce rozsrożonego wroga.

Dramat kończy się piękną sceną pomiędzy uwolnionym wskutek tego poświęcenia mężem a zrozpaczoną, lecz pod wpływem rozbudzonych w niej przez księdza uczuć religijnych z poddaniem znoszącą swą niedolę żoną. Mąż wobec stojącego między nimi krwawego widma katorżnika czuje dzielącą ich przepaść, gotów wyrzec się dobrowolnie najdroższej istoty, byle choć trochę dać jej spokoju.

— Nic nas nie łączy... Nic! Nic! — woła z rozpaczą.

— Obowiązek! — odpowiada żona.

W przyszłość tej ziemi wierzysz — i ja wierzę.
Dla niej i za nią wszystko: to nasz związek!

Wstań, wytężymy dusze nasze bliźnie
Do wspólnej, cichej, codziennej ofiary; —
Jest za co cierpieć w tej biednej ojczyźnie,
Jest komu służyć miłością bez miary.

Słowa te, kończące cały dramat, uwydatniają też dobitnie zasadniczy jego motyw. Tragedya osobista nietylko rozwija się w nim na tle tragedyi narodowej, ale nadto najzupełniej jest jej podporządkowana. Wszakżeż ta nieszczęsna kobieta kocha w swym wybranym przedewszystkiem poświęcającego się za kraj bohatera. Egzaltacya jej miłosna wynika z egzaltacyi patryotycznej. Wszakże jej małżonek, poświęcając się za człowieka, co mu serce żony wydziera, idzie nie tylko za głosem wspaniałomyślności rycerskiej, ale przedewszystkiem za głosem patryotyzmu, który nie dozwala mu wydać w ręce wrogów głowy rodaka-skazańca. Wreszcie zakończenie dramatu: rozwiązująca wszystkie jego zawikłania rezygnacya zrozpaczonej kobiety nie tylko z religijnych, lecz także z patryotycznych wynika pobudek. Wogóle wszystkie sytuacye, wszystkie stany i nastroje dusz, wszelkie starcia uczuć i charakterów powstają tu i rozwijają się w organicznym związku z okropną niedolą całego kraju. Stąd rozległa i głęboka perspektywa obrazu dramatycznego, perspektywa, ogarniająca cały ogrom cierpień ogólno-narodowych i wszystkie te męczeńskie drogi, długie, dalekie, co prowadzą w głąb stepów i śniegów północnych, do ziemi wygnania, tęsknoty i nędzy.

Wynikający z tego smutnego położenia politycznego patryotyzm, główna podpora i dźwignia zagrożonego zewsząd bytu narodowego, przedstawiony jest w dramacie w dwóch zasadniczych swych postaciach, odpowiadających rzeczywistym jego w zbiorowem naszem życiu przejawom: jako poświęcenie życia i wolności osobistej w orężnej walce za ojczyznę, oraz jako wytrwała, codzienna praca dla kraju, mająca na celu wszechstronny rozwój wszystkich jego sił i zasobów. Pierwsze pojęcie patryotyzmu wyobraża zbieg-katorżnik — drugie, jego szlachetny rywal w sercu własnej żony, która, postawiona między tymi dwoma ludźmi, wyobrazicielami dwóch różnych zasad, naprzód całkowicie pierwszej oddana, następnie w poświęceniu heroicznem własnego małżonka zniewolona jest uznać potężną i wzniosłą siłę drugiej, a w ożywionej przez wiarę religijną miłości ojczyzny dochodzi do zrozumienia żywotnego dla niej owej drugiej zasady znaczenia. Obok tych dwóch objawów patryotyzmu walczącego i pracującego mamy jeszcze w dramacie, wyobrażany przez osobę starego księdza, patryotyzm religijny,

który obu poprzednim udziela swej sankcyi nadprzyrodzonej, a zarazem siły do nieodzownych wysiłków i poświęceń.

Ten układ zasadniczych motywów dramatu przez występujące w nim postaci uplastycznionych, nasuwa przypuszczenie, że nie chodzi tu tylko o realną akcyę dramatyczną, lecz także o alegoryczno-dramatyczne uwydatnienie tkwiącej w niej idealnej treści bytu ogólno-narodowego. W tem przypuszczeniu mogą jeszcze umacniać ogólnikowe nazwy, nadawane działającym osobom: mąż, żona, obcy, ksiądz, chociaż właściwe ich imiona i nazwiska dokładnie w dyalogu poznajemy.

Wszelako realizm przemaga widocznie w dramacie. Akcya jego jest bardzo wiernym, naturalnym, konsekwentnie rozwijającym się obrazem rzeczywistości życiowej w danych warunkach czasu, miejsca i środowiska społecznego. Wobec tego dość dziwnie i dość nienaturalnie wyglądają owe ogólnikowe miana osób działających, a ich charaktery mogą się wydać za mało wyraziste, wyodrębnione indywidualnie. Uczucia ich w momentach napięcia dramatycznego przedstawione silnie i dobitnie, rysy charakterystyczne są zbyt ogólnikowe. Najbardziej wyodrębnia się żona przez swą żałosno-tkliwą uczuciowość, która tak żywo przypomina nam ton i nastrój niektórych pieśni patryotyczno-miłosnych z 1863 r. (np. „Bywaj dziewczę zdrowe, ojczyzna mię woła“). Mąż jest nader ogólnikowym typem naszego szlachcica-ziemianina, a obcy i ksiądz pozbawieni są zupełnie indywidualnych rysów charakteru.

Pomimo tych braków w charakterystyce, dzięki licznym, powyżej zaznaczonym swym przymiotom, a także głębokiej analizie psychologicznej, którą krytyka niesłusznie, jak na ogół, nazywa rozwlekłością — jak też i zaletom swej formy literackiej, stylu, języka i wiersza, najnowszy dramat p. Rydla jest utworem niepospolitym, który i w piśmiennictwie, i na scenach naszych trwałe powinien sobie zdobyć znaczenie. Na scenie lwowskiej i poznańskiej zdobył je — krakowska stoi w tej chwili pod innym znakiem. Prawdziwe jednak piękno, prędzej czy później, uznanie wszędzie znaleźć musi.

Walery Gostomski.

Pieśń Bogarodzica pod względem muzycznym. *Aleksander Poliński.* Warszawa 1903. (Str. 139 i 5 k. podobizn homograf.)

Bogatą, jak przystało na nasz najstarszy zabytek, jest już dzisiaj literatura, odnosząca się do pieśni Bogurodzicy. Czytelnicy *Przeglądu Powszechnego* przypominają sobie zapewne, cośmy w zeszycie listopadowym z r. 1901 mówili obszernie z okazyi śmiałej wprawdzie,

ale też bez zaprzeczenia bystrej i prawdopodobnej hipotezy prof. Al. Brücknera. Opierając się na pracach poprzedników i na trafnym, świeżym wywodzie d-ra Iwana Franki, poddał prof. Brückner starożytną pieśń nowemu rozbiorowi i osiągnął rezultaty zgoła niespodziewane. Wprawdzie autorstwo Franciszkanina Boguchwała, spowiednika św. Kingi, pozostaje na razie mało uzasadnionym domysłem, ale odniesienie pierwszego wiersza drugiej zwrotki do św. Jana Chrzciciela usunęło od razu tyle trudności, że przynajmniej dla mnie nowe objaśnienie stało się bardzo prawdopodobnem. Równocześnie dowiedziono, że powstanie pieśni odnieść stanowczo należy do końca trzynastego wieku, zburzono legendę o wpływie czeskim na tekst Bogurodzicy i rzucono nowe światło na kompozycyę dalszych zwrotek czyli t. zw. Pieśń wielkanocną, którą, według prof. Brücknera, miano dodać nieco później, mniej więcej w pierwszej połowie XIV stulecia.

Ta to wiązanka tak poważnych wyników doczekała się obecnie częściowego przynajmniej potwierdzenia ze strony świeżo, nader okazale wydanej książki p. Polińskiego. A zauważyć jeszcze przytem należy, że autor prowadził studya równolegle i zupełnie niezależnie i że pracę prof. Brücknera poznał dopiero dodatkowo w r. 1902 z Biblioteki dzieł chrześcijańskich (por. str. 85). Uszło zatem jego uwagi — choć przebywa w Warszawie — że głośna owa rozprawa ukazała się najpierw w *Bibliotece Warszawskiej*, jeszcze w październiku r. 1901.

Pan Poliński nie jest filologiem, ale za to wytrawnym znawcą dawniejszej muzyki kościelnej. Nie filologiczne więc i historyczne wywody, ale zapatrywania, które wygłosił jako kompetentny sędzia w sprawie melodyi Bogurodzicy, nadają wysoką wartość jego pracy. Pod tym względem nie miał poważnych poprzedników. Wprawdzie Kolberg, J. Likowski, ks. Bażański, proboszcz ze Srok pode Lwowem (ob. pracę d-ra Kaliny, str. 102 ust.) i niejaki Nabrzan Bętkowski poświęcili temu przedmiotowi mniej lub więcej obszerne uwagi, ale były to same spostrzeżenia dyletantów, nie znających dawnej nutacyi, grzeszące albo naiwnością nieomal dziecięcą albo, jak broszura Nabrzan Bętkowskiego, pełne wprost niebywałych nonsensów. Pan Poliński musiał więc podjąć pracę na nowo. Pozostawiwszy też na razie tekst na uboczu, zajął się przedewszystkiem samą melodyą i na tem właściwem sobie polu doszedł do wyników poważnych, uzupełniających dotychczasowe badania.

Melodyę do dwu pierwszych, najstarszych zwrotek przechował w najczystszej formie rękopis Biblioteki Jagiellońskiej nr. 1619 na

karcie z końca XIV stulecia, przyklejonej wewnątrz do okładzinek rękopisu, jak się zdaje, bezpośrednio po r. 1407. „Szryft“ tutaj gotycki, a znaki pełne charakterystycznych, dla znawcy muzyki wiele mówiących znamion. Pan Poliński stwierdza z całą stanowczością, że takiego kształtu znaki, jakie zamieszczono tutaj przy kluczach *c* i *f*, były w używaniu tylko w XII i XIII wieku. Również i ligatury trzyneumowe, zwane *podatus* i *pes podatus*, tudzież neuma (rodzaj nut niejako poglądowych) *clivis*, występują tu w kształcie używanym tylko w XII i XIII stuleciu. Wyłącznie zaś na wiek XIII wskazują połączenia neum w formę *porrectus praepunctis*, jakiemi kilkakrotnie posłużono się w rękopisie krakowskim dla zaznaczenia dłuższego spoczynku lub ostatecznego zakończenia myśli muzycznej. Ponieważ zaś równocześnie tekst słów wykazuje charakter pisma XV albo najwcześniej drugiej połowy XIV stulecia, przeto grafika owej widocznie z całą starannością sporządzonej karty rękopisu krakowskiego dowodziłby powinna, że mamy przed sobą kopię prawdopodobnie początku XV stulecia, przepisaną z największą dokładnością z oryginału czy odpisu o jedno stulecie wcześniejszego — oczywiście to ostatnie pod warunkiem, że kompozytor nie pozostawał zbyt w tyle poza kulturą zachodnią. W każdym razie zbadanie melodyi samej przyniosło nowe uprawdopodobnienie faktu, że najstarszą naszą pieśń odnieść trzeba w istocie do wieku XIII.

Tu przy sposobności muszę na podstawie autopsyi zaznaczyć, że wszystkie dotychczasowe opisy i podobizny owej rękopiśmiennej karty nie odznaczają się taką dokładnością, jakiejby wymagać należało przy tak nadzwyczajnie ważnym zabytku. Nie można się nigdzie dopatrzeć, by „w wyjedzone przez owady dziurki wpisywano brakujące nuty późniejszą ręką“, natomiast ta widocznie późniejsza ręka atramentem bledszym wpisała tu i owdzie nie uwidocznione na podobiznach ligatury i znaki dla wyrażenia, że w tych miejscach przy śpiewie do pierwotnie prostej melodyi rękopisu krakowskiego dodawać się zwykło ozdoby podówczas już w użyciu będące. Dalej nie zwrócono uwagi, że niektóre znaki kluczów sięgają aż na sciosane drzewo i pergaminową okładkę i że te części ich napisano tym samym atramentem, jakim, nie licząc widocznie późniejszych ligatur, skreślono całą kartę. Dowód to, że albo tekst cały spisano już na naklejonej karcie, albo, co mniej prawdopodobne, że introligator uszkodził niektóre znaki a właściciel rękopisu, któremu widocznie zależało na przechowaniu dokładnej nutacyi, nie miał nic pilniejszego, jak dorobić łudząco

uszkodzone części na drzewie. Niema też w podobiznie p. Polińskiego dwu glos wpisanych między liniami w piątym rządku: *praevaricatio, nyeposłusztlwo,* i *pudicus, sromyesliwy.* Wreszcie, co najważniejsza, druga strona karty naklejonej jest również zapisaną, jak się przekonać można po odgięciu papieru w miejscach od drzewa odstających. Co więc ona zawiera? czy dalszą część Bogurodzicy, czy też jaki inny nieznany zabytek? Rzecz to ważna, mogąca rozstrzygnąć kilka spornych, nieobojętnych punktów, dlatego też poczyniliśmy już kroki, aby postarać się najpierw o dokładne fotograficzne zdjęcia, a potem o pozwolenie odklejenia karty.

Dalsze badania p. Polińskiego wykazały, że pierwsza zwrotka do Matki Bożej ma doskonałą formę sekwencyi-prozy gregoryańskiej, złożonej z trzech okresów dwuzdaniowych (od początku do „Marya", od „Twego" do „zwolena" i od „Marya" do końca), a urobionej z czterech zasadniczych motywów melodyjnych. Motywy oczywiście są nowością jedynie w pierwszym okresie; w dwu dalszych powtarzają się w rozmaitem wprawdzie uszeregowaniu, ale z nieznaczną tylko stosowną odmianą. Rękopisy zresztą posiadają wspólny rysunek melodyjny i tonacyę jednakową, a różnią się jedynie bądź większem, bądź mniejszem upiększeniem melizmatycznem, dodawanem zazwyczaj dla wygody śpiewaków celem zapełnienia przedziałów między pojedyńczymi tonami. Jako charakterystyczne i ważne dla objaśnienia tekstu w myśl wywodów prof. Brücknera, wyróżnimy także to, że ligatura w rękopisie krakowskim z dźwięków *d* i *c* na zgłoskę *U* w trzecim wierszu jest widocznym, niezgrabnym, późniejszym wtrętem, i że natomiast słowo Kyrie-eleison liczyło widocznie sześć zgłosek.

Zwrotka druga jest laisem wzorowanym na sekwencyi, złożonym z dwu wielkich okresów, z których pierwszy posiada trzy, a drugi cztery zdania, odpowiednio do liczby wierszy i drugiego, zwykłego podówczas zakończenia przez Kyrie eleison. Melodya tu osnuta również na motywach zwrotki pierwszej, z których utworzono aż 15 rozmaitych kombinacyi, dodając jednakże nadto dwa tematy obce melodyjnie, choć pokrewne nastrojem i tonacyą, i to głównie w wierszu „Słysz modlitwę, jąż nesimy", który w ten sposób stał się niby nawiasem, melodyjnie i rytmicznie uzupełniającym zdanie poprzednie, i zamykającym myśl muzyczną całego okresu za pomocą doskonałej, końcowej kadencyi. „Pomysł to świetny, znakomicie urozmaicający jednostajność rytmiczną pieśni, melodyjną, a zwłaszcza tonacyjną.

Z melodyi wnioskuje też p. Poliński na pierwotne ukształtowa-

nie się tekstu w kilku punktach spornych, przyczem, jak słuszna, nie chodzi mu o formę językową, bo „do wyrokowania o niej nie czuje się kompetentnym, ale o wielozgłoskowości jednego, czy kilku razem wziętych wyrazów, oraz o prawidła podkładu tekstu pieśni pod daną cząstkę melodyi". Z poruszonych na podstawie takiego rozumowania kwestyi wymieniamy najważniejsze: A więc w I zwrotce, jak już wspomnieliśmy, ma być: „Twego syna" nie „U Twego syna", tudzież „Zyszczy nam" nie „Zyszcz nam", t. j. zgodnie z prof. Brücknerem i z tem, cośmy sami na szpaltach *Przeglądu Powszechnego* (1901 listopad, str. 259 nst.) obszerniej mówili. W drugiej natomiast zwrotce po „Twego dziela Chrzciciela, Bożyce", ma być: „Usłysz głosy" a nie: „Słysz głosy", jakeśmy poprzednio proponowali. Dalsza część drugiego wiersza ma być sześciozgłoskową. Tu jednakże nie możemy przyjąć konjektury szan. autora: „napełń myśli człecze", bo skrócenie „człecze" jest pochodzenia o wiele późniejszego, ale raczej w myśl naszych wywodów (tamże na str. 261) musimy pisać: „pełń myśli człowiecze". Wreszcie wypadnie przyjąć: „A dać raczy", nie zaś prozaiczne: „To dać raczy", przy którem prof. Brückner zdaje się upierać. (Por. jego „Dzieje literatury polskiej" t. I, str. 10), p. Poliński zauważa bowiem, że nierównomierność wierszy, która i nas raziła, nie jest decydującą przy sekwencyi prozie. „Sekwencyę starannie zaopatrywano w rymy, nie przepominając i o mierze wierszy. Z prozą nie zadawano sobie takiej pracy; mogła mieć nawet rymy wewnętrzne, rytmikę i t. p., ale wszystko niestale, lecz jak się zdarzyło. Jedne wiersze miały rytm i rym, drugie ich nie miały; jedne były dłuższe, drugie krótsze i t. p. zupełnie jak w Bogurodzicy".

Na podstawie też melodyi (poruszającej się w obrębie oktawy swej toniki) i cech charakterystycznych dla sekwencyi prozy dowodzi następnie p. Poliński, że dla obu zwrotek trzeba prawdopodobnie przyjąć dwu różnych autorów: właściwego twórcę i kontynuatora. Palma przytem pierwszeństwa należy się bezsprzecznie pierwszemu kompozytorowi. W pieśni do Matki Boskiej, nawet zapatrując się na nią ze stanowiska pojęć dzisiejszych o melodyi, uderza nas „nadzwyczajna czystość formy sekwencyi, nadzwyczajna wzniosłość stylu i głębia nastroju religijnego". „Ale i pieśń do Chrystusa, która jest niczem innem, jak tylko poprostu dalszem snuciem melodyi na dalsze tematy według wszelkich prawideł kontrapunktu ówczesnego, przedstawia niemniejszą wartość, z innych wszelako względów. Zwrotka pierwsza jest dziełem natchnienia, podbudzonego silnie głębokiem uczuciem religijnem; zwrotka zaś druga

jest dziełem mistrza, świadomego wszystkich tajemnic współczesnej mu sztuki muzycznej, który wyzbył się własnej indywidualności i osobistych upodobań, a natomiast przejął się nastrojem i duchem danej kompozycyi, i z jej melodyi snuł przędzę dalszego ciągu pieśni w ten sposób, żeby z zespolenia obu pieśni wytworzyła się całość możliwie jednolita".

Najważniejszym wszakże dla nas rezultatem, do którego doszedł p. Poliński, jest odkrycie źródła melodyi. Opiera się ona wiernie na okresie drugim głośnej swego czasu kompozycyi: *Ave praeclara maris stella,* napisanej w połowie XIII wieku. Kto jej twórcą, niewiadomo — czy Henryk Monachus, czy Herman Contractus, lub Indrych Czech, czy też wreszcie Albertus Magnus (ur. 1193 † 1280), nauczyciel Tomasza z Akwinu, słynny teolog i prowincyał Dominikanów. P. Polińskiego nęci ku sobie ostatnia wersya, bo, skoro raz odkrył „bliźniacze pokrewieństwo" między *Ave praeclara* a Bogurodzicy, to nie może oprzeć się przekonaniu, że podstawy do owej legendy o autorstwie św. Wojciecha szukać należy w nazwisku Alberta, które przekłada na „Wojciech Wielki". Doszedłszy do takiego przekonania, począł pan Poliński dalej poszukiwać, czy nie był też Albertus kiedykolwiek w Polsce, i znalazł, że mógł być dwukrotnie, a był „z pewnością raz" w r. 1263 lub 1264. Stąd już do dalszego przypuszczenia tylko jeden krok. Uczynił go też p. Poliński, utrzymując, że Albert widocznie musiał być wtedy także w Krakowie i tamtejszym Dominikanom „na pamiątkę pobytu zostawił Bogarodzicę, skomponowaną prawdopodobnie do tekstu łacińskiego, do której wiednie, czy też bezwiednie — jak się to bardzo często zdarzało kompozytorom wszystkich czasów — użył melodyi, wziętej z dawniejszego swego utworu" t. j. pieśni *Ave praeclara.* „Nadzwyczajna piękność Bogarodzicy — mówi dalej p. Poliński — skłoniła jakiegoś biegłego muzyka do przełożenia jej na język polski i rozszerzenia ram przez dotworzenie drugiej zwrotki, a duchowieństwo do spopularyzowania jej w kraju. W dwadzieścia lat po wyjeździe Alberta, Jakób Świnka, arcybiskup gnieźnieński na synodzie łęczyckim w r. 1285 zaleca duchowieństwu, *ut in omnibus ecclesiis nostrae provinciae cathedralibus et conventualibus historia beati Adalberti habeatur in scriptis et ab omnibus usitetur et cantetur.* Tą zaś „historyą", sądzi p. Poliński, mogła być jedynie nasza Bogarodzica, „którą arcybiskupowi Jakóbowi podobało się nazwać *historia beati Adalberti*".

Oczywiście, jak odszukanie źródła melodyi jest ważnym rezultatem, który chlubę p. Polińskiemu przynosi, tak z drugiej strony

jego dalsze wywody historyczne musimy uważać za istne bańki mydlane, pryskające od pierwszego podmuchu wiatru i dowodzące, że autor jako muzyk ma zbyt wrażliwą duszą i z trzeźwą krytyką historyczną nie miał wiele do czynienia.

Możliwem jest, że kompozycyę *Ave preclara* wypada istotnie przypisać Albertowi, ale możliwem jest także i wręcz coś przeciwnego; w każdym jednak razie legenda o autorstwie św. Wojciecha nie powinna być punktem oparcia się dla tezy bronionej przez p. Polińskiego, skoro nazwiska Albertus i Adalbertus rozróżniano dość ściśle w średniowieczu, i pierwsze tłumaczono przez Olbracht, a drugie przez Wojciech. Pobyt też Alberta w Polsce nie jest wcale rzeczą dowiedzioną. Głośny teolog jako prowincyał OO. Dominikanów zwiedzał wprawdzie w latach 1255 - 1256 klasztory w prowincyi niemieckiej, do której podówczas i Polska należała, a w r. 1263 i 1264 przebywał w Pradze z rozkazu papieża celem propagandy nowej wojny krzyżowej, ale czy i do Polski dotarł, niewiadomo. Wzmianka bowiem, na którejby się oprzeć można, znajduje się jedynie w komentarzu do Polityki Arystotelesa; a czy ten komentarz napisał istotnie Albertus, jest właśnie kwestyą dotychczas sporną i wątpliwą. Nadto *in confinibus Saxoniae et Poloniae* znaczy tylko „na pograniczu Saksonii i Polski", a zatem np. w Łużycach lub Miśnie. Już zaś zgoła niewłaściwem jest łączenie uchwały synodu łęczyckiego z pieśnią Bogarodzicy. *Omnes* oznacza najwidoczniej nie lud, lecz tylko *omnes clericos et patres* po klasztorach i kościołach katedralnych; *historia* zaś *beati Adalberti* to przecież także najwidoczniej legenda, martyrologia lub nawet żywot św. Wojciecha do czytania i odśpiewywania jak Ewangelię św., *per recitativo*. P. Poliński powiada, że coś podobnego do naszych czasów się nie dochowało. Proszę, niech tylko zaglądnie do *Monumentów Poloniae*, albo do katalogów rękopisów naszych większych lub kapitulnych bibliotek, a przekona się że jest inaczej.

Z całego zatem dowodu p. Polińskiego ostaje się tylko fakt, że kompozycya *Ave praeclara*, jako zażywająca niemałej sławy zagranicą, dotarła także do Polski, i tu, skutkiem piękności melodyi, pobudziła kogoś do naśladownictwa i do stworzenia Bogarodzicy. Fakt to, powtarzam, arcy-ważny. Skoro bowiem *Ave praeclara* zdaniem wszystkich powstała w połowie XIII stulecia, otrzymujemy tem samem *terminus post quem*, poza który Bogarodzicy przesunąć już nie wolno, — termin zgodny z dotychczasowemi badaniami. Usuwa się dalej w ten sposób stanowczo wszelką legendę o pokrewieństwie Bogarodzicy z jakąś

czeską pieśnią — w myśl wywodów prof. Brücknera — i nawiązuje się ją raczej zgodnie z pochodem naszej cywilizacyi do kultury zachodniej, niemieckiej, i do wpływów kościoła katolickiego.

Obok tych niewątpliwych faktów wynurza się prawdopodobieństwo, że przecież nie potrzeba było więcej nad 20—30 lat na to, aby głośna zagraniczna kompozycya dostała się do Polski; prawdopodobny więc czas jej rozpowszechnienia u nas odpowiada mniej więcej okresowi pobytu św. Kingi w klasztorze sądeckim. Natomiast przyjęcie faktu, że autorem drugiej zwrotki był kto inny, niż pierwszej, przemawiałoby wręcz przeciwko hipotezie prof. Brücknera. Ponieważ jednak pod tym względem niema dość pewnych danych do stanowczego rozstrzygnięcia, i p. Poliński nie wyraża się też kategorycznie, przeto sprawa pozostaje w zawieszeniu. I owszem zauważyć musimy, że pan Poliński prawdopodobnie byłby się wyraził jeszcze oględniej, gdyby był nie chciał koniecznie dojść do przekonania, że to Albertus Magnus tworzył pierwszą zwrotkę i zostawiał ją na pamiątkę Dominikanom krakowskim. Dla mnie przynajmniej, skoro tekstu takiego łacińskiego nie znamy wcale, prawdopodobniejszem o wiele jest przypuszczenie, że obie zwrotki tworzył bezpośrednio jakiś Polak pod wpływem poznanej pięknej melodyi zagranicznej.

Również i uwagi p. Polińskiego o dalszych zwrotkach Bogaródzicy nie są bez interesu. „Pieśń Wielkanocna“, jak poznać wyraźnie z melodyi, przechowanej w rękopisie warszawskim i nierównie gorzej w t. zw. autentyku gnieźnieńskim, obejmowała pierwotnie, wbrew twierdzeniu prof. Brücknera, tylko trzy zwrotki: „Nas dla wstał“, „Przydał nam“ i „Jenże trudy“. Dwie pierwsze czterowierszowe śpiewają się jednakowo, trzecia trzywierszowa jest niejako zakończeniem o odrębnej melodyi. Ilość zgłosek okazuje tu już pewną symetryę (8+8+6+6, 8+8+6+6, 8+8+7); stąd można wyprowadzić pewne wnioski o ukształtowaniu się tekstu, potwierdzające przeważnie wywody prof. Pilata i p. Bobowskiego; można zaś to uczynić tem śmielej, ponieważ, jak naocznie udowadnia p. Poliński, melodyę do „Pieśni Wielkanocnej“ zaczerpnięto prawie całkowicie z hymnu *Rex Christe primogenite* i *responsorium* wielkanocnego *Triumphat Dei filius*. A zatem była tu najpierw daną melodya, pod którą dopiero później podłożono tekst polski.

Melodya tegoż łacińskiego *responsorium* wielkanocnego przeszła także i do ostatniej strofki w pieśni czeskiej *Giże Pan nad Pany, Krystus Buoh prawy*, o której utrzymywano dotychczas, że wpłynęła

przynajmniej na dalsze zwrotki Bogarodzicy. P. Poliński sądzi, że wpływu takiego nie było, i że tak Czesi jak i Polacy zaczerpnęli raczej ze wspólnego łacińskiego źródła, a stało się to — znowu w przeciwieństwie do twierdzenia prof. Brücknera — nie z początkiem, ale, co najprędzej dopiero z końcem XIV stulecia. Tak przynajmniej wynika z szóstej (majorowej) tonacyi kościelnej, w jaką pieśń ujęto, tudzież z okoliczności, że da się już ją podciągnąć „pod miarę rytmiki taktu na cztery, lub jeszcze lepiej na dwie czwarte".

Po pieśni wielkanocnej następują, jak wiadomo, dalsze, jeszcze późniejsze dodatki i wtręty, tworzące niejako część trzecią Bogarodzicy. Tu, pierwsza zwrotka „Adamie ty Boży kmieciu" jest jakby wstępem do części nowej, posiadającym melodyę odrębną, utrzymaną jeszcze w szóstej tonacyi kościelnej. Wszystkie inne strofki skomponowano w dzisiejszej gamie majorowej F-dur, a więc już po XV wieku, „kiedy tonacye gregoryańskie zlały się już ostatecznie w dwie zasadnicze gamy, majorową i minorową, stanowiące podstawę całego systematu muzyki dzisiejszej".

Strofka o Adamie ma melodyę okresu pierwszego pieśni wielkanocnej. W dalszych aż do końca rozpoczyna się snucie melodyi, opartej na waryancie tematu pierwszego zdania drugiej części pieśni wielkanocnej i tematów czy to oryginalnych, czy przynajmniej źródła jeszcze nam nieznanego. Tylko w ostatnich zwrotkach autorowie tej pieśniarsko-muzycznej kompilacyi wprowadzili małe zmiany, niewątpliwie w celu urozmaicenia nużącej, a nawet przykrej dla ucha monotonności. Zresztą z uwag odnoszących się do tekstu tych mało ważnych, późniejszych dodatków wymienić należy chyba tylko jedną: Oto na podstawie melodyi, powtarzającej się dla zwrotek siódmej i następnych, wypadnie wysnuć wniosek, że w nadmiernie długiej strofce dziesiątej trzebaby widocznie odróżnić dwie zwrotki: pierwszą „Ni srebrem, ni złotem", której koniec zaginął, i drugą „Ciebie dla człowiecze".

Na podstawie i w myśl powyższych wywodów zrestytuował pan Poliński całą melodyę Bogarodzicy, a następnie w osobnym rozdziale polemizując z prof. Kaliną, wyłożył obszerniej za ks. Surzyńskim, „że w najstarszych naszych pieśniach ludowych, religijnych i światowych akcentów nie uwzględniano i o prowodyę wcale się nie troszczono". Opisy wreszcie ważniejszych rękopisów z melodyą Bogarodzicy (a między nimi i świeżo w Warszawie odszukanych przez szan. autora), tudzież ich podobizny, częściowo przejęte z rozpraw Rymarkiewicza i Przeździeckiego, kończą tę nader sumienną i zajmującą książkę,

która — chyba dodawać nie potrzeba — dla badań o Bogarodzicy pozostanie na zawsze bardzo cennym nabytkiem.

Dr. Korneli Heck.

Co to jest filozofia? *Prof. Dr. M. Straszewski.* Odbitka z *Przeglądu filozoficznego.* (Str. 23).

Ideen zur Philosophie der Geschichte der Philosophie. *Tenże.* Odczyt wygłoszony w Tow. fil. we Wiedniu. Wien. Braumüller. (Str. 50).

W pierwszej rozprawce usiłuje szan. autor sprowadzić filozoficzne poznanie do podstawy biologicznej. Śledzi czynności psychiczne od pierwszego wzruszenia aż do systematycznej budowy świata w duszy ludzkiej. Wszędzie natrafia jako jedyne miarodajne prawo, ekonomię nakładu sił, dążność osiągnięcia przy najmniejszej sumie sił możliwie wielkich rezultatów. Całe to usiłowanie przedstawia się jako przeniesienie nowszych hipotez biologicznych na umiejętności ducha. Jak we wszystkich swych pismach, tak i tu okazuje się szan. autor bystrym myślicielem, rozporządzającym zręcznemi analogiami i nieoczekiwanemi kombinacyami.

W każdym razie powinien, zdaniem mojem, z naciskiem zaznaczyć, że wszystkie nowożytne badania biologiczne, o ile postawiły sobie za zadanie wyjaśnienie działań duszy, a zwłaszcza rezultaty psychologii ludów, wyszły zaledwie poza granice problematów i hipotez; operują one przecież tylko aż nazbyt często pojęciem przypadkowego rozwoju, którym znowu kieruje żelazne prawo konieczności, pojęciem, którego nieskładność jest wprost nieznośną. Stąd też ryzykiem jest stosować te zasadnicze poglądy biologiczne do innych teoryi, nawet gdy się to dzieje z całą ostrożnością, delikatnym taktem i mądrym wyborem — zaletami wyróżniającemi stale prace prof. Straszewskiego. Nadto, w związku z tymi podstawowymi poglądami narażonym jest człowiek na zakusy — i tego niebezpieczeństwa nie mogła i wspomniana broszura uniknąć — aby zbyt pochopnie stosować powolny bieg rozwoju ludzkiego ducha w indywiduum do postępu ludzkiego ducha w ogólności.

Jest to zapewne prawdą, że prawo oszczędności opanowuje bez wątpienia pracę duchową jednostki i całej ludzkości; ale z tem prawem nie wiele można, zdaniem naszem, dokonać na polu duchowem, nie określiwszy przedtem jasno natury ducha i właściwej istoty rozumu na podstawie jego czynności. Przy tem badaniu natrafi się z musu na związek prawdy i poznania, na psychiczne parcie do osiągnięcia

pewności, na zdolność i na dążność do poznania prawdy objektywnie, jako ostatecznych kończyn „filozofii“. Problem zasadza się według nas na tem, aby właśnie w tych teoretyczno-poznaniowych i zasadniczych pracach odkryć owe prawo ekonomii o nakładzie sił i z nich je wyprowadzić. W każdym razie studyum to jest cenne jako dążność, aby do pojęcia filozofii dotrzeć drogą empiryczną.

Druga praca, którą zamierzamy omówić, polega na gruntownem wniknięciu w ogólną filozofię i wyciągnięciu z niej historyczno-filozoficznego pewnika. Problem brzmi: Historyczny stosunek religii do filozoficznych poglądów na świat. Rozwiązanie prof. Straszewskiego przedstawia pewien rodzaj krążenia idei, gdzie spekulacya jest wypływem religii, w dalszym swym rozwoju staje się twórczynią religii i przy tym wysiłku wyczerpuje się. Historyczne fakta, popierające owe poglądy, zebrane są i zanalizowane umiejętnie i z wielką zręcznością.

Zasadniczy pogląd prof. Straszewskiego jest niewątpliwie słuszny. Czy da się on w poszczególnym wypadku wszędzie przeprowadzić, okażą dalsze tomy historyi filozofii autora, na które z upragnieniem czekamy.

Do oryentalnej filozofii da się powyższa formuła zastosować. Historyę filozofii chrześcijańskiej należy w każdym razie z nadzwyczajną delikatnością i ostrożnością pod tenor tego prawa podciągać. Wszelako ufamy, że umiejętne pióro autora zadaniu temu sprosta.

W „historyi“ spotka się niewątpliwie z zasłużoną sympatyą szan. autora i dawniejsza scholastyka, której skromne miejsce w omawianej broszurze jest prawdopodobnie tylko wynikiem zewnętrznych okoliczności.

Autor, zaznaczając z naciskiem ciągle ścisły związek spekulacyi ze światem i występując w obronie filozofii realnej, nie poświęci zapewne także nigdy faktów historyi filozofii na ofiary jakiegoś systemu, idei, lub dogmatycznej syntezy; użyje swoich „idei“ jako świecących drogowskazów, lecz nie uczyni ich nigdy z góry celem swych badań.

Ks. Stanisław Borkowski.

Synody dyecezyi chełmskiej ob. wsch. Wydał *ks. Biskup Edward Likowski.* Poznań. 1902.

Jest to zbiór uchwał synodów dyecezyi chełmskiej, odprawianych za rządów biskupa Porfirego Ważyńskiego w latach 1791 do 1803. Synodów tych odprawiono dwanaście. Ogłoszenie ich jest tembardziej cenne, że dotychczasowe prace czy o dziejach Kościoła wschodniego,

czy nawet zajmujące się specyalnie dyecezyą chełmską, o synodach z tych czasów zupełnie nie wspominają.

Przypatrzmy się pojedynczym uchwałom synodów.

Synod odprawiony w roku 1791, pierwszy prawdopodobnie po objęciu rządów dyecezyi przez X. Ważyńskiego, był najpłodniejszy w owoce. Normuje przedewszystkiem kwestyę liturgiczną, ujednostajniając niektóre różnice, które wkradły się w sposób sprawowania służby Bożej. Zauważyć tu musimy z góry, że tej kwestyi każdy prawie z odprawionych za ks. biskupa Ważyńskiego poświęca uwagę i wydaje normy w tym kierunku.

Zajmuje się też synod ten kwestyą przystępowania do sakramentów. Poleca duszpasterzom przestrzeganie przepisów o przechodzeniu z obrządku łacińskiego na grecki i odwrotnie. Normuje święta uroczyste, które mają być obchodzone w dyecezyi, posty, których przestrzegać należy. Zleca dokładne prowadzenie ksiąg metrykalnych. Powziął też synod uchwałę zlecającą duchownym, aby synów swych kształcili, a zarazem postanowiono, że do alumnatu wileńskiego i seminaryum dyecezyalnego na miejsca funduszowe tylko synowie kapłanów mogą być przyjmowani.

Inne synody, corocznie odprawiane, zajmują się kwestyami przedewszystkiem liturgicznemi i sprawami karności kościelnej.

Prócz tego zajmują się te synody sprawami majątkowemi, repartycyą *subsidii charitativi,* obowiązkiem następców w beneficyum zwracania spadkobiercom poprzednika wydatków łożonych przez tego na naprawę budynków cerkiewnych. Synod odprawiony w r. 1796 po przejściu części dyecezyi chełmskiej pod berło austryackie normuje stosunek Kościoła i wiernych do obu państw. Spotykamy też i w uchwałach późniejszych synodów postanowienia względnie zakazy przechodzenia z obrządku łacińskiego na grecki i odwrotnie, oraz zagrożenia dla duszpasterzy, którzyby nawracali i zachęcali do zmiany obrządku. Świadczą te przepisy, że wówczas toczyła się walka o „dusze“ między duszpasterzami obu obrządków; a jakby można wywnioskować z uchwał synodów, duchowni obu obrządków wzajemnie się o to oskarżali i wnosili zażalenia przed swe przełożone władze.

Dla historyi organizacyi dyecezyi daje nam zbiór, który omawiamy, ważne wskazówki. Widzimy, że biskupa wspierał w rządach konsystorz, a obok tego specyalnie przedewszystkiem dla wizytacyi dyecezyi wybrał synod, względnie zamianował biskup oficyała. Na jakie

dziekanaty dzieliła się dyecezya, wskazywałyby uchwały synodu z roku 1791, które podpisali wszyscy obecni wedle dziekanatów, przydając oznaczenie swego stanowiska.

Nadto synod czwarty z r. 1794 normuje tę sprawę, przeprowadzając nowy podział terytoryalny dyecezyi. Zmiany w tej organizacyi przeprowadza synod z r. 1796 wskutek podziału terytoryum dyecezyi między Austryę i Rosyę.

Ważne mogłyby być dla historyka podpisy głównych osób, biorących udział w synodzie, a więc obok biskupa, dziekanów, notaryuszy i t. p.

Zbiór ten obok swej treści daje chlubne świadectwo gorliwości duszpasterskiej ks. biskupa Ważyńskiego.

Reasumując *plus*, jakie wydanie zbioru tego przynosi, widzimy, że choć nie przynosi on zbyt wiele ważnych dat dla historyi i Kościoła polskiego, jednak dla historyografii naszej nie będzie bez pożytku. Wdzięczność tedy winniśmy czcigodnemu Pasterzowi, który, dostawszy rękopism w ręce, zechciał go dla użytku ogólnego uprzystępnić.

Dr. Adam Bielecki.

Z piśmiennictw obcych.

Geschichte der byzantinischen und neugriechischen Litteratur. Von *Dr. Karl. Dieterich.*

Geschichte der türkischen Moderne. Von *Dr. Paul Horn.* („Die Literaturen des Ostens in Einzeldarstellungen" Bd. IV. Leipzig. C. F. Amelangs Verlag. 1902).

W wydawnictwie „Literatur Wschodu", które tak sympatycznie dla nas rozpoczęło się „Historyą literatury polskiej" prof. Brücknera, wyszły jako tom czwarty dzieje literatury bizantyńskiej i nowogreckiej, oraz krótki rys tureckiej „moderny". Pierwsza część tomu jest pracą szczerze naukową, druga raczej publicystyczną, zajmującą przedewszystkiem dla egzotycznego, mało, niemal nic nie znanego tematu.

Po zwięzłym poglądzie na literaturę hellenistyczną z siedzibą w Aleksandryi, autor analizuje dwa główne składniki bizantyńskiego

piśmiennictwa: klasyczny jako dziedzictwo starożytnej kultury, i nowszy oryentalny. Po tym wstępie, opartym na wielkiem dziele Krumbachera, autor przechodzi do właściwej historyi literatury bizantyńskiej, którą dzieli na dwie epoki: czas rozkwitu w VI—XI wieku o charakterze po części kościelnym, po części panegirycznym, i czasy upadku do w. XIV. Potem następuje już powolne ale stałe przejście z bizantynizmu do nowogreckiej literatury, gdzie obok wschodnich wpływów jeszcze silniej działają romańskie, a zwłaszcza francuski. Poezya ludowa zasługuje zdaniem autora na duże uznanie, bo ma szczere, zazwyczaj smutne i sentymentalne akcenty: stary romans o Hero i Leandrze, tej nieszczęśliwej parze kochanków zapładnia mnóstwo znanych i anonimowych poetów, a smętne wyobrażenie Charosa towarzyszy stale nawet erotycznej liryce. Mniej sympatycznie przedstawia się zrazu artystyczna poezya, pielęgnująca, zwłaszcza z początku w Konstantynopolu, bizantyńskie tradycye, zanim z powstaniem królestwa greckiego (1832) z Phanoru nie przeniosła się do Aten. Tam powstają dwa jej kierunki: akademicki uczony i praktyczny tendencyjny, oba z patryotycznych pobudek dążące do niemożliwego wskrzeszenia zamarłych bizantyńskich czasów. Przedstawicielem pierwszej grupy a zarazem najbardziej znanym w Europie poetą nowogreckim jest Aleksander Rizos Raugabé (właściwie Raugawis), autor chłodno-patetycznych dramatów, kilku lepszych od nich epickich poematów i dużej powieści o „Księciu Morei“. Raugabé jest zimnym akademicznym wierszopisem i wiernym arystokratą; przeciwnie, najwybitniejszy z politycznych poetów phanaryota Al. Sutzos jest wcieleniem wielkogreckiego szowinizmu o charakterze demokratycznym, a raczej demagogicznym; jego utwory zajmują w pierwszej linii jako odezwy politycznego agitatora. O ile w obu grupach tych poetów żyją lub wegetują bizantyńskie tradycye, o tyle w poezyi nowogreckiej na wyspach greckich trwają starodawne swobodniejsze wpływy weneckie w przeciwieństwie do doktrynaryzmu Bizancyum. Te ludowe pierwiastki w ostatnich czasach i do literatury ateńskiej wprowadzają świeższe powietrze.

Oto w najogólniejszych zarysach treść pierwszego, bardzo poważnie opracowanego działu książki. Omówienie krytyczne odnośnej literatury naukowej i informujące noty z jednej strony dozwalają czytelnikowi kontrolować wywody autora, z drugiej zaś ułatwiają dalsze poszukiwania chcącemu głębiej poznać nowogreckie piśmiennictwo.

Druga część tomu poświęcona nowoczesnej literaturze tureckiej może dlatego mniej zadowalnia, że autor nie wprowadza czytelnika

w tureckie środowisko, lecz stawia go na uboczu jako obserwatora; stąd nie czuje się związku tych poetów z ich narodowem życiem, gdy właśnie to nowotureckie tło mogło być tak bardzo zajmującem. Autor, posiadający zresztą, jak to na każdym kroku widać, dużą znajomość przedmiotu, dzieli wykład na małe rozdziały, poświęcone każdemu z pisarzów po kolei, bardzo dokładnie streszcza nawet pojedyncze ich utwory, ale nie odznacza się przytem darem wyróżniania i wykazywania charakterystycznych cech.

J. Fl.

Die moderne Malerei in Deutschland. Von *Dr. Alfred Koeppen.* Mit 136 Abbildungen und einem Einschaltsbild. 1902. (Str. 146).

Die moderne Plastik in Deutschland. Von *Alexander Heilmeyer.* Mit einem Titelbild und 184 Abbildungen. 1903. (Str. 154). Obie książki wydane w Bielefeld u Velhagen & Klasing *(Sammlung Illustrierter Monographien,* nr. 7 i 10).

Te dwie książki uzupełniają się wzajem, tworząc obraz dwóch najważniejszych działów sztuki pięknej w Niemczech. Pierwszy tom o malarstwie ma prosty a dobry układ: po ogólnem zróżniczkowaniu sztuki dzisiejszej i dawniejszej, autor zajmuje się naprzód sztuką realistyczną, potem idealistyczną, oba pojęcia tworząc sobie w miarę swobodnie. W ustępie o malarstwie realistycznem mówi naprzód o nowych jego problemach, związanych z nowymi kierunkami współczesnego życia społecznego, potem o nowej technice, w której widzi główną wartość tego malarstwa. Menzel i mniej u nas znany, równie genialny Leibl, są przedstawicielami epoki przejściowej; z Maxem Liebermannem i Fritzem von Uhde wchodzimy już w „modernę". Następuje już cały legion malarzów: więc pejzażyści ze sławnymi artystami Dachan i Worpswede, więc sztuka, którą możnaby nazwać i ludową i agrarną z potężnemi postaciami Kalckreutha i Mackensena, więc nader ciekawa sztuka malarstwa religijnego z Gebhardtem, Uhdem i Slevogtem; malarstwo historyczne, portret, dalej sztuka ornamentalna aż do plakatu. Taki może nieraz zbyt materyalny układ naraża autora na powtarzanie się, lecz z drugiej ma zaletę przejrzystości i jasności. W drugim rozdziale zresztą autor w zmienionych warunkach zmienia i metodę: mówiąc o sztuce idealistycznej, analizuje nie jej działy, lecz twórczość ogólną malarzy, naprzód Böcklina, potem H. Themy, Stucka, L. Hoffmanna i paru mniejszych, kończąc efektownie Klingerem.

Rzeźba nowoczesna w Niemczech, którą omawia następująca praca

jak skromnie autor przyznaje, na razie przynajmniej nie najświetniej w tym kraju kwitnie i np. francuskiemu rzeźbiarstwu stanowczo kroku nie dotrzymuje. Ten sąd udziela się i czytelnikowi, zwłaszcza że autor głośnego Klingera jako rzeźbiarza dość sobie lekceważy i krótko się z nim załatwia, a także i sztukę wiedeńską pobieżnie zbywa (uwagi o Tilgnerze streszcza w kilku słowach zaledwie, o Zumbuschu i o Weyrze, znanych z wiedeńskich pomników, nawet nie wspomina). Ze szczególną natomiast starannością przedstawia autor te rodzaje rzeźby, które jak najściślej złączone są z budownictwem, i które tektonicznemi nazywa. Doskonałym np. jest obraz rozmaitych kierunków w dzisiejszej sztuce budowania artystycznych studni, zwłaszcza że ilustracyjna część książki podaje nie same tylko wykonane i stojące na publicznych placach studnie, lecz i niezrealizowane plany, nieraz od tamtych ciekawsze i piękniejsze (np. studnie pomysłu Ignacego Taschnera i Augusta Doumma). Wogóle strona obrazkowa obu tomów przedstawia się okazale; samo uważne przeglądanie ilustracyi daje wyobrażenie o dzisiejszych kierunkach sztuki plastycznej.

Dr. J. Flach.

Hippolyte Flaudrin. Par *Louis Flaudrin.* Paris. Librairie H. Laurens. 1903.

Jednym z bardzo nielicznych malarzy nowszej epoki, przejętych głęboką religijnością i w tej religii szukających, czerpiących swe natchnienie, za wzorem pierwotnych malarzy włoskich, był Hipolit Flaudrin, który oto doczekał się umiejętnego opracowania swego życia i działalności. Podjął się tego zadania zaopatrzony w rodzinne źródła i materyały synowiec słynnego malarza.

Uczucie potrójnej miłości: Boga, rodziny i sztuki wypełniało całe życie, kierowało całą działalnością Hipolita Flaudrin'a. Już w pierwszej młodości wysłany dla studyów do Paryża, nie tylko znosić tam musiał przykre stosunki materyalne, nieodłączne niemal od początkowej epoki życia każdego artysty, ale z powodu swych głęboko religijnych przekonań, ścierpieć musiał niejedną obelgę, niejedno szyderstwo swych rówieśników. Donosząc matce o sobie i postępach brata i własnych, dodaje: „Wrócimy do ciebie takimi, jakimi nas pożegnałaś, a więc wierzący w Boga i usiłujący spełnić Jego przykazania. To zapewnienie może ci się wyda zbytecznem, kiedy mówię, że wierzymy w Boga, ale trzeba ci wiedzieć, że tu nikt zgoła w Niego nie wierzy". Wytrwać na posterunku swych przekonań religijnych w tej właśnie epoce i śro-

dowisku, było zasługą niemałą, na to potrzeba było potężnego hartu woli. Ale opancerzony niejako chrześcijańskiem wychowaniem domowem, Hipolit Flaudrin przebył bez szwanku tę próbę ogniową, wówczas i w dalszem swem życiu pozostał religijnym zawsze, służbę swą oddał Bogu, poświęcając przeważnie talent swój na ozdobę przybytków Pańskich. Ślady jego twórczości budzą dotąd podziw prawdziwych znawców i miłośników sztuki piękna. Uczeń Ingres'a, wiernym pozostał hasłom swego mistrza, który zachęcając uczniów do szukania prawdy i badania przyrody, powtarzał, iż zawsze jest ona piękną dla tych, co umieją patrzeć. Chateaubriand kiedyś powiedział, iż bywają epoki, w których podniosłość duszy stanowi niemal kalectwo, skoro już nikt zrozumieć jej nie umie. Stąd ci właśnie malarze, którzy najwyższych szukali natchnień, dziś mniej bywają cenieni. Ale Flaudrin dla swych portretów i religijnych obrazów przeżyje te ewolucye mody.

M.

Capitulorum volumen polonicum (w „Archeograficznym Sborniku wileńskim", tom XII. Wilno 1900. W 4-ce, str. XXXIII i 230)

Archiv połockoj duchownoj Konsistorii. Moskwa 1902. W 8-ce małej, str. 168.

Rewizia władimirskoj baziliańskoj školy (w „Trudach obščestwa islêdovatelej Volyni. Tom I. Zytomierz 1902. W 8-ce, od str. 22—33).

Literatura nasza o Bazylianach bardzo uboga. Oprócz dawnych już bardzo (ale mających do dziś dnia znaczenie) dzieł O. Stebelskiego w tej materyi, tego wszystkiego, co o tym zakonie pisze ks. biskup Likowski w swojej historyi, cennej bardzo „Unii", a także tego, co o tem znajdujemy w pracach J. Bartoszewicza, chyba niewiele już będzie studyów poświęconych temu przedmiotowi. Do najcelniejszych jednakże potrzeba zaliczyć w nowszych już czasach prac o tym zakonie O. Stanisława Załęskiego T. J. „Reforma XX. Bazylianów w Polsce w XVII wieku", Lwów 1883 i O. Henryka Jackowskiego T. J. „Bazylianie i reforma dobromilska", Kraków 1884. Jeszcze później, bo w r. 1899 w Krakowie wydał Fr. Ks. Kluczycki „Abrys domowey nieszczęśliwości wyrażony Anno 1721", ułożony przez O. Jana Oleszewskiego, konsultora zakonu św. Bazylego, gdzie jest niemało cennych wiadomości o Bazylianach litewskich. Zakon ten zasłużył się bardzo w dziejach naszej przeszłości, szerząc oświatę na krańcach wschodnich Rzeczypospolitej i, potem, gorliwie broniąc Unii i jedności ze Stolicą Apostolską; ci szermierze waleczni, zabezpieczeni celibatem,

dzielnie walczyli za wiarę świętą, dokonywając znakomitych czynów, co nam właśnie historya tego zakonu przekazała; dzieje więc Bazylianów nie mogą być dla nas obojętne i, nie mając dzieł odpowiednich własnych, musimy ich szukać gdzieindziej. W literaturze rosyjskiej zaś jest dużo dzieł o Bazylianach (i nie dziw, bo mając mnóstwo materyałów pod ręką, w swoich zbiorach, czego nam brak zupełny!), piszą tam o tem wiele i chociaż przedstawiają rzeczy jak im potrzeba, oświetlają fakta podług swoich poglądów, ale zawsze się tam coś znajdzie, co i naszą publiczność zainteresować może, a gdy są wydawane dokumenta — to już ma często naukowe nawet znaczenie; dlatego odczytawszy niektóre *nova* rosyjskie o Bazylianach, postanowiliśmy zdać z nich sprawę [1].

Capitulorum volumen polonicum wydrukowane w *Archeograficznym wileńskim sborniku* (a w poprzednich tomach tego wydawnictwa jest także niemało dokumentów i materyałów do dziejów bazyliańskich klasztorów na Litwie) w tomie XII, a odszukane w sławnych Żyrowicach (teraz gubernia grodzieńska, powiat słonimski), gdzie kiedyś był głośny klasztor bazyliański, zawiera w sobie spis kapituł czyli kongregacyi Bazylianów w pierwszym wieku ich istnienia, t. j. od 1617 do 1709, a więc czasy dla zakonu niespokojne i trudne.

[1] Przy tej sposobności cytujemy tu niektóre dawniejsze prace rosyjskie o Bazylianach, w nadziei, że może się kiedy komu to przyda na co. Profesor kijowskiej duch. Akademii M. Petrow, drukował w 1870 r. w pracach Kijowsk. duch. Akad. szkic Bazl. zakonu w Polsce, przyczem interesowały go bardziej urządzenia zakonne i wewnętrzne życie klasztorów, a także jego w Wołyńskich eparch. wiadomościach z r. 1867. Wiadomości o monasterach na Wołyniu już teraz nie istniejących, równie też on przetłumaczył. Wydał w pracach duch. Akad. kijowsk, Pamiętnik O. Łukasza Sulżyńskiego, konsultora ruskiej prowincyi, gorliwego katolika, pisane po polsku r. 1808, oryginał którego znajduje się w archiwum monasterskiem w Poczajowie, rzecz bardzo ważna i ciekawa. Kojałowicz wydał także historyę bazyliańskiego zakonu w krótkości. W. Znierinskij wydał w Petersburgu trzy tomy, 1890—1897, o monasterach w Rosyi, w czem dużo jest wiadomości o klasztorach bazyliańskich w dawnej Polsce. E. Sieciński w Kamieńcu 1891, o monasterach w gubernii podolskiej, a więc także i o bazyliańskich. Nie brak też monografij o oddzielnych monasterach, np.: archimandryty Amwrosia o Poczajowie, Poczajew 1886; Szczerbickiego o monasterze św. Trójcy w Wilnie, Wilno 1886 (są tu wiadomości także o opactwie bazyliańskiem w Trokach), archimandryty Mikołaja o suprailskim monasterze, Petersb. 1892, i inne, nadto w t. zw. eparchialnych wiadomościach, szczególnie wileńskich i wołyńskich, zwykle dużo bywa opracowań o dawnych bazyliańskich klasztorach i opactwach.

Z początku znajdujemy tam brewe Urbana VIII, *Exponi nobis*, o początkowem urządzeniu zakonu Bazylianów, Aleksandra VII, *Sollicitudo pastoralis officii*, kasujące kongregacyę w Supraślu 1665 r. i nakazujące zwołać nową, dekret propagandy, znoszący kongregacyę w Mińsku z r. 1683 i wszelkie jej postanowienia, a potem opis 26 kapituł bazyliańskich (od str. 7—170) w języku polskim.

W naradach na pierwszej już kongregacyi, na czele której był jeszcze metropolita Józef Rucki, obradujący przyszli do tego przekonania, że aby się Unia pomyślnie szerzyła, potrzebna reforma duchowieństwa a szczególnie — zakonników, jako przyszłych kandydatów na wyższe dostojeństwa hierarchii unickiej, żeby zaś reforma była gruntowna i wszechstronna, postarano się o nauczycieli-przełożonych z zakonu Towarzystwa Jezusowego, którzy powinni byli przekształcić i wychować należycie zakon w upadku zostający św. Bazylego. Na tej jeszcze kongregacyi i następnych ukonstytuował się zakon bazyliański: postanowiono, aby na czele jego stał generał czyli protoarchimandryta, monitor jego, konsultorowie, sekretarze byli i prowincyał; protoarchimandrytą, podług ustaw, powinien być prosty zakonnik, a nie metropolita lub biskupi.

Otóż to postanowienie było następnie przyczyną wielu sporów i zaburzeń nawet w łonie samego zakonu, gdyż niektórzy biskupi i metropolici starali się usilnie o to, aby zostać jednocześnie generałami Zakonu (wbrew uchwałom kongregacyjnym), a mając swoich w zakonie i na naradach zwolenników, nawet partye całe, często dosięgali swego celu, co znowu gorszyło innych, niezależnych zakonników, trzymających się swoich ustaw, nie chcących się zgadzać na to pogwałcanie reguł zakonnych. Takie zatargi (z wielką dla Unii szkodą) z metropolitą Sielawą, Kolendą, Zochowskim wiele bardzo niepokojów i nieporządków do życia wnosiły klasztornego i gorszyły wiernych. Zakon zwykle apelował do Rzymu, broniąc się od metropolitów, Stolica zaś Apostolska często przyznawała mu racyę i nuncyuszom polecała warszawskim zaprowadzenie porządku na nowo pomiędzy Bazylianami, lecz nieraz bywało to nie na długo.

Oto jest mniej więcej tło tych kongregacyi, przy opisie których jest dosyć przyczynków jeszcze innych do historyi Bazylianów; spisy dostojników różnych owoczesnych i urzędników zakonnych, wiadomości o fundowaniu nowych klasztorów i ich uposażeniu, nieco z kazuistyki pojedynczych klasztorów, wiadomości o dobrodziejach Zakonu i t. p. rzeczy.

W tym samym tomie mamy jeszcze: *Constitutiones monachorum*

ordinis S. Basilii Magni Rutenorum (171—176); *Observantia circa electionem Protoarchimandritae* (176—182), *Epithome, qualis status religionis Basilianae in Litvania ac Russia, item qualis transactio cum illustrissimis dominis metropolitanis fuerit, breviter describitur* (182—188). *Relatio de congregatione Suprasliensi anno 1665, Anticapitulum Minscense Julianum anno 1683, Anticapitulum Novogrodense martianum anno Domini 1684,* (188—201). *Regulae episcoporum* (201—210).

P. A. Sapunow, literat rosyjski, uczony wydawca t. zw. *Witebskiej Staryny* i innych dzieł historycznych, opisał dokładnie archiwum połockiego duchownego konsystorza panującego w Rosyi wyznania. W tem archiwum, jak łatwo się było spodziewać, okazało się dużo dokumentów (pomiędzy innemi rzeczami, o których tu nie wspominamy, bo nie wchodzą w zakres naszej pracy) tyczących się dawnych klasztorów Bazylianów, które tym sposobem teraz choć trochę bliżej poznać możemy i dowiedzieć się, gdzie są te o nich wiadomości, za co słuszna p. S. należy się wdzięczność.

I tak naprzód szczegółowo bardzo opisane archiwum witebskiego klasztoru Bazylianów (od str. 5—45); są tu: inwentarze klasztorne z pierwszej ćwierci XVIII wieku, fundatorskie dokumenta, zaczynając od r. 1598 aż do 1761, potem spis różnych darowizn na rzecz klasztoru z wymienieniem daty i przez kogo od r. 1599—1779, następnie obligi i karty, kontrakty różne z XVIII stulecia przeważnie, wyszczególnienie procesów, które klasztor prowadził, broniąc swego mienia, przyczem niektóre ciekawsze ustępy tych spraw podane *in extenso* od r. 1617—1811, dalej dokumenta różnej treści przeważnie z XVIII stulecia. Wszystkie te akta pisane najczęściej po polsku, nierzadko po rusku (białorusku), rzadko po łacinie a jeszcze rzadziej po rosyjsku.

W tymże porządku opisane archiwum klasztorne w Tadulinie (46—52); dokumenta fundatorskie z drugiej połowy XVIII w., darowizny z tychże mniej więcej czasów, kontrakty 1748—1810 r., *varia* od r. 1755—1839. Dokumenta te pisane w tychże samych językach.

Obszerniejszy opis papierów bazyliańskiego klasztoru przy sobornej cerkwi św. Zofii w Połocku z dodatkiem dokumentów połockich unickich arcybiskupów (54—85) w styczności z Bazylianami zostających. Są tu inwentarze jeszcze z XVII stulecia, dokumenta, świadczące o nabywaniu ziemskiej posiadłości, jeden z XVI w., inne z XVII i XVIII, kontrakty, procesy, które prowadzili arcybiskupi i Bazylianie w obronie dóbr swoich i własności od r. 1597—1807; pomiędzy tymi

dokumentami jest jeden bardzo ciekawej treści (p. 82) bez daty; jest to spis szkód i strat, wyrządzonych przez wojska posiłkowe cara (Piotra I), a także pp. komendantów garnizonu połockiego i pułki konne i piesze, przybywające w celu rabunku, w klasztorze połockim i zamku od 10 czerwca 1705 r. do 1711, nawet i we wsiach należących do klasztoru; tak w Czerstwiatach w 1710 r. wysłani przez owoczesnego komendanta Kropotowa, zrabowali tam wszystko i ks. Pietrowicza zabili; Rżewski np. także jakiś sługa caraki zabrał zegar z wieży w Połocku, zniszczył go i metalem z tego zegaru kazał okuć swoje fury (wozy); o rozprawie Piotra z nieszczęśliwymi Bazylianami niema tu wzmianki, ale jest mowa o zabitych zakonnikach, których mienie (co znaleziono zapewne w ich celach) zrabowane było, jak też kosztowniejsze sprzęty, obrazy i t. d. z kościoła wszystko to zabrane było, nie mówiąc już o pieniądzach; nazwiska zabitych w Połocku w r. 1705 zakonników podane tu także: przełożony O. Kizikowski, kaznodzieja O. Kołbeczyński (?), wikary O. Zajkowski, zakrystyan O. Anuszewicz; dokumenta różnej treści od r. 1679—1803.

Archiwum Boryso-hlebskiego klasztoru w Połocku (85—102) także jest dość bogate: inwentarze z r. 1585, 1654 i z XVIII w.; dokumenta funduszowe z r. 1521, dosyć z XVII stulecia i następnego: dużo w nich historycznego materyału i ciekawych wiadomości; procesy tego klasztoru r. 1597—1716, dostarczają niemało faktów, mających obyczajowe i nawet dziejowe znaczenie; jednem słowem odczytawszy pilnie opis tego klasztoru, jak też i poprzednich, można sobie przedstawić jako tako przeszłość tego klasztoru i stanowisko jego w kraju; dokumenta przeważnie pisane po polsku.

Są tu jeszcze wiadomości o Czerejskim monasterze dość interesujące z dokumentami z XVII wieku (159—165) i XVIII i krótka notatka o łukomskim i orszańskim klasztorze Bazylianów.

Szkoła bazyliańska we Włodzimierzu na Wołyniu najdawniejsza i sięga czasów nawrócenia na Unię Pocieja i biskupa unickiego Morochowskiego; w ręku Bazylianów była już w XVII wieku, ale dzieje ej, niestety, dotąd nie zbadane, a nawet na pewno nie wiadomo, gdzie była pierwotna Bazylianów siedziba we Włodzimierzu, zanim się nie przenieśli r. 1786 do byłego OO. Jezuitów kościoła i klasztoru, który w r. 1840 zabrano na schizmę i poświęcono pod imieniem Narodzenia Pańskiego (istnieje tam jeszcze dotąd).

Pan Jarocki podał nam w wyżej zatytułowanem czasopiśmie ro-

syjskiem tylko wizytę Czackiego tych szkół z roku 1803, nie wspominając wcale, czy korzystał z oryginału czy kopii, nie mówiąc także gdzie się to obecnie znajduje. Wizytę poprzedził niby krótkim rysem przeszłości tej szkoły, tendencyjnie zaznaczając, że powstała z uczelni dyzunickiej, ufundowanej tam przez Konstantego, kniazia na Ostrogu, już w XVI stuleciu, a tymczasem szkoła unicka niezależnie od tamtej znacznie później się uformowała i nic niema wspólnego z fundacyą Ostrogskich; nie jest także prawdziwem, co autor powiada, że za polskich czasów u Bazylianów we Włodzimierzu nie uczono wcale po rusku, a zamilcza o tem, co nawet *Kijowskaja Starina,* rosyjskie czasopismo z r. 1882 podaje, opisując wizytę tych szkół w 1789 r., gdzie wyraźnie powiedziano, że O. Ambroży Kalinowski, profesor prawa i nauki moralnej, uczył także po słowiańsku i po niemiecku, a uczniowie przy egzaminie zdawali sprawę z języka słowiańskiego i ruskiego; nadto Wł. Smoleński („Żywioły zachowawcze i Kom. edukacyjna") twierdzi: zaszczytnie się wyróżniali Bazylianie włodzimierscy, jak im to przyznawał wizytator w r. 1784 (ciekawą jest rzeczą, że Łukaszewicz cytuje z tego samego roku wielkie nagany wizytatora dla szkół we Włodzimierzu), pisząc, że mogą być wzorem szkół wszystkich; celowali głównie w nauczaniu języków: niemieckiego, angielskiego, francuskiego, greckiego, włoskiego i słowiańskiego, a O. Aleksander Zórawski, ord. Basl., oświadczył się nawet w 1788 r. wizytatorowi Krasińskiemu z chęcią napisania gramatyki słowiańskiej. (Dotąd Smoleński). Widocznie więc musiano język słowiański uprawiać, a ruskiego także nie zaniedbywano.

W r. 1803 szkoły włodzimierskie były w upadku: nieszczęścia krajowe, postradanie majątków, które po pierwszym kraju rozbiorze odeszły do Austryi, stąd niedostatek wielki w klasztorze włodzimierskim, niemożność utrzymania należycie wszystkiego w porządku, ujemnie oddziałały na ich szkoły, którym Czacki nie szczędził nagany (chociaż to wiadomo, że on zakonników nie lubił i szkoły przez nich utrzymywane nie były w jego guście). Rektorem był wtedy O. Salustyusz Bułharowski, prefektem O. January Bystry, nadto czterech nauczycieli zakonników; uczniów było 76 (w 1802 tylko 35), z tych 36 ze szlachty, 31 synów księży unickich, mieszczan 9; po francusku uczyło się 10, po niemiecku 7, po rosyjsku 25; dochody szkoły wynosiły 6.063 złp. i gr. 15, a na utrzymanie koniecznie potrzeba było 6.602 złp. 15 gr.

Wołyniak.

ZAPISKI BIBLIOGRAFICZNE.

Z dziejów języka polskiego. Studya i szkice. *Aleksander Brückner.* Lwów. Nakładem Towarzystwa wydawniczego. 1903. Warszawa. Księgarnia S. Sadowskiego.

Omawiana książeczka powstała z wykładów, jakie w zimie zeszłej wygłosił szan. autor w powszechnych wykładach uniwersyteckich we Lwowie. Pierwsze dwa rozdziały tej książeczki ukazały się pierwotnie w *Słowie Polskiem.* Obecnie rozszerzył je autor znacznie, dodając sporo rzeczy nowych, dorzucając nowe przyczynki do dziejów naszej cywilizacyi na podstawie rezultatów, do jakich doszedł badając język, podobnie jak przed trzema laty usiłował z nawarstwień słów obcych w języku naszym wyczytać dzieje naszej obyczajowości. Praca ta, aczkolwiek szkicowa, jest nad wyraz pouczająca i pożyteczna, gdyż porusza pytania dotyczące zewnętrznej szaty językowej, jej wykwintności i poprawności, pytania, dotyczące bogactwa, dawności, znaczenia naszego języka, szczegółów jego form i słów, jego stanowiska między innymi słowiańskimi.

Rozdział naczelny, zajmujący się wykazaniem dawności naszego języka, wychodzi z twierdzenia jakie wypowiedział dr. Jan Karłowicz w referacie p. t. „Środkowość polszczyzny“ na posiedzeniu III Zjazdu historyków polskich w Krakowie w r. 1900. Wiadomo, że języka nie stanowią tylko słowa potoczne, ale też nazwy miejscowości i cała topograficzna nomenklatura. Otóż właśnie polska nomenklatura jest najstarożytniejszą między wszystkimi słowiańskimi językami. Wskazuje nadto na dawność polszczyzny i ta okoliczność, żeśmy nosówki *ą* i *ę* zachowali w pełnym rozkwicie, podczas gdy inne języki słowiańskie je zatraciły lub zachowały w minimalnych tylko śladach. Narody o małej kulturze zapożyczały się u jednego narodu w nowe wyrazy. Jedynie polski język nie ograniczył się wpływem jednego języka, lecz ma obok ruskich, łacińskich, niemieckich — także włoskie, węgierskie, tatarskie, czeskie i w. i. Świadczy to, żeśmy żyli zawsze z innymi ludami razem. W dalszym ciągu wskazuje autor na konieczność czerpania ze słownika żywej mowy ludowej, w której spoczywają istne skarby, jako też ze staropolskich pisarzy. Wymagać tylko trzeba, iżby w doborze słów kierowano się trafnym instynktem. Przy tej sposobności muszę sprostować twierdzenie autora, jakoby w języku naszym zaginął wyraz słowiański *czędo.* Jak można się przekonać z notatki, zamieszczonej w I-m zeszycie *Ludu* z roku bieżącego,— wyraz ten zachowały gwary ludowe. O znaczeniu naszego języka świadczy też i to, że wywarł on wielki wpływ na języki ościenne, a mianowicie na: małoruski, rosyjski, rumuński, podczas gdy od nich zapożyczył bardzo niewiele.

Rozdziały następne rozbierają trudności naszej ortografii, kreślą próbę jej naprawy, uwagi co do używania rozmaitych form językowych, wreszcie mówią o niektórych dźwiękach i słowach polskiego języka.

Dr. Z.

Folklor a historya literatury. Pismo polemiczne. Przez *Maksymiliana Kawczyńskiego*. Kraków 1903. W komisie księgarni G. Gebethnera i Sp. (8-ka, str. 29).

Broszura ta jest odpowiedzią na recenzyę dwu prac prof. Kawczyńskiego, jaką ogłosił dr. E. Porębowicz w *Pamiętniku literackim*. Abstrahując najzupełniej od samej polemiki, która twierdzi, że prof. Porębowicza „stanowisko naukowe jest opaczne, gorzej niż dyletanckie, wiadomości nie wystarczające, rozumowanie histeryczne, zarzuty zawsze prawie na insynuacyach i przekręceniach polegające“, uważam za stosowne zwrócić na niektóre ogólniejsze myśli prof. Kawczyńskiego uwagę, ze względu na ich doniosłość i i najzupełniejszą prawdziwość.

Przedewszystkiem zatem nie można w żaden sposób posługiwać się tekstami ludowymi, spisanymi w wieku XIX, w objaśnianiu utworów literackich wieków minionych. Bo naprzód niepodobna znaleźć dowód, że pewien motyw istniał kilkaset lat temu, co więcej, dowód, gdyby się go istotnie znalazło, byłby bardzo problematycznym i wątpliwym, gdyż tradycye ludowe rozszerzają się najrozmaitszemi drogami. Zwłaszcza opowieści ludowe rozszerzają się bardzo szybko: bądźto wędrując z kraju do kraju, przenoszone przez wędrownych robotników, bądź też, co często się zdarza, dostając się do ludu z druków ulotnych, jarmarcznych. Stąd też niepodobieństwem jest częstokroć oznaczyć, czy pewna powieść, naturalnie grubo zmieniona i przerobiona, jest wytworem fantazyi ludowej, czyli też dostała się do ludu drogą inną, np. książkową? Zanim się tedy weźmie folklor do badania porównawczego z historyą literatury, należałoby wprzódy oznaczyć, w jakim okresie powstała dana powieść lub powiastka.

Uznanie, jakie autora spotykało nieraz za trudy mozolne, niechaj go wiedzie w przód, bo źleby było, gdyby jeden głos pozbawić miał naukę naszą cennych dzieł tylekroć cenionego autora. Niechaj wspomni, że ma możność pracować dla swoich, a przecież są tacy, których prywatna złość i nienawiść wypędza w obcy kraj, i ci mimo to nie przestają pracować dla swoich, choć od nich nie zaznali niczego dobrego. *Dr. St.*

Korespondencya Józefa Bohdana Zaleskiego. Wydał Dyonizy Zaleski. Tom IV. Lwów 1903. Nakładem wydawcy. (8-ka, kt. n. 1, str. 277 i IX).

Wydawnictwo Bohdanowej korespondencyi rychłym postępuje krokiem. Przed kilku zaledwie miesiącami zdawaliśmy na tem miejscu sprawę z tomu trzeciego. Z tem większą radością przychodzi nam teraz mówić o najnowszym tomie tej z prawdziwie synowskim pietyzmem podjętej publikacyi. Znając dobrze materyał możemy śmiało powiedzieć, że jest to tom przedostatni, i że najdalej z końcem r. b. powinienby wyjść z druku tom ostatni. Poza rzetelną wdzięcznością, na jaką niezaprzeczenie sobie zasłużył u historyków literatury syn poety, winniśmy wyrazić mu cześć należną za to, co w dzisiejszych zwłaszcza czasach godne jest ze wszechmiar podniesienia, za przykład dobry. Wykazał on bowiem wszystkim tym, którzy chowają z chciwością starego kutwy, niejednokrotnie cenne materyały do historyi literatury, ile przy dobrej woli można uczynić, jaki stąd pożytek wyniknie dla nauki?

Tom omawiany obejmuje korespondencyę Zaleskiego z lat 1867—1871. Jak wiadomo — lata te były bezpłodne dla poezyi, „wstrętne mi tedy pióro — pisał Bohdan — bo gorzkie myśli i słowa są jakoby nieurodzajne chwasty, chyba na spalenie". Ton religijny, w jaki popadł nie od teraz poeta, trwa ciągle w jednakiem napięciu. To też skarżył się, że „przecywilizowana Europa widocznie poganieje... Kościół Pański wszędzie w ucisku i opustoszeniu. Religia i wszystko, co święte, co dobre, co piękne, podane jest w pogardę i pośmiewisko". Nie można się tedy dziwić, że wśród srogich przejść, jakie mężnem sercem przetrwał poeta, że po stracie tylekroć ukochanych — Dyonizyi i Daryusza Poniatowskich oraz żony, osłabło w nim do reszty natchnienie. Łudził się wprawdzie czasem poeta, że wrócą dawno minione płodne lata: „Nigdy nie czułem — pisał — w sobie takiej pełności siły i pewności w razu. Owoż w nich pobudka ustawna do grzechu i niebezpieczeństwa różnego rodzaju. Muszę jednak dośpiewać mojej pieśni, oczywiście finał będzie grzmotniejszy od przygrawki". Niestety — skończyło się na rojeniach. Twórczość poetycka wegetowała zaledwo. Natchnienie było wyczerpane do dna.

Ogółem wziąwszy, treść listów, w omawianym tomie zawartych, jest bardzo skąpa. Jedynie sporą garść wiadomości o drużynie emigracyjnej można wyłowić: a więc czytamy tu o Chodźce, Miłkowskim, Lenartowiczu, Polu, Domejce, Goszczyńskim i wielu innych.

Żałować tylko wypada, że wszystkich listów nie wydrukowano w całości, lecz często tylko w urywkach. Pod względem metody wydawniczej jest to zasadniczy błąd. Przypominamy nakoniec potrzebę dodania przy końcu ostatniego tomu alfabetycznego spisu nazwisk do całości „Korespondencyi", bez pomocy jego bowiem trudno nadzwyczaj znaleźć się w tej ogromnej masie listów.

wi.

Facecye sowizdrzalskie o ludziach pióra, pędzla i nożyc, dla ludzi pióra, pędzla i nożyc. *Adolf Neuwert-Nowaczyński.* Kraków. 1903. Nakładem drukarni narodowej. (4-ka wązka, kt. nl. 4 i str. 84).

Nadzwyczaj jest przykro pisać o książce, pełnej myśli i poglądów niejednokrotnie zasadniczo prawdziwych i słusznych, które powinny były uczynić wrażenie, a nie wywarły go z wielu smutnych i pożałowania godnych powodów. Książka p. Nowaczyńskiego — pomimo szalonej reklamy, jaką urządziły jej dwa tygodniki: krakowska *Pika* i lwowskie *Małpie zwierciadło*, nie odpowiedziała bynajmniej zamiarowi, t. j. nie oddziałała wcale na społeczeństwo, na zmianę jego poglądów na sztukę. Dlaczego tak się stało, dlaczego te myśli, które były w książce słuszne, są częstokroć pomimo prawdy, jaką zawierają, wstrętne? Na to złożyło się wiele przyczyn. „Facecye sowizdrzalskie" bowiem są zbiorem anegdot o niemal wszystkich polskich literatach, uczonych i artystach, ale anegdot takich, których najwłaściwszem miejscem byłby krakowski *Bocian.* Mniejsza już o to, że autor nie uczynił należytego wyboru pomiędzy ziarnem a plewą, skutkiem czego dostało się najniesłuszniej wielu bardzo zasłużonym ludziom, być może, iż poza sobą samym i kilkunastu jednostkami — nie uznaje nikogo, ani też niczego. Ależ bo książka p. Nowaczyńskiego składa się z wielu ustę-

pów, będących prostymi paszkwilami, w najpodlejszym gatunku, paszkwilami na osoby, stojące kulturalnie częstokroć znacznie wyżej od autora „Facecyi". P. Nowaczyński wolał pisać o osobach, nie o ich pracach, stąd też to, co pisze o Glińskim, Górskim, Przybyszewskim, Miriamie i t. d. jest tak haniebne dla autora, że stawia go w rzędzie najpospolitszych paszkwilistów. W pierwszych latach wystąpienia p. Nowaczyńskiego na arenie publicystycznej, myślałem, że ma pewną kulturę, ale omyliłem się co do jej rodzaju. Bo pan Nowaczyński ma istotnie wysoką kulturę instynktów najniższego gatunku, ale brak mu całkowicie kultury umysłowej. Z „Facecyi" wygląda co chwilę oblicze dzikusa z epoki kamienia łupanego, oblicze wyrafinowanego „kulturalnego" barbarzyńcy.

St.

Dwa wykłady popularne o walce z gruźlicą u nas. *Dr. Fr. Chłapowski.* Poznań. 1903.

Pierwszy z tych odczytów, wygłoszonych na zebraniu wydziału przyrodników i techników Tow. Przyj. Nauk w Poznaniu, mówi o zakładach ludowych dla chorych piersiowo z szczególnem uwzględnieniem tych, co się u nas budują. Ale sam pobyt i leczenie w zakładzie nie wystarczy. Należy stworzyć choremu po wyjściu jego z domu leczniczego warunki zdrowotne, będące dalszym ciągiem kuracyi, a odpowiednie wymaganiom hygieny. To przedmiot drugiego wykładu Dra Chłapowskiego. Więc naprzód pouczenie ludu o hygienie mieszkania, pożywienia i t. p. Skutecznym środkiem byłoby również zakładanie kolonii rolniczych, których mieszkańcy rekonwalescenci po chorobach piersiowych mogliby być używani do robót polnych. Wogóle nie wystarczy tu działalność państwa, ale wiele więcej zależy od inicyatywy i działalności towarzystw i osób prywatnych.

a.

Ein türk-tatarischer Dialekt in Galizien. Vokalharmonie in den entlehnten Wörtern der tatarischen Sprache in Halicz. Von *Johann v. Grzegorzewski.* (Sitzungsberichte der kais. Akademie der Wissenschaften in Wien. Philosophisch-historische Klasse. Band CXLVI). Wien. 1903.

Jedna to z nielicznych w nauce prac, poświęconych badaniom nad Karaitami. Zajmuje się praca omawiana badaniem języka Karaitów. W języku tym rozróżnia pierwiastek persko-arabski, hebrajski i słowiański, a mianowicie polsko-ruski. Nie będziemy się bliżej zapuszczali w rozbiór i ocenę wyników badań autora, jako w kwestyę bardzo specyalną i dla nielicznego grona fachowych dostępną. Podnieść tylko musimy, że zagraniczna nauka przyjęła pracę naszego rodaka bardzo przychylnie, a to tem więcej, że wzbogacił on naukę dziełem poważnem na polu mało dotąd znanem i uprawianem.

Dr. B.

Krótki życiorys O. Wacława Nowakowskiego, Kapucyna. Skreślił *O. Floryan, Kapucyn.* Kraków. 1903.

Autor, towarzysz zakonny zmarłego, kreśli tu obfity w wypadki żywot częścią na podstawie tego, co sam widział, często z żywej tradycyi osobistych opowiadań O. Wacława. Rzewny to hołd, złożony cieniom zakonnika-obywatela. Dodany do życiorysu jest spis dzieł i broszur, wyszłych z pod pióra O. Nowakowskiego.

A. B.

Humor, żart i satyra w poezyi polskiej. Zebrał i ułożył *Władysław Nawrocki.* Warszawa. 1903.

Wydawca wybrał i ułożył w niniejszym zbiorku poezye i wiersze ulotne, zabarwione nutą humorystyczną, wesołą, żartobliwą. Mamy tu przegląd poetycznego humoru, wesołości, nieraz pustoty z całego wieku XIX. Przegląd ułożony jest alfabetycznie według nazwisk poetów. Zbiorek bardzo sympatyczny, zdolny dać wytchnienie i pogodny tok myśli spracowanej cięższą, więcej wytężającą pracą. *A. B.*

Послѣдованіе къ святому Причащенію. Издалъ Н. Д. М. 1900. (16-ka, str. 47).

Pobudkę do tej pracy znalazł szanowny wydawca na zjeździe duchowieństwa, które pragnęło dla wiernych mieć książeczkę z modlitwami do Komunii, opartą na księgach cerkiewnych. Szanowny wydawca skorzystał z *Molitwosłowu* poczajowskiego z końca XVIII stulecia i zaopatrzył wyjęte stamtąd nabożeństwo uwagami i przekładem niektórych pieśni eucharystycznych z Mszału rzymskiego. Myśl jego zasługuje na wzmiankę, jako bardzo dobra wskazówka dla nas, żebyśmy ze ślicznych modlitw eucharystycznych w Mszale i Brewiarzu opracowali coś stosownego dla ludu. *Ks. K. C.*

Гуторка об тым куды мужыцкие гроши идуць. Льондын 1903. (16-ka, str. 16).

Drobiazg to, a możnaby o nim rozprawę napisać. Już do Białorusów idą socyaliści z książeczką w ich języku... Treść jej niezupełnie poprawna logicznie, przecie chwyci prostaczka za jego rozum. Podstawą dowodów: zbyt ciężkie podatki w cesarstwie rosyjskiem; na to czytelnik w państwie rakuzkiem zżyma ramionami. Wynika z dowodów: trzeba panów i przemysłowców wygnać z Litwy; na to logika otwiera zdumione oczy. Treść związku między przesłanką a wnioskiem mniej zrozumiała dla rozumu, niż dla Polaków mowa Białorusina, który wywodzi: „Oj ciażkaja nasza dola! Ale niekoliści zaświecić słonko i dla nas. Kiepsko nam ciapier, ale... mużyki zhoworaćsa z soboju i z robotnikami u gorodzi i wyżenuć usich priciaśnicielej-krowopijcou, bogaczam ziamlu odbiaruć i nie budzie jana niczyja, tolki usiago roboczago narodu. Koliści dauniej tak nawet i było. I z fabrykami budzie tak samo: wyżenuć robotniki fabrykantou a fabryki sobie zabiaruć — odnym słowom, i ziamla i fabryki nie buduć niczyi, tolki roboczago narodu, bo tak po sprawiedliwości być powinno“.

Ks. K. C.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

STAN KOŚCIOŁA KATOLICKIEGO W SERBII.

W roku 1871 księstwo serbskie, kiedy dostało niezawisłego króla, liczyło 6000 mieszkańców katolików, a większą ich część w Białogrodzie. Posługę duchowną sprawował dla nich jedynie ksiądz z diakowarskiej dycezyi, osiedlony w Białogrodzie na rozkaz biskupa Strossmayera. W roku następnym budowa kolei ściągnęła do Serbii tysiące robotników, zwłaszcza katolików z Włoch, Chorwacyi i Węgier. Dla nich wysłał biskup Strossmayer księdza Tondiniego de Quarenghi, który założył dwie stacye misyjne: jedną w Kragujewacz, oddaną pod zarząd księdza Edingera O. S. F., drugą w Niszu, przy której powstał kościółek; ale ta druga szczęśliwie istniała do r. 1897, kiedy jej zawiadowca, ks. Czohk odjechał z posługą duchowną do Bułgarów. Ksiądz Biljan został wtedy zarządcą obu misyi, ale mieszkał w Kragujewacz, z czego skorzystało duchowieństwo prawosławne, aby w Niszu wielu katolików, zwłaczcza dzieci, ściągnąć do Cerkwi. Misyi groził już ostateczny upadek, kiedy ks. Czohk z powrotem zaczął na nowo prowadzić w niej pracę przerwaną.

Kościół Powszechny w Serbii czuje ręce skrępowane tak samo, jak w okolicach niektórych w Niemczech, gdzie gospo-

darują protestanci zaciekli. W całej Serbii ledwo w dwu miejscach wolno odprawiać Służbę Bożą po katolicku, mianowicie w kaplicy posła austryackiego w Białogrodzie i w kościele, dotychczas nie odebranym katolikom, w Niszu. Po całym kraju żyje mnóstwo rozproszonych katolików, częścią osiadłych stale, częścią zarobników; ale te tysiące żyją bez żadnej opieki duchownej. Dawniej wolno było przynajmniej misyonarzom objeżdżać osady katolickie i zaopatrywać ich duchowe potrzeby, ale tylko dopokąd Serbia nie została królestwem; odtąd wolno tam swobodnie wykonywać obowiązki wyznaniowe Turkom i protestantom, ale nie katolikom. Objawem wymownym serbskich poglądów na Kościół Powszechny była sprawa kościoła, który sobie wystawili katolicy w Białogrodzie, i o zwierzchniczą opiekę nad nim prosili biskupa Strossmayera z Diakowaru. Ale rząd zastrzegł sobie, że w takim razie katolicy przyjmą kalendarz juliański, zmuszą swojego księdza do stosunku dość zależnego od duchownych serbskich i t. d. Wobec tych przepisów rządu, biskup Strossmayer odmówił zwierzchnictwa nad kościołem w Białogrodzie: zatem świątynia wzniesiona dla katolików, została odstąpioną protestantom, którzy zażywają wszelkiej swobody.

Również turecki muezin znalazł dla siebie swobodny meczet, w którym pięć razy na dzień obwołuje modlitwy, chociaż właściwie niema dla kogo zrywać piersi, bo ledwo gdzieniegdzie na dalekich ulicach kupczy w swoim sklepie zbłąkany Turek. Ale ledwo do Białogrodu wstąpi misyonarz katolicki, już wywołuje przeciw sobie burzę, jakgdyby groził bezpieczeństwu państwa. Mimo odwiedzin króla serbskiego u Papieża [1], Stolica apostolska nie mogła urzędowo zabezpieczyć pobytu żadnemu dostojnikowi kościelnemu, któryby zaopatrzył rozsianych katolików w posługę duchowną. Nie mogąc urzędownie, Rzym poufnie polecił Franciszkanowi w Bośnii, księdzu Iwanowi Vujičowi, żeby jako prefekt apostolski, osiadł w Serbii. Ledwo ten przyjechał do Białogrodu, już prawosławie o nim wiedziało, a metro-

[1] Por. *Przegląd Powsz.*, t. LIII, str. 124.

polita Innokentios osobiście stanął przed nim z zarzutem: wszak Serbia jest krajem chrześcijańskim: po co tu misyonarz? Ksiądz Vujič nie odgadł, iż przez to pytanie dostał zaprosiny do odjazdu: zrozumiał to niedługo potem, kiedy dostał wyraźne pismo od władzy, że jeżeli nie chce być wywiezionym w towarzystwie stróżów bezpieczeństwa, niech dobrowolnie opuści królestwo.

Biada księdzu w Niszu, gdyby chciał pobłogosławić małżeństwo mieszane katolika — choćby obcokrajowca — ze Serbką. Policya przeszkodzi księdzu i nałoży na niego grzywnę, a narzeczonych siłą zaprowadzi do Cerkwi. O urodzinach każdego dziecka zawczasu uwiadomieni, duchowni serbscy nie proszeni przychodzą chrzcić. W Turcyi Kościół Powszechny doznaje swobody nierównie większej, niż w Serbii.

Pomimo takiego stanowiska rządu, królowa Natalia tuszy sobie, że jej powrót na łono Kościoła nie pozostanie bez wpływu na wyznaniowe stosunki w Serbii; możne rodziny mają tam żywić w duszy życzliwe zamiary dla połączenia Cerkwi z Rzymem, a nie okazują swoich zamysłów z obawy przed rządem. Może król Piotr I sprzyjać będzie temu ruchowi umysłów...

CZARNOGÓRA WOBEC APOSTOLSKIEJ STOLICY.

Czytelnicy *Przeglądu* wiedzą[1], że książę Nikita znalazł powód do zaczepki przeciw Rzymowi w sprawie Zakładu św. Hieronima dla Chorwatów: stanął jakoby w obronie katolików swojego państwa, którym Papież albo odmawia praw do zakładu, albo im nadaje miano Chorwatów, skoro zakład nosi nazwę chorwackiego. Uwiadomiony o tych zarzutach księcia, Papież niezwłocznie odpisał, że przez nazwę Chorwatów nie zamyślał dotykać różnic między narodami słowiańskimi, tylko użył jej ogólnie tak, jak zwykle Włosi południowych Słowian wszystkich bez wyjątku oznaczają nazwą Illirów albo Chorwatów. Aby księcia skuteczniej uspokoić, obiecał Papież osobnym listem urzędowym wyjaśnić myśl, w jakiej wymienił Chorwatów. Wrogowie Kościoła spostrzegli, bardzo niezadowoleni, dobry skutek wywarty na księciu czarnogórskim

[1] Tom LXXII, str. 290.

przez odpowiedź papieską. Zażegnana burza w Cetynii posłużyła zaraz do nowych zamieszek w Zagrzebiu. Tu młodzież chorwacka nagle podniosła krzyk przeciw odpowiedzi Papieża na list z Czarnogóry. Chęć zgody ze Serbami, których Chorwaci nie cierpią, wyglądała w oczach tej młodzieży jako policzek, wymierzony ich narodowi: wszczęli hałas i doszli do gróźb, że na prawosławie przejdą, jeżeli Papież ustąpi Czarnogórze.

Leon XIII na te pogróżki nie zwrócił uwagi: wydał list, obiecany księciu Nikicie i przez to w nim znalazł nadspodziewanie wdzięcznego przyjaciela. Czarnogóra niejednokrotnie oświadczyła swoją przyjaźń dla Stolicy apostolskiej i wkrótce po przygodzie powzięła myśl, że wypada ustanowić swoje poselstwo przy Watykanie.

SERBOWIE ŁUŻYCCY POD OBRONĄ KOŚCIOŁA.

Jak przez wieki w Irlandyi, tak do dziś na Łużycach Kościół Powszechny stanowi prawie jedyną podporę narodu, który smutno zapisuje stronnice swoich dziejów, ledwo że jeszcze nie ostatnie, i, — gdyby nie opieka Kościoła, — musiałby już oczywistą przed sobą zagładę widzieć, pozbawiony wszelkich sił do samoobrony przed przemożnym żywiołem obcym.

Pod pruskiem berłem jedną jedyną parafię katolicką posiadają Serbowie, w Saksonii jeszcze koło dziesięć, ale tu oczekują, że im jedna przybędzie, wyłączona z paru innych, zbyt już obszernych. Protestanckie parafie serbskie nie zapowiadają, że będzie trzeba je dzielić, ale przeciwnie: prędzej wypadnie je zwijać i łączyć kilka pod jednym „popem“ — tak Serbowie nazywają pastora. I tych „popów“ obwinia lud serbski o upadek języka i obyczaju rodzimego między młodzieżą: protestantyzm nie daje siły duchowej, aby przed naporem germańskim bronili swoich owieczek serbskich. Zmuszeni przez rząd, żeby odprawiali koniecznie nabożeństwo jedno dla niemieckich osadników w ich języku, mogą dla Serbów odprawiać nabożeństwo drugie, jeżeli chcą. Ale nie wszyscy chcą pracować podwójnie i w dodatku uchodzić u Niemców za chłopomanów po-

śledniego rodzaju, bo troskliwych o jakieś najmniej pokaźne plemię słowiańskie!

Do duchowieństwa katolickiego względy podobne nie przemawiają tak silnie, jak zasada Kościoła, który każe pasterzowi do swoich owiec przemawiać głosem im znanym. Nie odstrasza ich od obowiązku ani ciężar podwójnego nabożeństwa ani pogarda ze strony osadników zachodnich. To też Serbowie w potędze Kościoła widzą swoją obronę i wdzięczni za nią przewyższają wielu pobratymców słowiańskich nastrojem pobożnym.

Objawem stałym tego nastroju jest liczba ochotników do służby ołtarza większa, niż starczy dla nich parafii serbskich. Posiadają jeden narodowy zakład wychowawczy w Pradze: tak zwaną Serbowkę czyli seminaryum duchowne niższe i wyższe, w którem pobiera naukę obecnie do dwudziestu serbskiej młodzieży ze Saksonii; obywatele pruscy znajdują przytulisko we Wrocławiu. O tych ostatnich wieść jaka rzadko kiedy do nas dolatuje; o Serbowce świadczy każdy bliżej z wnętrznemi jej stosunkami obeznany Niemiec albo Czech, że duch w niej panuje bardzo dobry między młodzieżą.

Serbowka liczy już trzeci wiek wytężonej walki Kościoła w obronie Słowian przed naporem luteranizmu w Saksonii i Prusiech. Kto naocznie poznał ten zakład, musi podziwiać młodych bojowników w ich nieustraszonym zapale do walki, pomimo klęsk, których wcale nie tają; wyznają, że już serbskiego narodu nie stać na tylu seminarzystów, ilu liczył zakład w swoich początkach: ledwo połowę miejsc w zakładzie zdołają jeszcze zająć Serbowie, drugą połowę gościnnie już ustąpili saskim klerykom, pozbawionym osobnego przytułku. Więc jeszcze w dwudziestem stuleciu Serbom Sasi zawdzięczają doniosłą pomoc w dziedzinie wychowawczej, podobnie jak korzystali z ich pomocy już w stuleciu ósmem, kiedy przyjmowali światło chrześcijaństwa od świętego Bonifacego. Ten ich apostoł wraz z pomocnikami swoimi pracował usilnie, aby Sasów nie tylko z tajemnicami wiary zapoznać, ale także nauczyć żywota chrześcijańskiego i nałożyć do pracy i gospodarki zamiast łupieskich najazdów: w tej myśli namówił Serbów, sławnych rolników

i rzemieślników, żeby osiedli między Sasami[1]. I nawet tych Serbów, którzy jeszcze wówczas żyli w bałwochwalstwie, daje św. Bonifacy na wzór godnej podziwu wierności małżeńskiej, saskiemu królowi Ethelbalderowi, już chrześcijaninowi, który w tej mierze jeszcze nie porzucił pogańskiego obyczaju Germanów[2].

I to plemię słowiańskie, które w roku 748-m wysłało sto tysięcy bitnego wojska na pomoc francuskiemu Pipinowi przeciw Grippowi[3], liczy dziś całe ledwo stokilkadziesiąt tysięcy dusz... a przecie odbyło przed kilku miesiącami swój jakby katolicki wiec w Dreznie,

Stanęli na ten swój wiec zastępem... bardzo odmiennym od uczestników wiecu katolickiego w innych narodach: ledwo kogo wysłali z warstw choćby średnich, bo całe plemię liczy ledwo kilku Serbów na wyższem stanowisku (prócz księży), a wszyscy żyją z rolnictwa, rzemiosł albo na służbie: otóż ze stanu służebnego przyszły setki Serbów i Serbek w wiejskich strojach swoich do *Drieździan*, aby ducha pokrzepić. Rozproszeni między saskimi i pruskimi lutrami, wystawieni na ciągłe niebezpieczeństwa, w jednym Kościele znaleźli przewodnika po drogach uczciwych: aby z jego opieki lepiej korzystać; założyli między sobą już przed ćwiercią wieku związek Towarzystw katolickich i teraz obchodzili jubileusz pracy związkowej. Uczestnikom tego wiecu, — zacnym wieśniakom, — brakło ustroju i rozkładu pracy wiecowego, ale nie brakło uchwał rozumnych. Owoce

---

[1] Jacob: *Die Ortsnamen des Herz. Meiningen*, str. 8: ...„als die Slaven von der Orla- und Saalgegend in die Gegend von Gräfenthal und in die Schluchten des Thüringer Waldes eindrangen, wo sie als Pioniere der Bodenkultur noch die Namenlosen Wildwasser vorfanden..." Porówn. dr. Sepp: *Ansiedelung Kriegsgefangener Slaven*, str. 2 i 16.—Thietmar VIII, 2,— Wagner: *Geschichte von Polen*, 1775, str. 35 i nast. — Wiktor Jacobi: *Slaven und Deutschtum*, 1856, str. 14: ...„kann ich denjenigen nur beistimmen, welche der Meinung sind, dass die Slaven vor unbestimmter langer Zeit das dortige Land (Lüneburg und Altenburg) als ein schon sehr civilisirtes Volk zuerst umgebaut haben".

[2] *S. Bonif. Epist.* ed. Würdtwein. Mog, 1789. Nr. LXXII, str. 189—195.

[3] Weiss: *Weltgeschichte*. 3 Aufl. 3 Band, S. 788.

narad dotyczą ich stosunków miejscowych a okazują, że zdrowe społeczeństwo zdoła z wielką prostotą i z potęgą jakby żywiołową nieść chorągiew katolicką bez trwogi przed niczem.

POSTĘPY KOTOLICKIEJ PRACY MIĘDZY RUSINAMI.

W ruchu katolickim między Rusinami żywy udział bierze Towarzystwo świętego Pawła ap.; pomne na wytyczną myśl swoich ustaw, urządziło w przeszłym roku zbiorowe ćwiczenia duchowne dla duchowieństwa i niosło pomoc w pracy misyjnej po parafii: lwowska archidyecezya 14 razy urządziła u siebie misye, a inne dyecezye do dwudziestu. W poście Lwów gościł licznych nauczycieli wiejskich, zgromadzonych na rekollekcye. Nadto Towarzystwo poparło przez swoje zabiegi, a w części zapomogą pieniężną, misye w Ameryce i pod przewodnictwem księdza metropolity usiłuje zaopatrzyć Rusinów w Bośnii w stałą opiekę duchowną. Przygotowuje nakoniec Towarzystwo pracę na polu piśmienniczem, aby zaopatrzyć zwłaszcza duchowieństwo w książki najpotrzebniejsze przy duszpasterstwie. Nie dziw, że ruchliwe Towarzystwo rośnie: przed kilku tygodniami zyskało jako członków całe duchowieństwo dekanatu złoczowskiego, zebrane na soborczyku.

I ze zamorskich osad ruskich przychodzą do *Rusłana* listy o rozwoju katolickiej pracy, o budowie nowych jej ognisk po cerkiewkach, o nastroju duszy biednego narodu, który w pustyniach nie nad tem płacze, że żyje suchym chlebem, ale że żelaza niema do roboty przy drzwiach i oknach swoich domków Bożych. Bieda uciska zwłaszcza w Brazylii osiedleńców z Rusi. Do Kanady, gdzie groziło już wielkie niebezpieczeństwo, przybył nowy następ misyonarzy i znalazł jeszcze wiele objawów ducha, zdolnego rokować dobre nadzieje. Pierwsza przystań misyonarskiej pracy, Edmundtown, wykryła między osadnikami glebę żyzną i wdzięczną: wielka ich liczba postanowiła nie puścić już od siebie księży i zaraz zaczęli składać datki na budowę cerkiewki i probostwa. Około 80-ciu dolarów wpłynęło zaraz, nadto każdy robotnik obiecał co miesiąc przynosić 50 centów, robotnica 25. Miejscowy biskup przyszedł im zaraz w pomoc przez zakupno dla nich miejsca pod cerkiew, na którem już

stało parę budynków, — skromnych, ale na razie dostatecznych, aby pomieścić księdza i służyć tymczasem za miejsce do służby Bożej.

Również w Ranglake Rusini zakupili ziemię i niezwłocznie zaczęli wozić drzewo pod budowę cerkwi. Na innych miejscach misyonarze widzieli już owoce opieki rosyjskiej nad opuszczonymi Rusinami. Archirej ze San Francisco objeżdżał ich z datkami na budowę prawosławnej cerkwi; zjednał sobie część osadników, którzy już dwie cerkwie wybudowali i trzecią zaczęli, kiedy dostali nakoniec księdza katolickiego. Odtąd zaczynają powracać na łono Kościoła. Uradowani nowiną o przyjeździe księży katolickich, jadą do nich wozami po kilkadziesiąt mil.

Pragnęli mieć posługę duchowną; stądto właśnie dawniej, opuszczeni, bez księdza i cerkwi, sami ruszyli w poselstwie do archireja Tichona, który w San Francisco osiadł już od roku 1872-go, — ale nie zbierał wielu chrestów zasługi od Synodu, bo mało kogo złączył z prawosławiem. Dopiero brak księdza ruskiego w Kanadzie zdobył dla archireja owieczki między wychodźcami, zwłaszcza czytelnikami *Hałyczanina*. Zjechał tedy świaszczennik Kalniew, rodowity Moskal, z Ukraińcem dyakiem, który bez wielkich przeszkód zjednywał Rusinów dla Rosyi; Kalniew ochrzcił już ze 100 dzieci i poczytywał już cały zastęp ośmiu tysięcy Rusinów za swoich parafian, kiedy przyjazd księdza katolickiego powstrzymał wzrost prawosławia. Archirej niezadowolony z tego obrotu sprawy odwołał Kalniewa, jako niedość gorliwego, a przysłał sprężystszego działacza w osobie Korczyńskiego. Ten istotnie z moskiewskim rozmachem umyślił nawracać Rusinów: aby ich skuteczniej przywiązać do prawosławia, kazał im składać uroczystą przysięgę, że więcej do papieskiej wiary nie wrócą. Ale źle wymierzył, bo Rusin do przysięgi nie skory, podejrzliwie zaczął spoglądać na carskiego działacza. Moskal tedy postanowił inną drogą dojść do kresu: z pomocą garstki zwolenników zagarnął cerkiew. Ale jeszcze gorzej na tem wyszedł: stanąć musiał przed sądem, gdzie doznał niemiłych przygód, więc rzucił krnąbrnych parafian i wrócił do

Rosyi. Wkrótce po tych wypadkach zjechała garstka katolickich księży, którzy dotychczas żywią wszelką otuchę, że nie zapóźno przybyli.

OBROŃCY I WROGOWIE KOŚCIOŁA MIĘDZY SŁOWAKAMI.

Wszechniemcy spadają z wyżyn potęgi, jaką umieli zdobyć sobie między Czechami i na południu Austryi. Pieniędzy im zaczęło brakować... i zabrakło nowych zwolenników... nadomiar wielu poprzednio zdobytych wraca na łono Kościoła. Aby szukać szczęścia na lepszej roli, poszli Wszechniemcy do kraju biedniejszego, gdzie taniej można znaleźć odpadki od Wiary. Słowackie czasopismo *Hlas* ruszyło na pole walki przeciwkościelnej i zaczęło od zbioru wyciągów z „nowoczesnej filozofii". W ramach tych rozpraw znalazła dla siebie miejsce praca Masaryka o haśle „Precz ze Rzymem!" Praca ta może zwrócić uwagę czytelnika zuchwalstwem, z jakiem wyzywa chrześcijaństwo do boju na śmierć: „Precz od Rzymu! to nie znaczy tylko dla katolików zagubę, ale także dla protestantów. Trzeba odstąpić od starych nauk, od starego ducha kościelnego. Precz z księgami i ustawami, opartemi na wierze! Ani katolików, ani protestantów nie zaspokaja ich wyznanie... Wszyscy tęsknią do swobody bez Kościołów... Postęp wymaga, żeby każdy porzucił stare przesądy... Wymagamy ostatecznego końca wyznaniowych sporów: Świat potrzebuje prawdy, zbudowanej na zasadzie Samojedni w Bóstwie bez żadnej Trójcy! Na tej podstawie wszyscy myśliciele nowożytni zdołają założyć jeden układ pojęć wyznaniowych".

Szczęściem dla Kościoła, występ *Hlasa* wywołał jednogłośny okrzyk odrazy między Słowakami, tak katolickimi, jak ewanielickimi. Zgodnie zabrzmiała odpowiedź, jaką w prostocie serca dali Słowacy Mazarykowi: zostaniemy raczej głupcami i zacofańcami pod obroną krzyża, niż byśmy mieli szerzyć „nowożytne" zasady, wyłożone w *Hlasie!*

Nie tylko z niemieckich stron wieje na Słowacczyznę wiatr szkodliwy: także ze strony Madjarów ucisk wolnomyślny wiele szkód przynosi Kościołowi. Gdzie tylko jego sługa nie posiada bohaterskiej mocy ducha, tam ulega naciskowi władzy i jako

narzędzie powolne w jej ręku, działa na wielką szkodę dla Wiary. Madjarzy nie znają miary, kiedy usiłują wynarodowić Słowian; nie poprzestają na prostym ludzie słowackim: już i na duchowieństwo narzucają takie pęta, aby je wynarodowić; tak je krępują w pracy parafialnej, że zmuszają księży do wychodźtwa za Atlantyk. Jedną z ostatnich pastw wolnomyślnego ucisku narodowego padł ks. Aleksander Dianiška, którego koleje żywota kapłańskiego dowodzą, że duchowieństwo słowackie nie żyje w stosunkach lepszych niż ich współbracia wypędzeni z Francyi, albo wywożeni na Sybir. Kilka szczegółów o księdzu Dianišce rzucić może dość światła na smutne stosunki, w których wielu innych podobnie może narzekać. Już jako młody kleryk, Aleksander za słowackie książki w ostrzychowskiem seminaryum przebył niebezpieczeństwa, w których mógłby zwichnąć całe życie, gdyby nie życzliwa opieka jednego z kanoników, księdza Majovskego. Dzięki jego przyjaźni, znalazł otwarty wstęp do seminaryum bystrzyckiego. Po świetnie zdanym doktoracie z teologii we Wiedniu, a nadto egzaminie profesorskim z filologii, osiadł na wikarówce, aby cały czas swój poświęcić wyłącznie potrzebom ludu, a prawie wszystkie dochody oddawać biednemu rodzeństwu, które wychował. Parafia cała, z proboszczem na czele, zgodnie chwaliła niestrudzonego pracownika, ale oczy madjarskie bardzo niechętnie w nim widziały kapłana, który Słowakom w ich języku służył, a na zamiary rządowe nie dbał. Rozgłos jego nauki i pracy szedł daleko nawet między innowiercami, ale zarazem rosła sława „niebezpiecznego“ dla państwa opiekuna Słowaków. Gdziekolwiek podał się na probostwo, tam dostawał dość zgodne odpowiedzi od madjarskich panów: czczę księdza dla wielu zalet, ale proboszcza u siebie wolę mieć bezpieczniejszego. Znosił te odmowy spokojnie, ale z biegiem lat doznawał coraz przykrzejszego ucisku tak ze strony urzędowej, jak nawet w towarzyskich stosunkach z Madjarami. Po dziesięciu latach tułaczki po różnych wikarówkach zwrócił oczy na inne pole pracy: na tysiące rodaków w Ameryce. Złożył tedy posadę w parafii o 40-tu domach i 350-ciu

reńskich dochodu, a niezliczonej liczbie ustawicznych przeszkód w pracy, i popłynął do Stanów Zjednoczonych.

Nie dziw, że w takich stosunkach Słowakom trudno wytrwać, że tworzą więcej niż ćwierć całej liczby wychodźców, którzy z rzeszy rakuskiej uciekają do Ameryki.

Ks. K. Czaykowski.

Nasze towarzystwa naukowe w r. 1902.

Akademia Umiejętności. — Towarzystwo Przyjaciół Nauk poznańskie. — Towarzystwo Naukowe w Toruniu. — Towarzystwo dla popierania nauki polskiej. — Kasa imienia d-ra J. Mianowskiego. — Towarzystwo historyczne. — Towarzystwo miłośników historyi i zabytków Krakowa. — Tow. numizmatyczno-archeologiczne. — Grono konserwatorów. — Tow. literackie im. A. Mickiewicza. — Tow. ludoznawcze. — Tow prawnicze. — Tow. nauczycieli szkół wyższych. — Tow. pedagogiczne. — Tow. politechniczne. — Tow. polskiej sztuki stosowanej. — Tow. filologiczne. — Tow. przyrodników im. Kopernika. — Tow. lekarskie. — Związek naukowo-literacki. — Koła literacko-artystyczne. — Biblioteki i muzea.

Zanim przystąpimy do szczegółowego rozpatrzenia działalności naszych Towarzystw naukowych w roku ubiegłym, musimy wpierw zastanowić się ze stanowiska ogólniejszego nad siłami, jakiemi rozporządzają te instytucye oraz nad środkami materyalnymi, z których pomocą zamieniają w czyn swoje dążenia i cele. Bo że nie mamy tylu odpowiednio przygotowanych osób ileby istotnie było trzeba, ażeby nauka nasza w każdej gałęzi rozwijała się prawidłowo, to wiemy wszyscy, którzy oddajemy się pracy naukowej. A powody takiego stanu rzeczy, skoro się czuje, że np. archeologia lub numizmatyka, czy językoznawstwo polskie i ogólne, cierpią na prawie zupełny zastój, że dalej inne nauki, np. etnografia wzrastają wysiłkiem osób, nie zajmujących się zawodowo tą nauką, powody — powtarzam — łatwo zrozumieć, jeśli się weźmie pod uwagę środki materyalne, jakimi rozporządza nauka polska. Niema może narodu, któryby mniej od nas łożył na rozwój nauki w każdej jej gałęzi, któryby udzielał jej tak małego i nad wszelki wyraz skromnego poparcia, bo dość porównać nasze stosunki z takimiż innych pokrewnych nam narodów, ażeby od razu uderzyła w oczy widoczna różnica przykra i bolesna. Takiego stanu rzeczy nie godzi się kłaść wyłącznie na karb winy nas samych. Zbyt

srogo i niesłusznie sądzilibyśmy. Rozkawałkowani na trzy części, nie mając zatem ścisłej spójni, musimy różnić się od innych narodów i pod względem systematycznego rozwoju badań naukowych. Bo zaledwie jeden rząd poczuwa się do pewnego obowiązku skromnego bodaj popierania nauki naszej. Inne nie myślą ani grosza poświęcić nam i radeby rozwój nasz wstrzymać na każdym kroku. Społeczeństwo samo znowu z dwu powodów nie daje tyle na cele naukowe, ileby dać mogło i powinno. Przedewszystkiem — trzeba zgodzić się na to, że jesteśmy tak mało świadomi na ogół pożytku, jaki daje nauka, co jest wynikiem nizkiej kultury (choć ciągle łudzimy się, że jesteśmy najbardziej cywilizowani w całej Słowiańszczyźnie), powtóre stosunki materyalne ogółu należą bodaj czy nie do najgorszych. Bez poparcia tedy, jakiego gdzieindziej szczodrze udzielają rządy, pozbawieni odpowiednich środków pieniężnych, i, co najważniejsze i najsmutniejsze, poczucia wspierania naszych usiłowań naukowych, nie możemy zrobić innego zamknięcia rachunków, jak tylko bardzo skromne, przynoszące więcej ujmy, niż rzetelnego zaszczytu. Ażeby nie posądzono nas o zbytni pesymizm, niechaj będzie wolno powołać się na powagę i sumienność obliczenia prof. Balcera, który obliczył całą siłę finansową, jaką użytkujemy na rozwój nauki, a cyfra ta jest śmiesznie nizką, bo nie przekracza rocznie sumy 200.000 złr. „W porównaniu — powiada — z milionami i dziesiątkami milionów, których gdzieindziej nie szczędzi się na cele naukowe, jest to suma znikająco mała. W tem zgoła niedostatecznem uposażeniu materyalnem naszej nauki leży klucz do zrozumienia a zarazem i usprawiedliwienia wielu jej niedostatków, jej nie tak wszechstronnego i żywego rozwoju, jakim się poszczycić mogą inne narody".

To też nasze towarzystwa naukowe z bardzo nielicznymi wyjątkami prosperują słabo. Brak odpowiednich środków materyalnych i sił naukowych daje się odczuwać co krok niemal.

Dość wziąć pod uwagę, że jedyna w świecie polska Akademia Umiejętności należy do najgorzej uposażonych, rozporządzając zaledwie roczną kwotą około 70.000 złr. A przecież, jeśli tylko zechcemy zważyć, jakie zaległości mamy do odrobienia skutkiem tego, żeśmy się zatrzymali w rozwoju naszym skutkiem dziejowej zawieruchy, łacno poznamy, że środki materyalne, jakiemi rozporządza nasza Akademia, są nieproporcyonalnie małe i żadną miarą niewystarczające. Pomimo to, dzięki Bogu, Akademia objawia na wszystkich polach niespożytą siłę żywotną, dokonując wielu rzeczy, bardzo doniosłego dla nauki znaczenia, zwłaszcza, jeśli weźmiemy pod uwagę jej zasoby finansowe.

Wszystkie wydziały oraz komisye były czynne więcej, niż kiedyindziej, raźnem też tempem postępowały wydawnictwa. *Wydział filologiczny* wydał dwa tomy „Rozpraw“ i jedną połowę tomu, przeznaczonego na prace z historyi sztuki. Ponadto wydrukowano niemal połowę innego tomu i rozpoczęto druk dwu dalszych tomów, oraz odbito 26 arkuszy trzeciego tomu „Słownika gwar polskich“ J. Karłowicza. Na posiedzeniach wydziału przedstawiono 1 pracę z zakresu językoznawstwa porównawczego, 1-ną z historyi języka polskiego, 6 z filologii klasycznej, 2 z zakresu archeologii. Najwięcej, bo 9, należało do historyi literatury; z nich zaś wszystkie z wyjątkiem jednej tyczyły się literatury polskiej. Z pomiędzy przedłożonych prac na wymienienie zasługują: Brücknera „Psałterze polskie do połowy XVI wieku“, T. Grabowskiego „Poezya polska po r. 1863“, J. Tretiaka „O Beniowskim Słowackiego“ oraz tegoż autora „Juliusz Słowacki, historya ducha poety i jej odbicie w poezyi“. Dalej „Bibliografii polskiej“ K. Estreichera wydrukowano stron 512 z tomu XIX.

Komisya do badania historyi sztuki w Polsce pracowała, jak zawsze pod wytrwałem kierownictwem prof. Sokołowskiego nadzwyczaj wydatnie. Dr. Tomkowicz zbadał w powiatach proszowskim i nowosądeckim wiele dotychczas nieznanych pomników, zwłaszcza zabytków sztuki kościelnej, oraz zamków. Pan Zubrzycki odbył wycieczkę do Krosna, gdzie zbadał tameczne zabytki. Taką samą podróż odbył pan E. Swiejkowski do Rzeszowa i Oświęcimia. Pan K. Mokłowski przedłożył referat „O architektonicznych szczegółach z Drohobycza, Sambora i Kulikowa“. Ponadto przedłożono jeszcze wiele innych komunikatów, z których na uwagę zasługują: d-ra J. Mycielskiego: „Mistrz Rembrandta i jego nieznany obraz w Polsce“, o obrazach Tintoretta. Komunikaty odnosiły się w wielu wypadkach do historyi rzeźby i przemysłu artystycznego. W końcu trzeba wymienić, że do historyi sztuki samego Krakowa odnosiło się bardzo dużo komunikatów, z których najważniejszy p. Tomkowicza „O muzykach i fabrykantach instrumentów muzycznych w Krakowie“. Uznano wreszcie potrzebę wydawania zabytków sztuki ludowej, więc w tym celu wybrano komisyę, która wraz z komisyą antropologiczną ma opracować program wspomnianej publikacyi. — *Komisya językowa* wydała zeszyt 2-gi tomu I i zeszyt 1-szy tomu II „Materyałów i prac“ oraz podjęła przerwaną pracę nad „Słownikiem staropolskim“, której kierunek leży w rękach d-ra J. Łosia. Udzieliła wreszcie zasiłków na badanie gwary t. zw. Kliszczaków, na badanie języka polskiego w północno-zachodnim kącie Wielkopolski

i narzeczy ruskich w okolicach Grybowa, Dobromila i Baligrodu. Ważnej czynności podjęła się *Komisya do badań w zakresie dziejów literatury i oświaty w Polsce.* Wprowadziła mianowicie w czyn inwentaryzacyę zabytków rękopiśmiennych. Doskonałe objaśnienie, jak się powinno inwentaryzować napisał dr. A. Chmiel. Teraz tedy sprawa ta nie powinna pójść w odwłokę a wszyscy, którzy są w posiadaniu jakichkolwiek rękopisów, niechaj sobie wezmą za obowiązek nadesłać ich opis Akademii krakowskiej. J. Czubek opisał dotąd połowę rękopisów biblioteki hr. Branickich w Suchej, a dr. J. Korzeniowski złożył rękopis, zawierający opisanie 225 manuskryptów ces. biblioteki publicznej w Petersburgu. Praca ta wyjdzie w XI-tym tomie „Archiwum". Ponadto sprawa inwentaryzacyi tyle ważnych dla nas zbiorów rękopiśmiennych tejże biblioteki postąpiła już, dzięki staraniom prof. Ulanowskiego i Morawskiego, tak daleko, że przy pomocy prof. Ptaszyckiego zdołano skupić w Petersburgu grono pracowników, ażeby tem prędzej opisać dział polski tej książnicy. Z pośród wydawnictw trzeba z uznaniem podnieść ogłoszenie nowych tomów „Biblioteki pisarzów polskich", w której wyszło w r. ub. pięć tomików, z których najważniejszy tom II-gi Tassa Jerozolimy wyzwolonej w przekładzie Piotra Kochanowskiego.

Wydział historyczno-literacki wydał dwa tomy „Rozpraw". Powziąwszy zaś uchwałę, aby, o ile starczą fundusze, ogłaszać prace większych rozmiarów jako osobne wydawnictwa, rozpoczęto druk dwu dzieł: d-ra Fr. Papèego „Polska i Litwa na przełomie wieków średnich", tom I, oraz St. Ciszewskiego „Ognisko". Na posiedzeniach wydziału odczytano najwięcej prac z historyi polskiej. Do najciekawszych należą: d-ra K. Potkańskiego „Wiadomości o mitologii Długosza". Rozpraw z historyi prawa polskiego czytano 4; po jednej z historyografii polskiej, dziejów geografii, ekonomii politycznej, statystyki populacyjnej i chronologii historycznej. Praca nad „Bibliografią historyi polskiej" postępowała także naprzód. *Komisya historyczna* wydała IX tom swego „Archiwum". Ponadto w najbliższym czasie ukaże się tom IV Kodeksu dyplomatycznego Małopolskiego oraz Dyaryusz Stanisława Oświecima, wydany przez prof. Czermaka. W przygotowaniu znajdują się: wydanie oryginalnego tekstu łacińskiego Orzelskiego *Interregnorum Poloniae libri octo,* i Dyaryuszów sejmowych, którymi zajmuje się dr. E. Barwiński. Natomiast rozpoczął się już druk kilkutomowej źródłowej publikacyi „Archiwum Jana Zamojskiego", którą wydaje własnym kosztem ordynat hr. Maurycy Zamojski, pod kierun-

kiem d-ra W. Sobieskiego. Poszukiwania w archiwum watykańskiem i innych rzymskich bibliotekach nie ustawały. Prowadził je dr. Wł. Semkowicz.

Wydział matematyczno-przyrodniczy wydał tom „Rozpraw“ w dwu działach: matematyczno-fizycznym i biologicznym. Na posiedzeniach rozbierał 48 prac, z których przyjął 41. *Komisya fizyograficzna* wydała tom „Sprawozdań“ oraz pięć zeszytów „Atlasu geologicznego“. *Komisya antropologiczna* wydała tom „Materyałów“, a na posiedzeniach rozpatrzyła: jedną pracę z zakresu antropologii, 6 z antropologii przedhistorycznej. *Komisya bibliograficzna* odbywała posiedzenia co miesiąc, klasyfikując na nich materyał.

Stacya naukowa Akademii w Paryżu funkcyonowała prawidłowo. Liczba czytelników zwiększyła się w porównaniu z rokiem poprzednim prawie w dwójnasób. Do inwentarza przybyło dzieł 639. Z tego jeszcze miejsca zwrócimy uwagę wydawcom, iżby szczodrzej, niż dotąd, wzbogacali bibliotekę tej polskiej strażnicy na obczyźnie własnemi wydawnictwami. Bo chyba o pożytku, jaki stąd wynika, nie potrzeba mówić z osobna. Jak tedy widzimy praca Akademii była obfita w owoce. Ale nie trudno dojrzeć ze sprawozdania, że nieraz wykonaniu tego lub owego planu stawały na przeszkodzie finanse nieodpowiednie i niewystarczające.

Drugą instytucyą, oprócz Akademii, któraby uprawiała naukę we wszystkich jej gałęziach, jest jeszcze poznańskie *Towarzystwo Przyjaciół Nauk*. Podzielone na dwa wydziały: historyczno-literacki i matematyczno-przyrodniczy, wegetuje bardzo słabo wobec braku sił naukowych w Poznańskiem, gdyż najdzielniejsze z nich wyemigrowały do Galicyi lub do Królestwa. Posiedzenia wydziałów odbywają się rzadko. Stosunki dalej finansowe, jakimi rozwój tej instytucyi jest do reszty tamowany, są przykre. To też wydawnictwa pojawiają się rzadko, zazwyczaj wychodzi „Rocznik“ w objętości tomu raz na rok lub nawet na dwa lata. Konserwacya bowiem pięknych zbiorów muzealnych i bibliotecznych pochłania wielką moc zasobów pieniężnych. W wydziale historyczno-literackim, zostającym pod kierownictwem D-ra Bolesława Erzepkiego, brakło takiego ruchu, jaki był dawniej, tak, że sala posiedzeń świeciła nieraz pustkami, jakkolwiek prace tego wydziału są najbardziej przystępne dla każdego wykształconego umysłu. Posiedzeń odbyto zaledwie trzy, na których odczytano prace: hr. J. Szembekównej o poszukiwaniach archeologicznych w Siemianicach, D-ra St. Karwowskiego o mieście Jarocinie i A. Parczewskiego p. t. „Początek chry-

styanizmu w Polsce i misya irlandzka". Ponadto wydział ten podjął dwa wydawnictwa, dzięki ofiarności prywatnej, a mianowicie piątego tomu „Kodeksu wielkopolskiego" i „Kodeksu dyplomatycznego wieku XV", który w 160 arkuszach druku obejmie w opracowaniu D-ra Fr. Piekosińskiego zbiór dokumentów, zebranych w poznańskiem archiwum miejskiem, oraz w archiwach kapituły poznańskiej i gnieźnieńskiej. Również niebawem ukaże się trzeci tom „Albumu archeologicznego Muzeum Tow. Przyj. Nauk". O wiele wydatniej postępowały prace na dwu innych wydziałach: lekarskim, oraz przyrodniczo-technicznym. Co się tyczy zbiorów Tow., przedewszystkiem trzeba zaznaczyć zamianę cennej kollekcyi po ś. p jenerale Radoszkowskim z Akademią Umiejętności w Krakowie. Ponieważ zbiorów tych, mających pierwszorzędną wartość naukową, nie można było w Poznaniu prędko spożytkować dla dobra wiedzy, tedy zamieniono je w Akademii za kollekcyę krajowych chrząszczów, pluskwiaków, szarańczaków i motyli w liczbie kilku tysięcy gatunków. Ogólny wzrost zbiorów muzealnych w r. ub. przedstawia się następująco: do biblioteki przybyło numerów 1845, rękopisów i archiwaliów 13, dyplomatów 3, do galeryi obrazów i rzeczy polskich numer 1, do zbioru pamiątek historycznych 11, do gabinetu numizmatycznego 405, rycin 52, do gabinetu archeologicznego 118. Ogólny tedy przyrost 2448 przedmiotów. Z biblioteki Tow. korzystało osób 1240, na których użytek wydano 4960 dzieł i 158 rękopisów. Galeryę obrazów i muzeum zwiedziło 1475 osób za opłatą wstępnego, 559 bezpłatnie. Dochód wynosił 28 476 marek. W r. ub. pozyskano dwa zapisy: jeden bezimienny w kwocie 100 000 marek na zakupno własnego domu, drugi 30 000 mk z legatu ś. p. Br. Gąsiorowskiego.

Czynne jest także drugie polskie w Prusiech *Towarzystwo Naukowe* w Toruniu. Jakkolwiek w założeniu samem ma kultywować wszystkie gałęzie wiedzy, mimo to (całkiem zresztą nie chcemy z tego robić zarzutu) zajmuje się prawie wyłącznie historyą, czy to wydając „Fontes" czy „Roczniki". Obie te publikacye poświęcone są rzeczom z dziedziny dziejów tej prowincyi.

Pozatem już są same Towarzystwa, poświęcone badaniu poszczególnych nauk.

Nie dziw, że wobec nierównomiernego stosunku zadań, czekających naszą naukę i środków materyalnych, jakimi ona rozporządza celem ich wykonania, zrodziła się przed laty mniej więcej dwoma myśl założenia Towarzystwa, którego celem byłoby niesienie pomocy finansowej badaniom naukowym. Myśl ta, podniesiona i z niesłychaną ener-

gią kultywowana przez prof. O. Balcera, została wnet zamieniona w czyn. Tak powstało *Towarzystwo dla popierania nauki polskiej* we Lwowie. Wiadomo, że „poszukiwania archeologiczne, podróże archiwalne, i badania rękopisów w rozrzuconych po świecie bibliotekach, podróże i wędrówki geologiczne czy etnograficzne, mozolne w różnych stronach zbieranie dat statystycznych, długoletnie nieraz doświadczenia przyrodnicze, inne wreszcie podobne, kosztowne prace przygotowawcze są w wielu wypadkach warunkiem ostatecznego rozwiązania pewnej kwestyi naukowej. Na tego rodzaju zadania nie starczą zazwyczaj środki materyalne badacza. Tak tu, jak zresztą i w tych nawet razach, gdzie zebranie materyału przygotowawczego nie wymaga znaczniejszego nakładu, nasuwa się ponadto najczęściej inna jeszcze trudność, pokrycie kosztów wydania samej publikacyi. Niełatwo znaleźć nakładcę, któryby chętnie ogłaszał dzieła naukowe, zazwyczaj bowiem pokup ich jest stosunkowo słaby i nie wraca nawet kosztów nakładu. Do dawniejszych ofiar w pieniądzach, czasie, wytężonej nieraz i długiej pracy, potrzebna jest zatem wielokrotnie nowa jeszcze ofiara materyalna ze strony badacza, który pracę swą ogłasza własnym sumptem, mając z góry pewność, iż rozsprzedaż dzieła wydatku tego nie pokryje. Cóż dopiero mówić o szczególnie kosztownych publikacyach z zakresu niektórych gałęzi wiedzy, jak np. z różnych działów nauk przyrodniczych, wymagających licznych, dokładnie wykończonych, kosztownych tablic, o publikacyach z zakresu historyi sztuki, wydawnictwach kartograficznych i t. p. O pokryciu kosztów na tego rodzaju dzieła jednostka przy największej nawet ofiarności z swojej strony najczęściej nawet myśleć nie może". Te słowa, wyjęte z odezwy czcigodnego inicyatora Towarzystwa, illustrują najwymowniej trudności, z jakiemi ma do walczenia nasza nauka. Ażeby zaś zebrać co rychlej odpowiednie środki, z którychby pomocą nauka mogła raźniej postępować, postanowiono nie robić konkurencyi innym instytucyom naukowym, lecz wciągnąć do Towarzystwa osoby wszystkich stanów: zarówno tych, którzy sami zajmują się pracą naukową, i tych, którzy z nią nie mają bliższej styczności, a uznają jej znaczenie i doniosłość: to też, chcąc jak najszerszym warstwom umożliwić należenie do Towarzystwa, podzielono członków na cztery kategorye. Chlubnymi też rezultatami może się poszczycić ta nowa instytucya po dwuletniem zaledwie istnieniu. Albowiem członków założycieli z jednorazową wkładką 200 kor. liczy obecnie 128; członków wspierających dożywotnich z takąż wkładką 50 kor. ma 54; członków czynnych zwyczajnych z wkładką roczną 8 kor.

liczy 429, i nakoniec członków wspierających zwyczajnych z wkładką roczną 1 kor. ma 404. Towarzystwo zatem licząc *ogółem 1015* członków udowodniło, że stoi i rozwija się o własnych siłach, zwłaszcza jeśli zważymy, że obrót kasowy dosięgnął cyfry 30.124 kor. a *kapitał zakładowy przedstawia sumę 23.362 kor.* Liczby te świadczą najlepiej o istotnej potrzebie takiego Towarzystwa, świadczą, że społeczeństwo nie jest tak ubogie, jakby to się na pozór mogło wydawać. Tak wielkiej ilości członków nie ma żadne polskie Towarzystwo naukowe. Członkom daje ono za wkładki wydawnictwa swoje do wysokości rocznie wpłaconej przez każdego sumy. Uważając za cel Towarzystwa udzielanie zasiłków pieniężnych na badania naukowe, jako też przyjmowanie w własny nakład wydawnictw naukowych, postanowiono ogłaszać rzeczy, mające rzetelną wartość naukową i uwzględniać równomiernie różne działy wiedzy ludzkiej. Publikacye obszerniejsze mają być wydawane osobno, mniejsze zaś mają wejść w skład „Archiwum naukowego". W roku ubiegłym ukazały się dwie prace: d-ra Br. Dembińskiego „Źródła do dziejów drugiego i trzeciego rozbioru Polski" t. I, oraz Ł. Bodaszewskiego „Teorya ruchu wody na zasadzie ruchu falowego". Ponadto uchwalono ogłosić pracę d-ra P. Dąbkowskiego „O utwierdzaniu umów pod grozą łajania w prawie polskiem średniowiecznem" (rzecz ta już wyszła z druku) i dwutomowe dzieło d-ra Wł. Abrahama „Powstanie i organizacya kościoła łacińskiego na Rusi i w Mołdawii". Rezultaty te, pod każdym względem świetne, wskazują najdowodniej, jak bardzo potrzebna jest nauce naszej pomoc materyalna. Nie można ani przez chwilę powątpiewać, że Towarzystwo pod dzielnem kierownictwem prof. Balcera rozwijać będzie z każdym rokiem coraz to wydatniej swoją działalność.

Zupełnie ten sam cel, z nielicznemi zmianami, ma warszawska Kasa pomocy dla osób pracujących na polu naukowem im. D-ra J. Mianowskiego. Założona dawno, rozporządza znacznymi funduszami, nie w porównaniu większymi od tych, jakie ma Towarzystwo dla popierania nauki polskiej. Z końcem roku 1902 liczyła ta tak już zasłużona instytucya członków założycieli 86, honorowych 151, rzeczywistych 823, t. j. *razem 1060.* Kapitał obrotowy wynosił 62.407 rubli, majątek zaś ogólny Kasy dosięgnął cyfry *450.000 rb.* Nie dziw tedy, że Kasa działała skuteczniej i wydatniej od Towarzystwa galicyjskiego. Podań o zapomogi i pożyczki na cele i badania naukowe złożono 46, z których uwzględniono 37. Wymienić należy niektóre z tych zapomóg, a więc: E. Abramowskiemu przyznano na studya nad psychologią do-

świadczalną, J. Bieleckiemu na studya w zakresie chemii organicznej, E. Biernackiemu na prace z medycyny, L. E. Böttcherowi na studya matematyczne, St. Brzozowskiemu na prace nad Trentowskim i Śniadeckim, St. Ciszewskiemu na studya etnologiczne, St. Czarnowskiemu na badania archeologiczne w gub. Kieleckiej, K. Drzewieckiemu na studya filologiczne, J. Kowalczykowi i R. Mereckiemu na studya astronomiczne, J. Polakowi na badania dziejów hygieny w Polsce, S. Posnerowi na studya nad filozofią prawa, L. Rutkowskiemu na prace antropologiczne, Wł. Strzemboszowi na studya historyczne, i K. Wachowskiemu na prace nad dziejami Słowiańszczyzny zachodniej. Z zapomogi Kasy wychodziło także wiele wydawnictw peryodycznych: *Wisła, Przegląd pedagogiczny, Prace filologiczne, Poradnik dla samouków.* W roku ubiegłym wpłynęło podań o zapomogi na wydawnictwa 57, z których uwzględniono 21. Na uwagę zasługują następujące: Profesorowi J. Baudouin de Courtenay na wydanie „Szkiców językoznawczych", Wł. Biegańskiemu na wydanie „Zasad logiki ogólnej", D-rowi P. Chmielowskiemu na przekład i wydanie pracy Gołuchowskiego „Filozofia i życie", St. Kempnerowi na „Badania i szkice ekonomiczne", H. Kondratowiczowi na wydanie „Górnictwa", A. Krausharowi na wydanie „Wędrówek ks. Stanisława Staszica po obczyźnie", T. Wierzbowskiemu na wydawnictwo „Biblioteki zapomnianych poetów i prozaików polskich", jako też na wydanie 2-go tomu „Materyałów do dziejów piśmiennictwa polskiego", prof. Sz. Askenazemu na wydawnictwo „Monografii w zakresie dziejów nowożytnych" i A. Krausharowi na wydanie 3-go tomu „Towarzystwa Przyjaciół Nauk". Ażeby dać jakie takie pojęcie o sumie ogólnej udzielonych zapomóg, powiem tylko, że w roku zeszłym wypłacono z funduszu obrotowego na cele i badania naukowe kwotę 11.400 rb., na wydawnictwa naukowe 10.962, z funduszów wreszcie specyalnych 11.281 rb. Tych z górą 33.000 rb., wypłaconych na użytek nauki, daje najlepszą miarę o potrzebach jej, które z pewnością nie mogły być w całości zaspokojone. Zasługi Kasy są niewątpliwie dziś za nizko cenione. A zważyć tylko trzeba, ile to dzieł, prawdziwie cennych i odpowiadających wszelkim warunkom naukowego badania, ukazało się jedynie tylko dzięki poparciu tej instytucyi, ile to nagród za prace naukowe rozdano w ciągu istnienia Kasy, ażeby zasługa tej instytucyi stała się widoczną w właściwem świetle, ażeby się okazało, jak wydatną była jej działalność.

Nie można się więc dziwić, jeśli okaże się, iż inne nasze Towarzystwa naukowe żyją z nielicznymi wyjątkami życiem nienormalnem,

niemal suchotniczem. Społeczeństwo okazuje w ogólności tak mało zainteresowania wszystkiem, co zostaje w bliższym lub dalszym związku z nauką, że skutkiem tego niepodobna żądać od Towarzystw naukowych większych rezultatów od tych, jakie zdołały osiągnąć. I te nawet, jakie są, zostały zdobyte poświęceniem, częstokroć bezprzykładnem, jednostek, i dobrą ich wolą.

Weźmy np. pod uwagę działalność zeszłoroczną lwowskiego *Towarzystwa historycznego*, a wnet wyjdzie na wierzch naga i smutna prawda. Pomimo ciągłych i usilnych starań, musiał wydział przyznać w sprawozdaniu, że „z pewnem uczuciem żalu przychodzi zauważyć, iż rozwój Towarzystwa zatrzymał się od lat kilku, a usiłowania wydziału jak komitetu redakcyjnego nie zdołały go naprzód posunąć. Musimy niestety przyznać, że liczba członków nie powiększa się, ani nie mnożą się naukowe wydawnictwa Towarzystwa. Przyczyny tego stanu rzeczy, którego bynajmniej ukrywać nie chcemy, upatrujemy po części w tym fakcie, że z łona Towarzystwa... wyszło kilka nowych instytucyi i pism..., po części w braku dostatecznych środków materyalnych“... Wstyd wyznać, że jedyne polskie Towarzystwo historyczne na całym obszarze ziem naszych liczyło zaledwo 277 członków, co razem z prenumeratorami *Kwartalnika historycznego* w liczbie 163, czyni maleńką cyfrę 440. To też, jeżeli Towarzystwo zdołało zachować jako tako równowagę finansową, zawdzięczać trzeba subwencyom: sejmowej w kwocie 1400 kor., i Ministerstwa wyznań i oświaty 1200 kor. Mimo to wyszło Towarzystwo w roku ub. z deficytem około 700 kor., cały zaś obrót kasowy wynosił 7.177 kor. Rocznik *Kwartalnika historycznego*, który otrzymują członkowie bezpłatnie, dawniej 60-cio arkuszowy, zmalał do 45 arkuszy. Zebrań miesięcznych było wszystkiego cztery. Z nich najciekawsze odczyty prof. T. Wojciechowskiego p. t. „O Eremitach reguły św. Romualda, czyli o Benedyktynach włoskich XI wieku“ i prof. W. Abrahama p. t. „Łacińskie biskupstwa w Mołdawii w XIV wieku“.

O wiele więcej członków i dochodu miało *Towarzystwo miłośników historyi i zabytków Krakowa*, a zatem prowincyonalne, zajmujące się jedynie dziejami jednego miasta. Ilość członków bowiem dosięgła liczby 511, dochody wynosiły 7504 kor., a rozchody 5958 kor. W dochodach były subwencye: Rady miejskiej z kwotą 1200 kor., sejmowa 500 kor., i Kasy oszczędności krakowskiej 500 k. Ministerstwo oświaty wstawiło w preliminarzu budżetu na rok 1903 subwencyę 2000 kor. Wydawnictwa naukowe w roku zeszłym były następujące: „Rocznik“

tom V, bardzo bogaty treścią i ilustracyami, wykonanemi wprost przepysznie, dalej tomik „Biblioteki krakowskiej“, zawierający pracę Jana Ptaśnika „Obrazki z przeszłości Krakowa“. W roku bież. wyda Towarzystwo nowy zeszyt „Biblioteki“ z rozprawą D-ra K. Bąkowskiego p. t. „O dawnych cechach krakowskich“ oraz tom VI „Rocznika“, który obejmie ilustrowaną monografię zabytków sztuki i kultury Krakowa. Ma też Towarzystwo przygotowaną do druku pracę p. L. Lepszego o kościele w Rudawie, która wyjdzie prywatnym sumptem.

Bardzo słabo wegetuje Towarzystwo numizmatyczno-archeologiczne[1] w Krakowie. Oprócz peryodycznego wydawnictwa *Wiadomości numizmatyczno-archeologicznych* nie publikuje niczego. Jest ono najsłabszem pod każdym względem z pomiędzy wszystkich naszych naukowych Towarzystw.

Do instytucyi, zajmujących się historyą należą także oba *Grona konserwatorów*, dla Galicyi wschodniej i zachodniej. Zadaniem ich jest konserwacya zabytków sztuki, dziejowych i archiwaliów. Pracują też one wydatnie, w ostatnich nawet latach rozpoczęły wydawnictwo *Tek konserwatorskich*, z których zwłaszcza krakowska zasługuje na uwagę, nie tylko treścią się wyróżniająca, ale i wspaniałością szaty zewnętrznej. Posiedzenia odbywano często. Z pomiędzy spraw, podniesionych na nich, należy wymienić przedewszystkiem wniosek D-ra Fr. Papeégo, ażeby rozesłać po kraju kwestyonaryusz, zmierzający do zinwentaryzowania zabytków Galicyi wschodniej; obejmuje on szereg pytań, dotyczących 1) zabytków przedhistorycznych, 2) zabytków historycznych, 3) zabytków piśmiennych. Grono zachodnio-galicyjskie postanowiło opracować monografię Niepołomic, zamku, kościoła, skarbca, i dać opis archiwów. Obydwu gronom przydałaby się bardzo znaczniejsza dotacya rządowa celem rychlejszego wykonania restauracyi wielu zabytków, oraz zwiększenia objętości wydawnictw.

W łonie Towarzystwa literackiego im. A. Mickiewicza we Lwowie dokonała się w roku minionym poważna i z dawna upragniona przemiana. Jak zapewne wszystkim wiadomo Towarzystwo to zajmowało się dotąd przez długi szereg lat jedynie i wyłącznie tylko Mickiewiczem i jego dziełami, z pominięciem całej historyi literatury. W *Pa-*

[1] Mówię o niem ogólnikowo, gdyż — mimo mej prośby — nie otrzymałem sprawozdania. Tak samo nie raczyły przysłać mi sprawozdań Tow. lit. im. Mickiewicza, przyrodników im. Kopernika i Związek naukowo-literacki we Lwowie. Nie moja tedy w tem wina, jeśli o nich nie podaję szczegółowych wiadomości.

miętniku drukowały się prace z jednego zakresu, o nikim innym, jak tylko o Mickiewiczu. Nie chcę wcale twierdzić, jakoby ten poeta nie zasługiwał w tym stopniu na zajęcie się jego dziełami. Ale, jeśli zechcemy tylko zważyć tę okoliczność, że cała nasza historya literatury nie miała dotąd pomieszczenia osobnego, a niejakoś kątem mieściła się po przeróżnych pismach miesięcznych i peryodycznych, to niewątpliwie zgodzimy się na to, iż poświęcanie wszystkich wydawnictw Towarzystwa Mickiewiczowi było lekkomyślnością. Na instytucye zajmujące się wyłącznie jednym poetą, może sobie pozwolić naród bogaty, np. Niemcy, ale nie taka nędza, jaka jest u nas. Powtóre, literatura nasza nie jest tak wyczerpująco opracowana w różnych okresach, ażeby wszystkie siły młodych pracowników miały być skierowane ku utworom jednego pisarza, który i tak mimo wszystko jest najlepiej zbadany. Więc lepiej, że późno, niż nigdy, Towarzystwo rozszerzyło program badania na całą historyę literatury. Skutkiem tej reformy wzrosła liczba członków i, co najważniejsze, obudziło się żywsze zajęcie naukowem badaniem dziejów naszego piśmiennictwa. Bardzo szczęśliwą też było myślą zaniechanie dotychczasowego wydawnictwa rocznika, a zaprowadzenie w miejsce niego publikacyi kwartalnej, *Pamiętnika literackiego*, którego tom pierwszy był już omówiony w *Przeglądzie*.

Towarzystwo ludoznawcze we Lwowie położyło w roku ub. całą wagę na wydawnictwo kwartalnika etnograficznego *Lud*, które zostało powiększone o cztery arkusze druku. Wydano nadto „Kwestyonaryusz w sprawie zwyczajów spadkowych ludności włościańskiej“, opracowany przez D-ra Z. Gargasa, na który skutkiem odpowiednich zarządzeń obu Prezydyów sądów krajowych, oraz Wydziału krajowego odpowiedziały wszystkie sądy i wydziały powiatowe. Uzyskany tą drogą materyał zostanie opracowany i ogłoszony drukiem. Ponad to zakupiło Towarzystwo od podpisanego „Historyę etnografii polskiej“, która jeszcze w tym roku ukaże się w handlu księgarskim. Biblioteka, obejmująca same tylko dzieła etnograficzne, liczy przeszło 1000 tomów. Oddziałów prowincyonalnych ma Towarzystwo dwa: w Podgórzu i w Chrzanowie, które są bardzo czynne. Członków liczyło około 500, obrót kasowy wynosił 4911 kor., w czem są subwencye: sejmowa 200 kor., Ministeryum oświaty 500 kor., i Rady miejskiej lwowskiej 400 kor.

Lwowskie *Towarzystwo prawnicze*, liczące 33-ci rok istnienia, rozwijało się prawidłowo. Że nie urzeczywistniono wszystkich zadań, jakie statut zakreślił działalności Towarzystwa, to było winą szczupłych zasobów materyalnych. Nie mogło tedy Towarzystwo wydawać dzieł

naukowych, ani popierać prac z zakresu prawa i ekonomii. Natomiast odczyty i wykłady, jakich 18 urządzono, wzbudziły szczere zainteresowanie członków i żywą dyskusyę. Cały szereg wykładów mieli pp. prof. Wł. Pilat i Lassota o nowoczesnej socyologii, które wyszły w osobnej książce; z reszty ogólniejszy interes budzi odczyt p. Lassoty p. t. „Spółczesne prądy umysłowe i polityczne“, z powodu książki p. L. Kulczyckiego, oraz D-ra A. Winiarza p. t. „Zaludnienie i własność ziemska w Polsce w XVI wieku“. Na rok 1903 przygotowano seryę konferencyi o procedurze cywilnej, wykłady o projekcie do nowej ustawy prasowej i parę wykładów z dziedziny nauk ekonomicznych. Mniej korzystnie przedstawia się stan finansowy Towarzystwa. Niepunktualne uiszczanie wkładek miesięcznych, (za które otrzymuje się bezpłatnie *Przegląd prawa i administracyi)*, tamuje prawidłowy bieg czynności. Członków liczyło Towarzystwo 233, obrót kasowy wynosił 4386 kor., czysty majątek 1132 kor. Ze względu na szczupłość środków materyalnych nie mogło Towarzystwo zrobić takich wkładów w bibliotekę, jakie były istotnie potrzebne. Księgozbiór liczył z końcem roku zeszł. 1686 dzieł, w 3253 tomach. Nowych dzieł przybyło 27 (?!).

Towarzystwo nauczycieli szkół wyższych miało ogółem 786-ciu członków. Z tej liczby 80 z poza stanu nauczycielskiego. Fakt ten jest dobrym objawem, gdyż dowodzi zainteresowania się szerszych kół społeczeństwa szkołą, pewnej chęci współdziałania w kierunku wychowawczym ze szkołą. Kół prowincyonalnych liczyło Towarzystwo 16. Wszystkie były czynne; na posiedzeniach rozpatrywano kwestye dydaktyczno-pedagogiczne, oraz odczytywano prace ściśle naukowe. Przedewszystkiem podnieść należy, iż Koła odpowiadały wyczerpująco na kwestyonaryusze, jakich kilka rozesłało Towarzystwo. Zwłaszcza kwestyonaryusz w sprawie egzaminu dojrzałości i t. zw. egzaminów promocyjnych wywołały w Kołach ożywioną dyskusyę. Najważniejszemi czynnościami wydziału było wniesienie petycyi i memoryałów: do sejmu w sprawie utworzenia gimnazyum realnego nowego typu w Krakowie, do Rady państwa w sprawie wydania ustawy państwowej dla zasad organizacyi gimnazyów w Austryi, do Rady szkolnej obszerny referat w sprawie reformy wychowania fizycznego młodzieży i memoryał o bibliotekach i czytelniach dla młodzieży, wreszcie do Ministerstwa oświaty w sprawie utworzenia na uniwersytecie katedry powszechnej literatury. Rozwój organu Towarzystwa, *Muzeum,* był widoczny, co już zostało stwierdzone w kwietniowym zeszycie *Przeglądu.* Sprawa wydawnictw dla młodzieży postąpiła naprzód o tyle, że zamówiono kilka tomików

u autorów, i może jeszcze w tym roku ukaże się pierwsza serya prac oryginalnych. Wydawnictwo to będzie mieścić oprócz rzeczy oryginalnych także przedruki wyborowych utworów literatury polskiej. W planie też jest rozszerzanie „Biblioteki klasyków łacińskich i greckich". Fundacya im. Mickiewicza wzrasta bardzo pomyślnie; kapitał zakładowy wzrósł do sumy 23.234 kor.; z procentów rozdano 11 stypendyów. Fundusz żelazny Towarzystwa wynosi 27.000 kor., obrót kasowy dosięgnął cyfry 7261 kor., obrót kasowy administracyi wydawnictw 58,317 kor., a administracyi *Muzeum* 9628 kor. Z pośród odczytów, jakie wygłoszono, na uwagę zasługują: w Kole jarosławskiem D-ra Fr. Krczeka „O poprawności języka", w Kole krakowskiem Ippoldta „Reforma szkół średnich we Francyi" i M. Mazanowskiego „Jedno- czy dwurazowa nauka w szkołach średnich?", w Kole lwowskiem ks. D-ra A. Pechnika „Wychowanie w szkołach średnich", B. Błażba „Kwestya jednorazowej nauki ze stanowiska fizyologicznego i psychofizycznego", D-ra Piaseckiego „Nauka jednorazowa ze stanowiska wychowania fizycznego". Towarzystwo to, obok Towarzystwa dla popierania nauki polskiej i lekarskiego jest najbardziej czynne i najbogatsze ze wszystkich Towarzystw galicyjskich.

Taki sam cel, jak poprzednie, ma wobec nauczycielstwa szkół ludowych lwowskie Towarzystwo pedagogiczne. Główną wagę kładł wydział na rozbudzenie życia i ruchu w Oddziałach, których miał 20, z przeszło 1400 członkami. Majątek Towarzystwa jest znaczny, bo przenosi sumę 100 000 kor. Z funduszów udzielono zapomóg i stypendyów członkom Towarzystwa oraz ich dzieciom, wydawano organ Towarzystwa, tygodnik *Szkołę*, rozmaite wreszcie podręczniki szkolne. Utrzymywano też kolonię wakacyjną dla chłopców. Co się tyczy ruchu odczytowego, to z uznaniem trzeba podnieść, że był on stosunkowo bardzo znaczny, przeważnie dzięki niedawno założonym „Kółkom pedagogicznym". Ile znaczy, zwłaszcza na prowincyi, wzajemna wymiana zdań, i dyskutowanie o kwestyach fachowych, dla nauczycieli — tego nie potrzeba udowadniać z osobna.

W dziejach *Towarzystwa politechnicznego* był rok miniony jubileuszowym, 25-letniego istnienia i płodnej działalności, której owoce można było oglądać na urządzonej przez Towarzystwo wystawie politechnicznej we Lwowie. Liczba członków była tak wielka, jak żadnego fachowego Towarzystwa, bo doszła do 728. Z prac naukowych wymienimy naprzód wydanie „Słownika wyrazów technicznych dla rzemieślników" w opracowaniu pp. B. Darowskiego i H. Machalskiego.

Zawarto też umowę z warszawskim wydziałem słownictwa i delegacyą elektrotechników co do sposobu dalszej pracy nad słownictwem. Rozwój *Czasopisma technicznego*, którego wyszło 24 numerów w łącznej objętości 340 stron in 4-to z licznemi tablicami i rysunkami, był widoczny. 40 autorów pomieściło w nim 71 prac. Zebrań naukowych było ogółem 18, oddziałów prowincyonalnych 4. Majątek Towarzystwa wynosił z końcem 1902 r. — 39.342 kor., obrót kasowy 35 000.

Ma się też czem pochwalić Towarzystwo *Polska sztuka stosowana*, założone niedawno, bo w r. 1901 w Krakowie. Celem jego jest budzenie oryginalnej twórczości w dziedzinie sztuki zastosowanej do przemysłu i budownictwa, i nadanie jej cech odrębności narodowej, a zarazem stworzenie do tego niezbędnej atmosfery rodzimej i nastroju artystycznego. Najważniejszymi środkami, prowadzącymi do tego celu, są: gromadzenie materyałów z zakresu polskiej sztuki ludowej i zabytków polskich, szukanie materyałów wszędzie, na całym obszarze ziemi polskiej, urządzanie wystaw, ogłaszanie konkursów, rozpowszechnianie przez wydawnictwo zarówno motywów, jak i nowych pomysłów, oraz wykonywanie ich. Pominąwszy przeważną część tych pięknych postulatów, nie należą one bowiem do działu naukowego, zatrzymać się musimy przy wydawnictwie 1-go zeszytu „Materyałów". Ułożony i wydany staraniem pp. E. Trojanowskiego i J. Warchałowskiego, składa się z pięciu plansz barwnych i dwu czarnych. Reprodukowano tutaj zakopiański stół, solniczkę, czerpak i łyżnik, śląski czerpak i skrzynię, z powiatu wielickiego łóżko, z ks. Łowickiego wycinanki papierowe i motyw zakończenia pasa staropolskiego. Są to rzeczy, mające nie tylko dla przemysłu, ale w równej mierze i dla ludoznawstwa nieocenioną wartość i znaczenie. W r. bież. wyjdą jeszcze dwa takie zeszyty. Dwie wystawy, jakie urządziło Towarzystwo, jedną w Krakowie, drugą w Warszawie, zawierały również mnóstwo cennych okazów sztuki ludowej bądź w naturze, bądź też w reprodukcyi fotograficznej. Zbiory Towarzystwa są znaczne, jak głosi sprawozdanie. Szkoda tylko, że nie wymieniono bodaj najcenniejszych przedmiotów. Obrót kasowy za rok ub. wynosił 10 190 kor., liczba członków 245. Dotychczasowa działalność Towarzystwa każe spodziewać się coraz to obfitszych rezultatów pracy. Obyż społeczeństwo poparło jego usiłowania jak najgoręcej!

Towarzystwo filologiczne we Lwowie wraz z oddziałem krakowskim rozwijało się bardzo słabo. Wydało jedną publikacyę t. j. *Eos*, pismo poświęcone filologii klasycznej, badaniom dziejów humanizmu polskiego.

Towarzystwo przyrodników im. Kopernika żyło pełnem życiem. Ruch odczytowy na posiedzeniach tygodniowych był ogromny, dyskusye ożywione. Wszystkie niemal fundusze pochłaniało wydawnictwo organu Towarzystwa, *Kosmosu*. Oddział krakowski funkcyonował pomyślnie.

Towarzystwo lekarzy galicyjskich, i to, jak dwa poprzednie, we Lwowie, liczyło 450 członków w 20 sekcyach prowincyonalnych. W roku ub. odbyło się 21 posiedzeń naukowych, na których wygłoszono 20 odczytów i demonstrowano 58 chorych. Biblioteka wzrosła do 5500 tomów, a 2530 dzieł, które teraz dopiero zostały uporządkowane i skatalogowane. Do uporządkowania pozostaje jeszcze około 2000 tomów. Czysty stan majątku Towarzystwa wynosił 308 000 kor. W r. bież. wzmógł się majątek Tow. ogromnym legatem.

Poza tem referaty treści naukowej wygłaszano w lwowskim *Związku naukowo-literackim* i w paryskiem *Kole artystyczno-literackiem*, jako też w *Kołach literacko-artystycznych*, lwowskiem i krakowskiem. Ale była to raczej popularyzacya badań naukowych.

Cała praca uczonych polskich opierała się przeważnie na księgozbiorach i muzeach publicznych, które wszystkie rozwijały się na ogół pomyślnie. Najlepszymi zaś rezultatami może poszczycić się krakowskie *Muzeum Narodowe*, które pod energicznem kierownictwem D-ra F. Kopery zdołało w krótkim czasie zrobić ogromny krok w swoim rozwoju.

Jak tedy widzieliśmy, z wyjątkiem trzech czy czterech Towarzystw, reszta żyje słabo i rozwija się powoli. A że ostatecznie pod względem postępu nauki polskiej, nie zajęliśmy ostatniego miejsca, żeśmy wyprzedzili wiele pokrewnych nam narodów, to jest jedyną i wyłączną zasługą energii i siły duchowej wielu badaczy, którzy przeszli przez życie — nie wymagając niczego od niego, dając je w ofierze nauce. Gdyby społeczeństwo zechciało zrozumieć wagę nauki i nie ociągało się z udzielaniem stałego poparcia materyalnego naszym instytucyom naukowym, w przeciągu bardzo krótkiego czasu zmieniłyby się obecne nienaturalne stosunki.

Dr. Stanisław Zdziarski.

Z życia i prasy.

Podatek katolicko-narodowy.

Jeden z obywateli ziemi samborskiej rozesłał niedawno do pism polskich, przysłał również i naszej redakcyi, odezwę w sprawie „kato-

licko-narodowego“ podatku. Niektóre z pism odezwę tę zamieściły w swych łamach. Podatek ma wynosić centa na miesiąc. Cele, na jakie mają iść pieniądze z tego podatku, naznacza autor rozliczne. Zdaniem naszem rozbijanie takie drobnej stosunkowo kwoty na wiele spraw jest niepraktyczne — wypadałoby raczej skierować ją ku jednemu celowi, i to takiemu, który po dziś dzień najbardziej ulega niepamięci, choć pod względem społecznej doniosłości ma pierwszorzędne znaczenie. Cel taki, jeden z tych, jakie autor odezwy wymienia, to stowarzyszenia robotnicze, wogóle, praca społeczno-ekonomiczna w duchu katolickim.

W tej myśli przytaczamy kilka ustępów odezwy. Autor wyłożywszy pomieniony plan, zwłaszcza, o ile plan ten zrealizowany już został w Samborze, tak pisze dalej:

Że to nie mrzonka, ale trzeźwy i genialny pomysł (wzięty z olbrzymiej organizacyi „Stowarzyszenia rozkrzewiania wiary“), to przekonać się o tem można z ołówkiem w ręku — a doprawdy nawet pesymista przyznać musi, że w tem tkwi wielka praktyczność i doniosłe dzieło narodowe i katolickie.

Weźmy bowiem za podstawę rachunku realne 3 miliony Polaków-katolików w kraju i przypuśćmy nawet, że z tego 2 miliony będzie takich, co nie dadzą (a co z pewnością nie jest prawdą), to jeszcze zostaje jeden milion takich, co z radością dadzą 1 centa wyraźnie jednego centa, ale za to raz na miesiąc na najukochańsze cele katolickie i narodowe. W cyfrach tak to wygląda:

1,000.000 centów na miesiąc daje 10.000 złr. czyli 20.000 koron
10.000 złr. czyli 20.000 k. na rok daje 120.000 złr. czyli 240.000 k.

Z czego? Oto li tylko z tego, że 1 milion Obywatelstwa, Duchowieństwa, rodzin z dziećmi i służbą, rzemieślników a nawet wiejskiego ludu dadzą 1 centa na miesiąc.

Organizacya tego dzieła jest bardzo prosta. Oto każda rodzina (lub osoba samoistna) zbiera w swojem kółku i otoczeniu te centy i co miesiąc składa zebraną kwotę osobie, którą jako dziesiętniczkę lub dziesiętnika wyznaczył komitet lokalny, lub którą sami sobie wybrali. NB. „Dziesiątki“ te czyli „kółka“ nie potrzebują koniecznie zawierać okrągłe 10 rodzin lub osób samoistnych, ale mniej więcej... „Dziesiętnicy“ ci i „dziesiętniczki“ składają zebraną sumę przez siebie i od swych „kółek“ co miesiąc skarbnikowi „Komitetu lokalnego“ a ten zaciąga je w księgę i co miesiąc „Komitetowi Centralnemu“ we Lwowie wysyła.

Komitet lokalny (w miastach) składa się (jak np. w Samborze) z 10 pań i 10 mężczyzn, w skład których wchodzą panowie z inteligencyi miejscowej z przedstawicielami duchowieństwa, mieszczaństwa i rzemieślników, a z prezesem na czele i skarbnikiem, którzy nawet (jak w Samborze) mogą być w jednej osobie. Rada nadzorcza czyli Komisya kontrolująca składa się z 1 pani, 1 pana lub kapłana i 1 mieszczanina (wybranych przez Komitet lokalny).

Podobny skład jest i Komitetu centralnego we Lwowie. Komitetu tego zadaniem jest, być łącznie i ogniskiem całego dzieła, porozumiewać się z „Komitetami lokalnymi“ i ogłaszać co miesiąc w dziennikach krótkie sprawozdanie.

Organizacya po wsiach i parafiach jest jeszcze prostszą: tu bowiem każdy dom czyli numer stanowi Kółko, które przez gospodarza czy gospodynię składa swe centowe składki w ręce ks. proboszcza lub ks. wikarego, albo też w ręce innej osoby zacnej przez księdza proboszcza naznaczonej i mogącej prowadzić zapis i przesyłkę każdomiesięczną do Komitetu centralnego. Kontroluje zaś księgę rachunkową albo sam ks. proboszcz albo przezeń wyznaczony ks. wikary.

Wydatki na księgę, przesyłkę co miesięczną i korespondencyę z Komitetem centralnym pokrywa się ze składek i wykazuje w rachunku.

NB. Dopóki adres Komitetu centralnego we Lwowie nie będzie ustalony „Komitety lokalne“ same ze swym prezesem rozdzielają zebraną sumę na cel naznaczony. Z chwilą ustalenia adresu zostanie tenże zaraz we wszystkich pismach ogłoszony i rozpocznie się korespondencya z Komitetem centralnym.

Zaiste nic prostszego i łatwiejszego nie da się wymyślić. My zaś niezmiernie wdzięczni zacnym i patryotycznym inicyatorom samborskim, jak z zazdrością witamy to śliczne a doniosłe dzieło Ojczyzny i wiary, tak z drugiej strony całem sercem z niem się łączymy i nie wątpimy ani na chwilę, że ten „znakomity wynalazek“ serc wybranych, cały kraj i każdy zakątek i każdą rodzinę z dziećmi i służbą ogarnie nie tylko w Galicyi, ale i na Śląsku, na Bukowinie, w Ameryce i gdzie tylko biją serca kochające Boga i Ojczyznę.

X.

Nowa ofiara niewoli przekonań w armii austryackiej.

Po głośnym okólniku ministra wojny w sprawie przystępowania do ligi przeciwpojedynkowej, należało się spodziewać, że katolicy całej

Austryi, że zwłaszcza ich przedstawiciele w parlamencie porzucą dotychczasową drogę nieśmiałego protestu, że domagać się będą z n i e s i e n i a niewoli przekonań w armii, jako jedynego zabezpieczenia na przyszłość [1]. Spodziewaliśmy się, że nie zadowolni ich gołosłowne przyrzeczenie, lub dyplomatycznie z ukrycia ukazywany rąbek nadziei, ale że śmiałą rezolucyą, czynnym protestem zmuszą ministra do zupełnej zmiany frontu. Tymczasem dyskusya parlamentarna nad okólnikiem Pittreicha wykazała raz jeszcze, że katolicyzm w Austryi nie zbudził się jeszcze z uśpienia. Minister obrony krajowej pozwolił sobie na aforyzm, że władze wojskowe zakazywać pojedynku nie mogą, bo już go zakazuje ustawa, a nic nie poradzą na to, że ta ustawa nie jest wcale zachowana, co popiera już długoletnia tradycya, panująca już wszechwładnie za lat młodzieńczych p. Welsersheimba. Dodał zręczną aluzyę do pojedynków poselskich i... zyskał oklaski. Zeszedł z trybuny z tem przeświadczeniem, że władze wojskowe wyczerpały wszystkie środki służące do zmniejszenia liczby pojedynków, chociaż przymus pojedynkowy pozostał w dawnej mocy. Przekonanie to podzielali widocznie posłowie katoliccy, skoro bez żadnej uchwały, po lekkim tylko proteście przeszli nad tym nowym zamachem na wolność sumienia do porządku dziennego. Przy tej sposobności usłyszano w parlamencie nawet dwa śmiałe twierdzenia [2]: 1) „bez pojedynków armia istnieć nie może“, 2) „pojedynek jest właściwością wrodzoną całemu narodowi niemieckiemu“, i wniosek: znieść ustawę zakazującą pojedynek. Na to ostatnie zgodziłby się można z tego względu tylko, że zakaz bezkarnie nie zachowywany mija się z swym celem i demoralizuje. Ależ Austrya stoi właśnie na przepisach i zakazach na papierze...

Stało się więc to, czego po gnuśności swojej i zbytniej nieśmiałości spodziewać się powinni byli katolicy. Niewola przekonań sroży się dalej, bodaj, że z większą jeszcze mocą. Spory już zastęp ofiar, niewolników powiększył niedawno kierownik „Austryi“, katolickiego stowarzyszenia studentów, Artur Weber. Za to, że odmówił pojedynku brutalnie zaczepiającemu go napastnikowi, sąd h o n o r o w y wojskowy pozbawił go godności kadeta rezerwowego. W dotyczącym wyroku najważniejszym motywem degradacyi jest, że „odmówił pojedynku na podstawie zapatrywań niegodnych stanu oficerskiego“. A ponieważ Weber odmówił pojedynku ze względu na swe przekonania katolickie, więc te,

[1] Porówn. w zesz. kwietniowym *Przegl. Powsz.* str. 164 i n.

[2] Posła Bergera w dyskusyi z 3 kwietnia b. r.

zdaniem sądu wojskowego, są niegodne, ubliżające oficerowi. Według więc zapatrywań sądu wojskowego, którego orzeczenie potwierdziło w całej rozciągłości ministeryum wojny (dekretem z 13 maja b. r.), — oficer austryacki nie może być katolikiem. Tak otwartego, wyraźnego przyznania się i oświadczenia nie mogliśmy się nawet spodziewać. Zapatrywaniami przeciwnemi godności oficera są tedy: 1) wzgląd na ustawowy wojskowy zakaz pojedynku, 2) wzgląd na zakaz ustawy cywilnej, 3) względy nieuprzedzonego rozumu, potępiającego pojedynek, 4) wzgląd na przykazania religii, 5) powątpiewanie o zdolności do dania zadośćuczynienia u przeciwnika, jak to miało miejsce w tym wypadku [1].

Dla całości tego pięknego obrazu stosunków austryackich pozwólmy sobie dodać, że senat akademicki poszedł za przykładem sądu wojskowego. Jak ten ostatni ukarał nie napastnika ale niesłusznie napadniętego, tak i senat relegował Webera z uniwersytetu na pół roku za obronę w napaści niesłusznej, a szukającego zaczepki i lżącego go Jörga ukarać nie umiał.

Takie stosunki trwać będą dopóty, dopóki katolicy Austryi raz przecie nie zerwą z polityką pięknych słówek i nie przejdą do męskich protestów, a przedewszystkiem do polityki czynnej. Skargi takie, jak na komersie ostatniego dolno-austryackiego katolickiego kongresu, że katolikom w Austryi stokroć gorzej, niż podkopującym podstawy społeczne lub podstawy monarchii stronnictwom przeciwnym, nie wystarczą. Naród silny, społeczeństwo czy stronnictwo dzielne, jak mężczyzna z charakterem, — mało mówi, czyni wiele.

Ks. K. K.

---

[1] *Koelnische Volkszeitung* nr. 479, z 9 czerwca b. r.

Druk ukończono 30 czerwca 1903 r.

NAJNOWSZE STANOWISKO SOCYALISTÓW WZGLĘDEM KOŚCIOŁA.

II. Przeciw Wierze nie popartej czynami.

Że Kościół od początku nie samych liczył członków przykładnych, to wiemy od wieków. I w dobie apostolskiej, i w stanach najgodniejszych Judasz, Ananiasz ze Safirą, Szymon świętokupca i inni kalali swoje nazwiska ślepą żądzą srebrników.

I z drugiej strony, także w każdym stanie, Kościół do dziś dnia liczy zastępy nieprzejrzane okiem, które rozporządzały zawsze swojemi bogactwami poniekąd nie jakby własnym majątkiem, tylko jako dziedzictwem mniej uposażonych a nadto dziś chlubnie zapisują swoje nazwiska w dziejach naprawy społecznej.

Ale czy chrześcijanin gromadzi pieniądze dla samolubnej rozkoszy, czy używa majątku na pożytek sprawy społecznej, w żadnym wypadku nie usposobi socyalistów przychylnie względem siebie i względem chrześcijaństwa: socyalizm wobec Kościoła w każdym razie zajmuje stanowisko wroga, gotowego i za samolubnych chrześcijan i za ożywionych duchem wiary czynnej, napadać na Kościół.

„Precz z wiarą czynną na polu społecznem!“ wołają przewódcy socyalizmu: więc na widok drużyn, wołanych pod chorągiew demokracyi chrześcijańskiej głosem Papieża robotników, chorągiew czerwona prowadzi swoje zastępy do boju przeciw

całemu wogóle Kościołowi: „Jego dzieła społeczne stają naprzeciwko socyalistycznych; socyalistycznym pomocom wzajemnym odpowiadają jego wzajemne pomoce; z pożyczkowemi spółkami socyalistów idą w zawody prawie wszędzie pożyczkowe spółki chrześcijańskie“... i tak dalej wytyka Furnémont chrześcijaństwu czynnemu jego troskę o dobrobyt warstw wydziedziczonych i z tych jego dzieł wysnuwa wniosek, że „trzeba prowadzić wojnę bez miłosierdzia przeciw Kościołowi, który znaczną część proletaryuszów wciąga w ustrój przeciwny ich braciom“.

Tak oburza Kościół przeciw sobie socyalistów widokiem swojej pracy nad poprawą doli nędzarzy. Cóż jednak wypada socyalistom począć wobec chrześcijan niedbałych na zachęty papieskie do pracy społecznej?...

Na to pytanie nikt prędko nie odgadłby odpowiedzi, jaką dają socyaliści: i za żywą wiarę uczynnych chrześcijan na Kościół napadają, i za martwą wiarę samolubów występują przeciw całemu Kościołowi jakoby sprzymierzonemu z bogaczami na zgubę nędzarzów. Rzecz to napozór nie do wiary, a przecie prawdziwa, bo wymowne słowa najwybitniejszych socyalistów z ostatnich miesięcy świadczą dowodnie, że czy tak czy owak postąpi chrześcijanin, w jego postępkach zawsze socyalizm znajdzie powód do napaści na Kościół.

Ten sam Furnémont, który głosi wojnę bez miłosierdzia z Kościołem za jego wszechstronną opiekę nad nędzarzami, ten sam także znajduje w Kościele winę wprost przeciwną, za którą grozi nie już wojną bez miłosierdzia, ale zagładą doszczętną, bo mianowicie ogłasza Kościół narośla, wykwitem czy wypryskiem albo wrzodem społeczeństwa spieniężniałego, zależnym w swoim bycie od tego społeczeństwa, więc przeznaczonym wraz z jego przyszłym upadkiem na zagubę bez śladu [1].

Jak ów wykwit pieniężnictwa może budować lepszy byt dla nędzarzy? Jak przez to może odwodzić biedaków z pod

[1] *Le Mouvement socialiste,* année v-ème page 24: „Si le processus de la civilisation est exclusivement determiné par les formes de la production économique, les religions elles-mêmes n'apparaissent que comme des excroissances de la société capitaliste, destinées à disparaître avec elle“.

chorągwi przewrotu? Tego Furnémont jeszcze nie wyjaśnił w odpowiedzi danej do *Mouvement socialiste;* nim wyjaśni to w stosownej chwili, można posłuchać, co w tej mierze sądzą jego towarzysze broni.

Vandervelde nie umie darować Papieżowi robotników, że za jego powodem Kościół schodzi z nieba na ziemię i, zamiast ją zostawić socyalistom, urządza zamachy na społeczeństwo świeckie, wzywa do poprawy niesprawiedliwego dziś ustroju stosunków, łączy robotników w związki, rośnie wpływem i objawia godną uwagi siłę żywotną. Przecie w słowach tegoż samego Papieża umie Vandervelde wypatrzeć myśl wręcz przeciwną, mianowicie obronę ustroju opartego na wszechwładzy pieniężnej!

Aby wyczytać podobną myśl w encyklice *Rerum novarum,* belgijski poseł przytacza z niej ustęp, w którym Leon XIII przypomina, „że pierwszą podwaliną, na której mają budować wszyscy, jeżeli szczerze pragną dobra ludu, jest nienaruszalne prawo właścicieli do ich majątku osobistego".

W tych słowach świat cały dotychczas widział zaznaczoną prawdę, znaną od wieków, że mianowicie Kościół odrzuca teoryę komunizmu; ale żeby Leon XIII w tych słowach bronił dzisiejszego ustroju pieniężniczego, tego nikt nie widział przed Vanderveldem. Ten socyalista odkrył zwolennika stosunków dzisiejszych w tym Leonie XIII, który je nieraz piętnował nazwą niesprawiedliwych. Ale Vandervelde zręcznie dorzuca uwagę, że pod nazwą majątku osobistego tok mowy każe w ustach papieża rozumieć zarówno majątek zdobyty przez obrót pieniężny, jak majątek osobisty, oparty na pracy [1].

Ale cóż znaczy ta nazwa majątku, zdobytego przez obrót pieniężny? Wszak właśnie obrót pieniężny, uważany za źródło majątku, zawiera w sobie wiele stron ciemnych i pojęć mętnych! Wszak tu właśnie leży pole do rozpraw o prawo do odsetek

[1] Tamże, ann. IV, page 1935: „Et par proprieté privée, le contexte établit que le pape entend aussi bien la proprieté capitaliste que la proprieté personnelle, fondée sur le travail".

z pieniędzy pożyczonych, tu tkwi niezbadany jeszcze stosunek pracownika do przedsiębiorcy, tu czekają sędziego różne zagadki ustroju społecznego. Oczywiście, niejeden obrót pieniężny nadaje szczęśliwemu przemysłowcy niezaprzeczone prawo do nabytego majątku, ale w całym układzie pieniężnictwa nowoczesnym mnóstwo szczegółów wywołuje spory, których Papież nie rozstrzygał wcale na korzyść przemysłowców i przedsiębiorców, i owszem: wypowiedział wręcz, że ustrój społeczny, oparty oczywiście jako na głównej podstawie, na nowożytnym obrocie pieniężnym, kryje w sobie niesprawiedliwe dochody właścicieli, krzywdę robotnika.

Przeciw tedy uznanej prawdzie występuje Vandervelde i wręcz miota na Leona XIII oszczerstwo, kiedy kończy swój wywód słowami: „Tedy, powagą swojego zwierzchnika, bezwzględnie i uroczyście, Kościół oświadcza się wspólnikiem pieniężnictwa, stanowi się opiekunem warstw uposażonych“ [1].

Ten sam duch odrazy i wstrętu do Kościoła natchnął Vaillanta słowami, które brzmią, jakby poseł paryski właściwie dążył wprost do zagłady Kościoła, a tylko ubocznie do zwycięstwa nad warstwą uposażoną majątkiem. Otwarcie mówi: „Kościoły, duchowieństwa, to — jak słusznie ktoś nazwał — żandarmerya niebiańska, bez której warstwa majętna zarówno obejść się nie zdoła [2], jak bez swoich ziemskich żandarmów.

„Socyaliści wiedzą dobrze, że ich istotnym obowiązkiem jest zadać cios śmiertelny pieniężnictwu, bo wraz z niem znikają równie dobrze jego obrońcy duchowni i świeccy... powin-

---

[1] Tamże, str. 1235: „Ainsi par l'organe de son chef, catégoriquement et solennellement, l'Église se proclamme solidaire du capitalisme, se constitue la protectrice des classes possédantes et, descendant du ciel sur la terre, donne pour mot d'ordre à ces fidéles: le Socialisme, voilà l'ennemi!“

[2] Tamże 1937—9: „Les Églises, les clergés, c'est, on l'a dit avec raison, la gendarmerie céleste, dont la classe possédante ne peut pas plus se passer, que de sa gendarmerie terrestre.

„Les socialistes savent très bien que leur oeuvre essentielle est de frapper à mort le capitalisme, car avec lui disparaissent aussi bien ses défenseurs spirituels, que temporels... nous devons sur tous les terrains livrer bataille à toutes (les) forces de conservation et de réaction“.

niśmy na każdem polu wytoczyć bitwę wszelakim siłom zachowawczym i wstecznym".

Belgijski poseł Destrée z innego stanowiska wypatruje w Kościele stronnika bogaczów w ich zapasach z nędzarzami: wychodzi z poglądu, jakoby Kościół w tej mierze żadnych zasad stałych nie wyznawał, tylko jako giętki zausznik, spoglądał zawsze na stronę mocniejszą, a tę oczywiście znalazł przy wszechpotędze pieniężnej, więc zajął postawę wrogą wobec socyalizmu. Wnosi stąd Destrée: „jutro, jeżeli przemożemy, znajdziemy w Kościele potulnego sługę, który bez trudu dowiedzie ustępami z Ewanielii i wyjątkami z Ojców, że jest większym socyalistą, niż my, i był nim przed nami" [1].

Włoski poseł Ferri mniej sobie trudu zadaje; nie bada głęboko, nie sprawdza pogłosek o służalstwie jakichś księży wobec mocarzy pieniężnych, nie liczy po różnych krajach tysięcy duchowieństwa oddanego sprawie nędzarzy; pisze jakby prostaczek łatwowiernie przekonany, że wina rzeczywista albo urojona dziesiątków albo setek niewątpliwie kala tysiące i setki tysięcy duchownych. Twierdzi tedy, że „socyalizm, jako stronnictwo polityczne zgromadzone, aby bronić i wyzwolić robotników, nie może być jak tylko przeciwnikiem księżowstwa, bo ono ze swoim duchem zgodliwym na rządy Boże nie jest niczem jak tylko ‚zatłuszczonym odrodkiem' religii, oddanej na służbę u przemożnego pieniężnictwa... Łatwo dać zrozumieć robotnikom i wieśniakom podczas zmowy, co znaczy księżostwo w dziedzinie społecznej, bo wszyscy wtedy widzą księży po stronie mocarzy pieniężnych" [2].

[1] Tamże 1942: „Je ne considère pas l'Église comme une ennemie irréductible. L'histoire nous enseigne sa souplesse: elle s'est toujours empressée de consacrer les réussites. Actuellement elle est hostile au socialisme, parce que le capitaliste est encore debout; demain, si nous triomphons, elle sera notre servante docile et n'aura pas de peine à démontrer, par des fragments des Évangiles et des citations de ses Pères, qu'elle est plus socialiste que nous et l'était avant nous".

[2] Tamże 1946, 7: „Le socialisme étant un parti politique de défense et d'émancipation des travailleurs, ne peut être qu'anticlérical, puisque le cléricalisme avec son esprit de résignation n'est que la ‚dégénérescence graisseuse' de la religion mise au service de la domination capitaliste".

Bujny we filozoficznych pomysłach redaktor *Neue Zeit*, Karol Kautsky ujął swoje poglądy w obszerny układ pojęć psychologicznych, aby z nich wywieść, że Kościół służy potęgom pieniężnym jako czynnik ładu i jako wspólnik warstw uposażonych. Twierdzi tedy, że „Kościół Powszechny występuje jako wypowiedziany wróg wszelkiego ruchu przewrotowego; uchyla wprawdzie czoła przed przewrotem zwycięskim, ale wymierzy wszelki oręż, którym włada, na przewrotowy związek dopiero w rozwoju. Nienawidzi zwłaszcza wszelkich robót wszczynanych po to, aby usunąć wyzysk i różnicę warstw społecznych“ [1].

„Względy na własny pożytek i dziedziczne przesądy księżostwa występują zbyt jaskrawo przeciw wyzwoleniu proletaryatu, aby Kościół nie stawiał dzielnych przeszkód każdemu członkowi swojemu, któryby usiłował poważnie uczestniczyć we walce międzywarstwowej“ [2].

„Kościół umiał zawsze urządzić się z warstwami naczelnemi, póki nie zmierzał do samowładztwa. Jak szlachta rodowa, zawarł pokój z mocarzami pieniężnymi. Jak ona, usiłuje opanować drogę nowożytnych obrotów pieniężnych, aby użyć ich za środek wyzysku i władzy“ [3].

„Kościół zajął miejsce wśród warstw uposażonych; posiadł dobra bardzo rozległe [4]. Wydziedziczeni podnosili się przeciw

---

[1] Tamże 2054: „L'Église catholique est l'ennemie déclarée de tout mouvement révolutionnaire; sans doute elle s'incline devant les révolutions victorieuses, mais toute classe révolutionnaire qui se developpe peut s'attendre à voir l'Église diriger contre elle toutes les armes dont elle dispose. Elle hait surtout les tentatives de supprimer l'exploitation et les différences de classes“.

[2] Tamże 2055, 6: „Les intérêts et les traditions cléricales sont en contradiction trop accusée avec l'émancipation du prolétariat pour que l'Église ne s'oppose pas vigoureusement à toute tentative sérieuse de ses membres de participer sérieusement à la lutte des classes“.

[3] Tamże 2139: „L'Église a toujours su s'arranger avec les classes dominantes, tant qu'elle n'a pas visé à l'autocratie. Comme la noblesse foncière, elle a fait sa paix avec le grand capital. Comme la première, elle cherche de mettre de plus en plus les méthodes capitalistes au service de son exploitation et de sa domination“.

[4] Tamże 2143, 5, 6: „L'Église a pris place parmi les classes possédantes; ses biens ont pris une grande extension... Dans les premiers siècles

przepychowi księżostwa, jako przeciwnicy wszelkiego wyzysku i zbytku, mieszczanin na duchownych zżymał się gniewnie, bo ich bogactwa nie służyły do nowego wyzysku wydziedziczonych przez obrót pieniężny. Skądinąd przedsięwzięto środki, aby te skarbce nie rosły w rozmiary bez końca. Niewątpliwie Kościół ma żołądek strawny: byłby na końcu pochłonął bogactwa całkowite w chrześcijaństwie, gdyby od czasu do czasu małe pijawki nie zapobiegły jego nadkrwistości. Od wędrówki ludów do Napoleona łupy z kościołów i klasztorów były środkiem ulubionym książąt i zbrojnych zastępów, kiedy trzeba było zapełnić trzosy. Reformacya przedewszystkiem brała udział w tych wyprawach. Ale byli to najczęściej weseli hulacy, co usuwali skarby kościelne z miejsc, na które przeznaczyli je pobożni nadawcy. Drogocenny kruszec nie mieszkał długo w ich kieszeni; niebawem krążył już między tymi, którym na pożytek szły w ostatnich stuleciach wszelkie znaczniejsze zmiany społeczne: wpadał w ręce pieniężnych mocarzy. Świętokradzkie łupy w przeróżnych postaciach najdzielniej dopomogły tym mocarzom do wzrostu ich potęgi pieniężnej".

---

de la période capitaliste les prolétaires s'élevaient contre le faste du clergé parce qu'ils étaient les adversaires de toute exploitation et de tout luxe, le bourgeois s'en irritait, parce que ces richesses ne servaient pas à une nouvelle exploitation capitaliste.

D'ailleurs les mesures étaient prises pour que les trésors ne prissent pas une extension indéfinie. Sans doute, l'Église avait bon estomac; comme institution immortelle, elle ne connaissait pas les héritiers qui se font une joie de partager les fortunes et de les dissiper. Elle aurait bien fini par absorber la richesse totale de la chrétienté, si une petite saignée n'était venue de temps en temps la sauver d'une pléthore exagérée. Depuis l'époque des invasions jusqu'à Napoléon, le pillage des églises et des couvents était un des moyens favoris employés par les princes et les autres chefs militaires pour remplir leurs poches. La Réforme, en particulier, y a largement contribué. Mais c'étaient la plupart du temps de joyeux compagnons qui détournaient ainsi les trésors sacrés de leur pieuse destination. Le métal précieux ne demeurait pas longtemps dans leurs poches, il ne tardait pas à circuler parmi ceux auxquels, dans ces derniers siècles, toute grande transformation sociale fixit par profiter: à tomber aux mains des capitalistes. Le vol sacrilège sous ses différentes formes a très puissamment servi l'accumulation primitive du capital".

„Zwłaszcza zakony przedstawiają w sobie rozwój duchownego mocarstwa pieniężnego, bo ich członkowie przy wspólnym żywocie stanowią towarzystwo współpracowników na polu wytwórczem, jeżeli nie żyją z jałmużny. Ale duchowne spółki wytwórcze schodzą na tę samą drogę, co spółki świeckie. Ledwo dojdą do wyników pomyślnych, zaraz przestają pracować same i używają zastępców, których wyzyskują. Więc zakony z istoty swojej wielce przydają się na czynnik wyzysku pieniężnego.

„Stąd łatwo płynie wniosek o stosunku mocarzy pieniężnych do Kościoła.

„Warstwa uposażona nie potrzebuje już zazdrościć skarbów Kościołowi: powódź złota rośnie w tej mierze, że dobra kościelne w stosunku są bardzo skromne .

„Z drugiej strony wydziedziczeni grożą jako rzesza coraz liczniejsza i silniejsza. To też warstwy uposażone nie czują się usposobione do zamachów na ustroje, zdolne zabezpieczyć jej władzę. Do ustrojów potrzebnych dla ludu należy Kościół.

„Ale każde narzędzie niezbędne dąży zawsze do samowoli. Przeciw uposażonym powstają środki [1], używane przez nich dla

---

[1] Tamże 2147, 8: „Le cléricalisme capitaliste est surtout représenté par les congrégations. Celles-ci, dès l'abord et par nature, comme communautés domestiques, constituent également des associations de coopération économique. Dans la mesure où elles ne tirent pas leurs revenus d'une forme quelconque de mendicité elles doivent les acquérir au moyen de la production. Mais il en est des cooperatives de production religieuses comme des coopératives laiques. Dès qu'elles réussissent, leurs membres cessent de travailler par eux-mêmes et en laissent le soin à d'autres, que l'on exploite. Les congrégations sont donc fort propres par nature à exercer l'exploitation capitaliste.

2150. „La politique religieuse de la bourgeosie se déduit donc facilement de ce que nous venons de dire.

2151. „La classe capitaliste n'a plus de raison de considérer avec envie les trésors de l'Église; les masses de capital se sont accrues en proportions si énormes que les biens de l'Église sont relativement fort modestes.

„D'un autre côté, le prolétariat, qui croît en nombre et en force, devient de plus en plus menaçant. Aussi la bourgeoisie se sent-elle de moins en moins disposée à ébranler les institutions qui assurent son pouvoir. La religion doit être conservée pour le peuple.

„Mais tout organe important tend toujours à devenir indépendant, à se poser soi-même comme fin et à se révolter par intervalles contre

bezpieczeństwa własnego. Kościół Powszechny okazuje najmniej ducha uległego... Ale nie trzeba przeceniać hałasu, jaki powstaje przy waśniach państwa z Kościołem; są to kłótnie domowe, przy których jedni drugich potrzebują i nie obejdą się bez siebie".

Nakoniec Kautsky wyciąga wniosek:

„Powinniśmy pokazać robotnikom zacofanym pod wpływem księżowskim, że księżostwo należy właściwie do warstw naczelnych i uposażonych, więc nierównie bliżej trzyma się wspólnie z właścicielem nawet wolnomyślnym, niż z biedakiem choćby najpobożniejszym" [1].

Przyznać można Kautskiemu, że najmniej ze wszystkich popada w przeciwieństwa sam ze sobą w długich wywodach. Inni porwani ślepą niechęcią ku Kościołowi, nie zawsze dbają na związek pojęć w swoich dowodach, ani na dobór wyrazów: Kautsky od nich więcej wie i myśli, grzeczniej przyznaje zaszczytne miana swoim przeciwnikom i kiedy ich smagać zamierza, chwyta nie za bykowiec, ale za jedwabny, naperfumowany biczyk, swoją drogą bolesny.

Dobrze jest zapoznać się i z takim poglądem. Oczywiście, że sprawa posiadania majątku tylko w oczach socyalisty może coś przesądzać o rzeczy — rozstrzyga tutaj sposób, w który kto majątku nabywa i używa, jako też i następstwa z osobistego majątku wynikłe. Pod tym zaś względem wywody, a raczej psychologiczne domysły autora, zbyt wyraźnie noszą na sobie charakter stronniczy. W dziejach można się spotkać z niejednem, co nie było zgodne z zasadami Kościoła, ale w tem

---

ceux qui ne font de lui qu'un moyen pour atteindre leur but. Les moyens de domination de la bourgeoisie se soulèvent contre leur maître. C'est l'Église catholique qui montre le moins de subordination... Mais il ne faut pas s'en laisser imposer par le vacarme que ces luttes provoquent; ce sont des querelles de ménage; chaque partie a besoin de l'autre; elles ne peuvent se séparer".

[1] Tamże 2283: „Nous devons montrer aux travailleurs arriérés cléricaux, que c'est avec le bourgeois libre-penseur que le clergé, faisant au fond partie des classes dominantes et possédantes, a beaucoup plus de points de contact, qu'avec le prolétaire, si pieux qu'il soit".

miejscu właśnie głównie o te zasady chodzi. Zasady zaś te nie tylko przypomniał, ale i z nową siłą wprowadził w życie Kościoła Leon XIII.

Nie idzie Kautskiego śladem Rosa Luxemburg. Zuchwała, ale to znamiennie po żydowsku zuchwała redaktorka w *Leipziger Volkszeitung* plecie trzy po trzy z powagą akademicką o stosunkach wśród chrześcijaństwa, którego widocznie nie zna ani nawet z początków katechizmu. Dowieść usiłuje, że Kościół jest składowym czynnikiem niesprawiedliwego dziś ustroju społecznego, a na dowód przywodzi stosunki rosyjskie między rządem rosyjskim a Cerkwią! Twierdzi tedy, że „przy jedynowładztwie, Kościół jedynowładczy z istoty, jako nauka oparta na powadze, wchodzi w ustrój państwowy, a nie narusza w nim zgody między innemi czynnikami; zajmuje stanowisko prostej podpory, sługi i narzędzia w ręku jedynowładcy.

„Rosya nam dostarcza przykładu jaskrawego, aby pokazać, jak Kościół bez różnicy obrzędów, stanowi w każdem jedynowładztwie podporę wierną siły państwowej“ [1].

Najpierw sprawa schyzmatyckiej Cerkwi wytoczona tu nie w swojem miejscu, nie zasługuje na obronę; a o ile wogóle o służalstwo Kościoła idzie, to czyż pobieżna znajomość dziejów nie wskazuje, że ciężką nieraz staczał Kościół walkę przeciw samowoli jedynowładzcy? Czy wbrew oczywistej prawdzie można przedstawiać cały Kościół czynnikiem służalczym wobec warstw naczelnych i dzisiejszych stosunków?

Tego redaktorka nie wyjaśnia, tylko popiera dziwny swój pogląd powagą swoją własną, mianowicie słowami, któremi z powodu sprawy Dreyfusa przemówiła kiedyś w łamach *Neue Zeit*, a które przelewają tylko z próżnego w puste ten sam brak

---

[1] Tamże ann. v, p. 30: „Dans une monarchie, l'Église, monarchique par essence, comme doctrine autoritaire, entre dans le mécanisme de l'État sans en détruire l'harmonie; c'est un simple appui, c'est la servante et l'instrument du monarque.

„La Russie nous offre un exemple éclatant qui nous montre combien l'Église, sans différence de rite, constitue, dans toute monarchie, un appui fidèle de l'autorité publique“.

dowodu, a mają dowieść, że socyalizm musi sprzątnąć jedywładztwo wraz z jego narzędziem, Kościołem.

Ale czyżby i w nowoczesnej rzeczypospolitej, jak francuska i amerykańskie, Kościół miał służyć tylko za narzędzie burżoazyjnym rządom prześladowców?

Tak! — odpowiada głębokomyślna pisarka; — rządy w tych państwach przedsiębiorą nędzne środki przeciw księżostwu, bo pod pozorem gonitwy za niepotwierdzonymi zakonnikami, osłaniają duchowieństwo świeckie i chronią Kościół jako ustrój uznany państwowo. „Taka walka jałowa przeciw zakonom na tem kończy, że odwraca napastnika od szańca najsłabszego i pokrywa najważniejsze stanowisko księżowskie. To też Kościół podtrzymuje troskliwie wiarę w ulubioną baśń republikańskich burżoazów: w przeciwne rodzaje polityki duchowieństwa świeckiego i zakonów; Kościół sam urządza widowiska z owych przeciwieństw rzekomych.

„Więc przeciwkościelny ruch burżoazyjny kończy na tem, że wzmacnia potęgę Kościoła, podobnie jak to było ze sprawą Dreyfusa i t. d.“ [1].

Już to trzeci czy czwarty raz Żydówka wspomina nazwisko swojego Dreyfusa bez żadnego związku z głównym tokiem dowodów; ale bo też właściwie w tych dowodach całych nie tyle idzie o związek, ile o wniosek, że Kościół staje za bogaczami i gnębicielami ludu, więc precz z jego wiarą nieuczynną!

Pastor Goehre po krętych drogach nie szuka dowodów z Żydówką, ale z nią równie poważnym głosem rzuca na Kościół wyrok: „Socyalizm powinien zwalczać Kościoły, bo w nich wstecznictwo rządowe znajduje zauszników najpotężniejszych. Właśnie socyalizm, kiedy spełni ten obowiązek, zostanie wy-

[1] Tamże 36: ... „cette lutte stérile contre les congrégations aboutit à détourner l'attaque du point le plus vulnérable et à couvrir la principale position des cléricaux. Aussi l'Église entretient-elle soigneusement la croyance à la fiction favorite des républicains bourgeois, a l'antagonisme politique du clergé régulier et du clergé séculier; elle la manifeste par d'apparentes hostilités.

„L'anticlericalisme bourgeois aboutit donc à consolider le pouvoir de l'Église, de même que dans l'affaire Dreyfus“ etc.

bawcą religii prawdziwej i zakochanej w postępie, uwolni ją z więzów, któremi ją krępuje Kościół“ [1].

Jednym z najzręczniejszych zwrotów zbył sprawę Bernsteju: nie zadał sobie pracy nad pytaniem, przez co Kościół stanowi czynnik społecznie szkodliwy? czy przez pomoc udzielaną biedakom, czy przez wspólnictwo z możnymi w ucisku słabych? Albo tak, albo owak: mniejsza o to, jak; dość, że socyalistyczne „stronnictwo wzdycha poniekąd do tego, aby wywłaszczyć Kościół i wszystkie związki wyznaniowe, jako czynniki żywota społecznego i gospodarczego w narodzie“ [2].

Duńczyk Knudsen wcale głowy nie suszy sobie nad nowym wywodem; zabiera głos, aby starą piosnkę odśpiewać, że „duchowieństwo dobrze urządzone zawsze dążyło i dążyć będzie zawsze do tego, żeby zabezpieczyć i rozszerzyć władzę własną, bronić pożytków pieniężnych, do których osobliwie mierzy... Po wszystkie czasy ustawi się ze strony mocarzy społeczeństwa, z którymi ma stosunków najwięcej. To też w obecnych stosunkach społecznych sprzymierzy się z pieniężnictwem, i jako jego pomocnik, pójdzie utrzymywać warstwę robotniczą w nieuctwie i niewoli, ale zarazem wzmocni i rozwinie wpływ własny. Stąd wynika, że demokracya socyalistyczna powinna zwalczać ducha księżowskiego wszędzie i w każdej postaci, gdzie spotka jego objawy [3].

---

[1] Tamże 41, 42: „Le socialisme doit combattre les Églises, parce qu'elles sont les soutiens les plus puissants de la réaction gouvernementale. C'est précisément en remplissant cette tâche qu'il devient le libérateur de la religion véritable et éprise du progrès, qu'il la délivre des liens que lui impose l'Église“.

[2] Tamże 46: „Le parti aspire, pour ainsi dire, à l'expropriation de l'Église et de toutes les corporations religieuses, en tant qu'agents de la vie sociale et économique de la nation“.

[3] Tamże 120: „Un clergé organisé s'est toujours efforcé et s'efforcera toujours de consolider et d'étendre sa propre puissance et de défendre les intérêts économiques qui lui sont particuliers... En tout temps, il se rangera du côté des puissants de la société, avec lesquels il a le plus de rapports. C'est pourquoi, dans les conditions sociales du moment, il s'alliera avec le capitalisme, pour l'aider à maintenir la classe ouvrière dans l'ignorance et la dépendance, tout en affermissant et développant son influence

„Z najżywszą też uwagą i współczuciem stronnictwo demokratyczno-socyalne w Danii śledzi walkę, którą nasi towarzysze we Francyi, popierając rząd wolnomyślny i radykalny Rzeczypospolitej, wypowiedziało duchowi księżowskiemu".

Porywczy Francis de Pressensé rozstrzyga sprawę swoim sposobem; wylewa potok krasomówczych pytań: „Wzywam na świadka stanowisko społeczne Kościoła i pytam się, czy to możliwe, żeby szczerzy socyaliści nie widzieli w zagładzie Kościoła warunku niezbędnego dla siebie, jeżeli mają zwyciężyć? Czyż Kościół przestał być najmocniejszym wałem ochronnym budowli naszego społeczeństwa spieniężałego? Czyż przestał urządzać sobie igraszkę z wyzysku ludzkiego? Czyż myśli kto, że póki państwo utrzymuje swoimi pieniądzmi, zaopatruje przywilejami ten ustrój straszliwy, będziemy mieli jakie widoki, że dokonamy naszego przewrotu i zaprowadzimy własność wspólną?" [1].

Austryacki poseł Ellenbogen zbywa rzecz krótko: „Klerykali stanowią stronnictwo burżoazyjne, tyle warte, co inne, i trzeba ich zwalczać z mniej albo więcej natężoną siłą, według układu stosunków politycznych" [2].

Paweł Lafargue nie szczędzi zaprawy do swojej odpowiedzi: ani pieprzu a nawet gorzkiej żółci nie żałuje, kiedy wy-

---

à lui. D'où il s'ensuit que la démocratie socialiste doit combattre le cléricalisme partout et sous quelque forme, qu'il se manifeste.

„C'est avec la plus vive attention et sympathie que le parti démocrate-socialiste de Danemark a suivi la lutte que nos compagnons de France, en appuyant le gouvernement libéral et radical de la République, a engagée contre le cléricalisme".

[1] Tamże 127: „Je m'en prends au fait social de l'Église et je demande s'il est possible que des socialistes sincères ne voient pas dans la destruction de cette institution une condition *sine qua non* de leur succès? A-t-elle donc cessé d'être le plus puissant contrefort de l'édifice de notre société capitaliste? A-t-elle cessé de faire le jeu de l'exploitation humaine? Croit-on que tant que l'État entretiendra de ses deniers, investira de ses privilèges, entourera de ses protections ce formidable établissement, nous aurons chance d'opérer notre révolution et de socialiser la propriété?"

[2] Tamże 231: „Les clèricaux constituent un parti bourgeois comme les autres, et on les doit combattre plus ou moins vigoureusement, selon la situation politique".

kpiwa pobożne zwyczaje, ani nie liczy miarek soli niekoniecznie atyckiej, kiedy okrasza niezwykłymi pomysłami opis Kościoła, jako społecznego czynnika. Jako okaz umysłowego nastroju, nawet między socyalistami dziwnego, można przytoczyć ustęp następny:

„Międzynarodowość czci boskiej w chrześcijaństwie i rzędy coraz wyższych zwierzchników w duchowieństwie sprawiły, że to wyznanie zostało strasznem narzędziem ucisku w ręku warstw naczelnych, które sobie zpachołkowały księży.

„Mieszczaństwo, odkąd zostało warstwą naczelną, opiera siłę uobyczajniającą i potęgę ogłady chrześcijańską i zasila swoich księży, bądź przez ministra wyznań, jak we Francyi, bądź przez wspaniałe darowizny poszczególnych dawców, jak w Stanach Zjednoczonych.

„Kościół Powszechny przez swoje szkoły braci nieuczków, swoje spowiedzi, swoje nowenny, swoje pielgrzymki i swoje inne kuglarstwa zaprowadził u siebie świetne porządki, aby obałwaniać robotników; to też stanął na silnych podstawach w ogniskach przemysłowych Francyi i Belgii.

„Księża trzymają tedy robotników za głowę i za brzuch.

„Nienawiść ku księdzu, która wzbiera we warstwie robotniczej i niektórych kołach drobnego mieszczaństwa, jest równie uprawniona, jak gorąca [1].

---

[1] Tamże 459: „L'internationalisme du culte chrétien et la hiérarchisation du clergé firent de la nouvelle religion un terrible instrument d'oppression entre les mains des classes régnantes, qui ont domestiqué les prêtres.

„La bourgeoisie, depuis qu'elle est classe régnante, chante les vertus moralisatrices et civilisatrices du christianisme et subventionne ses prêtres, soit par un budget du culte, comme en France, soit par des libérales donations privées, comme aux États-Unis.

„L'Église catholique, avec ses écoles des frères ignorantins, ses confessionaux, ses neuvaines, ses pèlerinages et ses autres momeries, est supérieurement organisée pour l'abrutissement des ouvriers; aussi la trouve-t-on solidement établie dans les centres industriels de France et de Belgique.

„Les prêtres tiennent ainsi les ouvriers par la tête et par le ventre.

„La haine contre le prêtre, qui fermente dans la classe ouvrière et dans certaines couches de la petite bourgeoisie, est aussi légitime qu'intense.

„Z drugiej strony, zakonnicy i zakonnice zostali przemysłowcami i wyzyskują pracę tak samo, jak mieszczanie. Mnisi oddają się z takim zyskiem wyrobowi wódek, że owo bracie trzeba umrzeć u Trapistów zostało zastąpione przez bracie trzeba czyścić wódkę. Współzawodnictwo przemysłowe zakonników posiało nasienie nienawiści ku księżostwu u mnóstwa mieszczan.

„Siła rzeczy obowiązuje tedy stronnictwo socyalistyczne, żeby zwalczało księży i jako wyzyskiwaczy pieniężnych i jako pachołków u pieniężników".

Na polu dosadnego krasomówstwa nie poszedł za Francuzem Hiszpan. Ognisty ale poważny Iglesias oświadczył, że „przeciw przewadze księżostwa, które pomaga wyzyskiwaczom chętniej albo mniej chętnie, socyaliści muszą robić wszystko, co mogą" [1].

Zakończyć te świadectwa można poglądami Anglika Quelcha, który z zimną krwią dowodzi, że „Kościół, jako społeczeństwo trzyma za ciemnotą i wstecznictwem. Niema niegodziwości, zbrodni zbyt gorszącej, której Kościół nie błogosławiłby i nie uświęciłby, jeżeli ją widział dokonaną ze skutkiem pomyślnym.

„Kościół jest jednym z filarów pieniężnictwa a właściwy obowiązek księży jest to uśpić rozum robotników i przerobić ich na potulnych niewolników płatnych, cierpliwych [2] i zadowol-

---

„D'un autre côté, les religieux et les religieuses sont devenus des industriels et ont exploité le travail, tout comme les bourgeois. Les moines se livrent avec de tels profits à la fabrication des liqueurs alcooliques, que le frère il faut mourir des trappistes a été remplacé par le frère il faut distiller. La concurrence industrielle des couvents a fait germer la haine anticléricale chez nombre de bourgeois.

„La force des choses oblige donc le parti socialiste à combattre les prêtres et parce qu'il sont des exploiteurs capitalistes et parce qu'ils sont les domestiques des capitalistes".

[1] Tamże 2043: „Contre la prépondérance du cléricalisme, qui se trouve l'auxiliaire plus ou moins volontaire de la classe exploiteuse, les socialistes doivent faire tout se qu'ils pouvent".

[2] Tamże 2044: „En tant qu'institution, l'Église tient pour l'obscurantisme et pour la réaction. Il n'est pas d'iniquité, de crime si scandaleux, que l'Église n'ait béni et sacrifié, s'il a été perpétré avec succés.

nionych dolą na tym świecie z otuchą chwalebnej nagrody w przyszłem.

„Póki Kościół trzyma umysł wydziedziczeńców w szponach, póty mało nadziei, że wyzwolimy ich ciała z pod berła pieniężników.

„Żadnego innego stanowiska socyalizm wobec Kościoła zająć nie może, jak tylko wrogie bezwzględnie".

Niejeden zarzut w tych wywodach Kościołowi stawiany, domaga się obszerniejszej odprawy; *Przegląd Powszechny* miał już i będzie miał nieraz sposobne na nią miejsce.

Ks. K. Czaykowski.

„L'Église est un des pilliers du capitalisme et la réélle fonction du clergé est d'endormir l'intelligence des ouvriers et d'en faire de dociles esclaves salariés, patients et contents de leur sort dans ce monde dans l'attende d'une glorieuse rêcompense dans l'autre.

„Tant que l'Église tiendra les esprits des prolétaires dans ses serres, il y a peu d'espoir d'emanciper leur corps de la domination capitaliste. Aucune autre attitude du parti socialiste vis-à-vis de l'Église n'est possible que celle d'une hostilité sans compromission".

TWÓRCZOŚĆ RUDYARDA KIPLINGA.

Dziesięć lat właśnie dobiega od chwili, gdy *Przegląd Powszechny* po raz pierwszy zwrócił uwagę swych czytelników na nową gwiazdę wschodzącą nad literackim horyzontem świata. Zdała się tem bardziej pociągającą, iż błyszczała światłem podwójnem: spokojną jasnością wysączoną z tysiącletniej cywilizacyi wielkobrytańskiej i czarodziejskim blaskiem indyjskiego Wschodu, a zwłaszcza, że przez te dwa światła przebijał promień wybitnej indywidualności, przenikający, szczery i bardzo świeży. W Anglii poznano się na nim od razu; dziwna młodość autora ściągała nań oczy, jako na fenomen. Rudyard Kipling liczył lat kilkanaście, gdy już w r. 1891 wydawał drugą seryę swoich utworów a stary, wytrawny powieściopisarz James dodawał doń w formie przedmowy długą, pochwalną ocenę. Mówił w niej o wielkiej różnorodności talentu autora, o jego dziecięcej śmiałości w chwytaniu zupełnie nowych przedmiotów, zapuszczaniu się w zakątki dotąd przez literaturę nietknięte, podnosił, jako rzecz niewytłumaczoną, jego bystry sąd dojrzałemu wiekowi właściwy. Wtedy już Kipling przedstawiał dla krytyka ponętne a niełatwe zadanie, zmuszając go raz po raz do zaczynaniu na nowo starannie wykończonej pracy a wreszcie do puszczenia jej w bieg z uczuciem niezadowolenia po odkryciu nowych załamków i odcieni, których już niepodobna w sprawozdaniu wykazać. U nas wszakże, dokąd rzeczy wschodnie przychodzą zwykle przez Zachód, był jeszcze bardzo mało znanym,

przeto na razie wskazującego nań w *Przeglądzie* spotkał tylko zarzut, że „jakieś egzotyczne wyciąga przedmioty“...

Obecnie Kipling wzrósł w lata a gwiazda jego tak wypłynęła wysoko, że ją każdy na obu półkulach gołem dostrzega okiem. Pisma jego we wszystkich językach widnieją na półkach księgarskich i szpaltach dzienników, co więcej, znalazł uczniów i, co mniej korzystne, naśladowców. Cechy jego charakterystyczne pozostały też same: ta sama żywość barw, wyrazistość nakreślonych kilku rzutami obrazów, zdolność do wnikania za pierwszem spojrzeniem w jądro rzeczy i duszy człowieka. Ocena Henryka Jamesa mogłaby służyć i dzisiaj, bo lata nie starły świeżej krasy młodzieńczej, tylko nieco zaokrągliły kształty i rozszerzyły zmysł spostrzegawczy. Zwłaszcza dwoistość cechy pozostała taż sama a egzotyczność chyba jeszcze się wzmogła. Urodzony z angielskich rodziców w Bombaju, „u wstępu miasta, pomiędzy palmami a morzem“, wyrósł w otoczeniu różnobarwnych ludzi, w atmosferze walczących ze sobą i przenikających się wzajemnie angielskich i hinduskich obyczajów i pojęć. „Jeżeli ci kto powie, że można żyć tu i nie zturczyć się poniekąd lub nie zbraminić — nie wierz mu“ — pisze sam ze zwykłą szczerością. Istotnie przejął w siebie po trosze coś z europejskiej jak i z azyatyckiej strony, więc choć po angielsku pisze, nie może być liczonym do czysto angielskich pisarzy. Nawet w języku jego, prócz często wtrącanych hinduskich wyrażeń, jest mnóstwo zwrotów miejscowych, rzecby można prowincyonalizmów, gdyby się godziło nazwać prowincyą olbrzymie cesarstwo indyjskie. Podobnie trudno odgadnąć, czy z konfliktu wierzeń Rudyard Kipling wyszedł bez szwanku. Z pism jego widnieje znów mieszanina a raczej chwiejność: często gorąca wiara nawet z odcieniem sympatyi do „matki wszystkich Kościołów“ t. j. do katolicyzmu, jak np. w „Hymnie przed bitwą“, *Hymn before action*, wzywającym pomocy nie tylko Boga ale i Najśw. Panny, której imię i na innych miejscach powraca; czasem rodzaj deizmu graniczącego z negacyą lub (może tylko literacki) odblask trwożliwych zabobonów pogańskich. Temu ostatniemu najmniej się można dziwić; trudno pono żyć długo wpośród obłąkanych

bez doznania pewnego zboczenia umysłu. Sam opowiada, jak w rzezalniach w Chicago doznał mimowolnej grozy, widząc padające pod nożem woły, „bo to przecież bracia czczonej, jako świętość przez Hindusów krowy". Nadto niepodobna mu było wychować się wśród ludzi widzących na każdym kroku duchy, larwy, upiory i wszelkie nadprzyrodzone zjawiska, bez zarażenia się choćby zewnętrzną tylko wrażliwością w tym względzie. Kipling śmieje się głośno z łatwowierności drugich, niemniej przeto wylicza upiory w kształcie nabrzmiałych trupów rzucające się z drzew na przechodniów, mary zmarłych w połogu niewiast, nęcące ludzi na zatratę w życiu i wieczności, duszyczki utopionych niemowląt chwytające po drodze kobiety, aby je wzięły na ręce i, gorsze od tych czysto krajowych strachów, duchy białych ludzi napastujące równie krajowców jak Europejczyków. Dzięki tym zwłaszcza niema miejscowości hinduskiej czy „stacyi" angielskiej, pozbawionej jednego lub kilku domów używających złej sławy a „starsze prowincye literalnie roją się od strachów, których wojska całe maszerują po drogach". Sam autor nigdy podobnego wojska ani nawet pojedynczego upiora nie spotkał, przyznaje wszakże, że „w tej części świata najchłodniejszy umysł dochodzi do wierzenia we wszystko: wierzy w duchy straszące w Gau Muldi, w zmarłych Thakurów, wyłażących z grobów i jeżdżących wkoło Burra Talao w Boondi, chwyta każdą legendę i każdą baśń powstającą samorodnie, jakoby blask zachodu złocący zamarłą świetność Radżastanu". Bez wątpienia każdy niemal Anglik indyjski, zapytany, czy wierzy w „strachy", odpowiedziałby jak pani de Girardin: Nie wierzę, ale się ich boję!

W każdym razie tajemniczość niektórych zjawisk dodaje dużo miejscowego kolorytu do wielkiego obrazu Indyi, w jaki, widziane z pewnej odległości, składają się mniejsze i większe utwory Kiplinga. Indye zaś, to jego prawdziwa ojczyzna, pomimo dumy, z jaką potęgę dalekiej metropolii wysławia, pomimo rzewnej nazwy *Home,* którą jej, jak każdy Anglik w koloniach nadaje. Przyznaje, że nie dobrze pamięta, jak Londyn wygląda; w podróży zaś za Indyami tęskni i wzdycha i raz nawet powiada: „Amerykanie są Amerykanami, Anglicy Anglikami a my

jesteśmy my...“ Słowem, gdy mówi, „nasz kraj“, ma na myśli nie brzegi Tamizy, ale ogrom Hindostanu ze swą gromadą lśniących brylantami książąt i rządzącym nimi osadem Anglików, zostawianym przez przypływającą co roku i odpływającą z Europy falę. Ten osad zaś — wojskowy, urzędniczy i kupiecki, poprzerastany gęsto wyhodowanemi przez siebie jednostkami krajowego żywiołu — to świat rodzinny Kiplinga. Wychodząc z tego punktu widzenia, nie dziw, że opis jego różni się wielce od perfumowanych opisów Loti'ego i innych Francuzów, widzących nad Gangesem tylko stosy pogrzebowe, fakirów i bajadery; że różni się zwłaszcza od stronniczych, jadem zazdrości narodowej przesiąkłych obrazów p. Jocolliot, pełnych prócz tego najniedorzeczniejszych religijnych baśni, świadczących o złej woli, albo nieświadomości sanskrytu.

Ze swojej strony Kipling jest także stronniczym. Wprawdzie krajowiec ziemi indyjskiej wszelkiego szczepu i barwy objętym jest w jego miłości rodzinnego kraju, rozczula się, gdy którego na obczyźnie spotyka, szczyci się indyjską architekturą, indyjską sztuką i indyjskim przemysłem, podziwia urodę mieszkańców, ma nawet dla ich starych bożyszcz sympatyę. Niemniej przeto w oczach jego panowanie Anglii jest dla nich dobrodziejstwem, jedyną nadzieją bytu i siły — czytając przypominają się chwilami rapsody pism niemieckich o cywilizacyjnej akcyi rządu pruskiego w Wielkopolsce. Nie wspomina o przymusowej kulturze opium na olbrzymich obszarach, które obsiane ryżem lub innem zbożem starczyłyby pono na zażegnanie strasznych klęsk głodowych, powtarzających się z tak okropną regularnością i wlokących za sobą niemniej od nich straszną cholerę i dżumę. W cholerze Kipling widzi zwłaszcza utrapienie dla wojska — o dżumie nie mówi wcale. Nie przypuszcza, aby Indya ucywilizowana mogła kiedyś niezależnie istnieć bez Anglików; przewiduje natomiast autonomię podobną do świeżo nadanej Australii, polegającą nie na oddaniu rządów krajowcom, ale osiadłym w Hindostanie Anglikom. Tymczasem mówi, iż rząd centralny obchodzi się z tym krajem, jak z jajkiem, trwożliwie a często nieumiejętnie, bez dostatecznej znajomości sto-

sunków, twierdzi, że znajomość ta zatarła się nawet poniekąd w Kalkucie i Bombaju, gdzie przewaga oświaty i żywiołu europejskiego nastraja do lekceważenia potrzeb lub niebezpieczeństw olbrzymiej reszty cesarstwa. Wszelkie próby rządzenia niem przez krajowców wyśmiewa, jako sielankę i mrzonkę, dając za powód nienawiści rasowe istniejące między dzielnicami. Przytacza np. w obrazku *The Head of the district* (Naczelnik okręgu), który nie na wymyśloną powiastkę wygląda, dzieje nominacyi krajowca na gubernatora t. zw. Czerwonych Prowincyi nad brzegami Hindusu. Nowy dygnitarz miał dzielnie zdobyte stopnie uniwersyteckie, angielskie szlachectwo, order i doświadczenie kilkoletniego świetnego zarządu południowym Bengalem, niemniej przeto, dlatego, że był Bengalczykiem, wyniesienie jego wznieciło bunt, który go zmusił do śpiesznej ucieczki a władze angielskie do krwawej represyi.

Przeciw używaniu krajowców do pomniejszych usług publicznych autor nie protestuje, choć im nie bardzo dowierza. Z pomiędzy nich woli mieć do czynienia z mahometaninem; „Hindus bowiem — powiada — jest bardzo dobrym człowiekiem, tylko... że się nigdy nie wie, co się w sercu jego kryje“. Kilkakroć nazywa Indyę krajem kłamców — jest to zwykły zarzut zwycięzców wobec zwyciężonych. Zdaniem jego, ustawiczna skarga Hindusa: *garib admi* (jestem biedny), jest zasłoną ukrywającą przed angielskim fiskusem istotne bogactwo kraju, mogącego, gdyby go przycisnąć, wydać z siebie bez porównania więcej pracy i mienia. Porównuje nieśmiałą oględność swego rządu z twardem, nieraz nielitościwem władaniem niezależnych państw indyjskich, których królowie i książęta umieją miliony z ludu swego wyciskać. Na próżno nieraz przydany im do boku anioł stróż, t. j. „polityczny ajent“ angielski usiłuje ulżyć losowi poddanych, tamuje chciwość lub rozrzutność władcy; ten za pomocą przebiegłych ministrów umie zręcznie go podejść, czego wynik bywa następujący: lud umiera z głodu, Maharadża z jednej strony tonie w długach a z drugiej dodaje za parę milionów kosztowności do dynastycznego skarbca, podczas gdy ajent angielski rwie bezsilnie resztki czupryny, której nie wy-

paliło mu słońce. Nie zawsze wprawdzie jest tak źle. Kipling wymienia władcę Dżodpuru, którego minister, książę i baronet, Pertrab Singh, znany dobrze w salonach londyńskich, umiał poskromić rozboje i znaczny dług państwowy zamienić na jeszcze znaczniejsze i rok w rok wzrastające dochody. W tym samym Dżodpurze atoli, gdzie kobiety w lecie musiały o 12 mil ang. chodzić po wodę, Anglik Stephenson musiał zwalczyć zacięty opór mieszkańców, aby zbudować kanał napełniający ustawicznie ich stawy. Nie mówiąc o włóczęgach i awanturnikach, „Anglicy pracujący w niezależnych państwach hinduskich, są — mówi autor — jako kasta niezmiernie interesujący...“ (Jako znamię kasty uważa znak od brzegu kapelusza wyciśnity na czole). Po pierwsze ci, którzy wytrzymali i wyżyli, muszą z natury rzeczy być najzdolniejszymi do dzieła, bo choć tu i owdzie znajdzie się jeden skarżący się gorzko, że żyje w pustkowiu, jak zwierz na łańcuchu, to większość kasty jest szczerze i uczciwie przywiązaną do swojej pracy, kocha otaczający ją kraj i ludzi, wśród których się obraca“. Tacy mają zawsze pełno roboty przed sobą, nie mają czasu na plotki i nie oglądają się na Simlę — anglo-indyjski Paryż. Co więcej, nie potrzebują się oglądać na rząd angielski, ani na wiszący wciąż nad głową urzędnika Damoklesowy miecz przeniesienia w jaką odległą prowincyę; mogą więc swoje plany, myśli a nawet rozmowy zamknąć w obrębie państwa, któremu służą. „Z ich rozmów zaś wiele nauczyć się można, dosłyszeć pełno rzeczy ciekawych, pełno zabawnych i zdumiewających. Słyszy się o ludziach, którzy „poślubili“ to lub owo biedne, zubożałe państwo, tak jak się poślubia żonę na dobrą i złą dolę[1] — i wiedzeni jakimś niepojętym ideałem cnoty, poświęcają w całem słowa znaczeniu życie swoje dobru owego państwa, służąc mu w prostocie i uczciwości serca. Niema ich wprawdzie wielu, ale niektórzy istnieją i imiona ich głośne są w krajach, dokąd nigdy nie jeżdżą podróżujący Anglicy. Słyszy się opowiadania o siwych dyplomatach, radżputańskich Machiawelach, którzy roztoczyli ogromy

[1] Słowa z rytuału ślubnego angielskiego.

przebiegłości i własną chytrość przeciwstawili chytrości, by zniweczywszy całe piekło intryg, umożliwić plan mający wnieść grosze do zwątlonego skarbu lub zmniejszyć ciężary kilkuset tysiącom ludzi albo też — bo i to jest możebnem — obu tych rzeczy dokonać zarazem. Dziesiąta część łożonego na ten cel wysiłku, gdyby ją na własną użyli korzyść byłaby ich niechybnie doprowadziła daleko.

„Zapewne owa kasta ludzi nosząca znak kapelusza, jest dziwnym narodem: jest ich tak mało a są tak samotni i silni! Osiedleni na jednem miejscu przez długie lata mogą oglądać dzieła rąk swoich, widzieć pomysły swoje wprowadzone w życie rzeczywiste i dobroczynne, przynoszące korzyści tysiącom. Swobodniejsi od bezpośrednich sług rządu[1] indyjskiego a pracujący na daleko obszerniejszem polu, wydają się być rasą wyższą i umysłowo szerszą, a to niemało powiedzieć.

„Niech wszelako tamci — drobny ludek skrępowany, dozorowany, ściśle ograniczony i obciążony podatkiem osobisto-dochodowym nie traci z pamięci, iż owi ‚naznaczeni kapeluszem', są upośledzeni co do sklepów. Jeśli potrzebują krawatki muszą ją sprowadzać z Bombaju, w porze deszczowej nie mogą prawie ruszyć się z mieszkania, nie mają zabaw żadnych, muszą o dzień drogi jechać koleją na partyę wista, pić wodę bardzo wątpliwej zawartości i żyć w kraju, gdzie na dziesięć tysięcy mil kwadratowych jest zaledwie jedna biała kobieta. Koniec końców — choćby względna cywilizacya ma swoje dobre strony..."

Powyższy ustęp, do charakterystyki autora może nieco zbyt długi, odsłania ważny kąt duszy człowieka, stronę heroiczną usposobienia, przebijającą w wielu jego utworach pod warstwą koszarowych żartów lub leśnej poezyi puszcz. Rys ten stoi w sprzeczności z egoizmem narodowym, objawianym na innych miejscach tak w sprawach indyjskich, jak i w stosunkach Anglii z innemi krajami np. w czasie walki z Boerami a dosięgającym zenitu w pobożnem życzeniu, by kiedyś cały

[1] Kipling wyraz rząd pisze zawsze przez duże R.

świat powiązany kolejami i telegrafami módz ująć w żelazną obręcz panowania wielkiej Brytanii!

Kipling pisał a raczej pisze wierszem i prozą: z poezyi mamy przed oczami dwa tomy zatytułowane: *The seven seas* (Siedm mórz) z r. 1897 i *Barrack-room ballads,* pieśni żołnierskie, literalnie „Ballady koszarowe“ (1900). Lepiej się z nimi odrazu załatwić, o ile bowiem znaczna część prozaicznych utworów jego może być nazwana nierymowaną poezyą, o tyle większość wierszy jest... rymowaną, i to bardzo swobodnie rymowaną prozą. Niektóre z nich są pokłonem oddanym ojczyźnie, inne noszą nazwę ballady chyba dla tego jedynie, że nie wiedziano, jak je inaczej nazwać, z wielu bije egzotyczność tak jaskrawa, że ich nie łatwo zrozumieć. Prawdopodobnie zawierają wiele żołnierskiej gwary i śpiewane chórem w koszarach lub w obozie, mogą mieć urok niezmierny; dla nas wszakże — krom kilku — mogłyby nie istnieć bez uszczerbku dla chwały autora. Żołnierze prawdopodobnie są przeciwnego zdania; nie dziw, że Kipling wyszedł dla nich z właściwej sobie drogi pisania, jeżeli bowiem żywi litość dla rozrzuconych po Hindustanie członków administracyi anglo-indyjskiej, to wojskowych, tak oficerów jak i prostych żołdaków, całem sercem miłuje. Skarży słusznie na lekceważenie a często i niechęć objawianą w czasie pokoju tym, którzy za pierwszym cieniem niebezpieczeństwa staną się nagle w tychże samych ustach „bohaterami“, „osłoną kraju“, „męczennikami obowiązku“ i „chwałą ojczyzny“ — zwykły *Tommy*[1] zaś nie zasługuje najczęściej *ni cet excès d'honneur, ni cette indignité.*

O duchowieństwie wszelkiej barwy wyraża się z pewnem dobrodusznem lekceważeniem, lub najczęściej ostrożnie zamilcza. Jeszcze o katolickiem, uosobionem w ukazywanym parękroć typie O. Wiktora korzystniejsze ma wyobrażenie pod względem wprawy i zręczności w niesieniu bliźnim pomocy; mówi, iż Kościół nasz uczy swych synów trafiać do serc przez ciała.

[1] *Thomas Atkins* lub samo zdrobniale *Tommy* jest generyczną nazwą, dawaną żartobliwie prostym żołnierzom angielskim, podobnie jak u nas Bartek.

Zresztą ukazuje zawsze księdza i pastora, pracujących obok siebie w najlepszej zgodzie. Wogóle mało jest u niego obmowy, a już jadu żadnego, bo za taki uważać nie można dziecinnego niemal wstrętu do Chińczyków lub żartobliwej antypatyi do podróżujących dla podróży, których nazywa *globetrotters*. Gniewa go ich szablonowe zwiedzanie ciekawości, ich niedorzeczne zakupna towarów wschodnich fabrykacyi europejskiej a nadewszystko ich apodyktyczne sądy o ludziach i rzeczach widzianych tylko w przelocie. Na tem jednak kończy się złośliwość Kiplinga.

O jego moralności można sumiennie powiedzieć, że jest zupełna i szczera. Należy do niezbyt dziś licznej gromady autorów szanujących czystość swego pióra, a choć czasem przychodzi mu dotknąć śliskiego przedmiotu, czyni to z oględnością, za którą mu czytelnik jest wdzięczny, tem bardziej, że wobec oryginalności i przedziwnego sprytu, nikomu nie może przyjść na myśl oskarżyć go o staropanieńską drażliwość. Czuć, że każdy brud jest mu wstrętny i że się doń niewiele przybliżał. Co prawda, w jednym ze swych utworów, *Thrown away* (Zmarnowany) opisuje zatratę chłopca puszczonego samotnie w świat po ścisłem wychowaniu domowem, które nazywa systemem uchronnym. „Pozwólcie szczenięciu — mówi — polizać buty i skosztować mydła w pralni, a sam się przekona, że czernidło nie jest do jedzenia i że po mydle dostanie boleści". On sam jednak widocznie mało się w życiu „czernidła" dotykał. Opowiada mianowicie, że w Hongkong[1] namówiono go, jako korespondenta dziennika *Pioneer*, do zwiedzenia kilku nocnych szynków rozmaitego kalibru. Poszedł i odniósł wrażenie bezgranicznego smutku i wstydu: „Mówią o sobie, że są w e s e l i — pisze przy końcu — aby jednak grozę ironii tego wyrazu zrozumieć, trzeba go z ust ich, w pośród ich otoczenia usłyszeć... już niema piekła dla nich na tamtym świecie — oni je mają w tem życiu, a ja przez to piekło przeszedłem"... I dalej znów: „Widziałem, com chciał zobaczyć, i odtąd będę przechodził

[1] *From sea to sea* str. 261 i 266.

mimo [1]. Być może, iż w San Francisco lub innych miastach szampan lepszy i lepiej go umieją pić; rozmowy wszakże będą wszędzie podobne i wszędzie aż po koniec świata będzie to samo zjełczenie i ta sama stęchlizna. Jeżeli to ma być życie — dajcie mi raczej trochę uczciwej śmierci bez trunków i bez brudnych żartów. Z jakiejkolwiek strony na nie patrzeć — nędzne to widowisko, źle odegrane i zbyt blizkie tragedyi, by módz sprawiać przyjemność, a choć zdaje się bawić młodych ludzi, wędrujących po świecie, nie wierzę, iżby im mogło być pożytecznem, chyba że ich nauczy... więcej kochać własny dom rodzinny.

„Mój grzech był cięższy. Nie porwała mnie namiętność, poszedłem chłodno zrobić sprawozdanie z tego *Inferno*, zmierzyć bezmiar nędz życia. Za lichy zysk 30 dolarów nabyłem wiadomości i obrzydzenia więcej, niż mi było potrzeba... Mój grzech był cięższy. Gdy napowrót wyszedłem na świat, byłem rad, iż mgła rozpostarła się pomiędzy niebem a mną“...

Dzięki temu uczciwemu uczuciu, a raczej bystremu zmysłowi prawdy, dostrzegającemu tylko woń zgnilizny wśród grzechu, może znaczna większość utworów Kiplinga być daną w ręce młodzieży, która — jeśli jest dość wyrobioną, aby je ocenić, ujrzy w nich żywe zaprzeczenie kursującego po ulicach mniemania, jako pisma trzymane w tonie przyzwoitym muszą być blade i mdłe. Zauważyć przytem należy, iż Kipling rzadko kiedy wprowadza nas na salony; częściej już przesiadujemy w koszarowym dziedzińcu lub w kantynie: lecz i tu urządza się jak Defregger, który umiał tak paradnie karczemne odmalować sceny, nie plamiąc nigdzie szlachetności swego pendzla.

W czasach, gdy James pisał swoją krytykę, można było działalność Kiplinga podzielić na trzy rodzaje: 1) obrazki tyczące życia krajowców, 2) anglo-indyjskie społeczne studya z świata urzędowego i wojskowego, typy sportowych dam z Simli, polujących na męża lub admiratora, 3) momenta z życia prostych żołnierzy, kreślone z szaloną rzutkością i talentem. Do

[1] Aluzya do Dantejskiego: *Guarda e passa.*

tych trzech obecnie przybyła grupa czwarta, dwa tomy ślicznych „Ksiąg Dżungli", istnych poematów przyrody, mieszczących wśród bogatych bujań wyobraźni niejedną myśl głębszą a subtelną. Prócz tych istnieją krótsze poemaciki tego rodzaju rozrzucone po innych tomach; podział bowiem, jakiśmy tu uczynili, istnieje tylko w głowie krytyków. Autor podaje snopy swych kwiatów, nie dzieląc ich według barw ni gatunku, ale wiążąc pod ogólne a małomowne tytuły, jak: *Tales from the hills* (Powieści z gór), *Mine own People* (Moi), *Soldiers Three* (Trzej żołnierze), *Many Inventions* (Różne wymysły), *The Story of the Gadsbys* (Dzieje rodziny Gadsby), *The Naulahka, The Phantom Rickshaw, The Jungle book, The second Jungle book, Stalky et Co; Captain Courageons, The days work, A fleet in being;* wiersze: *Barrack room ballads* i *The seven seas* (Siedm mórz), a wreszcie dwa tomy nieocenionych listów z podróży *From sea to sea* (Od morza do morza) Po sprawiedliwości należałoby dodać kilkoletni materyał codziennej dziennikarskiej pracy, a mielibyśmy przed sobą obraz umysłowej twórczości, jaką w naszych czasach nie często może się poszczycić autor dochodzący ledwo lat trzydziestu kilku!

Rudyard Kipling — o ile wolno wierzyć twierdzeniom poety — mało bardzo w swoich powiastkach hinduskich własnej wyobraźni zawdzięcza. Czerpie je a raczej tu i ówdzie chwyta w lot z ust krajowców i rzuca na papier we własne, żywe słowa ubrane. Jest przytem rzecz dowiedziona, że w rzeczach doczesnych, podobnie jak w rzeczach duchowych, „kto szuka, ten znajduje", co się tłumaczy faktem, iż zbieracz czy to sztychów czy autografów, czy też powieści, ma wytężone zmysły w kierunku ulubionego przedmiotu i dostrzega go tam, gdzie byłby uszedł uwagi obojętnego człowieka. Być może więc, że niejeden *sahib* słyszał w Indyach te same co Kipling historye, spotykał te same postacie, a nie słuchał, nie patrzał i zwłaszcza nie umiał, jak on, powtórzyć.

Mówiliśmy, iż każdy niemal utwór Kiplinga jest nierymowanym poemacikiem. Jest nim niezaprzeczenie monolog pełen

siły grozy *In flood time* (W czasie powodzi), gdzie podróżujący młody *sahib* zatrzymany jest noc całą nad wezbraną rzeką Bahrwi w chacie strażnika brodu. Strażnik, chcąc go przekonać o niemożliwości przebycia, posyła swego słonia do wody, ale słoń, choć mu pilno dostać się na przeciwny brzeg, bo tam towarzysza (też słonia) zostawił — daje mu tylko znać rykiem, że przejść nie może, i poważnie wraca do stajni. Wtedy stary strażnik opowiada dawne wspomnienie z czasu powodzi, o której będą zawsze pisały dzieje. Chciał o zmroku dostać się do wsi przeciwległej tajemnie, bo się zalecał do młodej wdowy mahometanki, której ojciec nie byłby przypuścił Hindusa. Wiedział przytem, że jej grozi inny konkurent ze szczepu Sikhów, a to niedobry szczep... Więc puścił się wieczorem przez rzekę, chcąc dotrzeć do blizkiej mielizny, ale niebo nagle się ściemniło, woda jęła „pulsować", a gdy dotarł, mielizny już nie było znaku. Natomiast szeroka fala na trzy stóp wysoka, porwała go i niosła, niosła wśród ulewy, ciemności i ryku tonących zwierząt. Nareszcie uderzyła nim o most kolejowy, nie o sam most, ale wyżej, o kratę żelazną, bo rzeka była ponad szyny wyrosła, a on uczepił się kraty i wydrapał na szeroką sztabę, patrząc, gdy chmury kilka gwiazd odsłoniły, na zawikłane w kracie rogami bawoły i sarny, na moc drobnego zwierza przepychaną przez otwory i unoszoną w dal. Naraz poczuł, że most wraz z nim się kręci: to słup środkowy poruszył się na kamiennych posadach i runął w głąb... Wtedy Hindus stracił przytomność, a gdy przyszedł do siebie, leżał na wznak na fali i zdało mu się, że prócz tej czarnej, zbałwanionej wody już nic nie zostało na świecie. Pod ręką wszakże uczuł coś włochatego, miękkiego — była to głowa topielca. Musiał już od dwóch dni nie żyć, bo płynął na samej powierzchni, więc tonący nie puścił włosów i tak podtrzymany, dał się wraz ze swym martwym zbawcą unosić, aż wreszcie chwycony bocznym prądem, poczuł nad sobą gałęzie, pod sobą kłosy i spuszczając nogi, znalazł grunt stały. Wtedy wydrapał się na wywyższenie, ciągnąc za sobą przez wdzięczność niemego towarzysza, by mu się stosem pogrzebowym wywdzięczyć.

...Niepodobna opisu tego czytać bez dreszczu — szkoda jednak, że Kipling nie urwał tu opowiadania, dalszy epizod bowiem jest zbyt melodramatyczno-młodzieńczy: woda zaniosła strażnika wprost do ogrodu uwielbionej, a gdy ta chce również przez wdzięczność spojrzeć w twarz dobroczynnego nieboszczyka, poznaje w nim swego drugiego konkurenta, czarnobrodego Sikha! Sam koniec jest znów ładny, a zresztą u Kiplinga nie trzeba zawsze szukać fabuły, bo tej jest stosunkowo nie wiele, tylko sposób odmalowania każdej rzeczy, cieniowanie farb wesołych i groźnych, a niekiedy mieszanie ich pospołu przyciąga wzrok i przykuwa.

Do powieści „krajowych“ należy bezsprzecznie zaliczyć historye o słoniach. Wprawdzie słoń to zwierzę, ale zwierzę przemądre, wplecione w życie białych i ciemnych ludzi Hindustanu. Ciągnie armaty, karczuje lasy, przenosi ludzi przez rzeki, nosi wodę i drwa, pilnuje dzieci, jest zazwyczaj swego *mahout'a* pomocnikiem, przyjacielem, cierpliwym sługą lub tyranem. Nie dziw, iż pisząc o słoniach, każdy, kto z nimi był w zażyłości, wpada w ton wesoły a czuły, trochę — nie przymierzając — jak kiedy się pisze o dzieciach. Pod tym względem Kipling nie różni się od swoich współbraci, choć opowiada mniej faktów od Jacolliot'a, i tylko takie, które słyszał od wiarygodnych ludzi. Można zatem mu wierzyć, gdy twierdzi, że Moti Gudż[1] był słoniem wyjątkowym, który w każdem samodzielnem państwie byłby własnością maharadży i paradował w królewskim orszaku, ale że go los postawił pod rządem angielskim, pozostał w wyłącznem posiadaniu swojego mahouta, który się z nim wynajmował do pracy w plantacyach. Disa, a raczej Moti Gudż zarabiał dużo, a gdy przychodził dzień wypłaty, człowiek upijał się i bił drągiem co się zmieści, po najczulszej części słoniowego ciała, t. j. po końcach jego przednich nóg. Moti znosił bicie i nie miażdżył mahouta, bo wiedział, że po biciu nastąpią pieszczoty i wódka. Lubił pasyami arak, ale w braku czego innego, pił i palmową gorzałkę. Pewnego roku Disa wynajął się

[1] Literalnie: Perła słoni.

do karczowania lasu pod plantacyę kawy; robota szła raźno, po pewnym czasie jednak przyszedł z prośbą do właściciela plantacyi:

— Proszę o urlop — rzekł — matka mi umarła.

— Matka? Ale już umarła przeszłego roku, gdyś był na innej plantacyi.

— Wszystkie moje żony dostały cholery!

— Ależ on nie żonaty — wtrącił ktoś z jego wioski. — Którażby go chciała? Wolałaby słonia.

— A więc już powiem prawdę. Chciałbym porządnie się upić, a na to potrzebuję dziesięciu dni.

— Dobrze więc. Idź, ale niech twój słoń zostanie.

Na to Disa uszczęśliwiony zawołał Moti Gudża, który natychmiast wysunął się z pomiędzy drzew, gdzie był zajęty obrzucaniem całej swojej osoby kurzem.

— Jasności mego serca, opiekunie pijanych, góro potęgi, słuchaj! — rzekł Disa, stając przed nim. Moti Gudż salutował trąbą i słuchał.

— Odchodzę stąd — rzekł Disa. Oczy słonia zaświeciły; lubił „bumlerki“ na równi ze swoim panem. Tyle dobrych rzeczy można było wtedy urwać po drodze!

— Ale ty, głupi stary wieprzu, musisz zostać i pracować. — Światło w oczach słonia przygasło, choć usiłował wyglądać uradowany. Nienawidził karczowania, szkodziło mu na zęby. — Nie będzie mnie przez dziesięć dni — mówił dalej Disa. — Wysuń nogę, a wrażę ci to w pamięć, ty porosła brodawkami ropucho! — Wziął pal od namiotu i dziesięć razy uderzył. Moti mruczał i przestąpywał z nogi na nogę. — Przez dziesięć dni będziesz pracował, będziesz wyciągał i wykorzeniał drzewa, tak, jak ci tu obecny Czihun rozkaże. Weź Czihuna i posadź sobie na kark! — Moti Gudż zakręcił koniec trąby, Czihun postawił nań nogę, zaczem został uniesiony w górę i posadzony na karku. Disa podał mu ciężki *ankus* — żelazny pręt, używany na słonie. Czihun palnął w łysą głowę słonia, niby kilofem w bruk. Moti Gudż zatrąbił.

— Cicho bądź, ty leśna świnio. Czihun jest twoim ma-

houtem na dziesięć dni. A teraz pożegnaj się ze mną, moja serdeczna bestyjko. O mój panie! mój królu! klejnocie między słoniami! lilic stada! strzeż szanownego zdrowia, bądź cnotliwym. Bywaj zdrów! — Moti Gudż okręcił trąbę wkoło Disy i podniósł go dwa razy w powietrze. Był to jego sposób żegnania się. — Teraz już będzie pracował — rzekł Disa i poszedł. Naznaczone dziesieć dni minęło, słoń pracował posłusznie. Jedenastego z rana Disy nie było, to też, gdy go spuszczono z uwięzi, Moti zamiast iść do roboty, obejrzał się, ruszył ramionami i poszedł. Czihun wołał go, groził, nawet pobiegł za nim i schwytał go sznurem, ale słoń spuścił naprzód uszy i ryknął; trzeba było go puścić. „Wtedy Moti Gudż z gałęzią w zębach nakształt zębodłubka jął przechadzać się po porębie, natrząsając się z pracujących słoni". Właściciela plantacyi, który go naszedł z batem, wpędził cwałem na werandę, a dwóch słoni, posłanych aby mu łańcuchami udzieliły nauczki, nastraszył tak, iż jeden uciekł, a drugi zaczął udawać, że się tylko chciał łańcuchem zabawić. Wtedy już uznano, że niema rady i Moti wrócił inspektować porębę. W rzeczywistości niema sposobu na nieuwiązanego słonia, gdy nie chce pracować. Moti klepał po grzbiecie starych przyjaciół, zapytując, czy pnie łatwo wychodzą, plótł absurda o pracy i niezbitych prawach słoni do długiego odpoczynku w południe, i łażąc tu i tam, do szczętu zdezorganizował całą dzienną robotę. O zachodzie słońca przyszedł, jak zawsze, upomnieć się o swoją porcyę. „Nie chcesz pracować, więc nie będziesz jadł — rzekł Czihun gniewnie. — Jesteś dzikim słoniem, a nie żadnem wychowanem zwierzęciem. Wracaj do dżungli!"

W tej chwili dziecko Czihuna przewracało się u wrót namiotu, wyciągając tłuste rączki. Moti zaś wiedział, że Czihun nie ma nic droższego na świecie, więc wystawił trąbę kusząco, a gdy malec z krzykiem radości ją chwytał, podniósł go nagle i jął trzymać w górze o dwadzieścia stóp ponad głową ojca. Wtedy już Czihun wdał się w pokorę i prośby, przyrzekł nawet dodać 200 funtów trzciny cukrowej do zwykłego obroku, a na to słoń położył sobie dziecko między przednie łapy i czekał.

Gdy zjadł, dozwolił małemu wypełznąć, a sam zdrzemnął się, dumając o swoim panu. Słonie bardzo mało potrzebują snu, cztery do pięciu godzin najwyżej, a przez resztę czasu jedzą lub kręcą się, mrucząc.

O świcie Disa powrócił. Trafił był na wesele i wśród uciechy prześlepił dzień. Wrócił bardzo niespokojny, bo znał usposobienie Motiego, to też odetchnął, widząc, że dom i plantacye jeszcze całe. Moti poszedł był na śniadanie.

— Zawołaj twoje bydlę — rzekł plantator, i Disa zakrzyknął coś w tej tajemniczej mowie słoniów, o której mahouci mówią, że przyszła z Chin przy początku świata, gdy słonie panowały, a nie ludzie. Słoń nie galopuje nigdy; porusza się z dowolną szybkością. Gdyby słoń chciał doścignąć pociąg pospieszny, nie mógłby galopować, aleby pociąg doścignął — to też Moti Gudż już był u drzwi plantatora, zanim Czihun spostrzegł, że odszedł. Rzucił się w objęcia Disy, trąbiąc z radości i oboje, człowiek i zwierzę, płakali, obmacując się wzajemnie od stóp do głowy, czy się któremu nie stało co złego.

— A teraz pójdziemy pracować — rzekł Disa. — Podnieś mój synu i pociecho moja!“

Moti Gudż podniósł go, i oboje poszli na porębę wyszukiwać najcięższych pni do wyrwania. Plantator patrzał, nadto zdziwiony, aby się módz gniewać.

Po słoniu — *à tout seigneur, tout honneur* — należy się miejsce hinduskiemu radży czyli królowi. Jest to wprawdzie bardzo nieznany i drobny królik, a jego państwo umieszczone bardzo daleko, ale snadź więksi i bliżsi władcy Hindustanu, których dwory, nam Europejczykom wydają się czemś bajecznem, wyjętem z dekoracyi teatru — są dla człowieka urodzonego w Indyi prawdziwymi władcami, o których za ich życia nie godzi się pisać powiastek. Dwa razy tylko odstąpił Kipling od swojej zasady: przy opisie dworu maharadży w dłuższej powieści *Naulahka,* i tu, w drobniejszym szkicu, noszącym tytuł: *Namgay Doola:*

Był to, jak mówiliśmy, bardzo drobny władca. „Królestwo jego położone głęboko w Himalajach, na drodze do Tybetu, wznosiło się o 11 000 stóp nad powierzchnią morza a rozciągało

wszerz i wzdłuż na 4 mile angielskie. Mile te wszakże stały przeważnie sztorcem, zważywszy górzystość kraju. Intraty jego nie dochodziły 400 ft. rocznie, i szły na utrzymanie jednego słonia i stałego wojska, liczącego 5 ludzi. Był on lennikiem rządu indyjskiego, który mu udzielał pewną sumę rocznie za utrzymywanie części gościńca himalajsko-tybetańskiego. Nadto powiększał swoje dochody, sprzedając drzewo towarzystwom kolejowym w ten sposób, że rąbał we własnym lesie wielkie deodary, które toczyły się z hukiem do rzeki Sutleju i uniesione o 300 mil w doliny, zamieniały się w progi pod szyny. Od czasu do czasu ów król wsiadał na jabłkowitego rumaka i jechał kopy mil aż do Simli, aby z wicegubernatorem konferować o sprawach państwa, albo zapewnić wicekróla, iż jego szabla jest wciąż na rozkazy cesarzowej gotowa. Wtedy wicekról kazał uderzać w bębny, poczem jabłkowity rumak i kawalerya królewska (dwóch ludzi w łachmanach), oraz herold niosący srebrną laskę przed królem powracali kłusikiem do swojej stolicy umieszczonej pomiędzy ciemnym lasem brzozowym a podnóżem sterczącego po same niebo lodowca.

Od takiego tedy króla, nie zapominającego nigdy, że posiada prawdziwego słonia i może rodowód swój wykazać na 1200 lat wzwyż, mogłem się tylko — skoro mnie los zagnał w jego ziemie — spodziewać pozwolenia... na życie.

Noc była zapadła dżdżysta, a światła wiosek doliny zasłoniły toczące się chmury. O 40 mil nietknięty chmurą ni burzą biały grzbiet Donga Pa — Góra Rady Bogów — podpierał gwiazdę wieczorną. Małpki podśpiewywały jedne do drugich bardzo żałośnie, szukając suchych korzonków do pniach wrzosem odzianych a ostatni powiew dziennego wiatru niósł od zasłoniętych wiosek zapach drzewnego dymu, gorącego ciasta, mokrych zarośli i spróchniałych szyszek. To jest prawdziwa woń Himalajów, a jeźli raz wejdzie w krew człowieka, to w końcu zapominając reszty świata, powróci do gór, by umierać. Chmury złączyły się, woń minęła i wkoło nie pozostało nic prócz zimnej mgły i grzmotu wód Sutleju.

Owca o pasionym ogonie, której widocznie życie było miłe,

zabeczała żałośnie u wrót namiotu. Szamotała się z pierwszym ministrem i z najwyższym naczelnikiem oświaty: był to królewski dar dla mnie i dla mej obozowej służby. Wyraziłem jak przystało podziękowanie i zapytałem, czybym mógł mieć audyencyę u króla. Pierwszy minister poprawił na głowie turban, który był spadł wpośród walki i zapewnił, że król będzie bardzo rad mnie przyjąć. Wyprawiłem tedy dwie butelki na przedsmak, poczem gdy owca dostąpiła nowej inkarnacyi, wdrapałem się wśród deszczu do królewskiego pałacu. Posłał mi był wojsko dla eskorty, ale się zatrzymało, gawędząc z moim kucharzem. Żołnierze są na całym świecie jednacy.

Pałac był budynkiem czworobocznym z drzewa i gliny, bielony na zewnątrz. O cały dzień drogi w Himalajach nie było tak pięknego domu. Król był odziany w aksamitny fioletowy kaftan, białe muślinowe spodnie i szafranowy, bardzo cenny turban. Przyjął mnie w pokoiku wyłożonym dywanami i wychodzącym na pałacowy dziedziniec, zajmowany przez państwowego słonia. Ogromny zwierz stał obwiązany i obwieszony od ogona po uszy, a zaokrąglenie jego grzbietu rysowało się, jak góra na niebie. Pierwszy minister i główny dyrektor oświaty obecni byli przy audyencyi, resztę dworu oddalono, by owe wyż wymienione butelki nie wpłynęły zgubnie na ich obyczaje. Gdym się skłaniał, król zarzucił mi na szyję wieniec z ciężkich, pachnących kwiatów i zapytał, jak szczęści się zdrowiu mojej czcigodnej obecności...“

Zaczyna się rozmowa symboliczno-ceremonialna, która wszakże przy butelkach schodzi wkrótce na tor wcale ludzki. Król żali się, że mu towarzystwa kolejowe źle płacą, że zbiór kukurydzy przepadł i że, co gorsza, jeden z poddanych, „obcokrajowiec“ na jego ziemi osiadły, odmawia posłuszeństwa i podatku. Zapytany, czemu go nie każe uwięzić, odpowiada, że po jedynej w swojem życiu chorobie ślubował, jako nigdy nikogo nie pozbawi wolności i słońca, a ślubu dotrzymać trzeba. Gdyby chodziło o proste ucięcie ręki lub nogi, nie wahałbym się, choć i tego nie wolno od czasu, jak rządzą Anglicy. Ten lub ów z moich poddanych — tu spojrzał chyłkiem na obu ministrów —

napisałby zaraz do wicekróla a wtedy mógłbym owo bicie w bębny utracić... Dawniej byłbym tego zuchwalca kazał słoniowi zdeptać, ale dziś musiałbym go do sądu o 70 mil przez góry posyłać a utrzymanie jego ciążyłoby przez cały czas na moim skarbie, i tak już słoń zjada wszystko... Zresztą ów obcokrajowiec ma ważną zaletę: nikt jak on nie umie rozepchać zatoru z drzew, gdy się przy spławianiu utworzy na rzece. Byłby nieocenionym gdyby chciał płacić daninę, $^1/_8$ zbiorów, jak inni, i odrabiać szarwark na drodze a nie robić ludziom psikusów. Raz już wysłano na niego wojsko, ale żadna strzelba nie chciała wypalić, a gdy trzem porozbijał łby, reszta uciekła. Król zatem byłby bardzo wdzięczny, gdyby Sahib zechciał winowajcę upomnieć...

Nazajutrz z rana rozległ się krzyk, że się zator tworzy i opowiadający Anglik przyszedłszy nad rzekę, ujrzał stos olbrzymich pni zahaczonych o odłam skały, uderzających o głaz z wielkim zgrzytem i hukiem wśród gniewnie spienionych fal rzeki. Gromada górali mocowała się próżno, aż na wołanie: Namgay Dula! Namgay Dula! przybiegł wysoki chłop o śmiejących oczach i ognisto-ryżej czuprynie, dziwnej, bo na wiele mil wkoło nikt rudego włosa nie widział. Ten wylazł po balach na kraniec zatoru i zręcznem podźwignięciem końca jednego pnia, utorował innym drogę w dół rzeki. Gdy wrócił na brzeg powitany okrzykiem radości, autora uderzyły jego rysy wręcz niepodobne do otaczających krajowców; przemówił doń i przez zapomnienie odchodząc podał mu rękę, którą Namgay Dula uścisnął, czego nie byłby żaden krajowiec ani Tybetanin uczynił.

Tego dnia jednak nowe skargi wpłynęły na niego do króla: posłać doń kapłana nie było warto, bo mówiono, że do własnego osobnego Boga się modli, więc Anglik uproszony zawezwał go wieczorem do swego namiotu i począł napominać. Ale Namgay wykręcił się zwracając rozmowę na niedźwiedzia buszującego w sąsiedniem polu maku, a gdy odszedł Anglik słyszał go nucącego jakąś dziwnie znaną piosenkę, której wyrazów wszakże nie mógł zrozumieć. Równocześnie jednak spostrzegł, że mu ktoś kawał aksamitu z nakrywki od aparatu fotograficznego odkroił ukradkiem. W parę godzin potem wyszedłszy na pole

usłyszał w pobliżu ryk krowy, jednej z himalajskich krówek nie większych od dużego psa i po chwili przemknęły się blizko niego dwie postacie duże i mała z zasłoniętemi czemś czarnem twarzami i jaskrawo-rudym zarostem. Nazajutrz znów rumor, gorszy, niż przy zatorze: Namgay Dula, mszcząc się za wczorajszy donos, oderżnął ogon krowie oskarżyciela. Oburzenie i zgroza! Toż to bluźnierstwo i świętokradztwo uciąć ogon krowie! Kara być musi a tu winowajca zamknął się i zabarykadował w swojej chacie, z okienka której widnieje lufa strzelby, jedynej w całem królestwie strzelającej strzelby. Na zbliżających się leci z wyżek grad ostrych skorup lub potok wrzącej wody. Król z całym dworem i siłą zbrojną stoją bezsilni. Wtem słychać głos Namgaya: „Niech biały człowiek przyjdzie tu sam! Dajcie mi białego człowieka!“ I Anglik wchodzi a Namgay przyjmuje go, spokojnie odstawiając karabin, na którym widnieje znak jednego z pułków angielskich. W izbie żona Tybetanka czystej krwi i gromada rudowłosych dzieci. Zaczyna się rozmowa. Nangay opowiada, że pamięta ojca swego w czerwonym mundurze, pamięta też jeden wyraz z komendy wojskowej, ale matka była góralką. Anglik dorozumiewa się, że tym ojcem był Tim Doolan, znany dawniej w wojsku zawadyaka, podobnie jak i pozostali na dolinie synowie. O tem już Namgay nie wie, tylko w chwili zachodu słońca, w porze gdy się dzwoni na Anioł Pański, żona przypomina mu, że już czas na modlitwę. Wtedy dzieci klękają w półkole a ojciec odsłania z za brudnej firanki krucyfiks, oparty na hełmie wojskowym, i zaczyna nabożnie odśpiewywać, przekręcając do niepoznania wyrazy, znaną piosnkę żołnierską, tę samą, którą poprzednio był nucił. Biedacy — myśleli naiwnie, że to pieśń nabożna... Gdy autor wyszedł z chaty nie było już mowy o ukaraniu Namgaya. Przeciwnie, wytłumaczył królowi, iż ten chłop o ognistych włosach ma i duszę ognistą, że z nim niebezpiecznie zadzierać, bo ma podobnych sobie na dolinie braci i że nie będzie spokoju, aż go król nie zamianuje dowódcą swej armii. Co gdy się stało, Namgay runął z płaczem do nóg królowi, obiecując posłuszeństwo bez granic, poczem jął biegać z darami od świątyni do świątyni, aby zadosyć

uczynić za ogon krowi. Król uradowany ofiarował Anglikowi całą wieś za 20 ft., ale ten odmówił: „Nie kupię wsi w Himalajach, póki tam jedna ruda głowa zostanie między lodowcem a lasem — znam nadto dobrze ten ród".

Zakończenie tej powiastki nie dosyć jasne, być może, iż ma styczność z jakimś lokalnym faktem. Albo też Sahib dlatego tylko tak gorąco rudego radży polecał, że wolał, aby nigdy na niziny nie schodził?... Bądź co bądź owa intencya modlitwy przed krzyżem, zabłąkanym u pogan wśród himalajskich turni, jest nutą bardzo rzewną rzuconą w opowiadanie wesołe. Wogóle powieści hinduskie są weselsze od społeczno-politycznych, opisujących życie Anglików w cesarstwie indyjskiem. Poświęcony temu przedmiotowi tom zatytułowany: *The story of the Gadsbys*, napisany jest na sposób francuskiego Gyp'a, t. j. w dyalogach, daleko od Gyp'a uczciwiej, ale mniej sprytnie. Kipling nie jest autorem „salonowym" i lepiej mu do twarzy w dżungli lub obozie. Dzieje Rodziny Gadsby mają niby na celu odwieść młodego oficera, Mafflina, od myśli żeniaczki, wykazując mu, jak kapitan Gadsby wskutek szczęścia rodzinnego utracił ducha żołnierskiego, porzucił pułk, przyjaciół, Indyę nawet i pojechał z żoną do Anglii, gdzie nań czekał stary ojciec, stary zamek i tytuł rodzinny. Właściwie wszystko to mogło i bez żony do powrotu przynęcić... Dalszych powiastek zawartych w tym tomie lub rozrzuconych po innych niezbyt warto rozbierać; dają one wszakże dość jasny obraz tego towarzystwa niby lekkomyślnego a bardzo dzielnego, bawiącego się z całych sił w chwilach wolnych, by zwalczyć melancholię zrodzoną z bezsenności szalonych upałów lub długich ulewnych deszczów, z odcięcia od świata na odludnych posadach i zbyt często z sąsiedztwa cholery grasującej wśród krajowców i białych.

(Dok. nast.)

T. Wodzicka.

REFLEKSYE NAD STANEM
KWESTYI ŻYDOWSKIEJ U NAS.

Kwestya żydowska należy u nas niewątpliwie do zagadnień najtrudniejszych, a najbardziej piekących. Z wyjątkiem zachodniej Wielkopolski we wszystkich dzielnicach polskich żywioł żydowski stanowi tak poważny procent ludności, że jego stosunek do nas, jego kultura, stanowisko ekonomiczne, wpływy, dążenie i postępowanie nie może być obojętne dla nikogo, a ktokolwiek pragnie sobie zdać sprawę z naszego położenia i rozwoju, musi się natknąć na kwestyę żydowską.

Rasą, religią, poglądami, ewolucyą dziejową jest to nam żywioł obcy, nic przeto dziwnego, że w czasach, gdy po utracie niepodległości jedynie skupienie wszystkich sił narodu mogło zabezpieczyć dalszy byt społeczny i skuteczną obronę przed wynarodowieniem — rozpoczęto zajmować się bardzo żywo kwestyą żydowską. Jak zwykle nie dojrzano na razie żadnych komplikacyi, tak że wszystkie programy i postulaty były, można powiedzieć, naiwnie proste. Dwa da się tu odróżnić kierunki, dyametralnie sobie przeciwne, teoryę asymilacyi i antysemityzm, oba w swych ostatnich konsekwencyach niewystarczające i niewykonalne. Okres liberalizmu z połowy ubiegłego stulecia podjął się wychowania „Polaków mojżeszowego wyznania“. Zapomniano przytem, że Żydzi posiadają bardzo silnie wyrobione poczucie solidarności religijnej i rasowej, zastępujące u nich

inne kryterya narodowościowe, że rozwój dziejowy, ich stosunek odwieczny do społeczeństw chrześcijańskich, wreszcie odporność szerokich mas żydowskich wobec nowożytnych idei cywilizacyjnych, uniemożliwia dzieło asymilacyjne. Z pewnością jednostki, a nawet drobne grupy warstwy inteligentnej, częściowo mogły zespolić się i rzeczywiście zjednoczyły się z narodem polskim, lecz są to jedynie wyjątki, które nie mają nic wspólnego z rozwiązaniem samego problematu. Po rozwianiu się iluzyi asymilacyjnych, wpadliśmy w drugą ostateczność, w antysemityzm, którego ideałem byłoby zupełnie pozbyć się Żydów, jako narodu obcego, który przebywając pomiędzy nami, osłabia tem samem nasze siły. Jakkolwiek antysemityzm staje na realniejszym gruncie, bo wolnym jest od mrzonek zupełnego unarodowienia Żydów, nie może on również rozwiązać właściwego zagadnienia. Jego żądanie jest prawnie niewykonalne, a przytem ekonomicznie bardzo wątpliwej wartości, albowiem Żydzi zajęli w gospodarstwie społecznem wybitne miejsce i dzięki swej specyalizacyi w kierunku handlowo-finansowym, opanowali niemal jedną gałąź życia ekonomicznego, tak że nagłe ich usunięcie wytworzyłoby na razie lukę, której nie byłoby czem zapełnić, a tem samem pociągnęłoby za sobą ciężkie przesilenie.

Problemat żydowski istnieje przeto nadal i idąc po takich drogach nigdy nie zbliżymy się do jego rozwiązania. Kwestya żydowska występuje w tylu różnorodnych kształtach, dotyka tylu zagadnień etycznych, ekonomicznych i narodowych, przybiera wreszcie w różnych krajach tak odmienny charakter, że niepodobna traktować jej syntetycznie i doktrynersko, szukać jakiegoś uniwersalnego lekarstwa, działającego skutecznie wszędzie i zawsze. Jedyną właściwą metodą jest tu indukcya, nie chodzi bowiem bynajmniej o zasadnicze określenie naszego stosunku do Żydów, lecz o stwierdzenie o ile on w danej chwili jest właściwy czy błędny, korzystny czy szkodliwy — i w jaki sposób możnaby usunąć dostrzeżone braki. Poważnie rzecz biorąc, nie może nikt odmówić Żydom prawa do istnienia, rozwoju i pielęgnowania swych specyalnych, religijnych i rasowych potrzeb. Prawo to jednak musi się liczyć z interesem ogólnym

i analogicznemi uprawnieniami ludności chrześcijańskiej i tak jak jednostka nie może wykonywać swych praw w sposób szkodliwy dla drugich, tak jak ona jest skrępowaną względami na drugich, tak i Żydzi, posiadając to prawo *in thesi* mogą i powinni być ograniczeni ze względu na inne klasy ludności. Nie rozchodzi się przeto o wytworzenie jakichś praw wyjątkowych, o traktowanie Żydów gorzej od innych. Równouprawnienie wszystkich mieszkańców i grup społecznych stanowi słuszną podstawę organizacyjną dzisiejszych związków publicznych i powinno być zachowane w każdym razie. Lecz istota jego polega właśnie na miarkowaniu egoistycznych dążeń jednostek, na zapewnieniu każdemu równej sfery akcyi i swobody. Wszelkie przekroczenie tej linii jest już złamaniem równości i naruszeniem praw obcych, stąd też nie można do złego dopuścić, a w razie gdy się pojawi, należy je powstrzymać. Lecz o ile i w jakim stopniu wykonanie własnego prawa wkracza w dziedzinę uprawnienia innych, da się określić jedynie na podstawie zbadania faktycznych stosunków. Dlatego też cała kwestya żydowska sprowadza się do pytania, czy Żydzi wykonywaniem swych praw i zaspokajaniem swych specyalnych potrzeb, naruszają interesy innych lub wkraczają w dziedziny należące do reszty ludności, należy przeto przedewszystkiem zbadać, o ile tego rodzaju zarzuty są usprawiedliwione.

Jasną jest rzeczą, że starcia praw indywidualnych różnych jednostek będą tem częstsze, im więcej jest pomiędzy nami punktów stycznych. Zależy to częścią od jakości interesów i uprawnień, lecz głównie od ilości osób działających na wspólnym dla wszystkich terenie. Stąd też większą będzie możliwość wzajemnego szkodzenia sobie i tem aktualniejszą tem samem kwestya żydowska, im więcej Żydów znajdzie się w jakiemś społeczeństwie i im liczniejsze będą dziedziny, w których dążenia żydowskie będą odmienne od potrzeb i pragnień ludności chrześcijańskiej. Chcąc przeto mówić o kwestyi żydowskiej u nas, należy nasamprzód zbadać, ile pomiędzy nami przebywa Żydów i w jakim stosunku liczebnym znajdują się oni do reszty ludności.

Ostatnie spisy ludności, które podają stan zaludnienia ogólnego i ilość Żydów w różnych dzielnicach dawnego państwa polskiego, przeprowadzono w różnych latach, mianowicie w Austryi z końcem grudnia 1900, w Prusiech w tym samym roku lecz drugiego grudnia, w Rosyi dziesiątego lutego 1897. O tyle cyfry poniższe są nierównomierne, różnice czasowe jednak nie są tak znaczne, ażeby dat tych nie można ze sobą zestawić. Otóż stosunki ludnościowe przedstawiają się w następujący sposób:

Dzielnica	Ludność ogólna	Z tego Żydów	% Żydów z całej ludności
Królestwo polskie	9,401.097	1,316.576	14·01
Litwa	10,068.008	1,409.901	14·00
Podole, Wołyń, Ukraina	9,566.002	1,212.432	12·68
Galicya	7,315.939	811.371	11·09
Księstwo Poznańskie	1,887.275	35.327	1·87
Prusy zachodnie	1,563.458	21.750	1·39
Razem	39,801.777	4,807.357	12·08

Niema w Europie kraju, w którymby ilość Żydów choć w przybliżeniu była tak znaczną, a nawet w Rosyi istnieją jedynie dwie gubernie, besarabska i chersońska, w których Żydów jest stosunkowo więcej, niż w Galicyi, mniej jednak, niż w którejkolwiek części pod panowaniem rosyjskiem. Wogóle w Polsce mieszka większa połowa ogólnej liczby Żydów i właśnie dlatego kwestya żydowska ma dla nas tak doniosłe znaczenie. Przypuszczając, że liczba Żydów pod zaborem rosyjskim wzrosła normalnie, należałoby dodać jeszcze około 200.000 osób, ażeby otrzymać stan na koniec r. 1900, t. zn. że Żydów u nas byłoby przeszło pięć milionów.

Już te ogólne cyfry okazują, jak nierównomierne jest rozmieszczenie ludności żydowskiej w różnych częściach Polski. Znacznie dokładniej okazuje się to, gdy się zejdzie do niższych podziałów administracyjnych, t. zn. powiatów. W dwóch poniższych tablicach zestawiona jest ludność żydowska powiatami, a mianowicie w pierwszej rozdzieliłem wszystkie powiaty na grupy, odpowiadające procentowi Żydów pomiędzy ludnością, w drugiej zaś pomieściłem w szeregu malejącym wszystkie powiaty, w których Żydzi stanowią przynajmniej dziesiątą część

ludności. Należy jednak zauważyć, że szczególniej powiaty galicyjskie, częściowo zaś i Królestwa są znacznie mniejsze od powiatów litewskich i ruskich, wskutek czego ludność miejska wpływa w nich silniej na ogólny rezultat, a tem samem liczba Żydów, jako ludności głównie miejskiej, wydaje się procentowo znaczniejsza. Gdybyśmy Galicyę podzielili na części odpowiadające powiatom rusko-litewskim, a więc na okręgi o 200—250 tysięcy mieszkańców, nie mielibyśmy prócz Lwowa ani jednej okolicy, w której Żydzi dochodziliby do 15% ludności.

Rozdział powiatów według ilości Żydów.

	Część kraju	Żydów na 100 mieszk.	Ilość powiatów, w których Żydzi stanowią najmniej % 20	17—20	15—17	13—15	10—13	8—10	5—8	0—5	Razem
1	Gubernia Warszawska	18·12	1	1	1	1	4	1	4	1	14
2	„ Grodzieńska	17·28	3	.	1	1	4	.	.	.	9
3	„ Siedlecka	15·84	1	2	1	3	2	.	.	.	9
4	„ Piotrkowska	15·83	1	1	.	.	5	1	.	.	8
5	„ Łomżyńska	15·69	.	3	1	1	2	.	.	.	7
6	„ Mińska	15·57	1	2	2	1	3	.	.	.	9
7	„ Radomska	13·89	.	1	2	1	3	.	.	.	7
8	„ Kowieńska	13·71	.	1	1	1	4	.	.	.	7
9	„ Wołyńska	13·31	.	.	2	4	6	.	.	.	12
10	„ Lubelska	13·26	1	.	1	1	5	2	.	.	10
11	Galicya wschodnia	12·91	.	4	2	13	18	10	1	.	48
12	Gubernia Wileńska	12·90	1	.	.	.	3	2	1	.	7
13	„ Podolska	12·15	.	.	.	4	7	1	.	.	12
14	„ Kijowska	12·03	1	.	.	1	5	5	.	.	12
15	„ Mohilewska	11·92	1	.	1	2	2	4	1	.	11
16	„ Witebska	11·80	2	.	.	.	2	2	2	3	11
17	„ Kielecka	10·82	.	.	.	1	3	2	.	1	7
18	„ Suwalska	10·09	.	.	.	.	4	2	1	.	7
19	„ Płocka	9·13	.	.	.	1	1	3	1	1	7
20	„ Kaliska	8·59	.	.	.	.	2	3	2	1	8
21	Galicya zachodnia	7·69	.	.	1	1	4	6	12	6	30
22	Rejencya Bydgoska	1·89	.	.	.	.	.	.	.	14	14
23	„ Poznańska	1·84	.	.	.	.	.	.	.	27	27
24	„ Kwidzyńska	1·56	.	.	.	.	.	.	.	15	15
25	„ Gdańska	1·31	.	.	.	.	.	.	.	10	10
	Królestwo Polskie	14·01	4	8	6	9	31	14	8	4	84
	Litwa	14·00	8	3	5	5	18	8	4	3	54
	Podole, Wołyń i Ukraina	12·68	1	.	2	9	18	.	.	.	36
	Galicya	11·09	.	4	3	14	22	16	13	6	78
	Ks. Pozn. i Prusy zach.	1·65	.	.	.	.	.	.	.	66	66
	Razem	12·08	13	15	16	37	89	44	25	79	318

Powiaty, w których Żydzi stanowią przynajmniej 10% ludności.

	Powiat o stolicy	Gubernia lub część kraju	Żydów na 100 ludn.		Powiat o stolicy	Gubernia lub część kraju	Żydów na 100 ludn.
1	Białystok	Gr.	28·47	51	Staro-Konstantyn.	Woł.	14·57
2	Warszawa	War.	28·20	52	Mohilew podolski	Pod.	14·55
3	Łódź	Piotr.	25·09	53	Rawa ruska	Gal. w.	14·52
4	Berdyczów	Kij.	23·28	54	Radom	Rad.	14·51
5	Mińsk	Min.	22·92	55	Żytomierz	Woł.	14·41
6	Witebsk	Wit.	22·84	56	Przemyśl	Gal. w.	14·26
7	Bielsk	Siedl.	22·67	57	Bielsk	Gr.	14·19
8	Wilno	Wil.	21·90	58	Tarnów	Gal. z.	14·14
9	Mohilew	Moh.	21·62	59	Łuck	Woł.	14·08
10	Brześć litewski	Gr.	21·02	60	Kamieniec podolski	Pod.	14·06
11	Dynaburg	Wit.	20·18	61	Zasław	Woł.	13·67
12	Grodno	Gr.	20·11	62	Lisko	Gal. w.	13·67
13	Lublin	Lub.	20·00	63	Kamionka	Gal. w.	13·62
14	Kołomyja	Gal. w.	19·73	64	Stopnica	Kiel.	13·61
15	Pińsk	Min.	19·62	65	Stryj	Gal. w.	13·61
16	Brzeziny	Piotr.	19·52	66	Bałta	Pod.	13·57
17	Bobrujsk	Min.	19·47	67	Nowa Aleksandrya	Kow.	13·48
18	Siedlce	Siedl.	19·23	68	Konstantynów	Siedl.	13·42
19	Lwów z miastem	Gal. w.	19·09	69	Husiatyn	Gal. w.	13·40
20	Stanisławów	Gal. w.	19·07	70	Radomyśl	Kij.	13·28
21	Nowy Mińsk	War.	18·16	71	Płock	Płocka	13·28
22	Łomża	Łom.	18·13	72	Horecz	Moh.	13·23
23	Ostrów	Łom.	17·90	73	Łuków	Siedl.	13·23
24	Radzyń	Siedl.	17·68	74	Dolina	Gal. w.	13·22
25	Szczucin	Łom.	17·64	75	Złoczów	Gal. w.	13·22
26	Kowno	Kow.	17·61	76	Latyczów	Pod.	13·20
27	Brody	Gal. w.	17·35	77	Homel	Moh.	13·10
28	Sandomierz	Rad.	17·02	78	Borszczów	Gal. w.	13·10
29	Opatów	Rad.	16·51	79	Nadwórka	Gal. w.	13·00
30	Drohobycz	Gal. w.	16·41	80	Bohorodczany	Gal. w.	13·00
31	Mścisław	Moh.	16·22	81	Łęczyca	Kal.	12·90
32	Mozyr	Min.	16·17	82	Buczacz	Gal. w.	12·86
33	Puławy	Lub.	16·14	83	Kielce	Kiel.	12·84
34	Równo	Woł.	15·91	84	Wiłkomierz	Kow.	12·82
35	Włodawa	Siedl.	15·91	85	Ryczyca	Min.	12·78
36	Nowogród wołyńs.	Woł.	15·79	86	Chełm	Lub.	12·77
37	Wysokie mazow.	Łom.	15·79	87	Prużany	Gr.	12·74
38	Pułtusk	War.	15·77	88	Sokołów	Siedl.	12·70
39	Słuck	Min.	15·70	89	Cieszanów	Gal. w.	12·62
40	Kraków z miastem	Gal. z.	15·65	90	Pinczów	Kiel.	12·59
41	Szawle	Kow.	15·64	91	Węgrów	Siedl.	12·59
42	Końskie	Rad.	15·49	92	Kobryń	Gr.	12·58
43	Słonim	Gr.	15·38	93	Orsza	Moh.	12·54
44	Tarnopol	Gal. w.	15·00	94	Wasylków	Kij.	12·53
45	Garwolin	Siedl.	14·93	95	Kozienice	Rad.	12·52
46	Sokal	Gal. w.	14·76	96	Rohatyn	Gal. w.	12·43
47	Hrubieszów	Lub.	14·75	97	Skwira	Kij.	12·42
48	Maków	Łom.	14·71	98	Kolno	Łom.	12·41
49	Skałat	Gal. w.	14·63	99	Zamość	Lub.	12·37
50	Grojec	War.	14·62	100	Telsze	Kow.	12·36

	Powiat o stolicy	Gubernia lub część kraju	Żydów na 100 ludn.		Powiat o stolicy	Gubernia lub część kraju	Żydów na 100 ludn.
101	Winnica	Pod.	12·35	136	Czortków	Gal. w.	11·40
102	Kosów	Gal. w.	12·29	137	Sejny	Suwał.	11·36
103	Przemyślany	Gal. w.	12·26	138	Uszyca	Pod.	11·34
104	Krzemieniec	Woł.	12·25	139	Borysów	Min.	11·24
105	Bóbrka	Gal. w.	12·25	140	Podgórze	Gal. z.	11·21
106	Częstochowa	Piotr.	12·24	141	Suwałki	Suwał.	11·20
107	Zaleszczyki	Gal. w.	12·23	142	Błońsk	War.	11·20
108	Poniewież	Kow.	12·21	143	Tomaszów	Lub.	11·15
109	Proskurów	Pod.	12·15	144	Kutno	War.	11·13
110	Sokółka	Gr.	12·12	145	Żółkiew	Gal. w.	11·12
111	Połock	Wit.	12·11	146	Płońsk	War.	11·04
112	Oszmiana	Wil.	12·09	147	Bendzin	Piotr.	11·04
113	Ihumen	Min.	12·08	148	Owrucz	Woł.	10·98
114	Lida	Wil.	12·06	149	Trembowla	Gal. w.	10·97
115	Śniatyn	Gal. w.	12·04	150	Jędrzejów	Kiel.	10·85
116	Peczyniżyn	Gal. w.	12·03	151	Ostrog	Woł.	10·79
117	Wołkowysk	Gr.	12·02	152	Stary Sambor	Gal. w.	10·75
118	Piotrków	Piotr.	11·99	153	Krasnystaw	Lub.	10·69
119	Ostrołęka	Łom.	11·91	154	Nowogródek	Min.	10·64
120	Kowel	Woł.	11·89	155	Tarnobrzeg	Gal. z.	10·59
121	Humań	Kij.	11·83	156	Klimowicze	Moh.	10·58
122	Bracław	Pod.	11·80	157	Włodzimierz woł.	Woł.	10·47
123	Lipowiec	Kij.	11·74	158	Jampol	Pod.	10·44
124	Lubartów	Lub.	11·67	159	Iłża	Rad.	10·41
125	Horodenka	Gal. w.	11·64	160	Tłumacz	Gal. w.	10·41
126	Sierpc	Płock.	11·63	161	Chrzanów	Gal. z.	10·41
127	Sieradz	Kal.	11·61	162	Łask	Piotr.	10·37
128	Dubno	Woł.	11·58	163	Maryampol	Suwał.	10·35
129	Lepel	Wit.	11·56	164	Jarosław	Gal. w.	10·27
130	Augustów	Suwał.	11·50	165	Rawa	Piotr.	10·20
131	Brzeżany	Gal. w.	11·50	167	Dysna	Wil.	10·12
132	Lityń	Pod.	11·47	167	Kałusz	Gal. w.	10·08
133	Olhopol	Pod.	11·47	168	Opoczno	Rad.	10·05
134	Rosieny	Kow.	11·47	169	Radzymin	War.	10·03
135	Kijów	Kij.	11·45	170	Mielec	Gal. z.	10·01

Z zestawień tych okazuje się, że połowa Królestwa i Litwy i cały Wołyń mają stosunkowo najwięcej Żydów, bo w dziesięciu guberniach na 78 powiatów jest zaledwie 3, w których Żydzi stanowią tylko 8—10% ludności. Najmniej Żydów jest w Wielkopolsce i Prusach Zachodnich, drugie zaś miejsce zajmuje Galicya Zachodnia, gdzie tylko okolica przemysłowa, Tarnowskie i północny kąt nad Wisłą odznacza się znaczniejszą liczbą Żydów. Pomijając powiaty, mieszczące w sobie znaczniejsze miasta, można zauważyć wogóle, że rozmieszczenie Żydów

jest dziś bardzo odmienne od tego, jakie było z końcem XVIII i w początkach XIX stulecia. Wtedy liczba Żydów rosła w miarę posuwania się na wschód, podczas gdy na zachodzie i północy było ich znacznie mniej. Dzisiaj w Galicyi dostrzegamy to samo, lecz pod zaborem rosyjskim skupiają się Żydzi przedewszystkiem na północy, tak że Mazowsze, Litwa i Podlasie niegdyś w Żydów najuboższe, obecnie mają ich najwięcej. Wogóle rozmieszczenie to jest dla nas bardzo niekorzystne, jakkolwiek zdaje się wskazywać, że ludność czysto-polska posiada w stosunku do Żydów największą odporność. W okolicach czysto-polskich, oczywiście pomijając części o bardzo rozwiniętym przemyśle i duże miasta, Żydów jest stosunkowo najmniej. Do tej grupy należy cała Galicya zachodnia, czysto-polskie części Poznańskiego, jakoteż południowo-zachodnie gubernie Królestwa. Natomiast tam, gdzie albo Rusini albo Litwini czy Niemcy w większej znajdują się liczbie, tam procent Żydów jest znaczniejszy, co najwyraźniej występuje, jeżeli pominiemy powiaty o cyfrach wyjątkowo wysokich lub wyjątkowo nizkich, a weźmiemy tylko te, które mogą stanowić typ dla większego terytoryum. Wiadomą jest rzeczą, że pod względem narodowym wielka masa Żydów przyznaje się zawsze do silniejszych, wobec tego więc, że z wyjątkiem Galicyi, we wszystkich dzielnicach jesteśmy prawnie lub liczebnie słabsi, Żydzi stanowią tam żywioł dla nas niebezpieczny, bo potęgujący siły przeciwnika. Jest to niewątpliwie jedna z najważniejszych stron kwestyi żydowskiej u nas, a przeglądając wysokie cyfry Żydów w powiatach zaboru rosyjskiego, widzimy jak wielkie narodowe niebezpieczeństwo przedstawiają oni tam dla nas, dzięki swojej liczebnej sile. Do tej sprawy wypadnie nam jeszcze później powrócić.

Poznanie liczebnej siły ludności żydowskiej u nas byłoby niezupełnem, gdybyśmy poprzestali na przedstawieniu obecnego jej stanu, nie wspominając o ilości Żydów dawniejszej. Jest to ludność narodowo albo wroga, jak na Litwie, Rusi i w Poznańskiem, albo co najmniej nie unarodowiona, nie jest więc rzeczą obojętną, czy żywioł ten, w najlepszym razie neutralny, nie rośnie zbyt szybko. Siła narodowa zależy nie tylko od samej ilości,

lecz także od rozmieszczenia, od skupienia i rozrzucenia na pewnej powierzchni, jeżeli więc pod naciskiem Żydów ta koncentracya jest coraz mniejsza, jeżeli rozsadzają ją żywioły inne, to słabnąć musi narodowa odporność. Dlatego to musimy poświęcić także kilka słów sprawie wzrostu u nas ludności żydowskiej.

W r. 1765 przeprowadzono w całem państwie polskiem spis Żydów obojga płci powyżej jednego roku życia. Jakkolwiek przeprowadzony w celach podatkowych, był on dosyć dokładny jak na ówczesne czasy, co okazuje się choćby z porównania z pierwszymi spisami austryackimi w Galicyi[1]. Według niego w chwili wstąpienia na tron Stanisława Augusta było Żydów w Koronie 429.587, na Litwie 157.649, razem 587.236 osób, dodając dzieci najwyżej jednoroczne około 620.000. Podczas więc gdy ogólna ludność Rzeczypospolitej jest dzisiaj więcej, niż trzy razy wyższą, ilość Żydów zwiększyła się ośmiokrotnie, wzrosła więc przeszło dwa razy szybciej, aniżeli chrześcijańska.

Inną jest rzeczą, że wzrost ten, ani terytoryalnie, ani czasowo nie jest równomierny. Niewątpliwie był on najgwałtowniejszy w latach 1850—1890, a najznaczniejszy pod zaborem rosyjskim, przedewszystkiem w Królestwie i na Litwie. Niestety niepodobna przedstawić go tam cyfrowo, gdyż w r. 1897 odbył się pierwszy i dotąd jedyny spis ludności w państwie rosyjskiem, a wszystkie dane wcześniejsze i późniejsze opierają się jedynie na kombinacyach i obliczeniach mniej lub więcej racyonalnych i prawdopodobnych. Za to w Poznańskiem i Galicyi możemy śledzić pochód ludności żydowskiej już z większą dokładnością.

W Poznańskiem ludność żydowska wzrasta dość szybko aż do r. 1840, odtąd zaś stale się zmniejsza, dzięki emigracyi na Zachód i do przemysłowych okręgów Królestwa. W r. 1825

---

[1] W roku 1765 w dzisiejszej Galicyi podano Żydów około 128.500, z dziećmi do jednego roku około 136.000 osób. Spis z roku 1776 wykazuje 147.598, z r. 1780: 153.302 Żydów w Galicyi, a dopiero w r. 1786 wskutek napływu z za kordonu 215.500 osób. Zupełnie ścisłe porównanie spisu polskiego z następnymi jest niemożliwe ze względu na odmienny zupełnie podział administracyjny.

było w Księstwie Żydów 65.231, w r. 1840, w którym osiągnęli swe *maximum*, 77.100. W ciągu lat piętnastu wzrośli przeto o 18%, zupełnie tak samo, jak i ludność chrześcijańska. Od tego czasu stosunki się zmieniają zupełnie. W roku 1852 było już Żydów 74.253, w r. 1870: 61.982, 1880: 56.609, 1890: 44.346, 1900: 35.327, czyli mniej niż połowa ich najwyższego stanu. Zniżka ta w ostatnich latach idzie coraz prędzej, tak że w latach 1840—1858 ilość Żydów zmniejszyła się o 7%, 1858—1871 o 15%, 1871—1890 o 28%, a w ostatniem dziesięcioleciu o 21%, w porównaniu ze stanem z początku każdej epoki.

W Galicyi rozwój był inny. Ilość Żydów wzrosła bardzo szybko, aż po koniec r. 1890 i dopiero w ostatniem dziesięcioleciu wzrost ten jest bardzo mały, wskazując na opuszczanie przez nich kraju. Mianowicie ilość Żydów wynosiła w naszym kraju według każdorocznych spisów:

Rok	Ilość Żydów	% ogółu ludności
1776	147.598	5·62
1786	215.500	7·75
1831	232.000	5·60
1841	273.000	6·23
1851	333.451	7·32
1857	448.973	9·69
1869	575.433	10·62
1880	686.596	11·52
1890	772.213	11.69
1900	811.371	11·09

Z dat tych jedynie cyfry począwszy od r. 1857, opierające się na nowożytnych spisach, mogą uchodzić za autentyczne. Okazuje się z nich, że wzrost ludności żydowskiej był szybszym, niż chrześcijańskiej w latach 1857—1890, dziś zaś jest mniej więcej dwa razy słabszy. Wynosił on r. 1857—1869: 28·1%, 1869—1880: 19·1%, 1880—1890: 12·3%, 1890—1900: 5·1%, tendencya przeto zniżkowa jest nader wyraźna.

W ostatnich dziesięciu latach ludność żydowska wzrosła w 112, zmniejszyła się w 74 powiatach sądowych. Z tego w 24 powiatach wzrost był wyższy niż 20%, w 27 wynosił 10—20%, w 36 5—10%, w 25 mniej niż 5%. Zniżka wynosiła w 27 powiatach do 5%, w 27 5—10%, w 13 10—20%, a w 7 przeszło

20%. Łącząc razem okręgi, w których jest dziś Żydów mniej niż przed dziesięciu laty, lub w których ludność żydowska wzrosła bardzo słabo, można powiedzieć, że, pomijając parę większych miast, Żydzi rosną jedynie na całem podgórzu na wschód od Tatr, w Galicyi środkowej, mianowicie pomiędzy liniami poprowadzonemi z północy na południe przez Nisko — Rzeszów — Krosno, a Sokal — Lwów — Stryj, wreszcie w części zachodniej na południe od linii kolejowej Lwów—Kraków, począwszy od linii Tarnów — Grybów, aż po Brzozów — Sanok. Okręgi o malejącej ludności żydowskiej można podzielić na dwie wielkie grupy. Część wschodnia obejmuje całą Galicyę północno-wschodnią od granicy bukowińskiej na zachód po Lwów—Sokal i od granicy rosyjskiej na południe po Pokucie, Stanisławów, Rudki, a więc po Dniestr z odnogą południową w podgórze wschodnie, obejmującą powiaty sądowe: bohorodczański, kałuski, rożniatowski i bolechowski, i odnogą południowo-zachodnią w okolicę Drohobycza (powiaty sądowe drohobycki, medenicki, łącki). W całej tej części jedynie powiaty stanisławowski, halicki złoczowski, podwołoczyski, obertyński i wojniłowski wykazują wzrost ludności żydowskiej, podczas gdy w 51 innych Żydzi zmniejszyli się z 282.515 w r. 1890 na 271.127 w r. 1900, t. j. o 4%, gdy chrześcijanie wzrośli równocześnie z 1,709.625 na 1,894.897, t. zn. o 10·8%.

Druga grupa zachodnia idzie od granicy śląskiej w kierunku północno-wschodnim. Aż po linię Tarnów—Grybów obejmuje całą szerokość kraju, odtąd południową jej granicą jest linia kolejowa Lwów — Kraków. Na wschód sięga ona po San i posiada również podgórską odnogę południowo-wschodnią od Tyczyna przez Dynów do Dobromila i Dubiecka. W tym okręgu ludność żydowska wzrosła tylko w części przemysłowo-górniczej, obejmującej powiaty bialski, oświęcimski, chrzanowski i jaworznicki, w najbliższej okolicy Krakowa, wreszcie w jordanowskiem, makowskiem, nowotarskiem, tarnowskiem, rzeszowskiem i niskiem. Powiat niski jest jedynym powiatem nadwiślańskim, prócz okolicy Krakowa, w którym Żydzi się mnożą. Ogółem było w tej grupie Żydów w r. 1890: 91.864, w r. 1900: 84.774, chrze-

ścijan 1,228.312 i 1,324.833, tak, że zniżka Żydów wynosi 7%, wzrost chrześcijan 8%. Prócz tego w środku kraju zmniejsza się ludność żydowska na północy w powiatach krakowieckim, niemirowskim i Sądowej Wiszni, na południu w żmigrodzkim, bukowskim i duklańskim. Drobne te okręgi stanowią łącznik między wschodem a zachodem.

Najsilniejszy wzrost ludności żydowskiej występuje na podgórzu środkowem i wschodniem, w zachodnio-galicyjskim okręgu naftowym, w środowisku naszego przemysłu nad granicą śląską i pruską, wkońcu w okolicach dużych miast, t. j. Lwowa, Krakowa, Stanisławowa i Przemyśla. W tych okręgach, w których wzrost wynosił przeszło 15%, było Żydów:

	1890	1900
Okolice dużych miast	102.827	130.535
Podgórze środkowe i wschodnie	34.313	42.153
Teren naftowy zachodni	13.637	16.781
Zachodni okręg górniczo-przemysłowy	9.436	12.902

Obejmują one razem 28 powiatów sądowych z ludnością żydowską 160.213 w r. 1890, a 202.371 w r. 1900, wzrost więc wynosił 42.158, czyli więcej niż w całej Galicyi. Bilans dla reszty kraju, t. j. dla 158 powiatów sądowych jest dla Żydów ujemny.

Powiaty sądowe w Galicyi o wysokiej ludności żydowskiej 1880—1900.

	Powiat sądowy	Na stu mieszkańców wypada Żydów				Powiat sądowy	Na stu mieszkańców wypada Żydów		
		1880	1890	1900			1880	1890	1900
1	Miasto Kraków	30·67	28·07	28·11	14	Stryj	15·79	15·94	16.12
2	Miasto Lwów	28·10	28·24	27·68	15	Bełz	14·73	16·26	16·08
3	Stanisławów	22·55	23·02	23·88	16	Tarnopol	18·51	17·67	15·92
4	Kołomyja	23·68	24·50	23·54	17	Tarnów	18·48	17·67	15·92
5	Drohobycz	28·65	28·36	22·53	18	Skałat i Podwołoczyska	14·71	15·81	15·71
6	Brody	30·21	25·34	22·25					
7	Niemirów	18·82	20·40	19·05	19	Husiatyn	17·78	17·26	15·45
9	Lutowiska	18·51	19·04	18·26	20	Podgórze	14·64	16·97	15·45
9	Oświęcim	13·98	15·52	17·45	21	Rawa ruska	14·42	15·29	15·20
10	Przemyśl	15·12	16·63	17·02	22	Ustrzyki dolne	11·79	13·78	14·63
11	Buczacz	19·31	19·67	16·88	23	Borszczów	17·27	16·42	14·44
12	Bolechów	17·98	18·12	16·63	24	Kamionka strumiłowa	15·68	15·40	14·22
13	Radziechów	10·02	17·65	16·29					

	Powiat sądowy	Na stu mieszkańców wypada Żydów				Powiat sądowy	Na stu mieszkańców wypada Żydów		
		1880	1890	1900			1880	1890	1900
25	Sokal	14·58	14·59	14·21	59	Kopyczyńce	14·08	12·96	11·71
26	Olesko	16·69	15·19	13·90	60	Rozwadów	12·89	13·78	11·69
27	Zaleszczyki	17·28	17·00	13·84	61	Dobromil	13.41	13·07	11·66
28	Żółkiew	15·48	14·88	13·77	62	Mikulińce	13·28	13·18	11·58
29	Nadwórna	17·45	14·68	13·74	63	Sanok	9·92	10·66	11·56
30	Łopatyn	14·30	15·03	13·69	64	Dębica	13·46	12·28	11·50
31	Chrzanów i Jaworzno	13·19	11·50	13·59	65	Sokołów	12·85	12·95	11·47
32	Bursztyn	15·67	15·63	13·57	66	Bóbrka	13·01	13·11	11·44
33	Złoczów	15·00	13·94	13·56	67	Czortków	12·35	13·25	11·40
34	Stara Sól	14·87	14·46	13·53	68	Baligród	8·46	9·74	11·39
35	Dolina	12·11	12·88	13·43	69	Dukla	11·69	11·41	11·31
36	Cieszanów	12·37	13·11	13·38	70	Mikołajów i Żydaczów	11·48	10·96	11·19
37	Chodorów	14·56	14·85	13·16	71	Rohatyn	14·32	13·94	11·18
38	Bohorodczany	14·69	15·17	13·12	72	Jarosław i Pruchnik	12·55	11·40	11·17
39	Budzanów	16·02	13·81	13·07					
40	Sołotwina	11·93	12·34	12·88	73	Uhnów	10·62	11·02	11·10
41	Rzeszów	15·81	14·36	12·83	74	Obertyn	10·60	10·67	11·08
42	Grzymałów	15·87	14·72	12·80	75	Dąbrowa	11·15	11·08	11·02
43	Turka	12·32	13·16	12·74	76	Mielnica	13·32	11·97	11·00
44	Przemyślany	12·70	13·45	12·55	77	Gródek	10·09	10·64	10·89
45	Lisko	11·22	12·52	12·62	78	Kałusz	12·35	11·67	10·73
46	Kuty	13·25	13·11	12·47	79	Mielec	13·57	12·18	10·66
47	Nowy Sącz	14·38	12·84	12·42	80	Tłuste	13·07	13·14	10·63
48	Zborów	14·37	13·67	12·36	81	Kozowa	11·80	11·94	10·38
49	Delatyn	10·35	11·99	12·34	82	Busk	11·04	11·46	10·38
50	Brzeżany	14·98	14·09	12·31	83	Monasterzyska	12·58	11·99	10·35
51	Kosów i Żabie	11·98	12·11	12·18	84	Tyśmienica i Ottynia	12·87	11·91	10·29
52	Załośce	14·06	13·97	12·17					
53	Śniatyn	8·85	12·11	12·13	85	Ulanów	14·44	11·61	10·28
54	Peczyniżyn	11·98	12·23	12·03	86	Skole	8·69	10·01	10·26
55	Łubaczów	12·21	12·53	12·01	87	Lwów	9·25	7·77	10·15
56	Horodenka	11·84	13·31	12·00	88	Mościska	9·70	9·69	10·02
57	Zabłotów	11·50	12·40	11·92	89	Rymanów	8·69	9·96	10·01
58	Gliniany	12·17	12·67	11·82					

Charakterystyczne są również zmiany, które zaszły w ostatnich dwudziestu latach w stosunku liczebnym ludności żydowskiej do ogólnej liczby mieszkańców. W znacznej większości powiatów, w których Żydzi stanowią poważny procent ludności, widzimy, że przeszli oni już maksymalną granicę i że nie znajdując utrzymania, muszą emigrować. Na 95 powiatów, w których Żydzi stanowią przynajmniej dziesiątą część ludności, tylko w 24 wzrastają prędzej od chrześcijan, we wszystkich innych widać zniżkę i to tem znaczniejszą, im Żydów stosunkowo

było więcej. Przytem w r. 1880 było dziewięć, w r. 1890 ośm powiatów, w których ludność żydowska stanowiła przeszło 10%, dziś zaś spadła poniżej tej cyfry, pomiędzy nimi tarnobrzeski, w którym Żydów było przed laty dwudziestu 16·42%, dziś jest tylko 9·90%. Ugrupowanie powiatów o znaczniejszej ilości Żydów przedstawia się w następujący sposób:

Było powiatów, w których ludność żydowska stanowiła

	procent	Galicya zachodnia 1880	1890	1900	Galicya wschodnia 1880	1890	1900
przeszło	20	1	1	1	5	6	5
„	16—20	2	2	1	11	10	8
„	14—16	4	2	2	20	16	9
„	12—14	7	6	4	22	27	29
„	10—12	3	6	7	22	23	29
	Razem	17	15	15	80	82	80

Wyraźnie przeto widać, jak maleje doniosłość ludności żydowskiej. Dzieląc na dwie grupy te cyfry, przekonamy się, że na zachodzie przeszło 14% ludności żydowskiej było dawniej w 7 powiatach, obecnie jest w 4, na wschodzie było w 36, teraz jest w 22; tu i tam więc do połowy prawie spadła liczba okolic, przeładowanych ludnością żydowską.

Takiego materyału dostarcza dla oceny kwestyi żydowskiej statystyka ludnościowa. Obecnie wypada się zastanowić, jakie przyczyny wywołały objawy, omówione poprzednio i jaki z nich jest rezultat dla bytu i rozwoju naszego społeczeństwa.

Wzrost Żydów w Królestwie Polskiem i na Litwie tłumaczy się rozwojem handlowo-przemysłowym i napływem Żydów, usuwanych z głębi Rosyi; upadek ich ilości w Poznańskiem, atrakcyą Berlina i innych wielkich centrów ekonomicznych Niemiec, tu i tam przeto działają przyczyny przypadkowe i zewnętrzne, a więc chwilowe, choćby trwające dłużej. Natomiast w Galicyi żaden z tych powodów, działających w innych częściach Polski, nie wpłynął najpierw na szybki wzrost, obecnie na cofanie się ludności żydowskiej. W ciągu pięćdziesięciu lat nie było immigracyi żydowskiej w większych rozmiarach, bo Galicya materyalnie jest zbyt słabą, ażeby mo-

gła ściągać obcych przybyszów; w ostatniem dziesięcioleciu wychodźctwa Żydów nie wywołał ani nadzwyczajny rozkwit innych krajów koronnych, ani zubożenie u nas, ani wreszcie emigracyjna gorączka. Austrya i Galicya rozwijają się ekonomicznie stale, lecz powoli, a Stany Zjednoczone właśnie u schyłku ubiegłego stulecia coraz mniej ponętnie przedstawiały się dla obcych, szczególniej o ile nie byli zawodowymi rolnikami lub górnikami. Stąd też oscylacye ludności żydowskiej w Galicyi, są wynikiem czynników naturalnych, a ponieważ jak widzieliśmy, są zupełnie inne, aniżeli przemiany w stanie chrześcijan, więc polegają na przyczynach właściwych tylko Żydom. To też statystyka galicyjska dostarcza nam po rok 1880 i 1890 obrazu specyficznie żydowskiego rozkwitu, po tym czasie specyficznie żydowskiego przeludnienia. Właśnie dlatego posiada ona dla ujęcia sprawy żydowskiej bardzo poważną doniosłość, musimy przeto rozpatrzeć cokolwiek głębiej jej rezultaty.

Siłą i słabością Żydów jest ich ekonomiczna specyalizacya. Inne narody posiadają zawsze mniej lub więcej rozwinięte wszystkie klasy gospodarcze, które dzielą pomiędzy siebie poszczególne dziedziny pracy wytwórczej i nie tylko sobie nie przeszkadzają, lecz owszem wspomagają się nawzajem, każda bowiem tworzy koło odbiorców dla innych. Rozwój przemysłu podnosi dobrobyt rolników, i na odwrót zastój rolnictwa lub upadek handlu szkodzi tym nawet, których przesilenie bezpośrednio nie dotknęło, a przeludnienie pojawia się nader rzadko, gdyż wszystkie dziedziny są otwarte dla każdego, kto ma środki i siły do pracy. Z Żydami jest inaczej. Pod wpływem ewolucyi dziejowej skupili oni prawie wszystkie swe wysiłki na terenie handlowo finansowym, w gruncie rzeczy najmniej elastycznym. Potrącając nieznaczną stosunkowo część Żydów, oddających się innym zawodom, mamy ogromną większość złożoną z samych pośredników między producentem a konsumentem, lub kapitalistą a potrzebującym gotówki, a więc z ludzi, którzy sami nic nie wytwarzają, a zaspokajają użytecznie drobną tylko część gospodarczych potrzeb. Nie produkując, muszą żyć i bogacić

się jedynie z wynagrodzenia swych usług, t. zn. z zapłaty, która jest kosztem dla stron, pomiędzy któremi pośredniczą. Im więcej ich będzie, a potrzeby, którym służą, odpowiednio nie wzrosną, tem wyższe będą te koszta, bo muszą wystarczyć na utrzymanie większej liczby jednostek. Tymczasem potrzeby wzmagają się szybko tylko w krajach prędkim krokiem idących naprzód a i wyższe koszta pośrednictwa można ponieść tylko przy rozwoju dobrobytu. Gdzie tego niema, lub niema w dość wydatnym stopniu, pośrednictwo handlowo-finansowe staje się pod naciskiem nowych konkurentów coraz mniej zyskowne, t. zn. że tą samą zapłatą musi się dzielić, ze szkodą dla swych dochodów, większa liczba osób.

Ta specyalizacya Żydów, istniejąca od wieków, pozwoliła im zająć dominujące stanowisko w dziedzinie obrotu. Przez doświadczenie, wychowanie i fachowe wykształcenie uzyskali oni stanowczą wyższość nad współzawodnikami, tak, że to, co widzimy w małych miasteczkach, gdzie sklepy chrześcijańskie nie mogą prosperować wobec konkurencyi żydowskiej, było i w wielu krajach jest jeszcze typowem zjawiskiem na polu wielkiego handlu i w sferze finansów. Im trudniejsze było zetknięcie się producenta i odbiorcy, im gorsze komunikacye a stan prawny mniej pewny, tem wyżej należało opłacać pośredników, usuwających te trudności; im mniej było kapitałów, im one były trwożliwsze, tem znaczniejsze zyski zapewniały operacye finansowe. Tymi czynnikami tłumaczy się w znacznej mierze rozsiedlenie Żydów i akumulacya kapitałów w ich ręku. Przed wprowadzeniem nowożytnego ustroju prawnego i gospodarczego, po koniec XVIII stulecia, zyski ich i nagromadzenie zasobów pieniężnych były stosunkowo bardzo wielkie. Gdy więc w ubiegłym wieku rozwinęła się przedsiębiorczość gospodarcza, Żydzi stanęli do współzawodnictwa, wyposażeni lepiej od innych, mogli więc znowu zagarnąć do siebie lwią część nowych zdobyczy. W każdym jednak razie należy pamiętać, że zawdzięczają to w pierwszej linii epokom ubiegłym, które dały im środki i zawodową rutynę, że błędnem byłoby tłumaczyć ich dzisiejszą potęgę ekonomiczną, zmianą prawnego i politycznego ich poło-

żenia w ciągu stu lat ostatnich. Przemiany w ustroju prawnym i gospodarczym dały to samo innym, co Żydom; tamci jednak dla braku środków materyalnych lub kwalifikacyi osobistych nie mogli nowej sytuacyi wyzyskać w takim stopniu, jak Żydzi, od wieków na taką chwilę przygotowani. Najlepiej wyjaśni to przykład. Rumunia, obawiając się, ażeby ziemia nie przeszła tam w ręce żydowskie, pomieściła w swej konstytucyi przepis, że ziemię może posiadać tylko obywatel rumuński, a równocześnie odmówiła Żydom obywatelstwa, traktując ich jako cudzoziemców. Przypuśćmy, że uchyli się to ograniczenie i Żydzi zakupią w Rumunii znaczną część majątków. Wszakże nie będzie można zmiany konstytucyi uważać za jedyny powód tego faktu, gdyż główną jego przyczyną jest poprzednie nagromadzenie zasobów, a więc stan rzeczy, który swe powstanie zawdzięcza przeszłości.

Zawodowa jednostronność Żydów zadecydowała także o ich terytoryalnem rozmieszczeniu. Wskutek czynników geograficznych i historycznych, zaniedbały niektóre narody dziedzinę handlu. Aparat gospodarczy przeto był u nich nie kompletny i należało go koniecznie uzupełnić. Ponieważ swoi nie chcieli, czy nie umieli tego się podjąć, więc nie pozostawało nic innego, jak powierzyć tę rolę obcym, którzy w ten sposób znajdowali w tych krajach pole do działania i sposobność osiągnięcia wysokich zysków. W tem położeniu byli Polacy, stąd też dziedzinę handlowo-finansową objęli u nas najpierw Niemcy, potem Żydzi. Zwiększała się ich ilość w miarę postępu ekonomicznego i kulturalnego kraju, gdyż coraz większą doniosłość zyskiwał handel, a prócz Ormian nieznaczna tylko garstka ludności miejscowej poświęcała się temu zawodowi. Nawet szybszy stosunkowo wzrost Żydów, aniżeli chrześcijan da się w znacznej części wyjaśnić tymi samymi motywami. Postęp gospodarczy i kulturalny rozszerza skalę potrzeb, pomnaża ich rodzaje, wyposażając jednostki w coraz nowe pragnienia. Wskutek tego okazuje się niezbędność dostarczania raczej nowych, nieznanych lub nieużywanych przedtem wytworów, aniżeli powiększenia ilości dawniejszych. Innemi słowy, konsumcya jest coraz rozmaitszą, t. zn. dla zaspokojenia potrzeb jednostki musi praco-

wać większa liczba producentów. Ponieważ niema bezpośrednich stosunków między producentem a konsumentem, więc rośnie zapotrzebowanie pośrednictwa handlowego. Jeżeli np. w pewnej chwili, dla zupełnego pokrycia wymagań pewnej osoby, potrzeba było dwudziestu rodzajów dóbr, to pod wpływem wzrostu oświaty i zamożności potrzeba będzie później może trzydziestu lub czterdziestu, a więc podwoi się liczba wypadków, w których pośrednik jest niezbędny. I właśnie dlatego, że ten rozwój w znaczniejszym stopniu tworzy nowe, aniżeli podnosi ilościowo dawniej już znane potrzeby, wpływa on korzystniej na handel niż na zawody bezpośrednio wytwórcze, dając przeto więcej zarobku ludności handlowej, pozwala na szybszy jej rozrost. To było niewątpliwie, prócz innych niektórych przyczyn, powodem tak wielkiego rozmnożenia się Żydów w krajach polskich.

Lecz specyalizacya handlowa Żydów jest zarazem dla nich niebezpieczną. Nie mówiąc już o tem, że zawód ten przyczynił się w bardzo znacznej mierze do rozbudzenia powszechnej ku nim niechęci, należy podnieść, iż dostarcza on jednego z najpotężniejszych środków obrony przed zalewem żydowskim. Wystarczy stworzyć przeciw nim skuteczną konkurencyę na polu handlowem, ażeby doprowadzić do przeludnienia, a tem samem do emigracyi ludności żydowskiej. Inne narody posiadają w każdym razie większą odporność, bo wyparci z jednej dziedziny, pozostają, a nawet rosną w siły w innych. Żydzi, usunięci lub ograniczeni w akcyi handlowej i finansowej, nie znaleźliby sposobu dla zatrudnienia i utrzymania zbędnej części swej ludności bo w krótkim czasie niepodobna zaimprowizować racyonalnego podziału zawodowego społeczeństwa; na to trzeba pracować dziesiątki lat, jeżeli nie wieki. Widzimy to doskonale w naszych miasteczkach, w których proletaryat żydowski nader liczny, żyje w wielkiej nędzy, właśnie dlatego, że stanowi on grupę handlową niepotrzebną, a do innej pracy niezdolną.

Przystosowując te wywody do Galicyi, można powiedzieć, że ludność żydowska wzrastała po rok 1880, względnie 1890 bardzo szybko, z powodu podnoszenia się oświaty i dobrobytu,

przy równoczesnem kompletnem zaniedbaniu dziedziny handlowej przez sfery chrześcijańskie. Obrót był, dzięki rosnącemu zapotrzebowaniu, z każdym dniem większy, a prawie tylko Żydzi nim się zajmowali, nic przeto dziwnego, że wzrost ich mógł być bardzo znaczny. Od tego czasu pokazało się w naszem życiu publicznem kilka objawów, które nie tylko dalszy wzrost zatamowały, lecz nawet wywołały emigracyę żydowską. Wszystkie są czynnikami, wpływającymi na stosunki handlowe, dlatego też przedewszystkiem odbiły się na Żydach. Najważniejsze dadzą się ująć w następujące punkta:

1) Wykształcenie naszej sieci kolejowej, przedewszystkiem pod względem kolei lokalnych. Wiadomą jest rzeczą, że koleje, powodując nagły rozwój niektórych punktów, korzystnie położonych, równocześnie przyspieszają upadek mniejszych miasteczek, przez które przechodzą. Jest to zupełnie naturalne, gdyż przed zbudowaniem kolei taka osada stanowiła centrum gospodarcze dla pewnej okolicy, która wskutek odległości nie mogła wejść w bezpośrednie stosunki z dalszemi miastami. Kolej, ułatwiając komunikacyę, przenosi punkt ciężkości do miast większych, miasteczka więc tracą dawniejsze swe znaczenie i chylą się ku upadkowi. Obserwuje się to we wszystkich krajach, a u nas w wyższym może jeszcze stopniu, gdyż niekorzystna konfiguracya geograficzna kraju stworzyła bardzo wiele takich drobnych środowisk, które teraz powoli znikają. Im więcej było tych ogniw, tem większa liczba pośredników wtłaczała się pomiędzy konsumenta a producenta, t. zn. że centralizacya gospodarcza, wywołana ułatwieniami komunikacyjnemi, uczyniła zbędną znaczną część ludności handlowej, t. zn. żydowskiej. Tem tłumaczy się z jednej strony ogromna przewaga Żydów po małych miasteczkach, z drugiej zaś teraźniejsza ich emigracya z tych miejscowości, bo właśnie w ostatnich kilkunastu latach ruch budowlany na polu kolei lokalnych był bardzo ożywiony.

2) Reforma prawa propinacyjnego i sprzedaży soli. Wskutek wykupienia przez kraj propinacyi i wydzierżawienia ich w drodze publicznej licytacyi, zmniejszył się w znacznym sto-

pniu interes bezpośredni w wyzyskiwaniu nałogu pijaństwa, panującego w wielu okolicach pomiędzy naszym ludem. Propinacye przedtem niemal wyłącznie wydzierżawiane Żydom, którzy jedni tylko umieli wysoki czynsz dzierżawny odebrać, szerząc między ludem pijaństwo, dzisiaj w znacznej części wysunęły im się z rąk, a tem samem odpadło znowu źródło zarobku pewnej ich grupie. W taki sam sposób oddziałało objęcie sprzedaży soli przez Wydział krajowy, gdyż o ile rząd centralny liczył się jedynie z kwestyą wysokości swych dochodów, o tyle znowu instytucye autonomiczne musiały uwzględniać także interes ludności i sama wysokość uzyskanych zysków nie mogła być decydującą. To też, gdy przedtem handel solą był zmonopolizowany przez Żydów, obecnie wystąpiły do poważnej konkurencyi inne klasy ludności.

3) W tym samym kierunku oddziałały po wsiach sklepiki, założone przez Kółka rolnicze, a po miastach zwrócenie się ku handlowi pewnej części ludności chrześcijańskiej. Na utrzymanie ludności żydowskiej po wsiach składała się propinacya, sól, tytoń, myta, sprzedaż detajliczna pewnej liczby towarów codziennego użycia, wreszcie lichwa. Gdy zachwiano monopolem ich solnym i propinacyjnym, a prócz tego potworzono liczne sklepiki, prowadzone przez włościan, utrzymanie Żydów stało się znacznie trudniejszem i dlatego rozpoczęli oni opuszczać teren, nie dający im dostatecznego zarobku, co przejawia się głównie w Galicyi zachodniej. Podobnie, choć nie w tak wysokiej mierze, jest i w miastach. Bardzo powoli, lecz stale zaczynamy zrywać z dawnymi przesądami przeciw handlowi i wobec przepełnienia w innych zawodach, coraz częściej ludność chrześcijańska zwraca się ku pośrednictwu i zakładaniu sklepów. A każdy taki nowy zakład sprawia, że jedna rodzina żydowska staje się niepotrzebną.

4) Powstanie licznych instytucyi finansowych, ułatwiających drobny kredyt, jak towarzystw zaliczkowych, kas oszczędności, Raiffeisena i t. p. Jeżeli tamte okoliczności ścieśniały dla Żydów teren handlowy, to dostarczanie łatwego i tańszego kredytu zmniejsza zakres drugiego głównego ich źródła zarobku, płynącego z dostarczania kapitału. Ustawa przeciw lichwie nie

mogła wystarczyć, choćby wykonywana jak najściślej i najostrzej, ujmowała bowiem tylko negatywną stronę problematu. Kto potrzebował gotówki, musiał się poddać warunkom lichwiarskim, jeżeli nie mógł jej dostać w łatwiejszy i dogodniejszy sposób, a represya karna doprowadzała niekiedy tylko do tego, że lichwiarz kazał sobie płacić w procencie nie tylko za pożyczkę, lecz także za niebezpieczeństwo ewentualnej kary. Należało więc koniecznie uzupełnić ustawę akcyą pozytywną, t. zn. stwarzaniem instytucyi, zaspokajających uczciwie i tanio potrzeby kredytowe warstw ludowych. Wiele jest jeszcze na tem polu do zrobienia i dzisiaj mamy zaledwie początki, nie zawsze szczęśliwe. Lecz nawet i to, co już jest, wpłynęło nader zbawiennie, a ograniczając istotnie interesy lichwiarskie, którym przeważnie oddaje się uboższa ludność żydowska, kładzie powoli tamę wyzyskowi, a zarazem zmusza te kategorye przedsiębiorców do opuszczenia okolic, w których niema już pola dla dalszej eksploatacyi.

5) W końcu należy podnieść szerzenie się kultury gospodarczej i cywilizacyjnej pomiędzy ludnością wiejską. Wzrost zamożności włościan, który zawdzięczamy w wysokim stopniu czasowej emigracyi, zmniejsza także ilość osób potrzebujących gotówki, a więc niebezpieczeństwo lichwy; łatwość komunikacyi przyzwyczaja ich do częstszego odwiedzania miast znaczniejszych, wskutek czego małomiasteczkowi pośrednicy, z natury rzeczy najdrożsi, a więc najgorsi, tracą klientelę. Prawda, że i w miastach ludność wiejska kupuje głównie u Żydów, co powiększa dochód większych sklepów żydowskich. Lecz nie należy zapominać, że płaci ona tam mniej, niż w swojem miasteczku, bo ten większy kupiec, sprowadzając wprost z fabryk, przy nizkiej cenie ma jeszcze zysk dostateczny, podczas gdy handlarz małomiejski musi żądać więcej, gdyż między nim a fabryką stoi jeszcze magazyn hurtowny, któremu także wypada się opłacić. Stąd też przez zaopatrywanie się włościan w miastach, zmniejsza się ogólna suma zysków ludności handlowej, a więc żydowskiej. Wreszcie i oświata działa tu nader korzystnie i bardzo rozmaicie, tworząc nowe potrzeby kulturalne w miejsce czysto

materyalnych, uzdalniając do walki ekonomicznej i chroniąc przed licznemi formami wyzysku, jeżeli one polegają na wykorzystaniu ciemnoty drugiego kontrahenta.

Takie są główne przyczyny, naturalnie obok wielu innych drugorzędnych, dla których Żydzi nie znajdują już w naszym kraju tak dogodnych dla siebie warunków, jak dawniej. Niema chyba najmniejszej wątpliwości, że jest to rezultat nader dodatni, który dowodzi, że praca nad krajem w ostatnich kilkudziesięciu latach nie poszła na marne. Oceniając go w ten sposób nie staje się bynajmniej na stanowisku antysemickiem, lecz ściśle ekonomicznem. Wszędzie, gdzie grupa ludności handlowo-finansowej jest zbyt liczna, a handel jest głównie wewnętrzny, należy dążyć do jego uproszczenia, t. zn. do zmniejszenia liczby pośredników, gdyż żyją oni z opłat, składanych przez producenta lub konsumenta, a więc utrudniają albo produkcyę, zwiększając jej koszta, albo konsumcyę, podnosząc niezbędne wydatki na utrzymanie.

Do tych motywów ogólnych, przybywa u nas jeszcze wzgląd narodowy. W zaborze pruskim Żydzi są Niemcami, i to najzaciętszymi naszymi wrogami — a parę tygodni temu był wypadek, iż w jednym okręgu głosowali na Niemca antysemitę, ażeby tylko nie dopuścić do wyboru Polaka. Na Litwie i Rusi, pomimo brutalnego z nimi obchodzenia się tamtejszego rządu, są głównym czynnikiem rusyfikacyjnym, nawet w Królestwie, Żydzi napływający z Rosyi, występują wrogo przeciw ludności polskiej.

Tam tłumaczy się to względami, o których mówiłem już na początku, t. j. tendencyą ogólną Żydów do popierania silniejszych przeciw słabszym. Nie jest to etycznie piękne, lecz przynajmniej zrozumiałe ze stanowiska interesu i egoizmu. Cóż jednak powiedzieć o naszych stosunkach w Galicyi, gdy widzimy, że nawet tutaj, gdzie chyba najsilniejszym czynnikiem są Polacy, Żydzi w znacznej mierze wzmacniają szeregi narodowo wrogie, lub przynajmniej kosmopolityzm. W zachodniej części, jak powszechnie wiadomo, stanowią oni główną, jeżeli nie jedyną siłę socyalizmu. Bez względu na to, jakbyśmy się zapatrywali na

socyalizm ze stanowiska ogólnego, musimy go uważać u siebie za ruch narodowo nader niekorzystny. Socyalizm stoi na gruncie międzynarodowym, a jakkolwiek samą siłą rzeczy szerokie masy nie mogą sobie przyswoić istotnie tego poglądu, bo jest zbyt abstrakcyjny, to jednak akcentowanie tego kosmopolityzmu, choćby tylko formalne, musi na patryotyzm i przywiązanie do narodowych ideałów oddziałać niekorzystnie. W państwach niepodległych szkoda jest jeszcze mniejszą, bo byt kraju i narodu nie jest zagrożony; w naszem położeniu, gdzie potrzeba wytężenia wszystkich sił ku obronie zagrożonych pozycyi, jest to poważne osłabienie naszej odporności. A właśnie tutaj w pierwszym szeregu idzie wielka masa Żydów.

We wschodniej znowu części kraju, niebezpieczeństwo jest innego rodzaju. Tam Żydzi idą z Polakami, zdawałoby się więc, że popierają nasze wysiłki. Jest to jednak iluzya, której jak najpredzej wypada się pozbyć, bo ten sojusz polsko-żydowski nie tylko nie przynosi nam żadnych korzyści, lecz wprowadzając w błąd, może przyprawić o poważne szkody. Gdzie siła polska jest znaczna albo stosunki polsko-ruskie normalne, gdzie niema sporów i walk, czy też gdzie Polacy nie potrzebują obawiać się żadnego ataku, tam Żydzi są naszymi sprzymierzeńcami. Skoro tylko zaczyna się spór narodowościowy, opuszczają nas bardzo często i zajmują w najlepszym razie stanowisko obojętnych widzów, wyczekujących rezultatu, ażeby połączyć się ze zwycięzcą. Jest to jak gdyby odejście pewnego oddziału wojska z pola bitwy i nie potrzeba podkreślać strat, na jakie naraża się takiem postępowaniem opuszczonych przyjaciół, jeżeli na coś podobnego nie byli przygotowani. A właśnie w Galicyi wschodniej widzimy te objawy. Neutralną jest tam narodowość niemiecka, to też z pomiędzy wszystkich tamtejszych Niemców jest 80% Żydów, z pomiędzy wszystkich Żydów czwarta część podaje się za Niemców. Lecz ciekawszem jeszcze jest przerzucanie się Żydów z jednej narodowości do drugiej, które widzimy porównywując statystykę narodowościową Galicyi wschodniej z r. 1890 i 1900. Mianowicie z ogółu Żydów zapisało się

	jako Niemców		jako Polaków	
	1890	1900	1890	1900
w 20 powiatach sądowych o silnem stanowisku Polaków	37.801	4.374	53.877	88.209
w 24 powiatach sądowych, w których walka narodowościowa jest znaczna	36.429	61.389	81.977	61.040

Zdaje mi się, że przeciwstawienie tych paru cyfr jest tak charakterystyczne, że nie wymaga żadnego komentarza. W razie pomyślności ma się przyjaciół do zbytku, którzy opuszczają dom natychmiast, skoro najlżejsze grozi niebezpieczeństwo. Wobec tego problemat kwestyi żydowskiej ze stanowiska narodowego da się streścić w twierdzeniu, że jak najprędzej należy zerwać z mrzonką spolszczenia Żydów i zastanowić się nad tem, czy w inny sposób, przy pomocy innej doktryny, nie dałby się w możliwie najlepszej formie unormować nasz wzajemny do nich stosunek. Z chwilą, gdy się stanie na tem stanowisku, nasuwa się natychmiast kwestya syonizmu, jako rozwiązanie najprostsze, bo przyznające Żydom odrębną narodowość. Rozpatrzeniu jednak tej kwestyi zamierzam poświęcić osobny artykuł.

Dr. Włodzimierz Czerkawski.

WYKOPALISKA RZYMSKIE POD PESZTEM.

O pół godziny drogi od mostu Małgorzaty w Peszcie, na prawym brzegu Dunaju, za Starą-Budą (Ó-Buda) leżało w starożytności miasto niewielkie, ale nader ważne pod względem strategicznym i handlowym — Aquincum. W drugiej połowie XIX w., głównie zaś w ostatnich latach, przeprowadzono z wielką umiejętnością i nakładem znacznych kosztów, odkopanie ruin tego miasta i urządzono piękne muzeum, celem pomieszczenia drobniejszych wykopalisk. Praca nad wykopaliskami trwa dalej. Opis tych zabytków uważamy jako aktualny już dlatego, że Aquincum, przez położenie swe koło Pesztu, jest dla nas, Polaków, wyjątkowo bliskie i leży na drodze, którą my, dążąc do południowych miejsc kąpielowych i t. p., dość często odbywamy. A jednak Aquincum jest prawie nieznane szerszym kołom: głównym tego powodem jest dziwna wyłączność narodowa Węgrów, którzy nie dbają o informowanie obcych co do zabytków swoich i o publikowanie dobrych popularnych przewodników w językach przystępnych dla innych narodów.

Połączenie Pesztu z Aquincum jest bardzo dogodne. Tramwayem elektrycznym przyjeżdżamy ze śródmieścia do mostu Małgorzaty, a stamtąd koleją wicinalną, po prawym brzegu Dunaju, dostajemy się w przeciągu 20 minut na miejsce.

Wykopaliska te nie są zbyt wielkie. Jednak już jako pomniki i pamiątki po narodzie o tak szeroko rozgałęzionej kulturze i o tak wielkiej potędze politycznej zasługują na uwagę.

Nadto mają one znaczenie odrębne. Historyą swoją i szczegółami rzucają światło na wygląd i stosunki w kresowem mieście *imperium* rzymskiego i to nadaje im pewne piętno oryginalności.

Pragnąłbym, aby opis ten zachęcił naszych turystów do zwiedzenia ruin Aquincum. Paru godzin tam spędzonych nikt nie pożałuje. Opis niniejszy nie jest dla specyalistów na tem polu przeznaczony. Odsyłam ich do wyczerpującej i z wielkiem znawstwem przedmiotu opracowanej książki prof. Kuzsinszky'ego[1], z której i przy zwiedzaniu ruin i przy niniejszej pracy korzystałem.

* * *

Aquincum leżało w punkcie, w którym stykały się trzy najważniejsze drogi państwowe rzymskie. Jedna z nich, idąca na północ i na zachód, łączyła je z Brigetio (Komorno), Vindoboną (Wiedeń), z Castra Batava (Passawa) i z innemi miastami granicznemi, na linii Dunaj - Ren, druga — na południowy zachód — z Tryestem (Tergeste) i Aquileją, a więc i z Włochami, trzecia zaś, południowa — idąca, podobnie jak pierwsza, nad Dunajem, ale z biegiem rzeki, prowadziła do Mursa (niedaleko dzisiejszego Esseg i ujścia Drawy) a więc pośrednio i na półwysep bałkański. Punkt ten był nadto w *imperium* najwięcej na północny wschód wysunięty, wcześnie też został obrany na stanicę wojskową. Choć czasu powstania miasta dokładnie nie znamy, to jednak istnienie Aquincum już za panowania Trajana (r. 96—117 po Chr.), kiedy miały miejsce podboje Dacyi — musi być uważane za fakt pewny. Przeznaczono tu, do obrony fortu, II legion posiłkowy, który, stosownie do systemu wojskowego rzymskiego, pozostał na miejscu bardzo długo, bo jak się zdaje, przez całe trzy wieki. Za wojskiem pociągnęli rzemieślnicy, handlarze i cały ten tłum ludzi, który za legionami stale wędrował i dawał zwykle początek powstaniu miasta. (Jako przykład takiego miasta może służyć taka Kolonia, która od podobnej osady miano swe nawet otrzymała). To samo było i tutaj. *Cana-*

[1] *Die Ausgrabungen zu Aquincum*, beschrieben von Dr. Valentin Kuzsinszky. Budapest. Mit 2 Beilagen und 48 Illustrationen.

benses, t. j. tacy rzemieślnicy i handlarze, łączą się w gminę z dwoma *magistri* na czele, aklimatyzują się i pozwalają pobudować obok siebie ludności tubylczej, celtyckiej [1]. Już za Hadryana dostają *canabenses* ustrój municypalny, t. j. miejskie prawo rzymskie. Ludność miejscowa (szczep Erawisków) korzysta z tego prawa częściowo, trzymana jest jednak trochę na uboczu, bo — jak to wykopaliska w ciekawy sposób wykazały — Rzymianie oddzielili ich od siebie cmentarzem. Miasto rośnie szybko. Znaczny procent przyrostu stanowią weterani, którzy miejsca swej służby wojskowej nie chcą opuszczać. Wzrost miasta łączy się ze wzrostem potrzeb, których cywilizowani Rzymianie mieli wiele. Pominąwszy już zaprowadzenie kanalizacyi i wodociągów, wzniesiono tu budynki publiczne, jak ozdobną halę targową, łaźnie publiczne i amfiteatr. Domy budowane są staranniej; ozdabia się je mozajkami, polychromią i marmurami. Miejsce niezgrabnych płaskorzeźb, zdobiących starsze budowle, np. świątynię Mitrasa, zajmują piękniejsze statuy, jak posąg bardzo zgrabnej i lekkiej w swym ruchu Victorii, do dziś dnia zachowanej. Ta i podobne rzeźby i ich fragmenta, które znajdują się obecnie w muzeum, świadczą, że ci Rzymianie na obczyźnie nie stracili swego znanego zamiłowania do zdobnictwa plastycznego. Na placu publicznym, obok hali targowej, postawili oni pomnik z bronzu któremuś cesarzowi — niestety zostało z niego nie wiele. Najwięcej zabytków plastycznych zachowało się pomiędzy nagrobkami i sarkofagami.

Czasy kwitnienia Aquincum przypadają mniej więcej na początek III w. po Chr. Przynajmniej z tych czasów pochodzi większość budynków, sarkofagów i napisów, opowiadających o zasłużonych wodzach, żołnierzach i dostojnikach miasta. Dla swego ważnego położenia było ono uważane za stolicę Dolnej

---

[1] Wiadomo, że Celtowie (Gallowie) w swych wędrówkach na wschód trzymali się brzegu Dunaju. Nazwa tej rzeki od nich pochodzi. Znaczy ona po celtycku — „wielka woda". Drogą tą zaszli oni aż do Morza Czarnego, a nawet posunęli się dalej, bo przez półwysep bałkański do Małej Azyi. (Galatia, państwo celtyckiego pochodzenia istniało tam już od III w. przed Chrystusem).

Pannonii. Nie można bliżej oznaczyć, kiedy Aquincum zaczęło upadać i kiedy ostatecznie zostało zniszczone. Wiadomo, że w drugiej połowie III w., wśród zamętu wewnętrznego i najazdu dzikich ludów, nawet Italia doznała napadu barbarzyńców. Wtedy też Pannonia, a przedewszystkiem nasze miasto, musiało ucierpieć po raz pierwszy od hord grasujących nad Dunajem. Mamy w Aquincum tablicę z r. 259, a więc z roku, w którym Valeryan odniósł zwycięstwo nad Partami, ale napis na niej umieszczony nic nie wspomina, ani o tym wypadku, ani o żadnych groźniejszych przejściach miejscowych. Jednakowoż już z końcem III w. po Chr. musiało miasto powoli schylać się ku upadkowi, skoro Julian Apostata w pierwszej połowie IV wieku, z gruntu restauruje tutejszą świątynię Mitrasa zniszczoną bardzo. Ale istnienie jej nie przeciągnęło się na długo. Jak, na podstawie znalezionych n a d tą świątynią pieniędzy, oblicza prof. Kuzsinszky, już przed rokiem 375 była ona całkiem gruzami i ziemią zakryta. Wprawdzie castra stativa, t. j. obóz rzymski mógł jeszcze sam bez miasta, opierać się barbarzyńcom, ale właśnie w tym czasie (375 r.) zaczęły się wędrówki narodów i Wizygotowie przeszli granicę Dolnego Dunaju. Na Aquincum rychło przyszedł koniec. Złupione, zniszczone, skryło się z biegiem czasu pod ziemię, i dopiero w czasach najnowszych zostało odkopane, podobnie jak cały szereg innych posterunków i osad z czasów rzymskich, rozrzuconych po Węgrzech. (Sarmisegetusa, Rákos, Tólschach, Budaörs i w. i.) Wykopaliska wzięte przez miasto Peszt w prawdziwie troskliwą opiekę, są przedmiotem dokładnych badań, a każdy rok przynosi tu nowe zdobycze. Dla pomieszczenia drobniejszych zabytków, zbudowano wśród starych murów muzeum, budynek nie wielki ale prawdziwie piękny, pod względem architektonicznym wzorowany na klasycznych budowlach z czasów rzymskich. Mamy na miejscu i bardzo dobre przewodniki drukowane i — przedewszystkiem — znakomitego *cicerone*, pana Csides, byłego podoficera, który w podziw nas wprawiał nie tylko drobiazgową znajomością wykopalisk, ale i niezdawkowemi wiadomościami z rzymskich starożytności.

I. Świątynia Mitrasa (Mithraeum).

Stajemy przed drewnianym, podłużnym budynkiem, wybudowanym przez konserwatorów w celu ochronienia odkopanych murów świątyni Mitrasa.

Poszukiwania archeologiczne nad Renem i Dunajem, t. j. na strategicznych liniach państwa rzymskiego, wykryły wielką liczbę takich świątyń, nawet po kilka na jednem miejscu. W Aquincum cześć Mitry musiała być też znacznie rozpowszechnioną, bo znaleziono tu, nawet poza Mithraeum, pewną liczbę tablic i ołtarzy wotywnych, ofiarowanych temu bóstwu. Świątynia, w stosunku do innych odkopanych, ma być znacznie lepiej zachowaną. Ciekawą jest cała jej budowa. Różni się ona od konstrukcyi znanych nam świątyń rzymskich i greckich. Jej odmienność spowodował charakter religii oryentalnej, pełnej tajemniczych obrządków i surowych warunków dla wstępujących do gminy wyznaniowej. Chciała ona już samym wyglądem zewnętrznym świątyni, samą formą, działać odpowiednio na człowieka. Nauczano, że Mitras urodził się ze skał, i w ten sposób tłómaczono zjawisko wschodu słońca i jutrzenki, wynurzającej się w oczach ludu ze skał i gór widnokręgu. Stąd powstał zwyczaj, że bóstwa czczono przez palenie wielkich stosów na wzgórzach, stąd miejscem nabożeństwa stały się pieczary i groty wśród skał. W czasach późniejszych, kiedy po rozszerzeniu się kultu, Mitrasa czczono i na równinach, zamieniło się to na inny zwyczaj, mianowicie, budowania świątyń w takich miejscach i w sposób taki, aby przypominały tajemniczość i niedostępność gór. Przyjrzyjmy się naszej świątyni. Stała ona (jak wykazały badania prof. Kuzsinszky'ego, przy rozkopywaniu gruntu) w miejscu otoczonem mokradłami, a tylna ściana wbudowaną była w pagórek w ten sposób, że tylko dach ponad ziemię wystawał. To dążenie do mistycyzmu, któremu nasza świątynia zawdzięczała swoje nawpół podziemne położenie, pociągnęło za sobą i dalsze skutki. Z góry musiano odrzucić wszelką myśl, aby świątynia miała wygląd imponujący bądź rozmiarami, bądź też zdobnictwem architektonicznem. Budynek był całkiem skromny. Ściany

jego, tworzące wydłużony prostokąt, wynosiły 7·75 m. (węższe) i 15 m. (dłuższe boki) o kolumnadach, portykach, słupach mowy tu wcale niema. Ściany były proste, ponure, bez ozdób i rozumie się — bez okien.

Po kilku stopniach na dół wiodących zstępujemy do wnętrza. Podzielono je w długości na części trzy: dwie pierwsze po 3 m. długości a trzecia blizko 8 metrów. Ta część ostatnia to, podobnie jak w świątyniach greckich i rzymskich, jej część najważniejsza, właściwa *cella:* część środkowa (druga) jest jej przedsionkiem, *pronaos.* Za to przeznaczenie pierwszej przestrzeni było zagadkowe. Dopiero po głębszem kopaniu znaleziono w gruncie podstawę i posąg Hermesa. Stąd przypuszczamy, że część tę jemu przeznaczono, że to było jego osobne *fanum.* Po lewej stronie, obok tego *fanum,* znajduje się maleńka komórka podłużna. Czy to była szatnia kapłanów, czy jakiś skarbiec — nie wiadomo.

Przez wysoki próg, na którym wspierały się drzwi, na czopach obracane, przechodzimy do części drugiej, *pronaos,* t. j. do przedsionka samej świątyni. Stoi tu tylko skromny ołtarz wotywny, a kilka tafli dawnej posadzki wala się po ziemi. Idziemy dalej. Po kilku stopniach schodzimy jeszcze głębiej do trzeciej części, — do samej świątyni tajemniczego Mitry, który przed swe oblicze dopuszczał zapewne tylko samych kapłanów. To, co tu zostało, jest bardzo oryginalne. Szkoda, że nie możemy zobaczyć świątyni w jej pierwotnym stanie ze wszystkimi ciekawymi szczegółami. Cellę zwężono dwoma podłużnymi murkami, wysokości kilkudziesięciu centymentrów a w ten sposób podzielono ją na 3 części: środkową, znacznie szerszą i leżącą głębiej pod poziomem gruntu i dwie mniejsze, wąziutkie, położone wyżej, po obu stronach części środkowej, poza tymi murkami, jakby rodzaj galeryjek. Część środkowa zawierała wszystkie świętości. Tu, wśród światła lampek rzucającego ponure blaski na ściany pomalowane zieloną i czerwoną farbą, panował surowy i tajemniczy Mitras. Ślady malowania ścian zachowały się do dziś dnia. Wzdłuż ścianek bocznych, stoją symetrycznie cztery ołtarze wotywne. Są to słupki tej wysokości, co i ścianki,

o kształtach i ozdobach prostych, sztywnych. Podstawę każdego z nich stanowi sześcian *(plintus)* i czworograniasta profilowana *basis*. Na niej wznosi się graniastosłup ozdobiony w górze gzemsem, a ten dźwiga czworograniastą płytę, ozdobioną z boku ornamentem z liści stylizowanych. Na tym rodzaju abakusa leży mniejsza, podobna płyta kostkowa, wyrastająca niejako z czterech (a czasem z ośmiu) na rogach tkwiących liści, grubych, sprowadzonych do najprostszej postaci. Sposób wykonania, szczególniej tej górnej części, gdzie przychodzą liście stylizowane, przypomina styl romański. W tej kostce górnej tkwiła, wtopiona w kamień, podstawa ołowiana, mająca podtrzymywać naczynie ofiarne[1]. Frontowe ściany graniastosłupów noszą napisy. W *Mithraeum* uwiecznia się na nich, znany nam i z innych tablic, M. A. Victorinus, dekurion (rajca miejski) i edyl wojskowy— czciciel Mitrasa i zapewne fundator świątyni. W głębi na ścianie tylnej stoją na podmurowaniu dwie płaskorzeźby. Pierwsza z nich wyobraża młodego Mitrę, wynurzającego się ze skał z pochodnią w jednej a ze sztyletem w drugiej ręce. Jest to więc alegorya wschodu słońca. Pochodnia, to słońce; sztylet — oznaka zwycięstwa nad ciemnościami. Druga płaskorzeźba wyobraża Mitrasa zabijającego byka, t. j. niszczącego mrok, zło, nieczyste potęgi. Podobnie jak na poprzedniej są tu symbole dekoracyjne: wąż pełzający (t. j. duch złego) a nadto dwie postacie po bokach grupy środkowej. Trzymają one pochodnie: jedna do góry, druga na dół. Są to wyobrażenia letniego i zimowego zrównania dnia z nocą, a więc też Mitras, tylko w innej fazie życia. Zowie się on wtedy *cautopates* albo *cautes-pates*. Wyraz ten, według Steudinga, jest pochodzenia łacińsko-zendyjskiego, i ma, według niego, znaczyć — „pan skał". Obie rzeźby mają technikę bardzo pierwotną; szczególniej pierwsza z nich przypomina bardzo wykonaniem rzeźby oryentalne (egipskie). Prawdopodobnie powstały one na wzór płaskorzeźb wykonanych przez wschodnich, właściwych czcicieli Mitrasa. Z surową i ponurą świątynią łączą się one przez tę swoją prymitywność bardzo harmonijnie.

[1] Podstawa taka zachowała się tylko na jednym ołtarzu przechowywanym dziś w muzeum.

II. Amfiteatr.

Budynek ten stał poza murami obozu, w północnej części miasta. Zabawy i igrzyska nie były jedynem jego przeznaczeniem. Mury bardzo grube, położenie, wreszcie analogie z innemi wykopaliskami każą przypuszczać, że podczas wojny używano go jako dalszy ciąg przedłużenia kasztelu. Z tego to zapewne powodu doszedł do naszych czasów w dosyć zniszczonym stanie. Z biegiem czasu urósł nad jego zwaliskami duży pagórek *(Csigadomb, Schneckenberg),* który dopiero w ostatnich czasach rozkopano i odkryto w ten sposób ruiny amfiteatru. Pod względem wielkości zalicza się on do średnich budowli starożytnych tego rodzaju. Owalny w przekroju, ma on w osi dłuższej 86, w krótszej 75 metrów długości. Naokoło areny wznosiła się — jak zwykle — *cavea,* t. j. miejsce dla widzów. Długie szeregi ław wspierały się na dwu głównych murach, z których większy był zarazem zewnętrzną ścianą amfiteatru, niższy, wewnętrzny, współśrodkowy z pierwszym, oddzielał widzów od areny. Ten mur wewnętrzny, *podium,* zbudowany z pięknie obrobionych i pomalowanych kostek kamiennych, wznosił się z poręczą pierwszego rzędu siedzeń do jakich trzech metrów wysokości. Niestety z poręczy i ze siedzeń niewiele zostało: zapadły się one dawno w głąb.

W tem miejscu, gdzie elipsa teatru jest najwięcej wydłużona, znajdują się dwie bramy: *porta pompae,* t. j. brama dla wchodzących gladyatorów i 2) *porta triumphalis,* przez którą zwycięscy opuszczali arenę. Bramy te w skromnym amfiteatrze stanowiły ważną ozdobę. Swymi dużymi łukami ożywiały znacznie monotonność ścian. To samo znaczenie ma kilka nisz, w murze zewnętrznym, koło wejść gladyatorskich. Stały w nich statuetki bogów i bogiń, wiążących się zakresem swego działania, z igrzyskami i zabawami cyrkowemi. Do nich należy zachowana po dziś dzień figura Fortuny w długim, powłóczystym *chitonie* z krótkiemi rękawami i z narzutką. W ręce trzyma wiosło wsparte na kuli.

Oblicza prof. Kuzsinszky, że 3.000 widzów mogło się pomieścić w amfiteatrze. Było tu około 24 rzędów siedzeń. Po po-

równaniu budynku z innymi nam znanymi, szczególniej z pompejańskim, *cavea* w stosunku do areny okazuje się niezwykle małą w Aquincum. Wskazywałoby to z jednej strony na małą liczbę ludności w tem mieście, ale z drugiej na jej wielkie zamiłowanie w tego rodzaju widowiskach, kiedy dla tak nielicznej stosunkowo publiki zbudowano osobny amfiteatr.

Pod każdym względem byli ci Rzymianie na obczyźnie mniej uprzywilejowani, niż ich rodacy w Italii. Odległość i zimny klimat powodował, że wszelkie południowe zwierzęta cyrkowe były nadzwyczajną rzadkością. Trudność sprowadzania takich okazów powiększała jeszcze ta okoliczność, że sam Rzym potrzebował ich w olbrzymiej ilości. Z pozostałych pod areną kości zwierząt należy wnioskować, że do produkcyi używano najczęściej zwierząt miejscowych: dzika, rogacza i wilka. Zimny klimat i deszcze nie często pozwalały ludowi bawić się pod gołem niebem. Kosztowne *velarium* sukienne, jakie z iście cesarskim przepychem rozwieszano nad cyrkami i kolosseum w Rzymie, tu nie mogło być wprowadzone. Musiano się uciec do innego sposobu. Przy kopaniu gruntu areny znaleziono wielką liczbę czerwonych dachówek. Sporządzono z nich dach, wsparty na krokwiach a biegnący pochyło nad siedzeniami i umożliwiono w ten sposób przyglądanie się widowiskom nawet podczas niepogody. Te dachówki, które wybiegały najdalej, t. j. nad najniższe siedzenia i szły nad *podium*, zamknięto od frontu wyobrażeniem masek teatralnych, komicznych i tragicznych, a ta girlanda razem musiała wyglądać dość pięknie. Znaleziono w Aquincum doskonale zachowane negatywy do odlewania tych ozdobnych dachówek, coby świadczyło, że wyrabiała je miejscowa fabryka. Maski te są ładnie wykonane i mogą stanowić przyczynek do poznania scenicznych urządzeń w starożytności.

III. Fanum Nemezy.

Podobnie jak przy innych amfiteatrach (np. w Carnuntum niedaleko Wiednia) istniał i tu osobny kult Nemezy, nie jako bogini sprawiedliwości, tylko ślepego losu, który odgrywał tak ważną rolę przy igrzyskach. Czczono ją wespół z Dyaną,

opiekunką myśliwstwa, a więc i wszelkich walk ze zwierzętami. Miała Nemesis przy jednej z bram amfiteatru osobną świątynię, odosobnioną od placu dziedzińcem i murem, ale ta tak zniszczała, że ledwo trochę fundamentów daje się dziś widzieć. Za to lepiej utrzymały się mury małej świątyńki *(fanum)* tejże bogini. Kult jej złączono tu z kultem Dyany a nawet, co dziwna, na jednej tablicy zidentyfikowano oba te bóstwa. Przypomina to zidentyfikowanie Mitrasa z Jowiszem, jak to widzieliśmy w *Mithraeum*. Ale *fanum* różni się od poprzedniej świątyni swoim typem całkiem klasycznym. Jest to podłużny budynek podzielony na mały przedsionek — *pronaos* i właściwą *cellę*. W przedsionku znaleziono głowę Dyany: cella zaś miała ciekawe malowidła, ale te zniszczały w kilka lat po odkryciu. Znaleziono nadto w celli sporą liczbę (14) wotywnych ołtarzy, kamieni i napisów z literami bardzo starannie wykutemi i napuszczonemi czerwoną farbą. Umieszczone na jednym z nich nazwiska konsulów, pozwalają oznaczyć bliżej czas jego powstania (rok 162 po Chr., za panowania Antoniusa Piusa). Ponieważ płyta ta ofiarowana „wszechpotężnej Nemezie“ zdaje się być napisem erekcyjnym, wyciągamy stąd wniosek, że i amfiteatr w tym czasie powstał. Na innej tablicy, Nemeza, którą, jak wyżej wspomniałem, zidentyfikowano z Dyaną, jest jeszcze połączona z Silvanem.

IV. Łaźnie publiczne.

Z obozu, który rozciągał się niedaleko amfiteatru, pozostały tylko drobne fragmenty muru fortyfikacyjnego i wieży południowej. Wzdłuż wschodniego boku tego obozu szedł gościniec państwowy, rzymski. Zastąpiono go dzisiaj nowym i po nim to wracamy do śródmieścia, *canabae*[1], *centrum* miasta, gdzie też znajdujemy najwięcej budynków publicznych, a więc halę targową, palestrę i łaźnie publiczne. Łaźni tak publicznych jak prywatnych było stosunkowo dużo, bo, jak badania dotychczas odkryły, ośm. Świadczy to, że niezwykłe zamiłowanie do

[1] Dotychczasowe wykopaliska, obejmujące same *canabae*, zajmują teren wynoszący około 9,500 m². Praca trwa dalej.

kąpieli rozpowszechniło się z biegiem czasu i w najodleglejszych częściach *imperium*. Termy, jak mamy tego dowody, stawiano wszędzie, nawet po najmniejszych miastach prowincyonalnych, budowano starannie i zaliczano zawsze do najważniejszych gmachów. Ponieważ trzymano się typu, używanego w Rzymie, części istotne są w nich wszędzie jednakie.

Największe łaźnie leżą w Aquincum przy gościńcu państwowym i dawnym obozie, po jego wschodniej stronie. Zdążamy do nich główną ulicą miejską, która doskonale zachowała się do naszych czasów. Wyłożona dużemi taflami kamiennemi, nosi dotychczas ślady kół wozowych w postaci dwu rowkowatych zagłębień. Z całego budynku przytykała do tej ulicy tylko brama wchodowa, reszta jego zabudowań odgraniczona jest murem, na którym stały dawniej podcienia, na słupach wsparte, i budy kramarskie. Przechodzimy przez przedsionek ozdobiony trzema filarami (dziś resztki tylko) i stajemy na progu kamiennym, snadź często w dawnych czasach deptanym, bo jest w środku głęboko wklęśnięty.

Z powodu starannego wykonania murów, należy ten budynek do lepiej zachowanych w Aquincum. Wprawdzie nieliczne tylko części muru dochodzą do wysokości pół piętra, jednak, gdy zważymy, że dom był parterowy i wspierał się jeszcze na sztucznej piwnicy, musimy uznać ten stan za bardzo dobry.

Obok przymurowanej z boku izby dla dozorcy *(capsarius)*, wchodzimy do pierwszej sali — *apodyterium*. Wszystkie cztery najważniejsze lokale, *(apodyterium, frigidarium, tepidarium* i *caldarium)* są mniej więcej jednakich rozmiarów (18><10 lub 12 m.) *Apodyterium* było salą największą, z posadzką wyłożoną cegiełkami mozajkowemi. Sala była malowana (śladów mało). W górze biegł gzems, z którego został znaczny fragment. Rzeźba, podobnie jak i inne zachowane w Aquincum, już na pierwszy rzut oka pozwala oznaczyć swój czas powstania. Jestto robota z czasów upadku sztuki klasycznej. Wszystkie motywa ornamentowe: liście klonu i akantu, „wołowe oczy“ stylu jońskiego, a nadewszystko palmety, są przekształcone, przestylizowane, a proporcye zmienione.

Z *apodyterium* przechodzimy do *frigidarium* (zimne łazienki). Składało się ono z dwóch części: z sali prostokątnej (zapewne do rozbierania się) i z basenu, umieszczonego w półokrągłej absydzie, a oddzielonego od sali murkiem. Do basenu schodzi się po schodkach ceglanych. Jest tu jedna rzecz bardzo ciekawa: mianowicie sposób obłożenia i otynkowania ścian, doskonale zakonserwowanych. Pierwszą warstwę stanowią tafelki ceglane, przylegające bezpośrednio do muru. Powierzchnia tafelek jest falista, aby warstwa wapna z gruboziarnistem piaskiem, lepiej się na niej trzymała. Na to dopiero nałożono t. zw. *terrazzo*, t. j. masę, zrobioną z wapna, gipsu i kawałeczków potłuczonej cegły. Po zastygnięciu masę taką polerowano, przez co otrzymywała ona wygląd obrobionego granitu. W ten sposób zabezpieczano ściany przeciw przedostawaniu się wody.

Z *frigidarium* wchodzimy do *tepidarium* (łaźnia letnia), przez dwa boczne korytarzyki; widocznie aby nie wyziębiać tego lokalu. Przed użyciem kąpieli gorącej trzeba było rozgrzać nieco ciało, oziębione we *frigidarium*. *Tepidarium* służyło ku temu celowi. Dwie sale poprzednie nie potrzebowały *hypokaustum;* ta, jako ogrzewana, mieć je musi. Gdy budynek uległ z biegiem czasu zniszczeniu, posadzka runęła pod ciężarem spadającego sklepienia, tak, że teraz stoją tylko mury pionowe i piwnice, t. j. *hypokaustum*. *Tepidarium* nasze różniło się od innych tem, iż posiadało także basen mieszczący się w półokrągłej absydzie. Tu znajdujemy płytę kamienną, pamiątkową jakiegoś Claudiusa, z której prof. Kuzsinszky wnioskuje, że łaźnie stanęły za Septimiusza Sewera (193—211 po Chr.).

Caldarium. Do obu krótszych boków tej najważniejszej sali, przylegały po dwa wielkie piece. Ciepło szło tu od podłogi i przez przewody (kaloryfery), które wprowadzały taką masę gorącego powietrza do izby, że znajdujący się w niej goście musieli się rozgrzać aż do potu. To było celem łaźni. Kto chciał nadto użyć gorącej kąpieli wodnej, miał na to dwa baseny prostokątne u węższych boków sali *(alvei)*. Basen do zimnych obmywań *(labrum)* znajdował się w półokrągłej absydzie, nawprost wejścia.

Laconicum. Wedle świadectwa starożytnych pisarzy[1], był to rodzaj zakładu hydropatycznego. Leczono się w nim przedewszystkiem na choroby żołądkowe. Rozumie się, że używano tych kąpieli całkiem oddzielnie, i wskutek tego mają one wejście osobne. *Laconicum* dzieli się na trzy części. Pierwsza mieści w sobie wielki piec i małe hypokaustum, gdzie kondenzowało się gorące powietrze, druga, to *laconicum* samo, zupełnie podobnie urządzone jak *caldarium*, tylko nieco mniejsze i gorzej zachowane, trzecia — resztkami urządzeń wskazuje, że tu była kloaka.

Drugie łaźnie publiczne leżą też w części miasta najlepiej zabudowanej a wskazują na to nie tylko ruiny domów stojących jeden przy drugim, ale i nader staranne i trwałe wykonanie kanałów i ulic. Różnica od poprzednich łaźni nieznaczna. Łaźnie wreszcie trzecie leżą w punkcie mniej zabudowanym, są od dwu pierwszych mniejsze, urządzeniem do nich całkiem podobne.

V. Macellum i inne budynki publiczne.

Niedaleko od pierwszej łaźni, otoczona z trzech stron najważniejszemi ulicami, z czwartej placem, wznosiła się dawniej budowla prostokątna, parterowa, zawierająca kramy i plac targowy — *macellum.* Jest to rodzaj naszej nowoczesnej hali targowej, z tą tylko różnicą, że sklepy stanowią czworobok, zamykający w sobie podwórze, i że mają dostęp tylko od wewnątrz. Cały więc ruch handlowy skupiał się na tym placyku. Dzisiejszy stan budowli jest bardzo zły. Jeden bok cały i połowy dwóch, jemu przyległych, zniszczały całkiem. Niemniej z drugiej części (t. j. z całego naprzeciwległego boku i dwu połówek sąsiednich), możemy nabrać dobrego wyobrażenia o całości. Cztery wejścia w rogach podwórza prowadziły do wnętrza. Kramy (po pięć z każdego boku) były prawie kwadratowe i nader małe (bok = 3 metry). To pociągnęło za sobą potrzebę magazynów, które zbudowano za sklepami, a więc od ulicy. Ściana kramu wychodząca na ulicę musiała pomieścić nie tylko pult, na który towar wykładano, ale i drzwi, któremi handlarz

[1] Vitruvius.

do środka wchodził. Dlatego to cała ściana przednia była ruchoma, ułożona zapewne z desek, które zakładano poziomo, do rowków w progu i obramieniu kamiennem, do dziś zachowanych. Tak towar jak i kupujący go musieli być zabezpieczeni od deszczu i zbytniego słońca: w tym celu urządzono przed sklepami kolumnadę, wspierającą dach, ze ściekiem na wewnątrz, jak w starożytnych domach rzymskich *(peristylium)*. Ze słupów zachowały się tylko podstawy i drobne ułomki. W samym środku placyka widzimy kolisty mur wysokości pół metra, robiący wrażenie basenu. Ślady wskazują, że był otoczony słupami, które dźwigały zapewne daszek okrągły, co robiło miejsce to podobnem do okrągłej świątyńki. Prof. Kuzsinszky zaprzecza, jakoby tu mógł być basen i przypuszcza, że to był także kram. Tymczasem w Pompei znajduje się taki sam budynek i widocznem jest, do jakiego celu tam służył. W kanale idącym od muru kolistego (w Aquincum też są w bliskiem sąsiedztwie resztki kanału) — znalazło się[1] mnóstwo łusek rybich, świadczących, że to miejsce służyło za basen na ryby, na sprzedaż wystawione. W Aquincum musiało być to samo. Tyle o *macellum*. Oprócz tego, dla innych przekupniów istniał jeszcze cały szereg sklepów, które mieściły się za podcieniami, ciągnącemi się wzdłuż ulicy głównej. Widzimy tu dziś tylko podstawy słupów i fundamenta kramów. Tylko wysokie progi kamienne, łączące wszystkie fronty sklepów dochowały się w stanie nienaruszonym. Widzimy na nich ślady podwójnych rowków: ściana przednia składała się widocznie z dwóch, a nie z jednego rzędu desek. Ta okoliczność oraz trwalsza budowa murów naprowadza na wniosek, że tu były kantory pieniężne.

Warto jeszcze wspomnieć, że w podwórzu *macellum* znaleziono sporą liczbę ciężarów mierniczych (150 sztuk kamiennych i 1 ołowianą) z rozmaitymi napisami[2]. Ołowiana, naznaczona liczbą I, była miarą funta rzymskiego.

---

[1] S. Rzepiński: „Pompei". Wspomnienia z podróży. Kraków. 1897.

[2] Dla ciekawych umieszczam opis kilku kamieni:

1) ze znaczkiem V, wagą 1540 gr.
2) „ „ PXXX, „ 2510 „

VI. Domy prywatne.

Najlepsze i najdokładniejsze wiadomości o urządzeniu domów prywatnych, czerpiemy z Pompei. Na podstawie istniejących tam zabytków możemy wyobrazić sobie całe domowe urządzenie, jeżeli nie we wspaniałym Rzymie, to przynajmniej w wielkiej części ówczesnej Italii. Im bardziej jednak miasta oddalone są od *centrum*, zmienia się tem więcej ich sposób zabudowania, usuwając się coraz więcej od typu i schematu mieszkań rzymskich. Klimat i odmienne stosunki miejscowe odgrywają w tym względzie bardzo ważną rolę.

Dowodem tego wykopaliska w Aquincum. Wprawdzie, w stosunku do znacznej liczby odkopanych ruin, duża ich ilość jest w stanie bardzo zniszczonym, mamy tam jednak kilka zabytków w takim stanie, że możemy z nich nabrać wcale dokładnego wyobrażenia o urządzeniu mieszkań ówczesnej ludności. Nie musiała ona być bogatą. Domy są niewielkie. Mury stawiano dosyć niedbale, zwykle w t. zw. *opus incertum*. Tem tłumaczy się ich lichy stan dzisiejszy. Tylko łazienki budowano staranniej, ozdabiano mozajką, której w innych pokojach domu nie spotykamy. Większość pokoi miała ogrzewanie centralne (hypokausta), które w klimacie znacznie zimniejszym niż włoski, były rzeczą konieczną. Peristylia i sale przyjęć, jako rzadziej używane, mogły się prędzej obejść bez tego bądź co bądź kosztownego urządzenia.

Co się tyczy rozkładu domu, to w Aquincum nie spotykamy nigdzie takiego, któryby całkiem odpowiadał schematowi mieszkań rzymskich. Są np. domy, w których za podstawę rozkładu przyjęto długi korytarz rozciągający się z jednego końca budynku do drugiego, a ubikacye mieszkalne leżą po jego bokach. W innych *atrium* lub *peristylium* nie odnajdujemy wcale, w innych znów dobudowano je z boku i t. d. Nie dbano nawet o regularność i proporcyę. Dom na zewnątrz przedstawia się

---

3) ze znaczkiem IP.CX, wagą 2230 gr.

4) „ „ X, „ 3010 „

Najcięższy waży 15,950 gr. Dobrze zachowane mają wygląd stożków ściętych, zaokrąglonych.

jako kompleks większych i mniejszych przybudówek. Nawet od ulicy mur rzadko kiedy jest wyciągnięty pod linię. We wnętrzu możemy odszukać poszczególne części domu rzymskiego, ale nigdzie w tym, jak tam był, porządku.

Dom wyżej wspomniany najwięcej jest godzien uwagi. Rozmiarami swymi (51 × 21 i 35 m. w miejscu, gdzie przybudowano *atrium*) przewyższa znacznie wszystkie inne. Przedstawia się w ogólnym zarysie, jako wydłużony prostokąt, przylegający krótszymi bokami do ulic a dłuższymi wmurowany między inne domy prywatne i łaźnie publiczne „podwójnie". Ściana frontowa nie jest całkiem równa, bo ubikacye, które ją tworzą, nie zostały widocznie zbudowane od razu i wskutek tego łamie się ona na zewnątrz na trzy zagięcia. Przy ostatniem znajdują się dwa wejścia. Jednem z nich, wchodzimy przez korytarz do obszernej sali kwadratowej, która jak badania wykazały, służyła za *atrium*. Różni się to *atrium* tutejsze bardzo od właściwego, rzymskiego. Nie leży ono na wprost wejścia tylko z boku, jest dobudowane osobno. Liczne fragmenty posadzki i ścian, przeniesione obecnie do muzeum, wskazują, że dekoracya tak się przedstawiała: na ciemno-czerwone tło rzucono gałązki zielonych liści. Niektóre z nich jakby oświetlone słonecznymi promieniami, podmalowano białemi liniami. Gałązki ożywiono tu i owdzie żółtymi kwiatkami. Zwykły motyw klasyczny, przedzielenie płaszczyzn ściennych horyzontalnemi i pionowemi liniami, tu nie był zastosowany.

Oświetlenie zaliczało się w tej sali do jej słabszych stron. Najwięcej światła dostawało się przez drzwi, które z tego powodu tak tu, jak i w całym domu mają bardzo duże rozmiary. Jednak ta ilość światła nie wystarczała. Okien dużych dzisiejszych nie znano wówczas. Rozjaśniono salę tylko małemi okienkami (według śladów pozostałych) rzucającemi światło ukośnie, z wysokości stosunkowo bardzo niewielkiej, bo wynoszącej tylko $1^1/_2$ m. od podłogi.

Peristylium jest w tym domu pod względem rozmiarów najokazalsze, ale podobnie, jak i inne lokale nieregularnie zbudowane. Przedstawia się jako duży trapez o osiach wynoszących

17 i 20 m. Część nakryta (podcienia, kolumnada, *porticus)* miała tylko 2 metry szerokości. Na murku, ćwierć metra wysokim, szły rzędem z czterech stron słupy dach wspierające. Dekoracya ścian była zbliżona do pompejańskich. U dołu biegł szeroki pas czerwony odgraniczony ciemną linią. Podobne linie różnobarwne biegną pionowo i poziomo po całej ścianie i dzielą ją na pola prostokątne, kwadratowe a czasem i na wielokątne, wypełnione imitacyą marmuru z bardzo żywemi, różnorodnemi i różnokolorowemi żyłkami. Co było nad tą partyą środkową nie wiemy. W górze biegł fryz stiukowy, którego fragment się zachował. Jest on prawdziwie piękny. Składa się z trzech części: z wstęgi liści bluszczowych, z wstęgi akantów i z „wołowych ócz" jońskich. — Podłogę pokryto polewą z wapna i cegły tłuczonej zwaną *opus tigninum.*

W tyle *peristylium* ciągnie się sześć równych lokali licho zbudowanych; były to zapewne zabudowania gospodarskie. Między *peristylium* a *vestibulum* leży pokój kwadratowy niewielki, w obie strony otwarty, przylegający do *atrium* jednym bokiem. Odpowiada on rzymskiemu *tablinum.*

Po lewej ręce w rogu *peristylium* stoją trzy schodki, po których dostajemy się do korytarzyka, wiodącego do łazienek prywatnych tego domu. Gospodarz musiał być bardzo zamożnym człowiekiem, kiedy zbudował sobie osobne łazienki, mimo że od publicznych oddzielał go tylko korytarz. Jak na tutejsze stosunki są one urządzone zbytkownie. W *apodyterium* (przedpokój) stanowi posadzkę mozajkowy obraz z życia atletów. Jest on otoczony szeroką ramą prostolinijną. Sam obraz, wykonany barwą białą, popielatą i czarną przeważnie, jest raczej rysunkiem i jako taki jest bardzo dobry. Dwóch zapaśników — a poznajemy ich po fryzurze *(cirri),* — mocuje się ze sobą. Wyższy ujął adwersarza wpół i uniósłszy go w górę osadził sobie na kolanie. Z boku przypatruje się im jakiś spektator w płaszczu i z kijem w ręce, w postaci siedzącej. Przedmioty na mozajce wyobrażone należą do urządzenia sali gimnastycznej *(palaestra).* Z boku stoi gałązka oliwna — nagroda zwycięzcy. Na półokrągłem wieszadle wisi szereg narzędzi do oczyszczenia ciała po walce *(strigiles)*

ponieważ nacierano się poprzednio oliwą i posypywano piaskiem. Dlatego też widzimy na konsoli miskę i kubek do oliwy. — Do boków *apodyterium* przylegała reszta potrzebnych lokali łaziebnych: *(frigidarium)* (basen półokrągły z zimną wodą) *caldarium* z małą absydą do zimnych obmywań *(labrum)*, wreszcie *tepidarium* z letnią kąpielą. Z boku stoi piec z bloków trachitowych, wśród których zachował się kamień z półokrągłem wycięciem na kocioł. Najlepiej zachowały się *hypokausta*. Prawie wszystkie słupki są tu na miejscu.

* * *

Na zakończenie warto dodać kilka słów o muzeum. Nie zawiera ono wszystkich drobniejszych wykopalisk, bo część ich a szczególniej piękne sarkofagi zostały przewiezione do Muzeum narodowego w Peszcie. Stało się to w pierwszych latach odkopywania Aquincum, póki nie powstało muzeum wykopalisk na miejscu. Jest to bardzo piękny budynek na wzór klasycznych budowli z epoki rzymskiej, przypominający świątynię. Tak wewnątrz jak i zewnątrz jest zupełnie dostrojony do zbiorów. Ściany pokoi ozdobiono kopiami fresków pompejańskich. Przed frontem stoi szereg sarkofagów i kilka wielkich słupów milowych rzymskich, z długiemi czerwonemi napisami, mówiącymi o ich cesarskich fundatorach. W ściany westibulu wmurowano kilka nagrobków wojskowych z ciekawemi rzeźbami. Wewnątrz, w pierwszej sali zwracają szczególną uwagę: plany wykopalisk i piękne rekonstrukcye niektórych gmachów (amfiteatru, łazienek), wielkie wazy celtyckie, pomniki kultury ludności tubylczej, różne ciekawe fragmenty rzeźb posągowych. Między niemi uderza pięknością główka chłopca. W dwóch salach najbliższych rozstawiono ołtarze wotywne i kamienie nagrobkowe, ozdobione płaskorzeźbami. Jedna z nich przedstawia dokładnie sposób zapinania togi na klamry, zw. *fibulae*, druga pięknego orła rzymskich legionów, inna trębacza wojskowego *(cornifer)* w pełnym rynsztunku i t. d. Wogóle jednak są to rzeźby z czasów upadku sztuki. W dalszych salach mamy bardzo liczne a najrozmaitsze przedmioty z zakresu życia codziennego. Wymieniam niektóre

jak: ładne fragmenty waz, z których jedna ma piękną ozdobę przedstawiającą delfiny, inna płaskorzeźbę Pryam przed Achillesem: *fibulae* (klamry) ozdobne w kształcie owadu skrzydlatego, przybory chirurgiczne, szkatułki emaliowane na kosmetyki, zbiór numizmatów, ozdobne kamienie i amulety oryginalne z wyobrażeniem słońca, ryb, głów i t. d.; lampki oliwne np. jedna bardzo ładna w kształcie leżącej głowy kobiecej. Zwróciły wreszcie naszą uwagę flaszeczki zupełnie do dzisiejszych secesyjnych podobne: sześcienne, z wydłużoną szyjką, ze szkła tęczowego. Jest jeszcze kilka podobnych przedmiotów w muzeum. Przez formę swoją stoją one w związku z niektóremi rzeźbami dekoracyjnemi[1] w Aquincum, odrębnemi od „klasycznych“, mimo że na nich są oparte. Odmienną szatę nadało im sprowadzenie dawnych motywów (np. liść akantu, klonu, palmeta i t. d.) do najprostszej postaci i przestylizowanie ich na nowo. Było to zapewne w związku z przeżyciem się kultury klasycznej a zarazem dekadencyą, jaka wówczas panowała.

Może przy nich przyjść na myśl, jak dalece „nic niema nowego pod słońcem“, jak prądy i upodobania nawet w rzeczach drobnych są pewnym okresom właściwe i z biegiem czasu powracają.

M. Morelowski.

[1] Ozdoby ołtarzy wotywnych, nagrobków, fryzy w ścianach domów.

JEZUICI W KRÓLEWCU[1].

Historia magistra vitae — mistrzynią życia historya. Katolików Niemiec a zwłaszcza Polaków pod berłem pruskiem nie oszołomiła dzisiejsza kościelna polityka pruska, bo wiedzą, że nie zmieniła w niczem kilkuwiekowej, raz ostrzejszego, drugi raz łagodniejszego tonu, ale zawsze chytrej, przebiegłej a wrogiej polityki pruskiego dworu i rządu względem poddanych katolików. Po kulturkampfie na polu kościelnem, *Kulturkampf,* niebezpieczniejszy może acz mniej krzykliwy, na polu szkolnem i presya rządu przy obsadzaniu probostw i urzędów kościelnych, pomimo konkordatu 1883 r. zapewniającego wolność religijną katolikom. Tak jest dzisiaj, tak było w XVII i XVIII wieku.

Pisząc dzieje domów misyjnych, jakie Jezuici polscy założyli w dawnych „Prusach książęcych", zależnych długo jako lenno od Polski, uderzony byłem dziwnem podobieństwem kościelnej polityki pruskiego dworu i rządu wtenczas, w XVII i XVIII wieku, a dzisiaj w XX wieku. Polityka ta nieszczera, wroga, chowająca swoje pazury tylko ze strachu przed silniejszym, uwidoczniła się najbardziej na Jezuitach, których dwór i rząd pruski tolerować musiał, a jednak uwolnić się od nich szczerze pragnął, bo oni głównie i prawie oni jedni przeszkadzali mu w wytępieniu resztek katolicyzmu.

Mieli zaś tam trzy placówki misyonarskie: w św. Lipce na pograniczu Prus i Warmii 1631—1880, w Królewcu 1647—1780,

[1] Ustęp z przygotowującego się do druku IV t. „Jezuici w Polsce".

stolicy niegdyś przez lat 147 w. mistrzów i lennych książąt pruskich, i w Tylży, w Sambii 1707—1780. Dzieje tych trzech misyj podobne sobie, dopełniają się wzajemnie, najprzedniejszą zaś była misya królewiecka.

Dla zrozumienia jednak i oceny prac i walk Jezuitów w Królewcu i Prusiech Książęcych, przypomnieć należy, że *Pax perpetua*, pokój wieczysty między królem Zygmuntem I a wielkim mistrzem i Krzyżakami zawarty w Krakowie 9 kwietnia 1525 r., oddający Prusy z trzema miastami i 75 zamkami *(castrum)* „w legalne dziedziczne lenno“ margrabiemu brandenburskiemu Albrechtowi, siostrzeńcowi króla, z tytułem księcia Prus, nie zabezpiecza wyraźnie wolności religijnej katolikom, dlatego, że zrobiony był z wielkim mistrzem i Krzyżakami, którzy formalnie byli jeszcze katolikami, chociaż w istocie już przeszli na luteranizm, a król Zygmunt I, jak to w liście do posła swego w Rzymie Jana Dantyszka wyznaje, „nie widział w sprawie kat. w Prusiech żadnego interesu, owszem uważał ją za straconą, przepadłą“. Tylko „co do dóbr i jurysdykcyi osób duchownych powinien książę pruski na żądanie duchownych, wymierzyć każdemu sprawiedliwość po chrześcijańsku, słusznie i sprawiedliwie. A także dobra, dochody, czynsze pod księciem Prus zostające, a do biskupstwa należące, w całości przywrócić“ [1].

W ten sposób dyecezya pomezańska i sambijska z Królewcem i część dyecezyi warmińskiej pod rządem księcia pruskiego zostająca, do której należała także św. Lipka (do 130 kościołów) zostały luterskiemi. Luteranizm przejął do szpiku kości stany pruskie: szlachtę, wielko- i małomieszczan i sfanatyzował je do tyla, że scierpieć nie chciały obok siebie kalwinizmu i katolicyzmu i każde ustępstwo księcia dla katolików uważały za krzywdę własną, przeciw której protestowały zawzięcie. Przez 80 lat katolicy w księstwie pruskiem pozbawieni byli kościołów, kapłanów i nie tylko publicznej, ale prywatnej służby Bożej, bez żadnego protestu ze strony królów i rządu polskiego.

Dopiero r. 1603, gdy na sejmie w Krakowie dla chorego

[1] *Vol. leg.*, I, 216.

umysłowo księcia pruskiego Albrechta Fryderyka potrzeba było opatrzeć kuratelę i król Zygmunt III powierzył ją Joachimowi Fryderykowi, elektorowi brandenburskiemu, włożono w pakta „wolne wyznanie wiary katolickiej w księstwie pruskiem“, t. j. wolno katolikom wszędzie stawiać kaplice i publiczne oratorya, a w Królewcu mają mieć jeden albo dwa kościoły, przysługuje im prawo patronatu i nikt im dla ich wiary gwałtu, przykrości i obelgi wyrządzać nie może“. Jeszcze wyraźniej zawarowano to na sejmie (niedoszłym) r. 1605 w układach z posłami księcia rejenta pruskiego. Protestowały przeciw temu „ustępstwu“ luterskie stany pruskie na sejmie w Królewcu r. 1604. Na sejm polski r. 1606 przybył od szlachty pruskiej Otto von Groeben ze skargami na księcia regenta, a na sejm r. 1609 przybyło 4 delegatów z temiż samemi skargami[1], równocześnie zaś Jan Zygmunt, elektor brandenburski, po śmierci ojca swego Joachima († 1808), wyprawił 4 delegatów, prosząc króla, aby mu oddał kuratelę nad głupkowatym Albrechtem Fryderykiem z prawem następstwa. Delegaci pruscy, jak pies z kotem gryźli się z delegatami elektora, na konferencyi u kanclerza Macieja Pstrokońskiego przyszło między nimi do gwałtownej sprzeczki, ale jedni i drudzy jednali sobie pieniędzmi senatorów i znaczniejszych posłów.

Pruscy delegaci na posłuchaniu 15 stycznia r. 1609 u króla przedłożyli swoje grawamina, żądali przedewszystkiem usunięcia od rządów hr. Tobiasza Dohna kanclerza elektora (małego Bismarcka). Delegaci elektorscy na posłuchaniu w senacie i izbie poselskiej 24 stycznia zapewniali uroczyście, że Jan Zygmunt dochowa wiernie przywilejów stanom pruskim. Jedni i drudzy przez 2 dni, 26—28 stycznia, odbywali konferencye między sobą, poczem 31 stycznia pruscy delegaci na powtórnem posłuchaniu u króla, oświadczyli się przeciw kurateli, a za sukcesyą, doma-

[1] Skarżyli się 1) na wysokie podatki, 2) na mianowanie urzędników z pominięciem prawa prezenty szlachty, 3) żądali prawa apelacyi od księcia do króla i zatwierdzenia praw szlachty pruskiej przez sejm warszawski, 4) żądali, aby król nakłonił głupkowatego księcia Albrechta do powtórnego ożenienia się po śmierci pierwszej żony 2 sierpnia 1608 r.

gali się komisyi królewskiej dla zbadania na miejscu słuszności ich grawaminów. W lutym taką dał król delegatom odprawę: Kuratela powierza się Janowi Zygmuntowi, który przywrócić winien katolikom zupełną wolność religijną; sprawa sukcesyi odkłada się do przyszłego sejmu r. 1611; komisya królewska zjedzie do Malborga w celu rozpoznania grawaminów pruskiej szlachty; tejże szlachcie nadaje się prawo prezenty urzędników i prawo apelacyi do króla w pewnych oznaczonych wypadkach [1].

Jakoż na sejmie 1611 król dał inwestyturę na księstwo pruskie elektorowi Janowi Zygmuntowi oraz trzem braciom jego, Janowi Jerzemu, Ernestowi i Chrystyanowi Wilhelmowi i ich męskim potomkom w linii prostej, pierw jednak deputaci jego Abraham Dohne, Jan von Wetzhausen i Joachim Hübner, złożyli zaręczenie *(cautio)* a w niem na pierwszem miejscu przyrzekli zupełną wolność religii katolickiej w Prusiech, bezpieczeństwo kaplic i kościołów i jeden (nie dwa) kościół katolicki z probostwem i dochodem 1000 złp. rocznie w Królewcu. Proboszcza prezentuje książę, prekonizuje biskup warmiński. Co do drugiego kościoła w Królewcu i jego uposażenia, porozumią się komisarze królewscy ze stanami pruskimi [2]. Te same gwarancye wolności religii katolickiej w Prusiech dał elektor książę pruski Fryderyk Wilhelm III w fatalnym traktacie welawskim r. 1657 i w traktacie bydgoskim t. r. co do lenna Lemburga i Bytowia i co do starostwa drahimskiego, otrzymanego w zastaw.

Wykonanie tych gwarancyi nie było nigdy ani szczere, ani zupełne. Książęta pruscy nienawidzili szczerze „papieskiego bałwochwalstwa“ i radziby je byli wytępić w Prusach tak, jak wytępili w Brandenburgii, ale względy polityczne na królów i sejmy, na potężne wpływy biskupów, zwłaszcza warmińskich, na intercesyę także potężnych wpływem królewien polskich, Konstancyi, Ludwiki Maryi, Maryi Kazimiry i magnatów polskich; strach przed odwetem, ażeby za ucisk katolików w Pru-

[1] *Sitzungsberichte der Alterthumsgesellschaft Prussia zu Königsberg.* 1891. Str. 157—169. Artykuł: *Verhandlungen über Curatel und Succession des Curfürsten Johann Sigismund zu Warschau 1609*, vom Dr. Paul Stetiner.

[2] *Vol. leg.*, III, 63—64.

siech, dyssydenci w Polsce nie byli srożej uciskani i tępieni, a wreszcie konieczność liczenia się z opozycyą stanów pruskich, fanatycznie nienawidzących „papizmu“—te, mówię, względy, zmuszały ich, nawet po traktacie welawskim do częściowego, wahającego się i niepewnego, ale zawsze bardzo ostrożnego wykonania gwarancyi przyjętych wobec katolików w księstwie pruskiem i lennach polskich.

Korzystali z nich Jezuici najprzód brunsberscy, którzy już od r. 1570 po cichu apostołowali na pograniczu Prus starych i Brandenburgii, a potem po r. 1611 otwarcie usadowili się w św. Lipce, w Królewcu i w Tylży i z tych placówek rozpuszczali misyonarskie zagony na całe księstwo, zręcznie omijając lub odpierając ataki dwulicowego księcia, jego regentów i amtmanów i fanatycznej nienawiści stanów pruskich. Egzystencya ich była całkiem legalną, książę jednak i regencya uważali ją za wyżebraną *(precaria)*, co chwila wydawali raz książę, to znów regenci dekrety banicyi, a nie wykonali nigdy ze strachu przed królem, sejmem, magnatami, a nadewszystko przed „żakami“ jezuickimi w Wilnie, Poznaniu, Lublinie, Kaliszu i t. d., którzyby za krzywdę Jezuitów pruskich poturbowali z pewnością srodze tamtejszych różnowierców [1].

Królewiec w ziemi sambijskiej, 6 mil od Bałtyku, założony przez Krzyżaków 1256, nieregularnie zabudowany, z zamkiem o podwójnych murach i fosach i 9 wieżach, z wspaniałą katedrą i 20 kościołami, otoczony wałem o 8 bramach, był po zajęciu Malborga przez Polskę, od 1457 siedzibą w. mistrzów; od 1525 do 1609 lennych książąt pruskich, a zawsze stolicą Prus starych. Śródmieście składa się z trzech części: Stare miasto, Nowe miasto (Loebenicht) i Knipawa (Kneiphoff), przedmieścia cztery. Ludność przeważnie niemiecka, napływowa z powodu handlowych stosunków, łotewska, litewska i polska, i garstka Żydów. Miasto portowe, handlowe i dlatego zamożne. Religia panująca katolicka, od 1525 luterska, która katolikom ani je-

[1] Porównaj Jarochowski: „Opowiadania i studya historyczne“. Serya nowa. Poznań 1884. Artykuł: „Stosunek Brandenburgii do Kościoła katolickiego w ziemiach polskich 1640—1740“ str. 316—320.

dnego nie zostawiła kościoła lub kaplicy, nie pozwalała nawet domowego ołtarza i kapłana. Wskutek znanych nam już paktów Zygmunta III z rejentami pruskimi Joachimem i Janem Zygmuntem 1605, 1609 i 1611, i nalegań króla i biskupa warmińskiego, zabrała się kamera pruska na wiosnę 1614 do budowy nowego kościoła, bo lutrzy żadnego z zabranych oddać nie mieli ochoty. Biskup Rudnicki chciał mieć ten nowy kościół na lewym brzegu Preglu, na terytoryum dawnej dyecezyi warmińskiej, ale kamera, za zgodą komisyi królewskiej, obrała miejsce na Sackheim, wypłaciwszy wydziedziczonym właścicielom domów i ogrodów 5.975 złp. 10 gr.

W zastępstwie biskupa poświęcili 1614 brunsberscy księża, kanclerz Jakób Schroetter i Jakób Bartcz, kamień węgielny pod nowy kościół w stylu gotycko-renesansowym o trzech nawach, na 66 stóp długi, 60 stóp wysoki z wieżą 90 stóp wysoką. Elektor, książę Jan Zygmunt upominał wyższych radców rejencyi, aby „jak najtaniej“ budowano; na upiększenie zaś kościoła przysłał 1613 r. biskupowi 1.333 złp., na budowę probostwa wyznaczył 11.735 złp. 10 gr. Dnia 11 grudnia 1616 r. benedykował kościół pierwszy jego proboszcz „plebanem“ tu zwany Jan Bylina, którego rejent książę Janusz Radziwiłł elektorowi polecił, w obecności wojewody krakowskiego, Mik. Zebrzydowskiego i dwóch jego towarzyszy komisarzy królewskich [1]. Elektor, książę Jan Zygmunt jako kalwin i polityk karcił fanatyzm luterskiego gminu, któremu nowy kościół był kamieniem zgorszenia i pobudką do szyderstw z „papieskiego bałwochwalstwa“, i patentem 5 stycznia 1617 r. naznaczył za wybryki przeciw katolikom „surową karę cielesną“ [2]. Po księdzu Bylinie († 1617) zarządzali kościołem i parafią uczeni i gorliwi księża

[1] O drugi kościół kat. w Królewcu lub indziej według paktów 1611 upomniał się Zygmunt III przez swych komisarzy 1621, a także o lepszą dotacyę plebana i porządniejsze ozdobienie istniejącego kościoła. Książę jednak odmówił, gdyż ojciec jego zobowiązał się dać jeden kościół i ten dany, na drugi kościół stany pozwolić nie chcą.

[2] Dr. Fr. Dittrich: *Geschichte des Katholicismus in Altpreussen.* Braunsberg 1901. Tom I, 115—119. *Archiv. Prov. Lith. Fundationes,* II, dok. 64.

Walenty Domkowski z wikarymi Jędrzejem Vierau i Kuczewskim do 1623, dr. Jerzy Merten († 1631), dr. Michał Schambogen 1632—33 r. i tuż po nim Joachim Malovius. Ten, nie mogąc podołać pracy parafialnej i prawie misyonarskiej, zaprosił do pomocy w braku świeckiego kleru, dwóch Jezuitów, Tomasza Klage i Krzysztofa Schenka, a gdy ten zachorował, zastąpił go O. Jędrzej Rubach. Mieszkali na kapelanii. Opierał się zrazu elektor, opierała rejencya, wyzywali z ambon predykanci, szemrał gmin luterski, ba, nawet przegrażał się, napastował przechodzących ulicą Jezuitów; oni się odwzajemniali uprzejmością, pobłażliwym uśmiechem, i powoli ugłaskali fanatyków.

W Królewcu istniała od 1544 r. akademia *(universitas albertina)*, założona przez księcia Albrechta I, w której w połowie XVI w. nauczało 30 kilku zdolnych profesorów, słuchało wykładów 2000 uczniów, między nimi wielu Polaków i Litwinów dyssydentów. Jezuici królewieccy tęgimi byli teologami, ale biegli także w dyalektyce i klasycznych naukach, więc w krótkim czasie zapoznali się z wybitniejszymi akademikami, iż do nich na uczone rozprawy przybywali. Za to inni, jak Dr. Celestyn Mislenta, profesor teologii i hebraiki, oburzali się na elektora, że „papieżnikom drzwi i bramy pootwierał", przepowiadali prędką zgubę czystej ewangelii, podjudzali rząd i stany pruskie do prześladowania otwartego.

Nie wiem, czy z rozkazu rządu, czy też przez roztropność oglądającą się na przyszłość, dosyć, że po półtorarocznym popobycie i pracy, prowincyał lit. Łęczycki odwołał 1635 r. z Królewca obydwóch Jezuitów [1]. Zjawili się oni w Królewcu dopiero 1647 r. i to w zamiarze założenia stałej misyi. Inicyatywa wyszła bezwątpienia od brunsberskich Ojców, u których w szkołach uczyli się synowie starej pruskiej szlachty: von Halle, Lehndorfy, Eulenburgi, Groebeny, Kospothy, Brandy, a także synowie profesorow królewieckiej akademii; oni zaś w podróżach swych misyjnych po Prusiech nie raz jeden doznali wiele szacunku i uprzejmości od tejże szlachty i wyższych oficerów.

[1] Tamże. *Fundationes*, II, dok. 64.

Królewiec, gniazdo pruskiego luterstwa, a przytem przystań dla handlujących i kupujących katolików z Żmudzi, Litwy i Polski, bez stałej rezydencyi czy misyi jezuickiej, wydał się im anomalią. Podzielał ich zapatrywanie prowincyał Jerzy Schoenhoff, pedagog niedawno sześcioletniego królewicza Zygmunta († 1647), mający wielkie wzięcie u dworu, i wizytując kolegium brunsberskie z końcem 1647 r., ofiarował od królowej Ludwiki Maryi tymczasowo jakby na próbę 500 złp., na misye w Prusach książęcych, a zwłaszcza w Królewcu. Jeżeli próba się uda, królowa gotowa dać więcej. I wnet wyprawił dwóch OO. Agejsona i Hempla, których pomoc wdzięcznie przyjął królewiecki pleban, Dr. Szymon Wolfsbegk.

Tymczasem królowa została wdową i znów żoną króla Jana Kazimierza, królową polską. Wtenczas przypomnieli jej brunsberscy Jezuici przez jej spowiednika O. de la Rose misyę królewiecką. Królowa ofiarowała znów 500 złp., i w kwietniu 1650 r. OO. Michał Radau i Jędrzej Zieniewicz z Brunsbergi udali się do Królewca. Po kilkotygodniowej zbożnej pracy powrócili; na ich zaś miejsce przybyli w czerwcu OO. Kuhn, Milewski, Juhnowicz. Uradowana powodzeniem misyi, królowa prosi w dwóch listach biskupa warmińskiego, Wacława Leszczyńskiego, aby Jezuitom w Królewcu stały dom misyjny opatrzył. Biskup pyta o radę kapituły; ta niechętna, czy zazdrosna rozwielmożnieniu się Jezuitów, odradziła. Więc Jezuici przez kanc. lit. Albrechta Radziwiłła, gdy ten w maju 1650 r. był w Brunsberdze i przez kasztelana wileńskiego, Jana Chodkiewicza, proszą króla Jana Kazimierza, aby jako pan wazalowi, polecił elektorowi wybudować drugi kościół w Królewcu i osadzić przy nim dla coraz liczniejszych tam katolików, misyonarzy Jezuitów. Uczynił to pobożny król, co więcej, wystosował do „plebana“ Wolfsbegka nader uprzejmy list, żądając, aby przysłanych przez niego i królową Jezuitów otoczył życzliwością i ułatwił im pracę apostolską, Jezuitom zaś wystawił orędzie *(litteras patentes)*, z d. 30 kwietnia 1650 r., upoważniające ich do duszpasterstwa nie tylko w Królewcu, ale w całych Prusiech książęcych, w Kurlandyi, Semigalii i Inflantach.

Niedługo potem 30 sierpnia 1650 roku biskup warmiński Leszczyński nadał tymże misyonarzom Jezuitom wszelkie potrzebne władze, *facultates*.

Zaniepokoiło to w wysokim stopniu plebana Wolfsbegka, rozumiał, że to zamach na jego probostwo, które posiąść chcą Jezuici. Oni zaś nie probostwa, ale osobnego dla siebie dopraszali się kościoła a przynajmniej kaplicy i osobnego domu. Jakoż król Jan Kazimierz pomiędzy *gravamina*, które przez swych komisarzy elektorowi przedłożył z Warszawy 28 listopada 1650 r. wsadził i to, „aby katolikom w Królewcu wolno było własnym kosztem kaplicę postawić i utrzymać“ [1].

Nie przewidywał rektor brunsberski, Klage, że elektor i tej skromnej koncesyi odmówi, więc zjechawszy do Królewca, upatrzył dawny kościół św. Ducha na rzezalnię miejską zamieniony, i ten z kilku domami i placami postanowił zakupić. Ale „wielki elektor“ nie raczył nawet pisemnej dać na królewskie *gravamina* odpowiedzi, ustnie tylko oznajmił komisarzom, że kościół katolicki w Królewcu jest aż nadto obszerny i kaplicy nie potrzeba. Ograniczyć się więc musiano na własnym domku, kupionym od Tomasza Kisinga za 1.600 złp. blisko kościoła, w którym 1651 r. dwaj Jezuici Jan Kuhn i Jan Juhnowicz stale zamieszkali, jako *missionarii S. R. Majestatis Poloniae et Sueciae per Ducalem Prussiam*. Gdy później i pracy i Jezuitów przybyło, urządzili dom wikaryuszów na rezydencyą dla siebie [2]. Pracę misyjną rozpoczęli od kazań w niemieckim, polskim, później litewskim języku i katechizacyi wieczornych, głównie dla napływowej dla zarobku

---

[1] W grawaminach skarży się król na pogwałcenie zapewnionej paktami 1611 wolności religijnej. „Karę ponoszą katolicy, w których domu ksiądz katolicki mszę św. odprawi. Z nowożeńców, jeżeli jedno jest lutrem a drugie katolikiem, to katolik przejść musi na luteranizm, inaczej ślubu nie dadzą ministry. Szlachta utrzymująca w swych dworach religię katolicką, doznaje prześladowania. Mieszczan i lud zmuszają urzędy uczęszczać do zborów na nabożeństwo luterskie. Kaznodziejom katolickim zabraniają też urzędy mówić przeciw herezyom, podczas gdy predykanci wymyślają z ambon na papieża i katolików“.

[2] *Hist. Col. Brunsb.* — Dittrich: *Geschichte des Katholicismus in Altpreussen*, I, 167—173.

ludności polsko-litewskiej. Dosiadywali pilnie w konfesyonale, odwiedzali chorych katolików po domach i szpitalach, przestrzegając pilnie, aby żaden bez sakramentów św. nie umarł, albo od luterskiego pastora ich nie przyjmował, co się przedtem wydarzało często.

Katolickie, polskie zwłaszcza dzieci zmuszone były chodzić do luterskiej (polskiej) szkoły miejskiej przy ulicy Tragheim, więc Jezuci otworzyli 1653 r. szkółkę katolicką dla polskich, ale i dla niemieckich dzieci, w której pod ich okiem nauczał świecki pedagog. Ledwo ją urządzili, aliści w lecie 1653 r. nawiedziło Królewiec morowe powietrze. O. Kuhn dniem i nocą u zapowietrzonych, aby żaden bez św. Sakramentów nie umarł; po kilku tygodniach dotknięty zarazą i on ginie, z żalem katolików, ale i innowierców, którzy na jego żarliwe kazania przychodzili. Zastąpił go równie uczony i wymowny O. Radau na ambonie i w kościele, ale i w poświęceniu zapowietrzonym, bo zaraza odnowiła się w czerwcu 1654 r. Jezuici jedni jedyni nieśli duchowną posługę chorym, nie tylko w mieście, ale i po wsiach okolicznych, i to bezpłatnie, ku podziwu lutrów, których ministrowie wynieśli się pierwsi z zapowietrzonego miasta; postawili dla zarażonych namioty na cmentarzu kościelnym, i grzebali ich. Oprócz tego dysponowali 8 skazanych na śmierć żołnierzy, odwiedzali w więzieniu Polaków i Litwinów, i opatrywali z jałmużn ich potrzeby, a kilku wydobyli z kajdan. Dziewięć lekkomyślnych dziewcząt sprowadzili na drogę uczciwą, a co najważniejsza, urządzili katolicką szkółkę ludową[1].

Ogrom nieszczęść i wojen, który spadł na Rzeczpospolitą i królewską parę 1655 r., odebrał misyi królewieckiej dotacyę 500 złp. rocznie od królowej dawaną; wypłaciła ją ostatni raz 1654 r. Misya skazaną była na jałmużny i na skromny dochód z konwiktu, który 1654 r. dla zamożniejszych internistów otworzono i dlatego przywołano z Brunsbergi trzeciego Jezuitę, tęgiego filologa i prefekta zarazem, O. Arenta. A tu do bezpiecznego Królewca walą się zbiegowie przed Szwedem, Koza-

[1] *Litterae annuae domus miss. Regiomontanae*, 1655—1659.

kami i Moskwą, z Litwy, Korony, Warmii; bogatsi unosząc swe mienie, ale i ubożsi i wcale ubodzy, księża, zakonnicy, mniszki, ratując swe życie. Schronił się i warmiński biskup Leszczyński z dwoma kanonikami. Bywało, że uboga, z jałmużn żyjąca misya żywić musiała 50—80 chorych ubogich, jeżeli nie mieli pomrzeć głodową śmiercią. Pomagali jej w tem pleban i katolicy, ale napływ tylu obcych a biednych stał się wnet ciężarem dla nich tem przykrzejszym, że predykanci luterscy jątrzyli pospólstwo przeciw katolikom, zwłaszcza przybyszom Polakom. Dowodzili oni z ambon, że po styczniowym traktacie 1656 r. elektora z Karolem Gustawem, katolicy wyjęci są z pod prawa i z pod opieki elektora, bo dawne z 1611 r. pakta przestały istnieć; gmin dorobił sobie praktyczne wnioski. Więc naprzód opadał Polaków na ulicy i obdzierał, a potem w dzień Zielonych Świątek, 5 czerwca 1656 r. wpadł zbrojno do przepełnionego ludem kościoła, łżąc i wykrzykując, głównie jednak dla rabunku sreber kościelnych, wielkich srebrnych lichtarzy, które połamał, i prywatnych depozytów, które katolicy i dyssydenci, unosząc z Polski przed wojną i pożogą, tu złożyli. Uporawszy się z kościołem, gmin rzucił się na domy polskie i rabował. Silny oddział wojska rozegnał napastników, elektor 8 czerwca wydał surowy edykt, ogłoszony bębnem miejskim, w którym wymieniwszy powyższe „groźne i ciężko karygodne nieporządki“, rozkazuje urzędom dochodzić podżegaczy, doradców, przewódców i współwinnych, karać na gardle i chłostą, zrabowane rzeczy poznosić do sądu, aby kościołowi i właścicielom zwrócone zostały. Krzywda przez to wyrządzona jemu, elektorowi, który zarówno katolikom jak współwiercom we wszystkich swych posiadłościach opiekę i bezpieczeństwo zapewnił i dochowuje. Krzywda stała się przybyłym Polakom, którzy za rewersem, jako się spokojnie zachowywać będą, tu przyjęci zostali[1]. Jakoż ścięto kilku hersztów tumultu, innych skazano na więzienie

[1] Dittrich I, 176, 177. Zaraz po uśmierzeniu tumultu przez wojsko, „obębniono“ rozkaz elektora, co do oddania zrabowanych rzeczy. Gdy bęben mało skutkował, wydał na trzeci dzień elektor powyższy edykt, kazał go obębnić i zapewne przybić na rogach ulic i placach.

lub chłostę, zrabowane rzeczy w znacznej części wróciły kościołowi i właścicielom, ale zdrajczy elektor już od stycznia przemyśliwał nad wypędzeniem Jezuitów z Królewca.

Pleban Wolfsbegk otrzymał 5 stycznia 1655 r. 600 talarów gratyfikacyi od rządu pod warunkiem, „że Jezuitów z kościoła wysadzi“. Nie było to w mocy jego, „chociaż wiadomo powszechnie, że nie żyje z nimi w zgodzie i radby się ich pozbył“, jak donoszą starsi radcy królewieccy elektorowi i proponują, aby bez tej klauzuli plebanowi owe talary wypłacone zostały. Zgodził się na to elektor, ale polecił swym radcom obmyśleć zawczasu sposób pozbycia się Jezuitów, „zanim dalsze zapuszczą korzenie i głębiej się nie zagnieżdżą“. Stany pruskie, podjudzane przez „pastorów i dyakonów“, wzywały go 1657 r. do wypędzenia Jezuitów, co mógł uczynić tem swobodniej, że traktat welawski t. r. uwolnił go od wszelkiej zależności od króla i Rzeczypospolitej. Chodziło mu jednak o odebranie Elbląga z rąk Szwedów, danego mu od króla Jana Kazimierza prawem zastawu za 400.000 talarów, czekał więc pokoju oliwskiego, a namiestnika Prus Janusza Radziwiłła, radców i stany uspakajał, że do czasu „dyssymulować“ musi, ale po zajęciu Elbląga, Jezuitów z całych Prus wydali. Nie wydalił jednak, owszem na sejmie stanów pruskich 1661 r. zatwierdził wolność religijną katolikom, a 1663 r. wydał dekret, aby kalwini i katolicy na równi z lutrami przypuszczeni byli do urzędów i dygnitarstw miejskich, bo chciał pozostać wierny dawnym z 1605 i 1611 r. paktom, zatwierdzonym w Welawie 1657 r.; ale za to skąpił pieniędzy na restauracyę kościoła, który 1653 r. groził ruiną, plebanii i szkoły, pomimo corocznych dopominań się dozoru kościelnego i biskupa warmińskiego Wydżgi.

Jezuici nie odgadując, że poza ich plecami elektor knuje wrogie im zamiary, sławili jego tolerancyę i korzystali z niej szeroko. Dzięki ich pracy, w Królewcu liczono 1660 r. 6.000 katolików, przystępujących do komunii wielkanocnej. Gdy pleban Wolfsbegk przeniósł się na probostwo w Elblongu, miejsce jego zajął dr. Jakób Stempelius, Niemiec, nieświadomy polskiego języka, lecz ten umarł na zarazę 1661 r. Następca jego Michał

Foerster, bardzo potulny wobec rządu, ale i dla Jezuitów nie srogi. Pomimo zarazy, która w 5 miesiącach zabiła 3.580 osób w mieście, a padł jej ofiarą także O. Jędrzej Prottman w sile wieku, kaznodzieja i teolog znakomity, dla znajomości Ojców Kościoła przez luterskich mistrzów teologii, z którymi uczone staczał dysputy, podziwiany — pomimo, mówię, zarazy, w tym jednym 1661 roku, nawrócili 89 kalwinów i lutrów, 9 schizmatyków, 30 apostatów, 39 zachwianych utwierdzili w wierze, ochrzcili 390 dzieci, niektóre przyszły na świat z matek dotkniętych zarazą, pobudowali namioty dla kilkudziesięciu ubogich zapowietrzonych; pogrzebali ich ciała. W roku 1662 nawrócili 3 apostatów, 2 schizmatyków, 46 protestantów, między nimi długoletniego żarliwego predykanta luterskiego. W następnym roku wyuczyli katechizmu 9 starców 60-letnich i 27 litewskich flisaków, „którzy dotąd zwyczajem pogan i zwierząt żyli". W kościele parafialnym mówili każdej niedzieli i święta po trzy kazania: polskie, litewskie, niemieckie z śpiewami w tych językach pieśni pobożnych, które zapożyczali także od lutrów, o ile te błędnej nauki nie zawierały. Wieczorem katechizowali w polskim i litewskim języku i zaprowadzili drugie niemieckie kazanie. Niemiecki kaznodzieja O. Stibigk wsławił się u inteligencyi królewieckiej kazaniami polemicznemi, w których z wielką siłą argumentów, ale z umiarkowaniem, wykazywał nie tylko różnice dogmatyczne, ale i krzywdy i zniewagi katolikom od lutrów i ich predykantów wyrządzane. Treść tych kazań przez znaczniejszych protestantów doszła do uszu elektora, więc edyktem z 6 czerwca 1662 r. zabronił lutrom wyszydzania katolickich nabożeństw, a ministrom wycieczek z ambony na papieża, księży i zakony.

Kazania, nabożeństwa, szkoły i nawrócenia idą swoim trybem, na pozór spokojnie aż do r. 1675, w którym nad głowami Jezuitów zbierać się poczęła groźniejsza, niż kiedykolwiek burza. Co było właściwą jej przyczyną?

W latach 1645—1700 zapanował na akademii królewieckiej, na teologicznym fakultecie kierunek synkretyczny[1], inau-

[1] Synkretyzm, wyraz utworzony przez Plutarcha w rozprawie Περὶ Φιλαδελφίας od wyspy Krety, której mieszkańcy w wiecznych kłótniach

gurowany w Helmstadzie przez profesora Ulryka Kaliksta r. 1629, wniesiony do Królewca przez Chrystyana Dreiera od r. 1644 profesora teologii i kaznodzieję zamkowego, zmarłego r. 1688. Luteranin ten występował na katedrze i na ambonie w duchu pojednawczym, nie tylko względem kalwinów, ale i papistów, głosząc powszechno-katolicką wiarę, na Piśmie św., Ojcach kościelnych i soborach pierwszych pięciu wieków opartą. Twierdził np., że post 40-dniowy, 7 sakramentów, msza św., modlitwa za dusze zmarłych od apostolskich czasów pochodzą i przyjąć je należy, jako dogmat wiary. Twierdził dalej, że można zbawić swą duszę także w wierze papistów, bo chociaż ona nie jest oną czystą, starą, katolicką wiarą, gdyż ma przymieszki od papieży wymyślone, ale posiada z niej wiele dogmatów prawdziwych. Synkretyzm Dreiera podobał się wielu jego uczniom, zmęczonym namiętnemi kłótniami i napaściami lutrów na kalwinów i papistów. Ci w ciągu lat 20 pozajmowali katedry profesorskie i wiele ambon i probostw w Królewcu i Prusiech, w Kurlandyi nawet, i wśród inteligentnych lutrów i kalwinów znajdowali coraz więcej zwolenników. Duch pojednawczy zbliżył ich także do Jezuitów, w których cenili naukę i wyrozumiałą pobłażliwość w kwestyach spornych *(disputabiles)*, obok stanowczości w dogmatach. To nam tłumaczy dlaczego studenci, spotkawszy O. Kuhna przechodzącego koło akademii, zaprosili go na dysputę filozoficzną, która się 22 września r. 1651 odbywała pod przewodnictwem profesora Graffta. O. Kuhn, wieloletni profesor filozofii, wmieszał się do dysputy. Odebrać chciał mu głos senior fakultetu filozoficznego, profesor Eifler, ale O. Kuhn powołał się na dyplom króla polskiego z d. 30 kwie-

---

między sobą, godzili się na chwilę, gdy zewnętrznego nieprzyjaciela odeprzeć trzeba było, poczem znów wracali do dawnych kłótni. Otóż ten wyraz zastosowano pogardliwie do szkoły luterskich teologów, przez Ulryka Calixta koło 1630 r. zaczętej, która, dążąc do pojednania luterskiej, konfesyi z kalwińską i z katolicką wiarą, przyjmuje za źródło wiary pismo święte i tradycyę Ojców Kościoła i soborów pierwszych pięciu wieków i drogą eklektycyzmu wytworzyć usiłuje jakąś powszechno-katolicką wiarę, ale nie kościelno-papieską, którąby lutrzy, kalwini i katolicy papiescy przyjąć mogli.

tnia r. z. i przez półtorej godziny dysputował z Grafftem i pokonał go ku wielkiemu zdumieniu całego audytoryum nad bystrością i wiedzą Jezuity. Odtąd i profesor Grafft i inni koledzy i uczniowie odwiedzali O. Kuhna dla „uczonej zabawy". Zdaje się, że i na kilku innych dysputach występował w szranki uczony Jezuita, to pewna, że następca jego O. Radau przybył na dysputę „o czci świętych obrazów", którą profesor Dreier zapowiedział na dzień 17 stycznia 1653 r. i cytatami Ojców Kościoła wprawiwszy w zadziwienie słuchaczy, a między nimi byli: poseł cesarski bar. Isola, kanclerz kurlandzki, wyżsi urzędnicy pruscy, pokonał niemniej uczonego profesora.

Sława uczoności OO. Kuhna i Radaua, obok ognistej wymowy, sprawiła, że na ich dogmatyczno-polemiczne kazania przychodził cały wykształcony i na pół wykształcony Królewiec, a zwłaszcza studenci. Niektórzy z nich ułożyli pochwalne hymny na cześć kaznodziei, inni nawet do pojedynku w obronie ich sławy stawali.

Rzecz jasna, że twardzi lutrzy z profesorem Celestynem Milentą na czele, wystąpili ostro przeciw Dreierowi i jego zwolennikom, najprzód na polu teologicznej dyskusyi i dowodzili nie bez słuszności, że synkretyzm pełnemi żaglami zapędzi ich do papizmu. A gdy to nie pomogło, domagali się od wielkiego elektora, ażeby usunął od katedry i ambony Dreiera i jego zwolenników: Marcina Grabe, Melchiora Seidlera, Filipa Pfeiffera, Samuela Wernera, Bernarda Sandena, Fryderyka Deutscha[1]. Podburzyli także stany pruskie, iż te na kilka zawodów domagały się tego samego u elektora. On zaś *summus in sacris*, jako kalwin rad był w duszy Dreierowi i jego synkretyzmowi i niby to przyganiał mu, groził nawet dymisyą, ale pozwolił spokojnie umrzeć na zajętych stanowiskach profesora i kaznodziei 1688 r., a także jego zwolenikom nie odebrał katedry.

Następca jego Fryderyk Wilhelm III pochwalał w zasadzie synkretyzm, ale napierany przez twardych lutrów i stany, za-

[1] Ci dwaj ostatni wrócili do twardego luteranizmu i zwalczali namiętnie, Sanden zwłaszcza z ambony, Dreiera, synkretyków i papistów.

groził na seryo suspensą od urzędu profesorom i kaznodziejom, którzyby do „papizmu się skłaniali i doktryny przeciwne katechizmowi ewangelików pruskich *(corpus doctrinae pruthenicum)* głosili". Jakoż sędziwego Mateusza Pretoryusza nietylko usunął z katedry, ale wydalił z księstwa. Podejrzanych o synkretyzm profesorów i pastorów szpiegowali i donosili do konsystorza i do elektora twardzi lutrzy, ich koledzy, więc broszurowe polemiki, śledztwa, procesy, które elektor, jako *summus in sacris* zazwyczaj umarzał, rzadko karał suspensą lub dymisyą. Studentów doniesionych przez swych mistrzów lutrów o uczęszczanie na kazania jezuickie i „papizm", bo nazwa synkretyzmu i synkretystów, jako krzywdząca i obelżywa zakazaną została edyktem elektora, cytował konsystorz, badał ich zapatrywania religijne, groził wydaleniem z akademii; kilku istotnie wydalono. W końcu postarał się o zakaz rektorski uczęszczania na kazania Jezuitów. Rezultat był ten, że podejrzani i śledzeni o papizm, przechodzili na katolicyzm, bo na mocy paktów r. 1611 i 1657 było im to dozwolone, a biskupi warmińscy Zbąski i Załuski i Jezuici brunsberscy opiekowali się ich dalszym losem.

W Królewcu był zawsze jeden i drugi Jezuita-misyonarz, znakomity teolog i dyalektyk, jak Kuhn, Radau, Prottmann, Stibigk, Arent, Buchhorn, do których synkretycy w swych wątpliwościach i trudnościach po radę i pomoc się udawali. Zostając więc w kontakcie z ruchem naukowo religijnym na uniwersytecie, Jezuici, kaznodzieje niemieccy, rozbierali na ambonie dogmaty, będące kwestyą chwili, przez to kazania ich stawały się aktualne, zajmowały więc i ściągały licznego słuchacza. Polemiczny, niekiedy nawet przyostry ton kazań nie zrażał, bo wobec namiętnych polemik i wyzwisk luterskich predykantów, do których nawyknięto, wydał się zawsze jeszcze umiarkowany [1].

(D. c. n.).

Ks. St. Załęski.

---

[1] Obszernie rozprawia o synkretyzmie w Królewcu i Prusiech Dr. Dittrich: *Geschichte des Katholicismus in Altpreussen,* I, 371—523.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa polskiego.

Z dziedziny filozoficznej.

Wojciech Dzieduszycki: „Mesyanizm polski, a prawda dziejów". — Jan Witort; „Filozofia pierwotna" (animizm). — Dr. Antoni Złotnicki: „Z tajemnic duszy. Spostrzeżenia psychologiczne". — W. M. Kozłowski: „Klasyfikacya umiejętności na podstawach filozoficznych, jako wstęp do wykształcenia ogólnego". — Edward Abramowski: „Teorya jednostek psychicznych. Przyczynek do krytyki psychologii współczesnej". — Tenże: „Dusza i ciało". (Prawo współrzędności psychologicznej rozpatrywane ze stanowiska teoryi poznania i biologii).

Piękną książkę p. Wojciecha Dzieduszyckiego, p. t. „Mesyanizm polski, a prawda dziejów", napisaną widocznie po przeczytaniu drugiego a niedawno wydanego tomu „Ojczenasza" Augusta Cieszkowskiego, można każdemu Polakowi polecić, aby ją z należytem przeczytał skupieniem i uwagą. Autor znany znakomity nasz filozof-polityk i literat porusza w niej z werwą i ze szczerem uczuciem zagadnienia dla każdego serca polskiego najdroższe. Przeczytawszy dzieło Cieszkowskiego, rozważa, jakie też jądro prawdy może tkwić w mylnej historyozoficznej teoryi o mesyańskiem posłannictwie Polski. „Cóż zostało — pyta — z owego ułudnego gmachu mesyańskich obietnic, wśród którego w błogiej wzrastało nadziei pokolenie dziś w zwątpieniu ku grobowi pochylone" (str. 17). Odpowiedź na takie pytanie daje autor w formie rozmowy prowadzonej w Rzymie między nim a Niemcem, Anglikiem i Włochem. Pod wpływem uczuć, które w każdym głębszym umyśle budzi Rzym i pobyt w wiecznem mieście, rozprawiają we czterech

o prawach dziejowego rozwoju ludzkości i idei postępu. Niemiec, docent berlińskiego uniwersytetu, to typowy przedstawiciel doktrynerstwa, poczucia wyższości germańskiej kultury tudzież wiary w postęp dokonywujący się obecnie dzięki postępowi wiedzy, oświaty, bogactwa wynalazków i t. d. i t. d. Włoch także wierzy w postęp, jest nowożytnym chrześcijaninem, ma to przekonanie, że ludzkość wróci do chrześcijańskich ideałów. Anglik, to uosobiony krytycyzm i pesymizm. Swoje stanowisko jako punkt wyjścia określa autor w słowach: „Postęp bywa, jak coś się na lepsze zmieni; bywa przeciwnie zmiana zła, której nie godzi się przezywać postępem; w postęp nie wierzę, jeżeli postępem nazywamy ślepą konieczność, która ludzkość prze ustawicznie ku lepszemu“ (str. 25);

Niemiec wierzy, że „człowiek gruntuje swoje nad żywiołami panowanie, ziemię w swoje dziedzictwo zamienia, że pokonał już w wielkiej mierze, pokona kiedyś może zupełnie cierpienie pochodzące z nędzy zmysłowej, głód i ból fizyczny, pod których szponami trudno, aby się duch ludzki zdołał wznieść do podziwiania piękności, do wiedzy, do cnoty“ (str. 29). Natomiast Włoch stwierdza, że obecnie „wesela szczerego, naiwnej uciechy jest o wiele mniej, jak niegdyś, żyją liczniejsze, ale smutniejsze pokolenia“ (str. 30). To wszystko zbija Anglik: „Gdyby istniał — woła — prawdziwy, konieczny postęp ludzkości, powinny się wzmagać twórcze jego potęgi“ (str. 32). Wywody jego, to surowa nieubłagana krytyka obecnych stosunków. Wszystko, zdaniem Anglika świadczy raczej o upadku, niż o postępie nowej sztuki, filozofii, polityki, szczególnie parlamentaryzmu, wreszcie i ekonomiczne stosunki dowodzą oczywiście przechylania się ku upadkowi: „Chcąc uniknąć nędzy wstępuje każdy do służby publicznej a niedługo nie będzie już na świecie samodzielnych obywateli pracujących na własnym zagonie albo własnym kapitałem, będą sami płatni funkcyonaryusze państwa“ (str. 51). Od oświaty Anglik także niczego się nie spodziewa: „Niema już szkół, które miałyby kształcić ludzi, bezinteresowną wzmagać miłość nauki; wszystkie kształcą nowych bezdusznych zawodowców, chcąc zapewnić uczniom chleb, na który zarobi, jako funkcyonaryusz“ (str. 64). „Z ludzi zrobimy zdegenerowanych maniaków, dziedzicznych idyotów i zbrodniarzy. Zasoby natury marnując nieopatrznie, wyczerpiemy do szczętu, wyrąbiemy lasy, wytępimy zwierza, wyczerpiemy rolę. Kiedy ta cywilizacya dzisiejsza zginie, zostanie po niej świat szkaradnie rozryty niby żerowisko wystrzelanej trzody“ (str. 63).

Taki obraz przyszłości kreśli Anglik. Włoch zajmuje wobec tego

stanowisko pośrednie, w postęp wierzy dzięki chrześcijańskim ideałom i mówi, że „jeżeli nawet katastrofa nastanie, nastanie później nowa cywilizacya o tyle wyższa od dzisiejszej, o ile cywilizacya nasza jest wyższą od klasycznej“ (str. 70). Przyszłość widzi Włoch w narodach słowiańskich: „Od nich zależeć będzie los świata, jeśli się podejmą na wezwanie Piotrowe, wyszłe z Rzymu, budowy nowego świata naprawdę chrześcijańskiego, nie będzie strasznej katastrofy dziejowej“ (str. 96). Autor sam jako Polak stanowisko swoje tak na str. 111 określa: „Odezwałem się: Czy to poczucie religijne, ta potrzeba ideału i Boga, tkwiąca w głębi duszy ludzkiej, nie jest raczej poręką lepszej, promiennej przyszłości? Czyż się nie należy spodziewać, że ludzie pozbywszy się umyślnej ślepoty nie zechcą dalej pełzać w prochu i prochem się żywić a wrócą do swojej przyrodzonej podstawy, głowę znów ku niebiosom podniosą. A wtedy doba dzisiejsza okaże się jednem tylko ogniwem więcej w dziejach postępu ku doskonałości, ku ideałowi niedopiętemu, ale do którego zbliżać się mamy wiekuiście. Na to, aby ludzkość wyratować przed nieszczęściem i samobójstwem, potrzeba tylko wyraźnej, stanowczej religijnej afirmacyi, nie potępiając tego, co nowożytna ludzkość zdobyła a wskazującej tylko słuszny użytek z nauki, umiejętności, demokracyi, powszechnej oświaty“ (str. 112). Ta myśl trafia nawet krytycznemu Anglikowi po części do przekonania i powiada: „ale taka afirmacya może z jednego tylko wyjść miejsca a na tem miejscu bawimy oto teraz. Papież jest jedyną powagą tak wielką, że może ludzkości nowe wskazać drogi“ (tamże). Jednakże w misyę Słowian i Polaków, którą głosił Włoch, krytyczny Anglik nie wierzy. „Chyba tem moglibyście świat zbawić — mówi — żebyście potrafili żyć zdrowo i cnotliwie na przekór możnym a występnym i potęgę tych występnych przetrwali. Do takiego nadludzkiego prawie dzieła wydajecie mi się zbyt lekkomyślni, zbyt zapalczywi, zbyt powierzchowni“ (str. 120). Następuje na str. 121—123 wspaniałe przedstawienie charakteru polskiego, włożone w usta Anglikowi. Niechaj to sobie każdy Polak przeczyta, a może mnóstwo uświadomić sobie rzeczy. Otwarcie wyznaję, że takiej syntezy polskiego charakteru nigdzie nie czytałem. W końcu zaś Anglik tak nas pociesza: „Nie pokonacie orężnie mocarstw rozbiorowych, nowożytnego państwa nie założycie, to dla mnie jasne, a zatem nie będziecie mieli naczelnego udziału w samobójczych występkach dni naszych; zginiecie względnie niewinni a my wszyscy zginiemy zbrodniarzami“ (str. 124). Autor dodaje: „Tak skończył Anglik a ja w obecności Niemca nie miałem odwagi mu odpowiadać.

Ostateczne zaś myśli swoje co do przyszłego posłannictwa Polski formułuje autor w następujący sposób: „Musimy zaniechać myśli o odwecie, gniewu i pragnienia zemsty, którą sobie nami sprawiedliwość wymierzymy“ (str. 140), niepodobna abyśmy się dźwignęli inaczej, jak tem tylko, że czynem i słowem będziemy spełniać wielkie w dziejach powołanie, torując drogę dla chrześcijańskiej cnoty w życiu dziejowem. „Nam Polakom należy pracować, aby przykazanie: kochaj bliźniego swojego, jak siebie samego obowiązywało narody i stany tak samo, jak obowiązuje ludzi“. Nie spodziewajmy się katastrofy, która nas raptem oswobodzi, bo tego się nie doczekamy, zasługa zaś polskiego narodu będzie w tem, jeżeli pracą swoją powstrzyma europejski „dekadens“ i tylko nową dobę starej chrześcijańskiej cywilizacyi przyśpieszy“. A więc autor w pewnego rodzaju posłannictwo narodu polskiego wierzy. Widzi je nie w powstaniach i w rewolucyach, nie w udziale w paskudnej dzisiejszej politycznej robocie, lecz w pracy na polu ducha i to w pracy w myśl chrześcijańskich ideałów. Nie mam zamiaru autora krytykować i z nim polemizować, jego rzecz tak piękna i tyle dająca do myślenia, że gdybym mu nie wszystkiemu może nawet przyklasnął, na jedno zgodzić się muszę: przyszłość nasza tkwi w pracy na polu duchowem i na wierności chrześcijańskim ideałom; mam zaś to przekonanie, że nas to i do politycznego doprowadzi odrodzenia. Panu Dzieduszyckiemu wdzięczność się należy, iż swoją książką niejednemu zwątpiałemu sercu polskiemu doda otuchy, niejednego może do myślenia i do poważniejszej nakłoni rozwagi. Oby tylko tę książkę Polacy czytali. Niestety, do naszych wad należy i to także, że poważną książkę niechętnie do ręki bierzemy.

Praca p. Witorta p. t. „Filozofia pierwotna (animizm)“ jest dosyć sumiennem, ale niekrytycznem streszczeniem paru rozdziałów dzieła Edwarda Tylora p. t. „Cywilizacya pierwotna“. Autor oczywiście wierzy w pojawienie się człowieka we Francyi w czasie przed 230—240 tysiącami lat. Tak zwana rasa Neanderthalu miała być ową pierwotną rasą ludzką. Jaki dowód, że to byli ludzie? Ano ten, że sądząc po kościach, byli podobni do człowieka. Każdy ściśle myślący człowiek z łatwością wykaże, jak słaby to i niewystarczający dowód. Dobrze, że autor przyznaje przynajmniej, iż „śladów wierzeń religijnych u tej rasy nie odszukano ani najmniejszych“ (str. 5). Psychologię człowieka pierwotnego kreśli autor na początku znowu według Herberta Spencera a przy tej sposobności popada oczywiście w te same błędy i uprzedzenia, co

i tamten. Powtarza np. za Spencerem, że „człowiek pierwotny wyróżniał się swoją ciekawością, jak i każde dziecko, które łamie zabawki, by je zbadać dokładnie, i że „stawia sobie cały szereg pytań, które powstają w jego umyśle z powodu zjawisk życia osobistego oraz przyrody“ (str. 8). Jest to całkowicie błędne zapatrywanie, albowiem jeżelibyśmy wyróżnili dokładnie owe rzekome najpierwotniejsze stany zbiorowego życia ludzi od późniejszych, to łatwobyśmy się przekonali, że człowiek pierwotny nie miałby czasu być ciekawym, gdyż umysł jego byłby jedynie całkowicie zajęty zaspokajaniem potrzeb. Nie ciekawość ale potrzeba, oto byłby najpierwotniejszy bodziec do pracy, do walki i do systematycznego w dalszym ciągu myślenia. Na ciekawość przychodzi pora dopiero tam, gdzie potrzeba gwałtownie nie dokucza. Co do pytania „czy istnieją ludy pierwotne, nie posiadające żadnych wierzeń religijnych“ (str. 10), to autor słusznie czyni idąc za ostrożniejszym w tej mierze Tylorem, nie zaś za Spencerem. Jak dotąd, to pomimo wszelkich możliwych nakręcań, nie znaleziono jeszcze człowieka całkowicie wszelkich śladów religii pozbawionego, lecz prawda, przepraszam, zapomniałem, znajdują się tacy, ale nie między ludami pierwotnymi, lecz na najwyższych szczeblach dzisiejszej cywilizacyi. Zresztą o dalszych wywodach autora niema co mówić, gdyż nie są to jego własne poglądy, w polemiki zaś i rozprawy z Tylorem nie tu miejsce wdawać się. Różne przykłady, przytaczane z wierzeń ludu polskiego i słowiańskich nie wystarczają też, aby nadać pracy naszego autora cechę oryginalną. Objawia się u niego także wyraźnie dążność do mieszania rzeczy, które wcale do siebie nie należą, powtarza np. także za Tylorem i to w sposób dosyć naiwny, że święta Bożego Narodzenia uznano „symbolicznie, ale bez żadnych podstaw historycznych w Kościele zachodnim za dzień urodzin Jezusa Chrystusa“ (str. 91). Gdyby nasz autor nie polegał wyłącznie na Tylorze, ale zechciał był sięgnąć nieco głębiej w historyę Kościoła, byłby się przekonał, że nie jest tak, jak mniema Tylor, a za nim pan Witort powtarza.

Jak często bierze autor dosyć fantastyczne przypuszczenia za pewniki, dowodzi tego fakt następujący. Na str. 92 pisze: „Na wyższych szczeblach rozwojowych, mianowicie w pierwszym okresie barbarzyństwa zjawia się już rolnictwo lub jego początki, n a w i a s e m m ó w i ą c j e s t t o w y n a l a z e k k o b i e t y, c o j e s t ś c i ś l e u d o w o d n i o n e m. Otóż pytam się szan. autora, kto i gdzie to ściśle udowodnił? Gdyby autor był rozpatrzył się w dziełach Ratzela lub przynajmniej w Muckego *Urgeschichte des Ackerbaues und der Viehzucht,*

byłby się przekonał, jak ostrożnie tego rodzaju zagadnienia się traktuje. Czy wogóle można uważać rolnictwo za czyjś wynalazek? Na innem miejscu autor znowu przyznaje, że u „niektórych ludów pierwotnych zachowały się podania o człowieku pierwszym, jako praojcu ludzkości". Na fakt ten jednak, nawiasem mówiąc, o wiele powszechniejszy, aniżeli wielu uczonych przypuszcza, nie zwraca należytej uwagi.

Na zakończenie muszę tu jeszcze wytknąć ważny historyczny błąd, który występuje w pracy p. Witorta. Na str. 99 wspominając o księgach Zend-Avesty, tak pisze: „Jest to wielki system religijny, który wywarł wpływy pewne na religie inne. Jest to odszczepieństwo od tej wielkiej religii przyrody, którą mamy wyłożoną w Wedach, dziś ona spaczona i wykoszlawiona w stopniu najwyższym, wyznawaną jest przez Hindusów współczesnych. Sprzeczność zasadnicza pomiędzy światłem a ciemnością, dniem a nocą uosobiła się w postaciach Ahura-Mazdy i Anra-Majnju Ormuzda i Arymana, dobrego i złego bóstwa". Jak to, więc autor na prawdę mniema, że to jest religia, którą współcześni Hindusi wyznają? Oświadczam otwarcie, iż nie spodziewałem się takiego błędu po autorze, zabierającym się do pisania tego rodzaju prac. Wiele jeszcze innych niejasności i mieszań rzeczy bardzo pierwotnych z bardzo późnemi byłoby do wytknięcia. Ale na tem już poprzestaję, wyrażając nadzieję, że autor, który widocznie do studyów porównawczych nad pierwotną kulturą i umysłowością ludzką z wielkim przystępuje zapałem, zapozna się wszechstronnie i krytycznie nie tylko z Tylorem, lecz także i z późniejszemi od nich badaniami, i że z czasem nauczy się także patrzeć w zagadnienia samodzielnie. Styl autora jest jasny i zrozumiały, język dosyć czysty, ale mógłby być lepszym; stanowczo zaś odradzam używania tak wstrętnych i niepolskich wyrazów, jak np. „ś w i a t o p o g l ą d" (str. 62), dlaczego nie „p o g l ą d n a ś w i a t?" Wszak to takie polskie i piękne wyrażenie, a tamte na prędce ukute na wzór niemiecki.

Rzecz p. Złotnickiego „Z tajemnic duszy" jest to nie wielka broszura, zajmująca się zjawiskami hipnozy i suggestyi, może ona jednak sama taka jaką jest, być uważaną za doskonały dowód, do jakiego stopnia głowy polskich uczonych ulegają niekiedy suggestyi i wpływom zagranicznej nauki. W całej broszurce ani jednej własnej myśli, tylko powtarzanie obcych wywodów i poglądów jakby pacierza za panią matką. Oczywiście, stanowisko autora jest materyalistyczne a raczej zbliżone do tak modnego obecnie psychofizycznego parallelizmu, wido-

czne to ze słów zaraz na piewszej wypowiedzianych stronicy: „Przystosowawane sprawy życia są jednocześnie i nierozerwalnie mechanicznemi i świadomemi“ (str. 7). Oczywiście świadomość i stany życia duchowego są dla autora wynikiem zbiorowego funkcyonowania komórek kory mózgowej. Jak to jest możliwe, aby zbiorowe działanie komórek, z których każda jest światem dla siebie, wytwarzało coś tak jednolitego, jak poczucie własnej jaźni, tego, rzecz prosta, autor nawet nie próbuje wyjaśnić. Już ze założeń przez autora przyjętych, wynika, że wszelkie jego usiłowania zmierzające do wyjaśnienia zjawisk hipnozy i suggestyi, nie mogą dopisać. Autor własnemu stanowisku ciągle staje się niewiernym, np. na str. 11 pisze: „Oderwane psychicznie od świata zewnętrznego ja odczuwa owe przelotne blaski swoich widzeń, upaja się swą bezgranicznością i swoją wszechwładną potęgą“. Szanowny autorze, zechciej łaskawie mi powiedzieć, jak to jest możliwe, skoro według twojego mniemania, żadne ja nie istnieje, jakżeż więc ono może się czemś upajać lub coś odczuwać, istnieją przecież tylko jakieś mechanicznie konieczne zbiorowe działania, im zaś towarzyszą tylko różne stany świadomości, a więc skądżeż prawo do rozprawiania o jakiemś ja. Ale to już zwykła i wszystkim, zajmującym podobne stanowisko, jak nasz autor, wspólna logika, że indywidualnego duchowego bytu nie uznają, ale gdy im jest do uwydatniania ich poglądów potrzebny, to nim się posługują. Broszura pana Złotnickiego posiada jednak tę wartość, że mamy zebrany w niej z obcych autorów dosyć zajmujący i obfity materyał faktów dotyczących zjawisk hipnozy, suggestyi, zmiany osobowości, medyumizmu i t. p. Wyjaśnianie jednak tych wszystkich faktów musimy uważać za najzupełniej niewystarczające, czego zaś nie może wytłumaczyć, temu autor wprost zaprzecza. Tak np. nie uznaje wcale zjawisk przenoszenia myśli, i nic dziwnego, dla kogo bowiem zjawiska takie mają być „bezpośredniem oddziaływaniem jednego mózgu na mózg drugi i na znacznej odległości“ (str. 76), ten oczywiście musi w nich widzieć tylko „opowiadania gołosłowne, zbierane bezkrytycznie“. Wdzięczni autorowi za zebrany w jego broszurce materyał faktów i przykładów, radzibyśmy jednak widzieć obrabiane tego rodzaju zagadnienia z większą gruntownością tudzież z odpowiednim zasobem zmysłu krytycznego i filozoficznego. Przestrzeganie większej czystości języka byłoby również rzeczą pożądaną.

P. Kozłowski, autor broszury „Klasyfikacya umiejętności“, pisał już przed paru laty o tym przedmiocie. Obecnie swoje studyum rozszerzył, uzupełnił i podaje je jako wstęp do zamierzonej na szerszą skalę biblioteki dla samouków. Przedmiot na początek dobrze wybrany, gdyż słusznie należy się, aby chcącemu kształcić się o własnych siłach, podać przedewszystkiem przegląd całokształtu wiedzy; to mu bowiem niewątpliwie ułatwi zoryentowanie się. P. Kozłowski zaraz na wstępie tak pisze: „Uczeń, który pod kierunkiem nauczyciela przebiega rozmaite gałęzie wiedzy, nie wie najczęściej ani jaki jest ich związek między sobą, ani jaką część stanowią całego obszaru poznania ludzkiego, ani co poza niemi w tym obszarze zostaje. Nie potrzebuje on tych wiadomości, gdyż pewna dłoń przewodnika prowadzi go po krętych ścieżkach nauk. Inne zgoła jest stanowisko człowieka o własnych siłach pracującego nad swojem wykształceniem, taki musi mieć pogląd na cały obszar wiedzy“ (str. 5). Na stronie zaś zaraz następnej dodaje jeszcze, że nauka szkolna idzie od szczegółów do ogółu, wykształcenie siebie samego postępuje odwrotną drogą.

Klasyfikacye nauk mogą być najrozmaitsze „w zależności od tego, na co będziemy zwracali uwagę przy porządkowaniu umiejętności w systemat“, autor więc rozpoczyna swoje wywody od historycznego przeglądu różnych do tego czasu prób klasyfikacyi. Rozpoczyna od Platona, który za punkt wyjścia obrał sobie trojakie władze umysłowe, wspomina dalej Arystotelesa, którego podział polega na celu i zaraz dalej przechodzi do Bakona o podziałach w średniowiecznej filozofii, jak np. u Wincentego z Bauvais lub u Rogera Bakona nie wspomina wcale, a szkoda wielka, gdyż do uwydatnienia ciągłości między myślą starożytną a nowożytną byłaby taka wzmianka bardzo się przydała. Podział Bakona zbyty jest pobieżnie i bez należytego uwydatnienia jego doniosłości: również krótko dotknięty Chr. Wolff, dłużej zatrzymuje się nasz autor dopiero przy Auguście Comcie. Niewątpliwie podział to ważny, oparty na idei historycznego rozwoju nauk, ale jednak bez zwrócenia uwagi na Encyklopedystów, a szczególnie na d'Alemberta i Condorceta nie zrozumiały. Wogóle temu historycznemu przeglądowi brakuje głębszego tła, nie mamy wcale uwydatnione, co umysły filozofów w danych chwilach do przedsiębrania różnych prób klasyfikacyi popychało. Na takiem tle Comte byłby o wiele zrozumialszy, tak samo jak i Spencer, o którym krótką tylko na str. 15 znajdujemy wzmiankę. Połączeniem Comte'a i Spencera ma być układ pana Bolesława Limanowskiego, przytoczony na str. 16, jednak bez należytego

rozwinięcia, nieco dłużej zatrzymuje się p. Kozłowski dopiero przy słynnym matematyku i fizyku Ampère.

Klasyfikacya ta ma i według mojego zdania wielkie znaczenie, albowiem podjętą jest nie przez filozofa, ale przez wielkiego uczonego a następnie za podstawę przyjmuje badane zjawiska i fakty, stanowiące treść naszych nauk. Z tego też punktu widzenia wychodząc, dzieli Ampère wszystkie nauki na kosmologiczne i noologogiczne. Z polskich myślicieli uwzględnia p. Kozłowski klasyfikacye Hoene-Wrońskiego, Zdanowicza i Trentowskiego, nad ich wartością jednakże bliżej się nie rozwodzi. Wracając potem do Niemców, mówi nieco obszerniej o Wundcie i Aug. Stadlerze.

Cały ten przegląd historyczny grzeszy głównie tem, iż jest nieco dowolny i że brak mu głębszego tła, wyjaśniającego przyczyny i racye tych różnych prób. Na str. 44 przystępuje autor do rozwinięcia własnego podziału nauk. Ale zaraz na początku czuć jeden brak; autor nie mówi nic o tem, co to są nauki, z jakich potrzeb powstają — sądzę zaś, że mi każdy rozumiejący się na rzeczy czytelnik przyzna, iż trudno mówić o podziale nauk, nie wykazawszy poprzednio, choćby całkiem krótko, co to jest nauka. Klasyfikacya p. Kozłowskiego tak się przedstawia: dzieli on nauki na cztery wielkie grupy: 1) Nauka o przyrodzie, 2) nauka o duchu, 3) filozofia teorotyczna, 4) wiedza społeczna i praktyczna.

Do grupy filozofii teoretycznej zaliczone są: a) logika, metodologia, filozofia nauk; b) teorya poznania; c) metafizyka. Do wiedzy zaś społecznej i praktycznej znowu zaliczone: filozofia społeczna, filozofia dziejów, dalej filozofia religii, sztuki, prawa. Otóż za główną wadę całego tego podziału nauk należy uważać, iż jest mało przejrzysty i sztuczny. Zdaje mi się, że na tej drodze nie dojdziemy nigdy do postawienia podziału nauk takiego, na któryby powszechna objawiła się zgoda. Dobry podział nauk powinien koniecznie spełniać trzy warunki. Powinien 1) wynikać z genetycznego rozwoju całej pracy badawczej i istoty nauki wogóle, 2) powinien być o ile możności najprostszy, 3) powinien być wolny od wszelkich z góry przyjmowanych założeń, lecz przedewszystkiem opierać się tylko na oczywistych najpierwotniejszych faktach świadomości. Nie mogę oczywiście wskazywać na tem miejscu, jaki, trzymając się powyższych zasad, dałby się przeprowadzić najlepszy podział nauk. Wspomnę więc tylko na zakończenie, że powyższym zasadom klasyfikacya p. Kozłowskiego nie zupełnie odpowiada, dlatego też wątpię, aby zyskała szersze uznanie. Z drugiej

jednak strony muszę przyznać, iż broszura pana K., jakkolwiek przedmiotu nie wyczerpuje, może doskonale posłużyć do zoryentowania się w zagadnieniu klasyfikacyi, dlatego też można ją uważać za pożyteczny nabytek w ubogiej naszej filozoficznej literaturze.

Pan Edward Abramowski należy niewątpliwie do najpoważniejszych naszych filozoficznych pisarzy z młodszego pokolenia. Niewiele wprawdzie dotąd prac ogłosił, ale te, które wyszły tak w polskim jak francuskim języku, świadczą, że to umysł głębszy, w nauce gruntownej rozmiłowany, a nadewszystko, że to umysł, któremu nie zależy na powierzchownem przyswojeniu sobie cudzych myśli, aby je następnie w szumnej frazeologii popularyzować, lecz na sumiennem przetwarzaniu nabytej nauki na swoją samoistną własność. Nie wiem czyim uczniem jest pan Abramowski i z jakiej wyszedł szkoły, robi on jednak na mnie wrażenie (być może, że się mylę) przedewszystkiem samouka, który bardzo wiele czytał, mnogość szczegółów w siebie wchłonął, ale nie miał sposobności rozjaśnienia sobie tego wszystkiego, czego się nauczył w rozprawach z jakimś umysłem krytycznym i wytrawnym. Nic tak nie kształci i nie wyrabia, jak rozprawa i słowna walka idei, tylko na takiej drodze można dojść do zupełnego rozjaśnienia i ustalenia własnych poglądów. Polemika na piśmie nigdy rozprawy nie zastąpi, gdyż pozostanie ona na zawsze tylko rodzajem monologu. Otóż niewątpliwą jest rzeczą, że dzisiejszym młodszym pracownikom na niwie filozofii, często zbywa na takiem opanowaniu zagadnień przez rozprawianie o nich. U p. Abramowskiego np. widocznem jest, jak on walczy z nawałą nasuwających się mu myśli, jakby rad ogrom zagadnień i szczegółów, które zna doskonale, opanować, a tymczasem nie zawsze mu się to udaje. W stylu jego ciężkim i niejasnym, znać, jak tam w tej głowie fermentuje i jaka tam mozolna odbywa się praca zmierzająca do wydobycia się na stanowisko prawdziwie wyższe i wszechstronne. Że do tego celu dojść p. Abramowskiemu jeszcze niezupełnie się udało, o tem świadczą najlepiej dwie jego w nagłówku wymienione prace, z których pierwsza wyszła lat temu cztery, druga w roku bieżącym. Omówienie obu razem jest wskazane, gdyż one nawet uzupełniają się do pewnego stopnia a dodam tu zaraz z góry, iż w drugiej znać nawet widoczny w rozjaśnieniu się poglądów postęp.

Jak już wspomniałem, nie wiem z jakiej szkoły p. Abramowski wyszedł, zdaje mnie się jednak, że obok gruntownych studyów ze zakresu biologii, musiał wywrzeć na niego stanowczy wpływ kierunek

hołdujący tak zwanemu psychofizycznemu paralelizmowi w związku z filozofią przyrody, opartą na energietyce. Wpływ taki przebija się bardzo wyraźnie już w pierwszej z wymienionych w nagłówku prac noszącej napis: „Teorya jednostek psychicznych". Poświęćmy więc jej najpierwej kilka krytycznych uwag. Do czegóż to autor zmierza w tej pracy? Oto ma ona być przyczynkiem do krytyki współczesnej psychologii. Autor z kierunku tej współczesnej psychologii niezupełnie jest zadowolony, zarzuca jej — i dodam zaraz według mojego przekonania słusznie — przesadny intelektualizm. W artykule zamieszczonym w pierwszym zeszycie *Przeglądu filozoficznego* z r. 1900 p. Abramowski zarzut swój w następujących streszcza słowach: „W teoryach najbardziej podstawowych dzisiejszej psychologii, jak teorya czuć elementarnych, syntezy postrzeżenia i obrazów pamięciowych odnajdujemy błąd przenoszenia wytworów intelektualnych, pojęć abstrakcyjnych do dziedziny przedmyślowej, pozapojęciowej, uważania ich za rzeczywistość psychiczną niezależną od myśli, za pierwsze dane psychologii, pomimo, że noszą one na sobie piętno klasyfikacyi logicznej i tem samem już dowodzą, że spotrzebowała się na nie pewna praca intelektu, narzędzia poznającego. Wskutek tego intelektualizm rozszerza się nieprawnie na całą dziedzinę doświadczenia wewnętrznego; psychologia zaś przestaje być nauką ściśle doświadczalną, gdyż bierze pojęcia zamiast rzeczy". Taki błąd w dzisiejszej psychologii poddać krytyce, oto cel, który sobie autor wytknął w „Teoryi jednostek psychicznych". Celu tego jednak — wypowiem to od razu — już tutaj autor nie zdołał osiągnąć, a to dlatego, gdyż do jasnego stanowiska sam jeszcze nie doszedł. Gdzie i w czem tkwi błąd dzisiejszej psychologii, tak jak ją główni dzisiejsi koryfeusze (chociaż nie wszyscy) z Wundtem na czele uprawiają, to p. Abramowski rozumie, usunąć go jednakże nie umie, gdyż sam hołduje rozmaitym przesądom, które mu utrudniają prawdziwe krytyczne rozpatrzenie się w stanowisku i w najgłówniejszych zadaniach psychologii. Wskażę najpierwej krótko te pierwotne zasadnicze błędy naszego autora. Na str. 8 pisze on: „Pokutująca w nauce od czasów Leibniza hipoteza nieświadomych zjawisk psychicznych pozbawioną jest wszelkiego znaczenia logicznego" i t. d. A więc p. Abramowski zaprzecza w sposób bardzo stanowczy istnieniu nieświadomych zjawisk duchowych, to jest pierwszy jego kardynalny błąd, to najważniejszy jego przesąd, który mu nie pozwala dojść do zupełnie jasnego i krytycznego w psychologii myślenia, w następstwach zaś popycha go z jednej sprzeczności w drugą. Oczywiście wiernym swojemu

stanowisku pozostać nie może i ciągle rozprawia o różnych nieświadomych stanach psychicznych zjawisk, do czego ze swojego punktu widzenia najmniejszego niema prawa, a jednak obejść się bez tego nie ma żadnego sposobu. I nic dziwnego. Pan Abramowski jest zanadto poważnym i gruntownym psychologiem, aby mógł zgadzać się na dziwaczny (wyrażając się delikatnie) pomysł tej szkoły, psychologów, dla których życie duchowe jest jakimś „epifenomenem", jakimś zbytkiem natury i błędnym ognikiem, który zjawia się tylko i istnieje wówczas, gdy jest świadomy; dla niego zjawisko duchowe musi być „uważane za istotny składnik życia" (str. 10). Skoro zaś tak jest, to jakżeż to możliwe, aby ten istotny składnik życia istniał tylko wówczas, gdy jest świadomy; gdyby tak było, to nie byłby istotnym tylko na prawdę błędnym ognikiem. Chcąc więc utrzymać istotność i ciągłość zjawisk duchowych autor musi uciekać się co chwila do tego, co zaprzecza, to jest do strony nieświadomej. Rozprawia więc na str. 70 o akcie nieświadomego porównania, o nieświadomem utożsamieniu (str, 73) lub o nieświadomej abstrakcyi i t. d., a nawet o nieświadomych prasądach. To wszystko mają być nibyto jakieś procesy psychologiczne, ale pytam się, jak można być tak niekonsekwentnym: popadać w ten sam błąd, który się innym wytyka? Autor zarzuca dzisiejszej psychologii, że przenosi wytwory intelektualne z jednej dziedziny w drugą a sam czyni to samo. Oczywiście czyni, bo inaczej nie może; gdyby mu się procesy fizyologiczne nie mieniły ciągle i nie zjawiały w świetle psychologicznem, to jakżeby mógł wykrzesać z nich zjawisko duchowe, jako „istotny składnik życia". Ale tu niema rady, albo wypadnie uznać zjawisko duchowe za jakiś błędny świadomy ognik, który zjawia się tu i owdzie, nie wiedzieć skąd i dlaczego, bez którego jednak wszystko tak samoby się odbywało z konieczności, jak się odbywa; p. Abramowski z konieczności nie wiedząc o niczem, tak samo napisałby swoją teoryę jednostek psychicznych, ja tak samo bezwiednie z konieczności pisałbym jej krytykę; albo też zjawisko psychiczne jest istotnym składnikiem życia i porządku wszechrzeczy a w takim razie i cechę świadomości uzyskujące wewnętrzne stany muszą mieć swoją głębię, bez której to, co się na powierzchni jako stan cechą świadomości opatrzony pojawia, byłoby zupełnie niezrozumiałem. Tu nie pomogą żadne sztuczki, nie pomoże bawienie się z fizyologią w ciuciubabkę, chowanie się co chwila za nią. Jeżeli zjawisko duchowe ma być czemś istotnem, to musi istnieć jako ani na chwilę nieprzerwane pasmo. Jeżeli zjawisko duchowe ma być stroną wewnętrzną tego, czego niby

zewnętrzną mają być procesy fizyologiczne, to czyż można przypuścić, aby mogła choćby na jedną chwilę istnieć owa jakaś strona zewnętrzna bez wewnętrznej. Wszak kto coś podobnego przypuszcza, to przyjmuje zupełnie na siebie rolę owego współwłaściciela domu, który z bratem swoim chciał się w ten sposób podzielić, iż dla siebie zabierał stronę wewnętrzną domu a bratu odstępował zewnętrzną. Jak dom nie może mieć tylko strony zewnętrznej lub tylko wewnętrznej lecz musi mieć obie, tak samo i życie nie może ani na jedną chwilę być tylko tak zwanym zewnętrznym przebiegiem bez wewnętrznego. Kto tylko uzna słuszność takiego rozumowania, musi koniecznie przyjąć nieświadome zjawiska duchowe, które wcale nie są „czemś mistycznem“ lecz najrealniejszą w świecie rzeczywistością dającą się w sposób doświadczalny najdokładniej śledzić i badać. Zdaje mi się jednak, iż odgaduję, jak się to stało, iż p. Abramowski popadł między tę Scyllę i Charybdę, t. j. iż z jednej strony istnienia zjawisk duchowych nieświadomych zaprzecza a z drugiej bez nich na żaden sposób obejść się nie może. Oto pomieszał on pod wpływem, jak mniemam poglądów szkoły Avenariusa, wiedzę o zjawisku duchowem ze zjawiskiem samem, ulegając w tej mierze złudzeniu, któremu i wielu innych przed nim ulegało filozofów, t. j. że w świadomości fakt i wiedza o tym fakcie są jednem i tem samem. Tymczasem to nie jest tak. Co innego jest księżyc na niebie a co innego wiedza o tym księżycu, ale to pewne, że gdyby nie było księżyca na niebie, toby i wiedza o nim nie istniała. Otóż tak samo rzecz ma się i ze zjawiskiem psychicznem. Wiedza o niem czyli świadomość byłaby niemożliwą, gdyby zjawiska pierwej nie było. Cóż to bowiem jest świadomość? Wszak pojawienie się jej dowodzi, jak mniemam, że napięcie tak zwanych stanów psychicznych osiągnęło taką siłę, taki stopień, iż powoduje w tym środowisku stanów, jakiem jest życie duchowe, stan nowy, którego treścią stają się owe jakieś wewnętrzne przebiegi i zmiany. Aby jednak to było możliwe, na to muszą już istnieć wewnętrzne stany, które oczywiście przed pojawieniem się świadomości były nieświadome. Gdyby p. Abramowski był to wszystko wszechstronnie rozważył, nie byłby popadł w fatalny błąd zaprzeczenia zjawisk duchowych nieświadomych, a w dalszym ciągu nie byłby się powikłał w sprzeczności, które sprawiają, iż jego teorya jednostek psychicznych tak jest trudną i niejasną, pomimo bardzo wielu zupełnie trafnych zapatrywań, które wygłasza. Autor nasz ma najzupełniejszą słuszność jeżeli powiada, że pojęcie czuć pierwiastkowych wynikło ze zupełnie błędnego stosowania intelektualizmu do

dziedziny świadomości przedmyślowej, czującej. Z duszy serca mu przyklaskuję gdy czytam u niego krytykę tej metody intelektualistycznej, która wyróżniając w zjawisku psychicznem wrażenie, uczucie i impuls uważa je za jakieś jakby odrębnie występujące przebiegi, podczas gdy w rzeczywistości stan psychiczny tworzy jedność względem którego aparat myślowy odgrywa rolę jak gdyby pryzmatu dającego w rezultacie widmo psychologiczne. Od lat trzydziestu w moich wykładach psychologii zawsze tego samego bronię zapatrywania i posługuję się nawet tem samem porównaniem z widmem psychologicznem. Wogóle z całej książki najlepszym, najjaśniejszym jest ustęp od str. 65—68, że on jednak pod niejednym względem stoi w sprzeczności do wielu poprzednich i następnych wywodów autora, to, zdaje mi się, przyzna każdy nieuprzedzony a znający się na rzeczy czytelnik.

Jeżeli w pierwszej pracy, z którą w niniejszem sprawozdaniu mamy do czynienia, zajmował się nasz autor oznaczeniem tego, co nazwał jednostką psychiczną, to z drugiej znowu zatytułowanej „Dusza i ciało“ zajmuje się stosunkiem zjawisk psychicznych do fizyologicznych i życiowych wogóle. Znać w tej pracy pewien postęp w klarowaniu się poglądów u autora, chociaż proszę nie mniemać, aby już się był zupełnie z chaosu na wyższy punkt widzenia wypracował, jasność jego naukowego widzenia mnóstwo jeszcze bałamuci i zaciemnia błędników. Do takich należy np. pogląd na przedmiot nauk matematycznych, który p. Abramowski przeciwstawia przedmiotom nauk fizycznych i psychologii. Na str. 2 pracy swojej „Dusza i ciało“ tak pisze: „Czem są zjawiska świadomości w stosunku do poznania naszego? Przedewszystkiem należy stwierdzić i tę cechę powszechną, że są to fakty naturalne, t. j. że istnieją wtedy nawet, gdy nie zdajemy sobie sprawy z ich istnienia, gdy nie są przedmiotem badania. Pod tym względem upodobniają się one zupełnie ze zjawiskami fizycznemi, różnią się zaś zasadniczo od przedmiotu nauk matematycznych i filozofii, gdzie umysł badający ma do czynienia nie z rzeczą naturalną istniejącą bez definicyi i niezależnie od niej, lecz właśnie z samą definicyą pojęć odnoszących się do abstrakcyi, wyciągniętych z pewnego podobieństwa rzeczy“. Według autora to, co nazywamy kołem ma być konstrukcyą czysto umysłową, rozwiniętą na podścielisku abstrakcyi pochodzącej z doświadczeń. Przedmiot zaś psychologii tak samo jak wszystkich nauk przyrodniczych, jest to rzecz istniejąca niezależnie od umysłu badającego, rzecz naturalna, której nie możemy nawet określić w sposób całkowity i wyczerpujący“ (str. 4). Zadziwia mnie, że można

jeszcze dzisiaj po tem wszystkiem, co w sprawie przedmiotu matematyki a szczególnie geometryi w ostatnich latach napisano a szczególnie po wywodach Helmholza tego rodzaju poglądy wygłaszać. Przecież cokolwiek tylko krytycznej rozwagi musi doprowadzić nas do przeświadczenia, że przedmiot matematyki opiera się tak samo na naturalnej, faktycznej podstawie, jak przedmioty wszystkich innych nauk a wyróżnia się tylko swoją prostotą. Koło ma tak samo swój podkład naturalny, faktyczny, jak prawa ciężkości, ciepła lub zmysłowego czucia i tak samo jest umysłową konstrukcyą, jak i te ostatnie. Przecież każdy naukowy przedmiot jest jakimś sztucznie przez umysł wyodrębnionym ze związku z innemi zjawiskiem. Naturalny i faktyczny podkład koła istnieje tak samo, jak i podkład chemicznego powinowactwa lub psychicznego zjawiska. Każde zaś zjawisko uważane z osobna i badane, jako coś odrębnego, jest tak samo umysłową konstrukcyą, jak i koło. Dojdźmyż przecie raz nareszcie do tego jasnego przeświadczenia, że wszelkie odrębne naukowe przedmioty uważane osobno są tylko nasze własne w najrozmaitszy sposób czynione przez nas przekroje, przez faktycznie i rzeczywiście jedną całość tworzący porządek wszechrzeczy, ale wszystkie o tyle tylko mają sens, o ile są w umysłach naszych obrazami, albo, powiedzmy, symbolami czy to pewnych stron czy całości realnych i rzeczywistych przebiegów. Co do tego, to między matematyką, filozofią, fizyką lub psychologią najmniejszej niema różnicy. Albo one wszystkie są w umysłach naszych obrazem i wyrazem czegoś realnego albo nic nie są warte. Patrząc więc z błędnego punktu widzenia na naturę nauk wogóle, autor nasz nie może dojść do jasnego ujęcia podmiotu psychologii. Mnóstwo wygłasza bardzo trafnych zapatrywań w szczegółach, ale do całkiem przejrzystego poglądu przecież dojść nie może. Nic trafniejszego np. nad to, co nasz autor mówi na str. 8 o doświadczeniu zewnętrznem i wewnętrznem. Oto jego słowa: „Właściwie mówiąc istnieje tylko jedna kategorya doświadczeń, mianowicie doświadczenie wewnętrzne, wszelkie zetknięcie się nasze ze światem przedmiotowym jest tylko albo odczuciem albo poznaniem pewnej rzeczy czyli sprawą świadomości; rozróżnienie zaś dwu kategoryi doświadczeń zewnętrznych i wewnętrznych jest wynikiem wtórnym, zależy bowiem od tego tylko, w jaki proces rozumowania wprowadzamy pierwotne doświadczenie, jeżeli np. widzianą jakość danej rzeczy rozważamy, jako własność promieni światła lub elementom siatkówki, t. j. jeżeli sprowadzamy do tego, czego niema w danem doświadczeniu naszego widzenia, natenczas poznajemy to doświadcze-

nie, jako zewnętrzne. Jeżeli zaś poprzestajemy na skonstatowaniu tego, jakie jakości widzimy, natenczas mamy do czynienia z doświadczeniem pierwotnem wewnętrznem, którego spostrzeganie nazywamy introspekcyą". Ale cóż z tak rozumnego stanowiska, kiedy zaraz na dalszej stronicy tak znowu pisze: „Niema żadnego materyału dla analizy czysto logicznej w uczuciu bólu, przyjemności, gniewu lub we wrażeniu pewnej barwy smaku, zapachu i t. d., jako doświadczenia wewnętrzne stanowić one muszą wiekuistą zagadkę a nawet tem być nie mogą, gdyż nie dają się wcale postawić jako problemat poznania, będąc tem co jest bezpośrednio znane i co do niczego innego sprowadzonem być nie może. Biorąc je za przedmiot badania, nie poszukujemy, czem one są jako stany świadomości, lecz z jakimi warunkami organicznymi są połączone, do tego zaś służyć może tylko analiza doświadczalna, która rozpatrując zmienności współrzędne w organizmie i w świadomości zachodzące, musi z konieczności przekroczyć granice introspekcyi". Dziwna rzecz, jak uczeni niejednokrotnie sami własne zaciemniają stanowiska i utrudniają sobie badania. Pytam się dlaczego koło może być przedmiotem analizy a barwa lub smak nie? Co mi może w tem przeszkadzać, aby taką analizę przeprowadzać? Nic. Koło jest tak samo czemś w związku z innemi zjawiskowemi stronami przestrzenności przez moją myśl wyodrębnionem, jak czucie smaku jest także stanem przez myśl ze związku z innymi duchowymi stanami wyodrębnionem. Dlaczego czucie barwy nie może być postawione jako problemat poznania i kto to udowodnił, że nie może być do czego innego sprowadzonem?

Tak samo, jak mam wszelkie prawo wytworzyć sobie przy pomocy odpowiednich metod w umyśle moim naukowy obraz, o tem, czem jest powinowactwo chemiczne, i do czego da się ono sprowadzić, tak samo również mogę dążyć do naukowego obrazu w myśli, czem jest czucie barwy, pytać, do czego da się sprowadzić. Pytam się, po co stawiać sobie jakieś urojone przed nosem baryery, których w rzeczywistości nigdzie niema. Jest to istnem nieszczęściem dzisiejszych filozoficznych hyperkrytyków, że kręcą się w błędnem kole jakichś ograniczeń, które sobie sami wymyślili, nie mając odwagi przedrzeć tej mgły, będącej ich własnym wytworem. Aż żal bierze, gdy się czyta w pracy, będącej dziełem widocznie bardzo poważnego i prawdziwie filozoficznego umysłu, taki np. ustęp (str. 10): Jeżeli wszelkie doświadczenie, wszystko, co posiada jakąkolwiek wartość istnienia jest zawsze sprawą świadomości naszej, rzeczą dla nas, nie zaś rzeczą samą w sobie,

jeżeli absurdem jest mówić o przedmiocie będącym poza obrębem poznania naszego, to w takim razie nasuwa się przedewszystkiem zagadnienie, skąd powstaje ów zasadniczy podział przedmiotów naszego poznania na fakty przedmiotowe i podmiotowe, czyli wyrażając się inaczej przy jakich warunkach ta sama sprawa świadomości staje się dla nas doświadczeniem zewnętrznem przy jakich zaś doświadczeniem wewnętrznem?

Pytam się, dlaczego ma być absurdem mówić o przedmiocie będącym poza obrębem naszego poznania? Jakto, więc mnie nie miałoby być dozwolonem dążyć do wytworzenia sobie w mojej myśli obrazów o rzeczach takich, jakiemi one są niezależnie od mojego poznającego umysłu. Więc wolno mi np. pytać, czem jest ciepło lub powinowactwo chemiczne niezależnie od mojego umysłu i niezależnie od tych czuciowych sposobów, w których je sobie uświadamiam, a nie miałoby być wolno mi pytać, czem są przedmioty i wogóle rzeczy w sobie. Czy, rozpatrując, czem jest przedmiot lub podmiot w sobie poza obrębem poznania, idzie może o to, abym z siebie wyskoczył i w coś, co nie jest mną, się przekształcił lub wcielił. Ależ nigdy, przenigdy! Tu idzie poprostu tylko o to, abym sobie uświadomił i w obrazach mojej myśli uwydatnił czem, może być i czem jest czy to przedmiot lub ja sam niezależnie od mojego poznania i przed wszelkim mojem poznaniem. I to miałoby być niedopuszczalnem? Dlaczego? Przestańmyż więc raz nareszcie ulegać własnym hyperkrytycznym fantazyom, a stańmy się naprawdę trzeźwo krytycznymi.

Łatwo zrozumieć, że tego rodzaju nie rozjaśnione należycie stanowisko nie pozwala naszemu autorowi dotrzeć do prawdziwie krytycznego filozoficznego poglądu na stosunek zjawisk duchowych do fizycznych, do należytego ujęcia stosunku duszy do ciała.

Materyalistą p. Abramowski nie jest; na str. 17 pisze jasno: „Dawne materyalistyczne pojmowanie zjawiska świadomości jako wytworu mózgu i spotykane jeszcze dzisiaj dość często pojęcie jakiejś „energii psychicznej", która ma wynikać z procesów fizyko-chemicznych ośrodków mózgowych i być samem właśnie zjawiskiem świadomości, stanowi najgrubszy błąd, jaki tylko można popełnić w teoryi poznania". W dalszym zaś ciągu jak najsłuszniej dodaje, że rozpatrując nawet stan podmiotowy jako pracę cząsteczkową pewnej grupy elementów pierwotnych, pozostaje nam jednak zawsze jeszcze sama podmiotowość jakości, których nie możemy już dalej redukować do przeobrażeń ostatecznych, gdyż znaczyłoby to, że praca danych

ośrodków przeobraża się na inną jakąś pracę będącą samem zjawiskiem świadomości. Ale cóż z takiego zapatrywania, kiedy zaraz dalej ukręca autor kark własnej logice, gdy pisze: „rzecz jasna, że prawo zachowania energii uniemożliwia pojmowanie zjawiska świadomości, jako skutku lub jako przyczyny procesów fizyko-chemicznych, zachodzących w swych ośrodkach pierwotnych i przez to samo usuwa zupełnie z połączenia przyczynowego sam fakt świadomości jako taki". Ale zaraz dalej znowu przecież trochę się opamiętywa i dodaje: „usunięty jednak w ten sposób, nie przestaje on pomimo tego istnieć jako fakt rzeczywisty doświadczenia wewnętrznego i nie przestaje istnieć jako fakt całkiem odrębny od tego, co w przyczynowem połączeniu zastąpiło jego miejsce" (str. 18). Czy to nie znamienny przykład takiego kręcenia się w błędnem kole. Uznać odrębność zjawiska psychicznego muszę, ale zrozumieć go nie chcę. Dlaczego? Bo mi na to nie pozwala ćwiek, który sobie dobrowolnie w umysł wbijam, to jest prawo zachowania energii. To niechże się raz nareszcie dowiem, dlaczego prawo zachowania energii ma przeszkadzać uznaniu odrębności zjawisk psychicznych lub uznaniu stosunku przyczynowego między niemi a przebiegami tak zwanemi fizyko-chemicznemi. Prawo zachowania energii orzeka, że wszelkie energietyczne działanie musi się odnaleźć w całości we wszystkich swoich dalszych przeobrażeniach, czyż więc nie mógłbym pojąć pierwiastka duchowego jako jakiegoś energietycznego *centrum*, z którego utajona energia ciągle, nieustannie się wyzwala. Mogę więc mówić o dynamicie, że w nim jest utajona energia, którą iskra wyzwala, nie wnosząc tam jednak nic nowego, a nie ma być wolno mówić o energii duchowej, której działanie będzie z jednej strony skutkiem, a z drugiej znowu przyczyną tych wszystkich przeobrażeń, które dokonywuje się w jej najbliższem otoczeniu i przedstawiają się naszej świadomości jako zjawiska organiczne, a naszej naukowej, analizującej myśli przedstawiają się w postaci procesów fizyko-chemicznych, podczas gdy to samo ciągle w działaniach wyładowywujące się środowisko, skoro tylko jego stany osiągną stosowne napięcie, przedstawi się sobie samemu w postaci rozjaśnionego wewnętrznego życia przebiegającego w szeregu następujących po sobie momentów, które przez własne napięcie, ciągłe przeglądanie się duchowego środowiska w sobie samem powodują; dzieje się to tak długo, jak długo samo natężenie wewnętrznego życia ciągle nowy stan podnieca i powoduje — gdy napięcie się odpowiednie zmniejszy, świadomość wówczas zanika, co nie sprawia wcale, aby wątek duchowego życia był choćby na chwilę

kiedykolwiek przerwany. Pytam się, w czem taki pogląd może sprzeciwiać się należycie pojętym zasadom energietyki? Prawda, że kto energietykę pojmuje w ten sposób, że bierze wszelkie fizyko-chemiczne przeobrażenia energii i jej równoważniki za przebiegi same w sobie a nie za obrazy tych przebiegów w naszej myśli, kto nie zdaje sobie sprawy, że do istotnej natury energietycznych przeobrażeń jeszcześmy nie dotarli, ten oczywiście takiej swojej nowej dogmatyki z istnieniem zjawiska psychicznego pogodzić nigdy nie zdoła i będzie sam siebie ciągle bałamucił w sposób, jak to czyni nasz autor, gdy pisze na str. 19: „Oba człony stosunku, t. j. stan świadomości i jego współrzędnik fizyologiczny nie znajdują się ze sobą w żadnym związku przyczynowym(!) zjawienie się współrzędnika fizyologicznego jest całkowicie zdeterminowanem przez zjawiska fizyko-chemiczne, które go poprzedzały, i staje się przyczyną innych znowu zjawisk fizyko-chemicznych, które po nim następują jako jego równorzędnik energietyczny. Stan świadomości nie może odegrać najmniejszej roli w tych przeobrażeniach mechanicznych".

I znowu godzi się zapytać, dlaczego cechą stanu duchowego ma być jego bierność wobec organizmu. A cóż to jest organizm, wszak to także tylko obraz w naszym umyśle jego najbliższego otoczenia, a cóż to fizyko-chemiczne procesy, to nasz naukowy obraz tego, co się w tem otoczeniu dzieje. Skądże to zwolennicy psycho-fizycznego parallelizmu mają prawo twierdzić, że fizyko-chemiczne procesy w organizmie, to przeobrażenia energii takie, jak one się rzeczywiście dokonują, kiedy to przecież tylko w umyśle naszym obraz tego, co się rzeczywiście dokonywa. Kto wie, czy, jeżeli naturę tych przeobrażeń energii w naszym organizmie dokonywujących się jeszcze dokładniej zbadamy, nie przekonamy się, że są one czemś, co należy inaczej pojmować, nie jako tak zwany proces fizyko-chemiczny. Więc ciało takie jak radium może ciągle i nieustannie wyzwalać z siebie energię w postaci pewnego rodzaju światła i ciepła a w organizmie żyjącym nie mogłoby istnieć środowisko ciągle wyzwalajacej się energii duchowej, która objawia się w podwójny sposób, w ciągłem działaniu na siebie samą i na swoje otoczenie. Proszę mi darować, jeżeli powiem, iż twierdzenie jakoby stan świadomości i jego fizyologiczny współrzędnik nie znajdowały się ze sobą w żadnym przyczynowym związku jest poprostu policzkiem wymierzonym najoczywistszym faktom. Nie, łaskawy autorze, nie pogniewaj się na mnie, ale to muszę Ci otwarcie powiedzieć, że cała twoja teorya współrzędności psycho-fizyologicznej, to naukowa mitologia, to produkt

myślenia zapatrzonego w jednym kierunku, a stęsknionego do naukowych dogmatów, którym zbywa jeszcze na wszechstronnie krytycznem rozpatrzeniu.

Nie będę się też wdawał w dalsze rozprawy z autorem i tak bowiem rozpisałem się zanadto, gdyż porwała mnie doniosłość zagadnienia. W szczegółach zawiera i ta druga książka pana Abramowskiego mnogość bardzo pouczającego materyału. Każdemu zajmującemu się psychologią polecam niech przeczyta drugi i trzeci rozdział a znajdzie tam bardzo cenny a na podstawie najnowszych badań zestawiony materyał fizyologiczny. Tak samo rzecz ma się i z czwartym rozdziałem. Ale cóż z tego, kiedy to wszystko przedstawione w fałszywem oświetleniu zasad błędnych i krytycznie niepogłębionych. Mam jednak nadzieję, że tak poważny autor jak p. Abramowski, że badacz tak sumienny, który z takim mozołem przepracowuje się przez zagadnienia niezmiernie trudne, dojdzie jednak z czasem do prawdziwie krytycznego stanowiska i że otrząśnie się z dogmatów psycho-fizyologicznej współrzędności. Gdy to się stanie, wówczas zdoła dopiero należycie ocenić właściwe stanowisko psychologii. Na danych po temu już dzisiaj mu nie zbywa. Kto tak dobrze ocenia istotę i znaczenie doświadczenia wewnętrznego, ten już dobry punkt oparcia ma i do jasności w poglądach na fakty psychologiczne dojść może, niech tylko wybije sobie z głowy psychofizyczny parallelizm a raczej niechaj go pojmie inaczej, t. j. na prawdę ze wszystkich stron niech mu się krytycznie przypatrzy. Język i styl naszego autora nie jest jeszcze bez zarzutu. Obie książki są przeładowane częstokroć wyrażeniami z duchem języka niezgodnemi. Pan Abramowski widocznie czytał wiele, kształcił się w obcych językach. Zdania są nieraz okropnie długie i tak zawiłe, że z ciężkim trudem potrzeba nieraz dopiero dochodzić, co autor wyrazić zamierzał, często trudno uchwycić, co jest jego zdaniem a co poglądem, który zwalcza. Używanie takich wyrazów, jak np. teoryo-poznawczy godziłoby się unikać, wszak to dziwoląg z duchem naszego języka niezgodny a nieodpowiadający nawet w tłumaczeniu niemieckiem, *erkenntnisstheoretisch*. Wszak język nasz taki piękny i tak jasny, wszystko da się w nim wyrazić, nawet o wiele lepiej, aniżeli w obcych językach. Postarajmy się tylko, abyśmy byli sami sobą a to tak w treści, jak i w formie naszych myśli.

Maurycy Straszewski.

Z piśmiennictw obcych.

Z najnowszej literatury francuskiej.

I. *L'ambassade du prince Louis de Rohan à la cour de Vienne.* (1771—1774). — II. Funck Brentano: *L'Affaire du Collier.* D'après de nouveaux documents. — III. C. d'Arjuzon: *Hortense de Beauharnais.* — C. d'Arjuzon: *Madame Louis Bonaparte.* — IV. Lord Roseberry: *Napoleon.* La dernière phase.

I.

„Wielka i szczęśliwa sprawa! Kardynał — oszustem, królowa — wmieszana w proces o fałszerstwo! Ile błota rzuconego na pastorał i na berło! Jaki tryumf dla idei wolności!"

Temi słowami radosnego uniesienia powitał pierwszą wiadomość o sprawie naszyjnika królowej Maryi Antoniny i o uwięzieniu kardynała de Rohan jeden z najwpływowszych konsyliarzy parlamentu, Fréteau de Saint Just. Było to 15 sierpnia 1785 r.; 14 czerwca 1794 Fréteau de Saint Just wstępował na gilotynę wśród tłumu upojonego wódką i krwią. Być może, wówczas głośny przedstawiciel *tiers état,* przyjaciel encyklopedystów pomyślał, że błoto rzucone w górę, spada czasem na tych, którzy je rzucali, i spadając, zamienia się w krew... Ale w r. 1785 tak, jak Fréteau de Saint Just, myśleli wszyscy współcześni. Wszyscy bez wyjątku. Nie sam tylko stan trzeci, mogący ciągnąć korzyści z rozdwojenia między obydwoma uprzywilejowanymi stanami a koroną. W bezprzykładnem zaślepieniu arystokracya i kler w ostatnich latach francuskiej monarchii same przykładają dłoń do własnej zguby czynnie i skutecznie, same wyciągając cegły z fundamentów państwowego gmachu, na których własny ich byt się opiera. Cała arystokracya wersalska, nie wyjmując wymuskanych dworskich rabusiów, szaleje za Wolterem i urządza staremu cynikowi za życia apoteozę w Paryżu. „Wesele Figara"' to wyznanie wiary i programu nadchodzącej rewolucyi w formie genialnego dramatycznego pamfletu, przedstawione za instancyami królowej pod patronatem książąt krwi i samegoż królewskiego brata, wywołuje wśród markizów z Oeil de boeuf entuzyazm nieopisany. Koniecznością dobrego tonu w wielkim świecie jest zachwycanie się tem wszystkiem, co jest krytyką i najkrwawszą satyrą tegoż samego wielkiego świata, jego przywilejów, urządzeń, stanowiska, tak samo, jak przedtem do obowiązków dobrze wychowanego Wersalczyka należało szydzenie z religii i moralności. Po Wolterze, który

uprzątnął zastarzałe te przesądy, przychodzi Rousseau ze swoją religią uczucia i natury, i ze swoją umową społeczną — a ci, przeciw którym nowy prąd się zwraca, zamiast budować groblę, własnemi rękami torują drogę fali. Widnokrąg cały okryty złowróżbną chmurą. Oddawna materyał palny nagromadzony wszędzie, im wyżej, tem obficiej. Potrzeba tylko iskry; tą iskrą będzie sprawa o naszyjnik, proces kardynała biskupa strasburskiego, a właściwie proces królowej.

Nie dziw, że moment ten tak ciekawy sam przez się, tak doniosły w swych następstwach, nie przestał aż dotąd pociągać historyków. Obok powodzi całej literatury pamiętnikowej i pamfletowej, powstałej podczas procesu i po nim bezpośrednio, mnóstwo uczonych, literatów i beletrystów zajmowało się tą sprawą; z utworów o tej *cause celèbre* XVIII wieku, możnaby stworzyć bibliotekę. W bibliotece tej ostatniemi dwoma tomami są wyszłe w tym roku pamiętniki Antoniego Józefa Zorn de Bulach, oficera ze świty księcia Ludwika de Rohan podczas jego ambasady w Wiedniu, rzucające ciekawe światło na główną postać dramatu, i dające klucz do zrozumienia stosunku jego do królowej, niemniej jak książka p. Funck Brentano o sprawie naszyjnika. Jeżeli pierwsze wydawnictwo ma tylko wartość materyału historycznego, wzbogacającego i bez tego już bogaty skarbiec, drugie ma oprócz historycznej, także niepospolitą literacką wartość. Wytworny stylista, a zarazem sumienny i bystry badacz, p. Funck Brentano obok cenionego dzieła o źródłach stuletniej wojny [1] wsławił się znakomitemi studyami nad historyą Bastylii, uwieńczonemi podobnie jak i poprzednie, przez Akademię francuską [2]. Umysł to jasny i trzeźwy, nieskrępowany politycznemi sympatyami ani uprzedzeniami, umiejący podać rzecz gruntownie przetrawioną w lekkiej, ozdobnej formie opowiadania, czytającego się jak romans, ale jak romans starej szkoły, pisany na to, aby był czytany.

* * *

Intrygantka wprost genialna dla wyzysku, ale i z zamiłowania sztuki układająca swe intrygi jak reżyser postacie komedyi i dramatu, obok niej cała falanga ptaków powietrznych, i rycerzy przemysłu,

[1] *Les origines de la guerre de Cent ans. Philippe le Bel en Flandre.* 1 vol. Paris. Champion. 1897.

[2] 1. *Legendes et archives de la Bastille.* 1 vol. Paris. Hachette. 1900.— 2. *Le drame des poisons.* D'près les archives de la Bastille. 1 vol. 1900. — 3. *Catalogue des archives de la Bastille.* 1 vol. Paris, Plon et Nourrit. 1892—95.

służących jej za narzędzia — dziewka uliczna, dwóch żydowskich jubilerów, kardynał i królowa Francyi; oto osoby dramatu.

Przedewszystkiem ta, której przysługuje słusznie prawo autorstwa, Joanna de Saint Rémy, baronówna de Luz et de Valois, pochodzi w prostej linii od króla Henryka II i Coletty de Savigny. Ojciec Joanny ożeniony z prostą służącą i ulicznicą, żył z kłusownictwa w ruderze, która mu została jako ostatni szczątek baronowskich dóbr. Po śmierci barona matka Joanny oddała się rozpuście, a biedne dziecko pod grozą ciężkich plag utrzymywać ją musiało wraz z jej przyjacielem z żebraniny i ulicznej kradzieży. Żebrzącą miłosierdzia „dla królewskiej krwi Walezyuszów“ wzięła z ulicy w opiekę margrabina de Boulainvilliere. Ale przez szereg lat dziewczę pozostawało na najniższym szczeblu społecznym i musiało spełniać obowiązki praczki, kucharki, służącej. Pycha rodowa młodej dziewczyny oburzała się na to chorobliwie. Bardzo piękna, niezmiernie uzdolniona, poboczna córka Walezyuszów rwała się do życia i używania z całą namiętnością gorącej, zmysłowej, do gruntu przewrotnej natury, nie mającej najmniejszego pojęcia o żadnem prawie moralnem. W 18 latach opiekunka jej przekonawszy się o wysokiem pochodzeniu młodej dziewczyny, oddała ją wraz z jej siostrą na naukę do arystokratycznego zakonnego zakładu, z którego jednak obie panny niedługo uciekły w rodzinne swoje strony. Tam kokieterya starszej St. Rémy miała sposobność okazać się w całej pełni, podbijając starego prezydenta de Surmont, w którego domu siostry znalazły przytułek. Stąd też niedługo bohaterka nasza wydała się zamąż za ubogiego oficera de la Motte, który miał sobie później przywłaszczyć hrabiowski tytuł. Okoliczności towarzyszące małżeństwu były tak drastycznej natury, że powinny były do reszty odstręczyć od panny jej opiekunów.

Stało się przeciwnie. Poczciwa margrabina pojednała się z nią wkrótce i dała jej możność zetknięcia się z kardynałem biskupem strasburskim, który w kilka lat później miał paść ofiarą jej intryg. W zamku biskupim w Saverne spotkała się „hrabina“ de la Motte z Cagliostro, który również miał zostać przez nią wmieszany w proces o naszyjnik. Dobroczynny, a łatwowierny kardynał zaczął odtąd wspierać pieniężnie upośledzoną córkę Walezyuszów. Ośmielona tem pierwszem powodzeniem przeniosła się ona wkrótce do Paryża i stąd ułożyła plan kampanii, której teatrem miał być królewski Wersal, a celem — wydobycie się na szczyt fortuny.

Przy wszystkich dworach, tam zwłaszcza, gdzie działanie władz

nie podlega publicznej kontroli, spotkać łatwo dwuznaczne indywidua, żyjące w mniej lub więcej tajemniczy sposób z wpływów pokątnych stosunków zakulisowych i budoarowych pośrednictw. Na dworze wersalskim od czasu Ludwika XIV oddzielonym od kraju i ogółu społeczeństwa istnym chińskim murem, osób takich bywało więcej, niż gdzieindziej, a wpływ ich sięgał nieraz daleko. Plan pani de la Motte polegał na tem, aby się za jedną z takich zakulisowych pośredniczek podać i wyłudzać pozorami dworskich stosunków pieniądze od naiwnych mieszczuchów, mających interesa w Wersalu. Plan był zręczny, tem bardziej, że w interesach drażliwej natury ostrożność zmuszała do milczenia nawet oszukanych.

Przez pewien czas wiodła piękna pani podwójną egzystencyę w Paryżu i w Wersalu, opłacana przez łatwowiernych i naiwnych. Egzystencya to była niepewna i niejasna, w której nagłe przypływy pieniężne następowały po głodnych miesiącach pożyczek, zastawów i sprzedaży mebli pod młotkiem. Pomimo tego posiada już wówczas hrabina cały swój dwór. Ma typową subretkę, jako pannę służącą, znaną później z procesu Rozalię, ma sekretarza Rétaux de Villette, z którym łączą ją nader bliskie stosunki i który jej pomaga w pisaniu kobiecym charakterem fałszowanych biletów; ma lektorkę, kamerdynera, lokai, a nawet marszałka dworu i kapelana w jednej osobie Ojca Lota, zakonnika z sąsiadującego z jej mieszkaniem klasztoru Minimów. Ten dobroduszny zresztą i poczciwy zakonnik, zarządzający jej domem, załatwiający korespondencyę i odprawiający dla niej codzień mszę św., to ciekawy a niewesoły okaz stanu, w jakim przed rewolucyą znajdowały się niektóre klasztory we Francyi,

Ale dwór każdy, a specyalnie w sferach o podobnie niepewnej egzystencyi kosztuje dużo, zwłaszcza gdy jego pani jest osobą nie umiejącą sobie w niczem odmawiać, i nie znająca wartości pieniędzy. To też hrabina decyduje się sięgnąć wyżej poza dotychczasowe koła małych ludzi, dających się na małe tylko sumy wyzyskiwać. Przed jej oczyma staje naraz wytworna postać książęcego gospodarza zamku w Saverne i oto zwolna zaczyna w niej dojrzewać plan najbardziej olbrzymiego oszustwa, z jakiem spotykamy się w dziejach.

Kiedy 19 kwietnia 1770 roku arcyksiężniczka Marya Antonina wstępowała po raz pierwszy na francuską ziemię dążąc do czekającego na nią narzeczonego delfina, u progu strasburskiego tumu powitał ją w zastępstwie chorego biskupa — z Triens koadyutor strasburski, 36-letni wówczas, Ludwik książę de Rohan. Bardzo piękny

sztych w paryskiej Bibliotece Narodowej zachował potomności prześliczne rysy pełne miękkiego, niewieściego wdzięku, delikatny owal twarzy o liliowych prawie tonach, otoczonej aureolą miękkich pukli. Oczy wyraziste, trochę przymglone, mają coś aksamitnego w spojrzeniu; małe, prawie dziecinne usta podane są naprzód, jak u ludzi oddających się ślepo zewnętrznym wrażeniom. W mucecie, z gwiazdą św. Ludwika na piersiach, dygnitarz Kościoła wygląda jak swawolnie przebrana panienka, tak dalece w tej postaci ślicznej zresztą i wytwornej brak nie tylko powagi duchownej, ale i męskości.

Portrety malują czasem nie tylko zewnętrzną postać, ale duszę. Książę Ludwik był takim, jakim przedstawia się na swym portrecie. Pełen rasowej dystynkcyi i szlachetnych porywów, ale nie mający ani cienia kapłańskiego powołaniu, ani pojęcia o obowiązkach swego stanu, syn epoki największego moralnego rozkładu i najdziwniejszych kontrastów przesadnych aspiracyi do oświaty i wszechwładnie królującego zabobonu, jest on wszystkiem i zajmuje się wszystkiem. Mimo zniewieściałości umie być żołnierzem i po rycersku czuć i działać; kocha się w rzeczach pięknych i z subtelnym smakiem niemi się otacza; umie garnąć do siebie ludzi i zyskiwać ich serca wykwintnością form towarzyskich, urokiem rozmowy i dowcipu, królewską hojnością i dobrocią serca; zajmuje się ścisłemi naukami i urządza zbiory naukowe, a równocześnie czyta w gwiazdach, smarzy w tyglach kamień filozoficzny i elixir wiecznego życia, bawi się czarną magią i on, książę Kościoła, wywołuje dyabłów. Ma do niego przystęp biedak potrzebujący wsparcia, uczony szukający subsydyów na swe dzieła, ale mają też nie tylko przystęp, ale władzę nad nim szarlatani w rodzaju Cagliostra, wydrwigrosze i pochlebcy wszelkiego rodzaju, kobiety lekkich obyczajów. Jest wszystkiem; jednem tylko nie jest nigdy: kapłanem, a tem mniej biskupem.

Wśród tłumu awanturników, otaczających księcia koadyutora w Savernie wyróżnia się Cagliostro. Ten „dobroczyńca ludzkości“ i reformator masoneryi jest czemś więcej, niż zwykli szarlatani. Posługuje się wprawdzie, *mutatis mutandis,* tymi samymi środkami, co jarmarczni handlarze cudownemi lekami, i trzeba naprawdę niesłychanej łatwowierności i, powiedzmy otwarcie, głupoty ówczesnego społeczeństwa, aby się dać wziąć na lep takiemi dziecinnemi blagami. Więc „hrabia“ Cagliostro chodzi w strojach lśniących od dyamentów, otoczony licznymi służącymi, między tymi ostatnimi niektórzy mają jak

on, dar wiecznego życia i jeden z lokai, spytany przezeń, czy pamięta ukrzyżowanie Chrystusa Pana, odpowiada z ukłonem:

— Jaśnie pan zapomina, że jestem w jego służbie dopiero 1400 lat.

Więc do wielkiego człowieka cisną się tłumy, zarówno z pospólstwa, jak i z najwyższych warstw. Jedni szukają lekarstwa na swe choroby u uniwersalnego, nie mylącego się nigdy doktora, który ich zręcznie sztuczkami swemi suggestyonuje, inni żądają od niego eliksiru długiego życia, odmładzającego napoju, sekretu robienia złota i dyamentów. On bardzo zręcznie, najwyższych z początku odpycha, księciu biskupowi strasburskiemu i książętom krwi odmawia audyencyi i nie przyjmuje ich zaprosin, aby tem pewniej opanować ich później. Pomaga mu przedziwnie w jego zadaniu żona, młoda, śliczna, udająca naiwność i pustotę. Kocha się w niej cały świat, a ona prowadzi swych wielbicieli na pasku do stóp męża.

Wiara, entuzyazm, zaślepienie, jakie wzbudza Cagliostro, są wprost godne bajki arabskiej. Poważne holenderskie i londyńskie gazety, te biura informacyjne dla całego świata, opowiadają na seryo z przejęciem tysiące cudów o nieśmiertelnym człowieku, dziwniejszych jedne od drugich, jak np. historyę tej młodej subretki, która wypiła napój odmładzający dla jej podżyłej pani i zmieniwszy się w jednej chwili w pięcioletnie dziecko, rozpoczęła dość smutnie nowy okres życia — dostaniem rózgą od okradzionej i rozgniewanej kokietki.

Sceptyczny wiek XVIII, oświecony przez encyklopedystów, wykrzywiony szyderskim uśmiechem Woltera, rozbrzmiewający okrzykami: „precz z zabobonem!“ pada na twarz przed Cagliostrem tak samo zresztą jak przed Saint Germainem i innymi *eiusdem farinae*. Wszakże to epoka panowania Mesmera, iluminatów, martinistów, teozofów a zwłaszcza nadewszystko — masonów. Więc setki powozów dworskich i arystokratycznych zapełnia ulicę w pobliżu pałacu Orvilliers, w którym mistrz zamieszkuje, a dziesięć tysięcy osób odprowadza uwolnionego z Bastylii do jego pomieszkania. Bożyszczem, jakiem niedawno był Wolter, stanie się na chwilę dla Paryża obok Rohana, Cagliostro. W jakich zaś celach i z czyją pomocą do tego dochodzi — o tem tajne archiwa francuskiego wolnomularstwa i akta rzymskiej inkwizycyi dostarczyłyby zapewne ciekawych szczegółów.

Z tym to człowiekiem, którego typowy profil włoskiego szarlatana o szerokim nosie, mięsistych wargach i komedyancko wywróconych oczach uwiecznił biust Houdina, związany jest kardynał de Rohan tak ściśle, że wprawia to w zdumienie zasuggestyonowaną zresztą

przez „Wielkiego Kopta“, ale wogóle roztropną i chłodną baronową Oberkirch. W swych pamiętnikach opowiada ona, że na zrobioną sobie przez nią uwagę w tej sprawie, kardynał pokazał jej solitera z herbem swoim, fabrykowany czy, jak mówił, „stworzony“ przez Cagliostra. Dowodziłoby to tylko zręczności alchemika, umiejącego poświęcić parę tysięcy dla uzyskania potem kroci, może zaś też — hojnej pomocy tych, którzy stali za Cagliostrem i dla których pracował. Ale kardynał miał w tem dowód „boskości“ swego przyjaciela, z którym razem smażył w tyglach złoto, badał jako astrolog gwiazdy i wchodził w stosunek ze światem umarłych i złych duchów.

Takiem było otoczenie kardynała, takim był on sam.

Z takiejto dłoni biedna arcyksiężniczka otrzymuje pierwsze błogosławieństwo w swej nowej ojczyźnie: nie dziw, że nie przynosi ono jej szczęścia. Wrażenie, jakie na niej wywiera piękny koadyutor, musi być nader ujemnem, bo kiedy w rok później zacznie być mowa o jego ambasadzie w Wiedniu, Marya Teresa dokładnie informowana przez córkę o wszystkich osobach i rzeczach mających z nią styczność we Francyi, okaże się wyborowi osoby ambasadora wielce nieprzychylną. Nie dziw: zapatrywania wielkiej monarchini są dyametralnie odrębne od tych, jakie królują w Wersalu pod rządami pani du Barry. Pobyt koadyutora w Wiedniu nie zmienił wrażenia i wyobrażenia, jakie o nim miały cesarzowa i Marya Antonina, owszem pogorszył je o wiele. Istotnie nowy ambasador przybył do Wiednia z niesłychanym przepychem, z ogromnym dworem, którego elegancya szła o lepsze z lekkomyślnością i rozwiązłością. Dworzanie jego wchodzili niejednokrotnie w kolizyę z policyą stolicy, on sam, wedle słów cesarzowej, demoralizował jej arystokracyę. Staroświecki, poważny i sztywny dwór wiedeński przeobraża się, jak za uderzeniem laski czarnoksięskiej z chwilą przybycia nowego ambasadora. Istny szał ogarnia wiedeńskie damy dworu, czeskie księżne i węgierskie hrabiny, nie mówiąc o szambelanach i oficerach gwardyi. Zamiast długich stołów Rohan zaprowadza kolacye przy stoliczkach na kilka osób, dobierających się dowolnie, co daje powód do plotek i zgorszenia, może i nie bez racyi. Urządza też festyny letnie w okolicach Wiednia, połączone z zabawami ludowemi, na których tle zabawa arystokracyi przybiera nieznaną dotąd w Wiedniu swobodę form i ruchów. Rzecz prosta, wielki świat przepada za pięknym ambasadorem w fioletach, nosi jego portret na pierścionkach, a cesarzowa nie kryje zmartwienia i oburzenia w korespondencyi ze swym paryskim posłem, hr. Mercy d'Argenteau i z córką. Ta ostatnia

wychowana w ścisłem poczuciu obowiązków swych względem Austryi, nie przestaje ulegać wiedeńskim wpływom i służyć im za narzędzie. Słowa, któremi przerwała wjeżdżając do Francyi niemiecką przemowę strasburskiego burmistrza, że odtąd tylko po francusku chce rozumieć i mówić, były szczere, ale im brakło jednego uzupełnienia: żona delfina powinna była tylko po francusku czuć. Ona zaś kochając szczerze Francyę, nie przestaje czuć się solidarną z Austryą. Zapewne — Austrya, to jej matka...

Na strasburskim koadyutorze, który nareszcie odwołany zostaje z Wiednia, zostaje księciem biskupem i kardynałem, niechęć Maryi Teresy odbija się przez Maryę Antoninę, zwłaszcza po jej wstąpieniu na tron. Wiadomo, jak wielkim był wpływ młodej królowej na męża, na sprawy państwa i dworu. Dzięki temu, kardynał Rohan, niesympatyczny królowej od pierwszego spotkania w Strasburgu, systematycznie w opinii jej podkopywany przez austryackiego posła i korespondencyę matki, otrzymuje niełaskawe przyjęcie u dworu, a Marya Antonina nie kryje się z wstrętem i pogardą dla „fircyka w purpurze".

Nic tak zaś nie pociąga, jak to, co nas od siebie odpycha. Prawda ta występuje na jaw bardzo dobitnie w stosunku kardynała do królowej. Kardynał-biskup, jako wielki jałmużnik dworu, musi być w częstym kontakcie z królewską rodziną. Chłód i lekceważenie ze strony Maryi Antoniny drażnią przywykłego do salonowych powodzeń światowca i wielkiego pana; gotów jest wszystko poświęcić, byle zmienić usposobienie królowej, byle pozyskać jej monarszą łaskę. Staje się to u niego manią: o nią zahaczy swą wędkę Joanna de la Motte i o nią rozbije się cześć Rohana a co gorsze, dobra sława Maryi Antoniny.

Do nikogo bardziej, niż do tej ostatniej stosuje się ten pozorny paradoks, że zwykłych ludzi gubią ich wady, królów — ich zalety. Z mniej wybitną inteligencyą i siłą charakteru, z mniej gorącem i szlachetnem sercem, z większą dozą próżności, pychy, egoizmu córka Maryi Teresy nie byłaby może skończyła na gilotynie. Natura niezwykle wykwintna a pełna prostoty, wyobraźnia bujna nad miarę, ale umiejąca zapalać się tylko do rzeczy szlachetnych, serce zdolne bezgranicznie kochać, nie rozumiejące względów światowych ani ograniczeń w przyjaźni, nadmiar sił żywotnych, wesołości, swobody zdrowej i świeżej duszy a obok tego, w głębi wielka tkliwość uczucia, nieprzeparta potrzeba wywnętrzania się, głębokie przywiązanie do natury i do ludzkości — oto Marya Antonina. Dzieckiem jest jeszcze prawie, kiedy jej uprzejmość i wesołość ściąga naganę Ludwika XV i piśmienne admo-

nicye Maryi Teresy; tych ostatnich zresztą matka monarchini nie szczędzi córce, zwłaszcza gdy uczciwość młodej kobiety buntuje się przeciw żądanym od niej grzecznościom dla królewskiej metresy. W ten sposób aż do końca Marya Antonina będzie ofiarą austryackiej polityki, targaną naprzemian obowiązkami względem Francyi i źle zrozumianem poczuciem solidarności z Habsburgami, aż w końcu spadnie jej głowa wśród okrzyków: śmierć Austryaczce.

Będzie ona również ofiarą swej przyjaźni. Nie dlatego, żeby źle umieszczała swe uczucia. Jej najbliższe przyjaciółki są niewątpliwie najszlachetniejszemi i najbardziej sympatycznemi zjawiskami kobiecemi na wersalskim dworze: idealnie piękna i urocza księżna de Lamballe, ofiara rewolucyjnego molocha, jak i owa szlachetna, rozumna, oddana królowej księżna Polignac. Ale ta ostatnia ma na nieszczęście ubogą a ambitną rodzinę, królowa zaś kochając przyjaciółkę chciałaby przewidzieć każde jej pragnienie, więc rój Polignaców opanowuje dworskie urzędy i synekury, wywołując przeciw królowej burzę zawiedzionych nadziei i podrażnionych ambicyi. Szczera, prawa i czysta królowa nie rozumie, ani przypuszcza intryg, podstępów, podłości, jakie nurtują za kulisami jej otoczenia, na dworze i w Paryżu. Bez złej woli i winy naraża sobie najpotężniejsze dworskie rodziny książęce Rohanów, Montmorency, Noailles, Civrac, La Rochefoucault i inne. Jej wstręt do ohydnych stosunków i deprawacyi poprzedniego panowania wznieca przeciw niej nienawiść wszystkich kreatur pani Pompadour i pani du Barry, wszystkich dworskich pań wątpliwej reputacyi i łatwej moralności. Ludwikowi XIV i Ludwikowi XV przebaczano ich metresy i straszliwą niegodziwość ich rządów. Ludwikowi XVI nie przebaczy Francya tego, że zamiast ulicznicom, jak jego dziad, oddał swe serce, jak pierwszy lepszy mieszczuch, najpiękniejszej i najszlachetniejszej z kobiet we Francyi, swojej żonie.

Maryi Antoninie również nie przebaczy dwór jej uczciwości, ani jej otwartej, szlachetnej natury. Nie przebaczy jej też ani dwór, ani stolica tkliwości serca i prostoty. A przecież to są godła epoki. Przy całej swej arystokratycznej wytworności i wielkoświatowych powabach królowa ma głębokie poczucie i zamiłowanie natury. Mistrz ówczesnego pokolenia J. Rousseau nie pozostał i na nią bez wpływu, tylko, co u innych jest modą, u niej jest wrodzonym instynktem i potrzebą duszy. Więc, żeby zrzucić z siebie jarzmo wersalskiej etykiety, młoda królowa urządza sobie urocze ustronie w Trianon i tam chce być bez wszelkiego ceremoniału, wesołą i uprzejmą gospodynią dla bliskiego

kółka przyjaciół, mniej w kółku tem zajmującą miejsca, niż marszałkowa Luksembourg i pani Montesson w swoich salonach. Więc wesoły jej temperament pobudza ją do dziecinnych trochę wyskoków, jak wycieczka fiakrem do teatru lub intrygowanie dworskich panów na balu maskowym. Więc nie tyle marnotrawstwo, co hojność dla innych i miłosierdzie staną się powodem zbyt wielkich wydatków i długów. Złośliwość i zła wola pochwyci to wszystko, przeinaczy, da najgorsze znaczenie najprostszym i najuczciwszym postępkom. O wydatkach królowej i zbytkach Trianon krążyć będą takie baśnie, że deputowani Stanów generalnych zwiedzając tę kreacyę Maryi Antoniny 1789 r., domagać się będą pokazania im mozaik z dyamentów na ścianach, a zobaczywszy szkło, powiedzą, że dyamenty wyjęto dla ukrycia przed nimi królewskiej rozrzutności. Jak ohydne znaczenie przewrotność dworu, a następnie podłość gawiedzi ulicznej nada przyjaźniom i uczuciom rodzinnym lub drobnym lekkomyślnościom królowej, o tem przekona wkrótce bogata literatura paszkwilowa i odbicie jej w ustach pijanych sankulotów.

Pomiędzy Maryę Antoninę a Francyę wśliznął się Basilio. On jest typem epoki. Oszczerstwo! Jak przedziwnie określa je Beaumarchais: „Naprzód lekki szelest ledwie dotykający ziemi, jak jaskółka przed burzą, *pianissimo* szemrze, i leci, i sieje strzał zatruty. Te i owe usta go chwytają i *piano, piano* podsuwają ci je zręcznie. Złe już zrobione, kiełkuje, pełznie, postępuje *rinforzando,* z ust do ust biegnie z piekielną szybkością. Wtem, nie wiem jak, widzisz oszczerstwo podnoszące się, syczące, widzisz, jak pęcznieje i rośnie w mgnieniu oka. Teraz już się rzuca, rozszerza swój lot, pędzi jak wicher, otacza, porywa, pociąga, pęka i grzmi i, dzięki niebiosom, staje się ogólnym okrzykiem, publicznem *crescendo,* powszechnym chórem nienawiści i potępienia".

To będzie los królowej. Gdyby Marya Antonina była ciasną, bierną, egoistyczną naturą, w rodzaju swej synowicy cesarzowej Maryi Ludwiki, byłaby zapewne uniknęła tego losu i ostała się bezpiecznie wśród rewolucyjnego orkanu. Była lepszą — i dlatego padła jego ofiarą.

W chwili gdy kurtyna naszyjnikowego dramatu się podnosi, królowa jest już przedmiotem napaści i oszczerstw całego prawie dworu, z wyjątkiem koteryi Polignaców. W Londynie drukują już przeciw niej ohydne paszkwile, które król znacznym kosztem wycofuje z obiegu: dwór je czyta i cieszy się niemi, jeśli w nie nawet nie wierzy.

Wielki dramat oszczerstw i paszkwilów może się zacząć.

II.

Sto lat po śmierci prześliczna ale dziwnie zuchwała i bezczelna twarz Joanny de St. Rémy de Valois, hr. de la Motte, z jej świdrującemi oczyma i szyderskim uśmiechem, robi na nas przejmujące wrażenie, gdy się z nią spotkamy na jednym z angielskich sztychów, odtwarzających ją tak wiernie. Z pożółkłego tła starej ryciny genialna intrygantka występuje w całej swej demonicznej potędze, ona, której dane było tak wiele wywołać powikłań i zaburzeń, tyle po sobie zostawić chaosu i niedoli.

Takiej kobiecie nietrudnem było poznać kardynała de Rohan i znaleźć jego Achillesową piętę.

Kardynał kilkakrotnie już pisywał do królowej, błagając ją o łaskę: listy te pozostały bez odpowiedzi, nie zostały nawet otwarte. Cagliostro musiał na usługi księcia oddać cały swój czarodziejski aparat: jego medium zapewniało, że w wodzie okazywały mu się postacie kardynała i królowej, co naiwnego prałata napełniało radością i nadzieją — ale na tem był też koniec jednej i drugiej. A rozdrażnienie miłości własnej i gorączka pozyskania łaski niechętnej monarchini rosły w duszy lekkomyślnego purpurata z dniem każdym.

Wtedy to p. de la Motte, pozostająca w łaskach kardynała od czasu pobytu w Savernie, zawiadomiła go o swych zakulisowych stosunkach z królową, o zmianie jej usposobienia względem tak niemiłego dawniej Wielkiego Jałmużnika, o pomyślnym skutku zabiegów oddanej mu z serca pośredniczki, pani Joanny, w celu przywrócenia księcia zupełnie do łask Maryi Antoniny. Przymusowe oddalenie księcia od dworu, na który zjawiał się dzięki swej niełasce tylko parę razy do roku dla celebry w wielkie święta, niemniej jak nie obca już nam jego naiwność, ułatwiły oszustce powodzenie jej zamiaru. Kardynał uwierzył p. de la Motte, uwierzył i kartkom, znaczonym białemi liliami, zapisanym ręką znanego Nétaux de Villette, a mającym być poufną korespondencyą królowej z jej kuzynką z krwi Walezyuszów.

Powoli korespondencya ta zaczyna coraz częściej potrącać o osobę Rohana. Hrabina w imieniu królowej żąda od niego przedstawienia usprawiedliwiającego jego postępowanie memoryału, po otrzymaniu go, królowa zaczyna wprost z kardynałem korespondować. Nie dość na tem — naznacza mu schadzkę. Oczywiście nie schadzkę miłosną. Kardynałowi ani się o tem marzy, a ani też sięga do tego zuchwalstwo hrabiny. Chodzi po prostu o to, że królowa przechodząc spacerem

w ustronnej części parku ma dać Rohanowi kilku łaskawszemi słowami dowód przebaczenia i to w tajemnicy przed królem zbyt jeszcze jakoby źle dla niego usposobionym. Później dopiero Basilio zmieni tę scenę po swojemu dla użytku ludu.

Tu już intryga rozwija się na szeroką skalę i staje się godną niezwykłego talentu reżyserki. Mąż jej, utrzymujący ścisłe stosunki z eleganckim półświatkiem paryskim, odkrył w zwykłem *rendez-vous* tego ostatniego dziewczynę, uderzająco podobną do królowej. Hrabina chwyta w lot sposobność obałamucenia gruntownie swej łatwowiernej ofiary. Pod nazwą baronównej d'Oliva piękna kurtyzanka figuruje odtąd jako kuzynka hrabiny w otaczającem ją kółku towarzyskiem. W oznaczonym terminie, przebrana w strój, w jakim na obrazie pani Vigée Lebrun pozowała Marya Antonina, spotka się w klombie Wenery wersalskiego parku o północy z kardynałem, aby mu rzucić różę i szepnąć, że „przeszłość zapomniana" i widzieć 50-letnie dziecko w purpurze schylające się dla ucałowania muślinowego rąbka jej sukni. Na tem się kończy schadzka, którą przerywają przygotowani w tym celu agenci hrabiny, ale teraz dopiero ta ostatnia zacznie zbierać jej owoce, naprzód w postaci setek tysięcy liwrów na cele wskazane przez królowę księciu, następnie przez kolosalne oszustwo z naszyjnikiem.

Naszyjnik ten zrobiony został przez nadwornych jubilerów, Żydów niemieckich, mających sławny sklep w Paryżu, Böhmera i Bassenge. Była to niewidzianej dotychczas wspaniałości riwiera, złożona z dobieranych na wszystkich jubilerskich targach dyamentów najczystszej wody i największej piękności a cena tego królewskiego stroju wynosiła przy nizkim szacunku milion sześćkroć stotysięcy liwrów, wyżej dziesięciu milionów wedle dzisiejszej wartości pieniędzy. Jubilerowie zrobili ten naszyjnik w przekonaniu, że Ludwik XV kupi go dla hr. du Barry, ale stary król tymczasem umarł a olbrzymia cena odstraszyła monarsze dwory, którym następnie proponowano kupno. Ludwik XVI chciał nabyć dyamenty dla żony, ale Marya Antonina oparła się temu, mówiąc, że „królowi potrzebniejszym jest statek wojenny, niż naszyjnik". Ponieważ zaś na jego zrobienie firma pożyczyła 800.000 liwrów i dłużnik o zwrot pieniędzy naciskał, zrozpaczony Böhmer całkiem po żydowsku zaczął napastować królowę o kupno, jęcząc, płacząc i wrzeszcząc, że jest zrujnowany.

Pani de la Motte, której stosunki z dworem ograniczały się na paru zręcznych, ale wskutek powtarzania przestających wywierać efekt scenach zemdlenia w antykamerach królowej i księżniczek, postanowiła

wyzyskać gwałtowną potrzebę sprzedania naszyjnika przez Böhmera, oraz chorobliwą słabostkę kardynała. Temu ostatniemu wmawia, że królowa pragnie gorąco nabyć naszyjnik, ale nie ma na to środków, więc kardynał nabędzie prawa do jej wdzięczności i łaski, pośrednicząc w tem kupnie i gwarantując za nie; Böhmer chętnie decyduje się powierzyć skarb swój Rohanowi, od którego oczywiście dostaje się on do rąk pośredniczki.

Intryga uknuta jest wybornie. Kardynał naiwny i łatwowierny zwiedziony jest mniemanymi bilecikami królowej: kiedy prawda wyjdzie na jaw, nie będzie śmiał ust otworzyć, bo chodzi o królową i *crimen laesae maiestatis*. Böhmer wydrze 1 700 000 z olbrzymich dochodów najbogatszego dygnitarza kościelnego we Francyi, a hrabina sprzedawać będzie częściami brylanty i żyć po królewsku w swej rezydencyi w Bar-sur-l'Aube. Istotnie zaczyna się dla niej teraz istna baśń z tysiąca i jednej nocy. Zbytki jej przybierają takie rozmiary, jakby afera z naszyjnikiem miała powtarzać się co roku. Jest coś ciekawego w tem lekceważeniu pieniędzy i rzucaniu ich krociami przez okno u ludzi poświęcających wszystko co najświętsze, dla ich zdobycia. Historya pań z półświatka i wielkich rycerzy z półświatka jest zawsze ta sama.

Co jest specyalnością pani de la Motte, to jej pomysły w celu stopniowego pozbywania się dyamentów. Zamiłowanie w intrygach i w tworzeniu romansów w życiu prawdziwem staje się źródłem najdziwaczniejszych przejść i najromantyczniejszych historyi, jak tragikomiczna Odyssea awanturnika Nette d'Etienville i mogące dać temat do operetki dzieje małżeństwa barona des Fages. Inwencya, znawstwo charakterów, wyrafinowanie i niezwykła zdolność gromadzenia tysiąca poplątanych nici intrygi, robią z pani de la Motte wprost niezwykłą istotę.

Bomba pękła niespodzianie, dzięki nieprzewidzianemu przez hrabinę przypadkowi. Kardynał przybrany w strój kościelny, został z królewskiego rozkazu aresztowany wobec całego dworu w chwili, gdy miał zaczynać uroczystą celebrę w dniu Wniebowzięcia N. P. Za nim do Bastylii podążyli wszyscy aktorowie dramatu ułożonego przez hrabinę.

Rozpoczął się proces jedyny w dziejach. Bywały wypadki, że królowie sądzili innych królów, lub własne swe żony. Sama historya angielska np. przedstawia nam kilka przykładów podobnych sądów, jeden z nich już po procesie o naszyjnik. Ale czego nie spotkać w całej historyi ludzkości, to monarchy, któryby honor swojej żony

zupełnie z własnej woli i bez najmniejszej potrzeby oddał pod dyskusyę i wyrok trybunału złożonego z poddanych, a notorycznie jemu i królowi wrogiego, i to nie mając najlżejszej wątpliwości co do niewinności tej ostatniej. Jeżeli potrzeba było fatalnego zbiegu okoliczności istotnie wyjątkowych, aby kardynała de Rohan uwikłać w intrygę hrabiny, trzeba było również fatalizmu, aby najwyższa władza państwa nadała sprawie kardynała taki właśnie obrót, który z niej zrobił proces królowej, owszem proces monarchii całej i to proces zakończony przegraną, a następnie gilotyną.

Parlament paryski był oddawna ogniskiem opozycyjnych prądów przeciw koronie i arystokracyi. Łączyły się w nim resztki tradycyi Frondy, obok wspomnień i sympatyi dla jansenizmu, a mieszczański trzeci stan rosnący od początku wieku w znaczenie i ambicyę, oszańcowywał się coraz bardziej w tej swojej uprzywilejowanej warowni, z której coraz chętniej i śmielej rzucał swe pociski na czynniki kierujące państwem i na Kościół. Tak jak Fréteau de Saint Just, usposobioną była dla korony większość konsyliarzy parlamentu. Gdyby chodziło tylko o samego kardynała, ci sami konsyliarze z radością uchwyciliby sposobność wyzyskania do ostateczności tego skandalu przeciw Kościołowi; ponieważ jednak można było osobą księcia Kościoła zrobić szach królowej a pośrednio królowi, było naprzód do przewidzenia, że nie omieszkają tego uczynić.

Opinia stolicy w pierwszej chwili stanęła również na stanowisku nieprzyjaznem kardynałowi i miała ochotę wyzyskać jego proces w wolterowskim duchu. Posypały się przeciw niemu szyderskie piosenki, będące w owym czasie dyapazonem usposobień i sympatyi Paryża. Ale prędko wiatr powiał inny; motłoch zobaczył, że błoto na purpurze oczyszcza królewskie gronostaje i oto odrazu lekkomyślny magnat, przynoszący wstyd swemu biskupiemu krzyżowi, staje się bożyszczem stolicy i pozostaje niem aż do końca procesu. Oczywiście: chodzi przecie o demonstracyę przeciw królowej!

Mieszczański parlament i swawolny motłoch znajdują sojuszników dość niespodzianych w dwóch sferach, z któremi nie zwykły iść razem. Duchowieństwo ujmuje się dość niepotrzebnie za pierwszym kościelnym dygnitarzem dworu i daje wyraz oburzeniu w publicznych protestacyach przeciw poddaniu go świeckim sądom. Wikaryusz generalny kardynała, późniejszy jego biograf, Georgel przybija na drzwiach królewskich kaplic pałacowych protest przeciw jego uwięzieniu. Dopiero zachowanie się Stolicy św., która, poznawszy jego sprawę, odstąpiła

od zamiaru bronienia kardynała, oblewa zimną wodą duchownych jego obrońców we Francyi.

Jeżeli ci ostatni powodują się zasadniczymi względami, arystokracya świecka ma mniej szlachetne pobudki. Kieruje nią po części owa dziwna, i w naszych wielkich rodach tak często niestety zdumiewająca solidarność ludzi poważnych i uczciwych z letkiewiczami i nikczemnikami w imię łączności czy to familijnej, czy kastowej; — obok tego zaś łączą się z Rohanem, czyniąc z jego sprawy upragnioną maczugę przeciwko królowej i dworowi ci wszyscy, których chciwość publicznego grosza i bezgraniczna ambicya nie znalazły zaspokojenia, lub których dwuznaczne reputacye nie mogły, jak za poprzedniego panowania, panoszyć się w Wersalu, wszyscy, którym zawadzała, których drażniła szlachetna i czysta, a nie znająca kompromisów z uczuciem i sumieniem postać Maryi Antoniny.

Nie wiele lat minie, jedno *lustrum* zaledwie, a głowy tych wrogów królowej, prałatów, książąt, konsyliarzy parlamentu spadną na piasek mokry jeszcze od jej krwi. Tymczasem jednak sprzysięga się przeciwko niej i Koronie wszystko, co jest czołem i myślą kraju, wszystko wytęża siły, aby na ławę oskarżonych zamiast kardynała wepchnąć królową.

W jaki sposób do tego doszło? Dlaczego Ludwik XVI sprawie tak drażliwej nadał odrazu taki rozgłos? Dlaczego ją oddał pod sąd parlamentu, skoro, według prawa, on jeden tylko był w niej powołanym sądzić? Złożyło się na to czynników wiele. Wrogowie kardynała pchali do rozgłosu, aby zamknąć królowi drogę do odwrotu i ułaskawienia. Żądała rozgłosu i sądu w poczuciu swej niewinności i obrażonej dumy królowa, nad wszystkiem jednak górował charakterystyczny już w owych czasach nieszczęsny nastrój króla i jego otoczenia, złożony w równej mierze z sentymentalizmu i optymizmu, a oparty na gruntownej nieznajomości kraju i ludu, zwłaszcza tego ostatniego, jego usposobień i dążeń. „Sprawa moja czysta nie boi się światła“ woła królowa „niech ją nawet wróg mój sądzi!“ „Lud mój prawy, szlachetny“, rozważa król „trzeba tylko usunąć dzielące mnie od niego zapory, odwołać się do jego serca i wrodzonych lepszych instynktów!“ Ludwika XVI, tego najzacniejszego i najmniej praktycznego z królów, optymistyczna ideologia doprowadzi powoli krok za krokiem do oddania w ręce wrogów z własnej woli wszystkich środków ochronnych i wszystkich atutów w walce o władzę i o życie, doprowadzi do wyrzeczenia się królewskiej, a nawet osobistej godności i do najsmu-

tniejszych kompromisów z własnem sumieniem, doprowadzi go wkońcu do czerwonej czapki frygijskiej, która mu jednak nie ochroni nietylko korony, ale i głowy. A królowa? Czystość i prawość nie osłonią jej przeciw potwarzom stokroć ohydniejszym, niż w procesie o naszyjnik, a kiedy przed sądem rewolucyjnym wysączywszy już do dna wszystkie upokorzenia i zniewagi, najnieszczęśliwsza z matek rozłączona z dziećmi i opłakująca zamordowanego męża, zaprotestuje przeciw najpotworniejszemu z zarzutów, wołając „czy niema tu matki, którąby powiedziała, że to potwarz", w żadnej z obecnych tu wtenczas nie poruszą się wnętrzności, nie odezwie się kobieta.

Trudno sobie dziś wyobrazić wrażenie, jakie wywoływał toczący się proces. Paryż kipiał. Memoryały obrońców, pamiętniki osób interesowanych, broszury, książki, pamflety i paszkwile sypały się jak z rogu obfitości; popyt niektórych z nich był tak wielki, że koło księgarni stawiać musiano straż bezpieczeństwa i co parę dni ponawiać edycye. Obok portretów osób wmięszanych w sprawę, kursowały fantastyczne ich wyobrażenia, rozchwytywane w mig przez publiczność. Zbieracz dokładny dokumentów piśmiennych, odnoszących się do tej epoki procesów musiałby chyba powiesić się wobec niesłychanego mnóstwa materyału i niepodobieństwa zebrania go razem. Oczywiście obok literatury miejscowej obfitszą była zagraniczna, przekradana do Paryża wraz z holenderskiemi gazetami. Liczba, oryginalność i zuchwałość londyńskich zwłaszcza paszkwilów, przechodzą pojęcie.

Po kilku miesiącach śledztwa i badań, przyczem pani de la Motte miała już okazyę wprowadzić w zdumienie sędziów i świadków nieskończonemi zasobami swego sprytu i obrotności, nastąpił wyrok, uwalniający w zupełności kardynała. Wyrok był słuszny. Inny surowszy byłby się należał ze strony duchownego trybunału złemu pasterzowi, bawiącemu się w gusła i plamiącemu lekkością obyczajów swą suknię: ze strony parlamentu nie było do potępienia powodu. Niestety, sprawa była tak nieszczęśliwie postawioną od początku, że uwolnienie kardynała potępiało królową. Przeciw tej ostatniej nie wyszło nic na jaw, coby jej mogło ubliżyć, a lekkomyślność i łatwowierność kardynała udowodnione zostały aż nadto wyraźnie: nic nie szkodzi. Królowa musi być winną, jeśli kardynała uniewinniono. Brak dowodów? Ale oczywiście sprzątnięto je, zatajono, zdławiono...

I cóż stąd, że winowajczynię prawdziwą, jedyną wyrok parlamentu potępi i skaże? I cóż stąd, że w oczach chciwej wrażeń gawiedzi piękna grzesznica, obnażona brutalnie przez pachołków kata,

wić się będzie po ziemi jak wściekłe zwierzę, kąsając, złorzecząc i pieniąc się w szale, podczas gdy rózgi chłostać będą jej plecy i biodra, a na ramionach gorącem żelazem kat wypiecze hańbiący stygmat? Lud francuski, ta istna bestya zła, dzika i krwiożercza, w której dobroć do ostatka wierzy krótkowidzący Ludwik XVI, poza skrzywioną konwulsyjnie twarzą hrabiny de la Motte nie przestanie już odtąd wskazywać palcem na Maryę Antoninę, jako na kochankę, i to na płatną kochankę Rohana.

Ile razy odtąd, na mniejszą skalę oczywiście, ale za to zastosowaną do daleko szerszego zakresu ludzi, instytucyi i zasad, ten sam dramat oszczerstw i fałszywych sądów się powtórzy! Ile razy sądy ogółu staną się wyrazem zemsty, intrygi i świadomego oszukaństwa ze strony jednostek, częściej jeszcze ze strony pojedynczych kółek i stronnictw. Wiek już minął od czasu, gdy de Maistre powiedział, że historya, począwszy od reformacyi, jest jednym wielkim spiskiem przeciw prawdzie. O ileż słuszniej należałoby to powtórzyć nie tylko o historyi, ale bardziej jeszcze o opinii naszych czasów?

Ale jeżeli naprawdę historya byćby powinna dla nas tem, czem ją nazywali starożytni, *magistra vitae,* czy w naszych właśnie czasach ogólnego rozstroju walki wszystkich przeciw wszystkim, w czasach lubowania się szarpaniem cudzej sławy i łatwowierności wszelkim paszkwilom, w czasach, w których nie tylko u dołu, ale i w górze także lekceważenie i nicowanie wszelkiej władzy i wszelkiej powagi stało się modą, potrzebą namiętnością — czy w naszych czasach właśnie nie należy sobie uprzytomnić obrazów, zastanowić się nad naukami, jakie nam przedstawia proces o naszyjnik nieszczęsnej, spotwarzonej Maryi Antoniny?!

III.

— Dziesiątek lat mija.

— Straszliwy orkan, zbliżający się coraz groźniej, wybucha, szaleje. Przewrót zupełny. Błoto uliczne — u góry, bogini rozumu — na ołtarzu, morze krwi i łez wewnątrz, zewnątrz coraz głośniejsze echa wojennej epopei. To wszystko, co natura ludzka zawiera najniższych i najbardziej brutalnych instynktów, wychodzi na wierzch, panoszy się i dyktuje prawa, to co jest zdrowiem, siłą żywotną i energią narodu, skupia się u granic i za granicami kraju, pod sztandarem.

A tymczasem przychodzi czas na krwawych szaleńców terroryzmu. Obracające się niewstrzymanym pędem koło sprawiedliwości dziejowej

miażdży wkońcu i ich, jak oni miażdżyli tak wielu. Paryż, Francya — oddycha jak człowiek budzący się z sennej, strasznej zmory. Rozbite i zgnębione szczątki społeczeństwa wychodzą z ukrycia, łączą się, liczą tych, co przetrwali walkę i tych, co zginęli. Reakcya ogólna. Powrotna fala życia przynosi radosne pragnienia korzystania z niego — i pragnienie to rośnie szybko, aż do szału użycia. Wszystko bawi się, śmieje, szaleje i rzuca garściami pieniądze, jakby nie było niedawno tak okropnej nędzy. Co niedawno groziło gilotyną, staje się modą. Pod resztką republikańskich frazesów wracają dawne towarzyskie formy i dawne idee. Francya staje się coraz bardziej rojalistyczną, jak młodzież nadająca ton towarzystwu w swych cudacznych strojach *merveilleux*. Tylko, że cały ten nowy wielki świat, choć mu imponuje dawny Wersal, choć tu i ówdzie ma między sobą dawnych jego gości, nie przypomina go wcale. Podczas najwstrętniejszego upadku moralnego za Regenta i Pompadour lub Du-Barry dworski świat zachowywał przynajmniej jakieś zewnętrzne formy. W tej nowej arystokracyi, w której rej wodzą liweranci armii i awanturnicy w rodzaju Barrasa, wśród półnagich kobiet i dorobkiewiczów, upijających się jak stangreci, panuje ton, jakiegoby się powstydził półświatek paryski przed kilkunastu laty.

Nie dziw. Nie przewraca się bezkarnie społeczeństwa głową na dół. Kodeks moralny runął razem z wiarą. Zapomniano już wprawdzie o oficyalnym deizmie Robespierra i o bogini rozumu, ale zapomniano też zupełnie o chrześcijańskim katechizmie. Lud o nim pamiętał i tęsknił za Kościołem — ale lud bałamucili zaprzysiężeni i heretyccy księża a dyrektoryat pod jednym względem wierny pozostał tradycyom jakobinów: prześladował katolicyzm, jak oni, choć odmiennymi środkami.

Wśród świetnych kobiet, które objęły światową spuściznę wersalskich margrabin i dzierżą berło elegancyi w Paryżu, obok przyjaciółki Barrasa, uroczej pani Tallien oraz słynnej Egeryi Chateaubrianda, pani Récamier, występuje coraz bardziej na pierwszy plan Józefina de Bauharnais. Mąż jej zginął na gilotynie, ją samą przewrót termidorowy ocalił od podobnego losu i wydostał z więzienia, syn podczas terroru terminował w rzemieślniczym warsztacie, a na młodzieńcze wrażenia córki składały się więzienne przerażenia, obelgi pospólstwa, nędza i opuszczenie. Piękna, pełna wdzięku i bardzo lekko biorąca życie Kreolka, poślubiła właśnie (oczywiście tylko cywilnie) młodego jenerała, o którym coraz głośniej i ku któremu coraz bardziej zwraca oczy kraj, jako ku mężowi i przyszłości i przeznaczenia. Niedługo wróciwszy

z Egiptu rozbije on niedołężne rządy dyrektoryatu i chwyci żalazną dłonią ster państwa, aby je przez konsulat doprowadzić do celu swej ambicyi — cesarstwa.

Niesłychaną po prostu jest moc literatury pamiętnikowej i historycznej odnoszącej się do tych czasów. Ale czasy te tak są ciekawe i tak rozmaicie z różnych stron dają się oceniać, że do olbrzymiego nagromadzonego już materyału przybywają wciąż i wciąż rzeczy nowe, próbujące oświetlić je na podstawie nieznanych dotąd dokumentów lub wydać o nich sąd z odmiennego, niż dotychczasowe, punktu widzenia.

Do pierwszej kategoryi należą dwie książki wyszłe w kilkumiesięcznym odstępie w końcu zeszłego i początkach bieżącego roku, a mające być uzupełnione w najbliższej przyszłości — trzecią a może i czwartą. Wnuczka szambelana Hortenzyi Beauharnais, Gabryela d'Arjuzon, postanowiła raz jeszcze pokazać światu na tle epoki a zwłaszcza rodzinnego życia cesarza i Bonapartów sympatyczną postać córki Józefiny. Było to jej tem łatwiejsze, że znajdowała się w posiadaniu lub miała dostęp do licznych nieznanych dotąd dokumentów, jak obszerna korespondencya osób blizkich dworu i królowej Hortenzyi, nadewszystko zaś niewydane dotąd a jak z urywków przytoczonych widać, bardzo ciekawe pamiętniki tej ostatniej.

W dwóch obszernych tomach przedstawia nam autorka naprzód Hortenzyę Beauharnais przed zamążpójściem, następnie żonę Ludwika Bonapartego. W dalszym ciągu swego wydawnictwa da nam zapewne biograficzny obraz życia królowej holenderskiej i księżnej de Sain Leu. Ta ostatnia część życia królowej Hortenzyi, najmniej dotąd wyzyskana przez biografów, przedstawiać będzie niewątpliwie najżywszy interes.

Nie brak zresztą interesu i dwom pierwszym książkom. Nie jest zapewne p. d'Arjuzon artystą grupującym fakta i ludzi w plastyczne i malownicze obrazy, jak Funck Brentano w „Sprawie naszyjnika", nie ma tak świetnych barw na swej palecie, ani głębiej sięgającej charakterystyki. Pióro kobiety, biorącej przedewszystkiem zewnętrzną opisową stronę życia, barwne i żywe przy opisie zabaw dworskich lub scen rodzinnych, bezsilne i blade wobec tragicznej grozy lub tytanicznej potęgi wypadków dziejowych, wstrząsających światem. Pietyzm gorący dla królowej Hortenzyi czyni panią d'Arjuzon ślepą na ujemne strony charakteru i złe czyny tych wszystkich, którzy sercu królowej byli blizcy, więc przedewszystkiem dla Napoleona. Brak historycznej krytyki i kontrolowania, zbadanemi faktami własnych uczuć posuwa się np. aż do uniewinniania cesarza z morderstwa księcia d'Enghien, do-

konanego jakoby poza plecami i bez wiedzy Napoleona. A przecie bankructwo gruntowne, znanej bajeczki puszczonej, jak tyle innych z wyspy świętej Heleny dla uniewinnienia cesarza kosztem Talleyranda, bankructwo, uznane po cichu jeszcze za życia więźnia w Longwoodzie, powinno było uczynić p. d'Arjuzon ostrożniejszą. Błędów takich jest więcej — ale sądzi się je wyrozumiale u autorki nie mającej pretensyi do dziejopisarstwa, tem bardziej, że źródłem tych błędów są przymioty dość w naszej epoce rzadkie: miłość i wierność dla przeszłości a dodajmy: i dla niedoli.

Jako obraz epoki, książki p. d'Arjuzon są niewątpliwie bardzo ciekawe. Dzień po dniu malują nam one żywot rodziny Beauharnais a następnie Bonapartów, krok za krokiem prowadzą nas za jednemi i drugiemi po szczeblach tej jedynej w losach świata karyery, jaka stała się ich udziałem. Wielka prostota i dobra wiara autorki, wielka obfitość nowych źródeł i sumienne ich zużytkowanie, nadają książkom wartość naukową i wzbudzają dla nich sympatyczny interes. Na tle wstrętnych typów i charakterów rodziny cesarskiej postacie Hortenzyi i Eugeniusza występują tem szlachetniej, na prawdę w tem *struggle for life* u stopni i na stopniach nowego tronu szlachetnemi i sympatycznemi są one jedne.

Dalszy przebieg tych spraw opowiemy w następnym zeszycie.

Jan Łada.

Z pism czasowych.

Poradnik językowy. Miesięcznik poświęcony poprawności języka. Wydawany pod redakcyą Romana Zawilińskiego. Rocznik II. Kraków. 1902.

W społeczeństwach, rozwijających się w normalnych warunkach, bez przeszkód i szkodliwych wpływów obcych, istnienie *Poradnika językowego* wydawałoby się i możeby nawet było naprawdę zbyteczne. Ale w naszych warunkach, w naszem położeniu, kiedy w jednej dzielnicy młodzież uczy się po rosyjsku, w drugiej po niemiecku, w trzeciej jeszcze trochę po galicyjsku, kiedy do języka naszego wciskają się bezmyślne a czasem potworne germanizmy i rusycyzmy: tutaj każdy, komu całość i czystość języka leży na sercu, choćby nawet pojęcie „poprawności“ języka uważał za bardzo elastyczne, racyi bytu *Pora-*

dnikowi nie odmówi, i jego istnieniu rad będzie. Budzi się wprawdzie obawa, czy pismo takie nie zechce czasem krępować języka, ścieśniać jego swobody ruchu, z nadmiaru gorliwości wpadać w inne złe. Obawa taka jednak na ogół nie byłaby tu uzasadniona; jeżeli *Poradnik* czasem jako ostateczny argument podaje gramatykę Kryńskiego, albo użycie wyrazu lub zwrotu (lub nie użycie) przez jakiego pisarza z przed stu lub trzystu lat — to, razem wziąwszy, takich argumentów nie mamy dużo, po największej części objaśnienia (w „Odpowiedziach“) są takie, że prawdziwego rozwoju języka nie krępują. Zresztą redakcya taki kładzie nacisk na rzecz samą, tak jej chodzi o cel pisma a nie o upieranie się przy swem zdaniu, że we własnem piśmie umieszcza także tegoż pisma krytykę (w „Roztrząsaniach“), nie lękając się wcale ogłoszenia zdania przeciwnego. Ta lojalność i to zaparcie się siebie należy podkreślić z uznaniem, bo to rzeczy, o którą chodzi, może przynieść tylko korzyść.

Do „Skarbonki“ redakcya zbiera piękne wyrażenia ludowe, któreby można i należało wprowadzić do języka literackiego. Myśl dobra, ale wprowadzić w życie mogą ją przedewszystkiem znani i wybitni pisarze. Bo język jest tak nieszczęśliwy, że coś złego do niego wprowadzić może lada reporter, coś pięknego utrwali się dopiero przez pisarza znacznego.

„Krotochwile językowe“, jakkolwiek naprawdę pocieszne, wolałbym, aby w *Poradniku* raczej nie figurowały, bo może trochę obniżają jego poziom naukowy i uczący.

Prócz działów czysto praktycznych („Zapytania i odpowiedzi“, „Roztrząsania“, „Pokłosie“) rocznik, o którym mówimy, zawiera też kilka prac naukowych o języku, oczywiście więcej popularnych, czy popularyzujących. Prof. Rozwadowski rozważa stosunek mowy żywej do języka literackiego, prof. Czubek mówi o apercepcyi językowej i o rozwoju języka, prof. Stein o językoznawstwie i gramatyce, i o tworzeniu przymiotników z nazw miejscowych, redakcya w dwóch artykułach daje wyciągi z pism Brodzińskiego i St. Potockiego, odnoszące się do języka. Wszystko rzeczy ciekawe i pouczające. Swoją drogą gdyby się dało popularnie a systematycznie w szeregu artykułów przedstawić naukowe poglądy na mowę ludzką, jej istotę, jej historyę i t. d., byłoby to rzeczą bardzo pożyteczną, bo mogłoby usunąć niejedno błędne wśród ogółu mniemanie.

Istnienie *Poradnika* i jego rozszerzanie się świadczy, że pismo było i jest potrzebne, i że z drugiej strony odczuwa się potrzebę

czuwania nad czystością języka. Oby i *Poradnik* rozwijał się jak najlepiej, i to przywiązanie do języka, troskliwość o niego, rozszerzała się coraz więcej!

St. Dobrzycki.

ZAPISKI BIBLIOGRAFICZNE.

150 pieśni i piosenek na chór męski i mieszany ułożył *Jan Gall.* Część I. Chóry męskie. Lwów 1903. Nakładem Towarzystwa Wydawniczego. Warszawa. Księgarnia S. Sadowskiego. (8-ka, str. 105).

Brak, jaki dawał się odczuwać w dziale polskich pieśni choralnych, brak, uniemożliwiający wprost nieraz rozwój prowincyonalnych kółek śpiewackich, zniewolił zaszczytnie znanego kompozytora do zebrania w jedną całość z biegiem lat stworzonych utworów. Nikt w całej Polsce nie ma tylu oryginalnych pieśni, ani tak wielkiej ilości znakomicie zharmonizowanych rzeczy obcych. To też za zebranie dotychczasowego plonu, jedynie wdzięczność mamy dla autora. Co się tyczy strony muzycznej nie mamy nic — ponad zupełne uznanie. Jeśli pozwolimy sobie wypowiedzieć parę uwag, to będą się one tyczyć strony formalnej wydania, która szwankuje nieco. Za tem stosowniejsze je uważamy, że w przyszłości będzie można ich się ustrzedz przy zapowiedzianym tomie drugim.

W skład omawianego tomu weszły częścią oryginalne pieśni Galla, częścią pieśni ludowe oraz kompozycye Moniuszki i Szopena, zharmonizowane na chór męski. Ale, niestety, nie następują one w pewnym po sobie porządku. I szkoda, że nie ułożono ich w grupy, według działów, do jakich one należą. Bo tak, jak zostały bez ładu i składu pomieszane, przedstawiają istny chaos. Tego rozrzucenia pieśni według własnego upodobania niczem nie można sobie wytłumaczyć. A wszakże w uporządkowaniu utworów nie było najmniejszej trudności czy kłopotu.

Ponadto czujemy się w obowiązku wytknąć jeszcze jeden błąd, który powtarza się stale w wydawnictwach polskich. Oto zbiór ten roi się wprost od błędów językowych, ilekroć natkniemy na małoruskie teksty. Dla przykładu wymienię parę najdrastyczniejszych. Na str. 35, nr. 18 znajdujemy następujący wiersz: „Oj, płacze, płacze mołodyj kozacze". Otóż wyraz „kozacze" jest najzupełniej błędnie użyty, tu bowiem mamy do czynienia z przypadkiem 1-szym nie z 5-ym; powinno tedy być „kozak". Ażeby długo nie wyliczać weźmy pod uwagę nr. 72, na str. 100—101. Błędy są tu następujące: „łesa" zamiast „lisa", „z konyczkami" zam. „z konyczkamy", „diwcze" zamiast „diwcza", „kołysać" czysty polonizm w miejsce „kołysaty", „prez", „robył", „rubam", na str. 102, nr. 73: „z wiłmi", „nikto". Błędów tym podobnych możnaby wymienić znacznie więcej. I tak już na każdym kroku wytykają nam Rusini nieznajomość języka małoruskiego, że ze samego wstydu powinniśmy starać się o poprawę w tej mierze.

Pieśni nabożnych — nadmienić wypada — jest w omawianym zbior-

ku spora ilość. Z oryginalnych kompozycyi: „Requiem aeternam“, „Benedictus“, „Lacrimosa“, „Hymn do Boga“, „Agnus Dei“. Zharmonizowanych obcych, przeważnie ludowych ośm: „Wesoły nam dziś dzień nastał“, „O gospodzie uwielbiona“, „Lulajże Jezuniu“, „W żłobie leży“, „Święty Boże“, „Kiedy ranne wstają zorze“, „Wśród nocnej ciszy“, „W tej kolędzie“. *wi.*

Zwierzenia lekarza. *W. Weressajew.* Tłumaczył *Dr. M. W. Herman.* Wydanie drugie poprawione. Lwów. 1903. Nakładem księgarni H. Altenberga. (8-ka mała, str. VIII i 249).

Kompletne wyczerpanie w ciągu roku lwowskiego wydania tej książki, równorzędne niemal wydanie warszawskie i ponowny nakład lwowski, świadczą najlepiej o pożyteczności pracy Weressajewa. Niepodobna czytać ją bez wzruszenia, bo fakta, jakie są jej treścią, odrazu wyprowadzają umysł z równowagi. I jakkolwiek rzecz ma za przedmiot medycynę, przecież czyta się łatwo, z zajęciem, jednym tchem. Przyczyną takiego zajęcia, jakie w każdym obudzić musi książka, są szczere wynurzenia autora nad krwią znaczonym pochodem, dokonywanym przez naukę lekarską. Mamy więc tutaj szczegółowy opis niedostatku wiedzy, z jakim opuszcza mury uniwersyteckie dyplomowany lekarz, trudności, z jakiemi ma do walczenia podczas późniejszej praktyki, zgubnego wpływu, jaki wywiera badanie kobiet w klinikach, zawodności nowych środków leczniczych, nieetycznych doświadczeń, dokonywanych na pacyentach i t. d. Ale z tego wszystkiego wynika jasno, że medycyna musi w swoim rozwoju kroczyć drogą, zasłaną trupami. W dalszych rozdziałach omawia szeroko autor skutki ślepej wiary publiczności w nieomylność lekarzy, sprawę honoraryów lekarskich i pojęć publiczności o zakresie obowiązków doktora, omówił autor nadto niebezpieczeństwa, na jakie narażony jest każdy lekarz, i nędzę materyalną, w jakiej pozostają na wypadek nieudolności do pracy ci, którzy nieśli ludzkości w ofierze zdrowie, a nawet życie. Cała wogóle ta książka, która narobiła tyle hałasu w prasie rosyjskiej, godna jest przeczytania przez każdego. Pouczyć może bardzo wiele, usunąć sporo krążących pomiędzy nami błędnych pojęć, zmodyfikować zbyt surowe wymagania, jakie częstokroć stawia publiczność lekarzom. Z tych względów można ją polecić każdemu wykształconemu człowiekowi, bo rozszerzy mu ona znacznie horyzont widzenia. *wi.*

Wydawnictwa Akademii Umiejętności w Krakowie. Biblioteka pisarzów polskich: **Goffred abo Jeruzalem wyzwolona** *Torquata Tassa*, przekładania Piotra Kochanowskiego. Wydał Dr. Lucyan Rydel. Tom II. Kraków. 1903.

W swoim czasie po ukazaniu się I tomu w napisie wymienionego wydawnictwa omawialiśmy je na łamach *Przeglądu Powszechnego.* Obecnie wyszedł tom II, obejmujący pozostałe 10 pieśni „Jerozolimy wyzwolonej“. Wszystkie nasze uwagi, jakieśmy zrobili o tomie I, odnieść można i do tomu II. By więc niepotrzebnie nie powtarzać, ograniczamy się do tej krótkiej wzmianki, zaznaczając tylko z radością i wdzięcznością dla wydawcy fakt, że przez nadanie nowej szaty dziełu, przypomniał publiczności polskiej tak utwór sam, jak i dzielnego jego tłumacza; publiczność bowiem czytająca przywalona obfitą produkcyą

poetycką i belletrystyczną współczesną, przepomina nieco o arcydziełach starszej literatury, dziełach mogących dodatnio wpływać i na wyrobienie lub podniesienie smaku estetycznego, na wykształcenie umysłu, a zarazem mogących dla swej uznanej wartości być kryteryum porównawczem dla płodów obecnej doby.

A.

Rozprawy Akademii Umiejętności. Wydział histor.-filozoficzny. Serya II, tom XIX. Ogólnego zbioru tom 44. Kraków. 1903.

Nowy tom rozpraw wydanych przez Akademię Umiejętności przynosi 3 bardzo cenne i bogate w wyniki naukowe prace. Jedną z nich, pracę Dra Ludwika Boratyńskiego „Stefan Batory i plan ligi przeciw Turkom“ omówił już obszernie w nr. 234 *Przeglądu Powszechnego* Dr. Koneczny i przedstawił jej znaczenie i stanowisko w historyografii polskiej.

Dr. Kutrzeba w rozprawie „Handel Krakowa w wiekach średnich na tle stosunków handlowych Polski“ wkracza w dziedzinę, przez historyków naszych dotąd mało uprawianą, w zakres historyi stosunków handlowych i ekonomicznych w Polsce. W piśmiennictwie historycznem naszem mamy, oprócz nielicznych okolicznościowych a niedokładnych przeważnie wzmianek, w dziełach traktujących inne tematy historyczne, świeżą pracę Dra Szelągowskiego. Dr. Szelągowski omawia jednak czasy późniejsze, a więc praca Dra Kutrzeby jest, śmiało rzec można, pierwszą o handlu polskim wieków średnich.

Ale przejdźmy do szczegółów.

Autor nie rości sobie pretensyi, by odrazu bez prac przygotowawczych mógł napisać monografię o handlu polskim. Stawia sobie zadanie skromniejsze. Ma zamiar przedstawić handel jednego tylko miasta, stanowiącego, co prawda, *centrum* handlu polskiego, handel Krakowa. Pracę swą podzielił na cztery rozdziały. W pierwszym mówi o drogach handlowych, wiodących przez Kraków, w drugim o stosunkach handlowych kupców krakowskich z zagranicą, w trzecim o handlu krajowym, w czwartym o organizacyi handlu.

Charakter handlu średniowiecznego wymagał, szczególnie ze względu na prawo składu stałych, utartych traktów handlowych. Miasta mające prawo składu strzegły pilnie, by karawany kupieckie tylko takiemi drogami się posługiwały i nie omijały miast odnośnych. Również czuwali nad tem i władcy tak dla możności prowadzenia odpowiedniej polityki handlowej, jakoteż i dla pobierania ceł. Kupcy zaś przestrzegali takich dróg, gdyż władca kraju w zamian za pobieranie cła poręczał bezpieczeństwo drogi.

Autor wylicza w rozdziale pierwszym swej pracy drogi handlowe polskie. Wszystkie one krzyżują się w Krakowie, który jest *centrum* handlowem. Co prawda, jak to widzimy z dalszych rozdziałów rozprawy, miasta inne starają się stworzyć trakty omijające Kraków, ale ten występuje w obronie swych przywilejów wyrobionych zwyczajem i nadaniami królów i walczy przeciw omijaniu go przez karawany kupieckie.

Dla rozwoju handlu w wiekach średnich, względnie dla rozwoju handlu jakiegoś miasta ważne jest prawo składu. Jest to przywilej, mocą którego obcy, przyjeżdżając z towarem do miasta, obdarzonego takim przy-

wilejem, musi ten towar wystawić na sprzedaż w tem mieście. Wedle tego, czy przymus ten trwa tylko pewien okres czasu, np. tydzień, trzy dni, poczem obcemu wolno towar niesprzedany wieźć dalej, czy też towar musi być sprzedany w tem mieście, rozróżnia się skład jako względny lub bezwzględny. Kraków otrzymał pierwszy przywilej na prawo składu w r. 1306.

Kraków utrzymywał stosunki handlowe z Flandryą, Prusami, Węgrami, Śląskiem, z Lwowem i Wschodem. Autor kreśli rozmiary i przedmioty tego handlu tak transitowego, jak też importowego i korportowego.

Kraków brał również żywy udział w handlu krajowym wewnętrznym. Tu miał do walczenia z współzawodnictwem sąsiednich miast, jako to Sącza i Bochni, szczególnie co do omijania drogi przez Kraków.

Mniejsze znaczenie dla Krakowa miał targ lokalny, głównie na artykuły spożywcze.

Kraków, utrzymując stosunki handlowe z Flandryą, z konieczności należeć musiał do Hanzy. Bezpośredniej korzyści stąd nie miał dla odległości swej od centrum Hanzy, to też związek jego z Hanzą był bardzo luźny.

Autor kończy swą pracę przedstawieniem najważniejszych form stosunków handlowych. Najczęstszą formą był kontrakt kupna sprzedaży. Umawiano się nie tylko o cenę i rodzaj towaru, ale i o rodzaj monety, w której cena kupna miała być uiszczona. Istniały jednak i przepisy, względnie zwyczaje handlowe, które miały uzupełnić i zastąpić niejasno wyrażoną wolę stron. Znano też kontrakt na dostawę, jak również kupno na kredyt. W takich wypadkach czasami dawał kupujący weksel, częściej jednak sporządzano pisemny osobny dokument, lub też wpisywano nazwę do ksiąg radzieckich.

Ważne znaczenie dla handlu miały peryodycznie odbywane większe jarmarki. Na nich odbywały się przeważnie obroty *en gros*. Kraków miał dwa wielkie jarmarki, jarmark na św. Jakóba lub św. Stanisława w maju i w jesieni na św. Michała. Był również trzeci t. zw. „mały“ w czerwcu na św. Wita, trwał 5 dni i 2 pół-dnia

Autor sam zdawał sobie sprawę z braków swej pracy, mówiąc w zakończeniu: „Celem pracy zebranie i ugrupowanie materyału, tyczącego się jednego miasta Krakowa“. „To pewna, że niejedno jeszcze się odnajdzie, niejedno będzie można uzupełnić i sprostować; ale to wspólny los wszystkich prac historycznych. Tem bardziej z tem się musi liczyć ten, kto po raz pierwszy stara się zebrać rozproszony materyał“.

Jako trzecią pracę pomieściła Akademia w tym tomie rozprawę Dra Czermaka „Sprawa równouprawnienia schizmatyków i katolików na Litwie (1432—1563)“. Wbrew dotychczas przyjętym zapatrywaniom, że równouprawnienie takie przeprowadził już Jagiełło w r. 1432, twierdzi i wykazuje autor, że fakt ten przesunąć należy aż na rok 1563. Przywilej z roku 1432 nie wszedł nigdy w życie, późniejsze ustawy nie przeprowadziły równouprawnienia zupełnego, rozszerzając li tylko częściowo prawa schizmatyków. Uskutecznił to dopiero Zygmunt August w r. 1563.

Dr. B.

Z pod nieba wschodniego. Nowele i fragmenty z podróży. *Jan Grzegorzewski.*

Inny tu tchnął na nas powiew, różny od naszych zwyczajów i pojęć,

atmosfera życia i kultury wyrosłej na innym gruncie, z odmiennych pierwiastków. Wschód, nęcący od bajecznych, zamierzchłych czasów umysły, nam od niedawna dopiero lepiej znany, zbliża się w opowieściach autora do nas. Wtajemnicza nas autor nie tyle w baśnie Wschodu, ile raczej w życie powszednie, w pojęcia i sposób życia ludów tamtejszych. Baśni, opowieści egzotyczne podali nam w naturze lub przerobione mniej lub więcej udatnie na europejską modłę inni pisarze. Autor opisuje swój pobyt w różnych krainach Wschodu, dając na tem tle wdzięczne obrazki obyczajowe, lub kreśląc opowieści i nowelki na tle powszedniego życia tamtejszych ludów. *A. B.*

Dolinami rzek, opisy podróży wzdłuż Niemna, Wisły, Bugu i Biebrzy przez *Zygmunta Glogera.* Warszawa. 1903. (4-ka, kt. nl. 2, str. 218, kt. nl. 1).

Książka ta nadaje się z wielu względów jako przedmiot pożytecznej lektury dla młodzieży. Obejmuje ona barwnem piórem skreślone opisy dwu podróży Niemnem i dwu Wisłą. oraz rzekami Bugiem i Biebrzą. Prześliczne widoki przyrody, jakie zdołał udatnie nakreślić znany miłośnik rzeczy ojczystych, p. Gloger, ilustrowane gęsto zdjęciami fotograficznemi, mogą obudzić w młodocianych umysłach zachwyt dla piękna i bogactwa przyrody ojczystej ziemi. Ponad to nie omieszkał nigdy autor, ilekroć mu się nadarzyła sposobność, podać dokładnych szczegółów o zabytkach historycznych, jakie znajdowały się w zwiedzonych przez niego w ciągu tych podróży miejscowościach. Całość nakreślona z prawdziwym pietyzmem dla tego wszystkiego, co nasze, co polskie, to też można ją śmiało polecić wszystkim, bo i starsi mogą z korzyścią i przyjemnością czytać książkę p. Glogera. Strona techniczna wydawnictwa jest bez zarzutu.

Dr. S.

Monografie w zakresie dziejów nowożytnych. Wydawca *Szymon Aszkenazy.* Tom III: Rządy rosyjskie w kraju Tarnopolskim (1809—1815) przez Jana Leszczyńskiego. Kraków i Warszawa. 1903.

Bardzo wdzięczne zadanie podjął p. Szymon Aszkenazy, wydając monografie do dziejów nowożytnych. Okres historyi polskiej porozbiorowej dotąd mało był znany i opracowywany naukowo. Wiele znamy z ustnej tradycyi, świeżej jeszcze i niewygasłej, z opowiadań i wspomnień starszego pokolenia, sięgającego choćby dzieciństwem początków i środku wieku XIX. Ale wspomnienia i opowiadania to nie historya, to najwyżej materyał dla historyka. Ugrupować w całość dany materyał, oddzielić szczegóły niewątpliwe z obsłonek fantazyi i wspomnień anegdotycznych, ocenić ludzi i wypadki z wyższego, bezstronnego stanowiska, to zadanie nauki. W tym kierunku nie zrobiono u nas dotąd wiele w zakresie czasów nowszych. Pan Szymon Aszkenazy podjął się tego zadania. Sam pracuje naukowo w tym dziale a nadto pod jego redakcyą i kierunkiem wychodzi od r. 1902 szereg monografii młodszych przeważnie pracowników na niwie dziejopisarskiej. Po monografiach „Rządy tymczasowe w Królestwie polskiem“ Bojasińskiego i „Między Jeną i Tylżą“ Loreta, mamy świeżo przed sobą tom III wydawnictwa, zawierający przedstawienie faktu mało

nawet z tradycyi znanego zajęcia przez Rosyę kraju Tarnopolskiego w r. 1809 i 6-cioletnich jej tamże rządów. Wydawca skreślił w przedmowie krótko poprzedni stosunek Rosyi do Austryi i do Napoleona, negocyacye o odstąpienie kraju Tarnopolskiego Rosyi i charakterystykę gubernatora tegoż, Theylsa i jego pomocnika, Michała Starzeńskiego. Po tym wstępie daje wydawca głos autorowi samej monografii, p. Janowi Leszczyńskiemu. Ten wprowadza czytelnika odrazu *in medias res*, zaczynając od postanowień pokoju schönbruńskiego z października 1809, tyczących się odstąpienia przez Austryę Rosyi kraju Tarnopolskiego. Ciekawe i bardzo charakterystyczne są negocyacye między austryacką a rosyjską komisyą o wydzielenie części Galicyi wschodniej, odpowiadającej postanowieniom pokoju schönbruńskiego. Potem przedstawia autor organizacyę rządu, sądownictwa, wykonywanie władzy sądowej i administracyjnej przez rząd rosyjski, wreszcie rewindykacyę kraju tego przez Austryę po r. 1815.

Na uwagę zasługuje, że gubernator Theyls w obsadzeniu urzędów uwzględnia przedewszystkiem siły urzędowe polskie, a nadto przypuścił obywatelstwo do współudziału w administracyi przez organizacyę komitetu, władzy autonomicznej, wybieralnej przez obywateli. Współudział czynnika obywatelskiego w rządach z pozoru bardzo, jak na owe czasy i stosunki znaczny, był w rzeczywistości prawie nominalny, wszystko w gruncie rzeczy zależne było od decyzyi gubernatora.

Autor przedstawił swój przedmiot dokładnie, oparłszy się na źródłach przeważnie archiwalnych. Ważniejsze i bardziej interesujące źródła przytacza dosłownie lub w wyjątkach w dopiskach.

Po trzech tomach wydawnictwa p. Aszkenazego życzyćby należało, by i obecnie drukujący się tom IV, obejmujący przedmiot tak ponętny, jak monografię Dąbrowskiego, rychło znalazł się na półkach księgarskich i stał na tej wysokości, na jakiej stanęły dotąd znane trzy tomy.

Dr. B.

Bogdan Zalieskij, k stolietniej godowszczinie rożdienija polskawo poeta. *Martin Korczinskij.* (Ottiski iz nr. 59 *Wołyni* za 1902 g.) Żytomir. 1902. (16-ka, str. 27).

Jest to bardzo krótki życiorys okolicznościowy ukraińskiego słowika, z którego o poezyi Bohdana można dowiedzieć się bardzo niewiele. Jakkolwiek autor cytuje najnowsze źródła i opracowania, pomimo tego nie potrafił ustrzedz się licznych błędów, których kilka dla przykładu wymienię. Skąd autor wie, że Zaleski uczęszczał na uniwersytet warszawski? (str. 6). Jest to bardzo prawdopodobne, ale nie stwierdzone dotychczas. Utwory p. t. „Downarowski na jassyrze“, „Teligoła“, „Młodo zaswatana“, „Zakochana“, „Czarnoksiężniczka“, „Po rosie“, „Ludais“, „Śliczny chłopiec“ i wiele innych zaliczył do pierwszego okresu twórczości, chociaż dzisiaj wiadomo, że powstanie ich należy odnieść do całkiem późniejszego peryodu. Bohdan nie podróżował razem z Józefem Zaleskim do Paryża, bo ostatni przyjechał do nadsekwańskiej stolicy znacznie później. „Duch od stepu“ nie wywarł żadnego wrażenia na emigracyi, jak to utrzymuje autor najfałszywiej. I t. d. i t. d. Uchybień tego rodzaju możnaby jeszcze przytoczyć bardzo wiele. *Dr. S.*

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

CHORWACCY KATOLICY POD UCISKIEM WOLNOMYŚLNYM.

Duchowieństwo chorwackie stanęło po stronie swojego ludu przeciw bezprawiom madiarskim; widziało ten objaw, także u Polaków w Niemczech i Ameryce znany, że Słowianin wynarodowiony łatwo traci dobre obyczaje i wiarę. Nieraz tedy niektórzy kaznodzieje chorwaccy usilnie zaklinali wiernych, aby nie nastawiali uszu na obietnice przybyszów, którzy im wraz z obcą mową i obyczajem wydzierają ze serca bojaźń Bożą. Wolnomyślne uszy madjarskie słuchać tych przestróg nie lubią; powstała tedy myśl, aby ukuć dla Chorwacyi przepis, który już krępuje duchowieństwo na Węgrzech: że mianowicie władza świecka ma prawo grzywnami i więzą karać kaznodzieję, jeżeli w jego słowach dostrzeże jakąś myśl polityczną.

Nim zdołają w ten sposób zamknąć usta duchowieństwu, tymczasem usiłują jego pracę utrudnić czembądź, choćby potwarzami. Więc np. solą im w oku był gorliwy ksiądz Barbič, iż użył wszelkich wpływów i sił, aby doprowadzić do skutku spółkę gospodarczą dla biednych Chorwatów. Jako sekretarz tej spółki, świadczył tyle dobrego swoim rodakom, że ściągnął na siebie zemstę Madjarów i Żydów. Nieprzyjaciele długo czyhali na pierwszy lepszy pozór, aby zohydzić uczynnego kapłana.

W braku czego lepszego, skorzystali z jego odjazdu z Zagrzebia: wymyślili na niego potwarz, ale tak niezręcznie, że za parę dni musieli ją odwołać.

Niestety, oszczerstwo w lot doszło do różnych krajów, które nie krępowane paragrafem 19-m, nie poczytały sobie za obowiązek nagradzać krzywdę na sławie... wszak szło o gorliwego księdza: jakżeż takiemu wstecznikowi przywracać dobre imię i wpływ na społeczeństwo!

Nie tylko ze strony Madjarów, wolnomyślnych wrogów Kościoła, cierpią Chorwaci: doznają również tysiąca przeszkód w swoim rozwoju ze strony Włochów, także niezdolnych pojąć, jak może Słowianin chwalić Pana Boga w swoim języku. Daremnie Papież przyznał Słowianom prawo do liturgii w ich języku wszędzie, gdzie już panowała, choćby tylko od ćwierci wieku. Ciągłe niesnaski i wypadki nawet bardzo bolesne dla Kościoła, świadczą, że zarówno Włosi jak Słowianie, naciągają słowa papieskie poza wszelką miarę możliwą, byle na swojem postawić. Rosyjskie dziennikarstwo radośnie pochwyciło wypadki, zaszłe z tego powodu pod Tryestem, ale przedwcześnie tuszyło sobie nadzieję, że rozgoryczony przeciw Włochom lud słowiański gromadnie zwróci oczy na odszczepiony Wschód po tych wypadkach, bo po nich starosta Milicz stanął na czele ruchu chorwackiego, który zamierza za zgodą Stolicy Apostolskiej wrócić do słowiańskiego języka w służbie Bożej. Na zaprosiny Milicza stanęły w Splicie liczne gromady z Dalmacyi, którym przewodził dr. Smodlak, i powzięły kilka uchwał dość stanowczych. W ciągu obrad mnóstwo telegramów z dalszych stron zapewniało zgromadzonych, że mają za sobą całe społeczeństwo. Uchwały dążyły w pierwszej mierze do tego, aby wybrać przedstawicieli narodu, którzy jego prośbę przedłożą Rzymowi, dalej aby zjednać duchowieństwo dla dzieła, nakoniec aby w Splicie wznieść pomnik biskupowi Jerzemu Nonowi, który w dziewiątem stuleciu żarliwie walczył o obrzęd słowiański.

Ruch ten znalazł śród duchowieństwa zwolenników. Księża dekanatu koprzywnickiego uchwalili prosić arcybiskupa o rytuał

w chorwackim języku i dyecezalny synod, któryby tę sprawę pozwolił wszechstronnie roztrząsnąć.

CHORWACKI MISYONARZ U PAPIEŻA A SPRAWA HLAHOLICY.

Kiedy do Rzymu z różnych stron przychodziły telegraficzne pytania, czy jeszcze Leon XIII-ty żyje, w tych właśnie dniach O. Miszkow, Dominikanin z Chorwacyi, bawił u papieża na długiej rozmowie, i z podziwem następnie oświadczył, że nie byłby nigdy oczekiwał tego poglądu wszechstronnego, z jakim papież zdaje sobie sprawę z biegu wypadków w krajach nawet najdalszych. Przywitał misyonarza słowami: „Jakże się mają moi mili Chorwaci dalmatyńscy?“ Zaraz nastąpiła żywa rozmowa o stosunkach politycznych i kościelnych między Chorwatami. Papież miał powiedzieć, że przychylnie dla Chorwatów spogląda na sprawę ich powrotu do liturgii głagolickiej. Dalej szczegółowo wypytywał się papież o obyczaje i zwyczaje chorwackie; następnie z naciskiem nalegał, żeby misyonarz nie przemilczał nic, choćby wyobrażał sobie, że doniesie smutną nowinę; w końcu misyonarza uściskał i pożegnał słowami: „Błogosławię wszystkim moim miłym, dobrym i szlachetnym Chorwatom, gdziebądź nie mieszkają“.

W sprawie liturgii słowiańskiej miał przed zgonem Leona XIII w Watykanie przeważać prąd przychylny Chorwatom. Udzielona im ta nowina zamknęła usta działaczom, którzy usiłowali skorzystać z wypadków pod Tryestem, aby oderwać Chorwacyę od Rzymu. Silniej znów zaciśnięte węzły między narodem katolickim i jego duchowieństwem dotkliwie zawadzają krzewicielom hasła „Precz ze Rzymem“. Jeden z nich nie powstrzymał w sobie gniewu i wylał żółć na duchowieństwo w rozprawie przeciw Kościołowi, dla której przecie nie znalazł miejsca w pismach chorwackich: posłał ją aż do Czech i znalazł dla niej przytułek w *Časie*.

CHRZEŚCIJAŃSKA DEMOKRACYA MIĘDZY SŁOWEŃCAMI I CHORWATAMI.

Do jakiego stopnia niechęci ku Kościołowi dojść mogą samowolni rządcy kraików słowiańskich, o tem nabyć można pojęcia z przeszkód, stawianych Słoweńcom przy ich pracy na polu demokracyi chrześcijańskiej.

Na przeszłorocznym zjeździe Słoweńców z Chorwatami główną treść obrad stanowiła sprawa społeczna. Wobec zgromadzonych licznie słuchaczy wystąpił imieniem robotników chorwackich p. H. Syrovàtka i przedstawił smutny obraz stosunków, zaprowadzonych przez bana w sprawie robotniczej. Samowolny władca zabraniał zakładać wszelkie związki katolickim robotnikom, ani nie uważał za potrzebne zdawać sprawę ze swych zakazów. Mowca błagał bratnich Słoweńców o wszelką pomoc, na jaką stosunki pozwolą.

Mowca słoweński, dr. J. Krek, najchętniej obiecał popierać wysiłki chorwackich katolików, i wraz z p. M. Moskeřem dali obraz dość pomyślny rozwoju słoweńskiej pracy chrześcijańsko-społecznej. Po wywodach zapadły uchwały, które żądają od państwa ubezpieczenia robotników; nakoniec sekretarz Gostinkar poruszył myśl, którą powinnoby roztrząsnąć i polskie społeczeństwo: mianowicie wykazał, że niezwłocznie trzeba zbliżyć do siebie i niejako połączyć wszystkie zawodowe związki chrześcijańskie nie tylko w każdym kraju, ale także zawiązać między niemi ścisłe stosunki we wszystkich narodach.

Śmiało też w Lublanie przemówili na swoim wiecu chrześcijańscy demokraci. Stanęło ich blizko czterystu na obrady i powzięli między innemi także uchwałę za powszechnem a równem prawem głosowania. Stronnictwo wolnomyślne zaniepokojone liczbą uczestników wiecu katolickiego, zwołało swój wiec natychmiast, ale zamiast radzić o sprawach społecznych, sypali obelgi na społeczny ruch między katolikami. Nie dziw, że ruch ten zawadza obozowi wolnomyślnemu i odciąga od nich lud, zwłaszcza roboczy, bo wydaje owoce znaczne na pożytek biedaków: samych domków tanich wybudował im 36 w ciągu czterech lat ostatnich; na wiec chrześcijańskich demokratów odbyty pod koniec czerwca w Wiedniu, wysłał jako przedstawiciela 70-ciu związków robotniczych pana Gostinčara, — nakoniec zapowiedział walny zjazd słoweńskich związków w Lublanie na październik.

KATOLICY SŁOWEŃSCY W BOJACH PRZECIW RZĄDOM WOLNOMYŚLNYM.

Czeskie pisma *Politik* i *Katolické Listy* nie przestają wyrzucać wolnomyślnym Słoweńcom, z d-rem Tavčarem na czele, przymierza z Niemcami przeciw katolickim rodakom [1]. Liczba Słoweńców w sejmie krajińskim przewyższa znacznie liczbę posłów niemieckich; pomimo tej przewagi, Słoweńcy bardzo mało mogą sprawić dla poprawy stosunków, bo wolnomyślna niechęć Tavčarczyków przeciw Kościołowi stawia ich po stronie Niemców bezwyznaniowych i zamyka im usta w obronie praw ojczystych przeciw uroszczonym prawom niemieckim; tłumią tedy katolickich posłów, którzy przedstawiają 30 000 wyborców, kiedy wolnomyślni wszyscy razem, Niemcy ze Słoweńcami, mają za sobą wyborców 6000. Niechęć ta raz po raz wybucha w rozprawach sądowych, wytaczanych przez Tavčarczyków pisarzom i księżom katolickim za każdą surowszą ocenę wolnomyślnej gospodarki. Przedstawiciele władzy pomagają Tavčarowi, bo jego sprzymierzeniec Hribar tłumi wszelki objaw oporu katolickiego przeciw uciskowi wiary i praw narodowych. Śmiało tedy Tavčar może rzucać w sejmie pogróżki na niemiłych biskupów, że np. pojadą do Wiednia *ad audiendum verbum*, albo miota oszczerstwa na najwyższych dostojników Kościoła, jak np. na księcia biskupa z Lublany, kardynała Missię. Ale bo też i kardynał, jako rodowity Słowieniec, strzegł swojej owczarni od wrogów duchownych nie mniej, jak od wrogów w ich rozwoju narodowym.

Również w Istryi władza popiera ruch przeciwkościelny, który głównego przedstawiciela znalazł w d-rze Ivanie Krstiču, odstępcy od wiary i zaprzańcu swojego narodu. Stąd biskup Mahnicz w Koku i inni musieli zabronić wiernym czytać czasopisma Krstiča, wydawane w Rjece pod napisem: *Prava naša Sloga*. Innej obrony przed tem pismem nie mogli znaleźć katolicy, bo darmo wytaczali przed sądem sprawy o napaście na Kościół; stronnicze wyroki zawsze wypadały życzliwie dla Krstiča.

---

[1] Por. *Przegląd Powsz.*, VII, 497; X, 323; XIV, 373, 529; XV, 483; XXXII, 317; XXXIII, 26.

Zwłaszcza biskup Mahnicz nie mógł nigdy oczekiwać dla siebie wyroku przychylnego, bo ściągnął na siebie wielką niełaskę w oczach wolnomyślnej władzy. Członkowie rządu, nieprzychylnie usposobieni względem Słowian, darować nie mogą biskupowi jego troski o język słowiański w nabożeństwie. Świeżo na jego prośbę opuścił Pragę ksiądz Vajs, zawodowy slawista, aby pomódz sławnemu Parczyczowi wydawać pacierze kapłańskie w języku słowiańskim. Mszał w tym języku poprawnie wydany wyszedł już w Propagandzie.

Ochota do walki przeciw Kościołowi zastępuje nawet czasem przed władzami naczelnemi brak dobrych obyczajów u podwładnych, jak np. w Żużemberku nauczyciel Koncilija sprzeniewierzył więcej niż tysiąc koron, inny we Vel. Laščach; darmo poseł Jahlič zagadnął o to w sejmie przedstawiciela władzy: wolnomyślny duch przeniewierców starczył im za wszelką obronę.

Przeciwnie, wystarczyło księdzu Colleoniemu w Pulji podczas kazania napomknąć o bezprawiach, popełnianych ze szkodą dla Kościoła przez włoską irrydentę, aby ściągnąć na siebie naganę władz świeckich, pozew przed sąd i zakaz pracy kaznodziejskiej.

Również w Karyntyi władza spoczywa w rękach, wcale nie skorych do udziału w pracy katolickiej. We Feldkirchenie np. Związek Gustawa Adolfa wystawił dom sierót, do którego przyjmuje miłosiernie także katolickie dzieci, ale zostawia im swobodę wyznaniową tylko do wieku lat czternastu. W tym wieku sieroty katolickie muszą odpaść od Kościoła na wyznanie luterskie.

Aby tej gospodarce zaradzić, ksiądz Kayser poświęcił cały swój majątek, i dla katolickich sierót wzniósł zakład osobny. Powstał dom nowy, ale wkrótce przepełniony, pochłonął wszystkie dochody założyciela i nie mógł dalej istnieć bez obcej pomocy. Ks. Kayser prosił o nią cesarza, który tę prośbę odesłał do miejscowej władzy, aby ta osądziła bliżej stan rzeczy. Władza zasięgła rady u pastora, posłała cesarzowi odpowiedź odmowną, a do konsystorza wysłała list z naganą dla księdza Kaysera, iż mąci spokój wyznaniowy!

Duchowieństwo, mimo tych stosunków, ducha nie traci i zwłaszcza przeciw szkole bezwyznaniowej toczy bój bezustannie.

Z Lublany wyszło od biskupa pismo okólne do wszystkich dekanatów, które żąda w ciągu pięciu miesięcy odpowiedzi na pytania następne: 1) Które ustępy z ustawy szkolnej wymagają zmiany? 2) Co trzebaby zauważyć o dotychczasowym nadzorze nad szkołami? 3) Jakich przeszkód doznawały ćwiczenia duchowne? 4) Jak możnaby oprzeć wykład świeckich przedmiotów na podstawie wyznaniowej? 5) Czy państwowe uczelnie wychowują w duchu wyznaniowo-obyczajowym? Co możnaby poprawić? 6) Jakim sposobem Kościół mógłby dojść do nadzoru nad nauką świeckich przedmiotów? 7) Czy trzeba dążyć, żeby duchowieństwo dostarczało ze swojego grona szkolnych nadzorców? 8) Jakie stanowisko przysługuje katechetom między nauczycielami? 9) Jakim sposobem można zaradzić szkodom, jakich doznają zwolnieni od szkoły? 10) Co sądzić o szkole niedzielnej? 11) Czy trzeba zaprowadzić ustawę o karach szkolnych? 12) Które niedostatki szkolne dotyczą dyecezyi? 13) O ile możnaby powierzyć świeckim nauczycielom naukę katechizmu? 14) Jakich zmian wypada żądać? 15) Co miałby kto jeszcze więcej zauważyć o sprawie szkolnej?

UWIĘZIONY PRZEŚLADOWCA KOŚCIOŁA NA POBRZEŻU.

Jak na krętych zaułkach dzielnic przedmiejskich osiadają nieraz wyrzutki społeczne a obyczaje panują nieludzkie, tak w pomniejszych dzielnicach państwa, upośledzonych i zaniedbanych, zastój duchowy dochodzi nieraz do rozmiarów, spotykanych chyba na Wschodzie dalekim. Krzywdzą w Paryżu Kościół, krępują w Wiedniu, nękają w Rzymie, ale te czyny prześladowcze utorowały sobie drogę przez jakichś ustawodawców i na jakichś księgach prawa zasadzają swoje bezprawia: nie śmieją działać bez pozorów ogłady, bez wstydu europejskiego. Takiego sromu nie zna Azya ani nie zna żaden zakątek europejskich krajów, gdzie lud potulny nie trzyma w ryzach samowoli zwierzchników.

Czegóż nie pozwoliłby sobie baron Rinaldi, kiedy w Trye-

ście dzierżył władzę, jako namiestnik cesarski? Włochów miał za sobą, garstce Niemców łatwo dogodził, a główne tło narodu, Słoweńcy, potulnie głowę spuszczają już od wielu wieków na wzmiankę o władzy rakuskiej. Przerastali wprawdzie niektórzy Słoweńcy cały swój naród śmielszym poglądem na prawa swoje i stosunek do władzy, ale w boju przeciw samowolnemu rządcy kraju padali jeden po drugim, choćby poprzednio zebrali znaczne zasługi wobec państwa i narodu, — jak poseł Spinczyć, usunięty ze służby i pozbawiony chleba, jak inni obrońcy szkoły, stanowiska urzędowego i praw należnych Słoweńcom.

A najzaciętszy bój zawrzał między namiestnikiem a duchowieństwem słoweńskiem. Ci główni przedstawiciele świadomego narodu z obowiązku kapłańskiego urzędu bronili owczarni przed samowolnym uciskiem. Na nich to padły najcięższe ciosy: urzędowe pisma nie ustawały w robocie, kiedy poczęły raz na nich miotać oszczerstwa, a kiedy niewiele mogły dokazać przeciw niewinnym, bo lud więcej wierzył oczom, niż dziennikom, wtedy namiestnik wynalazł i zastosował do duchowieństwa środek, nieznany w całem państwie rakuskiem: nie dopuszczał żadnego księdza na posadę proboszcza, tylko trzymał ich na prawach i kongruy administratorów. Tym sposobem w ciągłem ubóstwie utrzymywani księża przedwczesną śmiercią nieraz ginęli z trudów albo szukali przytułku w domu emerytów, — i tu dostawali tylko cząstkę dochodów, zasłużonych przez kilkanaście lat pracy. Któryś z nich ciekawie zliczył, ile baron Rinaldi zatrzymał tym sposobem dóbr kościelnych: doszedł prawie do pół miliona koron.

Po latach takiego ucisku duchowieństwo w części odetchnęło, kiedy zasłużony baron ustąpił z urzędu. Ale za swoje zasługi zyskał nagrodę: 12.000 koron emerytury, — a nadto nadzór w zarządzie towarzystwa Lloyda, gdzie miał zapewnionych także 12.000 koron. Złożył poprzednią władzę urzędowo nazywaną urzędem cesarskiego namiestnika, a nieurzędowo ale głośno zwaną berłem królika włoskiego, — ale nie przestał ciążyć nad krajem przez swoje wpływy. Używał ich znowu według widzimi-

się i ciągnął z Lloyda niegodziwe zyski, które doszły nakoniec do sumy, zaoszczędzonej na kongruy: do blizko pół miliona koron. Wiedeń o tem w końcu usłyszał i byłego namiestnika zamknął we wieży.

TRUDNE STANOWISKO KOŚCIOŁA W BOŚNII.

Zarząd austryacki w Bośnii i Hercegowinie przestrzega pod względem wyznaniowym zasady wolnomyślnej: każdemu wyznaniu rękę podaje, ale bardzo oględnie, aby nie uchodzić za przychylniejszego dla jednych, niż dla drugich. Oczekiwał może, że tym sposobem wszystkim równo dogodzi: widzi wszystkich niezadowolnionych. Muzułmanie ciągle wietrzą w przedstawicielach władzy zamiary szkodliwe dla islamu, a powzięte z przyjaźni dla chrześcijan: chrześcijanie narzekają, że zarząd kraju odmawia opieki dla ich córek, porywanych do haremu i przeciąganych przemocą na islam, a niezliczonemi przeszkodami utrudnia drogę muzułmance, jeżeli która chce chrztu. Prawosławne pisma, zwłaszcza rosyjskie, raz po raz narzekają, iż na szkodę ich współwierców zarząd popiera robotę katolicką, a katolicy zarzucają, że rząd im wszędzie ręce wiąże z obawy przed prawosławiem, żydowstwem, turczyzną i obozem wolnomyślnym. Napływ nowych osiedleńców, przeważnie katolików, drażni innowierców, dawniej zamieszkałych, bo zwiększa liczebnie Kościół — przeciętnie potroił już liczbę jego członków; w Serajewie ta liczba wzrosła ze trzystu do 15000. W tem muzułmanie i odszczepieńcy upatrują krzywdę dla siebie; z drugiej strony stan tych osiedleńców, bardzo opuszczonych duchownie, wywołuje skargi, że rząd nie dba o ich potrzeby.

W następstwie takich stosunków wynikła ostatnia burza przeciw arcybiskupowi w Serajewie. Dostojnik ten obrał drogę, jaką mógł tylko uważać za najrozsądniejszą, kiedy widział zarząd kraju troskliwy nadewszystko o spokój między wyznaniami: zwrócił swoje duchowieństwo do pracy wewnętrznej między katolikami, aby podnieść ich poziom duchowy, a powstrzymywał księży, gotowych nawracać innowierców, wbrew rządowym zamiarom. Za jeden z głównych czynników przy rozwoju we-

wnętrznym Kościoła arcybiskup poczytuje misye ludowe: popierał je tedy ze skutkiem, który przeszedł nadzieje. Lud bośniacki szedł na nauki i stosował do nich żywot z zapałem chrześcijan świeżo nawróconych. Ale ten wnętrzny rozwój ducha chrześcijańskiego wywołał skutek nieprzewidziany: okazał wielu innowiercom nadprzyrodzoną potęgę Kościoła, zdolnego tak przeradzać człowieka; odszczepieńcy i muzułmanie zaczęli rozumieć, gdzie prawda. Wynikło stąd następstwo niepożądane dla krajowego zarządu: ruch zakłócił spokój wyznaniowy. Niejeden zaszedł wypadek, w którym zarząd kraju wymagał od duchowieństwa ustępstw niemożliwych. Ostatni z tych wypadków wywołał rozgłos szeroko w Europie wśród pism przeciwkościelnych.

Owdowiała we wsi Wisujewici (okrąg Kojnice w Hercegowinie) muzułmanka Ciwriczowa z trojgiem dzieci: chłopcem i dwiema dziewczynkami małoletniemi. Przez dwa lata nie żyła przykładnie; powiła nakoniec drugiego chłopca, którego według woli ojca, dała ochrzcić; zetknięta przecie z chrześcijanami, zbrzydziła sobie muzułmańskie obyczaje i prosiła o naukę wiary, a w końcu o chrzest. Arcybiskup długo rozważał, nim nakoniec, naglony prośbami poważnych rzeczników, pozwolił Turczynkę z obiema córkami przyjąć do Kościoła, ale nie we Wisujewicach, aby nie wywołać rozruchu. Jej rodacy jednak odkryli prawdę, i ze skargą stanęli przed zastępcą ministra, baronem Kutscherą, który wezwał arcybiskupa, aby wydał obie dziewczynki. Arcybiskup odmówił. Sprawa poszła przed Papieża. Kardynał Rampolla odpowiedział, że arcybiskup zachował prawo kościelne; wszyscy też inni dostojnicy Kościoła w Bośnii w tym duchu napisali list do ministra Kallaja. Mimo to rząd nie odstąpił od zamiarów, i ostatecznie wydostał neofitkę z klasztoru Sióstr Miłosierdzia w Szabacu, najechanego zbrojno przez 24-ech żandarmów, którzy wbrew wszelkim prawom, przetrząsnęli mieszkania zakonnic w klauzurze. Neofitkę odstawioną do Kojnic otoczyli Turcy, aby odwieść od chrześcijaństwa. Władza obiecała dobrą posadę Turkowi, któryby chciał Salę wziąć za żonę.

Przystał na to jakiś Agari bey, dostał miejsce i nadto zasiłek pieniężny od współwierców. Na ślubie wzięły udział władze austryackie.

Ks. K. Czaykowski.

Stan obecny towarzystw dobroczynnych w Galicyi.

Towarzystwa dobroczynne katolickie, to jeden z objawów żywotności wiary narodu, tej wiary żywej, która rodzi uczynki dobre wogóle, a w szczególności, widząc nędzę bliźnich, uczynki miłosierdzia.

Towarzystwa i zakłady dobroczynne pokrywając kraj nasz cały, z natury rzeczy skupiają się w stolicach, we Lwowie i w Krakowie. Istnieje wprawdzie we Lwowie od lat ośmiu Związek katolickich towarzystw i zakładów dobroczynnych, który wedle statutów może rozciągać swą działalność na całą Galicyę; dotąd łączy w sobie tylko towarzystwa i zakłady lwowskie. W Krakowie założono podobny Związek na wzór lwowskiego w r. 1902. Na prowincyi towarzystwa wszystkie idą samopas, żadna nić ich nie wiąże. To też trudno mi dziś dać obraz towarzystw dobroczynnych w kraju całym wobec braku związku, obejmującego cały kraj, wobec braku statystyki a choćby nawet opisu towarzystw dobroczynnych katolickich. Brak ten łączności daje się silnie odczuwać zwłaszcza wobec tego, że w innych krajach austryackich istnieją już organizacye prowincyonalne, że w roku bieżącym odbywał się w Gradcu już II austryacki wiec towarzystw dobroczynnych. Związek kat. towarzystw i zakładów dobroczynnych we Lwowie powziął już uchwałę zaproszenia wszystkich towarzystw dobroczynnych w kraju do wstąpienia doń, a jeżeliby związek krakowski chciał w ten sposób zorganizować zachodnie powiaty, nie będzie miał nic przeciw temu. Czytelnik zechce więc wybaczyć, że niniejsze sprawozdanie moje będzie bardzo niedokładne. Gdyby było ono podnietą do zorganizowania się naszych towarzystw, byłbym bardzo zadowolony.

Do Związku katolickich towarzystw i zakładów dobroczynnych we Lwowie należy obecnie 18 towarzystw i zakładów. Najważniejszem z nich jest towarzystwo św. Wincentego. Towarzystwo to mające radę wyższą w Krakowie, radę miejscową we Lwowie, ma Konferencye swe we wszystkich większych miastach Galicyi. We Lwowie prezesem rady miejscowej jest radca Nam. Korzeniowski; kieruje ona 8 Konferencyami,

które podzieliły miasto na 8 okręgów i opiekuje się ubogimi, każda w swoim okręgu. Jedna z tych Konferencyi składa się z robotników kolejowych. Liczba Konferencyi jest ta sama od kilku lat, ilość członków czynnych w Konferencyach jest rozmaita. Jedna posiada zaledwo 3 do 4, największa św. Antoniego około 20 członków i więcej. Wogóle więc niewiele więcej, niż 100 członków liczy Towarzystwo św. Wincentego w mieście, w którem mieszka 160.000 ludności. Członkowie są prawie wyłącznie Polacy, Rusinów jest zaledwie kilku, chociaż przy przyjmowaniu ubogich w opiekę nie robi się różnicy między Polakami a Rusinami. Oprócz odwiedzania rodzin wstydzących się żebrać, w domach wykonywa towarzystwo także inne uczynki miłosierdzie, zorganizowane w osobnych „dziełach". I tak istnieje dzieło kojarzenia dzikich małżeństw, prowadzone przez ks. Piotrowicza, internat dla 40 uczniów seminaryum nauczycielskiego we własnym domu pod przewodnictwem ks. Gorazdowskiego, rozdawnictwo zupy rumfordzkiej w miesiącach zimowych a i Czytelnia katolicka jest dziełem Towarzystwa św. Wincentego a Paulo. Na cele rozdawnictwa zupy rumfordzkiej, które się odbywa w domu ubogich pod zarządem Siostr Rodziny Maryi, przyzwyczaiła się publiczność składać corocznie miłosierne datki. Z powodu coraz mnożących się składek publicznych wprawdzie ofiarność na ten cel nieco osłabła, ale i to, co się na ten cel od publiczności i od rady miejskiej zbierze, nakarmi niejednę rodzinę zgłodniałą. Najnowszem dziełem, założonem zaledwo przed dwoma miesiącami, jest dom opieki nad terminatorami św. Kazimierza.

Dotychczas istniało we Lwowie od lat dziesięciu Towarzystwo św. Stanisława Kostki, opieki nad terminatorami, jako oddział arcybractwa NPM. Łaskawej Królowej Korony Polskiej. Niespożyte zasługi około tego Towarzystwa położyli ks. biskup Wałęga, ks. kan. Sapieha, p. Wład. Żeńczak; ks. arcybiskup Bilczewski objawił życzenie, aby więcej takich domów powstało we Lwowie i oto powstał wspomniany powyżej dom opieki św. Kazimierza, dalej w parafii św. Marcina takiż dom, założony przez komitet parafialny św. Marcina.

Towarzystwo pań miłosierdzia św. Wincentego a Paulo pod przewodnictwem p. Hausnerowej niesie swą pomoc ubogim chorym. Jako filia jego istnieje Towarzystwo panien ekonomek, do którego należą młode panienki. Te szyją ubrania i bieliznę dla ubogich, a w tym roku już wprowadzono tę nowość, że odwiedzają one także rodziny ubogie w towarzystwie pań starszych, rodziny, które Siostry Miłosierdzia odwiedzające wybiorą, jako stosowne dla panienek. Nowość ta

wydaje mi się bardzo odpowiednią, bo poznanie i przypatrzenie się z blizka ubóstwu przyczynia się bardzo do wytworzenia zdrowego sądu o sprawach społecznych.

Towarzystwo dam dobroczynności rozdaje ubogim stałe miesięczne alimentacye lub też wsparcie doraźne. Towarzystwo św. Salomei, oddział arcybractwa Królowej Korony Polskiej, zostające pod kierownictwem energicznej p. Paparowej, wspiera ubogie wdowy. Dzieli się na trzy Konferencye, które jednak nie dokonały podziału terytoryalnego tak, że rodziny obok siebie mieszkające odwiedzane są często przez dwie różne Konferencye, mające ubogich we wszystkich stronach miasta, Towarzystwo to zresztą w odwiedzaniu ubogich przyjęło zasady tow. św. Wincentego a Paulo i działa z niem równolegle w tym samym duchu.

Nienależące do Związku Koło Panien, powstałe przed paru laty, byłoby bardzo pożyteczne, gdyby zechciało zająć takie stanowisko względem Towarzystwa św. Salomei, jak Panny Ekonomki względem Dam Miłosierdzia. Tymczasem działa ono zupełnie samodzielnie; panny uczą ubogą dziatwę, szyją bieliznę, odzienie, co jest bardzo dobrem, ale także same odwiedzają rodziny, co nie jest zupełnie stosownem wobec niedoświadczenia młodego wieku.

Towarzystwo św. Józefa z Arymatei dostarcza bezpłatnych pogrzebów ubogim chrześcijanom. Towarzystwo pragnie, aby każdy taki pogrzeb prowadził ksiądz, ale koszta za wielkie stały dotychczas temu na przeszkodzie. W roku ubiegłym pogrzebało ono swym kosztem 348 osób.

Towarzystwo opieki nad uwolnionymi więźniami wspiera więźniów, wychodzących z zakładu karnego, zwraca jednak szczególną uwagę na młodocianych przestępców i zamierza utworzyć zakład, w którymby ich można zatrudniać czas jakiś przy uprawie ogrodu. Fundusz około 20 000 koron zebrano już na ten cel i teraz toczą się rokowania z miastem co do kupna odpowiedniego gruntu.

Towarzystwo Dzieciątka Jezus zajmuje się opieką nad niemowlętami i wobec braku krajowego lub miejskiego domu podrzutków wypełnia brak ten, o ile starczą siły prywatnego towarzystwa. W roku ubiegłym doszło towarzystwo wreszcie do pożądanego od dawna celu posiadania własnego domu. Wydział krajowy i miasto, uznając użyteczność Towarzystwa, wspierają je znacznemi subwencyami.

Towarzystwo Miłosierdzia utworzone było pierwotnie w r. 1881 w celu zapobieżenia żebractwu. Później założywszy dom pracy we

własnym gmachu, daje stały przytułek starcom i kalekom w liczbie około 110 osób, zatrudniając ich lekką pracą.

Towarzystwo Pracy kobiet utrzymuje szkołę szycia i schronisko robotnic, w którem za małą opłatą miesięcznie otrzymują robotnice mieszkanie, wspólną sypialnię i pracownię. Pożądanemby było, aby towarzystwo to rozwijało się i rozszerzało swój zakres działania i w ten sposób praktycznie rozwiązywało kwestyę kobiecą.

Pod energicznem kierownictwem ks. Sopucha T. J. znajdują się dwa młode towarzystwa: św. Zyty dla sług i św. Józefa pracownic konfekcyi damskiej. Towarzystwo św. Zyty sprowadziło się niedawno do własnej kamienicy i rozwija się nadzwyczaj pięknie, dzięki niezmordowanej pracy grona pań, należących wraz ze sługami do zarządu towarzystwa. W towarzystwie istnieje schronisko, w którem sługi pozostające bez miejsca, szyją ubrania, fartuszki i t. d., co następnie sprzedaje się w sklepie towarzystwa. Można tam także dostać materyi na suknie, a w ten sposób sklep zaopatruje sługi w towar tani a dobry. Dalej założono kasę chorych, bibliotekę, kasę oszczędności, kurs analfabetów.

W tym roku dopiero powstało Tow. św. Józefa pracownic konfekcyi damskiej. Pośredniczy ono bezpłatnie w szukaniu pracy, udziela porady prawnej, urządza odczyty, nauki kształcące i zawodowe, jak naukę kroju, pośredniczy w składaniu oszczędności. Towarzystwo ma już własny lokal i doznaje poparcia przeważnej ilości krawczyń we Lwowie. Dwa te jednak towarzystwa są raczej instytucyami społecznemi, jak dobroczynnemi.

Dawne bardzo towarzystwo ochronek chrześcijańskich, zostające pod przewodnictwem prezydenta miasta, Dra Małachowskiego, utrzymuje 4 ochronki, do których uczęsza około 300 dzieci. Jest zamiar założenia piątej ochronki w pobliżu kolei, ale na razie brak funduszów nie dozwolił urzeczywistnić tej myśli.

Od paru lat istnieje towarzystwo Związek rodzicielski, które stara się o zajęcie pożyteczne ubogiej dziatwy w godzinach pozaszkolnych, towarzystwo obiadów dla ubogiej dziatwy szkolnej, za które żąda się zapłaty po 2 halerze. Dalej istnieją tu rozmaite zakłady, św. Antoniego dla chłopców, Torosiewicza internat dla chłopców ormian, św. Kazimierza i św. Heleny dla dziewcząt, galicyjski zakład głuchoniemych dla stu uczniów i uczennic, zakład ciemnych, przytulisko św. Józefa dla dziewczynek, zakład braci tercyarzy i tercyarek dla bezdomnych, zakład św. Łazarza i dom ubogich, mieszczący około 270 starców i staruszek. Obecnie wybudowano tam, obok innych budynków, nowy

dom, powiększeniu jednak ilości ubogich stoi na przeszkodzie brak funduszów. Dla nieuleczalnych i wyzdrowieńców istnieje zakład św. Józefa, sióstr tercyarek Józefitek, który przed dwoma laty znowu rozszerzonym został przez dobudowanie nowego gmachu, a który pomieścić może pszeszło 100 łóżek. Podobny zakład Bilińskiego pozostaje w zarządzie miejskim.

Pobieżny ten obraz towarzystw dobroczynnych lwowskich, w którym nie pomieściłem towarzystw wielu, jak towarzystwo szpitalika św. Zofii dla dzieci, kolonie wakacyjne dla chłopców i dziewcząt, kolonia Rymanowska w Tuchli i inne, zakończę uwagą, że wielka ich część, bo 18, złączona jest w związku katolickich towarzystw i zakładów dobroczynnych, który reguluje i jednoczy usiłowania poszczególnych towarzystw. Że towarzystwa dobroczynne katolickie nie mogą zaradzić skutecznie nędzy w mieście, winna temu nieodpowiednia działalność dobroczynności publicznej, której reorganizacya została wprawdzie uchwaloną przez radę przed laty pięciu, ale nie została wprowadzoną w życie.

W Krakowie próbowano w roku przeszłym zawiązać także Związek katolickich zakładów dobroczynnych. P. hr. Andrzejowa Potocka doprowadziła do skutku nawet ukonstytuowanie się związku, ale od tego czasu nic nie słychać o jego działalności. A szkoda! wszak idea wspólnego działania, która się przyjęła we Lwowie, budzi się i w Krakowie, gdy starodawne, czwarty wiek życia liczące arcybractwo Miłosierdzia wybrało Komisyę czasową dla wypracowania projektu łączności wszystkich istniejących w Krakowie towarzystw i instytucyi dobroczynnych. Szkoda, że sprawozdanie nie mówi o działalności tej komisyi — po zawiązaniu Związku towarzystw dobroczynnych.

Podczas gdy we Lwowie spotykamy towarzystwa przeważnie młode, w Krakowie widzimy starożytne i zasobne w pieniądze instytucye, a pierwsze miejsce należy się z nich arcybractwu Miłosierdzia i Banku pobożnego, którego majątek żelazny wynosił w roku ubiegłym 1 553 405 kor., a przeciętny wydatek na cele dobroczynne 40 500 k. W roku ubiegłym nabyło arcybractwo kamienicę, położoną obok realności dawnej Arcybractwa. W rozszerzonej w ten sposób realności mieszczą się obok banku lokal Czytelni katolickiej i lokale na posiedzenia tow. św. Wincentego i innych. Fundacye ciągle zwiększają majątek arcybractwa, w roku 1902 objęło ono w posiadanie realność wartości 80 000 k. fundacyi Rzewuskiego na kształcenie rzemieślników za granicą. Arcybractwo daje ubogim stałe wsparcie miesięczne, jedno-

razowe, zasiłki dla instytucyi dobroczynnych, wspiera rzemieślników, wyzdrowieńców, ciemnych, terminatorów, daje posagi, utrzymuje podrzutków, daje nagrody dobrym sługom. Zaiste zakres działania ogromny, wystarczyćby mógł dla związku towarzystw.

Najstarszem bez wątpienia towarzystwem jest krakowskie towarzystwo dobroczynności, założone w r. 1244, które udziela utrzymania starcom, a sierotom także wychowania i nauki. Od 1 czerwca 1901 objęły opiekę nad dziećmi, umieszczonemi w Zakładzie, infirmeryę i zarząd kuchni, Siostry miłosierdzia, czego skutki błogie widoczne były zaraz w pierwszym roku. Oprócz tego zaprowadzono żywienie starców we własnym zarządzie, co okazało się znacznie odpowiedniejszem pod wielu względami. Wydatek całkowity wynosił w r. 1902 54 021 kor.

Bardzo ważnem i pożytecznem stowarzyszeniem jest Komitet ochron dla małych dzieci. Do czterech ochron uczęszczało 923 dzieci, a więc o 129 dzieci więcej, niż w roku poprzednim, obiadów wydano 79 809, czyli o 4760 więcej. Szczególną zasługą zakonnic kierowniczek jest ta, że koszta żywienia dzieci wynoszą przeciętnie $6^2/_3$ hal. od dziecka dziennie. W tym roku otwiera komitet piątą ochronę pomimo, że nie posiada jeszcze dostatecznych funduszów, ufny w pomoc Bożą i miłosierdzie dobrych ludzi.

O innych towarzystwach krakowskich wspomnę tylko w krótkości. Towarzystwo św. Wincentego ma tu swą radę wyższą na całą Galicyę, jakoteż cztery Konferencye miejscowe. Arcybractwo Królowej Korony Polskiej jest dość czynnem i wspiera przytulisko dla sług pod opieką Służebnic Serca Jezusowego, dało zasiłek tow. św. Zyty, urządza nabożeństwa niedzielne dla terminatorów, najuboższym sprawia odzież. Oddziału takiego jak we Lwowie, pod wezwaniem św. Salomei, tu niema, może jeszcze zarząd pomyśli o powołaniu takiego towarzystwa do życia, które we Lwowie rekrutuje się głównie z warstw średnich. Istnieje tu towarzystwo opieki nad uczniami szkół ludowych, dom dobroczynności św. Wincentego a Paulo, zakłady Helcla, sierót, brata Alberta i inne, które na razie pomijam, gdyż brak ewidencyi towarzystw dobroczynnych uniemożliwia przedstawienie zupełnego obrazu.

Na prowincyi istnieje także wiele towarzystw dobroczynnych, a przedewszystkiem towarzystwa św. Wincentego. Obok nich jednak w ostatnich czasach powstało wiele innych. Pozwolę sobie przytoczyć tu tylko te nieliczne towarzystwa, co do których zebrać zdołałem informacye.

Nadesłano do Redakcyi „Przeglądu Powszechnego"

następujące książki:

La France au dehors. Les missions catholiques françaises au XIX siècle. *Père I. B. Piolet S. J.*:

IV. **Océanie — Madagascar.** Librairie Armand Colin. Paris 1902. Fol. str. 511.

V. **Missions d'Afrique.** Librairie Armand Colin. Paris 1902. Fol. str. 511.

VI. **Missions d'Amérique.** Librairie Armand Colin. Paris 1903. Fol. str. 520.

Wolken und Sonnenschein. Novellen u. Erzählungen v. *J. Spillmann S. J.* 2 Bänder mit Bil. (Str. 335, 336, 8-ka). Freiburg im Br. 1903 Herder.

Die Wunderblume von Woxindon v. *J. Spillmann S. J.* 2 Bd, (Str. 304, 342, 8-ka). Freib. im Br. 1903. Herder.

Ein Opfer des Beichtgeheimnisses v. *J. Spillmann S. J.* (Str. 319, 8-ka). Freib. im Br. Herder.

Maron, der Christenknabe aus dem Libanon v. *A. B.* Mit vier Bildern. (Str. 69, 8-ka). Freib. im Br. Herder.

Die koreanischen Brüder v. *J. Spillmann S. J.* Mit vier Bildern. (Str. 101, 8-ka). Freib. im Br. Herder.

Die Sklaven des Sultans v. *J. Spillmann S. J.* (Str. 109, 8-ka). Mit vier Bildern. Freib. im Br. Herder.

Sidya, der treue Sohn von *Alfons Geyser S. J.* Mit vier Bildern. (Str. 93, 8-ka). Freib. im Br. Herder.

Der Gefangene des Korsaren v. *F. S.* Mit vier B. (Str. 90, 8-ka). Freib. im Br. Herder.

Selig die Barmherzigen! v. *J. Spillmann S. J.* Mit vier B. (Str. 102, 8-ka). Freib. im Br. Herder.

Die Schiffbrüchigen v. *J. Spillmann S. J.* Mit vier B. (Str. 99, 8-ka). Freib. im Br. Herder.

Die beiden Schiffsjungen v. *J. Spillmann S. J.* Mit vier Bildern. (Str. 102, 8-ka). Freib. im Br. Herder.

Der Zug nach Nicaragua v. *J. Spillmann S. J.* Mit vier Bildern. (Str. 112, 8-ka). Freib. im Br. Herder.

Arumugam, der standhafte indische Prinz von *A. v. B.* Mit vier Bildern. (Str. 77, 8-ka). Freib. im Br. Herder.

Der Schwur des Huronenhäuptlings. Eine Erzählung v. *Anton Huonder S. J.* Mit vier B. (Str. 101, 8-ka). Freib. im Br. Herder.

Eine rote u. eine weisse Rose v. *Anton Huonder S. J.* Mit vier Bildern. (Str. 100, 8-ka). Freib. im Br. Herder.

Liebet euer Feinde. Eine Erzählung v. *J. Spillmann S. J.* Mit vier B. (Str. 79, 8-ka). Freiburg im Br. Herder.

Drei Indianergeschichten erzählt v. *Anton Huonder S. J.* Mit vier Bildern. (Str. 80, 8-ka). Freib. im Br. Herder.

Der Neffe der Königin. Historische Erzählung v. *J. Spillmann S. J.* Mit vier Bildern. (Str. 101, 8-ka). Freiburg im Br. Herder.

Nadesłano do Redakcyi następujące książki:

Die Marienkinder. Eine Erzählung v. *J. Spillmann S. J.* Mit vier Bildern. (Str. 86, 8-ka). Freib. im Br. Herder.

Das Fronleichnamsfest der Chiquiten von *J. Spillmann S. J.* Mit vier Bildern. (Str. 96, 8-ka). Freib. im Br. Herder.

Kämpfe und Kronen. Eine Erzählung v. *J. Spillmann S. I.* Mit vier B. (Str. 106, 8-ka). Freib. im Br. Herder.

Christus- und Apostelbilder von *J. E. Weis-Liebersdorf.* (Str. 124, 4-ka większa). Freib. im Br. Herder.

Grundriss der Patrologie von *Gehrard Rauschen.* (Str. 231, 8-ka). Freiburg im Br. Herder.

Katholische Moraltheologie v. *Joh. Ev. Pruner.* 2 Bänd. (Str. 596, 562, 4-ka). Freib. im. Br. Herder.

Geschichte des deutschen Volkes v. *Emil Michael S. J.* (Str. 473, 4-ka). Freib. im B. Herder.

Johann Keppler der Gesetzgeber der neueren Astronomie. Ein Lebensbild v. *Adolf Müller S. J.* (Str. 186, 4-ka). Freib. im Br. Herder.

Ein arabischer Berichterstatter aus X Jahrhundert. Von *Dr. Georg Jacob.* (Str. 34, 4-ka mn.). Berlin. Mayer & Müller. 1901.

Türkische Volkslitteratur v. *Dr. Georg Jacob.* (Str. 50, 4-ka). Berlin. Mayer & Müller. 1901.

Das Schattentheater v. *Dr. Georg Jacob.* (Str. 22, 4-ka więk.). Berlin. Mayer & Müller. 1891.

Hohelied auf Grund arabischer u. anderer Parallelen vom neuen untersucht v. *Dr. Georg Jacob.* (Str. 45, 4-ka). Berlin. Mayer & Müller. 1902.

Östliche Kulturelemente im Abendland v. *Dr. Georg Jacob.* (Str. 24, 4-ka podłużna). Berlin. Mayer & Müller, 1902.

Kajyk ojunu (türkischer Text). Von *Dr. Georg Jacob.* (Str. 20, 4-ka). Berlin. Mayer & Müller. 1899.

Die Akserai-Schule. Fünf Karagöz-Stücke v. *Dr. Georg Jacob.* (Str. 29, 4-ka). Berlin. Mayer & Müller. 1899.

Aus den Vorträgen eines türkischen Meddâh v. *Georg Jacob.* (Str. 8, 8-ka). Berlin. Mayer & Müller. 1900.

Praeparationen zu den Kleinen Propheten v. *Dr. Johannes Bachmann.* (Str. 36, 4-ka). Berlin. Mayer & Müller. 1900.

Türkische Litteraturgeschichte in Einzeldarstellungen v. *Dr. Georg Jacob.* Heft I. (Str. 104, 4-ka). Berlin. Mayer & Müller. 1900.

La lutte pour l'éxistence et l'évolution des sociétés par *T. L.* de Lanessan. Paris. Felix Alcan, Editeur, T. I. (Str. 277, 4-ka).

Zette (histoire d'une pettite fille) par *Paul* et *Victor Margueritte.* Paris. Librairie Plon-Nourrit. (Str. 294, 8-ka).

Art et foi. Poésies. Par *A. Brou S. J.* Paris. Retaux. (8-ka, str. 214).

A travers les âges. Récits et légendes. Par *V. Delaporte S. J.* Troisième série, cinquième édition. Paris. (8-ka, str. 320).

Le prôue catéchistique, d'après le concile de Trente, sa méthode et ses sources de développement. Par *l'abbé J. Fontaine.* Troisième édition. Paris. 1903. (8-ka, str. 232).

W Przemyślu istnieje schronisko dla sług, co do którego wiele zasług położyła ks. Lubomirska, tania kuchnia ludowa katolicka, towarzystwo św. Wincentego żeńskie, opiekujące się wdowami, towarzystwo ochronek chrześcijańskich. Panny ekonomki złączone są z towarzystwem św. Wincentego w ten sposób, że dla ubogich, przez towarzystwo odwiedzanych, szyją odzienie i bieliznę. Dalej istnieje towarzystwo pracy kobiet i zakład sierót fundacyi Ziemiańskiego, zawiadowany przez siostry Felicyanki.

W Samborze istnieje Towarzystwo św. Wincentego męskie pod przewodnictwem radcy sądowego Zennego, który je tu założył i rozwija tu energiczną działalność na polu dobroczynnem. Dawniejsze jest Towarzystwo pań św. Wincentego, opiekujące się także ubogimi. Towarzystwo ochronek założyło przed 2 laty ochronkę, w której jest stale 7 sierót, dochodzi zaś około 50 dzieci. Ochronka ta znajduje się we własnym domu pod zarządem Sióstr Rodziny Maryi. Niedawno założono także ochronkę ruską. Gdy pierwej przypuszczano do ochronki dzieci bez różnicy obrządku, to po założeniu ochronki ruskiej w polskiej znajdują się tylko dzieci polskie.

Towarzystwo bursy gimnazyalnej ma swój dom i utrzymuje około 40 uczniów, którzy opłacają od 18 do 30 k. Dla uczniów włościańskich szkół ludowych istnieją dwie bursy, jedna polska druga ruska. Przeważnie nie pobiera się żadnej płacy. Bursa mieści około 30 uczczniów. Internat dla uczniów seminaryum ma też własny dom. Towarzystwo przyjaciół uczącej się młodzieży imienia Jachowicza dostarcza przyborów szkolnych a także daje obiady bezpłatne.

Kuchnia ludowa jest żydowska, korzystają z niej jednak także chrześcijanie.

Co do innych miast prowincyonalnych brak mi na razie informacyi. Z tego niedokładnego jednak obrazu widzieć można jasno, że katolickie towarzystwa dobroczynne są w naszym kraju dość liczne, że jest spora ilość katolików, którzy pamiętają na słowa Zbawiciela: „Coście uczynili jednemu z tych najmniejszych, mnieście uczynili“. Zorganizowanie tych towarzystw w jeden związek, któryby skupiał ich usiłowania i kierował niemi, powinny być obecnie naszem hasłem.

Dr. Maksymilian Thullie.

Druk ukończono 31 lipca 1903 r.

O RELIGIJNYCH IDEAŁACH DOBY OBECNEJ.

W dniu 10 listopada 1793 roku byli mieszkańcy Paryża świadkami niezwykłego widowiska. W onym dniu odbyło się urzędowe ogłoszenie nowej państwowej religii we Francyi a władze święciły pierwsze święto. Przedstawiciele rzeczypospolitej udali się w uroczystym pochodzie do kościoła Notre-Dame, przekształconego na główną świątynię nowej religii, następnie wyruszyli do konwentu, gdzie przybywszy, obywatel Chaumette w następujących przemówił słowach: „Prawodawcy! Nareszcie uległ rozumowi fanatyzm!... jego zezowaty wzrok nie mógł już dłużej znosić blasku światła. Oto dzisiaj zgromadziły się niezmierne tłumy ludu pod gotyckiemi sklepieniami i po raz pierwszy obiło się o nie potężne echo prawdy. Tam oddawali się Francuzi jedynemu prawdziwemu nabożeństwu, t. j. czcili wolność i rozum, tam wznosili modły za pomyślność wojsk rzeczypospolitej, tam wyrzekli się nareszcie dawnych martwych bałwanów dla bóstwa rozumu dla tego oto żywego arcydzieła przyrody“— wymawiając te ostatnie słowa wskazał mowca na nowe bóstwo. Była niem piękna małżonka drukarza Momoro. Nowe bóstwo zstępuje z tronu, zbliża się do prezydenta, on zaś wśród burzliwych oklasków zgromadzonych w bratnie ujmuje je objęcia. Tak odbyło się na schyłku XVIII wieku ogłoszenie nowej religii rozumu, mającej zastąpić starą, przeżytą religię miłości.

Dziwnym zbiegiem okoliczności dokładnie w sto lat później, bo w jesieni 1893 roku zebrał się podczas światowej wy-

stawy w Chicago pierwszy powszechny kongres religii. Wzięło w niem udział przeszło 4000 uczestników; prawie wszystkie na kuli ziemskiej istniejące religie wysłały nań pełnomocników. Gdyby jednak obywatel Chaumette był mógł jakim cudem powstać z grobu, nadarmo byłby wzrokiem szukał wśród tego olbrzymiego zebrania przedstawicieli owej religii rozumu, której zwycięstwo przed stu laty w tak szumnych wystawiał frazesach. Nie było ich tam wcale. Natomiast zwolennicy tego — jak go obywatel Chaumette nazwał — fanatyzmu o zezowatym wzroku odgrywali tam rolę, której widok byłby czciciela „żywego arcydzieła przyrody“ niemałem przejął przerażeniem. Wspaniała to zaiste musiała być i do głębi przejmująca chwila, gdy pod przewodnictwem kardynała Gibbonsa na pierwszem zaraz posiedzeniu kongresu podnieśli się wszyscy jego uczestnicy, aby w imieniu tysiąca dwustu milionów dusz ludzkich, w jednym zgodnym chórze odmówić Modlitwę Pańską, tę modlitwę, której Chrystus uczniów swoich nauczył. Tak stwierdzonem zostało, iż pomimo wszelkich dzielących jeszcze obecnie wyznawców rozmaitych religii różnic, przecież oni wszyscy uznają i wierzą w tego samego Ojca, który jest w niebiosach.

Mamy przed sobą dwa wielkie tomy wyszłe w Chicago [1] a obejmujące bardzo dokładne sprawozdania ze wszystkich obrad, które toczyły się w czasie trwania owego kongresu. Tomy te pozostaną na zawsze jednym z najcenniejszych dokumentów tego zwrotu ku wierze i religii, który na ostatniej części dziewiętnastego wieku tak wybitne wycisnął piętno. Dowiadujemy się więc przedewszystkiem z nich, co było hasłem w imię którego odbył się ten pierwszy powszechno-religijny kongres światowy. Oto hasłem tym było złączenie wszystkich religij do wspólnej walki z niereligijnością. Wszystkie rozprawy i spory dogmatyczne były z góry z obrad tak kongresu, jak jego sekcyi wykluczone, zależało więc tylko wszystkim na wzajemnem zbliżeniu się i zapoznaniu, na usuwaniu przesądów, dalej na wy-

[1] *The world's Porlament of Religions.* Edited by Henry Barrows. Chicago 1893. 2 tomy.

jaśnianiu zasadniczych różnic między najgłówniejszemi religiami świata, wreszcie na wykazywaniu wszędzie wspólnych podstaw, t. j. wiary w Boga i w nieśmiertelność duszy. Kongres pomimo wszystkiego odniósł skutek niemały, właściwe zaś jego znaczenie przyszłość dopiero należycie oceni, po raz pierwszy bowiem dokonało się na nim zbliżenie pod względem religijnym wszystkich ludów ziemi. Rola zaś odegrana na owym kongresie przez amerykańskich biskupów i książąt Kościoła jak i katolików wogóle dowodzi najlepiej, w jakim to kierunku postępuje i rozwija się duch czasu. Tego już dzisiaj nikt zaprzeczyć nie zdoła, że odrodzenie się ideałów, pragnień i potrzeb religijnych jest obecnie jedną z najbardziej znamiennych cech wielkiego, cały świat ogarniającego umysłowego ruchu. Na stwierdzenie wyrażonego tu zapatrywania możemy przytoczyć poważny szereg innych jeszcze faktów. Do takich należy w pierwszej linii rozwój różnych kierunków i systemów filozoficznych od połowy XIX stulecia.

W początkach zeszłego wieku mogło się niejednemu wydawać, że filozofia zerwała już raz na zawsze wszelkie związki z religią; przyszedł czas, iż odrzucono nawet ową błahą parodyę religii, którą wymyślili francuscy jakobini. Po roku zaś 1830 rozpoczęła się zawzięta walka przeciwko religijności wogóle. Comte ogłasza światu, że ludzkość wchodzi już w ostatnią pozytywną fazę rozwoju, w której to fazie religia stanie się zbyteczną. Feuerbach w miejsce Boga stawia człowieka; Strauss usiłuje rozłożyć i rozwiać historyczne chrześcijaństwa podstawy; Stirner głosi, że Bogiem powinien stać się każdy sam dla siebie; materyalizm wreszcie niemiecki szuka w naukach przyrodniczych teoretycznej podstawy dla wszystkich tego rodzaju stanowisk, podczas gdy z drugiej znowu strony wielki rozkwit ekonomiczny i potężny rozwój tak materyalnych interesów, jak i dobrobytu wogóle skłania umysły do zapomnienia o wszystkiem, co tylko doczesnych nie dotyczyło spraw. Tymczasem w drugiej połowie wieku dokonał się zwrot prawie niespodziewany. Widzimy jak każdy z wielkich systemów i kierunków filozofii zdąża do uzupełnienia swojego poglądu na świat rodza-

jem jakiejś nowej religii. Pierwszy przykład daje sam Comte, który na schyłku życia ogłasza nową pozytywną religię; w jego ślady wstępują inni. Stuart Mill, najwierniejszy zwolennik doktryny liberalnej i pozytywnej, wyznaje przy końcu życia, iż ludzkość bez religii obejść się nie może. Hartmann uzupełnia swoją filozofię nieświadomości nową religią „ducha", w której upatruje syntezę chrześcijaństwa i buddyzmu, nawet Herbert Spencer nie może zapobiedz, aby jego agnostycyzmu nie wyzyskiwano do wytworzenia jakiejś nowej religii. Słusznie też można powiedzieć, że u najwybitniejszych ze współczesnych myślicieli zajmują zagadnienia religijne w ich filozoficznych rozmyślaniach stanowisko pierwszorzędne. W dziełach Nietzschego spotykamy się ciągle z jednej strony z walką przeciw chrześcijańskim religijnym ideałom, z drugiej z tytanicznymi wysiłkami, aby w miejsce starej postawić jakąś religię nową. Eucken nazywa religię najistotniejszą treścią wszelkiego duchowego życia. W dziele wydanem w r. 1901 p. t. „Prawda w religii" tak pisze: „Cóż nam pozostaje: albo zanik wszelkich ideałów, zupełne zwycięstwo nicości, albo dalsze wewnętrzne kształtowanie i prawdziwe wywyższenie człowieka. To wewnętrzne kształtowanie — oto właśnie religia". A na innem znowu miejscu dodaje: „Religia odsłania człowiekowi w czasie byt wieczny, w świecie nadświat, okazuje mu objawienie Boskiej woli, ba nawet Boskiej istoty". Nawet monista Paulsen podnosi wysoko znaczenie religijnych uczuć i domaga się pogodzenia w naszych czasach religijnego i naukowego poglądu na świat. Dla uzupełnienia tego pobieżnego obrazu niechaj mi wolno będzie zwrócić jeszcze uwagę na tak zwanych nowokantystów, którzy znaczeniem religii dla umysłów ludzkich zajmują się o wiele usilniej aniżeliby to z ich na poły sceptycznego stanowiska wynikało. Wystarczy tu wskazać tylko na takiego np. Natorpa, który sam nazywa się obrońcą religii a istotę jej upatruje w przeświadczeniu, że istnieje potęga dobrego nad cały wywyższona wszechświat i że przez nią należy spodziewać się zwycięstwa wszelkiego w świecie dobra. Na zakończenie wreszcie niniejszego ustępu wspomnę jeszcze o Wilhelmie James'ie najznakomitszym ze współczesnych

amerykańskich myślicieli, który w wydanych właśnie niedawno wykładach o religii wskazuje na uczucie, jako głębsze źródło religijnego życia, za powszechną zaś podstawę wszelkiego religijnego doświadczenia uznaje fakt, że człowiek wpleciony jest w dwa zakresy myśli: jeden płytki, drugi głębszy; do przebywania zaś w każdym z nich może się przyzwyczaić i przyuczyć.

W wielkich ogniskach światowej kultury, w takich jak Paryż, Londyn, Nowy Jork a obecnie także i Berlin roi się od rozmaitego rodzaju sekt religijnych: spirytyści i swedenborgianie, wyznawcy różnych odcieni buddyzmu, zwolennicy teozofii, czciciele słońca, szatana, lucyfera, bogini Isis, wreszcie gnostycy — z tem wszystkiem można spotkać się w dzisiejszych czasach. Tak zaiste musiało wyglądać gdy się miało pod koniec starożytnemu światu a zanim jeszcze krzyż zajaśniał na Kapitolu, „gdy bogi i ludzie szaleli“, gdy Rzym przepełniony był wyznawcami wszelkich na świecie wówczas istniejących religii. Obecnie widzimy, jak w Ameryce coraz to nowe powstają religijne gminy i rosną, jak grzyby po deszczu. Umysłowość też amerykańska przedstawia w tym właśnie kierunku najbardziej uwagi godne zjawiska, nigdzie bowiem wszelka filozofia nie przeradza się tak szybko w religię, jak tam. Amerykanie, którzy już dawniej idealizm niemiecki przeobrazili w religię, dokonywają tego samego ciągle aż do dzisiaj ze wszystkiemi ważniejszemi teoryami zarówno filozoficznemi jak naukowemi. Już w r. 1875 przemawiał znany amerykański pisarz Frothingham na zebraniu wolnego religijnego stowarzyszenia w następujących słowach: „Vogt i Büchner wyznają materyalizm a w rzeczywistości dowodzą istnienia duchowości, Huxley mówi nam o protoplazmie a zdumiewa nas wykazaniem wszędzie obecności myśli. Moleschott nam mówi, że światło jest źródłem życia i tak zmusza nas do schylenia czoła przed Wiekuistą światłością“. Uczucie religijne — odzywa się na temże zgromadzeniu p. Gannett — pogłębia się w miarę postępów nauki, dzięki jej bowiem wzrasta znaczenie tego misteryum, które tkwi na dnie religii. Dziękujcie nauce nie tylko za rzeczy poznane ale także i za niepoznane, dziękujcie jej za te wszystkie widoki czegoś dalszego, zazmy-

słowego, które ona nam na każdym odsłania kroku“ [1]. Tak przemawiali Amerykanie już temu lat blizko trzydzieści.

Najdonioślejszem jednakże z pomiędzy wszystkich tego rodzaju objawów jest niesłychane spotężnienie tak Kościoła katolickiego jak i katolickiego ducha wogóle, które szybko i nagle dokonało się począwszy od siódmego dziesiątka zeszłego stulecia. Kto rozważy, jaki był stan katolickiego Kościoła na początku XIX wieku, kto przypomni sobie, jak szybko wzrastały w siłę wszystkie wrogie mu potęgi, podczas gdy siła wewnętrzna i odporność katolicyzmu, zdawało się, że słabły, tego musi widok dzisiejszego odrodzenia w niemałe wprowadzić zdziwienie.

Gdybyśmy zechcieli szukać jeszcze dalszych dowodów na uzasadnienie twierdzenia o rozbudzeniu się w naszych czasach religijnych potrzeb i pragnień, to moglibyśmy jako na dowód z przeciwnej dostarczany strony wskazać na dzisiejszy tak zwany ruch etyczny. Historya jego jest też bardzo pouczającą. Rozwinął się on pierwotnie w łonie wolnego religijnego stowarzyszenia, o którem już poprzednio (str. 317) była mowa. Otóż podobnie jak członkowie tego towarzystwa oddzielili się od chrześcijaństwa na objawieniu opartego i pozostali tylko przy racyonalizmie, tak od nich znowu oderwał się Feliks Adler, lektor uniwersytetu Cornella w Itace i założył towarzystwo etycznej kultury. Zwolennicy wolnego religijnego stowarzyszenia uznawali religię za jedyną naturalną podstawę moralności. To właśnie nie spodobało się Adlerowi, ogłosił więc, że moralność jest objawem zupełnie od religii odrębnym i może rozwinąć się bez wszelkiego ze strony religii udziału. Towarzystwo etyczne zawiązało się w Nowym Jorku w r. 1875, a więc w tym samym roku, w którym Frothingham i Gonett wygłaszali owe mowy o koniecznej potrzebie religijnej wiary wobec nauki. Czegóż to dowodzi? Oczywiście dowodzi zróżniczkowania się dążności. Im wyraźniej zaczął objawiać się w Ameryce zwrot ku religijnym potrzebom, z tem większym rozgłosem obudziła się reakcya prze-

---

[1] *Proceedings at the eight Annual Meeting of the free Religions Assosation.* Boston 1875. Str. 20.

sycona jeszcze duchem z połowy XIX wieku. Gdy zaś zbiorowa fala religijnych pragnień zaczęła wzrastać także w Europie, wówczas i tu przeniósł się ów ruch etyczny i zszeregował wszystkich obojętnie lub wrogo wobec religijnych potrzeb usposobionych. Czemżeż jest więc cały ten ruch z tak wielkiem szerzony rozgłosem i tak szumną posługujący się wszędzie reklamą? Oto jest on poprostu rozpaczliwym wysiłkiem tych wszystkich umysłów, które w duchu dążeń z połowy zeszłego wieku pozostały na stanowisku zupełnej wobec religijnych zagadnień obojętności. Pragną oni ratować etykę i etyczną kulturę opartą wyłącznie na zasadach rozumu i społecznej pożyteczności. Widząc, że z jednej strony brak etyki musi doprowadzić nasze społeczeństwo do stanu barbarzyństwa, podczas gdy z drugiej obawa przed zdziczeniem podnieca u wielu wzrost religijnych uczuć, radziby zwolennicy etycznego ruchu podjąć na wielką skalę tresowanie jednostek ludzkich i wkładanie ich do moralnego życia niezależnie od wszelkiej religii, nie pomni, że jak kwiat oderwany od korzenia i łodygi a zasadzony w piasku zwiędnie i uschnie, tak zmarnieć musi moralność oderwana od pnia, z którego wyrosła, to jest od religii. Słuszność takiego zapatrywania stwierdza nawet obecny stan etycznego ruchu, w którego łonie już wyraźnie znowu dwa zarysowały się odcienia: jeden szukający oparcia dla moralności w idei społecznej pożyteczności, drugi zmierzający jednak do wytworzenia jakiejś nowej na umiejętnościach opartej religii.

Skoro więc nie ulega wątpliwości, iż zbiorowa fala religijnych uczuć znajduje się obecnie w stanie wzrostu, nasuwa się nam przeto zaraz pytanie, jakie mogą być takiego zjawiska przyczyny. Łatwo pojąć, iż takie wielkie zbiorowe społeczne zjawisko musi być wynikiem współdziałania nie jednego, ale wielu przyczyn. A więc gdzie i w czem ich szukać?

Zwróćmy się najpierwej do ruchu naukowego i filozoficznego z ostatnich lat. Kto go zna zgodzi się ze mną, iż najwybitniejszą jego cechą jest stanowczy zwrot do krytycyzmu w najszerszem tego słowa znaczeniu. Jak filozofia w początkach XIX stulecia była naiwnie dogmatyczną, mniemała bo-

wiem, iż zdoła dotrzeć do absolutnej prawdy, oparłszy się na bezpośrednich w czystem myśleniu tkwiących założeniach, tak niemniej dogmatycznemi były nauki przyrodnicze po r. 1830. Każde nowe odkrycie witano tu z okrzykiem tryumfu, jakby nowy dowód druzgoczący w niwecz cały dawny pogląd na świat z Bogiem i z duszą na czele; i znowu spodziewano się, iż prawdę absolutną odsłoni nam lada chwila mikroskop lub nóż anatoma. Stało się inaczej, coraz dalej posuwający się postęp w badaniach odsłaniał coraz dalszą tylko głębię i coraz większą w zjawiskach przyrody tajemniczość. Teorye w pierwszej chwili z wielkim witane zapałem, przy dokładniejszych badaniach zaczęły okazywać się ciasnemi, upadały więc własną rozsadzane treścią, lub przekształcały się do niepoznania. Nowe, wprost zdumiewające odkrycia zaczęły okazywać nieznane i przez nikogo nie przeczuwane widoki. Powoli ogarniał badania naukowe jakiś święty dreszcz przerażenia i podziwu. Hasłem stała się powściągliwość w wyprowadzaniu ogólnych wniosków i potrzeba ciągłego krytycznego oryentowania się i czuwania. Ale duch krytyczny ogarnął także i filozofię, dzięki badaniom w zakresie fizyologii zmysłów odsłoniła nam się nieco dokładniej natura naszego zmysłowego poznania i doświadczenia; materyalizm i pozytywizm stracił grunt, wzrok ducha zaczął znowu przywykać do patrzenia w metafizyczną głębię całego wszechrzeczy porządku. Oczywiście, że to wszystko musiało wyjść na korzyść religijnych uczuć. Im krytyczniej umysł ludzki patrzy w siebie i w swoje otoczenie, tem w wyższym stopniu musi budzić się uczucie pokory z jednej, a uczucie związku z czemś nieskończenie od zmysłowych granic doświadczenia rozleglejszem z drugiej strony; że taki nastrój pomaga wzbieraniu religijnego uczucia, to przyzna każdy dusz ludzkich znawca.

Drugą przyczyną w tym samym kierunku podniecającą jest dalej wzrost historycznego sposobu patrzenia na wszystkie fakty i zjawiska tak przyrodnicze jak duchowe i społeczne. Wszystko, co jest, przedstawia się dzisiejszej nauce jako wynik przeszłości i rozwoju. Życie umysłowe i społeczne zyskało, dzięki temu, perspektywę dawniejszym wiekom nieznaną. Historyczne

też badania podjęły na nowo zagadnienia przez racyonalizm z początków XIX w. już przesądzone: „Mniemał Strauss przed laty sześćdziesięciu, iż zdołał historyczną wartość nawet pierwszych trzech ewangelii rozłożyć. Otóż powiodło się historyczno-krytycznym pracom dwóch pokoleń tę wartość owym ewangeliom w szerokim zakresie napowrót przywrócić". Tak wyraża się dzisiaj Adolf Harnack, największy ze współczesnych racyonalistycznych znawców dziejów chrześcijaństwa, a więc świadek zaiste nie podejrzany. Historyczne badania odsłaniają nam też coraz dokładniej wielką i bardzo dawną przeszłość kultury ludzkiej, gdziekolwiek zaś badacz sięgnie, wszędzie spotyka się z religią i z religijnem uczuciem jako najważniejszym czynnikiem wszelkiego umysłowego postępu. Im dalej posuwamy w rozpoznawaniu pierwotnych stanów kultury, tem dokładniej przekonywamy się, iż religia to nie jakiś późny sztuczny wytwór, lecz że to coś najpierwotniej w duszę ludzką wszczepionego.

Do takich to względów teoretycznych dołącza się cały szereg innych, z praktycznego dzisiaj życia czerpanych.

Gdy po napoleońskich wojnach rozpoczął się w Europie wielki ekonomiczny rozkwit, wszystko rzuciło się do gromadzenia jak największych majątkowych zasobów. Bogaćcie się! zawołał Ludwik Filip do Francuzów i świat poszedł za tem hasłem, poszedł z prawdziwie gorączkowym zapałem, zapominając o wszystkiem, co nie było interesem. Ale jakiż okazał się z tego skutek? Wywiązały się srogie walki społeczne, interesy stanęły przeciw interesom, warstwy przeciw warstwom, groźne organizacye jedne przeciw drugim. Zaczęła mnożyć się liczba jednostek stratowanych i zgnębionych w szalonym pościgu za bogactwami i pieniądzem, na wierzch wydobywało się tylko bardzo niewielu, ci zaś upojeni powodzeniem, wołali: Biada słabym i zgnębionym, górą Ci, co się o własnych siłach wypchali, świat należy tylko do silnych i możnych. Otóż wielu z słabych, wielu w walkach o szczęście, dobrobyt i ekonomiczną przewagę zwyciężonych zaczęło w najcięższych chwilach, o ile w całkowitą nie popadli rozpacz, przypominać sobie o tym Ojcu w niebiosach, o którym matki niegdyś im mó-

wiły i do którego w dziecinnej prostocie drobne swoje składali rączęta. Tak zastępy ekonomicznie zwyciężonych i upadłych dostarczyły takich, którzy w religii znaleźli nowe trwałe dla swoich zawiedzionych dusz ukojenie. Ale nie tylko tacy skłaniają się w naszych oczach nieraz ku religii, nawet niejeden z możnych tego świata, o ile głębszy posiada umysł, musi z przerażeniem spoglądać na tę ekonomiczną walkę wszystkich przeciw wszystkim, która wszędzie obecnie się toczy. Gdzie i jakie z niej wyjście, pyta niejeden, jakaż siła mogłaby tu działać jako regulator? Może egoizm i ekonomiczny interes same tu pomogą? Ależ dzisiejszy stan to przecie ich dzieło. Może prawo coś pomoże? A czyż go nie było dotąd, wszak żyjemy w państwie prawnem, jak się ono pysznie nazywa, i czy pomogło? Może nauka i teorya przyda się na cokolwiek? Marna pociecha!— Kto w szalonej walce liczy się z teoryą? A więc coż może stać się regulatorem? Zaiste tylko jakieś bardzo potężne uczucie, któreby duszami od góry do dołu zawładnęło i przytłumiony głos ludzkich sumień wzmocnić zdołało, takie zaś tylko z religii i z silnych religijnych przekonań wytrysnąć może. Tylko religijne uczucie może poskromić bogacza w jego szalonych zapędach, ono tylko może wlać balsam ukojenia i pociechy w rozgoryczone dusze zawiedzionych. Takie przeświadczenia zyskują w coraz wyższym stopniu w naszych czasach uznanie i stąd zwrot umysłów ku religii.

Stwierdziwszy taki stan rzeczy, nasuwa nam się zaraz pytanie, a więc co dalej, jakież mogą być takiego ruchu i zwrotu ku religii następstwa? Otóż jako odpowiedź na tak postawione pytanie nasuwają się dwie możliwości: Albo powstanie jakaś nowa religia, która zadowoli w najdoskonalszy sposób budzące się obecnie potrzeby i stanie się w przyszłości nową powszechną religią europejskiej kultury, albo też któraś już z istniejących religii zyska na tym zwrocie i stanie się powoli powszechną, całą ludzkość ogarniającą religią, a to razem z europejską kulturą, o której dzisiaj już na pewno możemy twierdzić, że jej przeznaczeniem, objąć całą kulę ziemską i całą pozyskać dla siebie ludzkość. Rozważmy obie powyższe możliwości.

Jeżeli zapytamy najpierwej, w jaki sposób i z czego mogłaby powstać i rozwinąć się zupełnie nowa religia, to przedewszystkiem musimy zaprzeczyć możliwości jakiegoś nowego objawienia. Tu zgodzi się z nami niewątpliwie tak racyonalista, nie uznający wogóle możliwości jakiegokolwiek objawienia, jakoteż i wierzący czy to chrześcijanin, czy muzułmanin lub buddysta. Liczba spodziewających się nowego objawienia jest chyba tak znikająco małą, że można ich śmiało własnemu pozostawić losowi. Nowa więc religia mogłaby chyba powstać tylko z łona dzisiejszej nauki i filozofii. Ale czy jest to możliwe? Istnieją wprawdzie i teraz jeszcze pozornie bardzo potężne filozoficzne religie, np. taki konfucyanizm lub buddyzm, ale aby taka religia mogła powstać, potrzeba skrystalizowania się jakiegoś filozoficznego kierunku lub stanowiska w dogmatyczną doktrynę.

Setki lat upłynęły, zanim taki konfucyanizm lub buddyzm mógł z filozofii przekształcić się w religię. Coś podobnego teraz z naszą nauką i filozofią jest niemożliwe. Nie dopuszczają tego metody badawcze, które ani na chwilę nie mogą popaść w zastój. Nie zbywa wprawdzie i nigdy nie będzie zbywało na próbach usiłujących różne kierunki filozofii przekształcać w religię, próby te jednakże nie mogą już nigdy doprowadzić do wytworzenia jakiejś nowej powszechnej religii. I to dlaczego? Dlatego odpowiemy, gdyż zastyganie naukowych i filozoficznych teoryi obecnie dokonać się już nie może. Zaledwo bowiem zdoła nasza dzisiejsza filozofia pokonać i przerobić narosły materyał wiedzy, zaledwo mogłoby się rozpocząć tworzenie nowych dogmatów, a już zaraz badania tak naukowe jak filozoficzne posuną się dalej i próba tworzenia religii spełznie na niczem. Do wytworzenia się filozoficznej religii potrzeba zawsze długiego czasu; tego nasz dzisiejszy postęp umysłowy nie dopuszcza.

O wytworzeniu się więc nowej filozoficznej religii, o której jednak wiele dzisiejszych krytycznie niedojrzałych marzy umysłów, nie może być nawet mowy. Za dowód mógłby posłużyć szereg współczesnych faktów, przytoczę tylko jeden. Gdy dzisiejszy socyalizm kształtował się w systemie Marxa w stałą doktrynę, wówczas Marx zużytkował dla swojej nowej dogma-

tyki zabarwiony hegelizmem materyalizm; on też stał się w socyalizmie rodzajem nowej religii. Tymczasem cóż się stało? Krytyka filozoficzna i postępy naukowych badań rozbiły i uniemożliwiły materyalistyczny pogląd na świat, tak, że obecnie socyalizm stracił to, co mogło było w przyszłości zastąpić mu religię, i jest w poszukiwaniu czegoś nowego. Gdyby który z czytelników zapragnął dowodów na potwierdzenie wyrażonego tu zapatrywania, to polecam mu przejrzenie ostatnich paru roczników wychodzącego w Berlinie miesięcznika p. t. *Socialistische Monatshefte.* Znajdzie tam mnogość artykułów poświęconych zagadnieniom religii ze względu na potrzeby socyalizmu. I tu zarysowują się dwa odcienia: jeden, który uznając współczesny religijny ferment, tudzież zupełne bankructwo materyalizmu, pragnie i szuka religii nowej; drugi zaś, który jednak upatruje możność połączenia zasad socyalizmu z jakąś pierwotną nauką Chrystusa. Np. pan Losinsky z Paryża powołując się na dzieło d-ra Carringa „O sumieniu" wygłosił w zeszłym roku z emfazą, że „w duchowem życiu nowożytnego społeczeństwa przygotowuje się wielki rewolucyjny przewrót. Oto socyalizm zrywa z materyalizmem i z ateizmem a staje się idealistycznym i religijnym" [1]. Do drugiego zaś znowu obozu należący taki np. Paweł Göhre tak pisze: „W najbliższym czasie nie tylko nie można spodziewać się końca religii, ale przeciwnie jest rzeczą prawdopodobną, że nowe socyalistyczne społeczeństwo doczeka się nowego rozkwitu religijnego życia we właściwej szacie pierwotnej nauki Jezusa" [2]. W jednej jednak sprawie godzi się Göhre ze swoimi przeciwnikami i on przewiduje koniec materyalizmu, zanik zaś jego w łonie socyalizmu z prawdziwem wita zadowoleniem [3]. Przytoczone tu szczegóły, zdaje mi się, wystarczą, aby wykazać niemożliwość wszelkiej w dzisiejszych czasach nowej religijnej krystalizacyi. Pozostaje więc tylko druga możliwość, t. j. że któraś z istniejących już religii zdoła najlepiej

[1] Zob. *Socialistische Monatshefte*, VI Jahrg. 1902, V Bel. str. 126.
[2] Zob. tamże str. 275.
[3] Tamże str. 269.

odpowiedzieć potrzebom, z europejską związanym kulturą i ona stanie się kiedyś ową najpowszechniejszą religią. Rozważmy więc teraz tę drugą możliwość.

Na kongresie historyczno-religijnym, który odbył się w Paryżu w r. 1900 zebrano możliwie najdokładniejsze statystyczne daty dotyczące najważniejszych i największych światowych religii. Do takich należy: 1) konfucyanizm liczący około 265 milionów wyznawców, 2) Hinduizm czyli Bramanizm z 217 milionami wyznawców, 3) Islam 214 milionów, 4) Buddyzm 103 miliony, wreszcie 5) Chrześcijaństwo obejmujące w trzech głównych rozgałęzieniach, t. j. katolicyzm, protestantyzm, prawosławie razem blisko 500 milionów wyznawców. O innych religiach, jako mniej licznych, nie wspominam, gdyż one nie mogą mieć widoków rozwinięcia się w religie światowe. W przyszłości najpowszechniejszą mogłaby stać się tylko jedna z pięciu powyżej wymienionych grup. Rozpatrzmy więc pokrótce ich widoki, kierując się jedynie i wyłącznie tylko rzeczowemi względami.

W jakim stanie znajduje się obecnie konfucyanizm liczący w Chinach przeszło 265 milionów wyznawców, to znanem jest teraz powszechnie. Krwawe wypadki, które w ostatnich rozgrywały się latach, wykazały dowodnie, że konfucyanizm z europejską kulturą do porozumienia nie dojdzie, że ta religia tak całkowicie w martwym formalizmie zastygła, iż trudno wyobrazić sobie, aby ten zgrzybiały wytwór rasy żółtej mogła przyswoić sobie taka kultura jak europejska, znajdująca się w pełnym rozwoju. Że to niemożliwe dowodzi najlepiej Japonia. Przyjęła ona niegdyś konfucyanizm razem z chińską kulturą. Obecnie gdy tam Europa zwyciężyła, dokonał się już prawie całkowity konfucyanizmu zanik; wszystkie inne religie mają w Japonii o wiele lepsze od niego widoki.

Zwróćmy się teraz do Bramanizmu, liczącego, jak wspomniałem, 217 milionów wyznawców.

Bramanizm to wytwór rasy białej, dzieło aryjskiego ducha, jego panteistyczno-idealny podkład dobrze odpowiada dzisiejszym różnym monistycznym kierunkom współczesnej filozofii, a więc może on ma przyszłość? Nie trudno się przekonać, że

i to niemożliwe. Bramanizm zastygł w kastowej organizacyi, gdzie tylko z europejską zetknie się kulturą, tam się rozkłada i wpływom europejskim ulega w sposób dla siebie wprost zabójczy. Do szerokiej wolności i równości zmierzające europejskie społeczeństwo nie może takiej religii dopuścić, bramanizm zaś bez wiary w wędrówkę duszy, w kastowy porządek jako w naturze wszechrzeczy ugruntowany, bez mistycznej kontemplacyi i ascetycznych ćwiczeń pomyśleć się nie da, do tego zaś europejska myśl i europejski czyn chyba nie zmierza.

Czy Islam mógłby stać się religią przyszłości? Na to pytanie niech odpowie widok, jaki on obecnie przedstawia; że to niemożliwe, nad tem nie potrzeba szeroko rozwodzić się.

A więc może Buddyzm? Wszak czytamy, że liczba jego wyznawców w Europie wzrasta, wielu też jest tego zdania, że to religia przyszłości. Ale kto się rzeczy bliżej przypatrzy, musi inne wyrobić sobie zdanie. Buddyzm nawet w Indyach nie okazał się żywotnym; po trzech wiekach swobodnego tam rozwoju i po czasach nawet chwilowego rozkwitu zbutwiał sam w sobie i przeniósł swoją propagandę w inne strony, przyjął się też tylko wśrod ludów stojących na najniższych stopniach cywilizacyi, pozostawiając im wszystkie ich zabobony wraz z najgrubszym fetyszyzmem. Niedawno, bo przed dwoma laty mówił na posiedzeniu towarzystwa antropologicznego w Monachium jeden z największych znawców Buddyzmu, prof. Scherman o jego obecnym stanie. Wykazał więc, że religia ta najzupełniej podupadła, przedstawił również usiłowania skierowane do reformy całkowicie zamarłego Buddyzmu, i skończył dowodzeniem, iż dla naszych stosunków religia ta żadnego nie może mieć znaczenia. Ideał zresztą buddyjskiej religii jest tak sprzeczny z całą europejską cywilizacyą, iż trudno wyobrazić sobie, jakby on wśród nas wyglądał. Buddyzm, to wyraz zupełnego do wszystkich naukowych i filozoficznych dociekań zniechęcenia; gdyby on się wśród nas przyjął, byłby to dowód, iż pasmo postępu się przerywa lub nawet kończy. Wielka siła i świeżość badawczych metod nie dopuszcza możności zpotężnienia Buddyzmu. I tu Japonia jest wybornem polem doświadczeń. Od czasu jak

się tam przyjęła europejska cywilizacya, Buddyzm żadnych dalszych nie robi postępów. Przekształca się też na japońskim gruncie w rodzaj nowej racyonalistycznej doktryny już wyraźnie po europejsku zabarwionej.

Pozostaje nam więc jeszcze tylko chrześcijaństwo w trzech głównych rozgałęzieniach.

Pierwszem jest prawosławie, liczące razem przeszło 120 milionów wyznawców. Jego stan znany wszystkim doskonale. Prawosławne wyznania to zupełnie już martwe i tylko siłą ciężkości utrzymujące się duchowe potęgi. Czem zaś jest prawosławie rosyjskie, to my Polacy wiemy najlepiej, niechaj dzisiaj prawosławie przestanie być religią państwową pod opieką bagnetów i policyi, a zobaczylibyśmy, coby się z niego za lat parę zrobiło. Z jednej strony sekciarstwo, z drugiej zupełny zanik religijnego uczucia, oto rak, który toczy rosyjskie prawosławie. Aby prawosławie mogło stać się religią przyszłości, w to chyba sam rząd rosyjski nie wierzy; jego obecny stan przypomina z jednej strony stan konfucyanizmu, z drugiej buddyzmu; do obu też jest bardzo zbliżony.

Przechodząc teraz do różnych odcieni protestantyzmu, liczących razem do sto milionów wyznawców, możemy stwierdzić, iż przedstawiają one obraz dwojaki. Jedna grupa przechyla się coraz więcej ku katolicyzmowi, tu należy protestancki Kościół angielski, druga zaś wielka grupa przechodzi coraz wyraźniej na grunt wyłącznie racyonalistyczny i ta przedstawia obraz najzupełniejszej religijnej anarchii. Tę drugą grupę łączy tylko nienawiść do katolicyzmu, zresztą niema ona nic wspólnego. Nawet najbardziej podstawowa zasada chrześcijańska, t. j. wiara w Boga i w Chrystusa przestaje już u wielu protestanckich pastorów obowiązywać. Hołdują oni poprostu podwójnej prawdzie, i co innego głoszą z kazalnicy, a co innego piszą w swoich naukowych dziełach.

Taka religia, to żadna religia. Nic więc dziwnego, że poważna liczba umysłów głębszych a szukających religii zrywają z protestantyzmem i przechodzą na katolicyzm, podczas gdy z drugiej znowu strony każdy spokojny umysł łatwo dostrzeże,

że do ruchu „precz z Rzymem“ przyłączają się tylko obojętni pod względem religijnym narodowi fanatycy. Cóż nam więc wobec tego pozostaje? Oto jeden tylko katolicyzm, który przedstawia teraz widok zupełnie niezwykły.

Na kongresie historyczno-religijnym w Paryżu, którego większość była katolicyzmowi niechętną, naliczono 250 milionów katolików. Jest ich z pewnością — biorąc liczbę nominalną — znacznie więcej, około 270 milionów. Jeżeli zaś potrącimy katolików tylko z imienia, lub katolików w rodzaju tych, którzy obecnie we Francyi należą do większości, to zawsze pozostanie jeszcze liczba wiernych Kościoła katolickiego członków na pewno dobrze przeszło 200 milionów, liczba bowiem obojętnych zmniejsza się z dniem każdym. Taka przeszło 200 milionów wyznawców licząca religijna grupa, czyż to nie imponujące zjawisko? Podziw nasz jednak jeszcze wzrośnie, skoro rozważymy tej grupy stan wewnętrzny. Proszę mi pokazać państwo liczące 200 milionów poddanych, któreby się obchodziło bez wojska, bez policyi, i któreby istniało tylko dzięki dobrej woli swoich obywateli. Takiego państwa chyba nie było i niema, takiego zaś państwa najwyższym kierownikiem, ojcem duchownym i monarchą jest papież. Potęga jego tak wielka, iż liczą się z nim najpotężniejsi monarchowie. W łonie Kościoła żadnych niema sporów, waśni, odszczepieństw i niesnasek, są pewne różnice zdań i poglądów, ale wszystkich szczerych katolików przenika jedna religijna myśl i jedno uczucie. Katolicyzm miarkuje nawet inne spory i nienawiści. Katolik Niemiec nie posiada narodowego fantyzmu w tym stopniu, co protestant, szczery katolik przedsiębiorca rzadko aby stał się tyranem swoich robotników, katolik robotnik lub rolnik znajdzie zawsze w uczuciach religijnych jakieś środki do miarkowania różnych jednostronnych dążeń i nienawiści. W katolickiem centrum niemieckiem bardzo różnorodne zasiadają żywioły, wszystkich jednak zespalają i łączą jedne wspólne religijne ideały. W łonie też katolicyzmu pogłębia się obecnie w coraz wyższym stopniu praca tak społeczna jak ekonomiczna, a także naukowa i filozoficzna.

Wiem dobrze, że przeciw takim moim wywodom wytoczą

zaraz przeciwnicy wielkie działo, a nabiwszy je, wystrzelą do mnie następującym argumentem: Człowieku, co ty prawisz, pamiętaj, że katolicyzm nigdy przenigdy nie da pogodzić się z dzisiejszą wiedzą, z dzisiejszą nauką i umiejętnością, ponieważ zaś nowożytny naukowy pogląd na świat to potęga, której nic zwalczyć nie zdoła, a więc i katolicyzm musi przed nią ugiąć się i zmarnieć. To tylko kwestya czasu, mówią przeciwnicy, trzyma się jeszcze siłą ciężkości, chwilowo nawet odżył, to prawda, ale to daremne, nauka w proch go zetrze prędzej czy później. Tak rozumuje dziś wielu, a więc porachujmy się.

Między wszystkiemi możliwemi naukowemi i filozoficznemi stanowiskami istnieje jedna tylko ich grupa, która nigdy zasadniczo z chrześcijaństwem pogodzić się nie da; tworzą ją te kierunki, które przyjmują jakiś jeden tylko cały wszechświat ogarniający byt, którego chwilowym przejawem jest tak szczegół każdy, jak i osobowość. Wszystko jedno jak nazwiemy ten byt czy materyą, czy duchem czy Bogiem-naturą, czy jakbądź inaczej, to tam, gdzie niema miejsca dla osobistego Boga i dla osobistej a nieśmiertelnej duszy ludzkiej, tam niema także miejsca i dla chrześcijaństwa. Ale czyż dzisiejsza wiedza naprawdę prowadzi nas, jak wielu mniema, do takiego monistycznego poglądu na świat? Bynajmniej! A energietyka, zawołają moniści, wszak ona odsłania nam jedną cały wszechświat przenikającą energię, której ilość przejawiając się w nieskończonej mnogości form, pozostaje przecież zawsze ta sama. Na to można odpowiedzieć, że przypuszczenie takie jest tylko zbyt pośpiesznie dokonanem a bardzo dogmatycznie przeprowadzonem uogólnieniem. Energietyka znakomicie godzi się także z jednostkowem pojęciem bytu, zasadnicze zaś sposoby wszelkiego zmysłowego postrzegania takie jak czas i przestrzeń są dla nas bez przyjęcia współdziałających jednostkowych istnień zupełnie niezrozumiałe. Według zasad energietyki, jest stan wszechświata oczywiście wynikiem jakiejś ciągłej pracy, która przedstawia się jako dążenie do przywrócenia powszechnej a pierwotnej równowagi, a więc musiało coś wszechświat z takiej równowagi wyprowadzić, w takim a nie innym kierunku go podniecić. Przypuszczenie, że to się stało

przypadkiem, jak twierdzi Häckel i wielu innych za nim monistów bezmyślnie powtarza, jest policzkiem, który myśl ludzka sama sobie wymierza. Gdzie jest możliwą nieskończona mnogość możliwości, tam wedle zasad rachunku prawdopodobieństwa możliwość urzeczywistnienia się jakiejś jednej szczegółowej kombinacyi równa się zeru. Skądże więc mógł się wziąć obecny stan wszechświata? Dlaczego wśród nieskończonej ilości możliwych światów taki właśnie a nie inny istnieje? Na takie pytanie monizm żadnej dać nie może odpowiedzi. Natomiast doskonale odpowiada nań teizm, który w Bogu upatruje przyczynę takiego właśnie a nie innego porządku wszechrzeczy. Kto więc uznaje energietykę i zasadę rozwoju za najdoskonalszy wyraz dzisiejszej wiedzy, ten raczej do teizmu stanowczo przechylać się powinien, chyba że jest metafizycznym nihilistą, uznającym, iż cały porządek zjawisk jest złudzeniem czegoś osobistego, to coś zaś także jest tylko chwilowem złudzeniem... Z takim oczywiście niema co rozprawiać. Świat jako uporządkowany a tylko pozornie istniejący szereg dziejących się wydarzeń, oto najnowszy pomysł, który jasno dowodzi, iż tak zwany monizm z energietyką nie da się logicznie powiązać. Ale cóż zrobić z pojęciem cudu i cudowności odgrywającym w religii chrześcijańsko-katolickiej tak wielką rolę? zapyta może niejeden. Jak pogodzić je z pojęciem prawa przyrody, którego dzisiejsza nauka nigdy wyrzec się nie może? Na taką wątpliwość można odpowiedzieć w następujący sposób: Krytyczne wnikanie w naturę naszej naukowej wiedzy prowadzi nas coraz wyraźniej do przekonania, że tak zwane prawa przyrody to nie są jakieś abstrakcyjne siły, w które jakby w obręcze cała rzeczywistość jest ujęta. Prawa przyrody, to nasze obrazy, to symbole, w których wyrażamy jakąś uwydatniającą się w rozmaitości rytmikę, stałość i następstwo zjawisk. Co z niższego punktu naukowego widzenia przedstawia się nam jako prawo przyrody, znika na wyższym stopniu lub też zmienia się i rozszerza. Prawa przyrody to stopnie, po których umysł nasz wznosi się coraz wyżej. Gdzież tu więc jakikolwiek powód do sprzeczności? Co dla nas jest cudem, to dla nieskończenie

wyższej i doskonalszej prawidłowości nie będzie ani niemożliwem, ani z prawidłowym porządkiem sprzecznem.

Nie bądźmy więc łatwowierni, nie bierzmy za cud, co nam pierwszy lepszy szarlatan poda, ale jeżeli wierzymy w osobistego Boga, to przestańmyż raz przecie być staremi dziećmi i nie wyrażajmy się w sposób z pojęciem osobistego Boga niezgodny. Albo jest Bóg wszechmocny twórca, źródło wszelkiej prawidłowości i rytmiki a w takim razie nie róbmy go naszych własnych ludzkich pojęć niewolnikiem, nie mówmy o jakichś mniemanych prawach, od których my Jemu odstępować nie pozwalamy, albo Go niema. Kto mniema, że tego dowiódł, ten niech sobie daruje przytaczania dalszych stu dowodów na uzasadnienie niemożności cudów. Niech postąpi tak wspaniałomyślnie, jak Henryk IV, król francuski, który uwolnił burmistrza jakiegoś miasta od przytoczenia stu przyczyn, dla których z armat na jego przywitanie nie strzelają, gdy mu tenże burmistrz oświadczył, że pierwszą przyczyną jest fakt, iż armat nie mają.

Tak samo rzecz ma się i z pojęciem objawienia; kto wierzy w Boga, musi uznać także możność objawienia, cóżby to bowiem był za Bóg, któryby był swoje dzieło własnemu pozostawił losowi, któryby w nim nie działał, nie objawiał się i do tych celów, które mu wytknął, nie kierował. I znowu powraca ta sama antynomia: albo światem rządzi ślepa konieczność a w takim razie jest i wiara w objawienie koniecznem wprawdzie wśród ludzkości, ale zawsze tylko złudzeniem, albo światem rządzi Bóg a w tym wypadku wszelkie metafizyczne argumenty przeciw objawieniu są znowu tylko wyrazem naiwności pyszałkowatych ludzkich rozumów. W tym drugim wypadku można walczyć przeciw objawieniu tylko z historyczną krytyką w ręku. Ale już przeszło dwieście lat, bo od czasów Spinozy, wysila się ta krytyka w walce przeciw idei objawienia. I czegóż dokonała? Oto tyle, że co jedno pokolenie przypuszcza, że już zburzyło, to następnie głębszy krytycyzm odbudowywa na nowo. Mniemał Strauss a po nim Renan, że rozburzyli wszystko a tymczasem dzisiejsza racyonalistyczna historyografia zbliża się coraz więcej do katolickiej tradycyi i stądto ów srogi gniew na Har-

nacka ze strony protestanckich ortodoksów. Zasadę więc chrześcijańskiego objawienia mogłaby obalić tylko historyczna, nigdy metafizyczna krytyka, tamta zaś dotąd tego nie dokonała i jak na pewno już dzisiaj można twierdzić, nie dokona i w przyszłości. Przeciwnicy chrześcijaństwa czują to i dlatego rzucają się i miotają na wszystkie strony, przyzywają do pomocy chaldejskie starożytności z jednej strony, z drugiej znowu wskazują na stare grzechy różnych dawniejszych epok lub kierowniczych w Kościele osobistości. To wszystko jednak na darmo! Logika i historya niewątpliwie zwyciężą. Historya zaś mówi, że Bóg dalszy ciąg swojego dzieła tu na ziemi ludzkim powierzył a nie anielskim umysłom, logika zaś dodaje, że skoro źli ludzie Boskie dzieło tak ciągle psuli a przecież zepsuć go nie mogli, gdyż Kościół jest, jak mówi Harnack, wiecznie stary i zawsze nowy, to przecież fakt ten przemawia raczej za jego Boskiem pochodzeniem a nie przeciw niemu.

Z tego, co dotąd powiedziałem, wynika, jak mniemam, iż każdy umysł nieuprzedzony, jeżeli tylko przyzna stanowczy obecnie wzrost religijnych uczuć, to w dalszym ciągu dojdzie do wniosku, że jedyną powszechną i całą ludzkość wraz z europejską kulturą mogącą w przyszłości ogarnąć religią, jest tylko katolicyzm.

Nie wolno jednakże katolikom zadowolić się tylko wyznawaniem takiego przekonania, oni obowiązani są do czynnego w tym właśnie kierunku współdziałania, ich obowiązkiem iść z wiarą i otuchą w wielki duchowy bój, który obecnie się toczy, aby zaś dojść do zwycięstwa muszą przedewszystkiem samych siebie pod niejednym względem odrodzić. Za zasadę więc niechaj sobie postawią: precz z fanatyzmem i z policyą, precz z wysługiwaniem się jakimkolwiek klikom, rządom lub politycznym stronnictwom i doktrynom! Religijne przekonanie, to rzecz tak wielka i święta, iż ono tylko na dobrej powinno opierać się woli. Religia, która potrzebuje policyi, przestaje być religią a staje się narzędziem w ręku polityków; gorzej jeszcze z religią, która jakimkolwiek wysługuje się klikom. Dalszem ważnem wobec katolików żądaniem musi być udział w czynnej

społecznej pracy. Tysiące nieszczęśliwych dusz szuka teraz ukojenia w religijnych uczuciach, niechaj więc katolicy, którzy tak drogocenny w religii posiadają skarb, niosą im to ukojenie. Wyszukujcie wszelkie zdruzgotane istnienia, wszelkie dusze pozbawione równowagi i nieście im, czego im brakuje, ale z miłością i bez fanatyzmu. Niechaj każda także ekonomiczna organizacya i praca na chrześcijańskich oprze się zasadach, a wówczas znajdzie się zaraz ten, w walce wszystkich przeciw wszystkim tak niezbędny regulator. Aby jednak to wszystko było możliwem, muszą katolicy stanąć na wysokości ducha czasu, muszą przejąć się na wskróś duchem nowożytnych metod badawczych i nowożytnej wiedzy. Uczyć się, duchowo rozwijać się, naukowo pracować, myśleć i badać we wszystkich możliwych kierunkach — oto godne wielkiej idei zadania! Śmiało należy patrzeć w oczy prawdzie a niczego się nie obawiać. Niema i nie powinno być dla katolików prawd niewygodnych. Oto hasło! Jeżeli coś okaże się z dawnych mniemań nieprawdziwem, otwarcie przyznać, przy rzeczach wątpliwych nie upierać się. Żadna przecież duchowa społeczność nie znajduje się w tak korzystnych warunkach, jak katolicy: wszak oni mają w Kościele najwyższego spraw duchowych regulatora, tu anarchia jest niemożliwa. Katolikom nie mogą zaszkodzić żadne chaldejskie, perskie lub fenickie badania, cokolwiekby bowiem wyszło na jaw, to skoro najwyższa w Kościele władza po dokładnem rzeczy zbadaniu wyda orzeczenie, to katolicy będą wiedzieli, czego mają się trzymać. Katolicyzm nie boi się Delitzschów! Pojmuję, iż protestantów przeraża myśl, co się z niemi stanie, gdy im Delitzsche Stary Testament pokiereszują, katolicy są spokojni, gdyż im Stary Testament objaśnia Kościół i jego nauka ich obowiązuje. W taki to więc sposób katolicy jednością silni a duchem społecznej miłości przejęci, mogą kroczyć od zwycięstwa do zwycięstwa. W dzisiejszych jednak czasach nie wystarcza ujawniać chrześcijańskie ideały tylko w osobistych czynach, wśród katolików chrześcijaństwo musi przejść koniecznie do społecznej organizacyi, wówczas dopiero katolicyzm, jako wielka społeczna grupa zacznie przyciągać ku sobie

i wchłaniać grupy inne. Należy więc dążyć do tego, aby katolicyzm stał się taką społeczną grupą, wśród której życie ludzkie byłoby względnie na ziemi najznośniejszem, gdyż tak warunki doczesnego bytu, jak i dobra wieczne, byłyby tu najlepiej zabezpieczone. Na to potrzeba jednak daleko idących społecznych reform, niechaj więc katolicy przed niemi nie cofają się. Kroczyć na czele postępu, wcielać w swoje czyny i w swoją organizacyę ducha czasu, to powinno być celem dzisiejszych katolików. Przodować zaś w całym tym ruchu powinni księża i kapłani! Jak najwszechstronniej wykształconych i bardzo mądrych, a przytem dzielnych w czynie księży i biskupów — oto czego nam potrzeba. Dlaczego w XIII wieku doszedł katolicyzm do tak wielkiego rozkwitu? oto dlatego, iż wcielił w siebie ducha czasu i stał się wyrazem najwyższego na owe czasy w ludzkości postępu, to samo powinno znowu dokonać się w XX w. Piętno na XIII wieku wycisnęła działalność dwóch wielkich świętych, t. j. Franciszka z Assyżu i Tomasza z Akwinu. Co oni dokonali wówczas, to teraz drugi raz nam uczynić należy; niechaj oni więc staną się naszymi przewodnikami. Idźmy za nimi, ale nie na ślepo, lecz z otwartemi oczyma, działajmy w ich duchu. Franciszek, to chrześcijaństwo w czynach i w społecznej pracy; Tomasz, to chrześcijaństwo w myślach, w nauce i w wiedzy; pierwszy to przedziwny wyraz przenikania się religii i społecznej pracy, to twórca wielkiego społecznego ruchu, który od jego czasów już nigdy całkowicie nie ustał, drugi znowu przedstawia nam obraz myśli, przejętej na wskróś duchem religijności a jednak chłonącej w siebie wszystko, co tylko było wyrazem najdalej wysuniętego wówczas naukowego i filozoficznego postępu. A więc praca społeczna w duchu Franciszka i praca myśli w duchu Tomasza niechaj się stanie ideałem dzisiejszych katolików. Co to znaczy? Oto znaczenie powyższych słów jest jasne i proste. Praca społeczna w duchu Franciszka oznacza pracę w kierunku takiej społecznej organizacyi, któraby jednem prawem miłości objęła wszystkie grupy i warstwy społeczne. Praca zaś myśli w duchu Tomasza oznacza pracę, któraby wysunęła się na czoło całego duchowego postępu i chłonęła w siebie

wszystko, co tylko do coraz głębszego zrozumienia nas samych i świata posłużyć może. Tomasz oparł się na Arystotelesie, gdyż on za jego czasów wyobrażał najdoskonalszą naukową syntezę; my dzisiaj mamy do rozporządzenia badawcze metody, które dostarczą nam o wiele obfitszych do budowy materyałów od tych, których Tomaszowi dostarczyło dokładne poznanie Arystotelesa. Takiemi to krocząc śladami, mogą dzisiaj katolicy przyczynić się do urzeczywistnienia religijnych ideałów, które w dobie współczesnej coraz wyraźniej zarysowywać się poczynają.

Maurycy Straszewski.

JEZUICI W KRÓLEWCU.

(Ciąg dalszy).

Przeciwnicy synkretyzmu wrogami być musieli Jezuitów, raz, że ich kazania i rozmowy z zwolennikami Dreiera do „przeklętego papizmu“ nie mało ich nagnały, a powtóre, że liczne nawrócenia, prawie wszystkie dokonały się za ich wpływem i współudziałem. Więc „pastory i dyakony“ królewieckie dalejże zarzucać donosami i skargami 1666 r. najprzód stany pruskie i rejencyę, potem elektora. Ten poleca 1667 r. namiestnikowi Prus, księciu de Croy pozbyć się Jezuitów „zanim się zagnieżdżą“. Nie pozbył się, więc „pastory i dyakony“ znów 1669 r. z gorzkiemi wymówkami do stanów, że tolerują kalwinów, aryanów i — Jezuitów. Gorzej jeszcze 1670 r., bo sam rząd, rejencya skarży Jezuitów przed stanami. O jakież winy? Oto znów dwóch studentów luterskich przeciągnęli na katolicyzm i pokryjomu wyprawili do Brunsbergi; kazania mówią litewskie wbrew paktom, które tylko niemieckich i polskich kazań dozwalają; z ambony lżą czystą Ewangelię; Jezuita Szrobowski odwiedza polską szkółkę na Tragheim i chorych lutrów w szpitalu, aby łowić konwertytów; rozrzucają broszurkę zdradliwą: „Powołanie predykanta Jana Anglika“ i t. p. W dodatku sam elektor podejrzywał ich, że są przeciwnikami traktatu welawskiego i udzielności Prus, że konspirują z antipruską partyą w Polsce, i dlatego uwięzić kazał i badać 1662 r. cyrulika Rotha, brata brunsberskiego Jezuity, posądzając go o korespondencyę z Jezuitami, wrogą niezależności Prus.

Dzięki tylu okolicznościom naraz, zbierała się, jako rzekłem, nad głowami królewieckich Jezuitów burza, z której jednak deszczu nie wiele.

Głównym wszelako jej sprawcą był franciszkański ex-mnich wywłoka, Jan z Schauenburga. Ekskomunikowany za swe występki, uszedł 1675 czy też 1676 r. z Gdańska do Królewca, a udając żal, skruchę, chęć poprawy, schronił się pod skrzydła opiekuńcze Jezuitów. Mieszkał w mieście w niedostatku, więc gdy zachorował ciężko 1676 r., superior Wobbe zabrał go przez litość do rezydencyi, leczył ciało i duszę przez dwa prawie miesiące; odwiedzali go inni Jezuici, weszli z nim w zażyłość i nie mieli — co się im nie chwali — tajemnic przed nim. Superior wyjednał mu w magistracie kartę pobytu w mieście, a w nuncyaturze dopomagał do uwolnienia od klątwy. Wyzdrowiawszy ex-mnich nie ustępował z domu, więc go superior grzecznie wyprosił, przedkładając ciasnotę mieszkania, a właściwie dlatego, że Franciszkanie gdańscy wytoczyli przeciw ex-mnichowi proces w nuncyaturze, a on na termin stanąć nie chciał. Urażony tem ex-mnich przeniósł się na plebanię do ks. d-ra Eustachego Lettau, który trzymając u siebie w roli gospodyni podejrzaną kobietę, podał się przez to na pośmiewisko lutrom i na ostre przymówki katolikom, iż wreszcie oną kobietę wydalić musiał. Zła baba osławiała po mieście plebana i ex-mnicha, podobno nawet urządziła plebanowi w kościele awenią. Pleban kazał ją wyprowadzić na plac kościelny i uwięzić, a katolików, zwłaszcza syndyków kościoła, zaskarżył w sądzie biskupim o oszczerstwo. Korzystając z tego ex-mnich, z ambony gromi katolików za rzuconą na niewinnego plebana niesławę, grozi im zemstą, plebanowi zaś dowodzi, że w przykrej tej sprawie pracuje ręka Jezuitów, czyhających na zabranie kościoła i plebanii; należy się ich pozbyć czemprędzej, zwłaszcza że i elektor i namiestnik książę de Croy tego pragną, a na ich miejsce sprowadzić z Gdańska potulnych Franciszkanów. Podobała się rada plebanowi, obadwaj zapytują ich, ażali misyę królewiecką przyjmą? Oni odmówili. Więc ex-mnich przekonuje plebana, że on malowanym tylko duszpasterzem, w rzeczy samej superior z swymi

Jezuitami uzurpuje sobie proboszczowską władzę i jak szara gęś gospodaruje w kościele i parafii; należy mu odebrać przedewszystkiem ambonę, on, ex-mnich będzie kaznodzieją. Na to mu pleban: ambona oddana Jezuitom przez biskupa, odbierać jej nie w mocy plebana. To go zaskarżyć przed prowincyałem litewskim. Pleban skarży; prowincyał, Jan Błaszkowski przysyła rektora brunsberskiego O. Schella w charakterze swego komisarza do zbadania sprawy. Rektor przyznał słuszność superiorowi i pojednał go z plebanem. Wtenczas ex-mnich posunął się do denuncyacyi na Jezuitów i przedniejszych katolików przed kuryą elektorską w Berlinie, przed namiestnikiem i radcami w Królewcu, a najpierw przed pruskim posłem Overbeckiem w Warszawie.

Już on podczas pobytu swego w rezydencyi jezuickiej odwiedzał pilnie radców rządowych na zamku, zyskał ich łaskę, iż mu wystawili paszport do Warszawy i pismo polecające do Overbecka. W jesieni 1676 r. podążył istotnie do Warszawy, był i u Overbecka i wręczył mu memoryał z napisem: „*Modus expellendi Jesuitas aus Koenigsberg*, sposób wypędzenia Jezuitów z Królewca". Jakiż to sposób? Najprzód zamknąć im konwikt, bo z niego żyją, mając 10 paniczów, każdy płaci po 200 złp. 2) Po skończonym roku szkolnym odebrać im dwa domy od Petersona (Peterssohn) i Niedermajera podstępnie w formie zastawu kupione, gdyż na tych domach ciążą dawniejsze znaczne długi, dlatego w zastaw dane być nie mogą. 3) Wyrzucić ich z wikarówki. 4) Zabronić im przyjmowania gości bez pozwolenia namiestnika. 5) Innego mieszkania w mieście nie znajdą, więc sami się wyniosą, a na ich miejsce sprowadzić Franciszkanów z Gdańska i urządzić im rezydencyę. 6) Pleban Lettau podziela te zapatrywania.

W umotywowaniu tych „sposobów wypędzenia", wytacza ex-mnich 46 skarg przeciw Jezuitom, które dadzą się sprowadzić do 5 głównych.

1) Intrygi przeciw udzielności Prus, te powinny się stać napowrót lennem Polski, ba, wcielone być do niej. Któż intrygował? Jezuita Wobbe miał twierdzić, że traktat welawski nie

ważny, bo na sejmie 1658 r. protestowało 14 posłów, a stany pruskie tęsknią za łagodnym rządem i wolnościami polskiemi.

Tenże Wobbe dowiedział się od krewnego swego Niedermajera, który jest urzędnikiem cłowym, ile to tysięcy rocznie przynosi podatek Licenzsteuer, i doniósł to polskiemu królowi, aby apetyt na Prusy zaostrzyć. Znany nam ex-pastor Damler, który bywał u Jezuitów w Brunsberdze, Reszlu, św. Lipce, Królewcu i Warszawie, słyszał od nich, że król Jan, skoro tylko upora się z Turkami, odbierze elektorowi Prusy, i w tym celu każe zawczasu wprowadzić polską załogę do Gdańska i wybudować tam cytadelę. Ażeby zaś ten krok upozorować, polecił jemu (Damlerowi) jątrzyć i podtrzymywać spory i kłótnie gminu z magistratem i radą, aż do przyjazdu króla. Jezuita Radau na ambonie przedrwiwał przymierze elektora z Anglią i Szwecyą, napadał na elektora i stany.

2) Jezuici notują bacznie pozorne lub prawdziwe przekroczenia elektora i pruskiego rządu przeciw paktom 1611 i 1657 r. jak porwanie Kalksteina, grzywny na hr. Schliebena i donoszą je królowi. Oni to ułożyli ostatnią listę grawaminów, którą król przez komisarzy swoich przesłał do Berlina. Oni redagowali Schliebenowi listy do polskiego króla i rekursa przeciw wymierzonej nań karze za przejście na katolicyzm córek i odprawianie mszy św. we dworze.

3) Mania nawracania na katolicyzm *(Proselitenmacherei)*. Tenże Damler i krakowski Jezuita Markwart opowiadać mieli ex-mnichowi, że przebrani Jezuici urządzali schadzki w Królewcu z profesorami i predykantami (Dreier, Seidler, Sanden, Werner, Grabe), którzy gotowi przejść na katolicyzm, byle mieli byt zapewniony, o co Jezuici przyrzekli się wystarać u polskiego króla i panów. W Krakowie nawrócili syna pastora Schoerera, pracują zaś nad nawróceniem Ludwiki Karoliny Radziwiłłównej, która 1681 r. wyszła za mąż za Ludwika Brandenburczyka, grożąc jej konfiskatą olbrzymich jej dóbr na Litwie. W Królewcu zamierzają 11.000 złp. pożyczyć kościołowi, „aby się przy nim lepiej zagnieździć“, a na synów kilku zamożnych rodzin zastawili już sidła.

4) Protegują zbrodniarzy. Damlerowi, ściganemu za długi, dali schronienie. Tak się rozwielmożnili, że sędziowie boją się ich; Jezuita Wobbe dyktuje sądom wyroki.

5) Intrygują przeciw plebanowi. Gotowi bezpłatnie go zastąpić i utrzymać kościół, byle jego wysadzić. Część parafian podburzyli przeciw niemu, w czem dopomagają im dwaj syndycy kościelni, Wawrzyniec Heusdens i cłowy urzędnik Niedermejer, cudzołożnik i łapownik, iż do wielkiego doszedł majątku (przeszło 30.000 złp.).

6) Utrzymują szkołę i konwikt tuż pod bokiem akademii[1].

W listopadzie 1676 r. Overbeck przesłał ów memoryał elektorowi z dobrą radą, aby akademia królewiecka, „będąc córką akademii krakowskiej", upomniała się o monopol nauczania, i jak tamta, nie cierpiała innych szkół obok siebie, co też i uczyniła. Elektor przywiązywał wielką wagę do treści memoryału i 30 listopada zapytał namiestnika i rejentów, jak mu radzą postąpić z Jezuitami? Na to namiestnik: „Jezuici zachowują się tu spokojnie i cicho i niema żadnych skarg na nich. Ale to niebezpieczni ludzie, potrzeba im dobrze patrzyć na palce". Kanclerz elektorski, Jan Dytrych Feltau, radził zakazać surowo rodzicom niekatolickim posyłania synów do szkoły jezuickiej, w której „dla łaciny i polskiego języka wiarę tracą i duszę gubią". Zamknąć tej szkoły nie można, chyba, że elektor założy nowe gimnazyum z polskim i francuskim jezykiem i fechtunkami, i dzielnych da mu profesorów, bo trywialna szkoła miejska nie przysposabia dostatecznie do akademicznych nauk, i dlatego głównie rodzice oddają swe syny do szkoły jezuickiej. Radził też użyć proboszcza Lettau'a, „który z Jezuitami źle żyje" do ich wydalenia z Królewca, obietnicą powiększenia mu rocznej gratyfikacyi, aby mógł wikarego utrzymać. Oszczędny elektor wcale nie myślał o nowem gimnazyum; pleban zasłonił się biskupem, bez którego on nic przeciw Jezuitom nie może, rodzice tylko akatoliccy otrzymali od radców rejencyj-

[1] *Hist. Coll. Brunsb. et Domus Regiomontanae.* Dittrich I, 220—227.

nych ustne polecenie elektora, aby natychmiast odebrali synów ze szkoły jezuickiej — jakoż odebrano trzech.

Rejencya pruska dochodziła skrzętnie, ile domów, na jakiej podstawie posiadają Jezuici, informowała się raz i drugi u plebana. Ten jej krótko: Domy są trzy, na gruncie kościelnym za wiedzą biskupa kupione, jak sądzę, legalnie.

Jezuici dowiedzieli się wcześnie o memoryale ex-mnicha i machinacyi rządowej, bo już 18 grudnia 1676 wniósł O. Markwart w imieniu swojem i Jezuitów protest do elektora przeciw kalumnii, jakoby burzyli szlachtę pruską przeciw księciu, „starość i cała przeszłość moja i świadectwo królów Danii i Polski, królowej Krystyny szwedzkiej, hetmanów i wodzów (u których był kapelanem obozowym), przemawiają przeciw temu. Szlachta też pruska z pychy czy z zwyczaju unika kontaktu z Jezuitami, jakby się jakiejś skazy z ich pobożności i nauki obawiała. Cała moja wina, żem Damlera, zdecydowanego już przyjąć katolicyzm, przedstawił królowi Janowi“. Elektor jednak wrzekome agitacye antipruskie Jezuitów wziął bardzo do serca i kazał ich raz jeszcze dochodzić rejencyi. Ta przez Overbecka śledziła Damlera w Polsce, w Królewcu zaś skorzystała ze skargi *(Species facti* 17 Julii 1677), którą pleban Lettau z namowy ex-mnicha i przezeń zredagowaną wniósł na syndyków kościelnych, ale daleko bardziej na Jezuitów „architektów wszystkiego złego“ i dlatego w całej Europie ściganych, którzy tu wcisnąć się chcą na probostwo, intrygują w parafii, przyciągają i łowią synów bogatszych rodzin, aby ich obedrzeć z mienia i t. d. Skargę tę odesłała rejencya do nadwornego sądu w Berlinie, ten zaś wyznaczył komisyę sądową do tej sprawy. Nie tyle zły, jak słabego charakteru pleban przeląkł się własnego dzieła. Nie stawił się na termin, tylko wysłał ex-mnicha w zastępstwie. Komisya nie przyjęła go, wyznaczyła drugi termin. Ale i na ten termin nie stanął pleban, przysłał tylko komisarzom pismo oświadczające, że on skarżył niektórych parafian o oszczerstwo przeciw swej osobie, a nie o agitacyę i bunt przeciw elektorowi, sąd więc nadworny nie ma nic do niego, on odpowiada przed biskupem warmińskim.

Komisya zaniechała dalszych kroków, ale nie ex-mnich. Skoro pleban odwołał się do sądu biskupiego, więc on skarży Jezuitów do konsystorza, że za nic sobie mają władzę biskupa i kapituły i modlą się o prędką śmierć dla nich. Biskup Szczepan Wydżga przesłał skargę rektorowi brunsberskiemu Jędrzejowi Rylskiemu do wiadomości i na tem się skończyło.

Tymczasem ex-mnichowi zachciało się zostać plebanem w Królewcu w nadziei, że jako taki, Jezuitów rozegnać potrafi. Wmawia więc w plebana Lettau'a, że mu wyrobi kanonię warmińską, byle zrzekł się probostwa na rzecz jego i taksę zapłacił. Pleban podpisuje ułożoną już przez ex-mnicha rezygnacyę, kładzie na niej pieczęć, składa i taksę. Po kilku tygodniach nadchodzi z Rzymu sekularyzacya dla ex-mnicha i pozwolenie na objęcie probostwa. Konsystorz warmiński uznał je za podrobione, skarcił plebana Lettau za łatwowierność; ten skompromitowany wielce, wygnał ex-mnicha z plebanii, ale nie z miasta.

Więc rektor Rylski, aby koniec położyć intrygom ex-mnicha, zwołał przedniejszych katolików Królewca i razem z nimi wniósł suplikę do króla Jana, aby zwyczajem poprzedników swoich, wziął w obronę misyę katolicką w Królewcu przed machinacyami ex-mnicha i zażądał jego wydania. Uczynił to król Jan, zasięgnąwszy wpierw informacyi w nuncyaturze, naprzód pisemnie. A gdy to nie skutkowało, bo rejencya pruska zasłaniała się kartą wolnego pobytu, którą dano ex-mnichowi, wysłał z końcem sierpnia 1677 porucznika Felgenhauera do Królewca z ostrem pismem, iż „rząd pruski większą wagę przywiązuje do baśni ex-mnicha, jak do jego królewskich żądań". Zrozumiano w Królewcu i Berlinie, że skoro (1672 r.) domagano się wydania od rządu polskiego Kalksteina[1] i porwano go z War-

[1] Ludwik Kalkstein Stoliński, szlachcic polski i brandenburski, skazany za jakieś winy na śmierć, ułaskawiony przez elektora i w swym majątku internowany, zjechał do Warszawy i słowem i piórem rozwinął silną agitacyę przeciw elektorowi. Pełnomocnik pruski Brand zażądał wydania Kalksteina, gdy mu odmówiono, kazał go porwać tajemnie, wywieźć do

szawy z pod boku króla i ścięto w Memlu, to wydać trzeba wywłokę mnicha, który tylko intryguje i wichrzy, i teraz dowiedziawszy się o przybyciu polskiego komisarza, wnosi do rejencyi kłamliwe pismo, jako jest misyonarzem opatrzonym w list żelazny elektora i ofiarą zemsty Jezuitów, „którym dał się we znaki". Nie wydano jednak, tylko szepnięto na ucho exmnichowi, aby się wyniósł czemprędzej do Kołobrzegu lub dokąd chce. Jakoż czmychnął na Pomorze.

Spotwarzeni przez niego katolicy i Jezuici domagali się sądowego ogłoszenia niewinności.

Rektor Rylski domagał się nadto kopii skargi plebana *(Specimen facti)*. Rejencya odmówiła, ale pleban Lettau uspokoiwszy się po ucieczce eks-mnicha, wręczył rejencyi formalne odwołanie swej skargi, poczem zwrócono mu skargę samą, rektorowi zaś Rylskiemu wręczono oryginał odwołania plebańskiego. Uciszyło się w misyi, rejencya jednak dowiedziała się wielu rzeczy, których wiedzieć nie potrzebowała i z większą pewnością szła do ataku na Jezuitów.

Było ich od r. 1677 czterech: O. Buchhorn, superyor i kaznodzieja, OO. Warschkeit Królewczanin, który dla misyi zapisał ze swej ojcowizny 8.000 złp. i Radau, kaznodzieje i misyonarze, O. Arent, profesor w szkole i prefekt konwiktu — a wszyscy spowiednikami i pomocnikami w parafii, liczącej 5000 komunikujących na Wielkanoc wiernych [1].

Nawrócenia inowierców mnożyły się z każdym rokiem, od 30 dochodziły do 50, a nawet 80 osób ze wszystkich stanów, bo od r. 1683 zaczęli misyonarze pracować w Pilawie dla katolickich żołnierzy, w Schaken, i na kilku jeszcze placówkach misyjnych, bez kościoła, tylko w izbie urządzonej na kaplicę

Memla, gdzie go sądzono i ścięto 1672 r. Elektor winę tego niesłychanego gwałtu zwalił na Branda, ukarał go dymisyą, ale po trzech latach przywrócił do urzędu i godności.

[1] Z początkiem XVII w. ledwo 7 czy 9 było w Królewcu rodzin katolickich. W roku 1683, według aktów wizyty biskupiej, było rodzin katolickich wielkomieszczańskich 24, małomieszczańskich w śródmieściu 26, na przedmieściach koło 30 i jakie 1000 rodzin z różnych stanów i z gminu nie mających własnego domu tylko wynajęte mieszkania.

a nawet (4 października 1684) w lesistym zakątku Naugeninken dla 140 biednych leśników litewskich, gdzie nauki prawili i opowiadali w stodole, a mszę św. odprawiali w izbie. Doniósł ich do rejencyi pastor Ochlert z Legitten, wołając o ratunek dla swych luterskich Litwinów. Otóż te trzy rzeczy: szkoła z konwiktem; częste nawrócenia akademików, a zwłaszcza dwa świeże, umierającej żony balwierza zamkowego Latter'a [1] i zamożnej wdowy po Wilhelmie von Selgen, której 6 dzieci dorosłych już przedtem przeszło było na katolicyzm; a wreszcie wycieczki misyjne poza miasto — te mówię trzy rzeczy poruszyły żółć „pastorów i dyakonów Królewca", iż nie tylko z ambon, jak kaznodzieja zamkowy Werner, nie tylko w obelżywych piosenkach na Jezuitów gromy ciskali, ale obsyłali donosami i skargami rejencyę, stany pruskie, wśród których taki np. burgrabia, pan na Lehndorfie albo pan Fink [2], wójt w Schaken, śmiertelną nienawiścią ścigali Jezuitów; a wreszcie do elektora wołając na wszystkie tony i nuty, że obrzydły papizm rozrasta się, czysta ewangelia ginie i zginie, jeżeli Jezuity *(Jesuiter)* nie zostaną wygnani z Prus [3].

Elektor, raz jako gorliwy kalwin a potem jako książę-polityk, pragnący zadowolić podwładnych, postanowił wyrugować Jezuitów z Królewca po rewelacyach ex-mnicha bardziej, niż kiedykolwiek, ale dla znanych nam względów, pragnął, aby kto inny wydobył gorące kasztany z ognia, np. sam biskup

---

[1] Z powodu tej Latterowej przyszło do rozruchu. Wywołał go 5 lutego 1684 r. kapelan zamkowy Werner, gdy Jezuitę, idącego do chorej, z krzykiem i obelgami opadł. Na jego krzyk zbiegła się z ulic i z domów moc lutrów, którzy wrzeszcząc i grożąc odegnali Jezuitę. W rocznicę tego rozruchu Werner umarł tknięty paraliżem na ambonie, gdy na Jezuitów wymyślał najnamiętniej.

[2] Syn tego Finka mając zamiar przejść na katolicyzm wyjechał do Krakowa. Ojciec widział w tem intrygę Jezuitów i dlatego nastawał na ich wypędzenie. Syna odwołał z Krakowa, wysłał do Wiednia. Młody Fink wstąpił do wojska cesarskiego, ale jako luter sprzyjał partyi tureckiej i dał się wplątać w konszachty zdradzieckie przeciw cesarskim. Wykryto je i Fink jako zdrajca zdegradowany przed frontem wojska i powieszony.

[3] *Litt. annuae Domus miss. Regiom.* 1676—77. — *Hist. Col. Brunsb. et Dom. Regiom.* — Dittrich I, 213—236.

warmiński. Więc w ciągu ostatnich 10 lat życia, na pięć zawodów polecał rejencyi znaleźć sposób wypędzenia Jezuitów, tak, żeby ani król, ani sejm polski nie reklamował ich, ani katolicy na dyssydentach litewskich odwetu nie brali. Podobna arcynudna korespondencya, bo przeżuwająca te same zarzuty i te same trudności, prowadzi się także między elektorem a pełnomocnikiem pruskim Wichertem w Warszawie. Wichert ma przekonać króla, królową, kanclerza, senatorów, zwłaszcza biskupa warmińskiego, że elektor nie kontent z Jezuitów królewieckich, bo przyjęci *per meram gratiam* z czystej łaski — pakta r. 1611, 1657 nic o nich nie mówią — zanadto się rozpierają, mieszają spokój religijny, wichrzą w parafii, sam pleban na nich skargi poważne zanosi; że więc najlepiejby było, aby biskup warmiński ich odwołał, a dał na ich miejsce świeckich księży, ba nawet zakonników żebrzących np. Kapucynów i tym sposobem zadość się stanie paktom, a spokój zapanuje w Królewcu.

Jakoż nowy biskup warmiński, Szczepan Radziejowski, podjudzany także przez kapitułę, która krom kanonika Burzeńskiego, niechętną była dla Jezuitów, w tym także celu zapowiedział wizytę pasterską do Królewca na lipiec 1683 r., by wykryć jakie nadużycia i usunąć Jezuitów. Namiestnik de Croy nie wyjechał na jego spotkanie, udając chorego, ale konnica pruska przy biciu z dział wprowadziła go do kościoła, otoczonego strażą honorową dwóch kompanii piechoty.

Do bierzmowania przystąpiło 2000 osób, należycie w katechizmie przygotowanych i wyspowiadanych. Czyja w tem praca? pyta biskupa Burzeński. Jużci nie chorego starego Lettaua († 3 marca 1685) tylko Jezuitów. Porównać prosił spisy katolickiej ludności; biskup przyznał, że od czasu misyi powiększyła się w trójnasob. Zjawiła się także u biskupa deputacya najznaczniejszych katolików, ta słów nie miała dosyć na pochwałę misyonarzy. Starsi wiekiem porównując skromny nader stan kościoła i nabożeństw przed 35 laty z bogactwem ozdób i wystawnością nabożeństw i kazań w obecnej chwili, wszystką zasługę przyznawali Jezuitom; niechże ich biskup nie rusza, nie zabiera, bo tylko nieprzyjaciele wiary św. tego sobie życzą,

albo niepoprawni grzesznicy, którym żarliwość tych kapłanów jest ciężką. Więc biskup 7 lipca odwiedził rezydencyę Jezuitów, chwalił ich prace, zganił nieco zbytnią gorliwość, doradzał wielką ostrożność w nawracaniu, zwłaszcza studentów i kobiet zamożniejszych, upominał, aby zgodę zachowali z plebanem i nic ponad pakta 1611 i 1657 nie poczynali. To samo powtórzył w dekrecie wizytacyjnym, a podnosząc ich zasługi koło sprawy katolickiej, zatwierdził ich w urzędowaniu i posiadaniu domów i odnowił potrzebne władze i *facultates*. Do elektora zaś pisał z Brunsbergi 9 sierpnia 1683: „Stan mego kościoła dobrze uporządkowany i po katolicku ułożony i winnicę tę kwitnącą z wielkiem uczuciem wewnętrznej radości zwiedziłem".

Zrozumiał elektor, że biskup Jezuitów z Królewca nie ruszy, więc na razie wydał 27 marca edykt zabraniający akatolickim rodzicom posyłania synów do szkół jezuickich wogóle, czy one są w Prusiech, czy gdzieindziej, bez pozwolenia elektora, rejencyi zaś polecił zbadać ich prawną egzystencyę i stan majątkowy; może znajdzie się co nielegalnego, coby za pozór wydalenia posłużyło, a wtenczas sprowadzi się Kapucynów lub innych. Tym razem pleban Lettau stanął w obronie Jezuitów i nie wydał rejencyi dekretu wizytacyjnego, chociaż tego żądała. Ta więc do elektora pisze 4 maja 1684 r., że co do praw i domów jezuickich należy się udać po informacyę do biskupa; co do Kapucynów i innych mnichów, to tym wypadnie dać pensyę, bo są biedni, podczas gdy Jezuici żyją ze swego, nic od rządu nie biorąc ani żądając. Argument ten wiele zaważył u oszczędnego elektora. Co do edyktu szkolnego, to ogłosiła go rejencya 20 kwietnia urzędom i trzem miastom pruskim, „nie możemy jednak nie przyznać, że dotąd młodzież w stylu i wymowie u Jezuitów lepiej, jak w szkołach uczoną była, co tego i owego skłaniało do posyłania tam swych dzieci. Postaramy się o podniesienie tych szkół, ale dobrzeby było nowe gimnazyum założyć, do któregoby uczniowie ze szkoły trywialnej przechodzili, a nie wprost do akademii, jak to się dotąd dzieje, bo nie są dostatecznie przygotowani, a wolność akademicka dla nich przedwczesna, psuje ich obyczaje".

Stany pruskie przyjęły szkolny zakaz marcowy najgorzej i domagały się 5 sierpnia 1684 zniesienia go, bo ogranicza wolność rodzicielską kształcenia dzieci tam, gdzie im się podoba i gdzie im taniej.

Zbliżał się sejm warszawski 1685 r.. więc elektor nie odważył się wydalić Jezuitów, ale przez Wicherta przygotowywał na ten krok króla, dwór, sejm, a nadewszystko biskupa warmińskiego, Radziejowskiego, sondując ich opinię. Ten znudzony pytaniami Wicherta, na jakiem prawie Jezuitów trzyma w Królewcu, odparł z naciskiem: „Na podstawie listu elektora z podpisem i pieczęcią jego, który znajduje się tu w Warszawie w archiwum nadwornem, a w którym tenże przychylając się do życzenia królowej Ludwiki Maryi, pozwala na misye Jezuitów w Królewcu". Co więcej, tenże biskup wraz z posłem francuskim Jonsac uprosił królowę Maryę Kazimirę, że ta na wzór swych poprzedniczek, wystosowała do elektora list wstawiający się *(intercessionale)* za Jezuitami i ich szkołami, a nadto poleciła polskiemu posłowi w Berlinie, aby wraz ze spowiednikiem swym O. Warschkeitem wstawił się u kanclerza Dytrycha von Fettau i radców za misyą królewiecką. Elektor okazał się twardym, gdyż rejencya i przewódcy stanów pruskich domagają się usunięcia Jezuitów dlatego, iż sobie pozwalają za wiele i mieszają w nieswoje. Zmiękł dopiero, gdy pastor wileński dr. Sanden, *seniores* i cała gmina dyssydentów Wilna wystąpili w roli obrońców misyi królewieckiej. Jakże to się stało?

Rektor wileński Władysław Rudziński, dowiedziawszy się z Warszawy pierwszych dni marca 1685 r. o projekcie wydalenia Jezuitów z Królewca, zaprosił wileńskiego pastora Sandena do siebie i radził po przyjacielsku, aby dyssydenci wileńscy ostrzegli rejencyę pruską, że na wypadek wygnania Jezuitów z Królewca, dyssydenci litewscy wygnani zostaną na pewne z Wilna i innych miast, a ze zborów ich i domów kamień na kamieniu nie zostanie, bo nikt nie będzie w stanie wstrzymać studentów od tego odwetu. „Póki więc czas, piszcie, wołajcie, proście, bo mi was żal. Dotąd wasze wyznania zostawiano w spokoju, miejcież się na baczności". Jakoż pod d. 17 marca

1683 wystosowali dyssydenci wileńscy zbiorową petycyę do rejencyi w Królewcu w powyższym sensie, ta zaś przesłała ją elektorowi. Gdy jeszcze Wichert doniósł, że kanclerz koronny spodziewa się, że elektor w tym wypadku królowej zadość uczynić *(gratificiren)* zechce, odłożył elektor sprawę wygnania Jezuitów na później, żądał tylko od biskupa, aby nowemu plebanowi — był nim od 1685 r. dr. Drescher — polecił Jezuitów, jako swoich pomocników krótko trzymać i ograniczyć ich pracę na samym Królewcu [1].

Edykt nanteński 18 października 1685 r. skazujący Hugonotów (kalwinów) na wygnanie z Francyi, wywołał wprawdzie w duszy elektora, gorliwego kalwina, chęć odwetu na Jezuitach w Królewcu, ale francuski memoryał pastora kalwińskiego z Królewca z d. 26 października t. r. odradził mu to stanowczo. Co winni Jezuici pruscy, że w Nantes wygnano kalwinów? Wydalenie ich z Królewca narobi wiele hałasu w państwach katolickich, iż zechcą i one naśladować Francyę i wypędzać swoich innowierców, a niechybnie za Jezuitów królewieckich odpokutują lutrzy i kalwini w Wilnie i na Litwie, „Jezuici potrzebują tylko popuścić cugli studentom. Zresztą zachowaniem się swojem w Królewcu nie dają żadnego powodu do niezadowolenia; na ich miejsce trzeba będzie powołać innych zakonników, bo parafia więcej jak 4000 katolików, musi być obsłużoną, a ci nie będą lepsi od tamtych“.

---

[1] Jezuici z innym planem i w innej roli osiedlili się w Królewcu, a inną rolę przyjąć byli zmuszeni. Wyobrażali sobie, że jako misyonarze polskiego króla mieć będą własny kościół i dom własny i niezależnie od plebana pracować będą w mieście i na prowincyi. Kościoła im nie dano i mieć nie pozwolono; to pierwszy zawód. Zmuszeni mieć wspólny kościół z plebanem, rozumieli, że plebanowi są współrzędni w kościele, ale poza kościołem rozwinąć mogą misyonarską swą pracę niezależnie od plebana i tak też postępowali. Gniewało to plebana, rejencyę, stany, elektora a nadewszystko predykantów; wszyscy domagali się ich wydalenia, elektor jednak chciał to wykonać przez biskupa. Radziejowski ratując byt Jezuitów w Królewcu, zmuszony był rolę „misyonarzy królewskich“ sprowadzić do skromnej, podrzędnej roli „pomocników plebana“, zależnych w kościele i poza nim we wszystkiem od niego. Nagięli się oni do tej roli, ale niedługo w niej wytrwali.

Elektor dał za wygranę, ale rejencyi polecił, już nie wiem po raz który, szukać sposobów wydalenia Jezuitów z Królewca. Pozostali do jego śmierci 9 maja 1688 r. Spokój ich zakłócił napad studentów akademii na ich rezydencyę, w odwecie na napaść wileńskich studentów na predykanta kalwińskiego; krzyczeli, wyli, strzelali do okien, nikogo jednak nie zraniwszy. Wystąpienie energiczne burgrabiego Fryderyka Fettaua z milicyą zamkową, rozproszyło napastników [1].

(Dok. nast.)

Ks. St. Załęski.

---

[1] Wszystkie te szczegóły wyjęte z *Ms. Litterae annuae Miss. Regiom.* w archiwum parafialnem w Królewcu — *Historia Col. Brunsbergensis et Domus Regiomontanae* w bibliotece gimn. brunsberskiego. — Dr. Dittrich: *Gesch. des Katholicismus in Altpreussen* I, 235—272. — Namiestnikiem Prus był od r. 1657 Bogusław Radziwiłł, nie Janusz jak w art. poprzednim (nr. 236, str. 244) mylnie wydrukowano.

DZIEJE LITERATURY POLSKIEJ

W OPRACOWANIACH PROFESORÓW BRÜCKNERA, CHMIELOWSKIEGO I TARNOWSKIEGO [1].

Trzy rozległe opracowania w przeciągu trzechlecia i liczne mniejsze dają chlubne świadectwo spotężnienia interesu u naszej czytającej publiczności dla piśmiennictwa narodowego. Ale rzecz godna uwagi, że dzisiaj wciąż — jak i dawniej — trzeba się na czele porozumiewać z czytelnikiem co do tego, jak on pojmuje zakres literatury? Żaden z wymienionych w nagłówku uczonych nie daje pod tym względem opinii, a jednak widoczna z toku rzeczy, że każdy pod pojęcie literatury inną istotę podkłada. To skłania sprawozdawcę do wypowiedzenia własnych zapatrywań. Literaturę, wedle jego mniemania, stanowi ogół utworów, wyrażających uczucia i ideały narodu za pośrednictwem pięknego słowa. W literaturze tedy streszcza się i wyraża dusza rasy, plemienia, narodu. Dusza każdego człowieka mieści w sobie dążenie do oderwania się od ziemskich potrzeb, dążenie ku temu,

---

[1] *a)* Aleksander Brückner: „Dzieje literatury polskiej w zarysie". Warszawa 1903. Tom I—II. *Geschichte der polnischen Litteratur.* Leipzig. C. F. Amelangs V. 1901.

b) Piotr Chmielowski: „Historya literatury polskiej". Z przedmową Bronisława Chlebowskiego. Z ilustracyami. Warszawa. Biblioteka dzieł wyb. (1899). Tomów I—VI.

c) Stanisław Tarnowski: „Historya literatury polskiej". Kraków 1900. Tom I– V.

co podnioślej uszczęśliwia, niż wykwintny obiad, słodkie owoce, wygodne mieszkanie... Znajduje ona ten podnioślejszy nastrój w zadowoleniu uczuć miłości osobistej, rodzinnej, w miłości ojczyzny, miłości Boga; znajduje go w wyobrażeniu sobie świata, wolnego od nędz i znikczemnień, od podłostek ludzkich, od krwawych targów o grosz miedziany, od szalbierstw i konwencyonalnych fałszów, od pięściowych rozbojów o wygodniejsze miejsce w życiu. Dusza zbiorowa też pragnie, też dąży. Raz chciałaby rozsadzić i skruszyć pęta duchowej niewoli, chciałaby śmiało i szczerze bez ukrywań lub obłudy wyrazić natłok swoich aspiracyi. Chciałaby wgłębić się w to, co nasi wieszcze nazywali „garścią powołań", przez Boga danych narodowościom. Powstaje wtedy poezya patryotyczna. To znowu pragnie utrwalić w sobie cnoty ojców, otworzyć naoścież wrzeciądze ku jasnym i słonecznym dziedzinom prabytu, z których mgła oddalenia starła już wszelki brud i pył i rdzę, nakładaną na rzeczy przez nieudolność życia. Powstaje poezya sielankowa. Albo też usiłuje wyzwolić się od nalotu obcości, od obyczajowego zdegenerowania. Powstaje poezya satyryczna. Albo znowu pragnie upoić się rozkoszą snów o zaświatach niewcielonych: powstaje poezya marzeń, ideałów i wizyi. Ponieważ w poezyi najbardziej wprost, bezpośrednio wypowiadają się owe uczucia i ideały, przeto też stanowi ona w głównej mierze przedmiot badań historyka literatury. Obok poezyi — interes dla historyka literatury przedstawiają tu działy myśli, które noszą mniej jasne, ale niemniej znamienne cechy narodu i wieku: dziejopisarstwo, krytyka, filozofia, wymowa. Badacz literatury, pragnąc rozpoznać duszę wieków odległych, śledzi przejawy jej w dziełach, rozpatruje genezę dzieł, oraz wpływ, jaki one wywarły na otoczenie spółczesne i na wieki potomne. Aby sobie dokładnie zdać sprawę z powstania dzieła, trzeba spoufalić się z tokiem życia twórcy, dociec, wśród jakich warunków otoczenia i wychowania wytworzył się u niego stan umysłowości, dane dzieło nasycającej. Ale też tylko o tyle przy literackiem badaniu niezbędna jest znajomość życiorysów, o ile dozwala nam ona dokładniej, jaśniej, głębiej pojąć dzieło. Cóż mi po tem, że wiem, ile miał

dzieci Górnicki lub z jakiego domu pochodziła żona Orzechowskiego, jeżeli wiadomości te nie przyczyniają się do pełniejszej znajomości ich utworów?

Śledząc wątek dzieł pewnego narodu i pewnego wieku, dopatruję się pomiędzy dziełami jednego pisarza a następnie między dziełami wielu pisarzy podobieństw i różnic, a te podobieństwa i różnice zarówno w treści jak w formie uprawniają mię do tworzenia grup. Powiadam, że jakaś potężna idea dawała tchnienie swe i piętno całemu rzędowi autorów i nazywam tę ideę prądem czasu. Wyróżniam w tym prądzie cechy, które jako nalot obcy zabarwiły działalność autorów — oraz inne cechy, które na utworach pozostawiła rodzimość pisarzy. Taki naukowo-badawczy pochód od dzieła do dzieła, od pisarza do pisarza, od grupy do grupy, od okresu do okresu i od prądu do prądu uczy mię, jakim losom, zmianom i przeistoczeniom ulegała w przebiegu wieków dusza narodu, zanim osiągnęła kształt spółczesny. Mam to przekonanie, że historya literatury nie potrzebuje się kusić o jakieś jeszcze podnioślejsze cele ponad ten. Nie należy mniemać, jakoby zadaniem historyka literatury było osądzenie pisarzy, pociąganie ich przed *forum* mody i słabości, upodobań i uprzedzeń chwilowych i zmiennych czy to dzisiejszych czasów czy dzisiejszych ludzi. Grzeszą wielce ci historycy literatury, którzy ferują wyroki na działaczy i autorow wieków minionych, stosując miarę własnych przekonań w urojonem mniemaniu, że te są niezachwiane, wiecznotrwałe, jedynie prawdziwe i nieomylne; co zaś nie mieści się w ciasnych warunkach ich przekonań, to już i złe i mało warte. Zadaniem historyka literatury nie sądzenie, lecz wyjaśnianie.

Myśli te towarzyszyły mi przy lekturze niepospolitej miary dzieł trzech najwybitniejszych dziś u nas historyków literatury: wzbogacają one nadzwyczaj zasób dotychczasowej wiedzy o dziełach przeszłych, uzupełniają się nawzajem, uwzględniają i reasumują masę cząstkowych dociekań, wskazują tory, jakimi ma podążać przyszłość, aby rozświetlić widnokręgi, dotąd ośmione

mgłą niepewności, słowem postępowi badań nad literaturą narodową nadają niezawodny kierunek.

Najoryginalniej począł sobie w swem dziele „filolog z powołania, historyk literatury z musu“, jak sam wyznaje — profesor berlińskiego uniwersytetu dr. Aleksander Brückner. Doprowadza on dzieje do chwili bieżącej i w dwóch tomach rozróżnia dwadzieścia rozdziałów, opatrzonych nagłówkami, które brzmią: I. Początki. Wiek XV. Scholastycyzm. Wiek Zygmunta Starego. Humanizm. Druga połowa XVI w. Reformacya. Literatura narodowa. Tło dziejowe i prądy umysłowe. Literatura prozaiczna. Poezya szlachecka. Zastój saski. Odrodzenie. II. Klasycyzm warszawski. Początki romantyzmu. Literatura na wychodźtwie. Adam Mickiewicz. Juliusz Słowacki. Zygmunt Krasiński. Literatura w kraju. Literatura najnowsza (1864—1903). Jej tło. Proza historyczna. Kierunki literatury najnowszej. Jej poezya. Dramat. Powieść — od Kraszewskiego do Sienkiewicza. Powieść najnowsza. — Tytuły nie wiążą w organiczną całość ciągu literatury, są przygodne, raz za podstawę przyjmują prąd literacki, innym razem religijny, innym znów filozoficzny i t. d. Profesor berliński obszedł zatem trudność podziału na okresy, snute ze znamion, jakie cechowały literaturę skutkiem czy to wpływów obcych czy też spotężnienia pierwiastków rodzimych. Nie wynika stąd, aby pominął wpływy obce: owszem przeciwnie, uwzględnił je w szerokiej mierze, więcej, niż motywy swojskie. Przygodność ta atoli wyrodziła pewien nieład w ugrupowaniu drobiazgów. Na przykład. Rozdział trzeci ma tytuł „humanizm“, rozdział czwarty „reformacya“, oba zaś obejmują niespełna wiek XVI, bo w nim także mieści się i „literatura narodowa“. Czytelnik w rozdziale trzecim otrzymuje szkic humanizmu w Polsce jakkolwiek bogaty w treść — to jednak szkicowany, bo inaczej być nie mogło, skoro nań autor przeznaczył 20 kartek tylko; ale przytem przebiega się szybkim pędem połowę XVI wieku. Ze zdziwieniem spotykamy się tu z Rejem zwłaszcza po zapewnieniu, że Rej nie umiał po łacinie; ze zdziwieniem zapoznajemy się z powieściami, zielnikami i książkami medycznemi, które z głównym prądem wcale nic albo bardzo mało

miały związku, a natomiast nie widzimy Kochanowskiego, jakby on humanistą nie był. Nie widzimy go tem bardziej i w czwartym rozdziale, jakkolwiek pohamowani w rozpędnym biegu wracamy znów ku początkom i śledzimy rozwój idei nowatorskich, walkę z niemi katolików przez wiek XVI. Ze zdziwieniem wypada nam tu zajmować się dziełem Modrzewskiego *De republica emendanda*, dziełem Maryckiego *De scholis seu academiis*, nawet „Kazaniami sejmowemi“, nawet „Wzywaniem do pokuty“ (wiek XVII!). A Kochanowskiego niema! W następnym rozdziale dopiero — gdy znów, po raz trzeci wracamy do początków XVI wieku — poznajemy wreszcie i tego poetę.

Myślę, że trudno było wynaleźć układ sztuczniejszy. Skutkiem tego o jednym i tym samym pisarzu, o jednem i tem samem dziele mówi się na kilku miejscach [1]; skutkiem tego chronologię traktuje się jak na drwiny — i ona, która powinnaby stanowić koścień całego organizmu — nie odgrywa zgoła żadnej roli. Wszakże ani humanizm, ani reformacya, ani narodowość nie nasycają tak spełna i całkowicie literatury wieku, żeby wszystkie te trzy pierwiastki nie istniały obok siebie i spółcześnie, żeby wszystkie nie znajdowały dla siebie wyrazu nie już u jednego i tego samego pisarza, ale nawet w jednem i tem samem dziele. Zarówno humanizmowi w trzecim, jak reformacyi w czwartym i literaturze narodowej w piątym rozdziałku — ciasno, aż niemiło; one rozsadzają gwałtownie ramy tych stronnic — i po prostu zdumiewać się trzeba, że Brückner, który przeszłość narodową i literacką zna w niezliczonej ilości zjawisk, nie pokusił się o rozpatrzenie ich w porządku chronologicznym, łącząc zjawiska życia, prądy polityczne, społeczne, umysłowe wraz z ich analizą w dziełach w jeden potężny obraz historyi cywilizacyi, jak ona szła ku rozkwitowi i jak ku upadkowi się chyliła. Takie zaś rozbicie i rozkruszenie kultury narodu na cząstki

[1] Na str. 70 mówi o Krzyckim, przerywa i zaczyna o Janickim, przerywa i wraca do Krzyckiego, kończy o Krzyckim i zaczyna o Janickim; skończywszy na str. 71 o Janickim, mówi parę słów o Dantyszku i znów o Krzyckim. Tak samo kilkakrotnie o Reju, o *Actio in Iesuitas*, o Naborowskim i t. p.

i cząsteczki, opatrzone przygodnemi etykietami, czytelnika nie zadowala, a ku uczonemu budzi żal, że chcąc wymyślić coś nowego nie poszedł raczej dawnym torem okresów i życiorysów.

Rozdziały szósty i siódmy roztaczają przestronny i w szczegóły niezmiernie obficie zaopatrzony widok na wiek XVII. Wiadomo powszechnie, jak przednim znawcą tego wieku jest prof. Brückner. Zamiarem jego było temu wiekowi oznaczyć właściwsze, niż dotąd zajmował, miejsce — i zamiar się całkowicie powiódł. Z przedstawienia prof. Brücknera wyłania się literatura samodzielna, bogata, nad pojęcie urozmaicona, pełna częstokroć polotu i siły. Mnogość dzieł i mnogość pisarzy świadczy chlubnie o tym wieku nawet w zestawieniu z poprzednim. Szanowny autor *con amore* traktuje wiek ten na stu sześćdziesięciu sześciu stronach (wobec stu czterdziestu, poświęconych złotemu!), popierając wywody gęsto sypanymi cytatami z utworów bądź zgoła niedrukowanych, bądź też ukrytych po czasopismach i w całość drukiem nie ujętych. Ale podział czyni znowu sztuczny: na literaturę prozaiczną i poezyę szlachecką. W pierwszej części kładzie nacisk na działalność pisarską mieszczan, ażeby w drugiej z umysłu odznaczyć produkcyę szlachty. W opracowaniu niemieckiem rozdział drugi odpowiada rozdziałowi np. *Die Dilettanten des XVII Jahrhunderts*. Dlaczego dyletanci? Twierdzenie, jakoby jeden Wacław Potocki był z zawodu poetą — inni dyletantami — wydaje mi się czysto formalne. Czy można mówić w tych czasach o zawodzie pisarskim? Chyba nie. O ileż to mniej zawodowym od Potockiego był Twardowski lub Kochowski? Dlaczego dyletantem podobało się autorowi nazwać Lubomirskiego, który 30 dzieł pozostawił? Czy nie takim samym dyletantem jak Opaliński, Piotr Kochanowski, Starowolski lub Morsztynowie był i Górnicki, i Skarga, i Orzechowski, i Krasicki lub Zabłocki? Nie wydaje mi się także bardzo trafnym podział na literaturę mieszczańską i szlachecką. Prawda, że np. Potocki w „Poczcie herbów“ uważa szlachtę za rodzaj zakonu, związanego w bratni sojusz ku spełnieniu pewnego powołania, a mniemanie to dzielą i inni spółcześni pisarze, możnaby tedy z powodzeniem bronić na mocy osnowy i ogólnego tonu szlachec-

kości tej poezyi, ale czy tak samo ma się rzecz z mieszczaństwem, które — jak to raz wraz musi sam szan. autor stwierdzać — sprzeniewierza się swemu pochodzeniu i jak Szymonowicz, Kacper Twardowski i t. p. emigruje do grona szlachty. A na tę emigracyę utyskują przecież pisarze już w XVI wieku. Czemże się zatem wyróżnia ta rzekoma mieszczańska literatura w przeciwstawieniu do szlacheckiej? A jak jest przygodny i ten podział, najwidoczniej stwierdza okoliczność, że w rozdziale p. t. „Literatura prozaiczna“ — znaleźli się i Szymonowicz, i Zimorowicz, i komedya, i Stanisław Herakliusz Lubomirski, i poetyczne utwory Starowolskiego.

Najgorzej zapewne wyszedł na przygodności układu wiek XIX literatury polskiej. Autorowi wszystko jedno, czy zatytułować „klasycyzm warszawski“, czy po prostu „literatura na wychodźtwie“, czy jeszcze prościej „powieść od Kraszewskiego do Sienkiewicza“. W niemieckiem opracowaniu mamy nawet w taki osobliwy sposób oznaczonę trzy stadya literatury XIX w.: *Anfänge der Romantik 1820—1830, Die Romantik der Emigrationslitteratur, Die Romantik daheim.* Czasby już było nareszcie przestać chrzcić literaturę po 30 roku niedorzeczną nazwą romantyzmu, skoro ona jest tak ogromnie narodową, a romantyzm nasyca się pierwiastkami obcymi. Romantyzm polski jako prąd literacki — skończył się „Konradem Wallenrodem“ i apoteozą pieśni ludowej w „Pieśni Wajdeloty“, a po 30 roku żaden z poetów nie myśli zgoła o romantyźmie, lecz poezya staje się wieszczą i grzechem jest obniżać wzniosłość tego jej charakteru przez podszywanie go pod nazwę literackiego prądu. I Mickiewicz, gdy tworzył „Dziady“ w Dreznie, i Krasiński, gdy pisał „Irydiona“, i Słowacki, gdy układał „Kordyana“ czuliby niesmak, gdyby ich nazwano romantykami.

Nie tylko co do układu dzieła postąpił sobie prof. Brückner oryginalnie. Już w krótkiej przedmowie zaznaczył, że wykluczył bio- i bibliografię. Jakże niesłusznie! Dawne podręczniki do absurdu doprowadzały pracę życiorysową; zdawało się, że celem historyka literatury — znać życiorysy i bibliografię w najdrobniejszych szczegółach. U profesora Brücknera spotykamy

się z drugą krańcowością: życiorysy pomija całkowicie, bibliografię traktuje w sposób czasami tak lekceważący, że aż podziw zbiera. A jednakże geneza wielkiej ilości pomysłów, przekonań zasadniczych, dzieł dałaby się jaśniej, lepiej uświadomić właśnie tej „szerszej publiczności“, dla której książkę przeznaczył, gdyby nie gardził życiorysami, o ile się one już przez źródłowe dochodzenia wyświetliły tak, że rozwój umysłowy pisarza rozpoznać pozwalają. Bardzo słabo wypadła ocena działalności Kochanowskiego w dziele Brücknera dzięki temu, że nie uwzględnił pracy Plenkiewicza z IV tomu wydania pomnikowego. Prawie pominięto rozbiór dzieł łacińskich — elegii i epigramatów, prawie pominięto takie utwory, jak „Epinicion“, „Muzę“, „Zgodę“, „Wróżki“, „Proporzec“, „Fraszki“ i „Dworzanki“, prawie pominięto cały humanizm wielkiego poety, ujawniony w niezliczonych szczegółach; z reminiscencyi klasycznych w „Trenach“ ukuto gołosłowny zarzut przeciwko temu arcydziełu (I, 184), prawie pominięto ludowość w jego poezyi, pieśni zbyto zaledwie paru słowy, o wersyfikacyi nie powiedziano nic, przekonania religijne określono słowy Orzechowskiego, o politycznych — pomimo obfitego materyału — przemilczano, tylko znaczenie ukazano, wydobywszy zręcznie opinie spółczesnych o Kochanowskim — i to wszystko na o ś m i u stronicach wobec jedenastu oddanych Wacławowi Potockiemu w XVII wieku! Prawda, że Potocki nazwany „jedynym“ poetą tego wieku i zestawiony z Kochanowskim (I, 335), musiałby atoli prof. Brückner jeszcze do ogłoszonych o nim studyów dodać parę estetycznych, zanimby zdołał mniej łatwowiernym wpoić takie przekonanie. Tymczasem trzeba je uważać za tezę bez dowodu. Pominięcie całkowite życiorysów ujemnie wpłynęło zwłaszcza na dzieje literatury XIX wieku. Adam Mickiewicz dwukrotnie nazwany „najsubjektywniejszym z poetów“ (str. 65 i 108), „najbardziej egotycznym ze wszystkich poetów“, a ten egotyzm i subjektywizm Mickiewicza, jakkolwiek najusilniej przez szan. autora naciągany przy rozpatrywaniu „Grażyny“, „Wallenroda“, „Pana Tadeusza“, nie ostałby się bezwarunkowo, gdyby rozpatrywaniu twórczości towarzyszyło głębsze wnikanie w duszę poety; nie

uszłoby wówczas twierdzenie, jakoby Mickiewicz po zwiedzeniu Berlina i Weimaru „osiadł w Rzymie, zajęty rozległemi studyami historycznemi i estetycznemi nad pisarzami starożytnymi, nad Winkelmanem i Niebuhrem“, jak gdyby po to właśnie do Rzymu jechał; nie uszłoby stłaczanie lat i omawianie obudzenia się religijności bezpośrednio po frazesie powyższym, podczas gdy to się stało w rok później. Pogłębiłyby się genezy wielu utworów największych poetów, od „Pana Tadeusza“ począwszy aż do „Przedświtu“; nie trzebaby było w taki dorywczy a niezrozumiały sposób wspominać z okazyi dzieł o szczegółikach z życia, jak np. owa wzmianka o miłości ku Ludwice Śniadeckiej z powodu „W Szwajcaryi“ Słowackiego. Nie byłoby takich bałamuctw, jak sumaryczne ściągnięcie dwudziestu lat życia Korzeniowskiego w zdanie „jako profesor kijowski czy dyrektor gimnazyum charkowskiego a potem warszawskiego“ — następnie zaś omawianie „Karpackich górali“, „Żydów“ i „Panny mężatki“, których powstanie nie wiadomo w którym okresie życia umieścić: kijowskim, charkowskim czy warszawskim. I tak bez końca.

Godzi się też omówić kwestyę traktowania przez prof. Brücknera bibliografii.

Wiadomo powszechnie, że jest on studnią erudycyi w dziedzinie literatury polskiej. Nie wiem, kogoby można pośród współczesnych uczonych polskich wskazać, żeby tyle książek widział, co więcej, przeglądnął, a nawet przeczytał. W tej umysłowości zespoliła się szczęśliwie nie tylko — jak Górnicki mówił — „biegłość w rzeczach“, ale i „dzielność w czynach“. Wiele umie, wiele pamięta i przypomina, zna wszystkie większe księgozbiory, mnóstwo przerzucił rękopisów, ogrom rzeczy przepisał lub wyzyskał, a nadto potrafi biegle i prędko pracować, oryentuje się w oddalonym czasie znakomicie, porównywa i zostawia trafnie, odgaduje najczęściej domyślnie. Nie oparł się też łatwo zrozumiałej pokusie olśnienia czytelnika mnogością nazwisk, tytułów, spostrzeżeń, cytatów, którymi strzępi karty swojego dzieła tak, że czytelnik czuje się tą olbrzymią ilością szczegółów jakby odurzony. Aby go doszczętnie zmiażdżyć, każe mu szan. autor

przypuszczać, że wszystko to dopiero cząstka całości, przytaczając bowiem po parę przykładów, mówi współcześnie o „całym wylewie“ poezyi (I, 289), o „całym deszczu wierszy“, produkcyę dramatów liczy „tysiącami“ (I, 242), sam zaś — dosłownie mówię — parę tysięcy razy w dwu tomach nie zamyka wyszczególnienia, lecz opatruje je domyślnikami: „i inni“, „i t. p.“, „i t. d.“, tak, że one niemal manierują styl autora. Ale przesada zawsze szkodzi. Zamiast pietyzmu dla erudycyi, budzą się u czytelnika wątpliwości różnego rodzaju. Prof. Brückner oświadcza, że przetłumaczył swą książkę dla „szerokiej publiczności“. Ale „szeroka publiczność“ nie oddając się specyalnym studyom nad literaturą polską, bez uprzedniego przygotowania, nie spamięta tysiąca nazwisk i drugiego tysiąca tytułów, których nie będzie miała gdzie umieścić, bo chronologii brak; a choćby nawet i spamiętała — to je wkrótce zapomni, bo nie spotka się w życiu całem z książkami i rękopisami, które uczony profesor wymienia. System napychania głów szeregiem nazwisk i tytułów należy do archeologii w nauczaniu i można uznać za pewnik, że książka ta nie podniesie wiedzy u ogółu, gdyż nie stanie się popularną. Okaże się natomiast cenną dla młodych badaczy literatury, a okazałaby się taką w dwójnasób, gdyby nie lękliwe trzymanie przez uczonego profesora swojego światła pod korcem, gdyby nie skąpstwo, z jakiem udziela wskazówek, gdzie to wynalazł, gdzie to czytał? Przedmowa głosi: „przypisów unikał: przeznaczył dzieło dla szerszej publiczności, obojętnej na to, gdzie się cytata, a choćby i dzieło całe znachodzi, czy w znanym dawno druku, czy np. w rękopisie tylko mało komu dostępnym“. Otóż to zasada, co się zowie, zgubna. Autor powiada: „musisz nauczyć się tak, jak j a chcę, musisz mi wierzyć n a s ł o w o, bo ci nie powiem, gdzie jest książka, rękopis, artykuł, wiersz, który ci objaśniam“. Ponieważ zaś sam wciąż tylko szkicuje, szkicuje i szkicuje — prędko, urywkowo, niedokładnie, dlatego przyswajanie wedle jego książki może doprowadzić do rozpaczy. Wciąż trzeba pytać, skąd to wziął, gdzie to czytał? Niech powie, niech swojemi wzmiankami nie budzi podejrzeń, że wziął tylko od Estrejchera lub Załuskiego i koniec; niechaj udzieli wskazówek,

czy profesorskich czy koleżeńskich, aby można było w danej bibliotece, w danej *Silva rerum* wiersz odszukać, sąd sprawdzić. Powie np.: „gdy się Sierakowski Lampart żenił, posypał się na niego r ó j epigramatów z powodu Lamparta, a on (albo może H. Morsztym za niego?) każdemu się t r a f n i e innym epigramatem złożył“ (I, 289). Jaką rzeczywistą wartość może mieć taka wzmianka, skoro nie wiemy, gdzie szukać r o j u, nie możemy stwierdzić t r a f n o ś c i, a sam nawet autor nie pewien, czy tworzył odpowiedzi Sierakowski czy Morsztyn? Innym razem nazwie Naborowskiego Daniela „znakomitym poetą“ (I, 288), wraca do niego kilkakrotnie (I, 294, 298, 307, 344), poświęca mu nawet dwie stronice, mianuje utwory mistrzowskimi, ale kwestyę, gdzie są te utwory, zbędzie krótko: „częste po rękopisach“. Przytem cytuje wiersz w całości p. t. „Na oczy królewny angielskiej (żony falcgrafowej)“ i wyjaśnia, że wiersz ten mylnie przypisują Andrzejowi Morsztynowi, ale nie dodaje, że był on już w 1820 r. drukowany w *Wandzie* warszawskiej (tom I—II, str. 141) p. t. „Wiersz Daniela Naborowskiego Elżbiecie, córce Jakóba, króla angielskiego na oczy jej napisany, gdy ks. Radziwił, wojewoda wileński, w poselstwie jeździł do Anglii“. Innym razem powie o przekładzie *Adone* Marina w takich dytyrambicznych pochwałach, że wzbudzi łakomą chęć czytania, odgaduje tłumacza w osobie Grotkowskiego, potęgując apetyt czytelnika i zakończy, że „ta praca w rękopisie“ — ale gdzie? nie doda (I, 302—3). Tego sposobu używa nieustannie z wielką, nieoszacowaną dla młodych badaczy szkodą. Bywa jednak jeszcze gorzej — zwłaszcza w niemieckiem opracowaniu, ale nieraz i w polskiem, kiedy mówi o dziele, a nie wymienia autora. Na str. 81 w olbrzymim, 18 wierszy druku obejmującym okresie, mówi o jakimś poecie współczesnym Kochanowskiemu — nie podając nazwiska, toż samo na str. 101, 178 i t. p. Jak sobie radzą w takich wypadkach niemieccy słuchacze, nie pojmuję. To znowu zdarza się, że autor ukazany, ale tytułów dzieł jego całkowity brak. Mówiąc o Modrzewskim (I, 75), napomyka dr. Brückner o wątku wszystkich jego dzieł, nie podając a n i j e d n e g o tytułu.

Takie traktowanie bibliografii nie może zadowolić ani szerokiej publiczności ani młodych adeptów nauki, ani zawodowych badaczy. Z wysiłkiem nadzwyczajnym starał się prof. Brückner zamknąć w szczupłych ramach paru tomów jak najwięcej nazwisk, które przecież bibliografią nie są. Od nazwisk roi się na kartach jego Zarysu: dobywa on z przeszłości każdy strzępek, ocenia go częstokroć przez szkła powiększające, zaleca wymownie i w najlepszej wierze — i puszcza w kurs, jako wzbogacenie dotychczasowej wiedzy. Jeden przykład. Oto „fararz“ Kluczewski — Adam Gdacyusz, uczeń luteranów wileńskich, potem pół wieku między „Wasserpolakami“ każący i drukujący, nie dający się „od swego zawziątku odgromić“, chociaż rozmaici „ożuwcy, szczekuły i gryzisławy“ osoby jego „do nasytku językiem się naczosali“. Fararz wyborny ze swoją polszczyzną, którą objaśniał artykuły wiary „tak pogmatwolone, iż do wywięźlenia i wymacania prawdy potrzebaby jakiego oddennego, ktoby ją na wierzch wywindował, pływacza“; z cytacyami z Kochanowskiego, o których się w Czarnym lesie nigdy ani śniło, z anekdotami nieskończonemi; z pouczaniem słuchaczów „kiedy się małżonkować mają“ albo że się nie mają „żołądkować“ na jego polszczyznę. „Wasserpolowie nadęci niech pierwej polskie czytają autory z chęci, a też ich szczekania są błahoważne u mnie“. Mimo niektórych germanizmów władał on polszczyzną znakomicie“ i t. d. (I, 213).

Pytam teraz, z jakiej racyi Gdacyusz znalazł w „Zarysie“ miejsce, skoro dr. Brückner ani jednego dzieła nie wymienił? Czy może dla tych kilku i innych tym podobnych — *laissez le mot* — bredni? Jaki wkład ważnych myśli, jaki dorobek formalnego piękna wnoszą one do skarbnicy ducha narodowego, że godzi się im poświęcić aż pół strony „Zarysu“? W zbiorze kuriozów zająłby może Gdacyusz miejsce nielada — ale historya literatury może go i nadal zostawić opiece niepamięci. Tymczasem szan. autor dla Gdacyusza przeznaczy więcej niż pół strony, a „Sielanki“ Szymonowicza zaszczyci całą stronicą, „Pana Podstolego“ zbędzie dziewięciu wierszami, ale Krzysztofowi Piekarskiemu znowu odda półtorej stronicy i nazwie go „sztuk-

mistrzem języka, od którego i Krasiński uczyćby się mógł: od łbowatej mózgownicy począwszy, łyczakiem do podkasałej szubienicy przytaśmowanej, od tego, jak się naumordusił kaszlem, nim się wtorbanił na łóżko, dla zamieszanego rumrychtem smrodliwym powietrza aż do Endymiona owczarza, bryndzą utuczonego farynnika Jowisza, mydlarza Apollina“ i t. d. (I, 280). Ani w tem sensu, ani myśli, ani piękności, nic prócz paru trywialnych językowych osobliwości — i ten ma być mistrzem Krasińskiego! Stąd parę wniosków. Po pierwsze: nie każdy wiersz, ani nawet zbiór wierszy, ani nawet więcej zbiorów wierszy należą do literatury, jeno te, które wypowiadają uczucia i ideały narodu za pomocą pięknego słowa; powtóre: jeśli Gdacyuszowi i Piekarskiemu — obu znakomitościom wedle dra Brücknera — odmówię mistrzowstwa w literaturze polskiej, to muszę też zakwestyonować n a r a z i e co najmniej paruset wprowadzonych przezeń nowych literatów aż do chwili, kiedy badanie ściślejsze dzieł ich prawa im tego nie przyzna na podstawie nie gołosłownych twierdzeń, lecz starannej analizy; po trzecie: niezaprzeczoną i niespożytą zasługą autora „Zarysu“ pozostanie na zawsze impuls dany do rozszerzenia ram dotychczasowej wiedzy w dziedzinie historyi literatury zwłaszcza co do wieku XVII i już tylko trzeba odpowiednich wskazówek profesorów polszczyzny w uniwersytetach krajowych aby wiek ten odsłonił lica zgoła do dzisiejszego niepodobne, a stokroć wspanialsze; nareszcie po czwarte: jakkolwiek rzekłem, że dr. Brückner z niesłychanym wysiłkiem starał się w książkę swą zawrzeć jak najwięcej materyału — nazwisk, dzieł, szczegółów, to jednak twierdzę, że ich nie wyczerpał, o czem zresztą i sam mówi w przedmowie. Zachodzi tu atoli osobliwa pewna okoliczność. Szanowny profesor, strawiwszy lata na rozległych i głębokich studyach nad literaturą polską, poczyniwszy mnogie odkrycia, znalazł się w położeniu smakosza, któremu nawet wykwintne i bogaczom właściwe, ale znane jadło smakuje mniej, niż nowalia, zwłaszcza ostrym przyprawiona sosem. W przedmowie wyznaje: „na ocenę znaczenia wpływało to, co autor za prawdę uważa“. Ma się tu rozumieć ocena znaczenia czy dzieła czy pisarza — i oczywiście—

inaczej być nie może. Bardzo daleki byłbym od posądzenia autora o to, żeby co innego za prawdę uważał, a wedle czego innego oceniał, choćby się nawet nie zastrzegał w przedmowie. Chodzi mi o zbadanie i przedstawienie, jakich kryteryów trzyma się podczas oceny, z jakiego punktu widzenia patrzy na twórczość, jakie miary stosuje i jak wypadają jego sądy? Bo trzeba z góry powiedzieć, że pomimo starań o przedmiotowość, szanowny autor nie bywa zawsze przedmiotowym, pomimo wykładu — ogólnie biorąc — rzeczowego, feruje wyroki i sądzi, nie zaś komentuje i wyjaśnia. Otóż te właśnie kryterya prof. Brücknera — to sprawa nadzwyczajnie zawiła, mieniąca się jak Proteusz, nieuchwytna, zmienna i przygodna. Ja to rozumiem, że wedle innych norm ocenia się poezyę, a wedle innych prozę.

Autor „Zrysu“ nie rozporządza wielkim zasobem poczucia piękna w poezyi, o czem — jak się zdaje — sam wie, bo estetycznych ocen nie lubi i unika, o ile zaś stosować je musi, to albo powtarza za znanymi krytykami, albo nie powie nic, i częstokroć obniży przez to znaczenie i dzieła i pisarza.

Jakże ocenia Kochowskiego? Powie o nim: najcelniejszy między poetami ziemi sandomierskiej, pisał „ciekawe“ wiersze z tytułami wyszukanymi, ze stylem nieraz szorstkim, z językiem zawsze jędrnym, plądrował Marcyala. Poezya jego religijna nadzwyczaj słaba; „Chrystus cierpiący“ fatalnie Bakę przypomina; najfatalniejszy „Ogród“. Cała ta poezya przypomina dziwolągi estetyczne saskie. Nakoniec pochwali Psalmodyę za Nehringem. Niema co mówić: wedle tej oceny Horacy sandomierski w istocie daleko od Horacego „odskoczył“, ale na pociechę literatury powiedzieć trzeba, że ocena to zupełnie chybiona. Ani wspomniał o poemacie „Kamień świadectwa“ i początku drugiego „Dzieło Boskie“; mniejsza o to. Nie scharakteryzował świeckiej liryki z „Niepróżnującego próżnowania“, choć są tam utwory pierwszorzędnej piękności — równie patryotyczne jak sielskie („Na wjazd Jana Kazimierza“, „Gniazdo ojczyste“, „Myśliwstwo“); ani słówkiem nie potrącił o barok tej poezyi i stosunek jego do baroku Morsztynów, Potockiego, Naborowskiego, Lubomirskiego; milczeniem pominął słuszny

i gruntowny wywód Nehringa o znaczeniu Kochowskiego, jako wersyfikatora w dziejach rozwoju naszej zwrotki, rymu i rytmu; nie zwrócił uwagi na to, że jest on głównym przedstawicielem w poezyi reakcyi przeciwko humanizmowi w kierunku religijnym i patryotycznym; nie odczuł i nie uświadomił formalnych piękności obrazowania w lirykach i „Psalmodyi". Skutkiem tego szkic doszczętnie chybił, wizerunek poety wypadł niedołężnie, bo religijne poematy rzeczywiście najsłabsze.

Takich ocen najwięcej w obrazie XIX wieku. Tu co moment ukazać można jakąś konfuzyę. Styl Malczewskiego w „Maryi" „przypomina pogoń za przenośniami i alegoryami, dziś najbardziej czytelnika rażącemi" — co popiera kilku przykładami niezrównanej pomysłowości poetycznej i plastyki; pomija całkowicie analizę formy poetycznej u tego epika, przeczuciowość i psychologię Wacława, używanie kontrastów wedle własnej zasady: „sztuka malarza z dobranych przeciwności czarowną myśl stwarza", kładzie przesadny nacisk na ślady wpływu Byrona i znów obniża znaczenie poematu (II, 77). „Grażynie" zarzuca, że ma „luki byrońskiego opowiadania" (II, 61), „Kordyanowi" bez motywów odmawia dramatyczności (II, 137), o „Horsztyńskim", jednej z najgłębszych kreacyi Słowackiego, nie mówi n i c (II, 140); „Anhellego" czyni obrazem „nie narodu całego, raczej jego emigracyi", podczas gdy liczne ustępy z pierwszej połowy absolutnie losami emigracyi wytłumaczyć się nie dadzą, jak np. głodne chłopięta, karmione przez popa chlebem za wyrzeczenie się wiary i ojczyzny, albo jabłoń, żywiąca konfederata i jasnością odganiająca celników; formalne piękności zbywa jednym banalnym frazesem: cudowne wykończenie formy (II, 144); o „Ojcu zadżumionych" nie mówi prawie nic (II, 145); głównej idei rapsodu „Króla Ducha" nie podaje, widocznie nie znając pięknej o tym rapsodzie pracy Asnyka w *Przewodniku liter. lw.* i t. d. A jednak pomimo licznych braków w ocenach arcydzieł polskich XIX wieku, należy jeszcze nazwać je dobremi wobec tych hazardowych sądów, jakie szan. profesor wygłasza o literaturze najnowszej. W dziale tym obejmującym 250 stron końcowych, perspektywy brak zupełny:

wszystko pomięszane jak groch z kapustą, wszystkie kierunki tak samo jak ludzie. Tretiak i Małecki znajdą się w towarzystwie z Feldmanem i Neuwert-Nowaczyńskim, tylko że dwom ostatnim poświęci więcej uwagi, więcej zachwytu; „Piśmiennictwo“ Feldmana napisane świetnie, „Małpie zwierciadło“ również „świetnie“, obaj wraz trzecim I. Stenem uczą (oczywiście St. Tarnowskiego, Ant. Małeckiego, J. Tretiaka *et tutti quanti)*, „jaką krytyka literacka być winna, rzucając suchość profesorską i powierzchowność dziennikarską, grzechy pierworodne dawnej naszej krytyki, tendencyjnej do tego zbyt często, niesprawiedliwej i krótkowidzącej, dziś na nowe tory popchniętej. W ich ślady wstępują W. Presser i B. Menoin“ (II, 327). To się nazywa ofiarować grubą świeczkę dyabłu! Nie jest tendencyjny Nowaczyński, gdy jak drwal brutalnie na oślep wymyśla wszystkim po drodze spotkanym, ani Feldman, gdy poza swoim ateizmem świata nie widzi; oni tworzą jedynie dobrą „nową krytykę“, piszą „świetnie i głęboko“, dawni natomiast: Tarnowski, Małecki, Spasowicz, Chmielowski, Tretiak, czyżby może i Brückner? — ci są krótkowidzący, tendencyjni, powierzchowni... Przypuszczam, że szan. profesorowi berlińskiego uniwersytetu sądy te dziś już wydają się za gorące. Czy można — mówiąc nie po dziennikarskiemu — nazwać studyum Matuszewskiego o Słowackim znakomitem, nowele Potockiego „Martosia i my“ znakomitemi i wytwornemi, Belmonta-Blumenthala znakomitym poetą i tłumaczem, „Żabusię“ Zapolskiej kreacyą znakomitą, czy można choćby z jaką taką pretensyą do naukowości określić całą działalność pisarza takiemi słowy: „St. Kozłowski ocenia ‚Trylogię‘ aż nadto sumiennie; W. Gostomski czuły na pierwiastek narodowy; H. Galle nieraz zbyt ostry w sądach (II, 341); Z. Przesmycki, wydawca niegdyś *Życia,* dziś wytwornej *Chimery,* gdzie już niepodzielnie panuje (II, 390); Br. Gubrynowicz około *Pamiętnika literackiego* się zasłużył, ponosząc trudy redakcyjne“ (II, 325) i t. p. Jaką racyę mają te oceny? Wszakże one zupełnie a zupełnie nie charakteryzują fizyonomii pisarza. Co komu zależy na wyrwaniu jednego rysu, w najlepszym razie jednej pracy, w najgorszym zupełnie gołego

nazwiska, i wetknięciu go z wadliwą lub banalną etykietą na karty literatury? Czem różni są ci powyżsi od jeszcze innych, wymienionych tylko w spisie osobowym na końcu, ale bez śladu w tekście książki, jak np. Włodz. Tetmajer, Ant. Karbowiak, Wiktor Hahn i t. p.? Dlaczego nareszcie — skoro się w tekście wspomniało o nieznanych dotąd literaturze Presserze i Merwinie— pominęło się całkowicie Kawczyńskiego Maks., Bądzkiewicza Ant., Konecznego Feliksa, ks. Morawskiego Maryana, Estreichera Stanisł., ks. Załęskiego, ks. Pawelskiego, ks. Koppensa, Sokołowskiego Aug., Cybulskiego Wojciecha, Bartusównę Maryę, Bukowińskiego Wł., Butrymowicza Bog., Brzozowskiego Winc., Rolicza-Liedera, Wyrzykowskiego Stan., i tylu innych?

I tu zresztą, jak w całem dziele, góruje ocena prozy, a zwłaszcza upodobanie do pieprznego stylu: tem można krytyka ująć i podkupić; dlatego zyskają sobie względy krytyka i Feldman i Nowaczyński i Świętochowski i Przybyszewski. Autor „Zarysu“ przy ocenie daje baczność na mnóstwo okoliczności oprócz powyższej. Protestant czy katolik, mieszczanin czy szlachcic, ksiądz czy świecki, to gra taką samą rolę, jak to, czy mieszka we Lwowie, Krakowie, Warszawie. Czasem bywają to rzeczy ważne, ale nie zawsze; u autora „Zarysu“ nazbyt często bez potrzeby. Wszystko wynika z chęci wzmiankowania o jak największej ilości osób, co, jak myślę, zakresowi „Zarysu“ nie odpowiada, w tej formie zaś przestaje być pożytecznem, a nawet sprzeciwia się zasadzie wyrażonej przezeń w przedmowie: „rozprawiam o dziełach, nie o ludziach“.

Skoro już nieco wyżej nadmieniłem o świeczce postawionej ultraradykalnemu dyabłu, to muszę też wspomnieć o drugiej, innemu dyabłu stawianej przez szan. profesora może za pochopnie i za często. Przed rokiem czytałem w któremś warszawskiem piśmie — może *Bibl. Warsz.* — recenzyę niemieckiego opracowania przez Ign. Chrzanowskiego napisaną i w niej podziw dla objektywizmu dra Brücknera, który przed Niemcami i dla Niemców potrafił mówić o Polakach *sine ira et studio*. Znałem już wówczas niemieckie dzieło i myślałem, gdzie podział oczy recenzent, że nie dopatrzył niezliczonego szeregu przytyków,

drwin, upośledzeń, przekąsów, ironicznych zwrotów, jakimi zdobi się i okrasza polskość, a z nią katolicyzm. Wypisywać wszystkich nie będę, ale pewną liczbę, od początku idąc — podaję. „Wieki nierządu iście słowiańskiego“ (I, str. 2), „chaos godny polskiej głowy“ (33), „Polakom gnuśność i niedbalstwo są wrodzone“ (53), „protestantyzm polski ugrzązł na apatyi i konserwatyźmie słowiańskim“ (112), „iście polska niedbałość w wydoskonaleniu wiersza“ (176), „praca bywa w Polsce pomiataną“ (209), „u nas bez hyperbol się nie obejdzie“ (II, 66), „u nas bajek krąży co niemiara“ (II, 74), „Polacy za gotowym wzorem idą, lenią się do torowania dróg własnych, raczej naśladują, niż tworzą“ (88) i t. d. W polskiej książce nie mam tego za złe autorowi, bo godzi się mówić otwarcie i szczerze, co się uważa za prawdę, w nadziei, że błąd uświadomiony — pół drogi do poprawy. Ale żeby profesor-Polak przed wrogiem forum *ad captandam benevolentiam* używał tych samych środków poniewierania własnej narodowości i religii — tego nie mogę pojąć. Przykłady. W wieku XVI nazbierało się 12.000 niezałatwionych procesów o zabójstwo, co wołało o reformę prawa. Wykonano ją połowicznie — profesor doda: *wie alles und immer in Polen* (34). *Die sprichwörtliche Uneinigkeit der Polen, der angeborene, leichtsinnige Hang zum Leben über den Stand* (36), *Polen brauchten ja 500 Worte, wo andere mit vier auskämen — hiess es damals nicht ohne Grund* (100), *oberflächliches Wesen und sträflichster Optimismus slavischen Leichtsinns* (117), *die slavische Resignation und Inertie* (195 i 225), *man redete sich Polen als Kornkammer Europas ein* (195), *auf diese sarmatische Roheit, Beschränktheit, Fanatismus war längst bei den Magnaten französische Frivolität gepfropft worden* (201) i t. p. bez końca. Ilekroć tylko znajdzie sposobność wsunąć jakiś przekąs, nie zaniedba uczynić tego. Mówi np., że w Polsce *beliebter waren schon Karten, Würfel und namentlich das Zechen* (107). Toż samo powie i po polsku, że grzązł naród w nałóg haniebny, ale w polskiej książce doda „za przykładem niemieckim“ (I, 175), o czem w niemieckiej książce przemilczy. I owszem, tam przed protestantami dowodzi z pysznym humorem, że *bei der katholischen Sprache kam es auf die Nationalität*

wenig an, tam szeroko i dowcipnie a z sarkazmem rozprawia, dlaczego to lud wytrwał przy wierze ojców, bo wierzył w skuteczność święconego chleba św. Agaty, w kredę Trzech Króli, w cuda starych Świętych; tam z satysfakcyą przytoczy relacyę wileńskiego burmistrza, że gdy król wchodzi do kościoła (str. 37), dworzanie tłumnie pozostają przed kościołem, *ihren alten Glauben wie Dreck von ihren Stiefeln abwischend,* bo *das katholische Polen d. h. das adelige erwachte eines schönen Tages als ein protestantisches.* Natomiast gdy mowa o Aryanach, to *Ehrfurcht und Bewunderung verdienen diese Gemeinden* i *keine einzige Konfession in Polen hat ein gleich starkes Procent von Schriftstellern aufzuweisen* (49), a kiedy protestanci wycofali się z życia publicznego, *so verarmte polnisches Kulturleben* — biada autor (121). Nikt nie wymaga, aby chwalić w czambuł nawet to, co godne nagany, jednakże we wszystkiem można zachować miarę — zwłaszcza przed obcymi i wrogo usposobionymi; chłosta może się nawet przydać, ale — prosił już Kochanowski — „ojcowskim nas karz obyczajem", z miłością i żalem; jeśli zaś chłostę odmierzasz i sarkasz, i jakieś duszne rozradowanie szyderstwem usta wykrzywia, toć to chyba obyczaj ojczymów nie ojców...

Po tem, co mi się wydawało ujemnem w dziele dra Brücknera, nie potrzebuję zbyt szeroko prawić o zaletach książki. Zbyt dobrze znany jest berliński uczony kołom naszej inteligencyi, aby — cokolwiek raczy napisać — nie było przyjęte przez nią z wdzięcznością i uznaniem. Nie wątpię, że tak się stanie i z „Zarysem", na co on zupełnie zasługuje jako dzieło niezwykłej miary. Nie masz w piśmiennictwie naszem książki, żeby taki ogrom rysów cywilizacyi dawnej i obecnej potrafiła ująć w ramy dwóch tomów o tysiącu niespełna stronic. Rezultat to fenomenalnej pamięci i wiedzy, rezultat długoletnich rozległych studyów, imponujący zwłaszcza mnogością odkryć, poczynionych w literaturze dawnych wieków. Wkład dra Brücknera w pracę pionierską wśród badań krytycznych jest tak wielki, że wysuwa go na samo czoło obecnych uczonych, krzątających się w tym właśnie kierunku. A co się tyczy syntetycznego

oświetlenia naszej przeszłej kultury, to wiek XVII po mistrzowsku w książce traktowany, zawdzięczać mu będzie niezawodnie rehabilitacyę swoją, co więcej, zawdzięczać będzie to, że młodsi uczeni rozsnują wedle wskazówek dzieła wątek szkiców i napomknień, wejdą w archiwalne i biblioteczne zbiory, aby stamtąd wynieść materyał do ostatecznego sformułowania życia i kultury wieku. Będzie to policzone za ogromną zasługę i nadzwyczajną chlubę autorowi „Dziejów literatury polskiej w zarysie“.

(Dok. nast.)

Antoni Mazanowski.

TWORCZOSC RUDYARDA KIPLINGA.

(Dokończenie).

Bez porównania więcej znaczenia mają szkice o zabarwieniu politycznem lub administracyjnem. Wspomnieliśmy na wstępie o obrazku *The Head of the district,* opisującym smutną porażkę Bengalisa mianowanego przez rząd gubernatorem w prowincyach północnych. Sądząc jednak z nazwisk, musi dużo krajowców piastować urzędy, i choć nie należą do rasy zwycięskiej, kto wie, czy los ich nie jest często mniej ciężkim od losu Anglika wyrwanego z łona rodziny, ze szczytu cywilizacyi i komfortu i rzuconego w klimat morderczy, niewygody, niezdrowe jadło, stosunki z obcemi a wrogiemi sobie wzajemnie rasami, albo też w zabójczą samotność! Przedewszystkiem uderza tu wiek dziwnie młody tak urzędników jak i oficerów; co chwila czyta się w opisie: „chłopiec o różowej twarzy"; stary żołnierz Mulvaney nazywa parękroć „dzieckiem" swojego porucznika i mówi o jego wielkich, szeroko rozwartych oczach. Owóż te „dzieci" w tak obcy puszczone świat, nie wszystkie mają siłę się przebić. Pewna ich część marnieje na indyjskiej lub afrykańskiej ziemi i tylko najsilniejsi osiedlają się na stałe lub pod siwym włosem wracają: to są dzieje wszystkich kolonii. Jak wyglądają ci, których już nigdy nie ujrzy ojczyzna, ukazuje Kipling w obrazku: *At the end of the passage.*

„Czterech ludzi, w teoryi uprawnionych do ‚życia, wolności i szukania szczęścia', siedziało przy stole, grając w wista. Ter-

mometr wskazywał — dla nich — sto jeden stopni ciepła. Pokój był tak zaciemniony, iż ledwie można było rozeznać karty i schylone nad niemi wybladłe oblicza graczy. Podarta, zetlała *punka* z białego perkalu poruszała gorące powietrze, skrzypiąc żałośnie za każdem pociągnięciem. Na zewnątrz panował zmrok dnia listopadowego w Londynie. Nie było nieba, ani słońca, ani widnokręgu — nic krom brunatno fioletowego oparu. Rzekłbyś, iż ziemia umiera na apopleksyę.

„Od czasu do czasu niespodzianie, bez wiatru, chmury cienkiego pyłu podnosiły się z ziemi, kładły się na wierzchołki spragnionych drzew i opadały. To znów skłębiony tuman kurzu przebiegał kilka mil płaszczyzny, poczem łamał się i pokładał, choć żadnej na swej drodze nie spotykał zapory prócz długiej, nizkiej linii przysposobionych kolejowych progów białym pyłem odzianych, gromadki chat glinianych, starych szyn i jednej foremnej budowli, czworokątnego *bungalow*, zajmowanego przez inżyniera czuwającego nad częścią budującej się linii gandharskiej.

„Siedzący ludzie, rozebrani aż do najcieńszego nocnego odzienia[1] grali niecierpliwie, sprzeczając się na każdym kroku. Grali dość podłego wista ale i do tego nie doszli byli bez trudu. Mottram, należący do inspekcyjnej służby Indyjskiej ujechał był przeszłej nocy 30 mil ang. konno i 100 mil koleją z samotnego swego posterunku na pustyni; Lowndes, urzędnik cywilny obarczony specyalną polityczną misyą ujechał równy kawał drogi, by choć na chwilę uciec od nędznych intryg zubożałego hinduskiego państwa, którego król to się łasił, to hałasował o więcej pieniędzy z lichych dochodów wyciskanych na biednych rolnikach i zrozpaczonych hodowcach wielbłądów; Spurstow, lekarz linii kolejowej opuścił był na 24 godzin choleryczny obóz kulisów, aby módz białych ludzi oglądać. Hummil, inżynier, był gospodarzem. Ten się nie ruszał i przyjmował co nie-

[1] Większość Anglików sypia — zwłaszcza w podróży — w całkowitych, kolorowych ubraniach z miękkiego fularu, zastępujących bieliznę. W ten sposób pozostają zawsze w gotowości na wszelki wypadek.

dziela przyjaciół, którzy mogli się stawić. Jeżeli który chybił, słał natychmiast depeszę pod ostatnim jego adresem, by się dowiedzieć czy umarł, czy żyje. Wiele jest miejscowości na Wschodzie, gdzie nie należy tracić z oczu znajomych choćby na tydzień.

Ci czterej nie odczuwali wzajemnej przychylności. Sprzeczali się za każdem spotkaniem, ale namiętnie pragnęli się spotykać, tak, jak człowiek spragniony pożąda wody. Byli to samotni ludzie, znający całą grozę samotności. Żaden z nich nie miał 30 lat — a to za młody wiek na taką znajomość.

— Daj Pilznera — rzekł Spurstow po drugim robrze ocierając czoło.

— Piwa już nie mam, bardzo mi przykro — odparł Hummil. — A i wody sodowej ledwie na dziś wieczór wystarczy.

— Piękne gospodarstwo! — mruknął Spurstow.

— Nie moja wina. Pisałem i telegrafowałem, ale pociągi nie chodzą jeszcze regularnie. Przeszłego tygodnia lodu zabrakło — jak Lowndes widział.

— Dobrze, że mnie nie było. Swoją drogą byłbym mógł ci posłać, gdybym był wiedział. Uf! Za gorąco jest, aby grać dalej, i to tak niezdarnie. — Co mówiąc, spojrzał groźnie na Lowndes'a, który się tylko roześmiał. Był to zatwardziały grzesznik.

Mottram wstał i popatrzał przez szparę w okiennicy — Co za cudny dzionek — zamruczał. Wszyscy ziewnęli jakby na komendę, poczem rozpoczęła się bezcelowa rewizya wszelkich ruchomości Hummila: strzelb, podartych powieści, siodeł, ostróg i t. p. Mieli je już w rękach ze sto razy, ale nie było nic innego do roboty. — Nie masz nic nowego? — zapytał Lowndes.

— Zeszłotygodniową *Gazette of India* i wycinek z londyńskiego dziennika. Ojciec mi posłał. Jest dość zabawny.

— Znów jeden z zakrystyanów tytułujących się członkami parlamentu? — zapytał Spurstow, który czytał dzienniki, gdy się do nich mógł dostać.

— Tak. Słuchajcie. To specyalnie dla ciebie Lowndes. Ów

jegomość przemawiał do swoich wyborców i wsadził w mowę co tylko mógł. Naprzykład:

„I nie waham się twierdzić, że cywilna służba rządowa w Indyi jest „remizą“, najulubieńszą „remizą“ dla arystokracyi angielskiej. Cóż demokracya, cóż masy ludu korzystają z tej ziemi, którąśmy piędź za piędzią annektowali nieprawnie? Odpowiadam — Nic! Cały kraj dzierżony jest przez wielkich panów nie mających oka jak dla własnej kieszeni. Dbają oni wybornie o swoje tłuste dochody i wymijają lub tłumią wszelkie dochodzenia co do rodzaju i czynności ich administracyi, a tymczasem biedny lud płaci swym potem za zbytki, w których się oni nurzają!“ Hummil podniósł rękę i potrząsł odcinkiem nad głową. „Słuchajcie! Słuchajcie!“ wołano dokoła.

Na to Lowndes zamyślony: „Dałbym, dałbym trzechmiesięczną pensyę, aby ten pan spędził miesiąc ze mną i przekonał się, jak się wolny i niezawisły władca krajowy bierze do rzeczy. Stary *Timbersides* (tak przezywał szanowanego i orderami ozdobionego księcia) od tygodnia zamęcza mnie na śmierć o pieniądze. Aby mnie zmiękczyć, posłał mi jedną ze swoich żon w prezencie“

— I nie przyjąłeś?

— Nie, a ładna była osóbka. Opowiadała mi bez końca o biedzie, którą cierpią wszystkie: już od miesiąca nowych sukien nie miały! Stary zaś chce kupić z Kalkutty srebrne świeczniki, srebrne kraty i t. p. drobiazgi. Staram się wytłumaczyć mu, że przeputał dochody ostatnich lat i że musi zahamować. Ale nie mogę dojść.

— Przecież mógłby brać z rodzinnego skarbca. Tam ze trzy miliony leży pod pałacem w klejnotach i kosztownościach.

— Gdzieżby hinduski książę tknął skarb swoich przodków! Kapłani zabraniają tego surowo, chyba w ostatniej potrzebie. On sam dodał do swego ćwierć miliona.

— A skąd się to bierze do licha?

— Z kraju. Aż się słabo robi, patrząc na stan tego ludu. Widziałem poborców czekających przy wielbłądzicy, aż się ożrebi, aby zaraz potem zająć ją za zaległe podatki. I co ja

mam na to poradzić? Nie mogę od dworskich pisarzy żądać rachunków. Nie mogę wyciągnąć nic prócz głupiego uśmiechu od głównodowodzącego gdy odkryję, że wojsko od trzech miesięcy nie płatne, a stary król zaczyna płakać, gdy z nim mówię. Wziął się tęgo ostatniemi czasy do kufla...

— Jabym się lekką ręką do niego brał na twojem miejscu — rzekł Spurstow. — Już i tak dość cię będą nienawidzić.

— Łatwo to gadać, ale nie wyczyścisz chlewa piórkiem, umaczanem w wodzie różanej. Wiem, co mi grozi, ale dotąd nic się nie stało. Mego kucharza nie przekupią, bo to stary Pattańczyk, a zresztą nie przyjmuję jadła od moich „serdecznych przyjaciół", jak o sobie mówią. Ależ to ciężka robota! Wolałbym już być z tobą Spurstow. Pono jest zwierzyna, masz na co strzelać koło twego obozu.

— Wolałbyś? Nie zdaje mi się. Przeciętnie piętnaście zgonów dziennie nie dają ochoty strzelania do czegokolwiek, chyba do siebie. A najgorsze w tem, że biedacy patrzą na człowieka, jakby powinien ich wybawić. Bóg wie, że próbowałem wszystkiego. Ostatnia moja próba była wręcz empiryczną, ale dzięki jej, przebrnęło się. Przynieśli mi starego kulisa już bez nadziei; dałem mu wódki i sosu Worcester z pieprzem tureckim. Wyleczyło go, ale zalecać nie mogę.

— Jakże to idzie wogóle? — zapytał Hummil.

— O bardzo prosto: chlorodyna, pigułka opium, chlorodyna, upadek sił, *nitrum*, gorące cegły u nóg a potem — stos pogrzebowy. To ostatnie zda się być jedynym środkiem kładącym tamę chorobie. Wiesz — to czarna cholera. Biedacy! Ale powiadam wam, ten mały Bunsi Lahy, mój aptekarz, pracuje jak najęty. Poleciłem go do awansu, jeżeli wyjdzie żyw.

— A jakie są twoje szanse, mój stary? — rzekł Mottram.

— Nie wiem. Mało mnie obchodzi, ale posłałem podanie. A ty co porabiasz wogóle?

— Siedzę pod stołem i pluję na sekstan, aby go chłodzić — odparł urzędnik od Nadzoru. — Omywam oczy, aby się uchronić przed oftalmią, której z pewnością dostanę i staram się tłumaczyć memu pomocnikowi, że omyłka o 5% w prostokącie nie

jest tak drobną, jak się wydaje. Obecnie jestem zupełnie sam i pozostanę tak aż do końca upałów.

— Najszczęśliwszy z nas to Hummil — zawołał Lowndes, rzucając się na szezlong. — Posiada prawdziwy dach, co prawda z podartym sufitem, ale zawsze dach nad głową. Widuje codzień przejeżdżający pociąg. Może dostać piwa i wody sodowej a nawet lodu, gdy Pan Bóg łaskaw. Ma książki, obrazki wydarte z *Graphicu*, ma towarzystwo subkontraktora Jevinsa, a nadto przyjemność przyjmowania nas.

Hummil uśmiechnął się gorzko.

— Tak, podobno jam najszczęśliwszy z was wszystkich. Ale Jevins jeszcze szczęśliwszy...

— Co?... Nie...

— Tak. Poszedł w przeszły poniedziałek...

— *Ab se?* — zapytał śpiesznie Spurstow, wyrażając ogólne podejrzenie. Nie było cholery w rewirze Hummila a nawet febra najmniej tydzień czasu zostawia. Nagła śmierć zatem była zazwyczaj synonimem samobójstwa.

— Nie godzi się nikogo sądzić w taki upał. Zda się, że to był udar słoneczny — odparł Hummil i (tu opuszczamy dosłowny tekst autora) opowiedział z dziwnym spokojem, jak towarzysz jego po krótkim ataku częściowej bezprzytomności poszedł czyścić strzelbę i „majstrując coś z kurkami, zastrzelił się". Aptekarz (t. j. felczer) chciał do przełożonych napisać długi raport o samobójstwie, ale mu nie dałem.

— Dlaczego?

— Nie było dokładnego dowodu. Zresztą ja sam kiedyś będę potrzebował może, aby zatuszowano podobny wypadek, który mnie się zdarzy. Żyj i daj drugiemu żyć — umrzej i daj drugim umierać.

— Ty zażyj pigułkę! — rzekł Spurstow, który już od chwili wpatrywał się w twarz Hummila bladą, jak kreda. — Zażyj pigułkę i nie bądź osłem! Takie gadanie, to głupstwo. Gdybym był dziesięć razy Jobem, takby mnie zaciekawiało to, co ma nastąpić, że pozostałbym dlatego samego, aby zobaczyć.

— Jam już tę ciekawość utracił — rzekł Hummil.

— Co ci jest? czy wątroba?... — pytał z współczuciem Lowndes.

— Nie. To gorzej – nie mogę spać...

Hummil jest istotnie chory i bardzo chory; to też lekarz nie spuszcza go już z oka. Tymczasem jednak zebrani nudzą się, aż Mottram spostrzegłszy w kącie stary fortepianik, pozostałość po żonie dawnego jakiegoś urzędnika, zasiada i niezręcznie, niewprawnie wyciąga z zaniedbanego wnętrza instrumentu cień znanej ulicznej piosenki. Wtedy obecni skupiają się wkoło niego, pieśni szkockie płyną jedna za drugą, a za każdą pieśnią wspomnienia. Hummil słuchał chwilowo uspokojony. Tymczasem na dworze powstał huragan pyłu i z wyciem przeleciał nad domem zanurzając go w zupełną ciemność. Ale Mottram grał dalej tak, iż brzęczące nuty szpinetu przewyższały klekot szamotanej wichrem powały. Gdy burza przeszła, Mottram zmieniając stopniowo ton rozpoczął Hymn wieczorny.

— Niedziela — szepnął pochylając głowę.

— Nie potrzebujesz się tłumaczyć — odparł doktór. I wszyscy znów słuchali w skupieniu krom Hummila, który wił się w ciemności i co chwila przerywał śpiew gorzkim sarkazmem. Towarzysze prosili, by ze wszystkiego żartował, byle nie z tego, przyczem Spurstow dodawał, że go, gdy był dzieckiem, matka tą pieśnią kołysała do snu.

— Więc dlatego — odburknął — śpiewasz ją teraz, kiedy jesteś na siedm mil głęboko w piekle! Jest to obelgą dla inteligencyi Bóstwa utrzymywać, że jesteśmy czem innem, jak torturowanymi buntownikami.

— Zażyj dwie pigułki; to twoja wątroba cię torturuje.

Ale nic nie pomogło, chory dawał coraz to większe oznaki rozdrażnienia, obrażając najdotkliwiej każdego z obecnych tak, że podczas całego obiadu doktór nie przestał kolejno trącać ich nogą pod stołem, aby się który nie uniósł. Twarz biedaka wszakże była tak zmienioną, iż nikt obrażać się nie myślał; tylko wstawszy od stołu zaczęli się gotować do drogi. Ale wtedy chory zajęczał:

— Przecie nie opuścicie mnie!

— W każdym razie ja zostanę — rzekł doktór. — Chcę jutro obejrzeć twoich kulisów.

Zostali sami i wtedy dopiero wyszedł na jaw straszliwy rozstrój nerwów, spowodowany gorącem i samotnością w pustyni, okropne hallucynacye, których nie zdołała zwalczyć dana przez doktora morfina. Gdyby wyjechał, mógłby wyzdrowieć od razu, ale Hummil nie chce napisać o urlop, bo ten któryby go zastąpił, musiałby żonę opuścić w połogu. W tydzień potem skonał ze strachu — ze strachu przed prześladującą go marą, tak okropną, iż gdy doktór po śmierci odfotografował rozwarte źrenice, sam z przerażeniem natychmiast zniszczył szkła. Oszczędziliśmy czytelnikowi opisu szarpania się z okropną śmiercią biednego młodzieńca, który za Oceanem miał ojca i dom rodzinny i pola i łąki, a tu jako męczennik obowiązku upadał. Opowieść ta może być prawdziwą, a jest z pewnością napisana dlatego, aby oświecić polityków londyńskich o rzeczywistym stanie rzeczy.

Czas jednak przejść do innych przedmiotów. Misyjne szkoły, zapewne protestanckie, nie nawracają młodych muzułmanów, o czem byłby ich misyonarz katolicki zawczasu uprzedził. Dziwniejszą jest i wręcz przerażającą mieszanina, która w otoczeniu tylu ras i wiar wschodnich a przytem tylu sekt zachodnich tworzy się w głowach europejczyków nieugruntowanych w chrystyanizmie. Kipling opisuje często to kotłowanie we właściwy sobie zabawny sposób, choć nie zawsze szyderczo się śmieje. Żywym tego dowodem jest jeden z jego najświeższych utworów *Stalky & Co*, dość gruby tom poświęcony zda się własnym i cudzym wspomnieniom szkolnym. Opisuje on tu rzecz u nas nieznaną, kolegium założone jak fabryka na akcye, z radą nadzorczą prywatną i egzaminami urzędownie składanymi w mieście. Celem zakładu jest przysposobienie do wyższych szkół wojskowych, mianowicie do Sandhurst; uczniowie też są po większej części synami wojskowych lub marynarzy i noszą znane w armii nazwiska; sposobią się — krom słabych lub krótkowidzów — do wstąpienia w ojcowskie ślady. Tymczasem jednak obok nauki kwitną tysiączne psoty, jest zwłaszcza pod nr. 5

gnieżdżąca się trójka uczniów, z którą zrozpaczeni nauczyciele dać sobie rady nie mogą, bo chłopcy potrafią, regularnie się mszcząc każdego wystrychnąć na dudka. Właściwie to dobrzy i tędzy chłopcy, to też dyrektor, mający wzrok bardzo bystry a serce bardzo dobre, słucha zawsze z pewnem niedowierzaniem długich a naiwnych raportów nauczycieli, poczem karze chłopców po angielsku, t. j. laską, nie za rzekome zbrodnie, ale za zuchwalstwo w wywodzeniu w pole profesora. Kto chce się szczerze uśmiać, niech weźmie tę książkę a znajdzie w niej i kilka rysów szlachetnych a wzniosłych, jak np. w rozdziale zatytułowanym *Their country's flag,* gdzie młodzi ludzie, którzy od dzieciństwa sposobili się do służby krajowej a w końcu urządzili sobie regularne ćwiczenia żołnierskie, by potem prędzej w szkole wojskowej postąpić, widzą naraz cały swój zapał zimną wodą oblany przez zbyt gorliwego członka parlamentu, który posłyszawszy o nich, raczy ich górnolotną przemową o miłości ojczyzny i darzy ogromną chorągwią, by się z nią poza murami kolegium poszczycić mogli. Między nim a chłopcami leży ogromna różnica: po jego stronie wielosłownej teoryi a po ich stronie cichej praktyki — chłopcy zresztą nie lubią, gdy się ich najgłębsze, ledwie sformułowane uczucia wyciąga na widok publiczny. To sprawia, że Stalky — wódz do psoty i do mustry — pierwszy rzuca karabin a za nim czynią toż samo i inni. Niemniej przeto ostatni rozdział przedstawia nam wszystkich niemal bohaterów książki wracających za urlopem wojskowym z Indyi; o Stalkym jednym słyszymy tylko opowiadanie, jak szalone sztuki wyprawiał na pograniczu północnem, jak bez pytania rządu na własną rękę robił wycieczki, brał możnych jeńców i zawierał traktaty: byłby dawno poszedł pod sąd wojenny, gdyby to, co uczynił samowolnie, nie okazało się tak korzystnem dla kraju. Wskazałem jednego, mówi kończąc autor, ale Indya roi się od podobnych junaków. Jest to znów coś na wzór naszych rycerzy stepowych i mimowolnie wyrywa się westchnienie: czemuż niema już podobnego pola czynu dla naszej młodzieży!

Od rycerzy niedaleko do misyonarzy. Kipling o katolickich

nie wspomina, co się wobec dotknięcia tylu przedmiotów nawet dziwnem wydaje. W skuteczność zaś misyi protestanckich bardzo mało wierzy. W odpowiednich ustępach kryje się niemało sceptycyzmu co do wyniku pracy misyjnej — nigdy zaś co do szczerości i dobrej woli misyonarzy.

Przechodząc do pism wojskowej treści Kiplinga, dziwić się wypada, dlaczego ten człowiek nie został żołnierzem *de facto*, gdy nim jest całą duszą, gdy ze wszystkiem, tyczącem armii, od praw i ogólnych urządzeń do najdrobniejszego szczegółu obozowego i koszarowego życia obznajomiony jest świadomością, jaką tylko zamiłowanie dać może? Gdyby się kochał jedynie w opisach walk na granicy północnej, tak jak nasi poeci w walkach na Pobereżu, możnaby powiedzieć, że się kocha artysta nie człowiek, ale chyba to człowiek a nie już artysta spędza godziny całe na dziedzińcu fortecznym, patrząc na musztrę lub interesuje się żywo ruchami oddziałów przy ćwiczeniach polowych. Bądź co bądź Kipling w fachu wojskowym stworzył arcydzieła, stworzył zwłaszcza nieśmiertelne typy żołnierzy, ponad którymi góruje wysoka postać Irlandczyka Mulvaney. Jest ich trzech, każdy w swoim rodzaju, którzy zawsze trzymają się razem i są przeto przez samego autora przezwani Trzema Muszkieterami. Niepodobna obrazków tych przetłumaczyć bez zdarcia z tych postaci kolorytu, jaki nadaje im po części ich właściwy, u każdego osobny, sposób mówienia a po części i dostosowany do przedmiotu język autora. Lepiej niech, kto może, w oryginale przeczyta, i powie, czy ów Mulvaney pod swym czerwonym mundurem to nie Mazur z krwi i kości, ów Mazur pełen chłopskiego rozumu i przebiegłości, którego znamy z życia i piosenki, w gruncie prawy, w sercu pobożny, w służbie chorobliwie dokładny a w boju nieustraszony ale przytem hulaka, szalejący za młodu za podwiką a później za wódką i w mowie nad wyraz zuchwały. Na starość żal mu trochę zmarnowanej karyery, czuje się upokorzonym, gdy który oficer widząc go podciętym, zamiast go posłać do „kozy“ mówi pobłażliwie: „To nic! to tylko stary Mulvaney!“ Ten stary mógłby nieraz być dziadziem dowodzącego nim oficera. *The oficer boy*, jak się sam

o nim wyraża; to też bywa że pułkownik zmuszony powierzyć życie kilkudziesięciu ludzi w ręce świeżo awansowanego wyrostka, powierza jego samego i wszystkich ludzi z nim doświadczonym radom Mulvaneya. Wie, że w starej głowie znajdzie się zawsze pełno fortelów w potrzebie i zimnej krwi wobec nieprzyjaciela, „bo w Mazurze taka dusza, że choć umarł to się rusza!“

Obok „Trzech Muszkieterów“ są i inne typy żołnierzy a między nimi ciekawy a ponury typ dżentelmana-szeregowca, *a gentelman-ranyer*. Nie jest to zwykły ochotnik, z jakich prócz uczniów szkół wojskowych składa się wojsko angielskie, ale zazwyczaj moralny rozbitek ukrywający pod pseudonimem prawdziwe nazwisko i wykwintne zwyczaje pod przesadnie rubasznem obejściem. Takich żołnierze boją się i unikają; Kipling zaś w pełnym grozy obrazku każe Mulvaneyowi takiego „potępieńca“ ratować od samobójczej śmierci. Ładną stroną tych wszystkich szkiców jest, że z nich władze wojskowe równie dobrze jak żołnierze wychodzą; tak naprzykład w ślicznej powiastce *Only a Subaltern*. Jest to, rzec można, wojskowa idylla, krótki życiorys anielskiego chłopca, który przybywszy ze swą pierwszą gwiazdą do Indyi, gdzie ojciec jego niegdyś wysokie zajmował godności, umie dziecinną prostotą, chciwem posłuszeństwem i dobrocią bez granic zyskać serca szefów i cześć podwładnych. Kapitan wskazuje mu ponurego żołnierza, dawnego rybaka, z którym trudno dać sobie rady; Bobby uprosiwszy sobie trzy dni urlopu, bierze ze sobą biedaka na wycieczkę rzeką w głąb dżungli i przywozi napowrót ugłaskanego i rozjaśnionego: „Potrzeba mu było trochę spokoju i łowienia“ — rzecze na wytłumaczenie. Kapitan kocha go, jak własnego syna, daje mu niespodziewanie długi urlop na lato, musi wszakże dwa tygodnie później odwołać go z gór Simli do cholerycznego obozu. Tu Bobby staje się największą pociechą żołnierzy, dniem i nocą na służbie, zawsze wesół, zawsze łagodny wnosi ze sobą nadzieję i słońce. Trwa tak, aż zatrzymany przez noc całą u łóżka chorego, zaraża się sam i umiera. Kapitan idzie za jego trumną

z bardzo zaczerwienionemi oczami. W ambulansie jeden z rekonwalescentów usłyszał przechodzący pogrzeb:

— Ot znowu któregoś oficera dyabli wzięli — rzecze obojętnie, lecz w tejże chwili gniewna postać, zawinięta w kołdrę staje przed nim i grzmi:

— Co oficer! oficer! nauczę cię ja takich jak on przezywać! To był anioł — słyszysz? Wierutny anioł — ot co!

Łatwo zgadnąć, iż mówiący to Dormer, ten sam, którego niegdyś Bobby wyrwał z tęsknoty, a którego dziś ratując od śmierci własne życie poświęcił.

Kipling miał szerokie pole do swych powiastek rycerskich. Mówiąc o Indyi zaś można śmiało użyć tego nieznanego już w Europie wyrazu. Tam bowiem życie wojskowe nie ogranicza się jak u nas w ciasnych, dusznych ramach, zaczynając się od długich godzin ćwiczenia rekrutów lub inspekcyi stajni, a kończąc — od biedy — na nudnej a ogłupiającej stacyi przed jakimkolwiek Hawełką. Bohaterowie Kiplinga — żołnierze i oficerowie — wszyscy widzieli ogień, każdy przez czas jakiś uganiał się za dakoitami (zbójcami) północnych gór, lub współdziałał w odpieraniu napaści granicznych plemion, każdy przelewał krew własną i cudzą.

Przeszliśmy już to szybkim to wolniejszym krokiem przegląd utworów Kiplinga: hinduskich, społecznych, politycznych i wojskowych. Czas nam już czytelnika zaprosić do dżungli. Znajdą się ludzie, zwłaszcza wykarmieni wyłącznie na lżejszej literaturze francuskiej, którzy powiedzą: Nie chodźcie — to nie ma sensu, to bajki dla małych dzieci! Ale nie trzeba zupełnie im wierzyć. Są inni ludzie posiwieli nad dziełami, jakich tamci nigdy nie tknęli, którzy powiedzą: idźcie! bo tam są całe światy świeżości i żywiołowej siły. Tam powszedni gwar świata gaśnie a przemawia przyroda; wielki świat zwierzęcy, obcy dla nas i niemy zyskuje mowę, wyjawia uczucia i namiętności naszym pokrewne a niższe i cały pełza u stóp wykarmionego przez dżunglę — króla przyrody, człowieka. Darwiniści nie będą mieli z „Ksiąg dżungli“ pociechy. Kipling napisał je na tle opowiadań różnych leśnych ludzi, pasterzy, łowców wietrzących ślady

tygrysów i podpatrujących w noce księżycowe tajemnicze tańce słoni na dzikiej polanie. Tacy umieją czytać tam, gdzie my jesteśmy ślepi, słyszą tam, gdzie jesteśmy głusi i dlatego mało im kto wierzy. Kipling uwierzył im, z ich opowiadań złączonych utworzył cudną baśń, wplatając w nią skarby własnych wrażeń i myśli i całe niebo poezyi. Nie mówimy tu o pomniejszych obrazkach, choć między niemi są ładne kawałki, jak np. historya przyswojonego ichneumona *Rikki-tikki-tavi*, lub istne arcydzieło charakterystyki *The Undertakers* (Grabarze), przedstawiające długą wieczorną rozmowę szakala oraz łysego sępa, szanowanego na Wschodzie czyściciela ulic, ze sędziwym aligatorem, czczonym jako opiekuńcze bóstwo przez mieszkańców nadbrzeżnej wioski i — żywiącym się nimi obok pastwy przynoszonej przez rzekę. Stary Mugger (nazwa hinduska aligatora) pamięta dawne dzieje a między niemi czasy, gdzie rzeki spływały krwią, a trupy ciemne i białe w czerwonych mundurach tłoczyły się w milczeniu na fali. „Było ich tak wiele — że nawet na aligatory padł strach“... Kula Anglika, który wówczas jako małe dziecko uszedł był paszczy aligatora, kładzie koniec opowieści wraz z życiem starego Muggera, na którego olbrzymie ciało rzucają się wraz towarzysze i poczynają wieczerzę.

Wszystkie jednak pomniejsze szkice z „Ksiąg Dżungli“ to tylko dodatki; istotną treścią są Dzieje Mowgliego. Tych na nieszczęście, podobnie jak powiastek o Mulvaneyu niepodobna streścić bez odarcia ich z przyrodzonego wdzięku. Zostałaby się sama fabuła — drzewo bez liści, kwiat bez barwy, motyl bez skrzydeł. Dość powiedzieć, że Mowgli (Żabka) to chłopiątko hinduskie porwane przez tygrysa i upuszczone, dopełzające do nory wilków, gdzie znajduje opiekę i przytułek. Wyrasta wraz z wilczętami wtajemniczony w życie dżungli, nauczony praw dżungli przez poważnego niedźwiedzia (z hinduska *Balu)*, protegowany przez Baghirę, wielką czarną panterę zbiegłą z królewskiego zwierzyńca w Udejpore, a więc dróg ludzkich świadomą. Słabszy i mniej zręczny od zwierząt odkrywa wnet swą wyższość, bo żadne z nich, ani Baghira, ani wódz stada wilków, Akela, nie są w stanie długo znieść

jego wzroku. Nadto każde stworzenie w dżungli drży przed Czerwonym Kwiatem (ogniem), on zaś z niego się śmieje. Ma przyjaciół, ale ma i wrogów, bo Szir-Khan, tygrys, który go ongi porwał i szpieg tegoż, podły szakal Tabaki część mieszkańców przeciw niemu buntują. Więc Mowgli wiedząc, że będzie sądzony i napastowany, stwarza między wrogami a sobą wał z ognia, poczem uchodzi do ludzi. Poznany przez rodziców i do domu przyjęty, uczy się prędko ludzkiej mowy, uczy się pracować, tylko wielu pojęć ludzkich zrozumieć nie może. Nie pojmuje np., czemu się na niego gniewają za to, że pomógł biednemu zdunowi podnieść osła wpadłego do rowu i rozrzucone garnki ułożyć do kosza — mówiąc, że zdun do niższej kasty należy? Zajęciem jego jest paść bawoły u brzegu dżungli, i tu co dnia odwiedzają go bracia — wilki. Przez nich wie wszystko, co się dzieje w dżungli i nie może wstrzymać się od śmiechu, gdy Buldeo, okoliczny myśliwy opowiada dziwolągi przez całą wieś z nabożeństwem słuchane. Stąd złość Buldea do „wilkołaka", jak go gniewnie nazywa. Pewnego dnia Buldeo głosi, iż się wybiera na starego tygrysa, ustawiczny przedmiot strachu osiedla. Nie jemu wszakże chwała łowów przypada. Mowgli wywiaduje się, że Szir-Khan obżarty i opity śpi nad wodą wśród stromego parowu. Każe więc swoim wilkom rozdzielić na dwie grupy stado bawołów, pędząc bawolice z cielętami z jednej strony jaru, podczas gdy on sam dosiadłszy byka przodownika z resztą bawołów przeciwną stroną się puszcza. Pędzącemu stadu bawołów nie zdzierży nic — żadna zapora ani żaden zwierz puszczy. To też pod falą czarnych rogów, dymiących paszczy i olbrzymich ciał tygrys zbudzony ginie bez walki, bezsilny, zgnieciony jak mysz. Buldeo, nadchodząc, widzi chłopca zajętego już ściąganiem skóry. Więc wpada w gniew i podnieca przeciw niemu zabobonny strach całej wsi; Mowgli pomimo próśb matki musi uchodzić pod gradem kamieni. Teraz więc z kolei wygnali go ludzie, ale po zgonie Szir-Khana dżungla stoi przed nim otworem, a teraz on tu już panem. Zanim jednak swą władzę obejmie, musi się pomścić na ludziach. Nie jego bowiem tylko skrzywdzili. Torturowali strasznie ojca i matkę,

i związawszy wieczorem, chcieli wraz z chatą spalić o świcie. Szczęściem nocą Mowgli zaszedł, uwolnił ich i wyprawił w dal, poczem na całe osiedle posłał rodzinę słoni — olbrzymiego Hathi z synami. Ci wprzód spaśli pola, potem zwalili chaty, zdarli dachy, zdeptali ściany, tak, iż mieszkańcy w przerażeniu uciekli, a bujne trawy i chwasty jęły się wśród szczątków rozrastać. Było to na wiosnę — gdy przeszły deszcze nie było już śladu ludzkiego mieszkania: dżungla pokryła wszystko.

Różne są obrazki w następnem życiu Mowgliego. Odparty dzięki jego ludzkiemu sprytowi straszliwy napad „czerwonych psów", przed któremi nawet wilcze plemię ucieka; dowcipny opis małpiego rodu *bandar-log* [1], oraz śmiertelny taniec olbrzymiego węża Kaa, gdzie w miarę ewolucyi lśniących zakrętów biedne małpki przyciągane fatalną siłą wpadają w paszczę potwora. Lub owo zamarłe miasto wśród puszczy, ogromna przestrzeń białych lub barwnych rzeźbionych marmurów, sterczących wśród wijącej się po nich zieleni. Część królewskiego pałacu jeszcze nietknięta, jeszcze stoi pod dachem, a u spodu, w sklepionem podziemiu biały wąż kobra strzeże skarbu maharadżów...

Śliczne to wszystko opisy — ale Mowgli nie może nazawsze wśród zwierząt pozostać. Przepowiedział mu to stary Balu, przepowiedziała przywiązana Baghira, że przyjdzie czas, gdzie sam Mowgli wygna z dżungli Mowgliego. I czas ten przychodzi w istocie raz w noc wiosenną, gdy cała puszcza grzmi od ryków i śpiewów, a młodzieniec czuje się samotnym na świecie. Mowgli tedy odnajduje matkę i odtąd rozpoczyna życie pół leśne, pół człowiecze. W ostatnim obrazku, umieszczonym osobno w *Many inventions* widzimy go błąkającego się dokoła leśniczówki rządowej; piękny jak bożek leśny, otoczony wciąż ukrytą po gąszczach gromadką bratnich wilków, zyskuje łaski naczelnika rewiru, porywa i poślubia córkę starego mahometanina, który się godzi z bojaźni — i przyjąwszy płatną po-

[1] *Log* w języku krajowym znaczy zawsze r ó d, np. *mem-log* ród kobiecy, *sahib-log* ród Europejczyków i t. p.

sadę w leśnej służbie rządowej, żyje dalej wśród zwierząt i dżungli, swobodny jak ptak, ale pracujący jak człowiek...

Nic wspólnego nie ma inne dzieło Kiplinga ani z dżunglą ani z Mulvaneyem, ani ze sportowemi damami z Simli. Jest to cytowane tu parękroć *From sea to sea*, zbiór listów z podróży, drukowanych oryginalnie w dzienniku *The Pioneer*, a potem tak często przytaczanych i przekręcanych po innych czasopismach, że autor postanowił sam wydać je razem. Wynik zaś tego postanowienia jest świetny. Wesołość i dowcip Kiplinga towarzyszą mu wszędzie, choć ich może najmniej znać w wycieczkach po Indyi, gdzie szczery podziw, podniosłe wrażenie i rzewność poetyczna biorą kolejno górę, gdy nas oprowadza po starych zamkach książęcych, po marmurowych rzeźbionych ulicach i po brzegach czarodziejskich stawów, po których pływają kwiaty i białe łabędzie. Rzeźby jednak i zamki i stawy mamy w innych opisach, tylko nie mamy w nich owych rzutów oka zapuszczonych w głąb rzeczy, owego sposobu patrzenia się na Indyę przez Angloindyanina... Ciekawszemi jeszcze stają się listy, gdy autor puszcza się do Japonii, do kraju kwiatów, lakierowanych parawanów i... dzieci. Według niego, dzieci są na pierwszy rzut oka najbardziej uderzającym rysem w Japonii: wszędzie ich pełno, wszędzie powietrze przesiąknięte ich śmiechem, wszystkie twarze ku nim zwrócone i uśmiechnięte, aby nie zwarzyć wesela maleńkich. O dawnej cywilizacyi japońskiej wyraża się z najwyższem uznaniem; czuje się barbarzyńcą, gdy zabłocony, w podróżnem odzieniu musi wejść „do lakierowanego puzderka, które tu nazywają domem".

Z Japonii Kipling jedzie wprost do San Francisco i — robi źle. Nie trzeba z dwóch starych cywilizacyi wpadać odrazu w społeczeństwo nieokrzesane, gwałtowne, żywiołowe bez świeżości ras nowych, bez prostoty wieśniaczej, ani dojrzałości ras starszych. Kipling usiłuje zataić swoje wrażenia, protestuje, że Amerykanów miłuje, że im dozgonną zachowa wdzięczność za miłe przyjęcie. Niemniej przeto drażni go wszystko: język angielski kaleczony do niepoznania, szpetność ogromnych, bezsensowych budowli, niedokładność w każdej czynności, dzięki

której np. budujący kolej przypuszcza, że nasyp jest dość silny, zwrotniczy przypuszcza, że dobrze nastawił szyny, maszynista przypuszcza, że pociąg przejedzie bez szwanku, których to wszystkich przypuszczeń wynikiem są katastrofy, pochłaniające ofiar ludzkich tysiące. Razi go zwłaszcza upodlenie, w jakiem widzi białego człowieka; dotąd przywykł białych ludzi uważać za rodzaj arystokracyi wśród ras krajowych, widział ich w postaci wojskowych, urzędników, kupców i turystów. Tu widzi biały motłoch, *plebs* brudny i żądzą zysku pijany i czuje się do głębi upokorzonym w swojej godności rasowej. Po pierwszem takiem wrażeniu w San Francisco, zatartem po części wędrówką po cudnym kraju skał i geyserów nad Yellowstoneriver, udaje się do Chicago, gdzie przykre uczucie powraca z podwójną siłą. Książka kończy się opisem wizyty u Marka Twain, gdzie, ma się rozumieć, nie rozmawiano o bursie...

Takim jest w skróceniu dotychczasowy dorobek literacki Rudyarda Kiplinga. Główna zaleta, jaką w nim podnosił James — świeżość — przetrwała pierwszy tuzin lat działalności. *Stalky et Co* lub *From sea to sea* jest równie świeże jak *Plain tales from the Hills;* jest nawet wyższe tem samem, że w miarę lat i dzieł wzmaga się u autora prostota. W dawnych utworach było jej czasem brak, jak zwykle bywa u bardzo młodych pisarzy: sadzą się na zawikłane fabuły, na niejasne dowcipy i półsłówka, żądając od czytelnika, by dopowiedział myśl, której sami nie umieli dopowiedzieć lub nawet domyśleć do końca. Kipling już się wyzbył tej młodzieńczej przywary a jeśli się nie we wszystkiem dzieli jego zdanie, można przynajmniej uśmiać się z nim razem serdecznie i uczciwie. Nie jest to geniusz ani moralista, ani polityk, ani filozof; ma w sobie jednak prócz poezyi wszystkiego tego po trosze i o ile sądzić można dziełami jego niejedno tylko pokolenie cieszyć się będzie.

T. Wodzicka.

NAJNOWSZE STANOWISKO SOCYALISTÓW WZGLĘDEM KOŚCIOŁA.

III. Przeciw Wierze jako Wierze.

Na widok chrześcijańskich demokratów, wiarą natchniętych do pracy nad nędzarzami, socyalizm występuje z hasłem walki przeciwkościelnej; dostrzega przecież między chrześcijanami samolubów: na widok ich niedbalstwa o nędzę bliźniego znowu potępia ogólnie cały Kościół i walczy przeciw jego wierze. Przeciw jakiej tedy wierze nie wystąpi socyalizm do walki? Jaką wiarę pozostawi Towarzyszom i pozwoli im wyznawać ją swobodnie? Wszak obiecuje im szanować ich wiarę, jako sprawę osobistą? Cóż ta obietnica znaczy?

Ta obietnica nie znaczy nic. Po prostu przeciw wierze wszelakiej występują przywódcy socyalistów, jako przeciwnicy wszelkiej powagi: społecznej i państwowej, ludzkiej i boskiej. W pismach przeznaczonych dla użytku postronnych czytelników głoszą tę obietnicę; rzucają wędkę na łatwowiernych, aby zwiększyć swoje zaciągi. Zupełnie jasno odpowiadają na powyższe pytania, kiedy wobec czytelników wtajemniczonych Towarzysze z całego świata snują swoje poglądy na stosunek socyalizmu do Kościoła: dalszy ciąg odpowiedzi przysłanych panu Morizet do *Mouvement socialiste*, wykrywa prawdę dowodnie.

Dość dokładnie towarzysz Ferri daje poniekąd streszczoną odpowiedź wielu współwyznawców, kiedy opisuje socyalizm jako

naukę nawskroś przeciwkościelną, jako sumienie silne i najbardziej przewrotowe ze wszystkich, jakie wpoić można w człowieka; to sumienie socyalisty wynika z oporu zasadniczego i umiejętnie stawianego wszelkiemu uciskowi pod jakiembądź mianem, czy to w zakresie polityki albo gospodarki państwowej, czy też w religii czy w rozwoju umysłu[1].

W słowach powyższych włoski poseł wypowiada myśl nie tylko swoją osobistą: czytamy ją w długim rzędzie następnych świadectw Towarzyszy czerwonej chorągwi, czytaliśmy tę samą myśl przystępniejszym dla nas językiem wyrażoną w słowach arcybiskupa polskiego, który nazwał socyalizm główną herezyą naszych czasów.

Dotkliwie ta nazwa ukłuła w oczy socyalistów z krakowskiego *Naprzodu*, bo widocznie im przeszkadza ściągać w polskiem społeczeństwie ochotników do obozu przeciwkościelnego. Snać włoskie społeczeństwo jaśniej, niż nasze, rozumie ducha socyalizmu i widzi w nim wroga wiary, nie słuchałoby już tak łatwowiernie, jak nasze społeczeństwo, baśni o możliwej zgodzie socyalizmu z Kościołem: więc z ust posła słyszy prawdę szczerą, że sumienie socyalisty, jakby pień z korzenia, wyrasta z ducha bezwzględnej swobody, wrogiej duchowi wiary zarówno, jak wszelkiej powadze i więzom, nakładanym w polityce, ekonomii i t. d.

Tak otwarcie wyznane niedowiarstwo dąży śmiałym krokiem do kresu, ku któremu szedł od początku duch wolno-

---

[1] *Le Mouv. soc.* IV ann. 1946: „Le socialisme étant une doctrine expérimentale et scientifique — en tant qu'induction théorique des faits sociaux et surtout des faits économiques — ne peut être qu'anticlérical dans son esprit le plus profond".

1947: „Lorsqu'on fait de la propagande et de l'organisation socialiste — lutte de classes comme méthode, pour réaliser la propriété sociale des moyens de production et d'échange — on fait des consciences humaines refractaires à toute forme de dictature intellectuelle et partant à tout esprit clérical".

1948: „La conscience socialiste est la force la plus révolutionnaire, qu'on puisse donner à une créature humaine: elle est le résultat de toute opposition méthodique et réfléchie contre les formes d'oppression politique, économique, religieuse, intellectuelle".

myślny, ale krokiem często kulawym. Duch ten w głębi swoich zamiarów mierzył do zaguby wiary, opartej na boskiej powadze, aby popuścić wodze wolnemu popędowi rozumu do samoistnego rozwoju. Duch ten niecierpiał przewodnika w Kościele, i przeciw jego powadze występował niecierpliwie zarówno na polu prawd zasadniczych, jak w zakresie praw obyczajowych. Ale nie zawsze przybierał szatę stosowną do swojej istoty właściwej: nieraz pokrywał własną treść wyrazami, że walczy przeciw przesadzie i fanatyzmowi katolickiemu, ale szanuje wszelkie przekonania i ceni każdy żywot, prowadzony według zasady, więc poważa także kościół i przyznaje jego wyznawcom równą swobodę ruchów, jakiej wymaga dla siebie.

Słowa takie albo podobne odpowiadają wprawdzie duchowi wolnomyślnemu, ale temu, któremu przysługuje nazwa właściwsza wyrozumiałego, a nie duchowi właściwie wolnościowemu, który nie znosi na sobie żadnego jarzma i strąca ze siebie wszelkie brzemię powagi. Wyrozumiały wolnomyśliciel mógł potakiwać i bonzom i rabinom i biskupom na ich wywody, szanować ich podmiotową pracę umysłową, choć nie uznawał u żadnego z nich prawdy przedmiotowej. Duch taki stanowi coś połowicznego, przejściowego między nastrojem duszy u wyznawców wiary, a jej prześladowców. Za Piusa IX duch ten w Syllabusie potępiony odbył prędko swoją drogę w krainie umysłowej i do jej kresu dochodzi.

Niewyrozumiały na czyjebądź prawo do nauczycielskiej powagi duch wolnomyślny, nawskroś wolnościowy, nie zdoła z Kościołem iść w parze, nie umie wyznawców jego wiary długo znosić cierpliwie. Inna rzecz, że może przy tych występach swoich na wiarę nie napadać, kiedy krzewi swoje zasady, aby zyskiwać zwolenników: przy poufnej naradzie wyznawcy takiego wolnomyślicielstwa muszą o Kościele mówić wraz z Wolterem: zgniećmy niegodziwca!

W tej myśli przemawia Ferri wraz ze swoimi współwyznawcami: bronią herezyi najzaciętszej w naszych czasach, bo w niczem zgody z Kościołem nie mogą ścierpieć, na każdym kroku walczą przeciw jarzmu wszelkiej powagi.

Tę myśl wyraził Vandervelde odmiennie; nie jak Włoch porywczy określił prawdę rzutem kilku słów dobitnych: Belgijczyk spokojnie i układnym językiem francuskim grzecznie zarzucił, że Kościół nie poprzestaje na prawie do swobody pomiędzy równymi, ale rości sobie prawa do osobliwej przewagi w społeczeństwie, do przewodnictwa w dobrych uczynkach, do nadzoru w uczelniach: wobec takich zamachów na równą swobodę obywatelską, zapasów z Kościołem uniknąć nie możemy. Co nas dzieli: to nauka o grzechu pierworodnym![1].

Po różnych ścieżkach i dróżkach, przecie i Vandervelde dochodzi do wniosku bez ogródki, że zamiar istotny socyalizmu, to nic innego, jak wyzwolenie, oswobodzenie warstw roboczych, zniesienie wszelkich niewoli, które ciężą bądź nad ciałem, bądź nad duszą[2].

Niemniej szczerze dowodzi inny poseł belgijski, Destrée, że rzucić trzeba ze siebie i z innych jarzmo wiary: kiedy uciskają mię za poglądy, czy w imieniu Boga, czy powagą Władzy, zawsze to wszystko zejdzie na jedno i to samo, że mię uciskają. A potrzebuję swobody i mam prawo być wolnym. Do swobody ekonomicznej łatwiej dojdę drogą wyzwolonej filozofii... Nie przemocy używać trzeba, aby wyzwolić umysły z wiary: trzeba

---

[1] Tamże 1933: „est-il besoin de dire que l'Église catholique — sauf dans les pays où elle est trop faible pour afficher toutes ses prétentions — ne se contente pas d'un régime de liberté: ce qu'elle réclame, ce qu'elle prétend exiger de la société civile, c'est une situation privilégiée.

„Étant données pareilles revendications le conflit est inévitable...“

1932: „Que l'Église catholique, ou d'autres confessions, exercent librement leur culte, mais qu'elles ne demandent pas aux libres-penseurs d'en payer des frais... qu'elles ne prétendent pas établir leur contrôle sur la bienfaisance publique... qu'elles restent en dehors des écoles publiques“.

1934: „On l'a dit maintes fois, ce qui nous sépare, c'est la question du péché originel: dès l'instant où le travail est considéré comme une expiation, la souffrance et la misère comme des conséquences inéluctables de la malediction divine... il est tout naturel, que le socialisme est la plus détestable des erreurs“.

[2] Tamże 1928: „Le but essentiel poursuivi par les socialistes, c'est l'émancipation des travailleurs, l'affranchissement du prolétariat, l'abolition de toutes les servitudes qui pèsent sur lui, dans l'ordre spirituel aussi bien que dans l'ordre materiel“.

przekonywać je łagodnie i wyrozumiale, podbijać je przykładem lepszym niż ideały wiary [1].

Niemiecki poseł von Vollmar jeszcze silniej nalega, żeby Towarzysze unikali zewnętrznego ucisku we walce przeciw Kościołowi, żeby zachowali względem niego stanowisko obojętne, póki sam Kościół nie nadużywa swoich wpływów do dzieła ucisku ani nie służy za narzędzie w ręku prześladowców swobody. W tym ostatnim razie socyaliści zgodnie zakładają *veto* i muszą sprężyście działać, ledwo spostrzegą w Kościele czynnik ucisku [2].

Kautsky również nasuwa, choć tylko ubocznie, pokrewną myśl: twierdzi, że czerwona chorągiew musi prowadzić do walki przeciw duchowieństwu, musi wyprzeć je ze stanowiska praw wyjątkowych i pozbawić je przewagi nad innemi warstwami społeczeństwa, skoro na to stanowisko wysadzają duchowień-

---

[1] Tamże 1941: „Je me range du côté marxiste... c'est précisément parce que j'ai une horreur de tous les cléricalismes, que je raisonne ainsi... être opprimé au nom de ses idées, au nom de Dieu, ou au nom du Prince, c'est tout de même être opprimé. Et j'entends être libre. Et voulant la liberté pour moi, je la reclame pour les autres... le domaine de l'enseignement et de l'assistance sont essentiellement domaines d'État dont l'Église a assumé la charge".

1942: „En attendant, chaque fois que nous la trouvons (—l'Église—) sur notre route, c'est-à-dire souvent, c'est la bataille. Dans cette bataille, le socialisme doit s'habituer et s'engager à ne jamais employer la contrainte... il reste, à ceux du Parti, qui ne sont d'aucun culte, la persuasion. Nulle propagande n'est plus légitime, plus urgente, plus indispensable: l'émancipation philosophique facilite l'émancipation économique. On ne l'atteindra, à mon avis, que par la douceur, la tolérance, le respect vrai pour toute conviction, par la proposition et l'exemple d'un idéal plus large et meilleur".

[2] Tamże 1944: „nous avons toujours été d'accord pour protester quand on voulait abusivement faire servir la religion à des fins de domination temporelle, pour combattre toute influence de l'Église sur les fonctions de l'État".

1946: „notre programme observe la neutralité la plus complète vis-à-vis du sentiment religieux! Mais par contre, dans la mesure où la religion sert d'instrument d'oppression, il faut agir énergiquement contre ceux qui en mésurent ainsi..."

stwo ustawy państwowe, np. trzy §§ prawa karnego w Niemczech [1].

Kautsky należy do socyalistów wybitniejszych i mniej, niż inni, zdolnych twierdzić coś bez namysłu. Słowami swojemi nie mógł dowieść nieuctwa: więc chyba złą wolę zdradza słowami dalekiemi od prawdy. Ani niemieckie ustawodawstwo, ani austryackie, rosyjskie, francuskie, włoskie albo hiszpańskie, ani wogóle żadne ustawodawstwo nowoczesne nie wysadza duchowieństwa na stanowisko wyjątkowe ponad wszystkich innych obywateli, równych wobec ustawy. Duch tych ustaw, w tej mierze już oddawna wolnomyślnych albo bezwyznaniowych wymaga od obywateli tego samego co austryackie prawodawstwo: nie wyszczególnia sług ołtarza, ani nie wynosi ich ponad pospólstwo śmiertelników; w całkiem odrębny sposób ustawodawstwo nowożytne postępuje z duszpasterzerzami, kiedy zaszczyca ich osobną wzmianką: zalicza ich do tłumu urzędników państwowych, kiedy przyznaje im *beneficium competentiae* w sprawach majątkowych, ulgi w podatkach gminnych, wolność w kwaterunku wojskowym, uwolnienie od obowiązku zasiadania jako sędziowie przysięgli, stawania jako świadkowie sądowi, możność usunięcia się od obowiązkowej opieki i kurateli i od obowiązku świadczenia odnośnie do wiadomości nabytej drogą tajemnicy urzędowej, jak przy spowiedzi, i t. p. Takie stanowisko odrębne duszpasterzy nie dotyczy całego duchowieństwa, ani nawet duszpasterzy nie wynosi ponad poziom całego społeczeństwa, tylko wciąga ich na stanowisko urzędników zależnych od państwa. Rządy tak spoglądają na wyznaniowe potrzeby narodu, jak liczą się z potrzebą dróg i mostów dla niego, z potrzebą szkół, szpitali, stróżów bezpieczeństwa i t. d. Każdą taką potrzebę rządy biorą na siebie i zaopatrują przez różnych swoich przedstawicieli: za takich urzędników poczytują duszpasterzy i jak z płatnemi swojemi narzędziami postępują z księżmi, z pastorami

---

[2] Tamże 2265: „Il faut, avant tout, exiger la suppression des privilèges que le clergé exerce sur le reste de l'humanité, privilèges reconnus par exemple dans les §§ 166, 167, 196 du Code pénal allemand".

i rabinami w Europie, a gdzieindziej z bonzami, lamami i jakimibądź wykonawcami obrzędów wyznaniowych. Takiego stanowiska duszpasterzy ani Kościół sobie nie ceni, ani socyaliści nie mogą poczytywać za bardzo dla nich szkodliwe, ani Kautsky nie uważał pewno za zbyt wpływowe i zdolne uciskać pozostały ród ludzki. Mówi jednak Kautsky o osobliwej przewadze duchowieństwa nad społeczeństwem: więc chyba myśli nie o stanowisku wcale nieszczególnem, przyznanem duszpasterstwu przez ustawodawców nowożytnych, tylko myśli o powadze, którą Kościół posiadł istotnie, zwłaszcza w swojem duchowieństwie, ale mocą i zasługą nie nabytą wcale środkami z tej ziemi. Przeciw królestwu Chrystusa nad umysłami walczy Kautsky i tę walkę poleca jako obowiązek Towarzyszom.

Nie tak ciemno, jak niemiecki uczony, ukrywa swoją myśl Furnémont; pisze otwarcie: „Zasadniczo nikt nie zaprzecza, że socyalizm jest nauką całkowicie wykończoną, prawdziwym układem pojęć o świecie, przeznaczonym, aby wyzwolić zupełnie wszystkie istoty ludzkie.

I skądinąd, jakżeby można pojąć społeczeństwo braterskie i równościowe wraz ze zasadami obyczajów uległych i niewolniczych?

Socyalizm współczesny przybrał sobie miano naukowego w przeciwieństwie do poglądów oderwanych, głoszonych przez początkowych przewrotowców: otóż ten to socyalizm spoczywa na materyalistycznym poglądzie na dzieje. Czyż można wyobrazić sobie zupełniej wykluczony Absolut? a bez niego niema możliwego wyznania [1].

Kto przystanie na prawa, jakich wymagają socyaliści, ten

[1] Tamże, v ann. 24: „Théoriquement, personne ne conteste, que le socialisme soit une doctrine intégrale, un véritable Système du Monde, ayant pour but l'affranchissement complet de tous les êtres humains".

„Et d'ailleurs, comment pourrait-on concevoir une société fraternelle et égalitaire, avec une morale de soumission et d'esclavage? Le socialisme contemporain, qui s'est appelé scientifique, pour se distinguer des théories abstraites des premiers réformateurs, est basé sur la conception matérialiste de l'histoire. Peut-on imaginer une plus complète élimination de l'absolu, sans lequel aucune réligion n'est possible?"

już tem samem odrywa umysł prawie całkowicie od starożytnych pojęć wyznaniowych“ [1].

Z przesłanek bez ogródki wypowiedzianych płyną u Furnémonta wnioski również stanowcze: „Powinniśmy we walce przeciw Kościołowi nie okazywać słabego serca: wszak to jedyna potęga ustalona między narodami z całym przyborem zasad, rządu, bogactw i wojowników zwróconych umiejętnie i groźnie naprzeciw nas. Jego nauki społeczne, jego polityka, jego przepisy obyczajowe stanowią przeciwny biegun naszych zasad i naszych zamiarów.

W Kościele tkwi jedyna siła przeciw-przewrotowa i utrzymuje w służalstwie dobrowolnem, najgorszem ze wszystkich, robotników chrześcijańskich, o których można powiedzieć, silnymi wyrazami jednego z myślicieli, że wszystko stracili w kajdanach, nawet ochotę, aby z nich wyjść“ [2].

Rosa Luxemburg szumnie i butnie wzywa za sobą towarzyszy w bój przeciwkościelny, ale żadnym zwrotem buńczucznej wymowy nie umie dokładnie tej winy streścić, którą upatrzyła w chrześcijaństwie; zbywa to pytanie krótkim wyrazem o wstecznictwie Kościoła [3].

Z innego świata, z innemi poglądami wystąpił przedsta-

---

[1] 25. „L'adhésion aux révendications socialistes constitue déjà, par elle-même, un détachement presque complet des anciennes idées religieuses“.

[2] Tamże 27: „Il faut à tout prix ravir à l'Église la puissance... Nous devons la combattre sans faiblesse, car elle est la seule puissance constituée internationallement ayant des dogmes, une hiérarchie, des richesses et des agents dirigés systématiquement et formidablement contre nous.

„Parce qu'encore ses doctrines économiques, sa politique, sa morale sont le contre-pied de nos principes et de notre idéal.

„Parce qu'elle est la seule force contre-révolutionnaire effective en maintenant dans la servitude volontaire, la pire de toutes, les ouvriers chrétiens, dont on peut dire, selon la forte parole d'un penseur, qu'ils ont tout perdu dans les fers, jusqu'à l'envie d'en sortir“.

[3] Tamże 34: „Si les camarades français voulaient s'abstenir de prendre part à la lutte politique menée depuis trente ans entre la république et l'Église, s'ils déclaraient que toute cette querelle ne les intéresse pas, ils se condamneraient à la nullité et à la stérilité dans la politique pratique.

„Les socialistes sont précisement obligés de combattre l'Église, puissance antirépublicaine et réactionnaire“.

wiciel Anglii czerwonej, Belfort Bax. Wprost w zasadach Wiary Powszechnej, opartej na powadze, widzi posiew służalstwa umysłowego, zaporę wolnościowego ruchu. Zaporę tę złamać musi socyalizm, a dokaże tego dzieła, kiedy obedrze duchownych z nietykalnej powagi, ustawowo przyznanej im na kazalnicy kościelnej. Niech po każdem kazaniu kościoły roztwierają swoje podwoje dla niedowiarków, którzy zechcą swobodnie rozprawiać z kaznodzieją. „Ledwo ksiądz chrześcijański w ten sam sposób jak krzewiciel socyalizmu, dostanie prawo do występów w kościele jawnych, ale ze zastrzeżeniem, żeby uznawał nad sobą prawo słuchaczy do rozprawy jawnej także w kościele o jego nauce, zaraz dobiegnie do kresu królestwo zasad Wiary, a tem bardziej władza księżostwa“ [1].

Francuski poseł, Francis de Pressensé, zgodnie z poprzednimi pisarzami poczytuje Kościół za „potęgę nieodzownie wrogą zasadom świata nowożytnego“, więc z nią socyalizm stanął do boju, aby ją może zgładzić stanowczo [2]. Niezbyt odmiennie wyraził swoją myśl pastor Goehre, kiedy mówi: „Jeżeli socyalizm chętnie, niezbędnie zawiera układy z rzeczywistą religią, przecie nie mógłby w żadne układy wchodzić ze żadnym rodzajem Kościołów [3]. Kościół wyklucza religię, a religia wza-

[1] Tamże 44: „D'où provient la puissance des prêtres, sinon de l'empire que les dogmes religieux exercent encore sur certaines classes de la population?

„Rien n'est plus certain que se n'est pas simplement le cléricalisme, mais bien la puissance du dogme, qui forme le grand obstacle aux progrès du socialisme“.

45: „Mais quelle doit être l'attitude du parti socialiste...?... l'idéal de la législation serait d'exiger que les églises restent ouvertes, après chaque sermon, pour la libre discussion. La force du dogme chrétien réside dans la manière autoritaire, „ex-cathedra“ de sa proclamation. Aussitôt que le prêtre chrétien, de la même façon que l'agitateur socialiste, devra, comme une des conditions de ses fonctions publiques, se soumettre à la critique ouverte, le règne du dogme chrétien et, à plus forte raison, celui du cléricalisme, sera terminé“.

[2] Tamże 125: „il s'agit d'une lutte qui peut être décisive contre une puissance inévitablement hostile aux principes du monde moderne“.

[3] Tamże 41: „Si le socialisme pactise volontiers, nécéssairement, avec la vraie religion, il lui est impossible de la faire avec toute forme d'Église...

jemnie usuwa od siebie Kościół. Kościół gnębi wszelki żywot rzeczywiście religijny, niezdolny doznać rozwoju jak chyba przy najzupełniejszej swobodzie osobistej, bez żadnej przymieszki wyroków głoszonych z nauczycielską powagą". Jedną z najszczerszych odpowiedzi dał treściwie niemiecki poseł Edw. Bernstein: „Zasadniczo duch stronnictwa czerwonego i jego czyny potwierdzają codzień, że socyalna demokracya niemiecka stoi po stronie nauki w przeciwieństwie do pojęć opartych na objawieniach nadludzkich, biblijnych czy jakichbądź... Socyalista surowo broni ustroju społecznego przed każdym, kto usiłuje wprowadzić do tego ustroju jakibądź żywioł wyznaniowy" [1]. Knudsen, duński Towarzysz, wymienia, jako prawdę niewątpliwą, zasadę, że Stronnictwo Czerwone musi wrogo występować przeciw Kościołowi, żądnemu przewagi nad obywatelami, bo jego robota krępuje swobodę, którą socyalizm usiłuje wprowadzić do dziedziny wyznaniowej [2]. Ellenbogen w dwóch słowach rozstrzyga sprawę: „Samo przez się jasno, że demokracya socyalna powinna zwalczać zasadę samą władzy księżowskiej" [3]. Schiavi wtóruje Towarzyszom, ale tylko przez puste zarzuty i zwroty krasomówstwa bez dowodów: więc poprzestaje na hasłach do walki z Kościołem, jako przeciwnikiem rozwoju prawdy naukowej, obrońcą przesądów i t. d. [4].

L'Église et la religion s'exclusent par nature. L'Église opprime toute vie vraiment réligieuse qui ne peut se développer que dans la plus complète liberté individuelle, sans intervention des dogmes".

[1] Tamże 46: „...l'esprit du programme implique — et la pratique du parti l'affirme chaque jour — que la démocratie socialiste allemande est pour la science „contre les conceptions basées sur des révélations surnaturelles, bibliques ou autres... il s'oppose rigoureusement à toute tentative d'introduction dans les institutions publiques d'un élément confessionel quelconque".

[2] Tamże 119: „...quand une église autorisée aux certaines sectes religieuses cherchent à acquérir ou même revendiquent une suprematie sur les citoyens, il faut que la démocratie se mette en hostilité contre ces agissements, contraires à la liberté que nous cherchons à amener dans le domaine de la religion".

[3] Tamże 231: „Il va de soi que la démocratie socialiste doit combattre le cléricalisme en tant que principe".

[4] Tamże 521—532.

Jasne świadectwa przytoczonych towarzyszy rzucają światło na zwroty, używane dość dwuznacznie przez innych pisarzy czerwonych; z ich dwuznaczników można już dojść do właściwej ich myśli o stosunku między socyalizmem a Kościołem. Ciemięzca umysłów, krzewiciel poglądów ciasnych i mętnych, prześladowca swobody, wróg rozwoju człowieczego: oto Kościół w pojęciu socyalistycznych przewódców ruchu wolnościowego. Więc precz z Kościołem i Wiarą, jako Wiarą, bezwzględnie i jakoby ta Wiara nie była! Więc Keir Hardie pisze prostodusznie: Na myśl wyznaniową, jak i na wszelką myśl, wywrze wpływ i rozszerzy ją, oczyści ją pogląd szerszy, z jakim przychodzi socyalizm; poprzestańmy na rozsiewie socyalizmu a kłopot wyznaniowy zniknie sam przez się[1]. Pablo Iglesias zapowiada odważnie, że księżostwo zniknie z dniem, kiedy wydziedziczeni dojdą do całkowitej władzy[2]. Quelch wzywa Towarzyszy do roboty przeciwkościelnej oparty na poglądzie, jakoby Kościół nie mógł być nigdy przychylnym postępowi demokratycznemu i rozwojowi umysłowemu ludu a zostaje zawsze nieprzebłaganym[3]. Nakoniec John Spargo tę samą myśl wyraził w rozprawie przeciw marzycielom, których ludzi nadzieja, że pogodzą socyalizm z Kościołem. Z grona takich marzycieli ksiądz Tomasz Hagerty odpowiedział także na zaprosiny pana Morizet do *Mouvement Socialiste*, aby oświadczyć, że przystał do socyalistów a wcale przez to nie wystąpił z Kościoła. „Nie przestałem nigdy — pisze — być księdzem[4]. Tem mniej zerwałem ze społe-

[1] Tamże 532: „La pensée religieuse, comme toute autre pensée, sera influencée, élargi et purifiée par les vies plus larges qu'apporte le socialisme, et si, comme socialiste, nous restreignons notre activité à la propagande socialiste, la question religieuse se résoudra d'elle-même".

[2] Tamże IV, 2044: „Le cléricalisme disparaîtra le jour où le prolétariat prendra pleinement possession du pouvoir".

[3] Tamże IV, 2044: „L'Église ne peut jamais être l'amie du progrès démocratique et du développement intellectuel du peuple et reste toujours inconciliable".

[4] Tamże 652: „... depuis quelque temps — surtout en raison de mon activité comme militant socialiste — j'ai cessé de me livrer aux occupations techniques de mon ministère, il ne s'en suit nullement que j'ai perdu mon caractère sacerdotal Je n'ai jamais cessé d'être un prêtre. Je me suis en-

czeństwem Wiary Powszechnej, do której, tuszę sobie, że mam prawo należeć tak samo, jak papież we własnej osobie". Dalej uczy, że jest to niedorzeczne i całkowicie niedorzeczne zaprzeczać możebną zgodę między filozofią socyalizmu a nauką Wiary Powszechnej. Nikt nie pójdzie do rzeźnika po *beefsteak* katolicki, zraz metodystyczny albo cielęcinę presbyteryańską. Wyznanie niema nic gadać o socyalizmie, jak nie rozstrzyga o mięsie i chlebie. Socyalizm: to nauka społeczna a nie metafizyczny wykład świata. Kościół nie ma po co wsuwać palce w sprawę gospodarki społecznej, jak stronnictwo wolnościowe nie ma po co łamać głowę nad wykładem psalmów Dawidowych. Encykliki papieskie o socyalizmie nie znaczą więcej, niż poglądy bądź którego teologa. Jego nieomylność dotycze wyłącznie i ściśle tylko prawd wiary. Jego sąd o jakimś obrazie Fra Angelico albo o ułamku tablic z Tel-el-Armana podpada pod ocenę każdego znawcy.

Szczęściem niejeden otwiera codzień oczy setkom tysięcy wydziedziczonych katolików w Stanach Zjednoczonych, dają im

---

core bien moins séparé de la communion catholique, à laquelle j'ai la prétention d'appartenir, tout autant que le Pape lui-même.

653: „C'est une absurdité complète de parler de l'incompatibilité de la philosophie du socialisme et des doctrines du catholicisme. Personne n'irait demander à un boucher un beefsteak catholique, une côtelette méthodiste ou un morceau de veau presbytérien. La religion n'a pas davantage à voir avec le socialisme qu'avec la viande ou le pain. L'Église n'a pas plus à s'occuper des questions d'économie sociale, que le parti républicain à s'occuper de l'exégèse des psaumes de David.

„Les encycliques du Pape sur le Socialisme ne font pas plus autorité que les opinions de n'importe quel théologien. Son infaillibilité se torne strictement aux questions de foi. Son jugement sur une peinture de Fra Angelico ou sur un fragment des tables de Tel-el-Armana peut être critiqué par n'importe quel savant".

654: „...il ne s'en suit nullement que le socialisme, en tant que tel, soit en opposition avec les enseignements du Christ. Les grands évêques des premiers siècles étaient communistes.

„Quelques hommes heureusement ouvrent chaque jour davantage les yeux des certaines de milliers de prolétaires catholiques des États-Unis, leur font connaître leurs droits, et leur apprennent que la lutte pour leur affranchissement économique n'a rien à voir avec le dogme et la révélation".

poznać ich prawa i uczą ich, że walka o wyzwolenie ekonomiczne nie obchodzi nic dogmatu i objawienia.

Tak mówi ksiądz zmuszony z naciskiem dowodzić, że jest katolikiem, bo jako znany socyalista uchodził za wyklętego z Kościoła. Powyższe jego słowa znalazły poklask rzęsisty ze strony czerwonych pism, które ściągają łatwowiernych zwolenników. Wywody księdza katolickiego o możliwej zgodzie socyalizmu z Kościołem: wszak to wyborny oręż, aby podbijać prostaczków. Ale całkowitym prostakiem być trzeba, aby upatrzyć katolicyzm u księdza, dla którego encykliki Leona XIII o socyalizmie posiadają powagę tylko teologiczną.

Może to spostrzegło samo *Mouvement*, bo pochyłemi czcionkami wytłoczyło wszystkie ustępy wywodów, sprzeczne z powszechną nauką Kościoła. Nie poprzestało na tym dowodzie, że jaśniej, niż ksiądz Hagerty widzi przeciwieństwa między Krzyżem a czerwonym sztandarem. Umieściło osobny ustęp pióra Johna Spargo, który wręcz zbija księdza Hagertego. Ten to naczelny wydawca *Comrade'a* gani Towarzyszów, iż oszczędzają przesądy robotników, bo wyszukują na krzewicieli socyalizmu proboszczów katolickich albo pastorów protestanckich, właśnie dla ich s t a n o w i s k a p r o b o s z c z ó w a l b o p a s t o r o w a przytem liczą, że tacy działacze sprężyściej, niż inni zbierać będą albo układać dowody, aby wykazywać zgodę między swojem wyznaniem a filozofią czerwoną. Spargo poczytuje to za niebezpieczne i nieszlachetne i wymienia jednego z owych księży, użytych przez Towarzyszy za naganiacza, właśnie księdza Hagertego; przytacza jego słowa [1], jakoby socyalizm był nauką

[1] Tamże 657: „...la tendance dans notre parti est de ménager les préjugés religieux des travailleurs, en recherchant dans notre propagande des curés catholiques et ministres protestants, pour leur qualité de curés et ministres, afin qu'ils nient énergiquement, on essaient de dissiper par des arguments l'antagonisme que l'on s'efforce de créer entre notre philosophie et celle de leurs propres Églises. Cette critique me semble faible, dangereuse et même déloyale. Je trouve insoutenable cette déclaration de l'abbé Hagerty: ‚je ne trouve aucune incompatibilité entre les doctrines du Catholisisme et la Philosophie du Socialisme. Je ne CROIS dans aucun dogme économique; mais je CONNAIS une philosophie économique précise.

społeczną a nie układem wierzeń dogmatycznych; podkreśli następnie wywód tegoż księdza, że Kościół jako Kościół, nie może kłócić się ze socyalizmem, tak samo jak nie może popaść w rozterkę z promieniami Roentgena albo telegrafem bez drutu Marconiego. Na ten wywód odpowiada Towarzysz: Czyż socyalizm niczem więcej nie jest, jak tylko nauką społeczną? Czyż nie ma podwalin obyczajowych? Czyż nie wyznaje zasad o rozwoju dziejowym, którym sprzeciwia się Kościół jako Kościół? I czyż nie mamy wierzeń opartych na filozofii ekonomicznej?

Jestem w końcu przekonany, że mamy więcej bać się przyjaźni, niż nienawiści i wrogiego stanowiska ze strony Kościoła. Nie dowierzam, doznaję strachu przed socyalizmem chrześcijańskim, czy to protestanckim czy katolickim. Kościół, jakby smok, nie chwyci socyalizmu do uścisku... chyba śmiertelnego.

Przez wykład naukowy naszych poglądów, przez odwołanie się do uczuć etycznych proletaryatu, przez nacisk na myśl moralną socyalizmu zdołamy skutecznie usunąć warstwę robotniczą z pod czarów, któremi Kościół ujarzmia wyznawców wiary.

Na tem kończy John Spargo swoje wywody a *Mouvement*

Le socialisme et une science économique et non un système de croyances dogmatiques. L'Église, en tant qu'Église, ne peut pas avoir de querelles avec le Socialisme, pas plus qu'elle ne peut venir en conflit avec les rayons Roentgen, où le système de télégraphie sans fil de Marconi'.

„Le socialisme n'est-il rien de plus qu'une Science économique? N'a-t-il pas une base morale? N'a-t-il pas une théorie de développement historique, à laquelle l'Église en tant qu'Église s'oppose? Et n'avons-nous pas des ‚croyances' fondées, si vous le voulez, sur notre ‚philosophie économique?'"

660: „Je suis convaincu enfin que nous avons plus à craindre de l'amitié que de la haine et de l'opposition de l'Église. Je me défie et j'ai peur du ‚Socialisme chrétien', qu'il soit catholique ou protestant. L'Église, comme un vampire, n'embrassera le Socialisme que pour l'étouffer.

„Je suis persuadé qu'en ajoutant à la stricte présentation scientifique de notre doctrine, l'appel aux sentiments éthiques du prolétariat, la mise en valeur des aspects moraux du socialisme, nous pourrons éloigner avec efficacité la classe ouvrière des charmes asservissants de l'Église".

kończy na tych wywodach długi rząd odpowiedzi, nadesłanych przez Towarzyszy z różnych części świata w sprawie stosunku socyalizmu do Kościoła.

IV. Wniosek końcowy. Walczyć przeciw Kościołowi powinien Towarzysz każdy orężem dla siebie stosownym.

Od początku jesieni w roku ubiegłym długo aż do środka ostatniej wiosny szły w *Mouvement* odpowiedzi wybitnych Towarzyszy i wywoływały po różnych pismach czerwonych wiele uwag ze strony innych członków stronnictwa. I odpowiedzi jednych i uwagi drugich okazują, że Towarzysze i najwybitniejsi i najskorsi do pióra wyrażają swoją myśl bardzo nieściśle, jakby ją sami pojmowali ledwo w mglistych zarysach. W wymianie każdy swojej myśli i przy obronie poglądów przed zarzutami z wielkim naciskiem wytykają sobie błahe szczegóły i oklepane drobnostki, a z nich każdy tworzy jakby odrębną naukę i upatruje zasadniczą różnicę pomiędzy sobą a rzekomym przeciwnikiem. Jednak ponad temi różnicami w drobiazgach przeziera myśl przewodnia, którą w wątku wspólnym usiłował streścić sam pan Morizet. Zakończył tedy przebieg swojego śledztwa sprawozdawczym z niego wnioskiem: nie przedarł jednak gęstego mroku spornych szczegółików, tylko krętą ścieżką omijał przeciwieństwa, zamiast wyławiać na ich tle zawiązki wspólnej zasady. Rozprawa jego nie płynie jednolitym tokiem, gubi czytelnika wśród zwrotów krasomówczych, ani nie opanowuje przedmiotu. Jednak przynajmniej cząstkę myśli poruszonych w odpowiedziach sprowadza do wspólnego mianownika i w tej cząstce możemy znaleźć nie przejrzyste wprawdzie, przecie wierzytelne świadectwo najnowszego socyalizmu o jego stanowisku względem Kościoła [1].

Wymienić tedy wystarcza następne wnioski, objęte w dwóch ustępach; pierwszy dotyczy stanowiska socyalizmu wobec Kościoła jako potęgi ekonomicznej, politycznej i socyalnej, drugi

[1] Tamże 661—679.

rozbiera stanowisko socyalizmu względem wyznaniowych wierzeń i uczuć osobistych u członków.

Co do pierwszego Morizet wnosi z odpowiedzi, że żadna różnica możliwa nie zachodzi a zgoda jednomyślnie panuje między Towarzyszami wszelkich odcieni, mianowicie co do Kościoła właściwie takiego czyli świeckiego duchowieństwa. Każdemu tedy wolno mieć swój Kościół i swoich księży, wolno zatem ich utrzymywać, jak każdy swobodnie łoży datki na swoje kasyno albo na wspólne potrzeby towarzystwa gry we *footbal*. Państwo nie ma wkraczać.

W następstwie tej zasady zniknąć ma wszystko, co nadaje Kościołowi znamię urzędowe. Wszelkie prawa i zasiłki, których używa Kościół wyłącznie a żadne inne społeczeństwo nie używa, stanowi wyjątek z pod prawa, pozbawiony słusznego powodu. Trzeba zupełnie oddzielić Kościół od państwa, znieść wyznaniowe wydatki ze skarbu państwa, znieść także ambasady przy Stolicy świętej, kapelanów wojskowych i katechetów przy szkołach, znieść odrębne stanowisko obywatelskie duchowieństwa, jego prawo osobliwe do przewodnictwa przy pogrzebie uroczystym i t. d.

Co do stanowiska socyalizmu względem Kościoła, jako przywódcy stosunków wyznaniowych, Morizet stwierdza, że prawie we wszystkich odpowiedziach Towarzysze zgodnie bronili zasady: wyznanie to sprawa osobista. Ale wykład tej zasady nie brzmi jednakowo we wszystkich ustach. Ogólną przecie myśl, o której żaden socyalista nie wątpi, wyraził Vandervelde, kiedy pisze, że socyalizm ma wyzwolić człowieka całkowicie z wszelkich pęt i c i a ł a i d u c h a, więc także wyzwolić trzeba świat z pęt wyznaniowych. Ale te pęta nie tak dotkliwie i do żywego bolą, jak niedola i nędza, — pęta cielesne! więc socyaliści muszą walczyć przedewszystkiem przeciw rozpanoszonemu pieniężnictwu, a dopiero w dalszym ciągu wyzwalać społeczeństwo z wyznaniowych kajdan. To znaczy, wyjaśnia Morizet, że nie socyalizm, jako socyalizm, wypowiadać ma walkę; dość, że ją przyjmie, kiedy Kościół rzuci rękawicę przez nacisk na wolne sumienia. Socyalistom, rzecz oczywista, wolno i wypada w du-

chu wolnościowym występować przeciw wyznaniowemu jarzmu, ale w imieniu osobistem a nie urzędowo jako Towarzyszom czerwonej chorągwi. Zgodnie tedy z osobistym poglądem mają obowiązek bronić stanowiska filozoficznego i zwalczać wpływ Kościoła wszelkim orężem propagandy, krytyki i wymowy, jakim który z nich włada.

Tę to różnicę między przeciwkościelną robotą socyalistów a walką przeciw Kościołowi w imieniu socyalizmu stawia jako zasadę Morizet i nie poczytuje jej za wybieg: *il n'y a pas là une distinction casuistique* (str, 668). Zaspokojony tym wynikiem swojej pracy sprawozdawczej Morizet opuszcza pole wywodów filozoficznych i na ostatek rzuca kilka wykrzykników krasomówczych, aby wzywać Towarzyszy do dzieła: „Pokażmy — kończy — podług słów Bebla w Monachium, że demokracya socyalna wyciąga rękę do wszystkich uciśnionych. Oto najskuteczniejszy oręż szerzyciela socyalizmu! Pamiętajmy, że kres, do którego dążymy, to uświadomienie społeczne wydziedziczonych, i że — jak pisał Ferri — sumienie socyalisty: to siła najbardziej przewrotowa ze wszystkich, jakiemi obdarzyć można człowieka, to wynik wszelkiego oporu, stawianego zasadniczo i umiejętnie każdemu objawowi ucisku w polityce albo gospodarce społecznej, w zakresie wyznaniowym, albo w umysłowej dziedzinie.

Ks. K. Czaykowski.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa polskiego.

Zasady logiki ogólnej. *Władysław Biegański.* Warszawa 1903. 8-ka, str. 406 + VII + 11 nlb. Wydanie z zapomogi Kasy im. J. Mianowskiego.

Książka dla czytelników zaznajomionych nieco przynajmniej z początkami logiki, prawdziwie ciekawa, pouczająca niemało, do myślenia, do pogłębienia szczegółów często wprost zmuszająca, chociaż jednocześnie raz po raz wyzywająca prawie do zastrzeżeń, zaprzeczeń, do polemiki.

Składa się ze wstępu, omawiającego zadanie i podział logiki (str. 1—18) i z trzech zwyczajem już utartych części: o pojęciach (str. 19—129), o sądach (str. 130—218), o wnioskowaniu (str. 219—406). Stary ten atoli jak człowiek albo raczej jak prawda materyał, nie występuje w postaci niedołężnej zgrzybiałości, owszem przedstawiony jest i rozprowadzony sposobem nowym, świeżym, a przytem prostym i bezpretensyonalnym. Pochodzi to stąd, że autor przedmiot swój widocznie gorąco pokochał, dużo w tym kierunku studyował, czasu na przemyślenie samo również nie żałował. Prawda, że nie znać w książce dostatecznie wytrawnej rutyny szkolnej, ale niema też w niej za to wysokopiennej powagi niektórych myślicieli-profesorów.

Takie wrażenie całości. Zapuszczać się w szczegóły niepodobna. Zapatrywania nasze w wielu kwestyach logicznych nie schodzą się całkowicie z poglądami autora, w niektórych kwestyach są wprost rozbieżne, tak iż na samo zaznaczenie i choćby króciutkie uzasadnienie naszych zastrzeżeń potrzebaby co najmniej osobnej rozprawy polemicz-

nej. Pominiemy więc całe mnóstwo uwag, odnoszących się po większej części do rzeczy drugorzędnych, a poprzestaniemy na podniesieniu dwu zasadniczych, naszem zdaniem, cech, tworzących główne wiązanie tej nowej logiki. Jedną z tych cech uważamy za zasadniczo dodatnią, drugą za ujemną. Zacznijmy od ujemnej.

Już przed Kantem przeważało zanadto w logice badanie t. zw. formalnej strony myślenia. Od czasów zaś filozofa królewieckiego zaczęto logikę coraz powszechniej dzielić na formalną i materyalną, i nazywać pierwszą logiką bez przydawki, drugą natomiast teoryą poznania, krytyką, noetyką i t. p. Rozdział ten dał się logice porządnie we znaki. Zabrano jej bowiem bezprawnie nieprzejrzane urodzajne niwy i bujne lasy prawdy rzeczywistej, a kazano się jej zadowolić pustynnymi piaskami i jałowymi ugorami czystej formalistyki. Długo tak trwać nie mogło. To też reakcya nastąpiła prędzej może, niż się spodziewano, chociaż niekoniecznie na korzyść logiki.

Z pomiędzy różnych nauk filozoficznych psychologia jedna potrafiła wywalczyć sobie w ciągu XIX stulecia wybitne i niezależne stanowisko, i to do tego stopnia, że poczęła wkrótce zagarniać wszystkie niemal dziedziny myśli w swoje karby i ryzy. Najłatwiej poszło jej z logiką. Wielu też logików, zwłaszcza w końcu zeszłego stulecia, porzuciło starą formalistykę, a przerzuciło się w ostateczność drugą: poczęło kwestye logiczne tłumaczyć i rozwiązywać nie drogą logiczną, jeno psychologiczną. Tym sposobem miejsce dawniejszego formalizmu zajął w logice psychologizm nowomodny.

Logika p. Biegańskiego jest na wskróś psychologistyczna i psychologizm ten uważamy za zasadniczy rys ujemny książki. Autor oświadcza się stanowczo za psychologizmem już w samym wstępie, omawiając stosunek logiki i psychologii. Oto jego słowa: „Pomiędzy logiką a psychologią istnieje taki sam stosunek, jak pomiędzy hygieną i fizyologią. Hygiena również ma z fizyologią pewien wspólny teren badania; obie te nauki badają zjawiska życia, z tą tylko różnicą, że fizyologia rozpatruje je ze względu na wzajemną ich zależność i ma na celu tylko poznanie życia, tymczasem hygiena bada te same zjawiska w celu praktycznym, aby wykryć prawa, od których zdrowie zależy. Zdrowie w hygienie stanowi taki sam cel wytyczny, jak prawda w logice. Celu tego fizyologia nie zna, jak również nie zna ideału prawdy psychologia“ (str. 9). „Taki sam stosunek (jak między hygieną a fizyologią) zachodzić powinien pomiędzy logiką a psychologią. Logika nie może lekceważyć faktów ustanowionych przez psychologię, nie może

tworzyć konstrukcyi, któreby przeczyły faktom psychologicznym, lecz przeciwnie, powinna zawsze porównywać swoje wnioski z rzeczywistym biegiem myśli i z niego czerpać wskazówki dla uzasadnienia i wytłumaczenia swych prawideł. Pomiędzy logiką i psychologią powinna istnieć wzajemna wymiana usług; obie te nauki, stosowana i teoretyczna, powinny się wspierać wzajemnie, gdyż z takiego stosunku obie tylko korzyść odnieść mogą" (str. 10).

Ostatecznie zatem psychologia jest, podług autora, nauką teoretyczną, logika zaś odpowiednią nauką stosowaną. A jak każda nauka stosowana opiera się całkowicie, zwłaszcza co do podstaw swoich, na odpowiedniej nauce teoretycznej, tak samo i logika musiałaby mieć psychologię za podstawę i ostoję swoją. Jest to, rzecz jasna, stanowisko psychologizmu, stanowisko w niektórych tylko szczegółach dla logiki pozornie korzystne, w gruncie rzeczy i szkodliwe bardzo i prawdziwie niebezpieczne.

Nie możemy najpierw żadną miarą zgodzić się na to, żeby logikę uważać za naukę stosowaną ze względu na psychologię. Przecież prawa psychologiczne odnoszą się wyłącznie do konkretnych i jednostkowych zjawisk psychologicznych, zaś prawa logiczne wyrażają konieczne i powszechne związki między samemi prawdami, które od konkretnych i zmiennych zjawisk wcale nie zależą. Te prawa logiczne mogą być urzeczywistnione i w tem znaczeniu stosowane nawet w dziedzinie psychologicznej: natomiast o jakiemkolwiek stosowaniu odwrotnem mowy być nie może. Krom tego prawa logiczne to prawa zasadnicze wszelkiego poznania i badania naukowego, a więc w szczególności i badania psychologicznego — innemi słowy, prawa logiczne są podstawą wszelkiej nauki. Jeśli zatem chodzi już koniecznie o oparcie jednej nauki na drugiej, to oczywista, że psychologia musi się oprzeć na logice, jako na swej podstawie.

Nie możemy również przyznać słuszności poglądowi, jakoby kwestye logiczne należało tłumaczyć i uzasadniać psychologicznie, a nie logicznie. W zjawiskach myślenia trzeba wyróżnić dwie rzeczy: same konkretne akty psychiczne i znaczenie tych aktów, czyli stronę psychologiczną i stronę logiczną. Konkretne czynności psychiczne, ich związek i wzajemną zależność trzeba i można tłumaczyć tylko psychologicznie — i dlatego rzecz ta należy do psychologii. Natomiast znaczenie tych aktów, więc prawdy rozmaite, które te akty wyrażają, trzeba i można tłumaczyć za pomocą związku z innemi prawdami czyli logicznie, a nie psychologicznie. Można się wprawdzie uwziąć i uzasa-

dniać mimo wszystko prawa logiczne psychologicznie, jak można dowodzić kwadratury koła — z korzyścią to dla logiki nie będzie, ze szkodą niepowetowaną będzie niezawodnie. Zasadnicze bowiem prawa logiczne są bezpośrednio jasne i oczywiste, bezwzględnie pewne i niewątpliwe — a tłumaczenie psychologiczne tych praw musi tylko zaciemnić ich jasność niezamąconą, podkopać i zachwiać ich pewność niezłomną, wtrącić logikę całą i wszelkie poznanie w zawrotną bezdeń sceptycyzmu noetycznego. Chcieć bowiem psychologicznie tłumaczyć stronę logiczną naszego poznania jest to samo, co wyjaśniać konieczność i powszechność prawd idealnych ustrojem wewnętrznym naszego konkretnego umysłu — a więc ostatecznie zgodzić się na to, że niema wcale prawdy bezwzględnej, jest tylko ślepy, niedorzeczny mus wewnętrzny naszego rozumu [1].

Ujemny ten wpływ psychologizmu widoczny jest rzeczywiście w całej logice p. Biegańskiego. Najjaśniejsze skądinąd rzeczy oblekają się pod tym wpływem jakąś pomroką dziwnie bałamutną i zamąconą. We wszystkich trzech częściach logiki liczne można na to znaleźć dowody. Samo np. określenie treści i zakresu pojęć jest u autora mało zrozumiałe, a twierdzenie autora, że treść pojęć jest zmienna (str. 45 i nast.), nie da się nawet logicznie wytłumaczyć. Czasami zdaje się nawet, że autor zgodziłby się raczej na radykalny sceptycyzm, niż na porzucenie psychologizmu. Mówiąc bowiem o pewności sądów, tak się wyraża: „Skąd ja mogę wiedzieć, skąd mogę być przekonany, że ta subjektywna czynność umysłu musi doprowadzić do wyniku, zgodnego z rzeczywistością? Otóż przyczyna realnej pewności tkwi w naiwnym realizmie, który jest niewątpliwie podstawą naszego poznania. Teorya poznania może takie pojmowanie podać w wątpliwość, a nawet dowieść, że jest błędne“ (str. 154 i n.). Ależ jeżeli podstawa naszego poznania jest błędna, to całe poznanie nasze niewiele warte, a logika cała jeszcze mniej! Dalsze szczegóły psychologistyczne zostawiamy krytycznej uwadze samych czytelników, bo chcemy jeszcze słów parę powiedzieć o drugim rysie charakterystycznym naszej logiki.

Za znamienną dodatnią cechę książki p. Biegańskiego uważamy to, że i w sądach i w pojęciach i wnioskach kładzie główny nacisk na treść, nie zaś na zakres pojęć. Prawda, że w każdem pojęciu da się zawsze wyróżnić treść jego i zakres, nie ulega jednak wątpliwości, że treść jest dla pojęć rzeczą bez porównania ważniejszą, bo istotną

[1] Por. E. Husserl: *Logische Untersuchungen.* I. Halle 1900.

i pierwotną, tymczasem zakres jest niejako rzeczą drugorzędną i pochodną, od treści pojęcia dopiero ściśle zależną. Dlatego za wielką zasługę musimy poczytać autorowi, że starał się w swojej książce wytłumaczyć wszystko wyłącznie z punktu widzenia treści pojęć. Można się o tem dowodnie przekonać z każdej niemal stronicy naszej logiki.

Chociaż jednak jak najmocniej pochwalamy uważanie treści pojęć tak w analizach wszelkich jak w uzasadnieniach logicznych, zganić stanowczo musimy wszelką przesadę, za daleko idącą w tym kierunku, jak również jednostronne przedstawienie dotychczasowej logiki szkolnej. Jedno uważamy za rzecz niedobrą, drugie za niesprawiedliwą.

Autor zapatrzony jest tak dalece w samą treść pojęć, że zakresu prawie nie uznaje, że nie dopuszcza nawet podziału sądów ze względu na zakres podmiotu na sądy szczegółowe i powszechne. Tymczasem każde pojęcie jak miało dotychczas swój zakres, tak i nadal w przyszłości posiadać go będzie, a podział sądów ze względu na zakres podmiotu czyli na t. zw. ilość pozostanie, naszem zdaniem, i u przyszłych logików podziałem logicznie uzasadnionym. Nienawiść swą do zakresu pojęć posuwa autor do tego stopnia, że wszelkie zakresowe (ilościowe) tłumaczenie uważa z góry za zupełnie błędne, a logice szkolnej przypisuje stale, jakoby poza tłumaczeniem zakresowem (ilościowem), innego (treściwego, jakościowego) tłumaczenia ani nie widziała, ani nie uznawała. W rzeczywistości jednak logika szkolna, jakkolwiek wielokrotnie przesadzała niepotrzebnie w tłumaczeniu zakresowem, zwłaszcza w kwestyi logicznej natury sądów, treści pojęć nie przeczyła wcale, a wiele zagadnień logicznych rozwiązywała za pomocą rozważania treści samej. Niejedną też z trafnych uwag o treści pojęć, które autor podaje jako sprzeciwiające się logice szkolnej, potrafilibyśmy odnaleźć w wielu dawniejszych podręcznikach logiki, zwłaszcza łacińskich.

Pod wpływem psychologizmu i jednostronnej zawziętości przeciwko zakresowi pojęć próbuje autor raz po raz obalić niektóre poglądy logiki szkolnej, chociaż od dawna utarte i dość powszechnie przyjęte, a na ich miejsce wprowadza własne zapatrywania i tłumaczenia nowe. Odnosi się to przedewszystkiem do pojmowania sądów szczegółowych i powszechnych, jako też do wzajemnego stosunku tych sądów, następnie do znanych ośmiu scholastycznych prawideł konsekwencyi syllogistycznej. I te obalenia i te nowości wszystkie śledziliśmy z wytężoną uwagą — i przyznajemy chętnie, że tu i ówdzie tkwi w tem niewątpliwie myśl trafna i zdrowa, że dla logików fachowych te rzeczy mogą przedstawiać najwięcej zajęcia; nie taimy jednak osta-

tecznego wrażenia, że te obalenia po większej części nie są doszczętne, i że znaczna część tych nowości nie przedstawia prawdziwych zdobyczy naukowych, lecz da się zadawalająco wytłumaczyć, jako niewinne i prawdopodobnie nieszkodliwe paralogizmy. Zresztą możeby się tu dało zastosować powiedzenie Diderota, że zazwyczaj więcej zawdzięczamy wybitnym błędom, niż prawdom oklepanym.

Czytelnikom, co zwykli przeglądać same tylko zakończenia recenzyi, zwracamy uwagę, żeśmy sąd ogólnikowy o dziele p. Biegańskiego wypowiedzieli na początku niniejszej oceny.

Ks. Jan Nuckowski.

Nowy indeks książek zakazanych, oraz jego uzasadnienie, dzieje i nowe prawo. Napisał *ks. Władysław Szczepański T. J.* Kraków. 1903.

Moralista każdy z prawdziwą rozkoszą będzie czytał stronnice położonego w nagłówku dzieła, a pisząc recenzyę, chciałoby się o każdym rozdziale coś powiedzieć, każdej stronnicy zalety i gruntowność podnieść, by one w sądzie ogólnie sformułowanym nie utonęły, i by pracę autora, rzetelną a żmudną wynagrodzić. Recenzentowi jednak nie wolno sobie wiele pozwalać, bo ramy jego notatek muszą być szczupłe; przypatrzmy się przynajmniej ogólnie dziełu.

Autor dzieli książkę na dwie części: pierwsza dogmatyczno-historyczna, druga prawniczo-moralna. W pierwszej wykazuje, że Kościół ma prawo i obowiązek zakazywania niebezpiecznych pism, i władzy tej zawsze używał. Już prawo przyrodzone zakazuje czytać złe książki, bo one „odwodzą człowieka od Boga, zmniejszają w sercu cześć Bogu należną, wiodą do zuchwałego przekraczania Jego przepisów i praw, do życia niemoralnego“ (str. 5); prawo objawione nie mówi szczegółowo o książkach, ale ogólnie nakazuje unikać zgorszenia i okazyi do grzechu, a tem samem wyraża, jak się mamy zachować wobec złych książek; ogólnikowe zaś przepisy jednego i drugiego prawa określa bliżej prawo kościelne. Chrystus Pan dał tę władzę Kościołowi, bo jego obowiązkiem jest głosić Boską naukę Zbawcy i bronić jej od błędów przeciw niej powstających. Kościół ma nie tylko prawo ale i obowiązek potępiania niebezpiecznych książek. „Winien to swemu Boskiemu Założycielowi, który go uczynił stróżem skarbu prawdy. Winien to Kościół także i wiernym, którzy mu powierzyli swe dusze, zaufali jego staraniu i opiece, tusząc sobie, że ich będzie ostrzegał i bronił przed niebezpieczeństwy. Gdyby więc Kościół tego nie uczynił, stałby się winnym podwójnej zdrady“ (str. 13). Kościół władzy tej

używał w przeświadczeniu, że ona należy do istotnych jego przymiotów a praktykę Kościoła w tym kierunku dzieli autor na trzy okresy. Pierwszy do w. XV, t. j. do wynalezienia druku, drugi do Leona XIII, t. j. do wydania bulli *Officiorum ac munerum* r. 1897, trzeci obejmuje nowe czasy od r. 1897. Za pierwszy indeks kościelny (małych rozmiarów) można uważać dekret papieża Gelazyusza, wydany w r. 496, a umieszczony w *Corp. iur. can.* jako c. 3 Dist. XV Dekretu Gracyana.

Ponieważ rozporządzenie Aleksandra VI miało tylko lokalny charakter, gdyż odnosiło się do prowincyi nadreńskiej (n. 48) a pierwsze prawo ogólno-kościelne w sprawie drukowania książek wydał Sobór Later. V na sesyi X w r. 1511, przeto sądzę, że można dokładnie określić pierwszy okres w praktyce Kościoła jako trwający do r. 1511 lub okrągło do w. XVI, mimo iż druk wynaleziono koło 1450 roku.

W części II, prawniczo-moralnej, podaje autor bulle: *Sollicita ac provida* Benedykta XIV i drugą *Officiorum ac munerum* wraz z ustawami ogólnemi, a obie w języku pierwotnym i dobrem tłumaczeniu polskiem. Wykazawszy, że wszelkim dawniejszym ustawom kościelnym odjął Leon XIII moc obowiązującą, i wykazawszy stosunek prawa kościelnego do przyrodzonego, a mianowicie, że popełnia grzech katolik czytający pismo zakazane, chociażby specyalnie jemu żadne nie groziło niebezpieczeństwo, bo prawo kościelne przypuszcza niebezpieczeństwo dla ogółu i na niem się opiera, objaśnia dalej autor ogólne pojęcia książki, broszury, torując sobie drogę do komentarza ustaw ogólnych.

Objaśniając szczegółowo bullę *Officiorum* i jej Ustawy ogólne, trzyma się autor tej metody co Pennacchi; przechodzi paragraf za paragrafem i dodaje objaśnienia. Tutaj całą pilność i to niezwykłą, całe wykształcenie swoje obszerne i gruntowne wyzyskał i włożył w książkę z wielką dla siebie chlubą i wielkim pożytkiem dla nauki. Gdyby ten komentarz był napisany w języku łacińskim, byłby dziełem bardzo poważnem i w tej materyi najgruntowniejszem w powszechnej literaturze kościelnej. Wybrał zaś autor drogę bardzo praktyczną a mianowicie objaśnienia swoje i poglądy napisał w jednym ciągu przy poszczególnych §§ bulli a w notatkach podał źródła, zszeregował zdania autorów przy każdym ważniejszym ustępie i zamieścił polemikę; przez to stał się przejrzystszym od Pennacchi'ego i pożyteczniejszym od Hollwecka a gruntowniejszym od obu. Na końcu zaś każdego paragrafu podaje krótkie streszczenie i sankcyę prawa, t. j. rozbiera pod

jakim grzechem obowiązuje dotyczący paragraf i czy nakłada karę, czego żaden autor, przynajmniej tak dokładnie, nie zrobił. W ten sposób pogodził autor metodę naukową z wymogami praktycznymi. Literaturę od r. 1897 objął całą, cytuje nawet drobne rozprawki, zwraca zawsze pilną uwagę na nasze stosunki galicyjskie, wylicza np. w n. 340—342 pisma, które w poszczególnych dyecezyach galicyjskich są przez biskupów zakazane. Oprócz kwestyi przez innych autorów uwzględnianych, rozbiera nowe, oryginalne, np. czy stanowisko katechetów uprawnia ich do czytania klasycznych książek zawodowo sprośnych i rozstrzyga, że nie wolno tego bez wyraźnego pozwolenia katechetom szkół ludowych, wolno zaś katechetom szkół średnich. Podobnie też bardzo wiele światła rzuca na kwestyę, czy socyaliści należą do sekt pokrewnych masoneryi.

By czytelnik miał przegląd krótki a praktyczny przepisów Kościoła, podaje autor w Dodatku I ogólnikowy skorowidz książek i pism zakazanych a w Dodatku II wylicza książki, które potrzebują aprobaty Rzymu i biskupa. Dodatek zaś III wylicza książki, które papieże imiennie potępili, a które jeszcze dziś są zakazane pod karą klątwy. Dodatek ten jest samodzielny i bardzo pracowity, a spis takich książek jest dopiero pierwszy w literaturze kościelnej.

Forma zewnętrzna jest piękna i poważna.

Możnaby mieć jednak odmienne zdanie w niektórych kwestyach i na pewne usterki zwrócić uwagę.

Tok wywodu w n. 12 nie zgadza się z pojęciem prawa ludzkiego. Każde prawo ludzkie jest z natury swojej ogólnem, a „prawo kościelne w zakresie książkowym opiera się nie tyle na niebezpieczeństwie aktualnem oddzielnych jednostek, ile na przypuszczeniu tego niebezpieczeństwa, a to dla ogółu, nie zaś dla pojedynczych ludzi“ (autor n. 113). Ten przymiot praw ludzkich jest bardzo ważny ze względu na wnioski praktyczne. Autor zaś w n. 12 udowadniając potrzebę prawa ludzkiego i jego stosunek do przyrodzonego, dochodzi do wniosku za daleko idącego, iż „potrzeba jakiejś powagi, któraby orzekła: ta a ta książka jest dla ciebie niebezpieczną, szkodliwą, tej ci czytać nie wolno“. Zapewne, może tak powiedzieć spowiednik penitentowi, wychowawca wychowankowi, ale takie zdanie nie będzie prawem, lecz rozkazem, radą.

Mojem zdaniem n. 18 i 19 powinien być gruntowniejszym; należało więcej wyzyskać dzieła przytoczonych autorów Pescha, Janiszewskiego i Peronne'go *Praelect. dogm.*

W pojmowaniu słowa „czytający“ (n. 123) poszedłbym dalej od autora. Wiadomo, że dawniej pisarze za św. Alfonsem brali to słowo w znaczeniu bardzo ścisłem, tj. rozumieli tylko fizycznie czytającego, twierdząc, że kto tylko słucha czytającego książkę zakazaną, choćby z jego polecenia ją czytano, nie grzeszy. Był to rzeczywiście *auf die Spitze getriebener Formalismus* (Hollweck: *Das Bücherverbot*, str. 24), niezgodny z myślą prawodawcy. Nowsi, uwzględniając więcej ducha, aniżeli literę prawa, złagodzili to tłumaczenie i twierdzą: jeżeli kto słucha czytającego, którego do czytania nakłonił, ten moralnie sam czyta, a gdy czytający nie ma pozwolenia, to oprócz tego współdziała do grzechu. Za nimi idzie autor, jednakowoż twierdzi, że kto słucha czytającego, którego do czytania książki zakazanej nie nakłonił, ten nie grzeszy przeciw prawu kościelnemu. Weźmy wypadek konkretny. Grono osób na głos czyta książkę zakazaną; Adam przyłącza się do nich i słucha czytającego. Według autora, Adam nie grzeszy, ponieważ ani fizycznie nie czyta, ani moralnie, gdyż nie nakłonił Feliksa do czytania. Sądzę, że Adam, zapytany, czy czytał tę książkę, odpowie, że czytał, a sumienie mu poświadczy, że źle robił.

Kto ma u siebie książkę zakazaną, aby papierem z niej „owijać“ (raczej „obwijać“) różne przedmioty (n. 125), myślę, że nie jest przechowującym książkę w znaczeniu prawnem, gdyż takie przechowywanie książki jest jej niszczeniem, wprawdzie nie tak doraźnem, jak wrzucenie do ognia, ale powolnem.

Sługę, trzymającego książki swego pana (n. 125) także nie zaliczyłbym do przechowujących w znaczeniu prawnem, a racya jest ta sama, którą autor przytacza, że mianowicie prostych robotników przy maszynie drukarskiej nie można liczyć do drukujących.

Dla jasności w n. 163 należy przed słowem „twierdzenie“ dodać zaraz „błędne“.

Sankcyę w n. 196 należy rozszerzyć w tym kierunku, że posługujący się Bibliami, wydanemi przez heretyków, w których albo wstęp albo objaśnienia zaczepiają i zbijają katolickie dogmaty, nie tylko grzeszy ciężko, ale jeszcze wpada w klątwę. Wprawdzie § 5 Ustaw ogólnych mówi tylko o zakazie, ale biblie takie mają wszystkie znamiona książek pod klątwą zakazanych według § 47 tychże Ustaw — a są nawet niebezpieczniejsze od innych książek.

„Monografie historyczne i studya nad jakiemś oddzielnem wydarzeniem albo osobistością kościelną, nawet zbiorową, np. jakimś za-

konem w pewnym tylko kraju" według autora (n. 465) nie potrzebują aprobaty biskupiej.

I praktyka dotychczasowa (np. dzieła ks. Załęskiego) i sama natura tego rodzaju książek nakazują mi iść raczej za zdaniem odmiennem Hollwecka (str. 44) i Opielińskiego (str. 52), bo to są dzieła należące do historyi Kościoła. Gdyby jednak autor monografii miał więcej na względzie dzieje świeckie, a tylko dotykał historyi Kościoła, lub też gdyby mu chodziło o krytykę źródeł, albo gdyby miał na oku literackie względy, wtenczas nie potrzebowałby aprobaty biskupiej. Za zdaniem mojem przemawia brzmienie § 41; mówi bowiem ustawa: *Omnes fideles tenentur praeviae censurae ecclesiasticae subiicere eos saltem libros, qui... historiam ecclesiasticam respiciunt.* A więc nie tylko dzieła historyczne, obejmujące całość dziejów Kościoła lub epokę jedną, ale i monografie (bo one dotyczą historyi Kościoła), powinny mieć aprobatę.

Ciekawie przedstawia się kwestya co do aprobaty ksiąg liturgicznych wobec nowego prawa i jego komentatorów. Autor, opierając się na § 18 Ustaw ogólnych twierdzi, że Stolica Apostolska rozporządziła tylko tyle, aby w mszałach, brewiarzach, rytuałach i t. p. książkach nikt nic nie zmieniał, w przeciwnym razie są zabronione, aprobaty zaś biskupiej nie potrzebują. Zdania tego broni Pennachi a autor mówi: „Na zdania Pennacchi'ego w teoryi całkowicie się piszemy... jednak w praktyce należy się starać o aprobatę biskupią, bo takie biskupie *concordat cum originali* nadaje dziełu pewną cechę zgodności z autentycznem wydaniem, dodaje mu większej powagi wobec wiernych i większej popularności" (n. 309). Konsekwentnie autor w skorowidzu (n. 554) umieścił książki liturgiczne między potrzebującemi aprobaty biskupiej.

Pennacchi prowadził nawet polemikę z *Ephem. liturgicae* (patrz *Acta s. Sed.* t. XXXIII, str. 315 sq.) w tej materyi. Autorzy są podzieleni.

Mojem zdaniem Pennachi co do aprobaty biskupiej jest zanadto wolny. Jeżeli on takie zdanie wygłasza: *Nullus liber ecclesiasticae censurae subiectus prohibitus censetur ob unum ecclesiasticae censurae defectum (Acta s. Sed.* t. XXX, str. 535), to wszystkie poglądy jego na cenzurę uprzedzającą muszą się wydawać podejrzane. Zdanie to bowiem jest za wolne, podkopujące znaczenie cenzury. Zapewno, że *Ephem. liturg.* stanęły na gruncie fałszywym, wywodząc, że dawne prawa

dotyczące ksiąg liturgicznych nie straciły mocy obowiązującej przez bullę *Officiorum*. Zdania takiego podtrzymać nie można wobec wyraźnej a nawet eufemicznej decyzyi Leona XIII, znoszącej wszelkie ustawy kościelne, dotyczące książek, z wyjątkiem bulli *Sollicita*.

Mimo to wszystko przyłączam się do zdania tych, którzy twierdzą, że książki rytualne potrzebują aprobaty i to na podstawie bulli *Officiorum*. Jakie są powody wewnętrznej natury, nie będę się rozpisywał, bo sam autor je uznaje, skoro w praktyce jest za aprobatą; chodzi o to, na jakiej podstawie należy to twierdzenie oprzeć. Odpowiadam: albo na paragrafie 18 albo na 20 Ustaw ogólnych. Z § 18-go wypływa potrzeba aprobaty pośrednio: jeżeli zakazuje mi Stolica Ap. używać brewiarza i mszału, niezgodnych z autentycznemi wydaniami, to ja, biorąc książki te do ręki, muszę z góry wiedzieć, iż one są zgodne; takie poświadczenie w Kościele katolickim może mi dać tylko biskup lub władze rzymskie; nierozsądkiem byłoby pozostawiać to decyzyi księży, bo ci, ogólnie biorąc, nigdyby nie doszli do przekonania, że mszał lub brewiarz są zgodne z autentykami a to z tej prostej przyczyny, że autentyków nie mają, *ergo*. Gdyby kto nie chciał się zgodzić na to rozumowanie, to mogę się powołać na § 20, który pod obowiązek aprobaty poddaje *libros precum;* ponieważ wszystkie książki rytualne są *libri precum, ergo*. Kto się opiera w tej materyi na § 20, może § 18 uważać za przypomnienie Stolicy Apolstolskiej dawnych rozporządzeń i ostrzeżenie wyraźne a nigdy nie zbyteczne, by nie zmieniać nic w książkach liturgicznych.

Na końcu niech mi wolno będzie o języku autora coś powiedzieć. Ogólnie biorąc, język autora jest bardzo dobry i czysty, książka czyta się płynnie, jednakowoż znajdują się tu i ówdzie usterki, najczęściej zaś znać wpływ łaciny. Oto niektóre: str. 32: dekret proskrypcyjny, str. 102: brak dzieł fachowych, zam. zawodowych str. 152: niemiłe brzmi wyrażenie: jakość tłumacza; str. 227: erygują, zam. zakładają; str. 117: przestrzegać przepisy, zam. przepisów; str. 192: dywinacya, zam. wróżenie. Nie zgadza się z duchem języka polskiego tłumaczenie dosłowne trybów rozkazujących w ustawie, jak na str. 143, 288, 294, 303, 312. Za surowe jest także tłumaczenie łacińskiego *scripta omnia, in quibus religionis et morum honestatis specialiter interest* w ten sposób: „wszystkie pisma, na których szczególnie zależy religii i obyczajności“ (str. 312); jeżeli się autorowi nie podobało wyrażenie Opielińskiego, lepiej byłoby przetłómaczyć według myśli Hollwecka str. 44, 8. Ła-

cińskie *ex professo, data opera* zamiast tłumaczyć „tendencyjnie“, lepiej może byłoby przełożyć: „zawodowo“.

Drobne to są jednak skazy na wspaniałej budowli.

Ks. Dr. Szczeklik.

Towarzystwo Przyjaciół Nauk. Księga III. *Aleksander Kraushar.* Kraków — Warszawa. 1902. (W 8-ce więk., str. VII+408).

Autor tego dzieła w krótkim stosunkowo czasie niemało poważnych dzieł napisał; dość wspomnieć takie utwory, jak np. „Książę Repnin i Polska“, „Frank i Frankiści“, „Dzieje Krzysztofa Arciszewskiego“, „Olbracht Łaski“ i inne; jak też sumiennie opracowane przyczynki, dotyczące ostatnich czasów istnienie Rzeczypospolitej: „Bonneau, nieznane listy Kościuszki w sprawie legionów“, „Albert Sarmata“, „Barss“ i t. d. Niniejsze dzieło powiększa liczbę wybitniejszych prac autora, który znakomicie wyzyskał obfity zasób służących mu w tym celu materyałów.

Trzecia księga zajmującego nas tu dzieła omawia działalność Towarzystwa Przyjaciół nauk za czasów królestwa kongresowego; ma to wyjść w czterech tomach. Tom pierwszy, obecny, obejmuje okres czasu od r. 1815 do końca 1819, w którym powzięty przez Staszyca zamiar przeniesienia siedliska Towarzystwa ze szczupłego gmachu na Kanoniach do obszernego pałacu przy Krakowskiem Przedmieściu, przyobleka się w wyrazistą formę.

„Okres od 1815 r. do 1832, obejmuje początek i koniec dziejów królestwa kongresowego i jednocześnie czasy najbujniejszego rozkwitu działalności Towarzystwa; wśród warunków pomyślniejszych dla kraju, rozwijały się w ciągu tych lat organiczne prace, zmierzające do dobrobytu narodowego, podniesienia jego oświaty, kultury, przemysłu i rozwoju różnych instytucyi pożytecznych; w tych wszystkich pracach najczynniejszą odegrali rolę mężowie, składający grono członków Towarzystwa Przyjaciół Nauk; w rządzie krajowym byli oni ministrami, w obradach sejmowych deputowanymi, w uniwersytetach — rektorami, profesorami, w dziedzinie umiejętności należeli do powag, z któremi liczyła się nauka europejska, w literaturze zaś miano ich za przedstawicieli najlepszego „gustu“; nadto byli oni zachowawcami i krzewicielami zasad, które jednostce ludzkiej i obywatelskiej nadają cechę iście humanitarną; ta właśnie łączność organiczna, kojarząca pracę uczonego grona z życiem publicznem odrodzonego królestwa, stanowi charakterystykę najważniejszego okresu tej instytucyi“.

Wymowną ilustracyę tych słów przedmowy autora stanowi treść dwudziestu czterech rozdziałów pierwszego tomu.

Niezależnie od rozdziałów, podzielił autor tom na cztery części. Część pierwsza (3—87), zaczynająca się od dwóch odezw, pożegnalnej rządu tymczasowego i inaugurującej nową erę, nowe rządy i odezwy namiestnika nowego Królestwa, Zajączka, opisuje pierwsze kroki i początkową działalność Towarzystwa za czasów królestwa kongresowego. Jest tu sąd krytyków Towarzystwa o „Barbarze“ Felińskiego i tragedyi „Orgina“ anonimowego autora, memoryał o polepszeniu doli ludu wiejskiego, sprawozdanie o „Śpiewach historycznych“ Niemcewicza, rozbiór „Atalii“ Racina w tłómaczeniu tegoż Niemcewicza i relacye jego o listach Stanisława Leszczyńskiego; projekty podniesienia przemysłu krajowego, wiadomości o nowych dziełach Chodkiewicza z dziedziny chemii; o rozprawie Majewskiego o sanskrycie, o rozprawach ks. Dąbrowskiego o matematyce, o biografii Czechowicza, o życiu obyczajowem i towarzyskiem, słabo odzwierciedlającem się w dziennikarstwie; o literaturze powieściowej i zjawieniu się głośnej w swoim czasie powieści „Malwina“; znajdujemy tu sprawozdanie ze stanu funduszów Towarzystwa, które pragnęło uczcić Kopernika pomnikiem w Warszawie, dalej skreślone starania o oświatę ludową, stosunki Towarzystwa z zagranicznemi towarzystwami, uniwersytetami i uczonymi; pierwsze brzaski romantyzmu, które właśnie zaświtały w gronie członków Towarzystwa, również są uwzględnione; podano tu wiadomość, że Kościuszko z Solury przysłał tysiąc franków na bramę tryumfalną dla Aleksandra I, która miała być wzniesioną w Warszawie; zainteresowanie się Rumiancowa, ministra rosyjskiego, wydawnictwem Dogiela, *Corpus diplomaticum*, jego korespondencya z Sobolewskim, a Sobolewskiego ze Staszycem o tym przedmiocie; jest mowa o medalu na cześć Lindego i uczczeniu medalem zasług ks. O. Kopczyńskiego; Towarzystwo zajmowało się także sprawami językowemi, ustaleniem pisowni polskiej, sprawą całej słowiańszczyzny i t. d. i t. d. Słowem, nie było może gałęzi wiedzy ludzkiej, nie było prawie wydatniejszego utworu literackiego i naukowego, nie było kwestyi społecznej, którymby Towarzystwo nie poświęcało swej uwagi, pracy i zabiegów. Na takich to zajęciach zeszedł Towarzystwu rok 1816, pierwszy rok bytu odrodzonego królestwa.

Następujący rok działalności Towarzystwa omawia część druga (87—168). Najważniejszym wypadkiem tego roku było otworzenie w Warszawie zupełnego Uniwersytetu. Prawie wszyscy dotychczasowi

członkowie Towarzystwa, posiadający stopnie naukowe uniwersyteckie, weszli w skład ciała profesorskiego młodej wszechnicy warszawskiej, a i potem wszyscy nowo powołani z uniwersytetów zagranicznych uczeni zostali członkami Towarzystwa. Dwie te najwyższe instytucye naukowe iść miały odtąd ręka w rękę, uzupełniając się niejako. Autor zwraca baczniejszą uwagę na agitacyę towarzystw biblijnych, powstałych pod wpływem t. zw. świętego przymierza, — której uległo wielu znakomitszych członków Towarzystwa z Adamem Czartoryskim na czele. Chociaż Stolica Apostolska oświadczyła się stanowczo przeciw owym towarzystwom, a arcybiskup gnieźnieński listem pasterskim ostrzegał i ganił tę działalność, jednak nawet, niestety, niektórzy biskupi przystąpili do biblijnych towarzystw, jak: Malczewski, biskup kujawski, Woronicz, krakowski, Ciechanowski, chełmski...

Prace Towarzystwa Przyjaciół Nauk w tym roku postępowały dalej zwykłym porządkiem: Stern referował w styczniu o swoim matematycznym wynalazku, Bentkowski o historyi pierwszej legii polskiej; rozbierano przekłady Boala, Zbigniewa, pracę Niemcewicza; Staszyc w długiej mowie zdawał sprawę z ubiegłego czterolecia swojej kadencyi, po której, choć bezskutecznie, chciał usunąć się od prezydentury wobec niesnasek w łonie Towarzystwa wynikłych (co spowodowało Chodkiewicza do czasowego opuszczenia Towarzystwa); opisano w tej części także przewiezienie zwłok Józefa Poniatowskiego do Krakowa, obchód żałobny po śmierci Kościuszki; podano sprawozdanie o dziejach Zygmunta III przez Niemcewicza, a Jana Kazimierza przez ks. Krajewskiego; o zasługach naukowych Michała Hubego; wspomnienie o Szuchu; odczyt ks. Szaniawskiego o rzeczypospolitej babińskiej, o dziejach ziemi wschowskiej, o rozprawie Gutkowskiego o „Kalopei“ i innych naszych wtedy utworach literackich; ks. Bystrzycki czytał swoją rozprawę o wzroście nauk fizycznych w Polsce; obrady toczono nad dykcyonarzem dla inżynierów; rozprawiano o wygodnych drogach, o ogrodnictwie i t. d.

Część trzecia (169—258) obejmuje działalność Towarzystwa w roku 1818. Przyjazd Aleksandra I do Warszawy, zwołanie pierwszego sejmu, inauguracyjne uroczystości uniwersyteckie, o ile to z Towarzystwem miało styczność, opowiedziano obszernie.

Członków Towarzystwa zajmowały teraz: Osińskiego przekład tragedyi „Templaryusze“, przekłady Cyda, nowe w dziedzinie poezyi prądy, rozprawa Surowieckiego o cechach, doświadczenia nad pola-

ryzacyą światła, własności leczenia magnesem, systemat Kopernika i inne sprawy.

Generał Dąbrowski umierając, zapisał wszystkie swoje zbiory, rękopisy i pamiętniki Towarzystwu. Stąd powstał projekt urządzenia w naszym gmachu Towarzystwa — sali imienia Dąbrowskiego. Autor podał testament generała i przebieg sprawy o zapis. Ciekawy jest ustęp o zabranej do Petersburga bibliotece Załuskich, a to z tego powodu, że powiększyły bibliotekę Towarzystwa duplikaty z przewiezionej do Petersburga biblioteki Załuskich, które z rozkazu Aleksandra I miano przysłać Towarzystwu. Interesujący jest ustęp o stosunkach Zoryana Chodakowskiego z Towarzystwem. Poemat Kaj. Koźmiana o Ziemiaństwie znalazł uznanie i pochwały u krytyków z grona Towarzystwa.

W czwartej części nakoniec (259—347) mamy ważniejsze wypadki z 1819 roku, a mianowicie: ocenienie prac Ossolińskiego, sprawozdanie o listach prof. Cantarzaniego i kardynała Mezzofantiego, jako też innych Włochów uczonych, referat o pracach dr. Brera i zasługach ks. Falkowskiego; zajmowano się w tym roku wydawnictwami dzieł elementarnych dla szkół ludowych, rozprawą Zoryana Chodakowskiego o Słowiańszczyźnie, wydawnictwami dzieł Albertrandiego o medalach. Autor zamieszcza tu opis wyborów w 1819 roku, zgonu Bergonzoniego i Tadeusza Matuszewicza, sprawozdanie Zenowicza o Sierakowskim generale, o bajkach Góreckiego, o nomenklaturze mineralogicznej, generała Krasińskiego o Stefanie Czarnieckim, mówi ono o uczczeniu ks. Bystrzyckiego, o pierwszej wystawie sztuk pięknych w Warszawie; wszystko to i wiele innych literackich i społecznych wypadków interesowało Towarzystwo. Łuczyński, profesor z Krzemieńca, przysłał mu traktat o elektryczności, ks. Charini o blasze z Marymontu, Adryan Krzyżanowski z Paryża o narodowości Kopernika, Lelewel o Chodakowskim i t. d. i t. d.

Charakterystyczną jest rzeczą, że pomiędzy takiem mnóstwem dzieł, prac, książek, o których mowa w tym tomie, ani jednej niema poświęconej sprawom religii, historyi Kościoła, prawu kanonicznemu! Pomiędzy członkami Towarzystwa i korespondentami dużo było księży, nawet zakonników, którzy pisali, referowali o przeróżnych rzeczach, tylko nie o tem, coby ich najbardziej interesować powinno — o kwestyach moralności chrześcijańskiej, religii...

Dodać należy uwagę, że w szeregu czasopism, które Towarzystwo prenumerowało, a które autor sumiennie wylicza, nie znajdujemy wcale pism prawdziwie katolickich.

Przy końcu tej sumiennej pracy zamieszczono odsyłacze (349—356) i annexa (357—398) w liczbie dwudziestu trzech (listy, odezwy, memoryały, rozprawy, raporty i t. d.); wydawnictwa zewnętrzną stronę zdobi z górą 70 rycin przeważnie udatnych.

Wołyniak.

Słowianie (Narody i ich piśmiennictwo). Pogadanka pouczająca.. *Jan Fr. Magiera.* Kraków. Nakładem *Prawdy.* 1902. (Str. 54).

Z radością witamy zawsze popularne książeczki, mające na celu szerzenie wiadomości o bratnich szczepach słowiańskich; niestety, jednak z przykrością stwierdzić musimy, iż w większości wypadków wykonanie ich pozostawia wiele do życzenia. Tak było np. z książeczką Antoszki: „Nasi pobratymcy Słowacy“ [1]; nie o wiele zaś lepiej jest i z książeczką p. Magiery o „Słowianach“.

Książeczka popularna, „pogadanka pouczająca“ — jak ją nazwał autor — powinna być pisana jasno, zrozumiale, w przejrzystym układzie faktów i t. d. Tymczasem w książeczce p. Magiery spotykamy się z licznemi niedomówieniami, z niedbale skonstruowanemi zdaniami, z niedokładnościami w podawaniu faktów... „My i reszta Europy — pisze np. p. Magiera (str. 6) — używamy pisma zupełnie innego, niż Rosyanie i Rusini“. Z tego zdania wynika, że albo Serbowie, Bułgarowie, Grecy—nie mieszkają w Europie, albo używają tegoż pisma co „my i reszta Europy“. „Przed lat tysiącem — pisze autor na str. 28— były jeszcze ludy słowiańskie pogańskiemi i w części prawie dzikie, bo przecie Russowie jeszcze byli hordami“... Cóż to za „Russowie“? A możeby tu coś powiedzieć wypadało i o państwie Samona (628—658) z przed 13 z górą wieków? Niedokładną jest wiadomość, że „niewolno ruskich książek drukować w granicach państwa rosyjskiego“ (str. 7). Niewolno, tak, ale w t. zw. pisowni fonetycznej, używanej powszechnie (nie wyłącznie) w Galicyi. W temże miejscu opowiada autor o gnębieniu w Rosyi poddanych narodów: „Kozaków, Rusinów, Litwinów“... Cóż to za „naród“ Kozacy? A jeśli nie „naród“, to cóż znaczy owo sąsiedztwo: „Kozaków, Rusinów“?... „On też (t. j. Mikołaj I czarnogórski) — pisze p. Magiera (str. 32) — jest twórcą hymnu państwowego serbskiego, śpiewanego nawet (!) w Serbii“... A gdzież ma być śpiewanym hymn serbski?...

---

[1] Por. naszą recenzyę w *Przeglądzie* z roku zeszłego, zeszyt sierpniowy, str. 258—259.

O języku Łużyczan poucza autor (str. 9), że posiada on „wiele wyrazów podobnych do naszych, ale inne jest ich znaczenie, np. *wutroba* oznacza serce, a *knez* pana, gdy u nas ‚kniaź' to książę". I tyle. Wobec tego pozostaje być czytelnikowi przekonanym, że łużyckie *jazyk* oznacza zapewne rękę, łużyckie *kwjat* — gruszkę i t. d. Zresztą owe szczegółowe wypadki pomieszania znaczenia — czyż one charakteryzują wyłącznie język łużycki? Wszak bocian po czesku *čáp*, maj — *květen;* godzina po rosyjsku часъ, żaba — лягушка, ropucha — жаба, i t. d.

O języku zaś rosyjskim pisze p. Magiera (str. 5), że przyjął on wiele wyrazów „z języków dzikich sąsiadów" i że „pomimo to wszystko nie można jednak zaprzeczyć, że język rosyjski jest bardzo muzykalny i brzmi dla ucha bardzo przyjemnie". Ze zdań tych dziwne urobi sobie czytelnik wyobrażenie o właściwościach owych języków. Również przykłady, dowodzące że język rosyjski zapożyczył wiele wyrazów „niesłowiańskich z języków dzikich sąsiadów" niezbyt trafnie wybrane: *bumaga* — papier i *sapogi* — buty. No, a czy „papier" i „buty" to wyrazy słowiańskie? Ale, prawda, wzięte nie od „dzikich sąsiadów", którzy tak psują język pod względem „muzykalności" i „przyjemnego brzmienia"! Autora straszy wielka ilość zapożyczeń w języku rosyjskim z języków „dzikich sąsiadów", ale on zapomina o tem, że według obliczeń Karłowicza, język polski w wiekach XVI i XVII posiadał na ogół wyrazów obcych, 10% wyrazów pochodzenia wschodniego...

Spotykamy się również w książeczce tej z błędami „grubszego kalibru"; oto np. autor twierdzi, że do dzisiaj w języku „starobułgargarskim zwanym też cerkiewnym" (str. 29) odbywa się służba boża u greko-katolików. Oczywiście autor pomieszał dwa języki. Albo np. pisze, że „dawniejsi Prusacy to byli Słowianie"! *Horrendum!*

W żadnem miejscu swej książeczki nie zdobył się autor na dokładne wyjaśnienie nazwy: Serbo-Chorwaci. Na str. 3 wymienia autor Serbię jako słowiańskie „państwo udzielne" (?), o kilka zaś wierszy niżej pisze, że „Serbo-Chorwaci" są dziś „bez żadnego rządu". Któż więc Serbię zamieszkuje? Co to są owi „Serbo-Chorwaci"?

Też charakterystyki dziejów poszczególnych słowiańskich narodów i ich piśmiennictw nie odznaczają się trafnością, nie dają nam wiernego obrazu. Oto np. p. Magiera pisze (str. 11), że od czasu niefortunnej bitwy pod Białą Górą 1620 „kraj (Czechy) i ludność nagle zaczęła się niemczyć". To swoją drogą, ale nadmienić wypadało, że germanizacya Czech sięga panowania Przemysława Ottokara II, w dru-

giej połowie XIII wieku. Odrodzenie się zaś czeskie nastąpiło zdaniem autora „dopiero w połowie minionego (XIX) stulecia"! (str. 11, 38). Autor zupełnie pomija milczeniem wielkiej wagi wypadki z końca XVIII stulecia, ruch ku odrodzeniu, w którym brał udział Józef Dobrowski „patryarcha filologii słowiańskiej", Kollar, Hanka, Erben i wielu innych. I razi to tembardziej, że o odrodzeniu Słoweńców pisze, iż rozpoczęło się ono przed 100 laty (str. 19). Wypada więc, iż odrodzenie czeskie o pół wieku jest młodsze od słoweńskiego.

W ustępie, w którym autor pisze o rozbiorze Polski (str. 6) jest mowa tylko o Rosyi, o Prusach zaś, które rozpoczęły ową akcyę, ani słowa. Również nie jest dokładnem twierdzenie: „Pod względem oświaty i nauki są lepiej uposażeni Chorwaci niż Słoweńcy" (str. 23). Nie „lepiej" ale kolosalna różnica!

Karamzin został zaliczony do „późniejszych" dziejopisów Rosyi (str. 35), kiedy on właśnie jest uważanym za pierwszego. Słowacy jakoby nie mają zupełnie większych towarzystw pieniężnych (str. 15). A bank „Tatra" i akcyjna fabryka mebli giętych w Turczańskim św. Marcinie?

Zdaniem autora najstarszą z literatur słowiańskich jest literatura serbo-chorwacka. „Po Serbo-Chorwatach najstarszą literaturą pochlubić się mogą Polacy" (str. 33), o kilka stron jednak niżej pisze już p. Magiera, że Czesi „wcześniej (od nas) stworzyli swe własne piśmiennictwo" (str. 38). Gdzież prawda?

Wskutek podziału materyału na dwie części: „Narody — Piśmiennictwa", autor powtarza się często. Tu i owdzie przedstawia rzeczy chaotycznie: przerywa tok opowiadania — to znów wraca. Nierównomiernie traktuje poszczególne ludy słowiańskie i ich literatury: w części pierwszej poświęca Słoweńcom 5 stron, Czechom zaś tylko 4, a Bułgarom 1; w części drugiej — literaturze rosyjskiej poświęca 2 strony, a młodzieńczemu piśmiennictwu słoweńskiemu — przeszło 3. Omawiając literaturę czeską, mówi również o czeskich muzykach i malarzach (str. 38), omawiając zaś literaturę rosyjską nie wspomina ani słowem o bardziej znakomitych muzykach i malarzach. Wymienia nazwiska drugorzędne, pomijając pisarzy wybitnych: jest np. Minskij, ale niema Hohola, jest Milaković, ale niema A. Szenoi, Zmaja Iovana Iovanowicza i t. d. i t. d. Słowem, rzeczy ważne częstokroć opuszcza (np. o dacie epokowej bitwy na Kossowem polu nigdzie ani wzmianki nie znajdujemy), natomiast drobiazgów niepotrzebnych nie brak (np., że

prof. Zawiliński jest przyjacielem p. Czernego i prof. Hory, że Zofka Kwedrowa, autorka słoweńska, „jest jeszcze młodą panną“ i t. p.).

Styl i korekta niedbała.

Jeśliśmy się może zbyt obszernie rozpisali o tej niewielkiej książeczce, to jedynie dlatego, że uznajemy jej potrzebę, że gorąco pochwalamy przedsięwzięcie autora, i że radzibyśmy mu dopomódz, aby drugie wydanie „Słowian“ — „pogadanki pouczającej“ — odpowiadało swemu celowi wyrażonemu w tytule.

Henr. Ułaszyn.

Z piśmiennictw obcych.

Z najnowszej literatury francuskiej [1].

III. C. d'Arjuzon: *Hortense de Beauharnais.* – C. d'Arjuzon: *Madame Louise Bonaparte.* — IV. Lord Roseberry: *Napoléon.* La dernière phase.

Wśród społeczeństwa odradzającego się z rozbicia i zaczynającego się znów organizować, powracająca fala wynosi na powierzchnię nie same tylko kobiety z *ancien régime* w rodzaju Józefiny Beauharnais; nie mówiąc o gorszych, są i lepsze, lepsze o wiele, a do najlepszych należy niewątpliwie pani Campan.

Spędziwszy młodość na dworze królewskim w usługach Maryi Antoniny, zachowa ona to wszystko, co było towarzyskim urokiem Wersalu, doskonałą znajomość form światowych, łatwość i uprzejmość obcowania bez lekkomyślności wszakże, tak zwykłej na wielkim świecie i bez dworskiego ducha intrygi. Dla nieszczęśliwej królowej cześć jej i przywiązanie pozostaną tak wielkie, że nie będzie próbowała ukrywać się przed pierwszym konsulem i cesarzem, którego zresztą ta wierność pozyska dla niej tem bardziej. Osoba to istotnie zasługująca na zupełny szacunek i sympatyę, pewna w swych przyjaźniach, stała w zasadach, poważnie i uczciwie zapatrująca się na życie. Choć była zamężna, ma zupełnie typ charakterystyczny starej panny i guwernantki rozumnej, zacnej, oddanej całą duszą zawodowi i uczennicom, ale zawsze pedantycznej a nie zawsze praktycznej.

W zakładzie jej wychowawczym w St. Germain, najlepszym,

---

[1] Patrz *Przegląd Powsz.*, sierpień, str. 269.

jaki istniał w tych czasach, znajduje opiekę macierzyńską młodziutka Hortensya, a wrażenia jego tak są silne, że długie lata po zamężciu, na szczycie światowej chwały i dostojeństwa, będzie zawsze wracała do pensyonatu pani Campan jako do najmilszego, rodzinnego domu, będzie w nim czuć się bardziej swojsko i u siebie, niż we własnem chłodnem i sztywnem gnieździe. Pani Campan pojmuje swe zadanie istotnie po macierzyńsku, zastępuje swym wpływem to, czego brakuje rodzinom w czasach tak zupełnego rozluźnienia obyczajów i zapomnienia o wierze, przygarnia swe wychowanki i opiekuje się niemi długie lata po wyjściu ich w świat, pisując do nich pouczające listy i pomagając do wyjścia za mąż. Jest czasem zabawną, kiedy np. radzi Hortensyi jako środek na zjednanie męża w przykrem ich i trudnem pożyciu, aby razem odbywali studya historyczne (do których żadne nie miało nigdy pociągu) i aby młoda kobieta pod kierunkiem męża robiła wyciągi z dzieł i notaty. Ale tę śmieszność i niepraktyczność przewyższają cnoty osobiste i pedagogiczne zasługi pani Campan. Ile tylko wówczas można było dobrego dać w wychowaniu, tyle go daje. Pierwiastek religijny w wychowaniu tem jest dość mdły, mało określony i konsekwentny — ale gdzież miała sama wychowawczyni więcej, gruntowniej go zaczerpnąć? Czy na lekkomyślnym dworze królewskim, na którym Wolter i Encyklopedyści a następnie Rousseau nadawali ton i kierunek przekonaniom? Ostatecznie daje ona tyle wiary i religijności swym uczennicom, ile jej znieść mogło ówczesne społeczeństwo, a ledwie konkordat przywrócił urzędowo chrystyanizm, spieszy urządzić u siebie kaplicę i stara się wielce o wspaniałość religijnych obrzędów. Nie jej wina, że to *maximum* jest nader niedostateczne.

Za to dla rozwoju uczuć estetycznych czyni się tam może za wiele. Pensyonarki raz po raz grywają teatra, na których bywa pierwszy konsul i cały wielki świat. W ten sposób Esterę Racine'a po raz pierwszy we Francyi wystawia szkolna scena w St. Germain. Popisy i wydanie świadectw odbywają się z tą niesmaczną pompą, jaka odtąd dla świeckich zwłaszcza pensyonatów stanie się obowiązującem prawem.

Hortensya Beauharnais zawdzięcza pobytowi swemu w St. Germain to wszystko, co z niej zrobiło jedną z najsympatyczniejszych i moralnie najwyżej stojących kobiet konsulatu i cesarstwa, a po jego upadku nadało jej siłę ducha i godność w latach niedoli. W domu miała najsmutniejszy przykład. Z legendy o Józefinie zostawiła historya tylko dwie nietknięte rzeczy: jej dobre serce i wykwintny jej urok. Pojęć moralnych i wogóle jakiejś wytycznej linii w życiu nie szukać

w tej dobrej i miłej, ale w najwyższym stopniu lekkiej elegantki, która podczas pobytu córki na pensyi a męża w Egipcie, tak wesoło czas swój spędza w Paryżu. Pomódz komuś, o ile to bez osobistej ofiary nastąpić może — do tego zawsze jest gotową i pani Bonaparte i cesarzowa, ale poświęcić siebie, bodaj dla najbliższych — nigdy. Doskonała do reprezentacyi, wytworna w tualetach, mająca w zapasie dla każdego uprzejme i mile wypowiedziane słówko, obca duchowi intrygi, cechującemu tak wybitnie rodzinę jej męża, Józefina jest równocześnie tak pozbawiona zmysłu moralnego i kobiecej godności, że po zawodzie i drugim ślubie cesarza, poddaje się z radością ponownemu jego kaprysowi i pieszczotom, a w latach usunięcia od dworu wygląda ze swoją dziecinną rozrzutnością i dziecinnemi łzami nie jak zdetronizowana monarchini, nawet nie jak opuszczona przez męża dama, ale jak płacząca za niewiernym narzeczonym garderobiana. Tak zarysowuje się postać pierwszej małżonki Napoleona w bestronnych pamiętnikach współczesnych, taką przedstawia ją w szeregu prac swych o niej Imbert de St. Amand, taką pozostanie w historyi. Nie wiele inaczej, choć możliwie złagodzonemi barwami maluje ją p. d'Arjuzon, tak przecie oddana napoleońskiej tradycyi. Od podobnej matki wiele dobrego zaczerpnąć nie mogła biedna Hortensya. Słusznie też takie gorące przywiązanie pozostało w niej na zawsze dla drugiej lepszej przewodniczki jej życia, p. Campan.

Wpływ Józefiny na zawsze pozostanie nieszczęśliwym dla jej córki, jak wogóle pozbawionem szczęścia będzie jej życie. Zaledwie opuściła pensyonat, najwcześniejsze dziewczęce lata przynoszą jej twardy zawód i ciężką boleść. Pierwsze, jedyne uczucie jej młodego serca zwraca się z całą siłą ku najbliższemu później przyjacielowi i domownikowi Napoleona, ku wytwornemu i pięknemu jenerałowi Duroc, dla którego jednak wówczas panna Beauharnais jest zbyt małą partyą, aby miał na seryo o niej myśleć. Po powrocie z Egiptu i podbiciu Włoch rosnąca gwiazda Napoleona opromienia coraz bardziej jego rodzinę, coraz silniejszym węzłem przykuwa niedawno jeszcze obojętną i płochą Józefinę do męża. Zdaje się jej teraz, że nie mając z nim dzieci, przykuje go nowem ogniwem przez małżeństwo córki z jego bratem. I oto cały arsenał kobiecej dyplomacyi wprawiony zostaje w ruch, aby biedną dziewczynę z sercem pełnem pięknej postaci rycerskiego, niewiernego niestety Duroc'a, skłonić do przyjęcia ręki Ludwika Bonapartego. Jak zwykle w takich razach, dyplomacya zwycięża: bez uczucia, bez sympatyi nawet Hortensya oddaje rękę mło-

demu człowiekowi, który miał w sobie istotnie wszystkie warunki potrzebne dla unieszczęśliwienia żony i wogóle całego otoczenia.

A jednak żona ta zasługiwała doprawdy na sympatyę i każdemu innemu przyniosłaby pewno szczęście. Pełna prostoty, wdzięku, wrodzonej a umiejącej być czynną dobroci, jest przez całe swe życie późniejsza królowa Holandyi.

Z natury wesoła, będzie też umiała jak nikt inny skupiać i organizować bawiące się towarzystwo, będzie umiała bez słowa skargi zamykać się na istne rekollekcye z zazdrosnym i zamęczającym ją hipochondrykiem, a posłuszeństwo jej najdziwaczniejszym żądaniom męża, cierpliwość i rezygnacya nie będą poprostu miały granic. Całe pożycie jej z Ludwikiem Bonaparte, to jeden łańcuch podejrzeń, szykan i zniewag, których dziesiąta część w czasach zwłaszcza i sferach tak luźnej moralności wystarczyłaby, aby każdą inną kobietę odepchnąć od dręczącego ją maniaka i rzucić w objęcia innych. Ale Hortensya po miesiącu pożycia opuszczona przez męża, choć nie pozbawiona nigdy ani na chwilę najprzykrzejszych dowodów jego pamięci i władzy nad sobą, umie dwuznaczne swoje położenie znosić z taktem i godnością. Dobra jej sława nie ostoi się wprawdzie wobec złośliwości ludzkiej i najnaturalniejszym jej uczuciom dla ojczyma, któremu umiała umilać dom i życie rodzinne i który ją jak córkę kochał, nada wstrętne tłumaczenie. W podobnie wstrętny sposób tłumaczyć będą przywiązanie cesarza do jej synów. Ona jednak spokojna i prosta iść będzie przez życie, kochając ludzi, choć tyle od nich doznawała bólu. Dwór i wielki świat będą miały zawsze najmilsze towarzyskie ognisko w jej domu, a jej poniedziałki staną się wielką atrakcyą Paryża, podobnie jak organizowane przez nią teatra. Świat literacki i artystyczny będzie w niej miał szlachetną i inteligentną protektorkę u kobiet cesarstwa, ona naprawdę jedna pozostanie pełna uroczego wdzięku, uwielbiana przez wszystkich, znajdująca oszczerców, ale nie mająca nieprzyjaciół. Atmosferą piękna i wdzięku potrafi ona otoczyć się zawsze i wszędzie, a równocześnie ta kobieta tak wykwintna i lubiąca świat, będzie umiała spojrzeć w głąb społecznych nizin i wyciągnąć ku nim dłoń pomocną. U jej matki miłosierdzie jest kwestyą chwilowego porywu, sentymentalizmu lub efektu; niema też w niem roztropności i miary. U Hortensyi jest to stała rubryka nie tylko w jej wydatkach, ale w jej życiu. Widzimy ją opiekującą się ubogimi i sprowadzającą dla nich siostry miłosierdzia, stojącą na czele dobroczynnych instytucyi, porozumiewającą się z duchownymi i zakonnicami nad zapełnieniem luk

akcyi publicznego miłosierdzia, szukającą nowych dróg i środków dla przyniesienia bliźnim ulgi. Równocześnie gotowa jest zawsze przynieść pomoc i na innych polach, bądź to wypraszając u Napoleona ułaskawienie dla skazanych, łaski i względy wszelkiego rodzaju dla proszących o nie, bądź to zbliżając ludzi, godząc zwaśnionych i kojarząc małżeństwa. W tem ostatniem ulubionem zajęciu umie bywać wspaniałomyślną i nieledwie bohaterską, kiedy układa świetne małżeństwo dla tego, który nią niegdyś wzgardził, dla Duroca.

Dla takiej kobiety wybiera Józefina za męża człowieka, o którym najłagodniejszy sąd brzmiećby musiał: złośliwy i szkodliwy psychopata. Osobista jego pycha i próżność są tak wielkie, że choć od początku wyniesienia brata otoczony przezeń największymi honorami i dobrodziejstwami, a od pierwszej chwili istnienia cesarstwa podniesiony do godności księcia i wielkiego konetabla nie ustaje on ani na chwilę w robieniu scen Napoleonowi, zatruwaniu mu życia i pozowaniu na jego ofiarę. Przywiązanie bezdzietnego Napoleona do jego synów, zwłaszcza do starszego Napoleona Karola i do Hortensyi daje mu w ręce broń przeciwko bratu i ten Gromowładny, któremu nie mogła oprzeć się żadna druga wola, przynajmniej na kontynencie musi ustąpić przed dziecinnym kaprysem. W ten sposób spełznie na niczem zamiar Napoleona adoptowania i ustanowienia swym następcą na tronie małego Napoleona Karola, zamiar, którego doprowadzenie do skutku byłoby może przeszkodziło rozwodowi z Józefiną: w ten sposób także odstępuje cesarz od zamiaru oddania Ludwikowi wielkorządztwa Włoch z tytułem wicekróla. Niesłychane przywiązanie Napoleona do rodzeństwa okazuje się w jaskrawem świetle na jego stosunku do Ludwika, który wobec brata gra wciąż rolę pozwalającego sobie na wszystko dzieciaka. Pogróżka, że zabierze żonę i dzieci i opuści Francyę, zamyka Napoleonowi usta, ilekroć chce złagodzić stosunek brata do żony i naprawić jego głupstwa.

Zdaje się zresztą, że poza obrębem najbliższego otoczenia i pomimo swoich dziwactw Ludwik Bonaparte prezentuje się dość znośnie. Jak wszyscy członkowie jego niezwykle obdarzonej rodziny posiada i on w wysokim stopniu zdolność znalezienia się na nowych całkiem stanowiskach, na zawrotnych wyżynach, na jakie wynosi go fortuna. Ten dawny uczeń zakładów w Juilly, który przebywając w dnie świąteczne u brata Napoleona, spał na poddaszu umeblowanem obok łóżka jednem słomianem krzesłem, i noce całe czasem spędzał na walce ze szczurami, nosi tak dobrze swoją „cesarską wysokość“, a później

i królewski majestat, jakby się do tego urodził. Umie być łaskawym i wspaniałym. Dla biednej Hortensyi jest on plagą, nie egipską nawet, bo nie mającą końca. Brutalność jego posuwa się do tego stopnia, że, mając zaszczepione w sobie sztucznie przez doktora parchy jako środek leczniczy przeciw paraliżowi, zmusza żonę do wspólnego pożycia z najwyższym uszczerbkiem jej zdrowia, byle własny swój stan ukryć przed ludźmi.

Cała rodzina Bonapartych zresztą przedstawia się bardzo smutno pod względem wartości moralnej i najżyczliwsze pamiętniki i biografie nie potrafią tego ukryć. Pycha i próżność bez granic, brutalność i bezwzględność egoizmu nie dające się z niczem porównać, rozwiązłość u kobiet, brak poczucia obowiązku i poszanowania zobowiązań u mężczyzn, to cechy znamienne tych największych parweniuszów historyi. Gdybyż przynajmniej ich przywary miały te olbrzymie posągowe zarysy jak u Napoleona! Ale nie. Bogato obdarzeni od natury, wszyscy oni w działaniu są nie tylko źli, ale mali i nikczemni; umieją się podnieść do wyżyn reprezentacyi, ale nie — do wymagań historyi. Jedna Madame Mère stoi pod każdym względem wyżej od tego hałaśliwego i przewrotnego grona. Surowe rysy włoskiej matrony odbijają od świetnego tła cesarskiego dworu poważnie i dodatnio. Później ona jedna potrafi z szlachetną godnością utrzymać stanowisko swe pod dobroczynnemi skrzydłami papiestwa, któremu wnukowie jej za dobrodziejstwa i opiekę odpłacą czarną niewdzięcznością. Obok niej kardynał Fesch, ten najniemożliwszy z ludzi w pożyciu, on jeden oprócz Eugeniusza Beauharnais zostawi po sobie pamięć męża o prawym i niezłomnym charakterze, on jeden też jako arcybiskup Lyonu potrafi stawić czoło cesarzowi w jego walce z papiestwem i katolicyzmem. Interesującą tę postać pomija całkiem pani d'Arjuzon, ale bezstronny sędzia, bo zażarty wróg Napoleonna, hr. d'Haussonville zostawił mu prawdziwy pomnik w swej świetnej i zawsze jeszcze aktualnej *L'Église romaine sous le prémier Empire.*

Poza panią Letycyą i Feschem oraz dwojgiem Beauharnais nikt w rodzinie cesarskiej nie wzbudza sympatyi i szacunku. Trudno o równą ilość ducha intrygi i o podobne wyzwolenie się z wszelkich moralnych przesądów. A przytem te burze w szklance wody, te księżne krwi zmuszane cesarskim rozkazem i groźbami do niesienia purpurowego płaszcza Józefinie przy koronacyi i mszczące się jak przekupki popychaniem cesarzowej, aby upadła na stopniach tronu, te dworskie nienawiści podobne do zatrutych sztyletów i komedye wyprawiane dla

olśnienia motłochu ulicznego, — cała ta szopka aktorów poprzebieranych w królewskie stroje, wraz z kulminacyjnymi jej punktami, z dworem Murata w Neapolu i Hieronima w Wilhelmshöhe: co za nędza! Wielbicielka Napoleona i jego dynastyi pani d'Arjuzon strzeże się uderzać o te fałszywe struny, ale ileż ich jest i jakiż rozdźwięk one wprowadzają w genialną symfonię cesarskiej epopei!

Trzeba przyznać, że najgenialniejszy z reżyserów postarał się o tło dla swojej sztuki, jedyne bodaj w dziejach.

W Napoleonie, który był autorem lichych tragedyi, tkwił obok wielu innych wielkich ludzi i wielki artysta także. Nikt bardziej od niego nie umiał przygotowywać swych efektów i umiejętniej organizować *mise en scène*. Podobnie jak jego dzienne rozkazy i biuletyny armii, których każde słowo obmyślane było naprzód tak, aby zostawiało żądane wrażenie, podobnie i każde wystąpienie publiczne cesarza, każdy jego akt polityczny przygotowane są z przedziwną zręcznością i znajomością zarówno ludzkiego serca, jak psychologii tłumów. Te umyślnie puszczane złe pogłoski z pola wojny albo groźne, długie milczenie, a potem naraz, jak piorun wieść o wygranej bitwie — jak to robione świetnie, aby sztucznie podnieść efekt wygranej! Albo np. cesarz przysyłający z morza płomieni otaczającego Kremlin, jego chwilową rezydencyę, regulamin dla artystów *Théâtre Français* — co za pomysł wyborny, aby dowieść światu, że żywioły nawet bezsilne są wobec olimpijskiego spokoju, potęgi, fortuny ziemskiego półboga. I tak zawsze. Każde posunięcie na szachownicy dziejów, podobnie jak każdy krok dalej po szczeblach losu obmyślany jest przez cesarza nie tylko sam przez się, ale obmyślany jest wszechstronnie jego efekt. Charakterystycznemi pod tym względem są repetycye, urządzane zupełnie jak dla teatralnych statystów przed ceremonią koronacyi. Cały dwór z cesarstwem na czele ćwiczy się tygodniami pod kierunkiem baletmistrzów i mistrzów ceremonii w dworskich ukłonach i ruchach tak, aby żadna pomyłka nie zepsuła efektu kościelnej ceremonii. Pomyłek też niema, a jeśli są, to przygotowane naprzód i umyślnie, jak np. przypadkowe spotkanie cesarza z nadjeżdżającym do Paryża na koronacyę papieżem Piusem VII (dla uniknięcia uroczystego przyjęcia) i przypadkowe również zajęcie przez cesarza honorowego miejsca w papieskiej karecie, albo też przypadkowe spóźnienie cesarskiego orszaku na ceremonię koronacyjną o całe dwie godziny, które biedny papież przeczekać musiał na swym tronie, jak pierwszy z nadwornych kapelanów. O tych pomyłkach nie wspomina oczywiście autorka, jak i o wielu innych po-

dobnych; charakterystycznym za to jest u niej obrazek, z którym nie zdarzyło mi się dotąd spotkać w żadnym ze znanych mi pamiętników: Napoleon ustawiający na wielkim stole w przeddzień koronacyi 200 figurek dostarczonych mu przez Ysabeya i manewrujący temi figurkami przez dłuższy czas, jakby to był koronacyjny orszak.

Ale jeszcze daleko do koronacyi, jeszcze o cesarstwie niema mowy, a już wielki konsul umie przygotować do niego tło i ramy. Nic ciekawszego od obrazu, jaki przedstawia wielki świat paryski podczas konsulatu. Jeszcze resztki zewnętrznych form pozostały republikańskiemi, jak kalendarz i tytuł obywatela, ale już wszystko rwie się i prześciga nawzajem w reakcyi przeciw krwawej epoce jakobinów. Pierwszy konsul ma już prefekta pałacu, a jego żona damy honorowe. Paryż zalany jest cudzoziemcami, którzy gorliwiej starają się o audyencye u Napoleona i pani Bonaparte, niż u cesarza w Burgu. Na czele ogromnej kolonii cudzoziemskiej stoi szereg książąt obcych mniej lub więcej panujących, żebrzących o względy pierwszego konsula, jak ten biedny książę orański, który dla zwrócenia na siebie jego uwagi wybucha głośnem łkaniem przy jakimś tkliwym ustępie tragedyi w szkolnym teatrzyku pani Campan. Cały dwór Napoleona a zwłaszcza Józefiny składają dawni emigranci, których zadaniem — nauczyć monarchicznych form republikańską część otoczenia. Dzięki tym markizom i hrabinom z *ancien régime*, ogółem wziąwszy starannie i szczęśliwie dobranych przez Napoleona z pomiędzy osób przodujących nietylko nazwiskiem ale i charakterem, przemiana skromnego *interieur* Bonapartów na dwór cesarski postępuje w szybkiem tempie bez wielkich śmieszności i nietaktów, pomimo kolizyi i ambicyi wśród rodziny Napoleona. On sam swoją wielkością przytłacza małostki otoczenia i ratuje zawsze sytuacyę, w czem zresztą pomaga mu niezwykła, światowa zręczność i giętkość Józefiny.

Świat dyplomatyczny jest w tej chwili w komplecie. Jedyna to chwila taka w dziejach Napoleona, kiedy po traktacie w Amiens, ani jedno państwo nie usuwa się od stosunków z Francyą, kiedy nawet Anglia ma swego ambasadora lorda Whithworth, księcia Dorset w Paryżu. Rzecz prosta, że ten ostatni jest przedmiotem szczególnej ciekawości, tem bardziej, że olśniewa stolicę Francyi królewską prawie wspaniałością przyjęć, świetnością urządzenia i zaprzęgów. Niemały interes wzbudza także w swej staroświeckiej ogromnej peruce kardynał Caprara, legat papieski w tym Paryżu, w którym prawie dziesiątek lat zamknięte były kościoły i zakazane obrzędy religijne! Dziś jednak do

otwartych świątyń z podwójną skwapliwością spieszy lud a proklamacya konkordatu w tumie Najśw. Panny wzbudza ogólne zadowolenie. Niedługo tłumy te, śpiewające przed kilku laty Carmagnolę, padać będą na kolana przed błogosławiącym je papieżem, o którym nawet zatwardziali jakobini i królobójcy, jak mistrz Dawid, odzywać się będą z uwielbieniem.

Obok kardynała legata lorda Whithworth prześcigują się w elegancyi i zbytku inni posłowie: rosyjski hr. Markow, hiszpański Azara, bawarski Cetto, batawski Schimmel Penniuch, mający później zająć tak wybitne stanowisko w ostatnich chwilach niezależności swego kraju, przed narzuceniem mu Ludwika na króla; hrabia Cobeuzel, ambasador austryacki, margrabia Lucchesini, dobrze a ze smutnej strony w Polsce znany poseł pruski Dreyer, duński Marco Calchi i cała falanga innych, zwłaszcza z Rzeszy niemieckiej.

Wszystko to otacza pierwszego konsula i ciśnie się na jego recepcyach. Balom, przyjęciom, zabawom, które przybrały już zupełnie monarchiczne cechy, nie ma końca, a każdy stara się innych zaćmić i prześcignąć.

Co jest jednak znamieniem epoki, to zamiłowanie do teatru. Paryż dziesięć razy mniej ludny niż dziś, liczy ich kilkanaście i wszystkie zawsze są pełne. W poniedziałki do dobrego tonu należy bywać w *Théâtre Français*, którego zakulisowe rywalizacye zajmują żywo *high-life*. Zamiłowanie w muzyce jest tak wielkie, że przypomina znaną epokę walk Gluckistów za Ludwika XVI. Na deskach teatru Feydeau znowuż dają się słyszeć przedziwni francuscy śpiewacy: Martin, Ellevion i nieporównany „Orfeusz współczesny“ Garat obok pań: Messié-Scio, St. Aubin, Desbrosses i Barbier-Walbonne. A obok tego publiczność ciśnie się jeszcze do teatrów Louvois, Gaieté, Jeunes Artistes, Jeunes Élèves, Variétés, wreszcie i zwłaszcza do Vaudeville, gdzie ulubieni komicy wywołują niemilknące wybuchy śmiechu i oklaski.

Obok teatrów oficyalnych — amatorskie. I te są prawdziwą manią. Hortenzya jest reżyserką trupy, do której należy najbliższe otoczenie pierwszego konsula. Trupa ta daje stałe przedstawienia w Malmaison, gdzie Napoleon urządził dla niej salę przedstawień. Obok Hortenzyi wyróżniają się sekretarz Napoleona i przyjaciel lat młodych, później wróg nieubłagany Bourienne, Eugeniusz Beauharnais, który za młodu na pensyi więcej się zajmował komedyą, niż naukami a obok talentu dramatycznego ma także piękny głos i z zamiłowaniem uprawia włoską operę *bouffe* i generałowie Junot, Lawiston i Savary. Obok komedyi

grywają i łatwiejsze opery a Hortenzya tak jest zamiłowaną w scenie, że występuje na niej w ostatnich chwilach przed połogiem.

W Malmaison reżyseruje słynny Talma, którego ścisły stosunek z Napoleonem jest znany, a pierwszy konsul, choć sam nie występuje na estradzie, interesuje się bardzo żywo teatrem i repetycyami, wnika w najdrobniejsze szczegóły i widocznie przywiązuje do swojej trupy znaczną wagę. Wogóle ciekawy to obrazek: ten jutrzejszy cezar wśród wiejskiej idylli Malmaison bawiący się w gry w ogrodzie i zmuszający Talleyranda do wysiadywania godzinami na trawnikach w jedwabnych spodeńkach. „Wracam cały zreumatyzowany" — skarży się eks-biskup, który zresztą za reumatyzm miał później z procentem zapłacić.

Ten Napoleon *bon enfant*, oddany do słabości rodzinie, kierujący repetycyami trupy amatorskiej, ciągnący za uszy adjutantów i damy pałacowe i noszący na rękach lub zabawiający na dywanie chłopaków Hortenzyi — to całkiem inny człowiek, niż ten inny, którego znamy z bardzo złośliwych pamiętników pani de Rémusat. Kto ma racyę — czy obcująca z nim codziennie przez szereg lat dama pałacowa, z pod której pióra wyszła sylwetka najwstrętniejszego i najbrutalniejszego z gburów, czy p. d'Arjuzon, malująca go po stu latach z tradycyjnym pietyzmem swej rodziny? Być może, na sąd pierwszej wpłynęły osobiste urazy: sąd drugiej, o ile odnosi się do publicznej działalności Napoleona, jest niewątpliwie słuszny, żeby tylko wspomnieć iście kobiece opowiadanie o zamordowaniu* księcia d'Enghien bez wiedzy Napoleona, tego autokraty i centralizatora, o którego opierały się najbłahsze drobiazgi i który zresztą sam przyznać musiał na św. Helenie, że puszczona jako *ballon d'essai*, historyjka o rzekomym liście ukrytym przez Talleyranda, była wymysłem. Takich bezkrytycznych zdań jest w biografii Hortenzyi więcej a zestawienie samych tylko świateł z pominięciem cieniów nadaje postaci Napoleona szablonowy charakter oficyalnych opisów *Monitora*, Napoleon-despota, szarpiący narody i handlujący krajami dla osobistych celów i chwilowych spekulacyi politycznych; Napoleon-Machiawel, nie znający żadnego moralnego prawa i wędzidła, używający kłamstwa, podstępu, łamania słowa, tyranii za codzienne narzędzie swej polityki; Napoleon gwałciciel wszystkich praw ludzkich i boskich, kat Hiszpanii, Wandei i polskich legionów na San Domingo, więżący papieża i przez całą drugą połowę swoich rządów zaprowadzający we Francyi najformalniejszą schizmę — o tem p. d'Arjuzon zdaje się nie wiedzieć wcale. Dlaczego jednak mielibyśmy odmawiać wiary, gdy nam go maluje sympatycznemi bar-

wami w prywatnem życiu? W tem, co o nim podczas ostatniego okresu jego życia na św. Helenie opowiada na podstawie autentycznych zeznań świadków lord Roseberry, niejedno zbliża się raczej do portretu p. d'Arjuzon, niż do tego, jaki zostawiły pamiętniki p. Rémusat.

IV.

Książka lorda Roseberry o Napoleonie w ostatnim okresie jego dziejów i życia na św. Helenie, jest niewątpliwie jedną z najciekawszych książek jakie znam.

Anglik, więcej, angielski mąż stanu, piszący o Napoleonie i to o Napoleonie na św. Helenie? Czy nie za wiele odwagi i czy, mimo blizko stuletniej odległości, czy nie za trudne zadanie? Od pytania tego zaczyna się książkę, kończy się ją z wrażeniem, że autor mierzył zamiar podług sił. Owszem z całej olbrzymiej literatury pamiętnikowej i historycznej o Napoleonie niewiele dzieł dorówna książce lorda Roseberry: jasnością i trzeźwością krytyki, bezstronnością poglądów, zupełnie podmiotową, spokojną syntezą tego wszystkiego, co o więźniu z Longwood pozostawili współcześni, nie przewyższa jej żaden inny autor. Być może nawet, że właśnie jako cudzoziemiec, z oddalenia patrząc na wielką postać Napoleona, angielski mąż stanu miał warunki dla ocenienia go trafniej od innych.

* * *

Dziesięć lat minęło od chwili, w której pozostawiliśmy w książce p. d'Arjuzon Hortenzyę, wstępującą z ciężkiem sercem na stopnie improwizowanego tronu. Nie większy przeciąg czasu oddzielał proces o naszyjnik królowej od smutnego dzieciństwa późniejszej królowej holenderskiej, po gilotynowaniu jej ojca i uwięzieniu matki. Dziesięć lat — i wiele zmian! Dwór wersalski w koronkach i żabotach, wyperfumowany, wyrafinowany, tańczący lekkiem sercem na wulkanie — dekoracya się zmienia — i oto pijany tłum płynie ulicami z głową nieszczęsnej księżnej de Lamballe na pice, wrzeszcząc *ça ira;* oto kat potrząsa z wyżyn estrady na placu Grève bladą głową Ludwika XVI, Maryi Antoniny, księżnej Elżbiety — i rzuca ją do kosza między krwawe głowy biskupów, nie chcących wyrzec się wiary, markizów sympatyzujących ze *çi-devants* w Koblenc, lub chłopów i kucharek, którzy popełnili zbrodnię *lèse-nation*, skarżąc się na drożyznę i głód. Znów zmiana dekoracyi. Tam gdzie stała gilotyna i wrzeszczano „śmierć księżom i arystokratom!“ wybijają szkarłatem trybuny, na których cisnąć się

będą strojne tłumy widzów, aby przejeżdżającemu do Notre-Dame koronacyjnemu orszakowi krzyczeć entuzyastyczne *Vive l'empereur!* I znowu zmiana dekoracyi...

W Paryżu wojska sprzymierzone. Ludność stolicy wita z zapałem cesarza Aleksandra I. Na wszystkich rogach ulich śpiewają: *Nos amis, les ennemis!* Orły znikły. O „korsykańskim ludożercy" nie mówi się w dobrem towarzystwie. A tam, wśród wielkiej pustyni Oceanu, zdobywca Europy i Wschodu, zamknięty w drobnej części niewielkiej wysepki, mającej mu odtąd świat zastąpić, dokoła niego zaś — czerwone mundury angielskiego obozu, białe żagle strażniczej flotylli, komisarze sprzymierzonych rządów i — sir Hudson Lowe.

Dziesiątek lat po koronacyi! Kilka lat po traktacie w Schönbrunie, po małżeństwie z córką cezarów i narodzinach króla rzymskiego!

A jednak w tym bezprzykładnym wypadku wczorajszego władcy pół świata uwydatniło się raz jeszcze bezprzykładne szczęście Napoleona. Nie tylko spokojna filisterska śmierć na tronie, ale nawet zgon na polu bitwy nie zostawiłby po sobie dokoła postaci cesarza tyle aureoli i legendowego uroku. W r. 1814 państwa sprzymierzone lepiej były natchnione zamykając cesarza w ramach śmiesznie ciasnych liliputowego państwa, którego rządy musiałyby rzucić cień śmieszności na postać tytana. Ale na św. Helenie niema o to obawy. Nic tam małego, wszystko składa się na wytworzenie legendy. I oddalenie wyspy i jej samotność posępna i więzienna bezczynność, dająca możność do sześcioletniego przygotowania autobiograficznego materyału do historycznej apoteozy i (nadewszystko to ostatnie!) strażnicy więzienia, Anglicy, robiący z przedziwnym zapałem wszystko, aby wobec potomności zatrzeć winy i błędy cesarza, otoczyć go tragicznym urokiem i wywołać ku niemu współczucie nawet u wrogów.

Istotnie trudno o lepszych sojuszników do pośmiertnego procesu Napoleona. Więc przedewszystkiem ministrowie wyznający, jak lord Liverpool w liście do lorda Casttereagh gorące życzenie, aby „król francuski kazał powiesić lub rozstrzelać Bonapartego, co byłoby najlepszym sposobem skończenia sprawy". Kiedy wskutek karygodnego zaniedbania tego obowiązku przez Burbonów, Napoleon dostaje się żywy w ręce Anglii, ci sami ministrowie z lordem Bathurst na czele zamykają go na klucz, jak pisze poeta — i gdybyż tylko tyle!

Troska o ubezwładnienie człowieka, który bądź co bądź stał się plagą ludzkości, była zrozumiałą, choć obawy ucieczki były dość bezpodstawne, a ostrożności nieraz śmieszne. Mniejsza o obóz żołnierzy

i flotylę wojennych statków, mniejsza nawet o straże towarzyszące każdemu spacerowi nie tylko cesarza, ale jego domowników i służby. Ale przeświadczenie, że człowiek chorobliwie otyły i do przesady dbający o swą godność, a drżący przed śmiesznością, mógłby dać się wynieść w koszu brudnej bielizny, a następnie po niedostępnej skale spuścić ku morzu i przemknąć wśród czujnych straży okrętowych — było już wprost zabawne. Zabawniejszem jeszcze było nastawianie biednych oficerów, mających rozkaz zobaczenia cesarza. Raporty tych nieszczęśliwców, którym mieszkańcy Longwood, nie wykluczając samego cesarza, płatali wprost figle, pełne są mimowolnego komizmu, kiedy np. opowiadają o podkradaniach się pod okna, o zaglądaniu przez dziurkę od klucza, lub o podpatrzeniu po dłuższem ukrywaniu się cesarza w wannie, z której dostrzegłszy oko szpiega w szczelinie ściany, wyskoczył i podszedł ku niemu w tym samym stroju, w jakim go Canowa przedstawił w dziedzińcu medyolańskiej Brery, t. zn. bez stroju całkiem.

Wszystko to jest tylko zabawnem: staje się jednak wstrętnem przez złośliwą chęć dokuczenia i poniżenia człowieka, nie mogącego się bronić. Anglicy przy wszystkich swych wadach bywali zawsze ludźmi szerokiej miary: wkoło Napoleona przedstawiają się jako ludzie dziwnie mali i nędzni. Odmawiają mu tytułu cesarskiego, który mu przecie przyznał prócz nich cały świat, którego r. 1814 nie odmawiali mu i oni. Lord Bathurst uznaje Napoleona jedynie jako dymisyonowanego jenerała i jako takiego mają go odtąd traktować wszyscy.

Z człowiekiem tak wykwintnego taktu, jak sir Hudson Lowe, kwestya tytułu przybiera oczywiście ostrzejsze jeszcze formy. Więc książki, szachy i inne drobiazgi, przysyłane Napoleonowi z zaznaczeniem w adresie cesarskiego tytułu, ba nawet listy tak do niego adresowane czujny strażnik zatrzymuje bez litości. Więc oficerom 20 pułku zakazanem zostaje przyjęcie darowanego im przez Napoleona „Żywotu Marlborougha“ dtatego, że na okładce książki znajduje się cesarska korona. Szczytem zaś tego, co sir Hudson Lowe potrafi, jest zaraz po objęciu jego funkcyi, zaproszenie cesarza na obiad. Klasyczny ten dokument brzmi jak następuje:

„Jeżeli to nie zrobi jenerałowi Bonapartemu przeszkody, sir Hudson i Lady Lowe proszą go, aby zechciał przybyć do nich na obiad w poniedziałek o 6 dla spotkania się z Hrabiną“. Sir Hudson bardzo słusznie mniemał, że czyni dymisyonowanemu jenerałowi niemały zaszczyt, zapraszając go do jednego stołu z „Hrabiną“, którą

była małżonka jeneralnego gubernatora Indyi, i zdziwił się zapewne nie mało, nie doczekawszy się swego gościa.

Obok małostkowego szykanowania w kwestyi tytułu, takie same szykany pod każdym innym względem. Przedewszystkiem w kwestyi pieniężnej. Napoleona utrzymywał rząd angielski, ale wydawszy nie wiem już wiele miliardów na 20 lat wojen z nim uznał za właściwe wydawać teraz jak najmniej. Było to zresztą słuszne: gubernator wyższy pobierał 12 000 funtów; dymisyonowanemu jenerałowi nie wypadało dawać więcej, jak połowę lub $^2/_3$ tej sumy. Tymczasem orszak cesarski dość znaczny kosztował znacznie więcej; więc szykany, obcinanie wydatków, zmniejszanie i odsyłanie do Europy służby, wchodzą na porządek dzienny. Do tego wreszcie dochodzi, że cesarz każe rąbać swoje łóżko, żeby je spalić na kominku z powodu niedostatecznej ilości dostarczanego paliwa, i sprzedaje część stołowych sreber, aby pokryć domowe wydatki.

Pospieszmy dodać, że ofiary te były zrobione przez Napoleona dla oka Europy, nie z rzeczywistej potrzeby. Cesarz miał znaczne kapitały, z których nie korzystał, bo mu wygodniej było robić demonstracye przeciw Anglikom, podobnie jak i słynna choroba wątroby, ogłaszana światu od przybycia na wygnanie przez cesarza i jego otoczenie, była zręcznie obmyślanym efektem, mającym uwydatnić okrucieństwo Anglików, trzymających więźnia w niezdrowym tropikalnym klimacie. Jak wiadomo, Napoleon umarł na raka; przyznajmy jednak, że wobec tego gatunku wrogów *c'était de la bonne guerre.*

Tak wygląda angielska straż cesarza, konsekwentna aż do końca w swej roli, bo i po śmierci Napoleona roztropny sir Hudson Lowe nie pozwoli umieścić na jego trumnie samego imienia bez nazwiska, (miałoby to przecie monarchiczne zacięcie, nie przystające dymisyonowanemu generałowi!) i dzięki temu, więzień bezimiennie zejdzie do mogiły.

W zestawieniu z ludźmi tej miary, rola Napoleona była łatwą. Trzeba przyznać, że spełniał ją z godnością i ogółem wziąwszy, stał na wyżynie położenia. Sam admirał zapisuje mu w końcu cenzurę „z chwalebnymi obyczajami", podnosząc jego spokój, grzeczność i skromność. Na św. Helenie zachowuje on tyle powagi i taktu, ileby nie zawsze może w podobnych okolicznościach miał dziedziczny monarcha. Podbija też wszystkich i na okręcie i na wyspie, i mało brakuje, aby dla niego nie zbuntowali się angielscy marynarze i żołnierze. Dworska etykieta, jaką zachowuje w nędznych klitkach w Long-

wood, może zdziwić, ale jest zrozumiałą wobec jeneralskiej rangi, narzucanej mu przez Anglików. Zresztą choć z kilku osób tylko złożony, jest to naprawdę dwór ze wszystkiemi jego walkami, stronnictwami i intrygami. Z wyjątkiem Bertranda, najwierniejszego i najsympatyczniejszego ze wszystkich, wszyscy oni piszą bardzo wiele o Napoleonie, a bardziej jeszcze o sobie na św. Helenie. Z tych pamiętników i wspomnień wynika rzecz dość niespodziana. Napoleon, ten typowy egoista i despota okazuje dziwną wyrozumiałość i wprost słodycz wobec nieznośnego charakteru jenerała Gourgoud i jego ciągłych scen zazdrości, zadaje sobie pracę godzenia waśniących się wciąż domowników, naprawia ich nietakty.

Smutne, nudne, zabójcze jest to życie w Longwood, ale skoro raz Napoleon nie znalazł śmierci na polu chwały, trudno doprawdy o lepsze ramy dla przedśmiertnego obrazu bohatera. Wszystko się tam robi dla Europy, dla efektu, dla potomności. W tym celu odtwarza się cała historya Napoleona w oświetleniu sztucznem a łudzącem, usprawiedliwiają się błędy, winy i zbrodnie. W ten sposób urządzają się manifestacye podnoszące efektowo angielskie szykany i prześladowania. W ten sposób wytwarza się legendowa choroba wątroby i przygotowują się główne momenta apoteozy.

A jednak z tych mniej lub więcej przygotowanych i retuszowanych obrazów Napoleon wychodzi korzystniej w stosunku do Anglików i do swego otoczenia: charakter jego sam przez się przedstawia się mniej dodatnio. Przepędza on pół dnia w łóżku lub na sofie, wśród stosu książek. Zdobywca pół świata, istotny król królów ma do dyspozycyi dwie małe celki, każda o dwóch oknach wychodzących na angielski biwak. W kącie stoi łóżko obozowe o zielonych firankach, na którem spał w przededniu Marengo i Austerlitz. Pomiędzy parawanem a kominkiem ulubiona kanapa pełna książek, dalej w dziwnym kontraście z otaczającą nędzą wspaniała tualeta założona srebrem. Na ścianie portret Ysabeya przedstawiający Maryę Ludwikę, która w tej chwili używała wesołego wczasu w miłem towarzystwie Neipperga. Dalej dwa portrety króla rzymskiego przez Thibault i miniatura Józefiny, poniżej budzik Wielkiego Fryderyka zabrany z Potsdamu i zegarek jeszcze pierwszego konsula z puklem włosów zawsze tej samej, niewiernej a ukochanej Maryi Ludwiki. W drugim pokoju biurko, kilka półek z książkami i drugie łóżko, na które cesarz rzucał się dla zmiany w męczących, bezsennych nocach. Wszystko to tapetowane brudnożółtym nankinem, tymczasowe, nędzne.

Ta sama tymczasowość i mięszanina zbytku z niedostatkiem w reszcie domowego urządzenia i życia. Cesarz jada z wielką pompą, na złocie, otoczony służbą w bogatej liberyi zielonej ze złotemi wyłogami. Obok niego jedno nakrycie zawsze próżne; zawsze dla Maryi Ludwiki... Potraw dużo, i pomimo tego, jak w Tuilleyryach, jedzenie nie trwa dłużej nad 20 minut. Podczas deseru cesarz lubi uraczać słuchaczów głośnem czytaniem różnych klasycznych tragedyi, stających się dla nich prawdziwą plagą. Niektórzy z nich mają zwyczaj regularnie zasypiać.

Poza tem jednak umysł ten niestrudzony zajmuje się wciąż pracą twórczą. Marginesy książek, które czyta, okrywają się nieustannie mnóstwem notat ołówkiem; inne notaty własnoręczne piętrzą się stosami i zapełniają niezliczone teki; oprócz tego zaś towarzysze cesarza padają ze znużenia od nieustannego dyktowania im dniem i nocą, czasem po kilkanaście godzin z rzędu. Z tych notat, dyktat i osobistych wspomnień duchowy profil Napoleona wyrasta bardzo wyraźnie. Mimo upiększeń i starań nie jest on wiele od tego różny, jakim zarysował się w historyi. Ten „odnowiciel wiary“ przyznaje wprawdzie coś boskiego Chrystusowi i stawia go ponad Aleksandra i Cezara, ale chrystyanizmowi zasadniczo jest przeciwny. Religia, która potępia Sokratesa i Platona, nie może być prawdziwą. Wyższym w jego oczach jest mahometanizm, ponieważ w dziesięciu latach podbił pół świata. Z wyznań chrześcijańskich woli wprawdzie katolicyzm od protestantyzmu, ale zasadniczo przeciwny jest papiestwu, bo jego zdaniem władca świecki powinien być królem sumień. Poza tem w kwestyach naukowych stoi na stanowisku materyalistycznem i twierdzi, że gdyby miał sobie wybierać religię, wybrałby kult słońca.

Pod względem politycznym ciekawy jest stosunek tego syna i ucieleśnienia rewolucyi do tej jego matki i do mas ludowych. Drży on formalnie przed niemi, on nieustraszony na polu bitwy, nienawidzi ich i gardzi niemi w głębi duszy, daleko więcej od wszystkich emigrantów z Coblentz. Mówi raz wprawdzie do Metternicha, że szlachectwo jego datuje od Montenotte i rzuca na ziemię papiery, mające dowodzić jego pochodzenia od książąt florenckich, a przygotowane, aby ukoić heraldyczne skrupuły cesarza Franciszka z okazyi małżeństwa jego córki z tym parweniuszem. Poza tem jednak dba w ubliżający dla swego geniuszu sposób o to wszystko, co ma nadać arystokratyczny blask jego rodzinie i otoczeniu, a mania wykrawywania z karty Europy

królestw dla braci i szwagrów staje się jedną z plam i jednym z wielkich błędów jego panowania.

Otwartość jego w rozmowach o najbliższych członkach jego rodziny jest zdumiewającą, kiedy np. opowiada o kłamstwach, długach, lekkomyślnościach Józefiny lub budoarowych szczegółach pożycia z Maryą Ludwiką, kiedy wybucha przeciw drugiemu małżeństwu Karoliny i przeciw braciom. Zastanawia tylko dobrowolne zapewne złudzenie co do Maryi Ludwiki i odegrywanej przez nią roli, a raz jeden tylko uchyla się brzeg zasłony, którą osłania swe serce w wykrzyku o królu rzymskim:

— Ach, ten przecie o mnie nie dba wcale.

Istotnie, ten był już wtedy księciem Reichstadt...

Jan Łada.

ZAPISKI BIBLIOGRAFICZNE.

Biskupi nasi uwięzieni lub wygnani od roku 1767. Kraków 1903.

Broszurka ta, to zestawienie kilku etap z dziejów naszej martylorogii. Zacząwszy od biskupa Sołtyka, w czasach jeszcze niepodległości aż do biskupa Zwierowicza przesuwa nam się przed oczyma szereg 24 książąt Kościoła, odpukutowujących długiem wygnaniem, często więziennem, jak np. kardynał Ledóchowski, stałość w obronie wiary wobec szykan, ograniczeń i prześladowań ze strony rządu. Mamy tu zestawione krótko życiorys i powód, punkt walki, który wywołał represyę ze strony rządu. A obok możności zapoznania się z faktami i wypadkami z życia odnośnych pasterzy wyciągnąć można z broszurki tej spostrzeżenie bardzo pocieszające dla dziejów nauki Chrystusowej. Oto duchowni, którzy na niższych szczeblach hierarchii kościelnej byli *personae gratae* innowierczym rządom, za ich poparciem wyniesieni na wysokie dostojeństwo biskupie zawiedli oczekiwania wrogich Kościołowi władz, że będą w ich rękach powolnem narzędziem. Dowiedli, że gdzie chodzi o obronę nauki i stanowiska Kościoła, potrafią być mężni, nie ulękną się gwałtu, na nieprawne i przeciwne nauce i wierze Chrystusa żądanie odpowiadając *non possumus*, choć wiedzieli, co ich w razie oporu czeka.

Se.

Sprawozdanie Towarzystwa „Polska sztuka stosowana“ 1901—2.

Mamy przed sobą pierwsze sprawozdanie z czynności Towarzystwa zawiązanego pod mianem podanem w nagłówku. Celem Towarzystwa, popieranie rozwoju przemysłu artystycznego. Za granicą jestto gałąź przemysłu oddawna uprawiana. U nas dopiero niedawno zaczął się ruch na tem polu, a wedle zamiaru założycieli Towarzystwo w mowie

będące ma dodawać bodźca moralnego i materyalnego rozwijającej się młodej latorośli. Czyni to przez konkursy na przedmioty codziennego użytku, artystycznie wykonane np. rozpisało konkurs na projekt łyżki, afisza, półki na książki, okładki na książki itp. Dalej do tego celu służyć mają wydawnictwa zapoznające ogół z zabytkami dawnymi i nowemi pracami na tem polu, wreszcie wystawy, środek może najskuteczniejszy i najszerzej działający. Wystawy takie urządziło Towarzystwo w Krakowie od 28. stycznia do 17. marca 1902 i w Warszawie w czasie od 30. września do 17. listopada 1902. Strona finansowa przedstawia się, jak na początek dość dobrze, bo zamknięcie rachunkowe wykazuje obrotu 10.190 K. 49 h., a pozostałość na rok 1903 K. 4404 h. 51.

l.

Materyały i prace Komisyi językowej Akademii Umiejętności w Krakowie. Tom I, zeszyt 2. Kraków. 1903.

Tom, który mamy przed sobą, przynosi kilka interesujących prac w zakresie badań językowych. Składają się nań: rozprawa Holgera Pedersena „Przyczynki do gramatyki porównawczej języków słowiańskich", powtórne wydanie „De morte prologus" i „Żale konającego" przez Jana Rozwadowskiego, z krytycznemi uwagami, tegoż autora „Uwagi o dyftongach *i e u o* w południowo-zachodniem narzeczu białoruskiem"; Kazimierza Nitscha „Studya kaszubskie, Gwara luzińska"; Tytus Benni'ego „Z dziedziny akomodacyi międzywyrazowej", tegoż „O samogłoskach nosowych i wyrazach obcych"; wreszcie Jana Rozwadowskiego „Język rękopiśmienny reguły żeńskich klasztorów *ordinis Premonstratensis* z r. 1540". Materyał i plon naukowy bardzo obfity.

B.

Rozprawa o jednorazowej i dwurazowej nauce w szkołach publicznych, napisał *Zygmunt Zieliński*. Jasło 1903.

Jednorazowa nauka w szkołach średnich, choć dopiero niedawno zaprowadzona, zaczyna wywoływać poważną opozycyę. Odzywa się wiele głosów żądających powrotu do stanu poprzedniego, przywrócenia dwurazowej nauki. Do zwolenników tej ostatniej należy i nasz autor. Na poparcie swego zapatrywania nie przytacza wielu poważniejszych argumentów. Najważniejszy, zdaniem autora, argument jest, że on sam i całe jego pokolenie odbywało naukę dwurazowo, a „wyszliśmy ze szkół zdrowi, umiejąc cenić czas i poczuwając się do spełnienia swoich obowiązków zawodowych". Ale temat główny mało zajmuje autorowi miejsca. Obok niego mówi o wielu rzeczach, które mu się okolicznościowo nasuwają na myśl, stojących w dalekim bardzo związku z omawianą kwestyą. Mówi o stosunkach i rządach miejskich władz autonomicznych, o szczupłości świątyń, o budowaniu gmachu Sokoła w Jaśle, o szkołach rolniczych, ogrodniczych, o pomniku Mickiewicza. Kwestye te bezwątpienia bardzo zajmujące, uwagi godne i zasługujące na omawianie, ale co ma za łączność zakaz pewnego dyrektora gimnazyum rozpowszechniania innej broszurki autora między młodzieżą szkolną z pytaniem jedno— czy dwurazowej nauki. A i temu zakazowi poświęca autor sporo miejsca.

W.

Zbiorek listów i mów osnutych na tle galicyjskich stosunków ekonomiczno-społecznych i objawach nastroi umysłowych, zestawionych jako wskazówka i wytyczka drogi do życia dla młodego pokolenia. Napisał *Zygmunt Zieliński.*

Tytuł wielce obiecujący. Spodziewaćbyśmy się mogli jakichś głębokich myśli, owocu studyów teoretytycznych lub długoletnich spostrzeżeń praktycznych. A zamiast tego mamy zebrane tu parę mów kandydackich i listów polecających kandydaturę autora na posła do sejmu. Ale mniejsza o formę. Zgodzilibyśmy się i na nadanie myślom autora tej szaty, ale z jednem zastrzeżeniem. Pragnęlibyśmy, aby poglądy autora, zwłaszcza mając służyć za drogowskaz dla dorastającego pokolenia miały jakąś głębszą istotną wartość. Czy ją mają? Raczej nie. Nie odbiegają niczem od zwykłego poziomu artykułów pism codziennych, nie wyróżniają się wybitnie tak, by je w osobnym zbiorku ogłaszać. To też nie dziwimy się wcale, że autor spotkał się z obojętnem milczeniem, gdy zbiorek ten przesłał do gremiów profesorskich szkół średnich z prośbą o polecenie młodzieży nabycia go, na co się sam skarży w pracy swej o jednorazowej i dwurazowej nauce.

Dr. A. B.

Sredniewiekowyja zapadno-europejskija powiesti w russkoj i sławianskich litieraturach. II. Obzor matieriała po istorii sredniewiekowoj swietskoj powiesti w Polszie. *S. L. Ptaszyckij.* (Otdielnyj ottisk iz Izwiestij otdielenija russkawo jazyka i słowiesnosti impieratorskoj Akademii russk.) Sankt-Peterburg. 1902. (8-ka. kt. nl. 2, str. 40).

Ostatniemi czasy zarówno w polskiej, jak i w czeskiej literaturze objawił się szczególny zapał w badaniu średniowiecznych, t. zw. ludowych powieści. Prace czeskie H. Maskala i Speranskiego, polskie prof. Brücknera, pomieszczone bądź w „Pracach filologicznych", bądź w „Bibliotece warszawskiej", rzuciły spory snop światła na tę zaniedbaną dziedzinę badania historyczno-literackiego. Naturalnie wobec bardzo skąpej ilości prac, dotyczących tego gatunku twórczości, ani mowy nie ma o wyczerpaniu przedmiotu. Prof. Ptaszycki jeszcze przed laty dziesięciu (Por.: Upominek na cześć Orzeszkowej. Kraków, 1893, str. 488—491) powziął zamiar przedstawić, jak to wszystkie powieści przechodziły z Zachodu przez Czechy i Polskę do Rosyi, jak i w czem się zmieniały.

Omawiana praca jest drugą już z kolei. Przed siedmiu laty wyszła praca prof. Ptaszyckiego o słynnych *Gesta Romanorum*, w której autor zgromadził wiele cennego, a dotąd nieznanego, przeważnie rękopiśmiennego materyału. I ta praca nie wyczerpuje bynajmniej do dna przedmiotu. Jest ona raczej zbiorem materyałów, bardzo sumiennie i pracowicie ułożonych, do historyi świeckiej powieści w Polsce. Oparłszy się w znacznej mierze na kodeksach rękopiśmiennych podał autor odnalezione przez siebie waryanty powieści o Aleksandrze Wielkim, historyi Trojańskiej, historyi o szczęściu, Marcholcie, Melusynie, Magielonie, Gryseldzie, cesarzu Ottonie, Barnabie, oraz dorzucił garść przyczynków do dzisiejszego swego dzieła *Gesta Romanorum.*

Prof. Ptaszycki podjął się żmudnej a użytecznej pracy. Bo w ten sposób daje przyszłemu badaczowi wzajemnych stosunków literatury polskiej i rosyjskiej podstawę stałą i pewną do dalszych studyów. A —

zważyć należy — badanie i odnajdywanie nowych dokumentów naukowych w rękopisach nie jest tak łatwe ani przyjemne, jakby się to zdawać mogło. Z niemniejszem zaciekawieniem oczekujemy dalszego ciągu tej cennej pracy.

Dr. Z.

Slavische Sagen vom Wechselbalg. *Polivka G.* (Separat-Abdruck aus dem Archiv für Religionswissenschaft.) Tübingen und Leipzig. 1903. Verlag von J. C. B. Mohr. (8-ka, str. 151—162).

Tylekroć zasłużony w folklorze porównawczym prof. dr. Polivka dorzucił w omawianej pracy sporą garść uzupełnień do rozprawy ś. p. dra Karłowicza p. t. „Germanische Elemente im slavischen Mythos und Brauch“. Nie kusząc się bynajmniej o wyczerpanie przedmiotu, dał nam kilkanaście pokrewnych tradycyi, jakie pojawiły się u niektórych słowiańskich narodów. Tradycye te są zwłaszcza bardzo liczne u tych Słowian, którzy stoją w bezpośrednim związku z Niemcami, a zatem przedewszystkiem naczelne miejsce należy się Czechom, w mniejszym stopniu zachowała się ta tradycya w pierwotnej swojej wierności u Polaków i Rusinów. Wersye słowackie czy łużyckie są już wielce zmienione i nadzwyczaj skąpe. Idea wymiany dzieci ludzkich przez istoty nadprzyrodzone pojawia się u wszystkich narodów słowiańskich. Ale pewne cechy charakterystyczne tej tradycyi występują w coraz to bledszych barwach lub też giną zupełnie, im dalej posuwamy się z zachodu na wschód. Stąd też można zupełnie śmiało przyjąć, iż tradycya, powstała w Niemczech, szerzyła się w kierunku na wschód drogą zapożyczek jednego narodu od drugiego.

Dr. St. Z.

Rosegger und sein Glaube. *P. Ansgar Pöllmann,* O. S. B. Mönch der Beuroner Kongregation. Münster in Westfalen. Verlag der Alphonsus-Buchhandlung. 1903. (Str. 127).

Mała książeczka wyszła z celi jednego z najstarszych i najzasłużeńszych w historyi kultury niemieckiej klasztorów, zajmuje się stosunkiem głośnego, i u nas dobrze znanego pisarza styryjskiego Piotra Roseggera do wiary i etyki katolickiej. Nie tylko popularność poety, lecz i inne powody skłoniły autora do tego polemicznego studyum, którego treścią jest wykazanie, jak daleko Rosegger od wiary odbiega. Powody są liczne a wszystkie słuszne i ważne. Rosegger jest pisarzem tendencyjnym z zamiaru i istoty, więc jego wpływ silniejszym jest, niż oddziaływanie pisarzów hołdujących hasłu „sztuka dla sztuki“. Rosegger dalej porusza nie tylko zagadnienia ogólnej natury, lecz prawie zawsze mówi o sprawach wiary i moralności, więc jego wpływ tem donioślejszym jest; Rosegger głosi zawsze, że jest katolikiem, że służy wierze, więc trafić może tam, gdzie autor *a priori* antykatolicki nie miałby wstępu: do społeczeństwa szczerze katolickiego, do ludu, do młodzieży, w czem mu popularność tonu bardzo jest pomocną. Ten ostatni motyw na pierwszy rzut oka dla nas może być obojętnym, a jednak tak być nie powinno, bo wiemy sami z własnego doświadczenia, jak w wielu polskich domach (szczególnie tam, gdzie się dzieci prywatnie uczy), daje się starszym chłopcom Roseggera do czy-

tania dla wprawy w języku niemieckim, w tem przekonaniu, że jest to autor nieposzlakowanie katolicki. Otóż książeczka O. Ansgara Pöllmanna, aprobowana przez generalnego opata klasztoru, zatem książeczka fachowo napisana, obala to błędne mniemanie. W trzech rozdziałach: „Rosegger i Apostolikum", „Rosegger i Kościół", „Rosegger jako badacz Biblii" wykazuje drogą dosłownych cytatów z dzieł ekskrawca, jak Rosegger, dowcipnie przez autora nazwany „religijnym analfabetą" przekręca Pismo św., fałszuje naukę Kościoła, nieraz np. wobec dogmatu o Niepokalanem Poczęciu wprost staje w sprzeczności z nauką wiary, a zawsze to czyni niby jako katolik, zawsze powtarza, że jest katolikiem wierzącym. Autor w studyum nie tylko jednak wykazuje te błędy i fałsze, lecz równocześnie bada ich źródło i mądrze widzi je zarówno w charakterze niedouczonego a zarozumiałego autodydakty, któremu zdaje się, że o wszystkiem rozprawiać może, jak i w poetyckiej naturze Roseggera, osadzonej przedewszystkiem na uczuciu *(Gemüt)* a skłonnej do symbolistyki. Szczególnie ten ostatni moment jest bardzo ważny, bo Rosegger tłumacząc „symbolistycznie" dogmaty np. Niepokalane Poczęcie i godząc się na nie, ale tylko jako na „symbole", jest wtedy właśnie dla wiary niebezpieczniejszym, niż gdyby wprost naukę Kościoła zwalczał.

W piątym rozdziale o stosunku Roseggera do duchowieństwa katolickiego znajduje się równie ścisłe i wiarogodne stwierdzenie, jak wrogim jest Rosegger dla katolickiego duchowieństwa, mimo pozorów sympatyi, jak właśnie ujemnym postaciom daje ściśle ortodoksyjne przekonania (co autor słusznie piętnuje, jako „tendencyjną nieuczciwość artystyczną") a wogóle nie rozumie charakteru kapłaństwa. Pomiędzy tym ustępem zaś i poprzednim jest rozdział czwarty poświęcony mniej religijnej polemice, niż artystycznej ocenie utworów Roseggera. Dobrze się stało, że ten rozdział wszedł do książki: z jednej strony bowiem widzi się tu, jak autor zwalczając fałszywą „teologię" Roseggera ceni jego literacką wartość tam, gdzie ona istotnie jest, z drugiej zaś strony wytrawny rozbiór estetyczny dowodzi, że autor ma prawo występować jako krytyk literacki. To też tę niedużą książeczkę powinien przeczytać każdy, kto żądnym jest krytycznej oceny pism Roseggera.

Dr. J. F.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

PAPIEŻ PIUS X.

„Zwiastuję wam wielką radość“ — temi słowy ogłosił w dniu 4 sierpnia kardynał-dziekan wyczekującym tłumom wiadomość, że na osieroconej stolicy Piotrowej zasiadł nowy Arcykapłan, Papież Pius X.

Oczy całego świata od dni już kilku wpatrywały się z wytężeniem w Watykan, robiono kombinacye, stawiano rozmaite prognostyki, bawiono się w przypuszczenia — ostateczny rezultat zawiódł wszystkie te nadzieje. Opatrzność, która, według nauki katolickiej, nigdy nie opuszcza Kościoła, musi nad nim czuwać tem bardziej w chwili tak ważnej, cały ogół obchodzącej. I Opatrzność, nie kierując się zapatrywaniami ludzkiemi, a raczej posługując się niemi do swoich wyższych celów, objawiła się; na najwyższą w Kościele godność wyniosła człowieka, o którym prawie milczała opinia publiczna, powoli nakłaniała ku niemu serca i wole wyborców, aż w siódmem skrutinium głosy św. Kollegium wskazały światu wybrańca Bożego.

Ten, który wyrokiem Bożym, ma odtąd sterować łódką Piotrową, i który stanął ponad panującymi tej ziemi, w swej osobie uwidocznia tę prawdę o Opatrzności nad Kościołem czu-

wającej. Wyrósł on z ludu, był prawie nieznanym szerszemu światu, długie lata pędził życie prawdziwie ukryte, nieznane, pełne poświęcenia i pokory. Nie był dyplomatą, ni politykiem, nie piastował urzędów Nuncyuszów lub Delegatów Apostolskich — życie jego upływało na pracach podjętych około zbawienia poleconych jego opiece dusz, było bogate w zbawienną, choć ograniczoną działalność.

A jednak Bóg miał z nim swoje cele, po stopniach bowiem hierarchii kościelnej prowadził go coraz wyżej: był proboszczem w Tombolo i Salzano, rektorem seminaryum i wikaryuszem generalnym trewizeńskim, biskupem Mantuy, a wreszcie patryarchą Wenecyi i od r. 1893 kardynałem rzymskiego Kościoła.

Nowy Papież przeląkł się wyboru, opierał się jemu, czuł słusznie, że tyara, to szczególniej dzisiaj, korona cierniowa; jeżeli jednak włożył ją na swe skronie, to dlatego chyba, że z jednej strony ufność swą położył w pomocy i łasce Chrystusa, a z drugiej, że zauważył radość i sympatyę, z jaką jego wybór powszechnie się spotkał. Z uniesieniem powitał go Rzym katolicki, powitał go cały Kościół a i innowiercy znajdują dla niego tylko słowa uznania.

Leon XIII zakończył swą chwalebną działalność; na opuszczonym posterunku znalazł się nowy Pasterz, następca Leona i Piotra, nieomylny przedstawiciel Chrystusa. Przechodzą dynastye ziemskich książąt, nie przemijają dynastye Papieży, choć się zmieniają nazwiska. Leon czy Pius — w nich był, jest i będzie zawsze ten, którego przedstawiają, Chrystus, i w tem ich siła, ich moc i znaczenie.

Nie możemy dziś jeszcze przesądzać o przyszłej działalności teraźniejszego Ojca św., więc do tych życzeń, które z całej ziemi do bram Watykanu nadchodzą, i my się przyłączamy z wyrazami posłuszeństwa, uległości, przywiązania i gorącej prośby, by rządy Jego wyszły na chwałę Bogu, a na szczęście narodom.

ĆWIERĆWIEKOWY ROZWÓJ KOŚCIOŁA W URUGWAJU.

Opis Kościoła w południowej Ameryce, umieszczony przed kilkunastu latami w *Przeglądzie Powszechnym* [1], pozwalał czytelnikowi przewidywać, że nie prędko zajdzie w owych krajach zmiana stosunków, godna osobliwej uwagi. Ciągle te same dzieje szukają sobie drogi po krzywem kole i po jakimś czasie wracają, skąd wyszły. Ledwo po dłuższym przebiegu lat można tam odczuć powiew innego ducha albo wzrost nowej myśli, nie powstrzymanej w swoim rozwoju przez ustawiczne przewroty państwowe i krwawe borby w łonie stronnictw rozlicznych.

Otóż dziś dostajemy z Urugwaju wiązankę szczegółów, już dość odmiennych od stanu tej rzeczypospolitej przed kilkunastu latami. Wtenczas *Przegląd* otwarcie wyznał, że nie zdoła odgadnąć przewodniej myśli w pracy katolików urugwajskich, ani przepowiedzieć, jak w tym kraju dalej walczyć będzie Kościół, z jakich walk wyjdzie zwycięsko. Istotnie wypadki wzięły obrót nieprzewidziany. Widzimy to ze świadectwa księdza Kenelma Vaughan, który zdaje w *Tablecie* sprawę z różnicy między dzisiejszym Urugwajem a jego stanem przed ćwiercią wieku: przez tyle lat pracował tam ks. Vaughan na niwie misyonarskiej. Zastał w całym kraju mniej parafii, niż dziś widzi dyecezyi. Jedyny wówczas biskup Vera zasiadał na stolicy w Montevideo, założonej przed przyjazdem księdza Vaughana. Dyecezya liczyła ledwo dwie parafie w całym kraju, ale księży ustalonych jeszcze nie miała, tylko dwudziestu podróżnych misyonarzy, prawie wyłącznie obcokrajowych. Dziś Urugwaj posiada nadto dyecezye osobne w Melo i w Salta, cały rząd wspaniałych świątyń i wytwornych szkół parafialnych w Kordonie, Ugwadzie, Molinie, Redukto Unionie i Pocitos, prócz mnóstwa kościołów i kaplic zakonnych, szpitalnych albo domowych. Niektóre z nich słyną obrazami, do których jako miejsc cudownych, pobożni odbywają pielgrzymki, zwłaszcza w kościołach pod wezwaniem Matki Boskiej.

Duchowieństwem dziś Urugwaj dostatecznie zaopatrzone,

[1] Tom VIII, str. 309.

liczy wśród pięćdziesięciu krajowców, kilka nazwisk chlubnie wspominanych dla zasług na polu nauki i kaznodziejstwa, zwłaszcza Mgra Eusebiusza de Leona, kapelana wojsk. Prócz świeckich księży, także zakony dostarczyły sześćdziesięciu dwóch pracowników na polu duszpasterskiem i nauczycielskiem. Redemptoryści, Kapucyni, Franciszkanie, Lazaryści, Jezuici, Salezyanie i członkowie zakonów nieznanych u nas, jak Bayońscy Ojcowie Boskiego Serca, Pallotyści, Oblaci świętego Franciszka Salezego, Bracia świętej Rodziny rozszerzają prawie co roku zakres prac swoich. Bracia św. Rodziny przybyli do Urugwaju ledwo przed trzynastu latami, a już uczą w czterech zakładach, gdzie wychowują po kilkuset młodzieży. Salezyanie prócz zakładu wspaniałego w samej stolicy, posiadają dla nauki młodzieży rzemieślniczej także zakład ogromny na przedmieściu. Również Kapucyni prowadzą szkoły: początkową, handlową i filologiczną; Bayońscy Ojcowie uczą w zakładach wyższych i w szkółkach parafialnych; nakoniec dziesięć żeńskich klasztorów udziela nauki dwom tysiącom dziewczynek, pilnują chorych po szpitalach rządowych i utrzymują sieroty w ochronkach. Świeżo powstał nowy dom zakonny Czcicielek Najświętszego Sakramentu, założony wspólnemi siłami prezydenta rzeczypospolitej Sennora Cuestas, ministra spraw wewnętrznych, Don Mac Euchen, senatora Don Buxareo, paru nadto Anglików i kilku Hiszpanów; tacy dostojnicy w starym świecie naszym klasztorów nie zakładają.

Ten rozwój Kościoła zaczął już wydawać plon. W r. 1875 wiara we warstwach szerokich polegała na zewnętrznych objawach, pochodach po ulicach, obrzędach i uroczystych obchodach z wystrzałami moździerzy, strzelb i dział: polegała na huku i dymie, jak dym nikła. Dziś to wszystko zmienione. Naród dziś rozumie swoją wiarę jako wyznanie zasad miłości i jarzmo obowiązków. W 1875 r. ledwo jeden katolik na tysiąc odprawiał wielkanocną spowiedź: w roku ostatnim połowa mieszkańców stolicy spełniła ten obowiązek za przykładem warstw najwyższych i średnich; każdy dzień święty wypełnia kościoły wiernymi. I w dniach powszednich kościoły muszą stać otworem

w godzinach wieczornych: mnóstwo pań i robotników w powrocie z pracy zachodzą na cichą modlitwę przed Najśw. Sakramentem; w paru kościołach, jak jezuicki albo bayoński Boskiego Serca, przez cały dzień otwartych, rzadko kiedy można nie spotkać choćby kilku osób oddanych modlitwie; w jezuickim liczba Komunii przez rok wynosi 97 tysięcy, w bayońskim setki każdego dnia powszedniego. Więzienia, otoczone opieką najtroskliwszą ze wszystkich władz świeckich i duchownych, stanowią nie tyle miejsce kary, jak prawie zakłady wychowawcze dla ciemnego ludu. W żeńskim oddziale więzień, prowadzonym przez zakonnice, Buen Pastor, kobiety doznają w ciągu kaźni takiej zmiany wewnętrznej, jak w zakładzie pokutnic i w domu św. Magdaleny.

PRACA URUGWAJCZYKÓW NA POLU SPOŁECZNEM.

Społeczeństwo europejskie zasila zachodnią półkulę nie tylko dobrymi żywiołami: także wielu wyrzutków swoich wyprawia za morza, i Urugwajowi dostarczyło niejednego przewrotowca, socyalistę, albo okpiświata. Przeciw temu napływowi burzliwych żywiołów katolickie społeczeństwo w Montevideo ruszyło zgodnie do walki pod chorągwią chrześcijańską; a podniosło w tej walce nie tylko hasła powtarzane dziś w Europie: także usilnie krzewi i szerzy jedną z tych zasad, o których nasze stosunki mniej pozwalają pamiętać. Z naciskiem już od dawna nasi myśliciele pracują nad poprawą doli warstw wydziedziczonych; mniej widzimy pracy łożonej wśród warstw uposażonych, aby zniżyć stopę życiową. W Urugwaju przepych hiszpańskich obyczajów wykopał między wybrednym bogaczem a zapalnym nędzarzem przepaść nieprzebytą; nieraz daremnie właściciel podnosi coraz wyżej płacę robotnikom; nie zdoła ich zadowolnić, póki nie uszczupli sam wydatków na wytworny zbytek i wygody, w których żyje wspaniale; widok jego wybryków podnieca robotników do zachcianek coraz śmielszych: podżegacz im do uszu szepcze, że lepiej wierzchowcem być, albo chartem na smyczy u dumnego pana, niż człowiekiem skazanym u niego na pracę. Katolicki duch spostrzegł, że zachwiana dziś równowaga społeczna wymaga pracy natę-

żonej na dwie strony: trzeba jednym dolę poprawić, a drugich poskromić w marnotrawstwie; jednym podać rękę, aby mieli z czego więcej wydawać, a drugich pod rękę prowadzić, aby ich zmusić do skromniejszych wydatków. Na obu polach trzeba pracy, aby módz oczekiwać równowagi społecznej.

Na tem polu drugiem katolicy w Montevideo raźnie do pracy stanęli: pod nazwą *Union Católica* założyli związek dla warstw zamożnych, aby je wprawiać w obowiązki społeczne, jakich wymaga od nich doba obecna. Do tysiąca młodzieży męskiej z rodzin co wybitniejszychh zapisało swoje nazwiska do księgi członków; wystawili obszerny budynek, w którym największą salę przeznaczyli na miejsce odczytów naukowych, a w innych pokojach pomieścili księgozbiór i czytelnie; nakoniec zbiorowo przenieśli do tegoż budynku rozsypane dawniej po mieście miejsca rozrywek i gier towarzyskich. To ognisko tak pociąga młodzież, wpisaną do związku, że o części jej przeważnej można zawsze wiedzieć, gdzie jej szukać: kto z domu wyszedł nie do kościoła albo do uczelni, ten przy towarzyszach pracuje albo odpoczywa w domu „Koła katolickiego".

Na polu pracy dla dobra biedaków więcej już dokazał Urugwaj. W stolicy zebrał do półtora tysiąca robotników w związku zwanym *Circulo Católico de Obreros*. Prócz stolicy, także kilkanaście innych miejsc w kraju dostarcza pola pracy związkowi, a w całym narodzie znaleźć można pilnych czytelników czasopisma wyłącznie związkowego: *El Amigo de Obreros*. Nadto przewodnik związku, pisarz wybitny i były minister, wydaje dziennik *El Bien*, którego żadne pismo w kraju nie przewyższa czy to duchem prawowiernym, czy to obroną wszelkiego postępu na drodze oświaty.

Dla młodzieży z warstw robotniczych Urugwaj wezwał pomocy księży Salezyanów. Gorliwi ci pracownicy znajdują czas na wszystko. Przykładem tego może być miasto Paysandú, jedno z najbezbożniejszych jeszcze przed 28-miu latami. Do kościoła w dnie święte przychodziła tam ledwo setka wiernych, do Komunii wielkanocnej ledwo czterdzieści osób; o potrzebie nauki dla dzieci i jakiejbądź szkoły nikt tam nie pomyślał. Widok

Salezyanów, kiedy pierwszy raz tam zjechali, podniecił mieszkańców do tego stopnia, że przywitali przybyszów obelgami najprzód, a następnie gradem kamieni. Salezyanie w odpowiedzi ogłosili, że rozpoczynają ośmiodniową misyę; rozpoczęli ją i skończyli przy garstce słuchaczy nader szczupłej: tylko czterem osobom po misyi udzielili Komunii. Nieustraszeni widokiem kamienistej roli, okopywali ją dalej; dziś liczą w dwóch zakładach wychowawczych pięćset kilkadziesiąt dzieci, tysiąc wiernych na Mszy w dzień święty, więcej powołań duchownych w Paysandú, niż gdziebądź inndziej.

Chętniejszych słuchaczy, niż z początku Salezyanie, znajdują po dziś dzień szerzyciele przewrotu po osadach oddalonych od kościoła, a tych osad nie brakuje jeszcze w Urugwaju, skutkiem niedostatecznej liczby duchowieństwa. W takie okolice idą księża ze związku *El Centro Apostolico de San Francesco,* założonego przez księdza Costa T. J. Praca tych księży przynosi plon dziwnie obfity na roli, która widocznie dlatego rodziła dotychczas kąkol, iż jeszcze nikt jej nie uprawił właściwie.

PRZECIWKOŚCIELNE USTAWODAWSTWO URUGWAJSKIE.

Rozrost pracy kościelnej znajduje opiekuna obecnie w osobie prezydenta rzeczypospolitej, ale nie w jej ustawach, ani nie w urzędnikach niższych, w sędziach i wiejskich nauczycielach. Wolnomularski duch tych ustaw i urzędników idzie na pole zapasów przeciwkościelnych w zawody z duchem bezwyznaniowym wielu Europejczyków w Urugwaju. A z tymi to żywiołami najbliżej przestaje lud prosty. Największa część wieśniaków żyje po osadach, oddalonych o kilkanaście mil polskich od najbliższego kościoła: służą tedy Panu Bogu, jak w prostocie swojej umieją, pozbawieni Mszy i kazań. Wpływy wolnych mularzy znajdują dostęp do nich cicho i nieznacznie, ale bez przerwy.

Ustawodawstwo ze swojej strony naraża wieśniaków na ciężkie pokusy, w których trudno im nie przekraczać praw kościelnych. Księżom nie wolno błogosławić przy ślubie, ani chrzcić dzieci bez świadectwa urzędu świeckiego, że narzeczeni poprzednio donieśli ustnie o swoich zamiarach małżeńskich przed

sędzią pokoju, a małżonkowie posłali dziecko do zapisu w księgach urzędu świeckiego. Otóż sędziów pokoju liczy cały kraj ledwo około dwudziestu: zatem tysiące wiejskiego ludu mieszkają tak daleko od sądowego miasta, że im wprost niepodobna odbywać częściej podróż do sędziego: zatem młode stadła żyją latami bez związku kościelnego i wychowują dzieci niechrzczone. Przytem niesumienny urzędnik pozwala sobie nie rzadko na wybryk złośliwy: choć para narzeczona z wielkim nakładem czasu i pieniędzy spełni państwowe obowiązki, jednak sędzia zapisuje tylko do swoich ksiąg ich ślub urzędowy, a nie wydaje o tem świadectwa proboszczowi: cały trud i zachody idą na marne, nie ułatwiają im ślubu w kościele.

Wobec takich stosunków księża niektórzy zaczęli udzielać chrztu i błogosławić śluby bez troski o karę rządową, która wynosi 500 dolarów. Rząd oburzony ich śmiałym krokiem, powyższą karę nakłada tylko za przestępstwo ustawy raz popełnione, a za drugi raz karze ciemnicą. Aby nie osieracać tysięcy dusz, muszą księża bezwładnie patrzeć na następstwa ustaw wolnomularskich.

ZABÓR DÓBR ZAKONNYCH NA FILIPINACH.

Zamach przeciw zakonom nie doszedł do skutku[1], ale podniecił żądze wrogów Kościoła: niezdolni do walki otwartej na wzór Combesa, obrali drogę mniej widoczną; obmyślili nadać taki bieg wypadkom, aby ich siłą zmuszeni zakonnicy sami opuścili Filipiny. Dotychczas w Manili mieszka 236 księży zakonnych a 94 pracuje po różnych osadach: z tych liczy zakon św. Augustyna 98 członków, 97 Zakon Kaznodziejski, 61 Bracia Mniejsi, 74 Rekollekcyoniści. Aby im utrudnić pobyt, wolne mularstwo zwróciło uwagę na opłakany stan kraju. Ośm milionów jego mieszkańców ucierpiało w niezwykłej mierze skutkiem wojny z Ameryką. Zewsząd płyną prośby do nowego rządu o zasiłek dla nędzarzy, których liczba może stanowić groźne niebezpieczeństwo dla ludzi bogatszych. Spustoszona ziemia w wielu miejscach nie przyniosła żadnego

[1] Por. *Przegląd Powszechny* t. LXXVII, str. 143.

plonu w lecie minionem, głód i mór pochłonął już 150.000 ofiar. Wobec tych stosunków wolnomularstwo zażądało, żeby majątki zakonne udzieliły przymusowej pożyczki wyczerpanemu skarbowi państwa, który nie zdoła już z własnych zasobów zaspokoić niezbędnych potrzeb nędzarzy. Myśl ta znalazła posłuch u przedstawicieli władzy. Wezwani do „obywatelskiej posługi“ dla kraju, zakonnicy chcąc nie chcąc wydali rządowi najezdców amerykańskich klucze do swoich dóbr wszystkich ruchomych i nieruchomych, pocieszani obietnicą, że państwo ich nie skrzywdzi i całą pożyczkę zwróci sumiennie. Tymczasem zakonnicy pozbawieni chleba muszą sami myśleć o wyjeździe z kraju. Zamiarom ich chcą przeszkodzić wierni katolicy i zaopatrzyli tysiącami podpisów prośbę, wystosowaną w tej sprawie do Rzymu na ręce delegata apostolskiego.

ZNAKOMITA POMOC INNOWIERCÓW DLA KATOLICKIEGO DZIEŁA W DANII.

Od ostatniej wzmianki w *Przeglądzie Powszechnym* o rozwoju Kościoła w Danii upłynęło kilka lat cichej pracy katolickiej, która uśmierzała waśni wyznaniowe i przysparzała Kościołowi życzliwych przyjaciół między innowiercami. W ostatnich miesiącach roku ubiegłego Dania widziała dzień chlubny dla Kościoła: nowy szpital katolicki wzniesiony ręką prawie wyłącznie protestancką, a hojną, bo złożyła blizko milion koron. Chociaż liberalizm krzyczy, że Kościół Powszechny powinien spuścić z tonu w wieku XX, jeżeli pragnie zgody z innemi wyznaniami, duńscy katolicy wytężali siły, aby nie zwalniać zasady, ale wyznawać wiarę w całym jej blasku ofiar i dobrych uczynków; a protestanci duńscy wcale nie zrażeni rozwojem dobroczynnych dzieł Kościoła, owszem zapaleni chęcią uczestnictwa w jego zasługach, wsparli w Kopenhadze dom na ulicy Strondvey 91, gdzie zakonnice Józefitki od pół wieku usługują. Napływ chorych do szpitala katolickiego wołał od dawna, że trzeba rozszerzyć zakład: zakonnice marzyć nie mogły o podobnym zamiarze, bo nie miały środków. Wtenczas Kopenhaga oświadczyła, że każdy mieszczanin chętnie rzuci swój grosz, jeśli tylko zakonnice obejdą miasto z prośbą o pomoc. Obietnica nie zawiodła nadziei, ale nie przyniosła całej

sumy potrzebnej. Powstała tedy myśl o bazarze na ten cel dobroczynny. Dom królewski przyjął opiekę nad przedsiębiorstwem; król, następca tronu, rząd i ogół z najwyższych warstw społecznych śpieszył na bazarze popierać zakonnice. Kiedy jeszcze nie wystarczało pieniędzy, kupcy oświadczyli, że pod dogodnymi warunkami pożyczą, czego brakuje. W ciągu kilkunastu miesięcy zapał protestanckiego społeczeństwa zebrał potrzebny milion i znowu śpieszył dwór wraz z dostojnikami do zakonnic, już nie na bazar, ale na poświęcenie szpitala, który teraz mieści kilkaset chorych. Ale zakonnice wyglądały czegoś jeszcze zmartwione: markotno im było, że nie miały kaplicy w szpitalu ogromnym; wycieńczone pracą od rana do nocy nie miały gdzie zasilić duszy na rozmowie i obcowaniu z Bogiem obecnym na ołtarzu. I ta troska katolickich dziewic przemówiła do duszy protestanckiej: wystawili im gotycki kościółek, który pomieści czterysta osób.

Uszczęśliwione zakonnice już nie potrzebują niczego, chyba tylko ich przełożona, dzielna Francuzka, Matka Genowefa, pragnęłaby liczniejszych kandydatek do swojego zgromadzenia, bo obecnie każda Siostra pracuje za dwie.

Ks. K. Czaykowski.

Ze spraw słowiańskich.

Usychająca latorośl Słoweńców na Węgrzech.

Nieszczęściem dla narodu jest jego rozdrobnienie, bądź to pod względem politycznym, bądź też religijnym lub literackim, szczególniej jeżeli to naród maluczki, a przytem wystawiony na zagładę, jak np. nasz słoweński. A właśnie nas Słoweńców cechuje rozdrobnienie w każdym względzie z wyjątkiem spraw religijnych. Nie dość na tem, że lud nasz mieszka w sześciu ziemiach, pod względem politycznym nic wspólnego z sobą nie mających; większem naszem nieszczęściem jest jeszcze to, że dwie latorośle naszego plemienia, które dotąd do Słoweńców zaliczaliśmy, zamierają już po prostu dla narodowości słoweńskiej, a mianowicie „Rezjanie“ we Włoszech i „Przekmurcy“ na Wę-

grzech. Liczba Rezjanów wynosi około 30.000, gdy znowu podług zdania statystyków słoweńskich żyje na Węgrzech Przekmurców ledwo 55.000, z tych 40.000 katolików i 15.000 protestantów. Napisane po węgiersku dziełko: *Az magyar korona országaiban 1881 év elején vegrenajtot népszamlàlas eredmenyei. Szerkesztete és kiadja az országos magyar kir. statistikai hivatal (Budapest 1882),* podaje liczbę Słoweńców na 83.150 dusz; z tych mieszkających po tamtej stronie rzeki Mury nazywają Słoweńcy ogólnie „Przekmurcy" (mieszkający na drugim brzegu rzeki Mury).

Wskutek znanej polityki rządu węgierskiego zagraża tej to latorośli nieuniknione utonięcie w madziaryzacyi, dlatego z niewielkiej naszej liczby stracimy prędzej lub później około 100.000 dusz. Że nam takowy stan rzeczy nie jest miły, to pewna. Żałujemy zaś tych to „Przekmurców" tem więcej, ponieważ dotąd nie zdołali oni jeszcze połączyć się z pozostałym ludem Słoweńców, zachowując ciągle swe odrębne narzecze, które należy uważać za dziesiąty literacki język słowiański. Poniższe szczegóły mają zamiar zapoznać czytelników z pracownikami na tej niwie i ich dziełami umysłowemi.

Działalność literacka autorów przekmurskich pojawiła się już w XVIII wieku. Pierwszem dziełkiem, wydanem w tem narzeczu, był Nowy Testament, napisany przez Stefana Küzmicza, który wyszedł pod tytułem: *Novi zakon, zdaj oprvič z grčkoga na stari slovenski iezik obznjeni po Števan Küzmiči Šurdanskom.* Wydanie pierwsze tego tłumaczenia wyszło w Hali w 1771 r., a drugie w Pozunie 1817 r. Chociaż istniał wówczas już przekład Pisma świętego w języku literackim słoweńskim, to można przecież z dziełka samego, ze stylu i sposobu pisania poznać, że Küzmič nie znał Pisma św. w przekładzie Słoweńca Dalmatina, wskutek czego dziełko jego jest pracą samoistną. I dobrze się tak stało, bo dziełko to było napisane w czystym języku przekmurskim, któremu język używany przez Dalmatina mógł raczej zaszkodzić, niż posłużyć. Uderza tylko to, że dzieło było przeznaczone nie dla katolików, lecz dla protestantów przekmurskich.

Potrzebie ludu katolickiego uczynił jako tako zadość Mikołaj Küzmič, który napisał i wydał w Sombotheli księgę Ewangelii na wszystkie niedziele i święta całego roku. Wydanie pierwsze wyszło bez daty, jak to wogóle było zwyczajem u wszystkich autorów przekmurskich; w wydaniu jednak drugiem znajdujemy datę 1804. Tenże autor wydał dalej dziełko pod tytułem: *Staroga i novoga teštamentoma svéte históire kratka summa,* licząca 133 str. Istnieje jeszcze jedna

książka do nabożeństwa w języku przekmurskim, na której brak nazwiska autora; skoro jednak została wydana 1813 roku, to możnaby z tego może wywnioskować, iż także wyszła z pod pióra Mikołaja Küzmiča. Tytuł jej: *Kniga molitvena staroslovenska, v steroj se nahajajo različne molitvi z dvojim pridavekom. Na hasek slovenskoga naroda na svetlost dana.* Dziełko to, później wielekroć przedrukowane, jest ulubioną książką do nabożeństwa dla katolików przekmurskich.

Około 1816—20 roku zostały drukowane *Pesemske knjige*, liczące 456 str., używane przez protestantów podczas nabożeństwa. Kto jest ich autorem, nie wiadomo. W tym czasie wyszła także maluczka, ledwo 30 str. licząca książka do czytania, w której się znajdują artykuły z fizyki, historyi przyrodniczej i Pisma świętego; w szkołach katolickich dziełko to używane nie było.

Roku 1823 pojawiło się w Szoproniu nowe wydanie wzmiankowanej już wyżej *Pesemskej knjigi* pod tytułem: *Krščànske nove pesmene knjige.* Tu znajdujemy także nazwisko autora, jest nim *Barla Michal, Kovágó-Oerške fare duchovni pastèr.* Wszystkie okoliczności przemawiają za tem, że utwór ten został przez niego tylko przejrzany, poprawiony i cokolwiek powiększony. Wydał jeszcze Cipot Gyürji (Jerzy) w Sombotheli książkę do nabożeństwa pod tytułem: *Duchovni aldovi, ali molitvene knjige* 1829 r. I ona była przeznaczona dla protestantów.

Między autorami z nowszych czasów zasługuje na uwagę Józef Košič, urodzony 9 października 1788 r. przy Białotyńcach obok Mury. Studya swe ukończył w Sombotheli, gdzie został kapłanem 1811 r. Košič był pilnym czytelnikiem książek, wydawanych w języku literackim słoweńskim, co także wywierało znaczny wpływ na jego literacką działalność. Oprócz mniejszych utworów napisał i wydał w Gradcu: *Kratki navuk vogrskoga jezyka* 1833 r. 185 str. Košič wówczas nie posiadał jeszcze świadomości narodowej i chciał, być może, przez dziełko być pożytecznym madziaryzacyi, nazywając narzecze przekmurskie językiem „wandalskim". Lecz dosyć prędko wyszedł z błędu, o czem świadczy najlepiej drugi jego utwór p. t. *Zobrisani Sloven med Murov i Rabov.* W tej książce opisał Košič niektóre zwyczaje Słoweńców przekmurskich, ucząc ziomków swoich, jak powinni chodzić około gospodarstwa, by z niego korzyść odnieśli. Trzecie zaś jego dziełko jest: *Zgodbe vogrskoga kraljestva* (Historya węgierskiego królestwa) w Sombotheli 1848. W tej książce opowiada o Węgrzech, że „będąc przyzwani przez cesarza Arnulfa na pomoc przeciw Świętopełkowi, królowi Morawii, znaleźli tymczasem drogę do Panonii, przy której sposobności

poznali też dobrobyt tej ziemi i nie dali się z niej później wypędzić. W teraźniejszej ojczyźnie znaleźli Węgrzy po większej części ludność słowiańską, której siedzibę dla siebie zagarnęli; jej językiem wzbogacili swój język, obfitujący poprzednio tylko w słowa przekleństw i szyderstw". Tak pisał Košič, gdy poznał prawdziwą wartość kultury madziarskiej. W r. 1861 obchodził w Siniku złoty jubileusz i tamże został pogrzebany. I teraz potrzebowalibyśmy takich ludzi między Słoweńcami na Węgrzech.

Kordoš Ivan, protestancki pastor w Hodoszowie, wydał w 1837 r. katechizm w języku przekmurskim. R. 1868 zaś ogłosił: *1867 leta vogrskoga orsačkoga spravišča posvečeno praudesklenje,* t. j. przekład ustaw węgierskiego rządu. Lecz język jego nawskroś przesiąkł słowami węgierskiemi, wskutek czego dziełko jego ludowi nie jest wcale znane, więc też i bezpożyteczne. Jego nieznajomość języka żadnych nie rokowała nadziei. gdy się rozeszła wiadomość, że pracuje nad przekładem Pisma św. Starego Testamentu, który to przekład, chociaż ukończony, prawdopodobnie nigdy nie był wydany. Czystszym językiem pisał Aleksander Trpljan, także kapłan, urodzony 1816 r. z rodziców wieśniaków, który jednak umarł młodo, bo w 1858. Wydał on 1848 r. w Kósedzie księgę psalmów pod nazwą: *Knige žoltarske;* dalej napisał „Dzieje Pisma świętego" i zestawił „Chrześcijańskie abecadło", t. j. początek nauki chrześcijańskiej dla dzieci. Jego staraniem wyszedł także trzeci nakład Nowego Testamentu, Szczep. Kúzmiča.

Po śmierci tych autorów niema niemal nikogo, ktoby ciągnął dalej już rozpoczętą działalność. Większego rozgłosu nabyli jeszcze pisarze: Józef Borovnjak, katolicki dziekan, który przełożył z języka słoweńskiego na przekmurski książkę do nabożeństwa pod nazwą: „Pokarm duchowny". Lecz niestety! w dziełku tem używał pisowni madziarskiej; wydany za to przez niego „Katechizm" odznacza się dosyć czystym językiem. Pilniejszym jeszcze autorem był Jozef Žemljič, także kapłan, mieszkający w Lendowie dolnej; napisał on „Dzieje Pisma świętego" i *Slovenski silabikar* (abecadło), liczący 48 stron, w którem używał już pisowni słoweńskiej. Jego to staraniem zaznajamiali się Przekmurcy z językiem literackim słoweńskim, co jest tem potrzebniejszem, że nasze szeroko rozkrzewione „Stowarzyszenie św. Hermagora" liczy na 80.000 członków ledwie około 150 Przekmurócw. Zbyt widoczny to dowód, jak mało znają jeszcze Przekmurcy swych pokrewnych braci.

Po roku 1870 coraz mniej słychać o pisarzach przekmurskich. Za to jednak zaczęła w tymto czasie wychodzić w Budapeszcie gazeta

w języku przekmurskim, p. t. *Prijátel. Znanost razserjevajucze novine,* pod redakcyą Augusticha Imre, jedynego znanego autora przekmurskiego z ostatnich czasów. Wzmiankowana gazeta wychodziła kilka lat bez przerwy, posługując się, jak już tytuł ukazuje, pisownią madziarską, której podobną była także jej tendencya. Zdaje się nawet, iż gazeta, nie znajdująca dostatecznego poparcia u nieuświadomionego ludu, dostawała subwencyę od rządu. Dlatego też służyła ona krzewieniu wielkiej idei madziarskiej. Gazeta o innej tendencyi, która miałaby Słoweńców uświadamiać narodowo, byłaby przez rząd prędko ogłoszoną za panslawistyczną i jako taka nie mogłaby istnieć pośród ludu na Węgrzech. Tak np. gdy Słoweńcy chcieli przez dostarczanie starych i nowych książek wpływać na swych oderwanych rodaków i rozbudzać pośród nich świadomość narodową, przeszkadzał temu, jako agitacyi niebezpiecznej dla madziarskiego *országu* rząd węgierski przez pandurów. Z tego wszystkiego można wywnioskować, jakim to *prijátelem* ludu przekmurskiego była ta przez rząd węgierski popierana gazeta ludowa.

Lecz na co nie ośmielił się jeszcze redaktor i wydawca *Prijátela,* tego podjął się 1884 r. Margitai Iózsef, który zaczął w Czakowcu wydawać tygodnik w języku węgierskim i chorwackim, *recte* przekmurskim, pod nazwiskiem Muraköz-Medjimurje. Nie ograniczył on się tylko na krzewieniu znajomości języka węgierskiego między ludem słowiańskim — dla którego poza Węgrami nie istnieje ani szczęście ani pomyślność, — lecz umieszczał często artykuły, zachwalające wolnemularstwo i jego przeciwkościelną działalność, zapoznawał czytelników z jego nauką i jego stowarzyszeniami na Węgrzech. Czego może lud słowiański jeszcze więcej od swych opiekunów żądać! Jeżeli dzieje się to w interesie rządu węgierskiego, to byłoby przecież pożądanem, gdyby, madziaryzując lud słowiański, pozostawiono mu przynajmniej wiarę, iżby biedny ten lud razem z narodowością nie stracił przynajmniej zbawienia wiekuistego w Kościele. Odstępstwo, które jednocześnie z narodowością zatraca i duszę, powinno być uważane za nieszczęście najzgubniejsze.

Słoweniec.

Druk ukończono 28 sierpnia 1903 r.

SPIS RZECZY.

Artykuły naukowe i literackie.

	Strona
Wiec narodowy. Przez *ks. J. Pawelskiego T. J.* . . .	1*—12*
W Pilźnie i w świecie słowiańskim. Przez *ks. K. Czaykowskiego T. J.*	1
Eucken a dzisiejsze zadanie apologetyki. Przez *M. Zdziechowskiego*	19
Do Młodej Polski w malarstwie i rzeźbie. Przez *Ludomira Benedyktowicza*	33
Rycerze demokracyi chrześcijańskiej we Francyi. Przez *ks. Leonarda Lipkego T. J.*	51
„Zatopiony dzwon“ Hauptmanna a Nietzsche. (Dok.) Przez *ks. M. Kohlsdorfera T. J.*	78
Leon XIII wobec swego wieku. Przez *ks. Arcybiskupa Józefa Teodorowicza.*	1*—30*
Najnowsze stanowisko socyalistów względem Kościoła. Przez *ks. K. Czaykowskiego T. J.*	153 387
Twórczość Rudyarda Kiplinga. Przez *T. Wodzicką*	169 370
Refleksye nad stanem kwestyi żydowskiej u nas. Przez *d-ra Włodzimierza Czerkawskiego*	190
Wykopaliska rzymskie pod Pesztem. Przez *M. Morelowskiego*	214
Jezuici w Królewcu. Przez *ks. St. Załęskiego T. J.* .	233 336
O religijnych ideałach doby obecnej. Przez *prof. M. Straszewskiego*	313
Dzieje literatury polskiej w opracowaniach profesorów Brücknera, Chmielowskiego i Tarnowskiego. Przez *prof. Antoniego Mazanowskiego.* . .	350

Str.

Przegląd piśmiennictwa.

Z piśmiennictwa polskiego.

NA ZAWSZE. Dramat Lucyana Rydla. *(Walery Gostomski)*. 93

PIEŚŃ BOGARODZICA POD WZGLĘDEM MUZYCZNYM. Aleksander Poliński. *(Dr. Korneli Heck)*. 96

CO TO JEST FILOZOFIA? Prof. dr. M. Straszewski. — IDEEN ZUR PHILOSOPHIE DER GESCHICHTE DER PHILOSOPHIE. Tenże. *(Ks. Stanisław Borkowski T. J.)* 105

SYNODY DYECEZYI CHEŁMSKIEJ OB. WSCH. Wydał ks. biskup Edward Likowski. *(Dr. Adam Bielecki)* 106

Z DZIEDZINY FILOZOFICZNEJ: Wojciech Dzieduszycki: „Mesyanizm polski, a prawda dziejów". — Jan Witort: „Filozofia pierwotna" (animizm). — Dr. Antoni Złotnicki: „Z tajemnic duszy. Spostrzeżenia psychologiczne". — W. M. Kozłowski: „Klasyfikacya umiejętności na podstawach filozoficznych, jako wstęp do wykształcenia ogólnego". — Edward Abramowski: „Teorya jednostek psychicznych. Przyczynek do krytyki psychologii współczesnej". — Tenże: „Dusza i ciało". (Prawo współrzędności psychologicznej rozpatrywane ze stanowiska teoryi poznania i biologii). *(Dr. Maurycy Straszewski)* 249

ZASADY LOGIKI OGÓLNEJ. Władysław Biegański. *(Ks. J. Nuckowski T. J.)* 404

NOWY INDEKS książek zakazanych, oraz jego uzasadnienie, dzieje i nowe prawo. Napisał ks. Władysław Szczepański T. J. *(Ks. dr. Szczeklik)* 409

TOWARZYSTWO PRZYJACIÓŁ NAUK. Księga III. Aleksander Kraushar. *(Wołyniak)* 415

SŁOWIANIE (Narody i ich piśmiennictwo). Pogadanka pouczająca. Jan Fr. Magiera. *(Henr. Ułaszyn)* 419

Z piśmiennictw obcych.

GESCHICHTE DER BYZANTINISCHEN UND NEUGRIECHISCHEN LITTERATUR. Von Dr. Karl Dieterich. — GESCHICHTE DER TÜRKISCHEN MODERNE. Von Dr. Paul Horn. *(J. Fl.)* 108

DIE MODERNE MALEREI IN DEUTSCHLAND. Von Dr. Alfred Koeppen. — DIE MODERNE PLASTIK IN DEUTSCHLAND. Von Alexander Heilmeyer. *(Dr. J. Flach)* 110

HIPPOLYTE FLAUDRIN. Par Louis Flaudrin. *(M.)* 111

CAPITULORUM VOLUMEN POLONICUM. — ARCHIV POŁOCKOJ DUCHOWNOJ KONSISTORII. — REWIZIA WŁADIMIRSKOJ BAZILIANSKOJ ŠKOŁY. *(Wołyniak)* 112

Z NAJNOWSZEJ LITERATURY FRANCUSKIEJ: I. *L'ambassade du prince Louis de Rohan à la cour de Vienne.* (1771—1774). — II. Funck Brentano: *L'Affaire du Collier.* D'après de nouveaux documents. — III. C. d'Arjuzon: *Hortense de Beauharnais.* — C. d'Arjuzon: *Madame Louise Bonaparte.* — IV. Lord Roseberry: *Napoléon.* La dernière phase. *(Jan Łada)* 269 422

Z pism czasowych:

PORADNIK JĘZYKOWY. Rocznik II. *(St. Dobrzycki)* 288

Str.

Zapiski bibliograficzne.

Z DZIEJÓW JĘZYKA POLSKIEGO. Studya i szkice. Aleks. Brückner. *(Dr. Z.)* 118
FOLKLOR A HISTORYA LITERATURY. Pismo polemiczne. Przez Maksymil. Kawczyńskiego. *(Dr. St.)* 119
KORESPONDENCYA JÓZEFA BOHDANA ZALESKIEGO. Wydał Dyonizy Zaleski. *(wi)* 119
FACECYE SOWIZDRZALSKIE o ludziach pióra, pędzla i nożyc, dla ludzi pióra, pędzla i nożyc. Adolf Neuwert-Nowaczyński. *(St.)* . . . 120
DWA WYKŁADY POPULARNE O WALCE Z GRUŹLICĄ U NAS. Dr. Fr. Chłapowski. *(a)* 121
EIN TÜRK-TATARISCHER DIALEKT IN GALIZIEN. Von Johann v. Grzegorzewski. *(Dr. B.)* 121
KRÓTKI ŻYCIORYS O. WACŁAWA NOWAKOWSKIEGO, KAPUCYNA. Skreślił O. Floryan, Kapucyn. *(A. B.)* 121
HUMOR, ŻART I SATYRA W POEZYI PÓLSKIEJ. Zebrał i ułożył Wład. Nawrocki. *(A. B.)* 122
Послѣдованіе къ святому Причащенію. Издалъ Н. Д. М. *(Ks. K. C. T. J.)* 122
Гуторка об тым куды мужыцкие грошы идуць. *(Ks. K. C. T. J.)* 122
150 PIEŚNI I PIOSENEK na chór męski i mieszany. Cz. I. *(wi)*. 290
ZWIERZENIA LEKARZA. W. Weressajew. Tłum. dr. M. W. Herman. *(wi)* 291
GOFFRED ABO JERUZALEM WYZWOLONA Torquata Tassa, przekł. P. Kochanowskiego. Wydał dr. L. Rydel. T. II. *(A.)* 291
ROZPRAWY AKADEMII UMIEJ. Wydz. hist.-filoz. Ser. II, tom XIX. *(Dr. B.)* 292
Z POD NIEBA WSCHODNIEGO. Nowele i fragmenty z podróży. J. Grzegorzewski. *(A. B.)* 293
DOLINAMI RZEK. Opisy podróży wzdłuż Niemna, Wisły, Bugu i Biebrzy przez Z. Glogera. *(Dr. S.)* 294
MONOGRAFIE W ZAKRESIE DZIEJÓW NOWOŻYTNYCH. Tom III: Rządy rosyjskie w kraju Tarnopolskim (1808—1815) przez Jana Leszczyńskiego. *(Dr. B.)*. 294
BOGDAN ZALIESKIJ, k stolietniej godowszczinie rożdienija polskawo poeta. Martin Korczinskij. *(Dr. S.)* 295
BISKUPI NASI uwięzieni lub wygnani od roku 1767. *(Se)* 438
SPRAWOZDANIE TOWARZYSTWA „POLSKA SZTUKA STOSOWANA“ 1991—2. *(l)* 438
MATERYAŁY I PRACE KOMISYI JĘZYKOWEJ Akademii Umiej. w Krakowie. Tom I, zeszyt 2. *(B.)*. 439
ROZPRAWA O JEDNORAZOWEJ I DWURAZOWEJ NAUCE W SZKOŁACH PUBLICZNYCH, napisał Zygmunt Zieliński. *(W.)* 439
ZBIOREK LISTÓW I MÓW osnutych na tle galicyjskich stosunków ekonomiczno-społecznych i objawach nastroi umysłowych. Napisał Zygmunt Zieliński. *(Dr. A. B.)* 440
SREDNIEWIEKOWYJA ZAPADNO-EUROPEJSKIJA POWIESTI W RUSSKOJ I SŁAWIANSKICH LITIERATURACH. II. Obzor matieriała po istorii sredniewiekowoj swietskoj powiesti w Polszie. S. L. Ptaszyckij. *(Dr. Z.)* 440
SLAVISCHE SAGEN VOM WECHSELBALG. Polivka G. *(Dr. St. Z.)* 441
ROSEGGER UND SEIN GLAUBE. P. Ansgar Pöllmann, O. S. B. Mönch der Beuroner Kongregation. *(Dr. J. F.)* 441

Sprawozdanie z ruchu

religijnego, naukowego i społecznego.

LIPIEC.

SPRAWY KOŚCIOŁA: Stan Kościoła katolickiego w Serbii. — Czarnogóra wobec Apostolskiej Stolicy. — Serbowie łużyccy pod obroną

Str.

Kościoła. — Postępy katolickiej pracy między Rusinami. — Obrońcy i wrogowie Kościoła między Słowianami. Przez *ks. K. Czaykowskiego T. J.* 123

NASZE TOWARZYSTWA NAUKOWE W ROKU 1902. Przez *d-ra Stanisława Zdziarskiego* 133

Z ŻYCIA I PRASY: Podatek katolicko-narodowy. *(X).* — Nowa ofiara niewoli przekonań w armii austryackiej. *(Ks. K. K. T. J.)* . . . 148

SIERPIEŃ.

SPRAWY KOŚCIOŁA: Chorwaccy katolicy pod uciskiem wolnomyślnym.— Chorwacki misyonarz u papieża a sprawa hlaholicy. — Chrześcijańska demokracya między Słoweńcami a Chorwatami. — Katolicy słoweńscy w bojach przeciw rządom wolnomyślnym.— Uwięziony prześladowca Kościoła na Pobrzeżu. — Trudne stanowisko Kościoła w Bośnii. Przez *ks. K. Czaykowskiego T. J.* . 296

STAN OBECNY TOWARZYSTW DOBROCZYNNYCH W GALICYI. *Dr. Maksymilian Thullie* 306

WRZESIEŃ.

SPRAWY KOŚCIOŁA: Papież Pius X. — Ćwierćwiekowy rozwój Kościoła w Urugwaju. — Praca Urugwajczyków na polu społecznem. — Przeciwkościelne ustawodawstwo urugwajskie. — Zabór dóbr zakonnych na Filipinach. — Znakomita pomoc innowierców dla katolickiego dzieła w Danii. Przez *ks. K. Czaykowskiego T. J.* . 443

ZE SPRAW SŁOWIAŃSKICH. Usychająca latorośl Słoweńców na Węgrzech. Przez *Słoweńca* 452

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Ks. JAN PAWELSKI T. J.